

RAYMOND KHOURY

ZNAK

Z języka angielskiego przełożył Jacek Mikołajczyk

WYDAWNICTWO SONIA DRAGA

Tytuł oryginału: THE SIGN

Copyright © 9 by Raymond Khoury

Copyright © 0 for the Polish edition by Wydawnictwo Sonia Draga Copyright © 0 for
the Polish translation by Wydawnictwo Sonia Draga

Projekt graficzny okładki: Mariusz Banachowicz Zdjęcie autora: © Suellen Khoury

Redakcja: Jolanta OlejniczakKulan Korekta: Joanna Rodkiewicz, Mariusz Kulan

ISBN: -83-8-S28-0

Sprzedaż wysyłkowa: www.merlin.com.pl www.empik.com www.soniadraga.pl

WYDAWNICTWO SONIA DRAGA Sp. z o. o. Pl. Grunwaldzki 8-10,40- Katowice e
- mail: info@soniadraga.pl www.soniadraga.pl

Skład i łamanie: DT Studio s.c.

Katowice 2. Wydanie II

Drukarnia: WZDZLega, Opole

Tę książkę dedykuję Suellen

„Idee, by religia i polityka nie mieszały się ze sobą, podsunął chrześcijanom Szatan, żeby nie zrujnowali własnego kraju”.

Jerry Falwell

„Królestwo moje nie jest z tego świata”.

Jezus Chrystus (J, 18:36)

Wybrzeże Szkieletowe, Namibia - dwa lata temu

Dno wężowozu nagle ruszyło pędem Dannyemu Sherwoodowi na spotkanie, a śmigający wokół niego wysuszony skalisty krajobraz w cudowny sposób jakby zatrzymał się i zaczął poruszać w zwolnionym tempie. Tego dodatkowego czasu Danny nie przywitał jednak z wdzięcznością. Dzięki niemu w jego poturbowanym umyśle mogła się tylko utrwalić świadomość tego, co miało za chwilę nastąpić. Przerazająca, dręcząca myśl, że bez cienia wątpliwości za kilka sekund będzie martwy. A przecież dzień zaczął się tak obiecująco.

Po prawie trzech latach on i reszta zespołu wreszcie zakończyli pracę nad projektem. Już wkrótce, myślał sobie, powstrzymując radosny uśmiech, będzie mógł cieszyć się jej owocami.

Miał za sobą ciężką harówkę. Projekt sam w sobie był dosyć nieciekawym, w każdym razie z naukowego punktu widzenia. Warunki pracy - krótki termin, rygorystyczne środki bezpieczeństwa, praktycznie całkowite odcięcie od rodziny i przyjaciół przez długie samotne miesiące - jeszcze gorsze. Tego dnia jednak, gdy spoglądał w idealnie błękitne niebo i wciągał w płuca suche, zapyłone powietrze owego zapomnianego przez Boga zakątka planety, wydawało mu się, że warto było.

Nie planowano sprzedaży produktu na wolnym rynku, to było jasne od samego początku. Żaden Microsoft czy Google nie miał zapłacić fury dolców za tę technologię. Nad projektem, jak mu powiedziano, pracowali na potrzeby armii. Mimo to każdemu członkowi zespołu obiecano sowitą, uzależnioną od sukcesu premię. W jego wypadku powinna wystarczyć, by zabezpieczyć pod względem finansowym przyszłość jemu, jego rodzicom oraz potencjalnej przyszłej, niezbyt rozrzutnej, jak miał nadzieję, żonie, która będzie mogła kiedyś mieć tyle dzieci, ile tylko on sobie zamarzy - rzecz jasna pod warunkiem, że wreszcie się wokół tego zakręci. Co zresztą miał zamiar zrobić, oczywiście za kilka lat, kiedy już zdąży się wyszaleć i wykorzystać możliwości, jakie daje mu jego praca. W każdym razie w tym momencie nie uważał tego za palącą sprawę. W końcu miał dopiero dwadzieścia dziewięć lat.

Tak, cicha i spokojna przyszłość, jaka go czekała, była czymś krańcowo odmiennym od surowych dni dzieciństwa, które spędził w Worcesterze w stanie Massachusetts. Gdy tak

szedł przez spieczoną pustynną ziemię, zbliżając się do namiotu kierownika projektu i mijając inny, służący za mesę, oraz lądowisko, na którym właśnie załadowywano czekający na ich odjazd helikopter, myślał o swojej karierze - od pracy w laboratorium po uczestnictwo w różnego rodzaju testach w warunkach bojowych, czego kulminacją był ten właśnie projekt, prowadzony na tym zapomnianym pustkowiu.

Danny żałował, że nie mógł się podzielić wrażeniami z pracy z kimkolwiek niebiorącym udziału w przedsięwzięciu. Przede wszystkim chciałby o nim porozmawiać z rodzicami. Wyobrażał sobie, jak byliby zdumieni, dumni. Ich syn spełnił nadzieje, jakie w nim pokładali, wysokie oczekiwania, które zostały mu narzucone od dnia - no cóż - narodzin. Jego myśli powędrowały do starszego brata, Matta. Ten to dopiero by się podniecił. Prawdopodobnie próbowałby przekonać Danny ego, by sfinansował któryś z jego podejrzanych, idiotycznych, balansujących na granicy prawa pomysłów, ale w sumie co tam - pieniędzy by wystarczyło. Jeszcze przed kilkoma zarozumiałymi dupkami z branży z rozkoszą pochełpiłby się tym wszystkim, gdyby tylko miał taką możliwość. Zdawał sobie jednak sprawę, że rozmowy z kimkolwiek spoza zespołu są surowo - surowo - zabronione. To również zostało jasno wyłuszczone już na samym początku. Projekt był tajny. Stawką było narodowe bezpieczeństwo. Padło nawet słowo: „zdrada”. Trzymał zatem buzię na kłódkę, co zresztą nie wymagało od niego specjalnego wysiłku. Zdążył się przyzwyczaić. W jego wysoce konkurencyjnej branży konspiracja była chlebem powszednim. Gra często toczyła się o setki milionów dolarów. A wybór między ośmiocyfrową sumą na koncie bankowym a obskurną celą w więzieniu federalnym o zaostrożonym rygorze był dosyć oczywisty.

Miał już zapukać do drzwi namiotu - dużego, pólshywnego i klimatyzowanego, wyposażonego w solidne drzwi i szklane okna - gdy nagle coś kazało mu cofnąć dłoń.

Podniesione głosy. Nie tyle podniesione, co gniewne.

Właściwie wściekłe.

Podszedł bliżej.

- Powinieneś był mi powiedzieć! To mój projekt, do jasnej cholery! - zawołał męski głos. - Powinieneś był mi powiedzieć na samym początku!

Danny znał go doskonale: należał do Dominica Reece'a, jego mentora i szefa naukowego projektu, jego PI, principal investigator. Reece, profesor inżynierii i nauk informatycznych w Massachusetts Institute of Technology, w oczach Danny ego był niemal świętym. To on był wykładowcą na jego kilku pierwszych kursach i to on śledził jego postępy jako doktoranta, a potem, wiele miesięcy temu, zaprosił do zespołu pracującego nad aktualnym projektem. Była to ogromna szansa - oraz wyróżnienie - i Danny nie mógł jej

stracić. I chociaż zdawał sobie sprawę, że profesor ma w zwyczaju wyrażać opinie w sposób znacznie bardziej zaciekły i hałaśliwy niż większość znanych mu osób, w głosie naukowca wyczuł coś nowego. Poczucie krzywdy, oburzenie, jakiego Danny jeszcze nigdy u niego nie słyszał.

- Jak byś wtedy zareagował? - Drugi głos, którego Danny nie rozpoznawał, był równie wzburzony.

- Tak samo - odparł dobitnie Reece.

- Daj spokój i zastanów się nad tym przez sekundę. Pomyśl, czego możemy razem dokonać. Co możemy osiągnąć.

Profesor ciągle był wściekły.

- Nie mogę ci na to pozwolić. Nie mogę brać w tym udziału.

- Dom, proszę...

- Nie.

- Pomyśl, czego możemy...

- Nie - przerwał mu Reece. - Zapomnij o tym. Nie ma mowy.

W jego słowach można było wyczuć jednoznaczną stanowczość.

Za drzwiami na kilka sekund zaległa grobowa cisza, a potem Danny usłyszał głos drugiego mężczyzny:

- Miałem nadzieję, że zareagujesz inaczej.

- Co to, do diabła, miało znaczyć? - odparował Reece.

Jego pytanie pozostało bez odpowiedzi.

Po chwili zabrzmiał znowu głos profesora, nagle zaprawiony niepokojem.

- A co z pozostałymi? Nie powiedziałaś im jeszcze?

Było to raczej stwierdzenie niż pytanie.

- Nie.

- A kiedy miałeś zamiar zapoznać ich z poprawioną wersją swojej misji korporacyjnej?

- Nie byłem pewien. Najpierw musiałem poznać twoją odpowiedź. Miałem nadzieję, że pomożesz mi ich przekonać. Przekonać do uczestnictwa w tym.

- Cóż, moja odpowiedź brzmi: nie! - warknął wściekle Reece. - Właściwie to powinienem ich wszystkich jak najszybciej stąd zabrać.

- Nie mogę ci na to pozwolić, Dom.

Wydawało się, że profesor, słysząc te słowa, zamarł.

- Co masz na myśli? Jak to, nie możesz? - rzucił wyzywającym tonem.

Odpowiedziała mu wymowna cisza. Danny niemal widział, jak Reece powoli zdaje sobie sprawę, co to oznacza.

- Co chcesz przez to powiedzieć? Chyba nie masz zamiaru... - Profesor zamilkł na chwilę, a kiedy znowu się odezwał, w jego głosie zabrzmiała nagle panika wywołana świadomością tego, z czego właśnie zdał sobie sprawę. - O Jezu. Czyś ty zupełnie postradał rozum?

Oburzenie, jakim emanowały słowa naukowca, sprawiło, że Danny poczuł na plecach ciarki.

Usłyszał głos Reecea: „Ty sukinsynu!”, zbliżający się w jego kierunku, w stronę drzwi, a potem dudniące odgłosy kroków, głos drugiego mężczyzny wołającego do Reecea: „Dom, nie!”, oraz jeszcze jednego, ostrzegający: „Nie rób tego, Reece!”. Danny znał ten głos; był to szorstki głos człowieka, który przerażał młodego naukowca od chwili, gdy go usłyszał po raz pierwszy. Należał do Maddoxa, ogolonego na zero szefa ochrony projektu, mężczyzny o kamiennej twarzy i bez jednego ucha, po którym została mu tylko blizna oparzeniowa w kształcie gwiazdy, nazywanego przez jego równie odrażających kamratów ksywką: „Pocisk”. Danny usłyszał, jak Reece ciska: „Idź do diabła!”, a potem otworzyły się drzwi i profesor stanął w nich, ze zdumieniem wpatrując się w swego protegowanego. Dannyego dobiegło charakterystyczne metaliczne podwójne kliknięcie, dźwięk, który słyszał na niezliczonych filmach, ale nigdy w prawdziwym życiu - przerażająco znajomy odgłos przeładowywanej broni. I wtedy drugi mężczyzna, ten, który przez cały czas kłócił się z Reeceem i którego Danny nagle rozpoznał, odwrócił się do Pociska i krzyknął: „Nie!”, a dokładnie w tej samej chwili za plecami profesora rozbrzmiało najpierw jedno stłumione piskliwe kasznięcie, a potem drugie, i naukowiec rzucił się do przodu z twarzą wykrzywioną bólem. Ugięły się pod nim nogi i padł prosto w ramiona Dannyego.

Ten zachwiał się. Wszystko działo się tak szybko, że poczuł się zupełnie obezwładniony. Spróbował osłabić upadek Reecea, nie pozwolić, by wylądował na ziemi, podtrzymać go, ale nagle poczuł na dłoniach coś ciepłego i lepkiego - gęsty ciemny płyn wytryskujący z ciała naukowca, przesiąkający jemu samemu przez ubranie i osiadający na rękach.

Nie mógł utrzymać biedaka. Reece upadł ciężko na ziemię, odsłaniając wnętrze namiotu, w którym stał przerażony i zszokowany drugi mężczyzna, tuż obok Pociska trzymającego w ręku pistolet. Lufa broni była wycelowana prosto w Dannyego.

Naukowiec dał nura w bok, unikając kul, które świsnęły w powietrzu dokładnie w miejscu, gdzie chwilę wcześniej stał, po czym puścił się biegiem przed siebie ile sił w nogach, oddalając się od namiotu i leżącego na ziemi profesora.

Dopiero po kilku metrach odważył się spojrzeć przez ramię i zobaczył Maddoxa wyskakującego z namiotu z nadajnikiem radiowym w jednej dłoni i pistoletem w drugiej. Pocisk wbił w naukowca przypominający laser wzrok i rzucił się za nim biegiem. Danny poczuł, że serce podchodzi mu do gardła; ruszył pędem przez prowizoryczny obóz, na który składało się kilka mniejszych namiotów przeznaczonych dla pozostałych badaczy, podobnie jak on zwerbowanych do uczestnictwa w projekcie. Niemalże staranował dwóch z nich - najświetniejsze umysły najlepszych uniwersytetów w kraju - którzy wyłonili się z jednego z namiotów, gdy przebiegał obok.

- Zabili Reece! - krzyknął, zatrzymując się na chwilę i rozpaczliwie machając w stronę głównego namiotu. - Zabili go!

Spojrzał za siebie i stwierdziwszy, że Maddox nieubłaganie się zbliża, pędząc tak, jakby u stóp wyrosły mu skrzydła, ruszył znowu przed siebie, rzucając jedynie okiem na kolegów, którzy z zaskoczonymi minami odwracali się do biegnącego mężczyzny. Nagle z ich piersi wytrysnęły szkarłatne wstęgi - to Maddox, nawet nie zwolniwszy, oddał w ich kierunku kilka strzałów z pistoletu.

Danny rzucił się w bok, chowając za namiotem mesy; dyszał ciężko, bolały go mięśnie nóg i rozpaczliwie analizował w myślach różne możliwości ucieczki, gdy nagle zauważał za swoimi plecami dwa stare dżipy, będące na wyposażeniu obozu, zaparkowane pod prowizoryczną szopą. Błyskawicznie otworzył drzwi pierwszego z nich, przekręcił kluczyk, wrzucił bieg i wcisnął gaz do dechy. Wystrzelił w chmurze piachu i kurzu spod namiotu dokładnie w momencie, gdy Maddox zdołał go okrążyć.

Dżip pędził kamienistą doliną, a naukowiec nie odrywał wzroku od wstecznego lusterka. Z całej siły zaciskał poblądłe palce na kierownicy. Jego umysł kulił się pod naporem atakujących go ze wszystkich stron skołatanych myśli, serce waliło, jak gdyby chciało wyskoczyć z piersi, a on sam był w stanie skupić się jedynie na tym, by utrzymywać odpowiedni kierunek jazdy, by samochód mknął przed siebie przez pustynny krajobraz, oddalając się od obozu, a także od szalonego, porąbanego maniaka, który zabił jego mentora oraz kolegów. Przez cały czas nie dopuszczał do siebie przerażającej myśli, że znalazł się w położeniu bez wyjścia, że nie ma nawet gdzie uciec. Znajdował się na pustkowiu, a w promieniu kilkuset kilometrów nie było żadnych wiosek czy domostw.

Właśnie dlatego rozbili tutaj obóz.

Strach nie gnębił jednak zbyt długo Dannyego, bo nagle przez jego pomieszane myśli przebił się głośny charczący odgłos. Spojrzał za siebie i zauważył helikopter - ten sam, który pozostawał na wyposażeniu obozu - pędzący wprost na niego, bez najmniejszego wysiłku zmniejszający dzielący ich dystans. Wcisnął ostro gaz do dechy. Dżip podskakiwał na kamieniach i wybojach żłobiących busz, a Danny przy każdej większej dziurze uderzał głową o spód płóciennego dachu samochodu. Usiłował lawirować między głazami oraz kępkami wysuszonych drzew kołczanowych, urozmaicających od czasu do czasu księżycowy krajobraz.

Helikopter wisiał już na ogonie samochodu i hałas jego silnika był wprost ogłuszający. Obracający się wirnik wywoływał wokół dżipa prawdziwą burzę piaskową. Danny wytężył wzrok, starając się przebić nim przez istne tornado pyłu, co zresztą było bezcelowe, ponieważ z przodu nie rozpościerała się żadna droga. Nagle śmigłowiec opadł ciężko na dach wozu, miażdżąc przytrzymujące go cienkie podpórki i niemal urywając naukowcowi głowę.

Danny skręcił gwałtownie w lewo, klucząc samochodem, by uniknąć pazurów latającego drapieżnika. Twarz zalewał mu pot, a dżip kołysał się dziko na boki, podskakując na skałach i krzewach kaktusów. Śmigłowiec, który znajdował się zaledwie kilkadziesiąt centymetrów od wozu, bombardował go wściekle kolejnymi ciosami, ciskając nim na boki niczym krążkiem hokejowym. Dannyemu nawet nie przyszło do głowy, żeby się zatrzymać: napędzała go wyłącznie adrenalina, instykt samozachowawczy ścisnął go niczym kleszczami, a irracjonalna nadzieja na ucieczkę kazała pędzić naprzód. I właśnie w tym momencie, ciągle pogrążony w szaleńczym wirze paniki i strachu, stwierdził, że coś się zmienia, coś jest inaczej: poczuł, że helikopter unosi się nieznacznie, wywołując u niego samego cień nadziei, że może, po prostu może, że może wyjdzie żywy z tego koszmaru. Wirująca wokół dżipa chmura piachu zerwała się w górę...

...i wtedy zobaczył przed sobą kanion, ze śmiertelną nieuchronnością przecinający krajobraz: szeroki wapienny rów wijący się przez pustynię niczym na pejzażu rodem z Dzikiego Zachodu, podobny do tych, jakie Danny oglądał na niezliczonych westernach. Nigdy nie widział takiego wąwozu na własne oczy, ale miał nadzieję kiedyś to nadrobić. I nagle zdał sobie sprawę, że już nigdy go nie zobaczy, gdyż dżip przetoczył się nagle nad krawędzią przepaści i poszybował przez suche pustynne powietrze.

Wadi anNatrun, Egipt

Siedząc ze skrzyżowanymi nogami na swoim tradycyjnym miejscu wysoko w górach, poniżej którego rozciągała się jałowa dolina i niekończąca się pustynia, stary ksiądz czuł narastający niepokój. W czasie ostatnich wizyt w tym odludnym zakątku wyczuwał, że słowa,

które rozbrzmiewają w jego głowie, dźwięczą w niej w o wiele bardziej złowrogi sposób. A tego dnia było w nich coś wyraźnie złowróbnego.

I wtedy je usłyszał. Pytanie, które sprawiło, że nagle ciarki przebiegły mu po plecach.

- Jesteś gotów służyć?

Zatrzepotał powiekami i otworzył je, mrużąc oczy przed łagodnym ciągle o świetle blaskiem słońca. Rozejrzał się instynktownie, tak jak to robił wiele razy przedtem, ale okazało się to bezcelowe, podobnie jak wiele razy wcześniej. Był sam. Wokół nie było nikogo. Żywej duszy - czy to człowieka, czy zwierzęcia. Nic, jeśli go wzrok nie mylił.

Choć ranek był chłodny, na jego tysej czaszce pojawiły się kropelki potu. Przełknął ślinę i ponownie się skoncentrował.

I wtedy znowu go usłyszał. t

Głos, szept, dochodzący z wnętrza jego własnej głowy.

- Wkrótce nadejdzie czas, byś odpowiedział na wezwanie Pana. Jesteś gotów Mu służyć?

Ojciec Jerome otworzył z wahaniem usta i drżącym głosem wyjąkał:

- Tak, oczywiście. Kiedy tylko każesz. Jestem Twym sługą.

Początkowo nie doczekał się odpowiedzi. Poczul, że pojedyncza kropla potu spływa mu po szorstkiej skórze na czoło, a potem podąża za nią kolejna, zatrzymując się na łuku brwiowym, by w końcu skapnąć na policzek. Niemal słyszał, jak sączą się, powolnym zygzakowatym ruchem opadając po jego napiętej ogorzałej twarzy.

I wtedy głos we wnętrzu jego głowy powrócił.

- Czy jesteś gotów poprowadzić swój lud ku zbawieniu? Czy jesteś gotów dla niego walczyć? Wytknąć błędy w jego postępkach, nawet jeśli nie będzie chciał słuchać?

- Tak! - zawołał ojciec Jerome. Jego głos w równym stopniu przesycony był żarem, co strachem. - Tak, oczywiście! Ale jak? Kiedy?

W górach zapadła ogłuszająca cisza, a potem głos wrócił i rzekł po prostu:

- Wkrótce.

ROZDZIAŁ 1

Morze Amundsena, Antarktyda - czasy współczesne

Zakłócenia, trzeszczące w maleńkiej antyszumowej słuchawce, zniknęły, a zamiast nich zabrzmiał w niej władczy, choć jednocześnie kojący głos prezentera.

- Grace, opowiesz nam, co się dzieje?

W tym właśnie momencie za plecami dziennikarki pękła i załamała się kolejna ściana lodu, czemu towarzyszył łoskot przypominający odległy grzmot. Grace Logan - dla przyjaciół Gracie - odwróciła się od kamery i patrzyła, jak cały klif upada do szaroniebieskiego morza i znika po chwili, wzbudzając wściekłą fontannę wody.

„Idealna synchronizacja” - pomyślała z satysfakcją, uciekając na chwilę od powagi, z jaką musiała się nosić, odkąd dzień wcześniej jej statek dotarł na miejsce.

W normalnych okolicznościach mógłby to być przyjemny, słoneczny dzień pod koniec grudnia - na południowej półkuli grudzień to środek lata.

Tego dnia było jednak inaczej.

Tego dnia natura oszalała.

Wyglądało to tak, jakby rozpadała się sama tkanka planety. Co zresztą nie tak bardzo odbiegało od prawdy. Kawał lądu, który oderwał się od reszty kontynentu, był wielkości Teksasu.

Niezbyt trafiony gwiazdkowy prezent dla Ziemi.

Rozpad lodowca szelfowego trwał już trzeci dzień, a przecież dopiero się zaczął. Katakлизм wywołał w powietrzu upiorną mgiełkę, która rozrzedzała promienie letniego słońca, i Gracie, pomimo adrenaliny krążącej w jej żyłach, zrobiło się zimno. Zauważyła, że reszta ekipy - Dalton Kwan, młody radosny hawajski operator, z którym pracowała regularnie od trzech lat, i Howard „Finch” Fincher, ich doświadczony, drobiazgowy do przesady i irytująco opanowany producent weteran - również nie czuje się najlepiej, ale materiał, który emitowali, był tego wart, zwłaszcza że, jeśli się dobrze orientowała, byli jedyną ekipą telewizyjną w okolicy.

Już od ponad godziny stała na umieszczonym od sterburty pokładzie obserwacyjnym RRS „James Clark Ross” i choć miała na sobie bieliznę termiczną oraz rękawiczki, marzły jej palce u dłoni i stóp. Królewski Okręt Badawczy, zwaliste, stumetrowej długości pływające laboratorium oceanograficzne i geofizyczne na wyposażeniu BAS - Brytyjskiego Obserwatorium Antarktycznego - zakotwiczył niecały kilometr od wybrzeża Antarktydy Zachodniej, a jego charakterystyczny, ciemnoczerwony kadłub był jedyną plamą koloru urozmaicającą ponurą poza tym paletę bieli, szarości i burego błękitu. Gracie, Dalton i Finch przebywali na kontynencie od kilku tygodni, kręcąc na Wyspach Terra Firma dokument poświęcony problemowi globalnego ocieplenia. Mieli już się spakować i wracać do domu na święta, do których zostało zaledwie kilka dni, gdy nagle odebrali z redakcji w Waszyngtonie telefon z informacją, że właśnie rozpoczął się rozpad szelfu. Wieść nie zdążyła się jeszcze

rozejść po świecie: ich człowiek w NSIDC - Narodowym Centrum Informacji na temat Śniegu i Lodu, którego naukowcy wykorzystywali dane satelitarne, by śledzić zmiany w rozpiętości i grubości polarnych czap lodowych - dał im cynk bardzo dyskretnie. Konkurencja ciągle drzemała, a „James Clark Ross” znajdował się o dzień drogi od miejsca kataklizmu i w dodatku zmierzał we właściwym kierunku, dzięki czemu przed Gracie i jej ekipą pojawiła się możliwość nakręcenia zupełnie sensacyjnego materiału, i to na wyłączność. Naukowcy z BAS życzliwie zgodzili się zabrać ich na pokład i umożliwić rejestrację zjawiska - załatwili im nawet w Królewskiej Marynarce Wojennej helikopter, którym przylecieli z wyspy.

Na pokładzie było również kilku naukowców instytutu, którzy obserwowali rozpad lodowych ścian. Niektórzy z nich filmowali fenomen ręcznymi kamerami wideo. Obok kręciła się też większość członków załogi, wpatrując się w lodowiec w pełnej zdumienia i poczucia rezygnacji ciszy.

Gracie odwróciła się do kamery i przysunęła sobie mikrofon. Lico klifu rozpadało się z hukiem w nieregularnych odstępach, w czasie których powietrze rozbrzmiewało odległymi stłumionymi podźwiękami, towarzyszącymi mozolnemu przesuwaniu się lodu w głąb ładu.

- Rozpad wywołało prawdopodobnie wiele różnych czynników, Jack, ale głównym podejrzanym w naszym bardzo skomplikowanym śledztwie są po prostu stare dobre wody roztopowe.

Usłyszała ponownie zakłócenia, gdy sygnał odbijał się od kilku satelitów i pokonywał piętnaście tysięcy kilometrów dzielące ją od newsroomu redakcji ekologicznej w Waszyngtonie i z powrotem, a po chwili dobiegł ją głos Roxberryego, tym razem nieco zmieszany.

- Wody roztopowe?

- Właśnie tak, Jack - potwierdziła. - Kałuże zbierające się na powierzchni lodu podczas jego topnienia. Ponieważ woda roztopowa jest cięższa niż lód, na którym się unosi, w wyniku działania zwykłego prawa grawitacji znajduje doświadczenie do różnego rodzaju rys lub pęknięć, a przeniknąwszy przez nie w większych ilościach, zaczyna działać jak klin, zamieniając pęknięcia w szczeliny, a potem w wąwozy, i jeżeli jest jej wystarczająco dużo, lodowiec szelfowy w końcu po prostu się odłamuje.

Mechanizm całego zjawiska nie należy do skomplikowanych. Najwyższy, najchłodniejszy i najbardziej wietrzny kontynent na planecie, obszar półtora raza większy od Stanów Zjednoczonych, jest prawie w całości pokryty lodową kopułą, której grubość w okolicy rdzenia przekracza trzy kilometry. Po intensywnych zimowych opadach śnieg w wyniku działania grawitacji rozprzestrzenia się w kierunku oceanu, opadając na wybrzeże na

kształt lodowatej lawy. A kiedy kra lodowa oddala się od lądu, śnieg sunie dalej i przekracza linię brzegową, ale nie tonie: unosi się, wystaje nad powierzchnią oceanu, przyjmując postać tak zwanego lodowca szelfowego. W miejscu, w którym zaczyna dryfować, może mieć półtora kilometra grubości i zwęzać się przy krawędzi wody do równie zdumiewającej czterystumetrowej bryły, która zamienia się w klify, wystające powyżej poziomu morza na kilkaset nawet metrów.

W ciągu ostatnich dziesięciu lat kilkakrotnie obserwowano zjawisko rozpadu dużych fragmentów lodowca, ale nigdy aż tak ogromnych. Poza tym rzadko udaje się je uchwycić kamerą. Zwykle wykrywa się je grubo po fakcie, po drobiazgowej analizie porównawczej zdjęć satelitarnych. I chociaż Gracie była świadkiem jedynie lokalnego odprysku całościowej zmiany - upadku strzelistych lodowych klifów przy krawędzi szelfu od strony morza - widok i tak był zdumiewający oraz głęboko niepokojący. Jako dziennikarka z dwudziestoletnim stażem w wiadomościach, do których trafiła zaraz po ukończeniu politologii na Cornell, oglądała na własne oczy wiele różnych tragicznych wydarzeń, to jednak zajmowało w jej prywatnym rankingu wysoką pozycję jako jedne z najbardziej przerażających.

Na jej oczach rozpadała się planeta - i to dosłownie.

- Należałoby w takim razie zadać istotne pytanie - powiedział Roxberry - a mianowicie: dlaczego to się dzieje teraz? Z tego co zrozumiałem, lodowiec szelfowy znajduje się tam od końca ostatniej epoki lodowcowej, czyli od jakichś dwunastu tysięcy lat.

- To nasza wina, Jack. To przez gazy cieplarniane, które emitujemy. Wspomniane zjawisko obserwujemy na obu biegunach, tutaj oraz w Arktyce, na Grenlandii. I nie jest ono częścią naturalnego cyklu. Prawie wszyscy eksperci, z którymi rozmawiałam, są przekonani, iż topnienie przyspiesza, i twierdzili, że zbliżamy się do punktu przełomowego, za którym nie będzie już odwrotu. A wszystko to z powodu wywołanego przez człowieka globalnego ocieplenia.

Kolejny lodowy blok oderwał się i upadł do morza.

- Problem, z tego co rozumiem, polega na tym, że rozpad i topnienie lodowca szelfowego spowodują podniesienie poziomu mórz? - zapytał Roxberry.

- Nie bezpośrednio. Ponieważ większość lodowca szelfowego i tak unosi się już w wodzie, nie ma on wpływu na samo podniesienie poziomu mórz. Wyobraź sobie kostkę lodu pływającą w szklance wody. Kiedy się stopi, nie podniesie w niej poziomu wody.

- Naprawdę?

- Chyba nie tylko ja zapomniałam, o czym uczono nas na fizyce w szóstej klasie - uśmiechnęła się Gracie.

- Ale wspomniałaś, że nasze zjawisko ma niebezpośredni wpływ na globalny poziom mórz.

Głos Roxberry ego wprost emanował erudycją, tak jakby dziennikarz dawał jedynie uprzejmie szansę koleżance, by popisała się swą wiedzą.

- Cóż, jeśli chodzi o topnienie lodu, ze wszystkich terenów na świecie naukowców najbardziej niepokoi właśnie obszar, na którym się znajduję, lądolód Antarktydy Zachodniej. Konkretnie chodzi im o ogromne lodowce na lądzie, za lodowcem szelfowym. One nie unoszą się w wodzie.

- Jeżeli się zatem stopią - podchwycił Roxberry - poziom mórz się podniesie.

- Właśnie tak. Aż do niedawna lodowce szelfowe takie jak ten przytrzymywały swoich lądowych kuzynów niczym korek zatykający butelkę. Kiedy się rozpadną, korek zniknie i nic nie powstrzyma lodowców od ześlizgnięcia się do oceanu - a jeśli tak się stanie, poziom mórz wzrośnie. W dodatku topnienie okazało się szybsze, niż przewidywały prognozy. Nawet dane z zeszłego roku uważa się obecnie za zbyt optymistyczne. Gdy mowa o zmianach klimatycznych i związanych z nimi katastrofalnych scenariuszach, Antarktydę należy uznać za uspioną bestię. No cóż, bestia właśnie się obudziła. I z tego co widzę, nie jest w najlepszym humorze.

- Z całej siły próbuję się powstrzymać - dowcipnie wtrącił Roxberry - od nazwania tego wierzchołkiem góry lodowej...

- Mądry wybór, Jack - przerwała mu Gracie. Mogła sobie wyobrazić, jak opaloną twarz jej rozmówcy rozjaśnia uśmiezek samozadowolenia, i sama uśmiechnęła się w duchu na tę myśl. - Pozdrowienia od wdzięcznych widzów.

- Przecież o tym właśnie mówimy, prawda?

- Jak najbardziej. Kiedy lodowce ześlizgną się do morza, będzie za późno, żeby coś z tym zrobić, i...

Nagle coś przyciągnęło jej uwagę i przerwała w pół słowa. Usłyszała zgiełk, piski oraz pełne przerażenia okrzyki i zobaczyła wyciągnięte w górę ręce, wskazujące w stronę lodowca szelfowego. Słowa uwięzły jej w gardle. Patrzyła, jak Dalton podnosi głowę znad wizjera kamery i spogląda gdzieś w dal. Odwróciła się szybko. I wtedy to zobaczyła.

Na niebie. Kilkaset metrów ponad rozpadającym się lodowcem.

Jaskrawa migocząca kula światła.

Zabłysnęła nagle i się nie poruszała.

Gracie skupiła na niej wzrok i podeszła do barierki. Nie miała pojęcia, co to takiego, cokolwiek to jednak było, nie mogła od tego oderwać oczu.

Obiekt? Nie, nie była nawet pewna, czy to obiekt. Miał kulisty kształt, ale właściwie nie wydawał się... „materialny”. Emanowała z niego jakaś eteryczna łuna i Gracie pomyślała, że to powietrze zaczęło się jarzyć. W dodatku światło nie było wszędzie tak samo jaskrawe. W środku kuli sprawiało wrażenie bardziej subtelny, zróżnicowany, intensywny, i dopiero stopniowo rozrzedzało się na zewnątrz, tak jakby człowiek spoglądał na nie w dużym zbliżeniu. Kula miała w sobie coś niestabilnego, nietrwałego. Jak topniejący lód czy raczej woda zawieszona w powietrzu i podświetlona, jeśli coś takiego w ogóle jest możliwe. Gracie nie wiedziała, czy jest.

Spojrzała przelotnie na Daltona, który właśnie przestawiał kamerę, żeby sfilmować zjawisko.

- Kręcisz to? - zapytała.

- Jasne, ale... - odparł, spoglądając na nią z malującym się na twarzy wyrazem czystej konsternacji - co to, do jasnej cholery, właściwie jest?

ROZDZIAŁ 2

Gracie nie mogła oderwać oczu od zjawiska. Było tam, przed nią, zawieszone w powietrzu na tle bladego nieba nad krawędzią lodowca szelfowego. Hipnotyzujące, jakby pozaziemskie, surrealistyczne.

- Co to jest? - zapytał Finch.

Uniósł dłonie do okularów i zaczął nimi lekko manewrować, tak jakby miało mu to pomóc wszystko wyjaśnić.

- Nie wiem.

Starła się zrozumieć istotę tego, na co patrzyła, czując jednocześnie, że w żyłach zaczyna jej krążyć adrenalina. Szybko, niemal instynktownie, odhaczała kolejne możliwości, czym to coś mogło być, ale żadna z nich nie pasowała do fenomenu.

Nie przypominał niczego, o czym Gracie miałyby choć mgliste pojęcie.

Spojrzała na grupkę naukowców tłoczących się przy barierkach. Rozmawiali i gestykulowali zawzięcie, również próbując przyporządkować do czegoś zjawisko.

- Gracie? Co to jest, to za tobą? - zagrzemiał głos w słuchawce.

Na chwilę zapomniała, że program idzie na żywo.

- Ty też to widzisz?

Minęło kilka sekund, w czasie których jej pytanie i jego odpowiedź odbijały się od jednego czy paru satelitów, po czym usłyszała znowu Roxberryego.

- Jest trochę niewyraźne, ale tak, coś widzimy. Co to jest? Opanowała się i spojrzała prosto w kamerę, starając się powstrzymać drzenie w głosie.

- Nie mam pojęcia, Jack. Pojawiło się nagle. To chyba jakaś korona słoneczna, może halo... Zaczekaj.

Rozejrzała się, spoglądając w niebo, sprawdzając, czy nie widać tam czegoś jeszcze, odnotowując pozycję zasłoniętego słońca i podświadomie analizując zmiany w otoczeniu. Nie zmieniło się jednak nic. Nie było tam niczego poza ich statkiem i tym... „Co to jest?”

Nie potrafiła nawet tego nazwać. Połyskiwało silnie, było półprzezroczyste, a konsystencją przypominało olbrzymią meduzę unoszącą się w powietrzu i wydawało się, że się obraca, bardzo powoli, co pozwalało ocenić jego ogrom.

Pomyślała, że to dziwne, ale zjawisko sprawiało wrażenie...żywego.

Wbiła wzrok w kulę, starając się zwalczyć tłoczące się jej w głowie splątane, dziwaczne myśli, i skupiła się na tym, by oszacować jej rozmiar. Najpierw stwierdziła, że jest tak wielka jak porządny balon na gorące powietrze, potem jednak skorygowała swoje szacunki w górę. Większa. Może jak ognista kula w czasie pokazu fajerwerków. Wydawała się ogromna. Trudno było ocenić jej wymiary, nie mając żadnego punktu odniesienia, czegoś, co mogłoby posłużyć za skalę. Gracie spróbowała porównać obiekt do klifu poniżej, o którym wiedziała, że ma jakieś pięćdziesiąt metrów. Był chyba podobnej wielkości, czyli miał średnicę pięćdziesięciu metrów, może więcej.

Dalton spojrzał na nią zza kamery i zapytał:

- Myślisz, że to jakaś dziwaczna zorza polarna?

Jej również przyszło to do głowy - zastanawiała się, czy to nie złudzenie optyczne, iluzja wywołana odbiciem światła w lodzie. Na Antarktydzie w czasie astronomicznego lata słońce nigdy nie zachodzi. Krąży tylko nad horyzontem, nieco wyżej w ciągu „dnia” i niżej - jak gdzie indziej tuż przed zmierzchem - „nocą”. Człowiek musi się przyzwyczaić do owego zwodniczego zjawiska, ale Gracie w głębi duszy była przekonana, że nie tłumaczy ono tego, na co patrzyła. Kula wydawała się zbyt rzeczywista.

- Może - odparła, na wpół do siebie, zagubiona w myślach. - Ale to chyba nieodpowiednia pora roku... I jestem prawie pewna, że zorze pojawiają się dopiero, gdy jest ciemno.

- Gracie? - odezwał się znowu Roxberry, który ciągle czekał na odpowiedź. Przypominał jej, że ciągle jest na wizji.

Że patrzy na nią cały świat.

Boże wszechmogący!

Spróbowała się rozluźnić i uśmiechnąć miło do kamery, zignorować dzwonek, który przez cały czas bił w jej głowie na alarm.

- To po prostu... To jest niesamowite, Jack. Nigdy jeszcze czegoś takiego nie widziałam. Może ktoś na pokładzie wie, co to jest, w końcu mamy tutaj kilku ekspertów.

Dalton podniósł trójnog i ciągle filmując zjawisko, ruszył za Gracie, która podeszła do naukowców oraz członków załogi.

Wszyscy zawzięcie dyskutowali podniesionymi głosami, ale coś w ich mowie ciała zaniepokoiło Gracie. Gdyby byli świadkami rzadkiego, ale naturalnego fenomenu, zachowywaliby się inaczej. Tymczasem odnosiła wrażenie, że jakoś nie czują się komfortowo z tym, na co patrzą. Co więcej, wyglądali na... zszokowanych.

„Nie mają pojęcia, co to takiego”.

Jeden z nich, który przyglądał się obiektowi przez lornetkę, odwrócił się i podchwycił wzrok Gracie. Był to Jeb Simmons, starszy już mężczyzna, paleoklimatolog, którego poznała w dniu przylotu na statek. Na jego twarzy wyczytała tę samą konsternację, ten sam niepokój, który pewnie emanował z niej samej. To tylko potwierdziło jej przeczucia.

Miała już się odezwać, gdy nagle przez pokład przetoczyła się kolejna fala stłumionych okrzyków. Odwróciła się w odpowiedniej chwili, żeby zobaczyć, jak migoczący kształt nagle zaczyna pulsować, rozjaśniać się, zamieniając się na ułamek sekundy w oślepiający błysk, po czym wraca do wcześniejszego stanu mieniającej się luny.

Gracie spojrzała na Simmonsa, k w jej słuchawce zabrzmiał znowu podekscytowany głos Roxberry ego.

- Czy to coś właśnie wybuchło?

Wiedziała, że obraz na jego ekranie może być nieco ziarnisty, może nawet trochę niestabilny. Przy bezpośrednim przekazie do studia zawsze trzeba się liczyć z obniżeniem jakości i efekt nigdy nie jest tak doskonały, jak w wypadku materiału zarejestrowanego na oryginalnych kamerach Daltona o wysokiej rozdzielczości.

- Jack, nie wiem, czy masz czysty obraz, ale zapewniam cię, że tutaj, na miejscu, nie przypomina to niczego, co w życiu widziałam.

Starła się ze wszystkich sił zachować spokój, ale serce waliło jej już jak młotem. I nie było to przyjemne uczucie.

Nagle przypomniała sobie o czymś i odwróciła się do Fincha oraz Daltona.

- Jak szybko możecie wystartować ptaszka? Finch skinął głową i odwrócił się do Daltona.

- Zróbmy to.

- Wysyłamy powietrzną kamerę, żeby przyjrzeć się bliżej zjawisku
- powiedziała Gracie do mikrofonu, po czym wyłączyła go i, ciągle osłupiała, odwróciła się do Simmons. - Powiedz mi, że wiesz, co to jest - rzekła z pełnym napięcia uśmiechem na ustach.

Simmons pokręcił głową.

- Przykro mi. Nigdy jeszcze czegoś takiego nie widziałem.

- Ale byłeś już kiedyś tutaj, zgadza się?

- Oczywiście. Spędzam na Antarktydzie czwartą zimę.

- I jesteś wybitnym paleoklimatologiem, prawda?

- Pochlebiasz mi - odparł z uśmiechem - ale owszem, można tak powiedzieć.

- A mimo to... Pokręcił ponownie głową.

- Jestem zupełnie zbity z tropu.

Gracie zmarszczyła brwi, czując w głowie natłok najróżniejszych myśli, i wskazała na jego lornetkę.

- Mogę?

- Jasne.

Wręczył jej przyrząd.

Spojrzała. Lornetka niewiele jej jednak pomogła. Migotanie stało się tylko może trochę wyraźniejsze. Wydawało się, że obiekt jest przesłonięty mgłą, trochę jak miraż... ale zdecydowanie tam był. I był rzeczywisty.

Gdy oddawała lornetkę Simmonsowi, wokół zaczęli gromadzić się ludzie. Wyglądali na równie zdumionych jak on. Gracie spojrzała ponad ich plecami. Finch mocował właśnie ramiona zabawki, a Dalton sprawdzał uprząż i ustawienia drugiej kamery, przy czym obaj przez cały czas nie spuszczaali z oczu zjawiska. Zauważyła idącego przez pokład kapitana. Natychmiast puściło się ku niemu biegiem dwóch członków załogi. Gracie odwróciła się do pozostałych.

- Czy ktokolwiek z was może mi wyjaśnić, na co patrzymy?

- Najpierw myślałem, że to raca - odparł kolejny z członków załogi - ale kula jest zbyt duża i za jasna, no i sęk w tym, że wisi w miejscu, praw - da? To znaczy, nie porusza się.

Nagle rozległ się furkoczący odgłos wprawianego w wirowanie powietrza, który na moment zaskoczył wszystkich. Dźwięk ten nie był jednak dla zgromadzonych niczym nowym - Gracie i Dalton używali już tego dnia niewielkiego, zdalnie sterowanego bezzałogowego helikoptera, by wykonać panoramiczne ujęcia lodowca szelfowego.

- Startujemy! - zawołał Dalton, przekrzykując warkot łopatek wirnika powietrznej kamery.

Odwrócili się, żeby patrzeć, jak się unosi. Draganflyer X6 wyglądał dosyć dziwnie, ale był naprawdę cudem techniki. Właściwie nawet nie przypominał normalnego helikoptera. Przywodził raczej na myśl matowoczarnego robala rodem z Marsa, coś, czego człowiek spodziewałby się raczej na filmie z Terminatorem. Składał się z niewielkiej centralnej głowicy rozmiarów dużego mango, w której umieszczono urządzenia elektroniczne, żyroskopy i baterię. Biegły od niej poziomo trzy cienkie składane ramiona, na pozycjach dwunastej, czwartej i ósmej. Na końcu każdego z nich znajdował się cichy, bezszcztkowy silnik napędzający dwa niezależne dopasowane do siebie wirniki, jeden powyżej, a drugi poniżej konstrukcji. Na platformie w „brzuchu” owada można było umieścić dowolną kamerę. Maszynę napędzały litowe akumulatory, a wykonano ją z czarnego włókna węglowego, bardzo wytrzymałego, a mimo to leciutkiego - Draganflyer ważył niecałe pięć kilogramów, i to razem z zaopatrzoną w nadajnik kamerą wysokiej rozdzielczości. Helikopterkiem można było wykonywać fantastyczne ujęcia z powietrza przy minimalnych szumach, i Dalton nigdzie się bez niego nie ruszał.

Gracie patrzyła, jak czarne ustrojstwo startuje z pokładu i frunie powoli w kierunku łbdowca, gdy nagle rozległ się kobiecy krzyk:

- O mój Boże!

Nagle ona też to zobaczyła.

Obiekt się przepoczwarzał.

Ponownie rozbłysnął, a potem przygasł od brzegów w kierunku rdzenia, kurcząc się gwałtownie, tak że po chwili zajmował ledwie jedną dziesiątą pierwotnej objętości. Trwał tak przez trzy przedłużające się w nieskończoność sekundy, a potem powoli zaczął się rozjaśniać, wracając ostatecznie do poprzedniego stanu. Potem nagle jego powierzchnia się zmarszczyła, tak jakby kula chciała zamienić się w coś zupełnie innego.

Początkowo Gracie nie była pewna, co się dzieje, ale w momencie gdy obiekt zaczął się zmieniać, coś w niej zaskoczyło. Zjawisko najwyraźniej ożywało. Przybierało różne kształty, zapadało się w siebie, ale nigdy nie przekraczało granic wyznaczonych przez pierwotny rozmiar. Potrafiło się przepoczwarzać z zatrważającą prędkością, przez cały czas wirując w ledwo dostrzegalny sposób, i pozostawało przy tym idealnie symetryczne, przypominając pod tym względem obraz w kalejdoskopie, tyle że było mniej kanciaste, bardziej zaokrąglone i organiczne. Wzory przechodziły bez przerwy jeden w drugi w niesamowitym, zaskakującym tempie, i choć Gracie nie była pewna, co to takiego, przed

oczami stanęły jej struktury komórkowe. I znowu poczuła głębpki niepokój - wydało jej się nagle, że patrzy na samą tkankę życia w najczystszej postaci.

Niewielki tłumek zamarł - wszyscy byli równie zdumieni. Gracie się rozejrzała. Na otaczających ją twarzach malowały się najróżniejsze emocje: od zdziwienia i podziwu po konsternację i strach. Nikt już nie zastanawiał się na głos, co to takiego. Ludzie po prostu stali, jakby przyśrubowani do pokładu, z oczami wlepionymi w obiekt, a z ich ust wydobywały się jedynie od czasu do czasu słowa wyrażające krańcowe zdumienie. Dwoje - starszy mężczyzna i kobieta - przeżegnało się.

Dziennikarka zauważyła, że Dalton sprawdza kamerę na statku, upewniając się, że ciągle rejestruje zjawisko. Trzymał w ręku panel zdalnego sterowania helikoptera, zwisający mu z szyi na pasku na wysokości talii, i fachowo manipulował oboma joystickami.

Podchwyciła jego spojrzenie i odsunęła mikrofon.

- To jest... O Jezu, Dalton! Co się dzieje?

Przeniósł wzrok na zjawisko.

- Nie wiem, ale... albo Prince szykuje nową trasę koncertową, albo ktoś nam dosypał do kawy niezłego szajsu.

Dalton miał zwyczaj żartować w każdej sytuacji, ale tym razem jego brawura wydała się Gracie sztuczna. Z głosu kamerzysty zniknęła cała charakterystyczna dla niego lekkość.

Usłyszała kilka okrzyków.

- Patrzcie, zwalnia - powiedział ktoś.

Wszyscy wyciężyli wzrok, obserwując, jak obiekt porusza się i przyjmuje ostateczny kształt.

Przez sekundę Gracie wydawało się, że stanęło jej serce. Patrzyła przed siebie, a każdy por jej ciała trzeszczał od wywołanego strachem napięcia.

- O Jezu! - jęknęła właściwie do siebie, nie odrywając oczu od kuli.

Jej jaśniejsze strefy nagle pochłonęła rozprzestrzeniająca się ciemność, która kontynuowała swój triumfalny pochód aż do momentu, gdy cała powierzchnia obiektu stała się czarna i szorstka, tak jakby wyrzeźbiono ją z bryły węgla.

ROZDZIAŁ 3

Tłum ogarnęło przerażenie. Zjawisko nagle utraciło całą swoją wspaniałość. W mgnieniu oka z osobliwie cudownego zamieniło się w złowrogie i martwe.

Finch podszedł do Gracie; oboje nie mogli oderwać oczu od groźnego widoku.

- Niedobrze - stwierdził.

Dziennikarka nie odpowiedziała. Spojrzała na panel zdalnego sterowania kamerą. Obraz na niewielkim, pięciocalowym monitorze LCD był bardzo wyraźny, mimo że przesłaniała go lekka mgielka. Dalton prowadził helikopter szerokim łukiem, tak by nie znalazł się w pozycji między statkiem a zjawiskiem. Draganflyer pokonał już ponad połowę drogi do lodowca i Gracie miała teraz nieco lepsze poczucie skali. Obiekt przytłaczał swym ogromem latającą kamerę, niczym słoń górujący nad mrówką. Ciemna, martwa skorupa utrzymała się na nim przez jakąś minutę, wyglądała tak, jakby napierała groźnie na obserwatorów, po czym ognisty balon rozbłysnął znowu jaskrawą luną, przyjmując jednak tym razem bardziej określony kształt, wyznaczany przez emitowane z różnym natężeniem światło. Wyglądał teraz bez wątpienia jak trójwymiarowa kula, której rdzeń przybrał postać jaskrawej rozżarzonej piłki. Wokół niej pojawiły się cztery równej wielkości kręgi prowadzące wzdłuż powierzchni kuli, rozstawione w równomiernych odstępach. Ponieważ nie były skierowane wprost na statek, ale przechylone pod niewielkim kątem, przypominały rozciągnięte elipsy. Również zewnętrzna skorupa obiektu była jaskrawo rozświetlona, przy czym promienie światła rozchodziły się od rdzenia między kręgami, docierając do krawędzi kuli i zanikając za nią stopniowo. Całe zjawisko było naprawdę hipnotyzujące, zwłaszcza na tle ponurego, szarego krajobrazu.

Widok zapierał dech w piersiach. Zelektryzował cały tłum, wyciskając niektórym łzy z oczu. Starszy mężczyzna i kobieta, u których Gracie chwilę wcześniej podpatrzyła znak krzyża, tulili się mocno do siebie. Dziennikarka widziała, jak poruszają ustami w bezgłośnej modlitwie. Ona sama zeszywniała; zdrętwiały jej nogi. Czuła na przemian to euforię, to znowu strach, których odbicie zauważyła również na twarzach otaczających ją ludzi.

- Ooo! - jęknął Dalton.

Finch zamarł, wpatrując się w obiekt.

- Powiedzcie mi, że tak naprawdę tego nie widzę - rzekł. - Powiedzcie mi, że tego tam nie ma.

- Jest - potwierdziła Gracie, stojąc zafrapowana obok niego. - Zdecydowanie tam jest.

Uniosła mikrofon, szukając odpowiednich słów, czując, że świat wokół niej odchodzi w niebyt, że ona sama całkowicie traci kontakt z otoczeniem, a każda jej myśl krąży wokół zjawiska. Było zupełnie niezrozumiałe, niedefiniowalne. Po chwili wyszła na moment z transu i spojrzała znowu w kamerę.

- Mam nadzieję, że ciągle to widzisz, Jack, bo wszyscy tutaj są kompletnie olśnieni tym... Nie potrafię nawet opisać wrażenia, jakie to wywołuje.

Opuściła wzrok na monitor Daltona. Kamerzysta próbował za pomocą joysticka uzyskać większe zbliżenie zjawiska, którego blask wypełniał już cały ekran, ale po chwili zrezygnował.

Popatrzyła na kulę raz jeszcze. Odległość między nią a latającą kamerą ciągle się zmniejszała.

- Jak myślisz, jak daleko od niej jesteś? - zapytała Daltona.

- Jakieś sto metrów. Może mniej.

Przenosił wzrok z monitora na zjawisko i z powrotem, a w jego głosie czuć było lekkie drżenie.

Gracie ciągle patrzyła na kulę.

- Jest cudowna, prawda?

- To znak - powiedział ktoś.

Okazało się, że to kobieta, którą Gracie podpatrzyła w czasie modlitwy. Dziennikarka spojrzała ponownie w kamerę, a Dalton zrobił na nią najazd.

- Znak? Jaki znak? - zapytał ktoś inny.

- Nie wiem, ale... Ma rację. Popatrzcie na to. To znak... czegoś.

Słowa te wypowiedział mężczyzna stojący obok kobiety. Gracie przypomniała sobie, że w dzień jej przylotu przedstawiano ich sobie. Greg Musgrave, Amerykanin, glaciolog, jeżeli dobrze zapamiętała. Kobieta była jego żoną.

Musgrave odwrócił się do Gracie i zaczął nerwowo machać palcem w kierunku powietrznej kamery.

- Nie wysyłajcie tego... - zająknął się, nie wiedząc, jak nazwać Draganflyera - czegoś dalej. Zatrzymajcie to, zanim za bardzo się zbliży.

- Dlaczego? - zapytał zdumionym tonem Dalton.

- Zawróćcie to! - zawołał podniesionym głosem Musgrave. - Nie wiemy, z czym mamy do czynienia!

Dalton nie odrywał wzroku od przyrządów kontrolnych.

- No właśnie - warknął. - Dzięki temu będziemy mogli się dowiedzieć, co to, do cholery, jest.

Gracie spojrzała na niebo. Latająca kamera była już bardzo blisko obiektu. Dziennikarka popatrzyła na Fincha, a potem znowu na Daltona, który wyglądał, jakby był zdeterminowany, żeby zbadać naturę zjawiska.

- Mówię wam, zawróćcie to - powtórzył Musgrave, zbliżając się do Daltona i sięgając po konsolę zdalnego sterowania. Kamerzysta zacisnął palce na joystickach, przez co

Draganflier zoczył z kursu, pikując gwałtownie, i dopiero żyroskopy, które włączyły się automatycznie, utrzymały go w powietrzu.

- Hej! - wrzasnęła na intruza Gracie, ale do akcji natychmiast wkroczyli Finch oraz kapitan, odciągając Musgrave'a.

- Gracie, co się tam, do cholery, dzieje? - usłyszała w słuchawce Roxberryego.

- Zaczekaj chwilę, Jack! - rzuciła szybko.

- Proszę się uspokoić! - warknął na Musgrave'a kapitan. - Facet go wycofa, zanim dotrze do celu - zapewnił i odwrócił się do Daltona. - Prawda?

- Jasne - odparł obojętnie kamerzysta. - Macie pojęcie, ile to maleństwo mnie kosztowało?

Zerknął na monitor, podobnie jak Gracie. Zjawisko wypełniało cały ekran. Obraz był ziarnisty, ale można było na nim dostrzec łagodne, falujące migotanie, dzięki któremu rzeczywiście odnosiło się wrażenie, że obiekt żyje. Dziennikarka, wyczytawszy w oczach Daltona niepokój, spojrzała w niebo, szukając na nim kamery. Maleńki czarny punkcik niemal zrównał się już z kulą.

- Może wystarczy? - bąknęła pod nosem, kierując pytanie do Daltona.

Ten zmarszczył brwi, całkowicie skupiony na zadaniu.

- Jeszcze trochę bliżej.

- Nie powinienes tego zaczepiać, zanim się nie dowiemy, z czym mamy do czynienia - upomniał go Musgrave.

Dalton zignorował mężczyznę i nadal przyciskał joystick. Kamera leciała przed siebie, jeszcze bardziej zmniejszając dystans dzielący ją od obiektu.

- Dalton! - na wpeł szepnął do kolegi Finch. Jemu również przestało się podobać, że helikopter tak bardzo zbliża się do kuli.

- Dobra, dobra - zbył go Dalton. - Jeszcze tylko trochę.

Kamera była coraz bliżej, a Gracie poczuła, że przyspiesza jej puls i zaczyna szumieć w uszach. Wydawało się, że helikopter jest już tuż obok, że od kuli dzieli go co najwyżej piętnaście metrów - trudno było z tego miejsca oszacować odległość - gdy nagle znak przygasnął i zniknął.

Tłum wydał z siebie stłumiony okrzyk.

- Widziałeś!? Mówiłem ci! - zawołał Musgrave.

- Chyba nie mówisz serio? - odgryzł się Dalton. - Twierdzisz, że niby to wystraszyłem?

- Nie wiemy. Ale znalazło się tam z jakiegoś powodu, a teraz zniknęło.

Naukowiec objął ramieniem żonę, po czym oboje się odwrócili i z wyrazem konsternacji na twarzach wpatrzyli w niebo, tak jakby chcieli siłą wzroku przywołać z powrotem zjawisko.

- Bądź poważny, człowieku - skwitował Dalton, odwracając głowę.

Draganflyer bez przeszkód kontynuował lot nad lodowcem. Gdy znalazł się w miejscu, w którym chwilę wcześniej w powietrzu unosiło się zjawisko, na jego monitorze nie pokazało się nic. Dalton i Gracie spojrzeli na siebie. Kamerzysta wyglądał na porządnie wystraszonego. Dziennikarka nigdy jeszcze nie widziała, by reagował w ten sposób, a przecież przeżyli wspólnie kilka naprawę przyprawiających o gęsią skórkę przygód.

Gracie była zresztą równie wstrząśnięta. Przyglądała się ponuremu niebu.

Nie było na nim śladu po znaku.

Tak jakby nigdy się tam nie pojawił.

Nagle otaczający ją świat pogrążył się w mroku i poczuła, że coś nad nią wisi; spojrzała w górę i dostrzegła zjawisko tuż nad sobą, unoszące się nad samym statkiem - ogromną kulę migoczącego światła przytłaczającą okręt swym ogromem. Wzdrygnęła się; tłum wydał z siebie stłumiony okrzyk i cofnął się w przerażeniu, a Dalton natychmiast skierował na niebo kamerę, starając się sfilmować fenomen. Gracie zamarła, wpatrując się w oszołomieniu w kulę, z dygoczącymi kolanami, stopami przyśrubowanymi do desek pokładu, z narastającym strachem i zdumieniem, czując, że przez krótką chwilę, która wydawała się całą wiecznością, każdy włoszek na jej ciele stoi sztywno wyprostowany...

...i nagle znak ponownie powoli zgasł, znikając w równie zaskakujący i nieoczekiwany sposób, w jaki rozbłysnął na niebie.

ROZDZIAŁ 4

Bir Hooker, Egipt

Tusuf Zacharia zaciągnął się w zamyśleniu sziszą, patrząc, jak jego przeJ ciwnik odsuwa dłoń od poobijanej planszy do gry w tryktraka. Kiwnąwszy ze znużeniem głową do samego siebie, żylasty stary taksówkarz zamknął kości w dłoni. Musiałaby wypaść podwójna szóstka, żeby wygrał. Nie wiązał zbyt dużych nadziei z tym rzutem. Tego wieczoru nie miał szczęścia w grze.

Potrząsnąwszy energicznie niewielkimi sześcianami z kości słoniowej, cisnął je na planszę i patrzył, jak turlają się niespiesznie po misternie inkrustowanej powierzchni i zatrzymują po chwili na szóstce i jedynce. Zmarszczył brwi, przez co bruzdy na jego

porośniętej siwą szczecią, chropowatej twarzy zamieniły się w prawdziwe kaniony, i potarł prawie łysą czaszkę, przeklinając swojego pecha. Istotnie, tego dnia świat wziął się na niego: niespodziewanie poczuł gorzkie, owocowe drapanie w tyle gardła. Nawet węgielki w jego fajce wodnej zdążyły ostygnąć. Tak bardzo pochłonęła go gra oraz seria fatalnych rzutów, że w ogóle tego nie zauważył. Świeże, rozpalone do czerwoności kamyki pozwoliłyby mu na nowo poczuć kojący miodowoziolowy smak, który co noc pomagał mu pogrążyć się w spokojnym śnie, zdawał sobie jednak sprawę, że dziś wieczór będzie musiał zrezygnować z tego luksusu. Było już późno.

Spojrzał na zegarek. Czas wracać do domu. Pozostali klienci kawiarenki - dwoje młodych turystów, amerykańska parka, jak się domyślił, rzuciwszy okiem na ich znajomo wyglądające przewodniki i gazety - również zbierali się do wyjścia.

- Baseeta - burknął sam do siebie. Trudno. Jutro też jest dzień. Z Bożą pomocą wróci tam na świeżą sziszę i kolejną partyjkę.

Wstawał właśnie, gdy nagle coś przyciągnęło jego wzrok - obraz migający na ekranie telewizora, stojącego na chybotałej starej półce za ladą. Dawno minął już czas dobranocki, czyli paru kolejnych odcinków ulubionych w lokalu seriali. O tej porze w tym sennym zakątku na skraju egipskiej pustyni, w niewielkiej (wiosce Bir Hooker - niezbyt szczęśliwie nazwanej od brytyjskiego dyrektora Egipskiej Spółki Soli i Sody - jak zresztą w całym niespokojnym regionie, telewizja bez wątpienia była nastawiona na jakiś program informacyjny, podsycając niekończące się debaty i lamenty na temat oplakanego stanu, w jakim znalazł się świat arabski. Mahmud, jowialny właściciel kawiarni, wołał AlArabiję od AlDżaziry, w każdym razie do momentu, gdy postanowił nastawić się bardziej przyjaźnie do turystów i zainwestował w antenę satelitarną wyposażoną w piracki dekoder. Od tego czasu na ekranie zawsze gościła jedna z amerykańskich sieci informacyjnych. Mahmud uważał, że zastrzyk cudzoziemskości dodaje jego lokalowi klasy; Jusufa z kolei niezbyt pasjonowały niekończące się relacje z aktualnych amerykańskich wyborów prezydenckich, nawet jeśli, co wydawało się zdumiewające, zawsze pilnie obserwowano je w całym regionie, którego losy były coraz silniej splecione z kaprysami przywódców tamtego odległego kraju. Opór Jusufa co do cudzoziemskich kanałów równoważyła jednak nigdy niewypowiedziana wdzięczność za to, że od czasu do czasu relacjonowały wybryki różnych nadąsanych hollywoodzkich gwiazdek oraz skąpo odzianych światowych topmodelek.

Ale w tej chwili jego uwagę przyciągało coś zupełnie innego. Na ekranie pojawiła się kobieta w grubym zimowym kombinezonie, która relacjonowała wydarzenia toczące się na, jak można się było domyślić, jednym z biegunów. Za jej plecami coś unosiło się w powietrzu.

Coś dziwnego i niezmiernie, niepodobnego do czegokolwiek, co taksówkarz w życiu widział. Wisiało, płonąc jakby nad rozpadającym się lodowym urwiskiem, i przybrało - co było jeszcze dziwniejsze, a jednak dostrzegając to z całą pewnością - charakterystyczny, wyraźny kształt symbolu.

Znak.

Pozostałych również zainteresowało widoczne na ekranie zjawisko, podeszli więc bliżej lady, gorączkowo ponaglając Mahmuda, żeby włączył dźwięk. Widok był nierzeczywisty, zdumiewający, ale nie to najbardziej zaniepokoiło Jusufa. Jego strach wywołała świadomość, że widział już kiedyś ten znak.

Kiedy wpatrywał się w ekran, na jego twarzy coraz wyraźniej malowało się niedowierzanie.

„To niemożliwe”.

Podszedł bliżej, żeby lepiej przyjrzeć się symbolowi. Rozchylił na parę centymetrów usta, a włoski na skórze zjeżyły mu się z trwogi. Operator kamery zrobił cięcie, zmieniając kąt i świetlisty symbol wypełnił cały ekran.

Był to ten sam znak.

Nie miał co do tego wątpliwości.

Bezwiednie uniósł dłoń do czoła i dyskretnie się przeżegnał.

Jego przyjaciele zauważyli, że nagle zbladł, on jednak zignorował ich pytania i bez wyjaśnienia czy pożegnania wybiegł z kawiarni. Wgramolił się do swojej starej niezawodnej toyoty previa i zapalił silnik. Taksówka zakasłała dymem i ruszywszy wężym zakurzoną, nieoświetloną drogą, rozplynęła się szybko w ciemnościach. Jusuf ostro przyciskał gaz, pragnąc jak najszybciej wrócić do klasztoru, i mruczał bez końca pod nosem ciągle to samo zdanie:

„To niemożliwe”.

ROZDZIAŁ 5

Cambridge, Massachusetts

Vince Bellinger wędrował właśnie niespiesznym krokiem przez centrum handlowe, gdy nagle jego uwagę przykuł gromadzący się tłum. Ludzie tłoczyli się przed sklepem z elektroniką, a panująca wrzawa wskazywała, że są silnie podnieceni, prawdopodobnie z powodu czegoś, co widzieli w ogromnym oknie wystawowym. Bellinger znał je doskonale - zwykle wyładowane było najnowszymi plazmami i LCD, między innymi gigantycznymi

sześćdziesięciocalowymi telewizorami, jego tegorocznym świątecznym marzeniem. Towar ten jednak, choć owszem, pożądany, nie zasługiwał na aż tyle uwagi. Chyba że nie chodziło o same ekrany i tłum przyciągało coś, co było na nich wyświetlane.

Przy akompaniamencie supermarketowego gwiazdkowego hitu i na tle jarmarcznych, oczekających kiczem dekoracji niektórzy ze zgromadzonych z ożywieniem rozmawiali przez telefony komórkowe, inni, machając rękami, przywoływali do siebie znajomych. Bellinger był obławiany jak wielbłąd - dźwigał stertę czystego już prania oraz torbę sportową - ale mimo to skręcił w stronę sklepu, zastanawiając się, co mogło wywołać aż takie zamieszanie. Wzdrygnął się instynktownie na samą myśl, że jego” przyczyną może być katastrofa podobna do tej z jedenastego września, której obrazy ciągle jeszcze miał wypalone w mózgu - choć, jak szybko się zorientował, tego dnia nie wyczuwał w tłumie aż takiego poruszenia. Ludzie nie byli przerażeni. Wydawali się raczej zafrapowani.

Podszedł najbliżej, jak się dało, i wyjrzał ponad głowami oraz ramionami gapiów. Jak zwykle wszystkie telewizory były nastawione na jeden kanał, tym razem informacyjny. To, co migotało na ekranach, natychmiast przyciągało wzrok, choć Bellinger nie do końca mógł stwierdzić, na co patrzy - jakieś sferyczne światło unoszące się w powietrzu w którymś z polarnych regionów, co potwierdzał napis poniżej. Przyglądał się temu z rosnącą ciekawością, jakby w obojętnym transie, wyłapując jedynie strzępy rzucanych obok ożywionych komentarzy, gdy nagle zawibrował jego telefon komórkowy. Jęknął, po czym zonglując praniem i torbą, wyłowił z kieszeni aparat. Jęknął jeszcze żałośniej, kiedy zobaczył, kto dzwoni.

- Stary, gdzie jesteś? Dzwoniłem na domowy.

Csaba - co wymawiało się „czaba” i co szybko zostało zamienione na ksywkę „Jabba”, nadaną właścicielowi z raczej mało subtelnych powodów

- był bardzo podekscytowany. Zresztą jak zwykle. Ten wielki facet miał wilczy apetyt na życie - oraz na wszystko inne.

- Jestem w centrum handlowym - wyjaśnił Bellinger, ciągle starając się uzyskać lepszy widok na ekrany telewizorów.

- W te pędy wracaj do domu i włącz wiadomości. Nigdy w to nie uwierzysz.

Jabba podniecony czymś, co zobaczył w telewizji. Nic nowego. Chociaż tym razem - tym jedynym razem, pomyślał Bellinger - jego żywiołowa reakcja wydawała się uzasadniona.

Csaba Komlosy - błyskotliwy inżynier chemii węgierskiego pochodzenia, który pracował z Bellingerem w Rowland Materials Research Laboratory - kochał namiętnie wszystko, co wiązało się z telewizją. Zazwyczaj ofiarą jego głodd padały dobrze zrobione,

choć raczej mało wyrafinowane programy, w których waleczni i muskularni rządowi agenci co odcinek ratowali kraj przed masową zagładą lub w których walecznym i muskularnym architektom co odcinek udawało się uciec z najdoskonalej zabezpieczonych więzień. Ostatnio jednak Csaba wkroczył na nowe, dosyć podejrzane terytorium. Dał się wciągnąć w otchłań reality show - paradoksalna nazwa, jako że owe programy zazwyczaj nie mają wiele wspólnego z rzeczywistością - i ku przerażeniu Bellingera uwielbiał dzielić się z nim co bardziej smakowitymi, wyjątkowymi kąskami, jakie zapewniały mu jego uczyty.

W tym jednak wypadku Bellinger gotów był dać koledze zielone światło. Mimo to nie mógł się powstrzymać od drobnego przytyku.

- Odkąd to oglądasz wiadomości?

- Możesz przerwać to przesłuchanie i włączyć cholerny telewizor? - zaprotestował Jabba.

- Właśnie na niego patrzę. Jestem w centrum handlowym, przed sklepem elektronicznym...

Bellinger zamilkł, bo nagle przesunęło się przed nim kilka głów i obraz na ekranach znowu przykuł jego* uwagę. Dostrzegł banner u spodu, na którym przeczytał: „Niewyjaśnione zjawisko nad Antarktydą”. W prawym górnym rogu widniała ikonka: „Na żywo”. Stał w miejscu jak sparaliżowany i chłonał wzrokiem obraz. Rozpoznał reporterkę. Przez ostatnie lata oglądał kilka jej relacji: przypominał sobie materiał z Tajlandii po ataku tsunami, gdy po raz pierwszy zwrócił na nią uwagę. Brzmi to może trochę płytko, ale gdy telewizyjną korespondentką jest relatywnie gorąca laska, oglądalność programu wśród męskiej widowni rośnie wprost proporcjonalnie do jej seksowności - zwłaszcza jeśli dany news nie dotyczy konfliktu zbrojnego, wyniku meczu lub afery z życia którejś z gwiazd popkultury. A dla większości facetów Grace Logan - ze swymi bezlitosnymi zielonymi oczami, maleńkim figlarnym pieprzykiem tuż nad górną wargą, niepokojąco świszczącym, choć poważnym głosem, blond lokami, które zawsze wydawały się lekko zmierzwiene, i bardzo kobiecą figurą, zawdzięczającą swe krągłości raczej burgerom i koktajlom mlecznym niż silikonowi - była prawdziwą boginią seksu.

Tym razem jednak Bellinger nie wpatrywał się w nią.

Kamera pokazała znowu zjawisko w zbliżeniu, na co tłum zareagował wyraźnie słyszalnym poruszeniem.

- Stary, to jest niezmiernie! - zawołał Jabba. - Nie mogę oderwać wzroku od ekranu!

Bellinger nic z tego nie rozumiał.

- Czy to jakiś dowcip?

- Z tego co mówią, raczej nie.

- Gdzie to się dokładnie znajduje?

- Na lądolodzie na Antarktydzie Zachodniej. Goście przebywają na jakimś okręcie badawczym na wybrzeżu. Najpierw myślałem, że to reklama nowego filmu, może Camerona albo Emmericha, może nawet Shyamalana, ale żaden z nich nie pracuje teraz nad projektem, który by temu odpowiadał.

Jabba - prawdziwy maniak filmowy - z pewnością wiedział, co mówi.

- Jak długo to tam wisi? - zapytał Bellinger.

- Jakies dziesięć minut. Pojawiło się nagle, gdy ta lala Logan biadoliła o rozpadzie lodowca szelfowego. Najpierw wyglądało jak kula światła, potem zmieniło kolor na ciemny - jak czarna planeta w Piątym elemencie, pamiętasz? Mało nie narobiłem w gacie.

- A potem zamieniło się w to?

- Aha.

Chrzęst, który rozległ się w słuchawce, pobudził umysł Bellingera, który w)»brazil sobie, w jakich najprawdopodobniej okolicznościach jego kumpel postanowił do niego zadzwonić: zatopiony głęboko w kanapie, z butelką piwa w jednej dłoni - nie pierwszą, jak domyślał się Vince, bo przecież obaj wyszli z laboratorium przed ponad godziną - i pustą już do połowy paczką tłustych chipsów w drugiej. Dlatego właśnie rozmawiał w trybie głośnomówiącym.

Bellinger potarł łysą czaszkę i skoncentrował się, marszcząc czoło. Nigdy jeszcze czegoś takiego nie widział. Obok gromadziło się coraz więcej ludzi, tłocząc się wokół niego i rozpychając.

Jabba zachrzącił donośnie kolejnym chipsem, po czym zapytał:

- I co ty na to?

- Nie wiem - odparł otępiały.

Tłum wydał z siebie stłumiony okrzyk, gdyż powietrzna kamera pokazała nagle niewytłumaczalne zjawisko w większym zbliżeniu.

- Jak oni to robią? - zapytał, chowając głębiej w dłoni słuchawkę, żeby izolować ją od otaczającego go zgiełku. Jako specjalista w dziedzinie technologii i naukowiec przyjął instynktownie sceptyczną postawę i natychmiast zaczął się zastanawiać, w jaki sposób ktoś wywołał zjawisko.

Umysł Jabby najwyraźniej krążył wokół tego samego pytania.

- Pewnie jakiś efekt laserowy. Pamiętasz latające krople światła, nad którymi pracowali ci goście z Keio...?

- Laserowa emisja plazmy? - przerwał mu Bellinger.

Obaj uczestniczyli w konferencji prasowej poświęconej najnowszemu wynalazkowi japońskiego uniwersytetu, gdzie za pomocą skoncentrowanych wiązek z projektora laserowego udało się podgrzać powietrze w określonych punktach nad opasłym urządzeniem, co wywołało emisję drobnych wiązek plazmy, które „wymalowały” w powietrzu niewielkie trójwymiarowe zarysy białego światła.

- Jasne, pamiętasz? Gość w dziwnych goglach i białych rękawiczkach...

- Zapomnij o tym - uciął Bellinger. - Żeby wywołać coś tak dużego, trzeba by tam umieścić generator wielkości lotniskowca. Poza tym nie wyjaśnia to ani unoszącej się luny, ani tego, że jest tak wyraźnie zarysowana.

- No dobra, niech ci będzie. Acq z innymi rodzajami projekcji? Obrazowanie spektralne?

Bellinger wpatrzył się w ekran telewizora.

- Czyżbyś wiedział o czymś, o czym ja nie słyszałem? Ponieważ z wyjątkiem tego humanoidalnego robota... Jak nazywało się to białe coś, co wygląda jak gaśnica?

- R2-D2. - Z oburzonego tonu Jabby tak wyraźnie można było wyczytać, że przewrócił w tym momencie oczami, iż Bellinger nie potrzebował nawet kamery sieciowej.

- Z wyjątkiem R2-D2 nie mam pojęcia o istnieniu żadnych projektorów trójwymiarowych.

Miał rację. Największym mózgom w branży ciągle nie udało się wynaleźć urządzenia, które potrafiłoby uzyskać unoszący się w powietrzu, nieograniczony, trójwymiarowy ruchomy obraz, podobny do tego, który przekazał doniosły apel księżniczki Leii: „Pomóż nam, ObiWan” - obraz jakichkolwiek rozmiarów, nie wspominając już o czymś tak ogromnym.

- Poza tym zapominasz o pewnym irytującym drobnym szczególe - dodał coraz bardziej skołowany Bellinger.

- Wiem, stary. Tam jest dzień.

Jabba wydawał się przestraszony tym, że Vince również dokonał tego odkrycia.

- Warunki raczej mało sprzyjające projekcji, co?

- Właśnie.

Bellinger nie bardzo miał ochotę rozmawiać o tym wśród ludzi, poza tym bał się, że ktoś strąci jego torbę i pranie. Ale nie potrafił się oderwać od ekranu.

- No dobra, możemy zapomnieć o laserach i projektorach - powiedział do Jabby. - To znaczy, przyjrzyj się temu. Nie jest ograniczone żadną ramą, nie jest w niczym umieszczone,

nie widać za tym żadnego ciemnego tła ani szklanych paneli wokół. Po prostu unosi się w powietrzu. W świetle dziennym.

- Chyba że po obu stronach są tam jakieś gigantyczne lustra, których nam telewizja nie pokazuje - zadumał się Jabba. - A może to projekcja z kosmosu?

- Niezły pomysł, ale jak?

Jabba hałaśliwie wgrzył się w kolejnego chipsa.

- Nie wiem, stary. Coś mi się wydaje, że to wszystko nijak nie trzyma się kupy, mam rację?

- Właśnie. Zaczekaj.

Bellinger wcisnął telefon między ucho a ramię, złapał swoje rzeczy i cofnął się kilka kroków, zajmując miejsce z dala od ciągle powiększającego się ftumu.

Wymienili z Jabbą jeszcze kilka pomysłów, rozpatrując wszystkie propozycje, jakie przychodziły im do głowy, starając się podać jakieś rozsądne, wiarygodne wyjaśnienie zjawiska, ale właściwie nic nie pasowało. Podniecenie Bellingera szybko zamieniło się w niepokój. Coś go gryzło. Nie mógł się pozbyć irytującego uczucia, że jakaś zagrzebana głęboko w jego mózgu myśl gwałtownie domaga się uwagi.

Nagle obraz z kamery zatrzęsł się, a na pokładzie okrętu wybuchła sprzeczka. Jabba zareagował entuzjazmem, podobnie jak gapie w centrum handlowym, którzy zaczęli żartować i dopingować szturchających się na statku filmujących zjawisko dziennikarzy i naukowców, wkrótce jednak kamera powietrzna znowu zaczęła normalnie nadawać. Wykonała zbliżenie na obiekt, który przygasł, znikając w końcu, a potem niespodziewanie pojawił się ponownie bezpośrednio nad statkiem. Tłum wokół Bellingera zapiszczał i cofnął się w przyпіływie paniki wywołanej rozdygotanym obrazem z ręcznej kamery na pokładzie, skierowanej teraz w górę.

- Sukinsyn! - zawołał Jabba. - Obraca się?

Bellinger skupił wzrok na zjawisku, czując narastający ucisk w gardle.

- Jest kuliste - zdumiał się. - To nie żadna projekcja. To coś ma fizyczny kształt, widzisz?

Na ekranie Grace Logan z trudem zachowywała spokój, wyraźnie zdenerwowana zjawiskiem, które unosiło się bezpośrednio nad okrętem. Tłum w centrum handlowym reagował podobnie - zeszywniał i zamilkł.

Ustało również chrzesczenie chipsów fabby.

- Chyba masz rację. Ale jak...? To przecież nie jest żaden obiekt, a poza tym... To tak, jakby paliło się samo powietrze, a przecież... To niemożliwe, prawda? To znaczy, nie można podpalić powietrza. Może się myłę?

Bellinger poczuł, że żyły pulsują mu na skroniach. Zrozumiał. Opadło to na niego nagle, bez ostrzeżenia, pojawiło się znikąd. Zapomniane dawno temu, uśpione neurony zagrzebane gdzieś w głębi jego mózgu jakimś cudem zdołały się rozbudzić, odnaleźć siebie nawzajem i nawiązać połączenie.

Niedobrze.

O cholera!

Zamilkł, a gdy znak zniknął z nieba nad okrętem, które szybko wróciło do normalnego stanu, naukowiec, podążając za skojarzeniem, doszedł ostatecznie do jedynego możliwego wniosku i zadrzał na samą myśl, że coś tak przerażającego w ogóle jest możliwe.

- Stary, jesteś tam?

Bellingerowi wydawało się, że głos ten dobiega gdzieś z daleka, tak jakby on sam stanął obok i obserwował siebie odpowiadającego na pytanie.

- Tak.

- I co? Co o tym myślisz?

Poczuł gęsią skórę.

- Muszę lecieć. Zadzwoń, jak wrócę do domu. Daj mi znać, gdyby pojawiło się coś nowego.

- Stary, zaczekaj, nie możesz tak po prostu...

Bellinger się rozłączył.

Stał w miejscu ze stopami jak gdyby przyśrubowanymi do zimnej, wyłożonej posadzką podłogi, bijąc się z myślami, podczas gdy tłum wokół stopniowo rzednął. Zaledwie kilka minut wcześniej, odbierając kolorowe lniane koszule, poskładane i gotowe do spakowania, czuł narastające przyjemne wewnętrzne ciepło. Do świąt zostało jedynie kilka dni, nic więc dziwnego, że nęciło go już morze, słońce oraz szeroki błękitny nieboskłon Republiki Dominikańskiej - celu jego corocznej pielgrzymki, upragnionego wytchnienia od klaustrofobicznego, pozbawionego okien laboratorium badawczego, w którym spędzał większość życia. I nagle całe to ciepło wyparowało. Jego miejsce zajął zimny, przyprowadzający o dreszcz lęk, który - z czego Bellinger zdawał sobie doskonale sprawę - nie miał szybko ustąpić. Stał tak przez kilka długich minut, analizując przerażającą - i, jak miał nadzieję, całkowicie pozbawioną znamion prawdopodobieństwa - myśl, która utorowała sobie do jego świadomości drogę z najmroczniejszych zakamarków umysłu.

„W żadnym razie” - powtarzał sobie. „Bądź poważny”.

Niestety, nie mógł pozbyć się tej myśli.

Telewizor pokazywał od nowa całe wydarzenie, tłum rzednął, a on stał ciągle, zadumany. W końcu oderwał się od witryny i w milczeniu ruszył do domu.

„W żadnym razie”.

Rzucił pakunki w kąt korytarza, postanowił mocno, że spróbuje skupić się na czymś innym, a potem podszedł do lodówki. Wyciągnął piwo, wrócił na korytarz i przerzucił pocztę. Było to jednak bezcelowe.

Nie potrafił przestać o tym myśleć.

Włączył telewizor. Obrazy, które go zaatakowały, nie napawały optymizmem. Korek na Times Square, gdzie tłum ludzi zamarł w pół kroku, zahipnotyzowany obrazem zjawiska rzuconym na wielki ekran Sony; klienci barów i kibice na stadionach, wszyscy stojący z oczami wlepionymi w ekrany; podobny chaos we wszystkich zakątkach świata. Podszedł do biurka, odpałił laptopa i spędził kilka godzin na przeglądaniu czatów internetowych oraz różnych prasowych relacji, starając się dowiedzieć jak najwięcej na temat tego, co się działo, z nadzieją, że trafi na coś, co pozwoli mu podważyć własną teorię.

Była szalona, dziwaczna... ale pasowała.

Po prostu pasowała.

Co zmusiło go do zastanowienia się nad jeszcze poważniejszym problemem.

Co powinien z tym zrobić.

Początkowo instynkt samozachowawczy kazał mu zapomnieć o wszystkim, dać spokój. Na dobre. Jeśli to, co odkrył, działo się naprawdę, we własnym, dobrze pojętym interesie powinien wymazać z umysłu każdy ślad tej myśli i nigdy nikomu o niej nie wspominać. Było to rozsądne, racjonalne, a przecież Bellinger przede wszystkim cenił w sobie właśnie racjonalne podejście do rzeczywistości. Ale było coś jeszcze.

Zginął jego przyjaciel. I to nie pierwszy lepszy przyjaciel.

Najlepszy przyjaciel.

Jego racjonalny umysł nie był w stanie zignorować owego faktu.

Przed oczami stanęły mu wizje tragicznego wypadku na Wybrzeżu Szkieletowym, przerażające obrazy, jakie dawno temu, kiedy dowiedział się, jak zginął Danny Sherwood, podsuwała mu wyobraźnia.

Nie potrafił ich zignorować.

Musiał się dowiedzieć. Upewnić się. Rozgryźć to.

Otworzył następnie piwo i usiadł w pogrążonym w mroku salonie, wpatrując się w ciemność, a jego myśli krążyły od obrazu, który właśnie zobaczył, do wydarzeń sprzed dwóch lat. Kilka butelek później wyciągnął telefon i przewinawszy listę kontaktów, znalazł ostatecznie numer, którego szukał. Otrzymał go kilka lat wcześniej i nie dzwonił pod niego przez prawie cały ten okres.

Zawahał się, po czym wcisnął klawisz.

Sygnal zabrzmiał trzy, cztery razy, po czym w słuchawce usłyszał męski głos:

- Kto mówi?

Można w nim było wyczuć obojętność, rzeczowość.

Głos Matta Sherwooda odrobinę pocieszył Bellingera. Wyraźny łącznik, choć ulotny, z jego niezującym od dawna przyjacielem.

- Vince. Vince Bellinger - odpowiedział, ciągle jeszcze się wahając. Milczał przez chwilę, po czym dodał: - Matt, gdzie jesteś?

- U siebie. Dlaczego pytasz?

- Muszę się z tobą zobaczyć - wyjaśnił. - Natychmiast.

ROZDZIAŁ 6

Boston, Massachusetts

Nikt na zatłoczonym stadionie nie mógł oderwać wzroku od ogromnej elektronicznej tablicy wyników. Nie tylko fani. Nie tylko gracze. I z pewnością nikt w luksusowej łoży Larryego Rydella w Garden z doskonałym widokiem na boisko.

Jego goście, zespół designerów pracujących nad przełomowym dla ludzkości elektrycznym samochodem, który Rydell miał zamiar wprowadzić na rynek za kilka lat, bawili się wyśmienicie. Spędzili cały dzień w centrali projektu w Waltham, analizując problemy, które udało im się ostatecznie rozwiązać, oraz nowe, na które właśnie trafili - dzięki czemu mógł przyspieszyć prace nad nowatorskim pojazdem. Jak zawsze w wypadku pomysłów Rydella, projekt był zakrojony na bardzo szeroką skalę. Wprawdzie jego przyjaciel Elon Musk - kolejny guru ery Internetu, na który to status zasłużył sobie, współzakładając niewielką firmę o nazwie PayPal - opracował już - elektryczny samochód, Teslę, ale był to model sportowy. Rydell myślał o innym gatunku kierowców: milionach użytkowników marek typu Camrys, Impala czy Accord. Zatrudnił zatem najlepszych, najbardziej błyskotliwych designerów oraz inżynierów, zapewnił im wszystko, czego potrzebowali do pracy, i pozwolił robić swoje. Był to tylko jeden z licznych bliskich jego sercu projektów, które obecnie

nadzorował. Jego zespoły pracowały nad wydajnymi farmami wiatrowymi, ogniwami słonecznymi oraz doskonalszymi systemami przesyłu, które rozprowadzałyby uzyskaną nowoczesnymi metodami energię. Energia odnawialna oraz czysta pod względem ekologicznym miała być motorem kolejnej rewolucji przemysłowej, a przecież Larry Rydell był wielkim wizjonerem.

Na projekty brakowało mu jedynie czasu. Pieniądzem pewnością nie stanowiły problemu, nawet wzięwszy pod uwagę ostatnie zawirowania na rynkach. Dobrze wiedział, że ma ich więcej, niż kiedykolwiek będzie potrzebował. Każdy użytkownik komputerów i telefonów komórkowych na Ziemi musiał się dokładać do jego fortuny, a astronomiczny kurs akcji, jakim mogła się poszczycić jego firma, załatwiał resztę. I chociaż Rydell prowadził wygodny tryb życia, na podorzędziu miał o wiele ciekawsze rzeczy, w które mógł ładować pieniądze, niż stu pięćdziesięciometrowej długości jachty.

Mieli za sobą długi produktywny dzień - udało im się pokonać przeszkodę, z którą walczyli od tygodni - postanowił więc wynagrodzić zespół i przed świątecznonoworoczną przerwą pożegnać się z jego członkami w spektakularny sposób. Zafundował im wspaniały obiad, w czasie którego mogli dowolnie wybierać drinki, oraz najlepsze miejsca na trybunach. Patrzyli zatem, jak tuż przed dzwonkiem ogłaszającym koniec pierwszej kwarty Paul Pierce przesuwa się obok Kobego Bryanta i wykonuje dwuręczny wsad, gdy nagle zawieszony nad boiskiem sześciany ekran zamigotały i przełączyły się na nadawany na żywo program informacyjny, co sprawiło, że na całym stadionie w momencie zaległa cisza.

Gdy tak stał jak wryty, zahipnotyzowany rozpościerającym się przed nim surrealistycznym widokiem, poczuł, że w kieszeni wibruje mu ko. mórka. Alarm był przyporządkowany jednemu z trzech numerów, których nigdy nie blokował, nawet kiedy miał włączone w telefonie ustawienia prywatne, czyli prawie zawsze. Pierwszy z nich należał do Mony, jego osobistej asystentki, czy raczej, ściśle rzecz biorąc, głównej osobistej asystentki spośród czterech, które kontrolowały łączący go z biurem most zwodzony. Drugi przyporządkował byłej żonie, Ashley, choć zwykle wybierała prostszy sposób kontaktu z nim: dzwoniła do Mony i kazała mu oddzwaniać. Trzeci, który w tej właśnie chwili odciągał jego uwagę od zjawiska, sygnalizował mu zawsze, że dzwoni Rebecca, jego dziewiętnastoletnia córka.

Rzadko to robiła, kiedy przebywała akurat - jak teraz, a raczej jak zwykle - na jakiejś odległej plaży. Willa rodzinna w Meksyku, pomyślał, choć nie był pewien. Może raczej domek w Vail albo jacht na Antigua? Jej wilczy apetyt na imprezowanie od jego skromnego na cokolwiek, co nie dotyczyło projektów, którymi żył i oddychał, dzieliło zbyt wiele całkiem

sporych rozmiarów szczelin, by tego rodzaju okrucieństwo informacji gdzieś się w nich nie zapodziało.

Nie odrywając wzroku od ekranu, przycisnął do ucha słuchawkę.

- Tato, oglądasz to?

- Tak - odparł nieco oszołomiony. - Stoimy na baczność w Garden i gapimy się na to jak zombie.

- Tutaj jest tak samo - roześmiała się nieco nerwowo jego córka.

- Właśnie wychodziliśmy, kiedy zadzwonił do mnie kumpel z Los Angeles i powiedział mi o tym.

- A właściwie gdzie teraz jesteś?

- W Meksyku, tato - na wpół jęknęła, wyraźnie sugerując, że powinien o tym wiedzieć.

W tej właśnie chwili nabuzowani już kibice postanowili dać ujście emocjom i ich początkowy szok zamienił się w radość oraz oklaski. Całą arenę wypełnił zgiełk.

- Ooo! - zawołała Rebecca. - Brzmi jak niezła impreza.

- Bo to jest niezła impreza - skomentował, uśmiechając się dwuznacznie. - Jak długo to pokazują?

- Nie jestem pewna, włączyliśmy telewizor dopiero kilka minut temu.

- Zamilkła na moment, a potem zapytała: - Tato, jak myślisz, co to jest?

I nagle Larry Rydell, który na całym świecie słusznie fetowany był jako prawdziwy geniusz, zdał sobie sprawę, że prawdopodobnie po raz pierwszy w życiu nie może udzielić córce odpowiedzi. W każdym razie nie powinien.

Nie teraz.

Nigdy.

ROZDZIAŁ 7

Waszyngton

W deszczowej tego dnia stolicy czarny lexus z szoferem za kierownicą wychynął z podziemnego garażu, skręcił w Connecticut Avenue i włączył się do niezbyt gęstego późnowieczornego ruchu. Keenan Drucker, rozsiadłszy się na wygodnej, podgrzewanej tylnej kanapie, spoglądał w milczeniu przez okno, bezwiednie śledząc rozmazujące się światła mijanych samochodów i analizując wydarzenia kończącego się właśnie doniosłego dnia.

Telefon rozdzwonił się jakąś godzinę wcześniej i w najbliższym czasie miał się odzywać równie często, tego Drucker był pewien.

A przecież dopiero zaczynali.

Zamknął oczy i oparł się o miękki zagłówek. Powtórzył w myślach zarys planu, po raz kolejny rozkładając na czynniki pierwsze jego poszczególne elementy, szukając jakiegoś błędu, który mógł przeoczyć. I podobnie jak wcześniej nie potrafił znaleźć niczego, czym powinien się przejmować. Oczywiście musiał się liczyć z wieloma niewiadomymi - z definicji były częścią całego projektu. Ale nimi się nie martwił. Niedopatrzenia i błędne kalkulacje - to co innego. Ich nie mógł tolerować. Włożono wiele wysiłku w to, żeby je wykluczyć. Ale niewiadome były - no cóż - niewiadomymi. Życie spędzone na zawieraniu podejrzanych umów w wypełnionych dymem pomieszczeniach nauczyło go, że nie należy przejmować się niewiadomymi, w każdym razie do momentu, gdy człowiek się na nie natknie. Jeżeli tak się stanie, wiedział, że dzięki swojej staranności, koncentracji na wyznaczonym zadaniu oraz zaangażowaniu, z Bożą pomocą - uśmiechnął się do siebie z tego zarciku - jakoś sobie z nimi poradzi.

Z zadumy wyrwała go komórka. Rozmówcę rozpoznał już po rodzaju dzwonka, a szybki rzut oka na ekran przed odebraniem telefonu potwierdził jego przypuszczenia.

Pocisk jak zwykle przeszedł do rzeczy. Tego wieczoru rozmawiali już dwukrotnie.

- Dzwonił do mnie nasz przyjaciel z Meade.

- Icq?

- Trafił na coś. Rozmowa telefoniczna, której obaj uczestnicy są na naszej liście.

Drucker przez chwilę analizował w duchu wieści. Pocisk, czyli Brad Maddox, już na wstępie zasugerował wykorzystanie jednego z jego ludzi w Narodowej Agencji Bezpieczeństwa, by - po cichu - monitorować niespodziewane kłopoty. Choć Drucker sądził początkowo, że ryzyko wpadki jest w tym wypadku większe niż potencjalne korzyści, wyglądało na to, że to Maddox miał rację. W sumie właśnie dlatego odpowiadał za bezpieczeństwo projektu.

- Słyszałeś nagranie? - zapytał Drucker.

- Tak.

- Mamy powody do zmartwienia?

- Moim zdaniem tak. Sama rozmowa była zbyt krótka, żeby cokolwiek z niej wywnioskować, ale czas, w którym została wykonana, nie jest przypadkowy.

Drucker się skrzywił.

- Kim są rozmówcy?

- Jeden to technik, inżynier z Bostonu. Vince Bellinger. W collegeu był współlokatorem Dannyego Sherwooda. I bliskim przyjacielem. Najlepsi kumple. Drugi to brat Sherwooda, Matt.

W oczach Druckera na chwilę pojawił się niepokój.

- I wcześniej do siebie nie dzwonili?

- Ostatni raz kontaktowali się ze sobą prawie dwa lata temu.

Drucker się zamyślił. Dwa lata temu obaj mieli naturalny powód do tego, żeby pozostawać w kontakcie. Ale to, że postanowili ponownie sobie pogadać akurat w tym momencie, faktycznie było zastanawiające.

- Rozumiem, że kontrolujesz sytuację.

Maddox odpowiedział głosem tak obojętnym, jak gdyby był na środkach uspokajających.

- Tylko cię informuję..

- Świetnie. Miejmy nadzieję, że to zbieg okoliczności.

- Nie wierzę w zbiegi okoliczności - rzekł Maddox.

- Ja też nie, niestety - odparł Drucker. Następnie, jakby po chwili namysłu, zapytał: - A dziewczyna?

- Czeka, żeby ją zdjąć.

- W tym wypadku musisz być jeszcze bardziej dyskretny - ostrzegł go Drucker. - Ona jest kluczem do wszystkiego.

- Nie będzie sprawiać problemów - zapewnił go Pocisk. - Moi chłopcy są gotowi. Powiedz tylko słowo.

- Już wkrótce. Informuj mnie na bieżąco, co ze współlokatorem.

Drucker się rozłączył. Przez chwilę wpatrywał się w telefon, a potem wzruszywszy ramionami, wsunął go z powrotem do wewnętrznej kieszeni marynarki. Spojrzał na smugi czerwonego oraz białego światła, przesuwane się za mokrym oknem, i zaczął rozważać kolejną myśl.

Początek mieli wyśmienity, bez wątplenia.

Ale najtrudniejsze było jeszcze przed nimi.

ROZDZIAŁ 8.

Morze Amundsena, Antarktyda

Gracie pokręciła głową, patrząc, jak ekran blednie i rozmywa się w szarości. Adrenalina, która dotąd krążyła w jej żyłach, zaczęła ustępować i dziennikarka poczuła się nagle wyczerpana, wyżęta przez huragan podekscytowania, konsternacji i strachu. Pomyślała o kolejnej filiżance kawy serwowanej na okręcie, zaskakująco przyzwoitej.

- Zobaczmy to jeszcze raz - zaproponował Daltonowi jeden z naukowców.

Kamerzysta spojrział na Gracie. Ta wzruszyła ramionami, a potem wstała i podeszła do baru w rogu pomieszczenia, gdzie mogła zaaplikować sobie kolejną dawkę kofeiny. Czowała suchość oraz szorstkość w gardle i do końca straciła poczucie czasu. W dodatku dzień nie miał zamiaru zamienić się w noc, co bynajmniej nie polepszało jej humoru.

Po zniknięciu zjawiska jeszcze przez jakąś godzinę stali na pokładzie, przyglądając się niebu, aż wreszcie postanowili zejść na dół i się ogrzać. Kilku członków załogi trzymało wartę, na wypadek gdyby obiekt znowu się pojawił, a Gracie i pozostali zgromadzili się w przeznaczony dla oficerów i naukowców kantynie - nazywanej tak nieco na wyrost - gdzie na wielkim plazmowym ekranie puścili nakręcony przez obie kamery Daltona materiał. Obejrzawszy go kilka razy, po niezliczonych filiżankach kawy, ani odrobinę nie zbliżyli się do wyjaśnienia tego, czego byli świadkami.

Wygodna opcja uznania zjawiska za spektakularny fenomen przyrodniczy szybko została odrzucona. Oczywiście kandydaci - światła południowej zorzy polarnej, białe tęcze czy zielone promienie - nie bardzo pasowali. Krótką debatę wywołał jedynie pomysł, że było to coś o nazwie „diamentowy proszek”. Gracie nigdy o nim nie słyszała. Simmons wyjaśnił, że przyczyną tego zjawiska są kryształki lodu tworzące się w atmosferze ze skondensowanej pary wodnej. Gdy opadając na ziemię pod odpowiednim kątem, łapią światło słoneczne, emitują jaskrawą, mieniającą się łunę, czasami przybierającą formę halo. Mogłoby to jednak co najwyżej wyjaśnić pierwszą część zjawiska, nie tłumacząc w dodatku jego ogromu. Olśniewający znak, w jaki się zamieniło, nadal pozostawał w tym wypadku zagadką.

Rozejrzawszy się po kantynie, Gracie doszła do wniosku, że dyskusja robi się czysto akademicka. Mimo gorącej atmosfery debat i wagi padających argumentów naukowcy czepiali się tylko szczegółów, pomijając to, co oczywiste. Z napiętych twarzy, drżących głosów i nerwowych spojrzeń można było jasno wyczytać, iż żaden ze zgromadzonych tak naprawdę nie wierzy, że był świadkiem naturalnego fenomenu przyrodniczego. A przecież nie miała do czynienia z grupą laików podatnych na podszepty wyobraźni. Wokół siedzieli wysoko wykwalifikowani naukowcy, eksperci w swoich dziedzinach, doskonale obeznani z panującymi w regionie warunkami. I wszyscy byli autentycznie wstrząśnięci tym, co

zobaczyli. Co mogło oznaczać tylko jedną z dwóch rzeczy. Skoro zjawisko nie było naturalne, to albo wywołał je człowiek, albo było nadprzyrodzonej natury.

Łatwiej było pogodzić się z pierwszą możliwością.

Dalton odwrócił się od ekranu i zmarszczył brwi.

- Słuchajcie, skoro to nie jest wybryk natury, to może jacyś debile robią sobie z nas jaja?

- Myślisz, że to wygłup? - zapytała Gracie.

- No właśnie. Pamiętacie, jak kilka lat temu nad Nowym Jorkiem rzekomo pojawiło się UFO? Udało się o tym przekonać pół miasta. Tymczasem okazało się, że to tylko kilku koleś postanowiło sobie pofruwać w szyku mikrolotami.

- Z drugiej strony, nikomu nie udało się dotąd wyjaśnić natury światła, które zaobserwowano nad Phoenix w 7 roku - zauważył jeden z naukowców, niejaki Theo Dinnick, geofizyk z kocią bródką. Przywołane przez niego zjawisko, którego świadkiem były setki niepowiązanych ze sobą, w pełni wiarygodnych widzów, ciągle pozostawało tajemnicą.

- Zapominasz, że nasze cudo pojawiło się w świetle dziennym - przypomniała mu Gracie.

Simmons, paleoklimatolog z lornetką, pokiwał z powątpiewaniem głową.

- Jeśli to wygłup, chciałbym spotkać gości, którzy za tym stoją, i dowiedzieć się, jak zdołali uzyskać taki efekt, ponieważ ciągle nie jestem w stanie go wyjaśnić.

Gracie rozejrzała się po pomieszczeniu. Jej wzrok zatrzymał się na Musgravię, glaciologu, który tak się zdenerwował na pokładzie, oraz jego żonie. Oboje siedzieli w milczeniu i nie uczestniczyli w dyskusji. Wyraźnie wzbudzała w nich zażenowanie - od czasu do czasu wymieniali znaczące spojrzenia. Musgrave wydawał się naprawdę poirytowany i wreszcie wstał.

- Na litość boską, ludzie! Nie mówicie chyba poważnie! - zawołał. - Widzieliście to. Wszyscy to widzieliśmy. Naprawdę sądzicie, że coś tak cudownego, tak... wzniosłego... Naprawdę uważacie, że to tylko prymitywny dowcip?

- A co ty o tym sądzisz? - zapytał Simmons.

- Czy to nie oczywiste? To znak.

- Znak?

- Znak - powtórzył. - Od Boga.

Po jego słowach zapadła grobowa cisza.

- Dlaczego od Boga? Dlaczego nie od obcych? - zapytał w końcu Dalton.

Musgrave obdarzył go spojrzeniem zimnym jak lód.

Dalton nawet nie drgnął.

- Poważnie."To była pierwsza rzecz, jaka przyszła mi do głowy, jak tylko to zobaczyłem.

- Nie bądź żalosny.

Naukowiec nawet nie próbował zamaskować potępienia, które wyraźnie zabrzmiało w jego głosie.

- Dlaczego to jest żalosne? - nie ustępował Dalton. - Twierdzisz, że to zjawisko nadprzyrodzone, prawda? Radośnie przyjmujesz pogląd, że to „Bóg” - kamerzysta palcami zaznaczył w powietrzu cudzysłów - cokolwiek to znaczy, ale odrzucasz pomysł, że to coś pozaziemskiego, że wywołała to inteligentna forma życia pochodząca z innej planety. Dlaczego moje wyjaśnienie jest bardziej żalosne od twojego?

- Być może to ostrzeżenie - podpowiedziała żona Musgrave'a.

- Co? - zdziwił się Simmons.

- Może to ostrzeżenie. Znak pojawił się tutaj, teraz, nad lodowcem szelfowym. W czasie jego rozpadu. To nie może być przypadek. To nie wydarzyło się bez przyczyny. Może ma nam coś powiedzieć.

- A ja wam powiem, co mi to mówi - nie dał się uciszyć Dalton. - Mówi mi, że powinniśmy stąd spieprzać, zanim pojawi się na nowo. Takie coś nie wróży niczego dobrego.

- Na Boga! - wybuchnął Musgrave. - Albo mówimy poważnie, albo...

- W porządku, uspokójcie się - przerwała mu Gracie, odwracając się zaraz do Daltona i karcąc go spojrzeniem. - Wszystkim nam puszczają nerwy.

Dalton skinął głową i odchylił się w krześle, biorąc głęboki wdech.

- Muszę przyznać, że się z nim zgadzam - powiedział Simmons, wskazując na kamerzystę. - Chodzi o to, że przecież wszyscy jesteśmy naukowcami i nawet jeśli nie specjalizujemy się w laserach, hologramach czy czymkolwiek innym, czym to, do diabła, było, zdajemy sobie chyba sprawę, iż biorąc pod uwagę całą naszą wiedzę, to, co zobaczyliśmy, znacznie wykracza poza wszystko, co naszym zdaniem jest wykonalne pod względem technologicznym. To zaś, że nie potrafię wyjaśnić zaobserwowanego zjawiska, w równym stopniu mnie ekscytuje, co przeraża. Ponieważ jeśli nie był to jakiś pokaz laserowy, jeżeli nie było to dziełem DARPA*, jakiegoś japońskiego laboratorium czy Doliny Krzemowej - jeśli to nie powstało na naszej planecie... To albo jest to, jak twierdzi Greg, dzieło Boga, albo, jak uważa nasz przyjaciel, zjawisko o proveniencji pozaziemskiej. Szczerze mówiąc, w obu wypadkach byłoby to coś zdumiewającego i właściwie nie widzę tu specjalnej różnicy.

- Jak to, nie widzisz różnicy? - rozsierdził się Musgrave.

- Nie chciałbym wchodzić z tobą w spór natury teologicznej, Greg, ale...

-...ale najwyraźniej nie wierzysz w Boga, nawet jeśli przed chwilą na własne oczy widziałeś cud, a zatem wszelkie spory są tutaj bezcelowe.

* DARPA - Defense Advanced Research Project Agency, Agencja Zaawansowanych Obronnych Projektów Badawczych (wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza).

- Nie, nie to chciałem powiedzieć - odparł spokojnie Simmons. - Po- słuchaj, jeśli twierdzisz, że Bóg istnieje, przyznajesz zarazem, że nasz Stwórca z jakiegoś powodu wybrał ten dzień, to miejsce, to wydarzenie oraz tę metodę, by objawić się nam tu dziś...

- Nie wiemy przypadkiem - przerwała mu Gracie - czy coś podobnego nie pojawiło się również w innych miejscach? Czy ktoś sprawdzał wiadomości?

- Właśnie odebrałem telefon z redakcji - powiedział Finch. - Nic nie wiadomo, by zjawisko zostało zaobserwowane również gdzie indziej.

- W porządku, skoro więc On wybrał nas, by objawić się tu i teraz

- kontynuował Simmons - to zakładam, że miał ku temu jakiś powód, mam nadzieję, że dobry.

- Połowa lodowca szelfowego Antarktydy Zachodniej osunęła się do morza. Potrzebujesz jeszcze jakiegoś powodu? - zapytała poirytowanym głosem żona Musgravea.

- Jak sądzicie, dlaczego się tutaj znaleźliśmy? - dodał jej małżonek.

- Dlaczego tu jesteśmy? - Rozejrzał się gorączkowo po pomieszczeniu, zatrzymując w końcu wzrok na jednym z brytyjskich naukowców. - Justin, dlaczego tu jesteśmy?

- Anglia jest położona na tej samej szerokości geograficznej co Alaska

- wyjaśnił mężczyzna. - Przy życiu utrzymuje ją tylko i wyłącznie Gólfstrom. Jeśli zaniknie, a tak właśnie się stanie, gdy stopnieje lód... Pamiętacie ten film, w którym Manhattan pogrążył się całkowicie w śniegu i lodzie? To właśnie się stanie z Londynem. Oraz, przy okazji, z większą częścią Europy.

- No właśnie - podkreślił Musgrave. - Znaleźliśmy się tutaj, ponieważ coś nas niepokoi. Wszystkie znaki na niebie i ziemi wskazują, że mamy cholernie poważny problem i może Jo - ten cud - ma nas upomnieć, żebyśmy coś z tym zrobili.

Gracie i Finch wymienili pełne wątpliwości spojrzenia.

- W porządku, niech będzie - ustąpił Simmons. - Chodzi mi tylko o to, że jeśli jest jakiś powód, jeśli to było ostrzeżenie, to... Dlaczego nie mogło pochodzić od jakichś bardziej rozwiniętych istot?

- Zgadzam się z tym młodym człowiekiem - rzekł z rozbrajającym uśmiechem Dinnick, wskazując na Daltona. - To tak samo niedorzeczne.

Żona Musgrave'a ledwo już nad sobą panowała.

- Dyskusja z wami oboma nie ma sensu. Nie potraficie otworzyć umysłów na różne możliwości.

- Przeciwnie, otwieramy je na wszystkie możliwości - sprzeciwił się Dinnick. - I mówimy o jakiejś jednostce nawiązującej z nami kontakt - kiwnął głową w stronę Simmonsa - być może, żeby nas ostrzec, co faktycznie mogłoby wyjaśnić tu i teraz owego zjawiska... Cóż, jeśli ty uznajesz ideę kreatora, kreacjonizmu, inteligentnego projektu... Dlaczego ten inteligentny projektant nie mógłby być przedstawicielem bardziej rozwiniętej rasy?

Musgrave był już naprawdę wściekły.

- Nie znajdziesz Boga w żadnym ze swoich powieściodeł science fiction - zaprotestował. - Nie masz bladego pojęcia, co tak naprawdę oznacza wiara.

- To żadna różnica. W kontekście aktualnych możliwości wszystko to jest niepojęte, zgadza się? - nie odpuszczał Dinnick.

- Wierz sobie, w co chcesz. Wychodzę! - zawołał Musgrave i wybiegł z kantyny.

Jego żona wstała. Rozejrzała się po twarzach zgromadzonych, a na jej obliczu malowały się jednocześnie gniew, pogarda i politowanie.

- Myślę, że wszyscy doskonale wiemy, co widzieliśmy - powiedziała i ruszyła za mężem.

W pomieszczeniu zaległa krępująca cisza.

- Stary, facet najwyraźniej nie słyszał o scjentologii - zażartował Dalton, wywołując kilka nerwowych chichotów.

- Muszę przyznać - odezwał się w końcu brytyjski naukowiec - że kiedy tam byłem, kiedy na to patrzyłem... było w tym coś jakby... świętego.

Rozejrzał się, szukając u innych aprobaty. Kilku jego kolegów skinęło głowami.

Szczerota bijąca z jego słów uderzyła nagle Gracie. Ich proste, brutalne niemal znaczenie poruszyło ją i przyprawiło o dreszcz silniej niż wiatr dmący na górze na lodzie. Przysłuchując się padającym w kantynie argumentom, zagubiła się w ich treści i niemalże straciła poczucie ogromnej wagi tego, o co się spierali. To, co się wydarzyło, czego byli świadkami... nie dało się tego zrozumieć. Rozum tego nie ogarniał. Nie uwierzyłaby, gdyby nie zobaczyła tego na własne oczy.

Ale zobaczyła.

Jej umysł podążał swobodnie za różnymi ewentualnościami. „Czy to możliwe?” - zastanawiała się. Czy to możliwe, że byli właśnie świadkami przełomowego momentu w historii ludzkości, że od teraz historię będzie się dzieliło na okres „przed” i „po” tym wydarzeniu?

Wrodzony sceptycyzm, sceptycyzm zatwardziałej realistki, kazał jej przestać snuć tego rodzaju wyimaginowane domysły i powiedzieć im stanowczo: „Nie”.

To niemożliwe.

A jednak... Nie mogła pozbyć się wrażenia, że oto stanęła przed czymś transcendentnym. Nigdy przedtem czegoś takiego nie czuła.

Powstrzymała drżenie i spojrzała niepewnie na Fincha.

- Co mówią? - zapytała cicho, nie chcąc, by usłyszeli ją inni.

- Próbują znaleźć kogokolwiek, kto mógłby to jakoś rozgryźć - odparł. - I odbierają telefony od redakcji z całego świata, które chcą się dowiedzieć, co się dzieje. Ogilvy kazał nam wysłać migiem porządny skrót materiału - dodał znacząco. Hal Ogilvy był generalnym dyrektorem sieci do spraw informacji i członkiem rady nadzorczej całej korporacji.

- Jasne - skinęła głową. - Musimy trochę podzwonić. Jak myślisz, możemy zarezerwować salę konferencyjną?

- Chyba tak - potwierdził Finch. - Chodźmy stąd.

- Amen - dodał Dalton.

Reakcją na jego słowa był grad niezbyt rozbawionych spojrzeń.

Kameryzysta uśmiechnął się z zażenowaniem.

- Przepraszam - powiedział i wyszedł z kantyny.

Ruszyli w milczeniu korytarzem, ciągle odczuwając wagę diskutowanych problemów. Gdy dotarli do klatki schodowej, Gracie zauważyła, że Dalton jest wyraźnie zmartwiony.

- Co? - zapytała.

Zatrzymał się, zawahał, a potem powiedział:

- A co, jeżeli ten bogobojny świrus ma rację?

Pokręciła głową.

- Musi być lepsze wyjaśnienie.

- A co, jeżeli nie ma?

Gracie zastanawiała się przez chwilę.

- Cóż - stwierdziła ponuro - jeśli Bóg rzeczywiście istnieje, to jak na kogoś, komu kiedyś udało się całkowicie mnie przekonać, że nie istnieje, wybrał sobie cholernie zły moment, żeby się objawić.

ROZDZIAŁ 9

Wadi anNatrun, Egipt

Ciszę panującą w górach zakłóciły ciężkie oddechy i powolne stąpanie trzech mężczyzn mozolnie wspinających się stromym zboczem. Każdy ich krok, każde osunięcie luźnego fragmentu skały czy okrągłego kamienia odbijało się szerokim echem, zwielokrotnionym w surowej, wyschniętej na wiór martwocie otaczających wędrowców gór. Noc była bezksiężycowa i pomimo gasnącego światła gwiazd do ich serc zdążył już wkraść się ponury nastrój wywołany pierwszymi oznakami jutrzeńki oraz przejmującą pustką wokół.

Jusuf prosto z kawiarni pojechał do klasztoru. Jak wielu innych pobożnych koptyjskich chrześcijan, taksówkarz w miarę możliwości starał się jak najwięcej łożyć na monastyr, dostarczając mnichom za darmo owoce i warzywa od swojego brata, właściciela straganu na rynku, oraz pomagając im przy różnego rodzaju pracach. Robił to, odkąd pamiętał, i znał klasztor jak własną kieszeń. Dlatego właśnie bywał w jaskini, co kilka tygodni zaopatrując w niezbędne produkty pustelnika, który był jej jedynym lokatorem, i dlatego widział to, co znajdowało się w jej wnętrzu.

Wyjąkawszy słowa najszczerzych przeprosin, wyrwał mnicha, którego znał najlepiej - młodzieńca zwanego bratem Aminem, o bystrych szarozielonych oczach i towarzyskim usposobieniu - z głębokiego snu, przekazując mu zdumiewające wieści. Amin na tyle dobrze znał Jusufa, by uwierzyć mu na słowo, i wychwyciwszy panikę w głosie starego taksówkarza, zaprowadził go do celi opata klasztoru, ojca Cyryla. Ten wysłuchał gościa i niechętnie zgodził się pojechać z nim o tej pogańskiej godzinie z powrotem do kawiarni.

W klasztorze, rzecz jasna, nie było sali telewizyjnej, mnisi musieli zatem obejrzeć materiał w telewizorze w kawiarni. Głęboko nimi wstrząsnął. I choć nie mieli powodów, by wątpić, że Jusuf ma rację, musieli uzyskać całkowitą pewność.

I to bezzwłocznie.,

Jusuf zawiózł ich z powrotem do klasztoru, gdzie niecierpliwie zaczęli odliczać godziny. Następnie, o świcie, podrzucił ich dziesięć kilometrów dalej, na skraj pustyni, gdzie z morza piachu wyrastała goła, opustoszała grań. Stamtąd wszyscy trzej mężczyźni wyruszyli

na ponadgodzinną wspinaczkę, w czasie której zatrzymali się tylko raz, by wypić łyk wody ze skórzanej tytkwy niesionej przez młodego mnicha.

Wyprawy w żadnym razie nie można było nazwać bułką z masłem. Strome, nierówne zbocze góry - jałowy, księżycowy krajobraz, w który układały się luźne kruszejące skały - bywało zdradzieckie i trudne do pokonania w świetle dziennym, a co dopiero w prawie całkowitych ciemnościach, rozpraszanych jedynie słabymi snopami światła z tanich latarek, które miały wskazać im drogę przez pograżony w mroku stok. Nikt z nich nie znał zbyt dobrze trasy. Jaskinię rzadko odwiedzali goście. Mnisi starali się odwozić potencjalnych chętnych od wizyt na tym jałowym pustkowiu, szanując decyzję zdeterminowanych braci, którzy co jakiś czas decydowali się zamieszkać w tej pustelni. Mężczyźni dotarli do niewielkiego przejścia prowadzącego do wnętrza jaskini. Strzegły go jedynie proste drewniane drzwi, zabezpieczone starą zardzewiałą zasuwą. Obok wydrążone było w skale niewielkie okno o drewnianej ramie. Opat, zadziwiająco wysportowany mężczyzna o przenikliwych, choć życzliwych oczach, ciemnej, ogorzalej cerze i porośniętej brodą twarzy, wyłaniającej się spod wyszywanego kaptura czarnej sutanny, błysnął latarką w okno, zajrzał do środka, a potem zawahał się i cofnął o krok. Spojrzał na Aminę, nie bardzo wiedząc, czy powinien wejść do środka. Młody mnich wzruszył ramionami. On też nie wiedział.

Na twarzy opata pojawił się wyraz determinacji. Dłonią trzęsącą się bardziej ze zdenerwowania niż z zimna zastukał cicho, z wahaniem, w drzwi. Minęło kilka sekund, ale z wnętrza nie dobiegła żadna odpowiedź. Mnich spojrział znowu na towarzyszy i spróbował raz jeszcze. I znowu nic.

- Zaczekajcie tutaj - powiedział. - Może nas nie słyszy?

- Wchodzi ojciec? - zapytał Amin.

- Tak. Bądźcie cicho. Nie chciałbym naruszać jego spokoju.

Amin i Jusuf skinęli głowami.

Opat zebrał się w sobie, delikatnie przesunął rygiel i pchnął drzwi.

We wnętrzu jaskini - naturalnej groty wydrążonej w wapieniu - panowały przygnębiające ciemności i przenikliwy chłód. Komnata, w której znalazł się mnich - pierwsza z trzech - była zdumiewająco duża. Pustkę w środku urozmaicały jedynie proste, ręcznie wykonane meble: siermiężny fotel, niski stolik naprzeciwko oraz kilka krzeseł. Przy oknie stało biurko i kolejny fotel. Opat skierował w tamtą stronę snop światła. Na blacie zauważył zeszyt w linie, na którego otwartych stronicach leżało wieczne pióro. Stos podobnych sfatygowanych notatników dostrzegł również na parapecie obok okna.

Na ułamek sekundy wrócił myślami do tych zeszytów. Do ich gęsto, w szaleńczym tempie zapisanych stronic, na które mógł tylko rzucić okiem, ale których nigdy nie pozwolono mu przeczytać. Do tego, jak to wszystko się zaczęło, kilka miesięcy temu, zupełnie niespodziewanie.

Do tego, jak go znaleźli.

Ido cudownego - słowo to nagle w jego uszach zabrzmiało zupełnie inaczej niż do tej pory - sposobu, w jaki się u nich pojawił.

Opat stłumił te myśli i odwrócił się. Doszedł do wniosku, że pozostali mogą poczekać.

Opuścił snop światła na podłogę i przez chwilę stał bez ruchu, nasłuchując. Nic nie usłyszał. Powoli, z wahaniem, ruszył w głąb jaskini, docierając po chwili do niewielkiego kącika, w którym znajdowało się wąskie łóżko.

Było puste.

Rozejrzał się, omiatając latarką ściany jaskini i czując, że gwałtownie przyspiesza mu puls.

- Ojciec Jerome!? - zawołał drżącym głosem, a jego słowa rozbrzmiały donośnym echem w pustej komnacie.

Nikt nie odpowiedział.

Zrezygnowany wrócił do głównego pomieszczenia i spojrzał na ścianę.

Drżącą dłonią uniósł latarkę, oświetlając skałę, która zaginała się w miejscu sufitu na kształt kopuły. Serce waliło mu jak młotem, gdy przyglądał się jej powierzchni, błędząc po niej światłem od wejścia do jaskini aż do ginącego w mroku przeciwległego krańca.

Znaki wyglądały dokładnie tak, jak je zapamiętał.

Jeden symbol, starannie wymalowany białą farbą na gładkiej powierzchni skały, powtarzający się w nieskończoność, pokrywający każde wolne miejsce we wnętrzu jaskini.

Wyraźnie rozpoznawalny symbol.

Ten sam, który właśnie zobaczył w telewizji, wymalowany na niebie nad Antarktydą.

Jusufaniał rację.

I dobrze zrobił, przychodząc do nich.

Nie odrywając oczu od znaków, Cyryl opadł powoli na kolana i zaczął się bezgłośnie modlić.

ROZDZIAŁ 10

Ojciec Jerome, przykucnąwszy na szczycie jałowej góry, wysoko nad jaskiniami, kontemlował rozciągający się przed nim krajobraz. Słońce wylało się zza gór, podświetlając falujące korony szczytów i barwiąc niebo na łagodny, złotoróżowy kolor.

Szczupły starzec o siwych, przyciętych tuż przy skórze włosach, w okularach w drucianych oprawkach i w długiej do ziemi białej szacie, większość poranków i wieczorów spędzał w tym właśnie miejscu. Choć wspinaczka po skalistym, kruszącym terenie była niemal nad siły jego wątłego ciała, potrzebował ucieczki od klaustrofobicznej pustki oraz ciasnoty jaskini. I pewnego dnia odkrył, że góry dają mu coś, czego się nie spodziewał, co daleko wykraczało poza podziw wywołany cudem Bożego stworzenia.

Nadal nie wiedział, co go tam przywiodło, co kazało mu znaleźć się w tym miejscu. Nie on pierwszy przybył do tej doliny, by stać się sługą wiary i chwalić Pana. Kroczył ścieżką wytyczoną przez wielu innych, którzy robili to samo od setek lat. Mężów takich jak on, mężów głębokiej wiary, którzy podobnie odczuwali bliskość Bożego pierwiastka, spoglądając na to czyste i potężne, szerokie i jałowe pustkowie rozciągającej się poniżej doliny. Ale im więcej o tym myślał w czasie niezliczonych nocy spędzonych w jaskini, tym trudniej było mu wytłumaczyć istotę wezwania, jakie kazało mu opuścić sierociniec, który właśnie otworzył - kilkaset kilometrów na południe, przy granicy z Sudanem - i zawędrować na pustynię, samotnemu i ciągle niegotowemu na to, co go czekało. Być może nie dało się tego wyjaśnić. Być może po prostu wzywała go w ten sposób siła wyższa - a na takie wezwanie nie mógł nie odpowiedzieć.

Ale mimo to z jakiegoś powodu myśl ta go... przerażała.

Kiedy się nad tym zastanawiał, wiedział, że nie powinna. To była przecież łaska Pana, błogosławieństwo. Pokazano mu drogę, kazano udać się w podróż, i nawet jeśli nie rozumiał czy nie wiedział, dokąd ma go zaprowadzić, nadal to, że spotkała go tak wielka łaska, było dla niego ogromnym zaszczytem. Ale mimo to...

Najbardziej przerażały go noce. Samotność, jaką odczuwał w jaskini, czasem była paralizująca. Zdarzało się, że zrywał się z łóżka zlany zimnym potem, obudzony wyciem wiatru czy dzikich psów wałęsających się po jałowych wzgórzach. Wtedy właśnie zdawał sobie w przejmujący sposób sprawę, w jakim znajdował się odosobnieniu. Góry były przerażającym miejscem. Niewielu potrafiło w nich przeżyć. Najdawniejsi asceci, pustelnicy, którzy na długo przed nim wycofali się z ziemskiego życia i zamieszkali w jaskiniach, wyruszali tam, by zbliżyć się do Boga, wierząc, że jedyną ścieżką ku oświeceniu, ku poznaniu Pana, jest właśnie tego rodzaju odosobnienie. W tych skalistych, jałowych górach mogli uniknąć pokusy, mogli uwolnić się z wszelkich pozostałości ziemskich pragnień i skupić na

jedynej czynności, która przybliżała ich do Boga: modlitwie. Ale dla tych, którzy obrali tę drogę, góry były również polem bitwy. Przybywali tam modlić się za bliźnich, wierząc, że bezustannie są atakowani przez demony, a zatem nikt nie jest przez nie gnębiony silniej niż oni sami, jako że według ich przekonania, im żarliwiej pogrążali się w modlitwie, tym bardziej byli narażeni na ataki sił zła, z którymi walczyli w imieniu ludzkości.

Gdyby zapytać o to ojca Jerome, zanim jeszcze zamieszkał w górach, odparłby, że nie zgadza się z taką ponurą wizją świata. Teraz jednak, po miesiącach spędzonych w jaskini, po mękach, jakimi były dla niego samotne rozmyślenia, nie był już tego taki pewien.

Mimo to musiał iść przed siebie. Musiał się zmierzyć z wyzwaniem, jakie go czekało, i nie opierać się mu.

Takie było jego powołanie.

Dni męczyły go o wiele mniej. Kiedy nie przebywał na górze, spędzał je na milczącej kontemplacji, na modlitwie lub pisaniu. Tego też nie potrafił zrozumieć, to też nie dawało mu spokoju.

Pisanie.

Wydawało się, że słowa nie mają końca, że nie mają końca myśli, idee, obrazy - w szczególności ten obraz - które zalewały jego umysł. I kiedy ogarniało go natchnienie - Boże natchnienie, z czego zdawał sobie sprawę, zarazem oszałamiające i przerażające - pióro nie było w stanie nadążyć za strumieniem jego myśli. Najgorsze, że tak naprawdę nie był pewien, skąd pochodzą. Odzywały się w jego głowie, zapisywała je jego dłoń, a mimo to wydawało mu się, że rodzą się gdzie indziej i przepływają przez niego jak przez naczynie, kanał wykorzystywany przez istotę wyższą lub wyższy intelekt. Co, rzecz jasna, również było łaską. Ponieważ słowa te bez wątpienia były piękne, nawet jeśli niekoniecznie zgadzały się z jego osobistym rozumieniem nauki Kościoła.

Przez chwilę chłonął widok, morze ozdobionych aureolami szczytów, po czym zamknął oczy i odchylił nieco głowę, oczyszczając umysł i przygotowując się na to, co - jak dobrze wiedział - nastąpi. Po kilku minutach, tak jak zawsze, zaczęło się. W uszach zabrzmiał mu potok słów, tak wyraźnych, jak gdyby ktoś klęczał obok i szeptał mu je do ucha.

Rozpromienił się wewnątrz, skupiony, skoncentrowany, czując, że wschodzące słońce pieści jego twarz, i spijał te słowa, które - tak jak zawsze, gdy przeżywał objawienie - były po prostu cudowne.

ROZDZIAŁ 11

Boston, Massachusetts

Gdy Bellinger wysiadał z taksówki na pogrążony w półmroku chodnik przed niewielkim barem przy Emerson, cichej, wąskiej uliczce w południowym Bostonie, padał śnieg.

Było późno i natychmiast zaatakował go mróz. Wprawdzie w okresie przedświątecznym trudno oczekiwać upałów, ale wszystko wskazywało na to, że nadchodząca zima okaże się wyjątkowo surowa. Skręcał właśnie do baru, gdy nagle wpadł na kobietę, która wyłoniła się z ciemności. Oskoczyła, wystraszona, odruchowo unosząc w obronnym geście dłonie, zaraz jednak przeprosiła Bellingera, wyjaśniając urywanym głosem, że próbowała złapać odjeżdżającą taksówkę. Okrążyła go w pośpiechu, machając na kierowcę, a naukowiec zdążył rzucić przelotnie okiem na jej twarz - bardzo atrakcyjną i o delikatnych rysach, zagubioną w burzy kasztanowych, długich do ramion włosów i wciśniętą w wywrócony na drugą stronę kołnierz płaszcza. Sytuacja była dosyć niezręczna. Nie dosyć, że świat wokół przesłaniała cienka warstwa śniegu i ciemności, to jeszcze jego myśli również wydawały się pogrążone we mgle, i zanim zdołał wyjąkać niezdarne przeprosiny, dziewczyna wskoczyła do taksówki i odjechała.

Stał przez chwilę w miejscu, patrząc, jak samochód oddala się i znika za rogiem, po czym ocknął się i ruszył w stronę baru.

Miejsce spotkania wybrał Matt Sherwood. Była to typowa, skromna bostońska knajpka. Tanie piwo, półmrok, skrzydełka z kurczaka po dwadzieścia pięć centów i strzałki. Wnętrze zdobiły niezbyt wyszukane świąteczne dekoracje - tani szmelc produkowany w Chinach z cienkiego jak papier plastiku i kolorowej folii aluminiowej. W barze panował ruch, ale nie było w nim tłoczno, co dokładnie odpowiadało potrzebie chwili. Bellinger wolałby, żeby nikt nie podsłuchiwał ich rozmowy.

Zatrzymał się przy drzwiach, obrzucając wzrokiem wnętrze knajpki, i zdał sobie sprawę, że podświadomie szuka niewidzialnego zagrożenia, co go bardzo zdziwiło. Nie był typem paranoika. Zbeształ sam siebie i spróbował stłumić niepokój, ale gdy wchodził dalej, szukając Matta, paranoja nie ustępowała.

Klienci lokalu nie tworzyli jednolitej grupy. Trzymający się razem młodzi, modnie ubrani pracownicy korporacji popijający wieczornego drinka stanowili kontrast z samotnymi, osowiałymi ómami barowymi, przycupniętymi na stołkach przy barze niczym narkoleptyczne sępy, wpatrującymi się pozbawionymi wyrazu oczami w stojące przed nimi szklanki. Muzyka - rock z lat osiemdziesiątych dobiegający z szafy grającej po przeciwnej stronie knajpy - była dosyć głośna, co również odpowiadało Bellingerowi. Mogli rozmawiać, nie bojąc się, że ktoś

ich usłyszy, pomyślał naukowiec - w tym samym momencie zdał sobie sprawę, że zazwyczaj takie rzeczy nie chodzą mu po głowie.

Zwykle nie czuł również kropel potu na czole, gdy przekraczał próg baru. Zwłaszcza w Bostonie. W grudniu. Kiedy na zewnątrz pada śnieg.

Zauważył Matta w boksie w kącie. Kiedy przeciskał się do niego przez tłum pijących, nagle zadzwonił mu telefon. Zatrzymał się, by wyciągnąć aparat z kieszeni i sprawdzić, kto go niepokoi. Okazało się, że to Jabba. Postanowił zignorować natręta; wsunął komórkę z powrotem do kieszeni i usiadł obok Matta.

Choć Sherwood garbił się nad drinkiem, trudno było nie zauważyć jego zwalistej sylwetki. Miał ponad metr dziewięćdziesiąt wzrostu, a zatem był o głowę wyższy od Bellingera. Nie zmienił się zbytnio przez te dwa lata, kiedy się nie widzieli. Nadal miał kanciastą, ponurą twarz i ciemne włosy, ostrzyżone na krótko, jego oczy ciągle były ciche, skupione, przyglądały się ludziom i rejestrowały wszystko, nie ujawniając prawie niczego w zamian. Bellingerowi wydawało się, że wyczuł jedynie drobne zmiany, i to na lepsze. Co zresztą go nie zdziwiło, biorąc pod uwagę okoliczności. Ostatnim razem spotkali się mniej więcej w okolicach pogrzebu Dannyego. Matt i jego młodszy brat byli ze sobą zżyci, i nagle, nieoczekiwana śmierć Dannyego wstrząsnęła rodziną, którą zresztą wkrótce miała spotkać jeszcze większa - i wiele gorsza - tragedia.

Co sprawiało, że wracanie do niej było jeszcze trudniejsze.

Bellinger usiadł na ławie, nie zdejmując nawet płaszcza, a Matt przywitał go skinieniem głowy.

- Co się dzieje?

Naukowiec przypomniał sobie, że brat jego przyjaciela był właśnie taki. Lakoniczny, zawsze przechodził do rzeczy. Ten człowiek nie miał zamiaru kluczyć, co zresztą było zrozumiałe. Matt Sherwood bardzo cenił swój czas. Stracił go w życiu wystarczająco dużo.

Bellinger zmusił się do półuśmiechu.

- Miło cię widzieć. Jak leci?

- Świetnie. Zamówienia wychodzą mi już uszami, a forszą zacząłem tapetować mieszkanie. - Przechylił głowę i obdarzył Bellingera znaczącym, zgryźliwym spojrzeniem. - Co się dzieje, Vince? Obaj byliśmy już chyba w łóżkach, nie? Powiedziałeś, że musimy pogadać.

- Wiem i cieszę się, że dotarłeś. Chodzi o to, że... - Bellinger się zawahał. Temat nie należał do łatwych. - Myślałem o Danny'm.

Matt wpatrywał się przez chwilę w Bellingera, po czym odwrócił wzrok, spojrzął w stronę baru i dopiero po kilku sekundach skupił się z powrotem na naukowcu.

- Co z Dannym?

- No wiesz, ostatnim razem widzieliśmy się po pogrzebie... To wydarzyło się tak nagle i nigdy nie mieliśmy nawet okazji pogadać. O tym, co mu się przydarzyło.

Matt przyjrzał się uważnie Bellingerowi.

- Zginął w katastrofie helikoptera. Wiesz o tym. Koniec tematu.

- Wiem, ale... Czy dotarły do ciebie jeszcze jakieś informacje? Co ci powiedzieli?

Z pełnego powątpiewania spojrzenia Matta można było wyczytać, że natychmiast przejrzał Bellingera, domyślił się, iż ten na razie próbuje wybadać rozmówcę, krążąc wokół właściwego tematu.

- Dlaczego o to pytasz? Dlaczego teraz?

- Zaczekaj... Proszę cię tylko o chwilę cierpliwości. Co ci powiedzieli? Jak to się niby stało?

Matt wzruszył ramionami.

- Helikopter rozbił się w pobliżu wybrzeża Namibii. Awaria jakiegoś układu mechanicznego. Powiedzieli, że jej przyczyną była prawdopodobnie burza piaskowa, ale nie mieli pewności. Nigdy nie wydobyto wraku.

- Dlaczego nie?

- Nie było powodu. Śmigłowiec należał do prywatnej osoby, a to, co z niego zostało, rozproszyło się po powierzchni oceanu. Który zresztą, z tego co mi mówiono, nie jest tam zbyt głęboki. Ale są tam silne prądy. Nie bez powodu nazywa się ten obszar „bramami piekła”.

Wydawało się, że Bellinger jest skrupowany.

- A co z ciałami?

Matt skrzywił się nieco. Wspomnienie było bardzo bolesne.

- Nigdy ich nie wydobyto.

- Dlaczego nie?

- W okolicy roi się od rekinów - wyjaśnił nieco podniesionym tonem Sherwood - a nawet gdyby one nie poradziły sobie z ciałami, zrobiłyby to prądy przybrzeżne. Do diabła, przecież to Wybrzeże Szkieletowe! Nie mieli czego wydobywać.

- Więc...

- Tak, nie mieliśmy czego grzebać! - wybuchnął Matt. Był wściekły i zaczął już tracić cierpliwość. - Trumna była pusta, Vince. Wiem, to śmieszne, żeby kremować pustą skrzynię i

marnować porządne drewno, ale musieliśmy tak zrobić. Pomogło to chociaż trochę mojemu tacie. A teraz powiesz mi, do jasnej cholery, dlaczego tak naprawdę tutaj jesteśmy?

Bellinger odwrócił się i przyjrzał twarzom klientów baru. Poczuł, że oblewa go zimny pot. W głowie kotłowało mu się od natłoku pomieszanych, niespokojnych myśli.

- Oglądałeś dzisiaj wiadomości?

- Nie, a co?

Naukowiec skinął głową, szukając odpowiednich słów.

- Vince, co się dzieje?

Nagle zahuczała komórka Bellingera, powiadamiając go, że otrzymał SMSa. Położył dłonie na stole, starając się nie zwracać na to uwagi. Nie był teraz w nastroju, żeby cackać się z Jabką.

Wbił wzrok w Matta i nachylił się.

- Myślę, że ktoś mógł zamordować Dannyego. - Zamilkł, pozwalając, by znaczenie jego słów dotarło do Sherwooda, a potem dodał: - Albo gorzej.

Matt wyglądał, jakby krew ścięła mu się w żyłach, jakby zaparło mu dech w piersiach.

- Morderstwo? Albo gorzej? Co mogłoby być gorszego?

- Być może nadal jest gdzieś przetrzymywany. Może wszyscy są.

- Co? - Jego twarz wykrzywił wyraz krańcowego niedowierzania. - O czym ty, do cholery, mówisz?

Bellinger gestem dłoni polecił mu się uspokoić i nachylił się jeszcze bliżej.

- Być może zabili Dannyego i zainscenizowali tylko katastrofę śmigłowca. A może oni wszyscy ciągle są gdzieś zamknięci i pracują nad tym wbrew woli. - Naukowiec strzelał oczami na lewo i prawo, przyglądając się ludziom w barze. - Zastanów się tylko. Gdybyś miał bandę geniuszy, którzy mają zaprojektować coś dla ciebie w tajemnicy, czy nie wołałbyś zatrzymać ich przy sobie do momentu, gdy w końcu tego użyjesz i uzyskasz pewność, że wszystko poszło jak należy?

Jego telefon zasygnalizował kolejnego SMSa.

- Co zaprojektować? Mów jaśniej!

Bellinger nachylił się jeszcze bliżej i powiedział niemal szeptem:

- Coś się dzisiaj stało Matt. Na Antarktydzie. Coś się pojawiło na niebie. Trąbią o tym w wiadomościach. Myślę, że Danny miał z tym coś wspólnego.

- Skąd ten pomysł?

Bellinger wyraźnie był już rozdygotany i wyrzucał z siebie nerwowo poszczególne słowa. Jego telefon znowu się odezwał, ale naukowiec ponownie go zignorował.

- Danny nad czymś pracował. Zabawiał się obliczeniami rozproszonymi, a kiedy pewnego dnia pokazał mi, do czego doszedł, gadaliśmy o tym bardzo długo i zorientowaliśmy się, że możliwości są, jak by to powiedzieć... Że przyprawiają o zawrót głowy. Facet był geniuszem, sam wiesz. I wtedy pojawił się nagle Reece i zaprosił go do pracy nad swoim projektem, biosensorami i...

- Reece?

- Dominie Reece. Uczył go. Był jego guru w MIT. - Bellinger pokręcił głową, tak jakby chciał odgonić niewygodną myśl. - On też leciał tym helikopterem. Z Dannym. - Spojrzał na Matta, przepaszając go wzrokiem, że znowu o tym wspomniał. - Tak czy inaczej - dodał po krótkiej chwili

- to był fantastyczny projekt, bo sensory mogły ocalić tysiące, dziesiątki tysięcy istnień ludzkich i...

Telefon odezwał się po raz czwarty.

Bellinger stracił wątek i zmarszczył brwi. Oderwał oczy od Matta i podirytowany sięgnął po komórkę. Z kwaśną miną wszedł do skrzynki odbiorczej i zobaczył, że czekają na niego trzy wiadomości wysłane z tego samego numeru.?

Nie był to numer Jabby. SMSy zostały wysłane z nieznanego mu telefonu.

Przewinął menu do ostatniej wiadomości.

Słowa, które pojawiły się na niewielkim ekranie, podziały na niego jak uderzenie pioruna.

SMS był krótki:

„Jeżeli chcesz dożyć jutra, zamknij gębę, do kurwy nędzy, i natychmiast wylaż z baru”.

ROZDZIAŁ 12

Boston, Massachusetts

Myślę, że ktoś mógł zamordować Danny ego.

Małeńki mikrofon uczepiony klapy płaszcza Bellingera zarejestrował te słowa i przekazał je do słuchawek trzech agentów, którzy schowali się w furgonetce zaparkowanej przed knajpą na ulicy Emerson.

Dwóch kolejnych również je usłyszało. Siedzieli w barze uzbrojeni w ledwie widoczne, przezroczyste słuchawki.

W furgonetce agent dowodzący ekipą obserwacyjną spojrzął znacząco na swą kasztanowłosą koleżankę. Wykonała kawał dobrej roboty. Śmigając rękoma z szybkością błyskawicy, płynnym ruchem niezauważenie przypięła pluskwę. Nie bez znaczenia było to, że jej zniewalające oczy i kuszący uśmiech rozproszyły Bellingera. Nie on pierwszy padł ofiarą jej uroku.

Teraz jednak należało go powstrzymać.

W słuchawkach zabrzmiał głos jednego z mężczyzn siedzących w barze.x.

- Nie kupi tego.

Dowódca skrzywił się i przysunął do ust zamocowany na przegubie dłoni mikrofon.

- Szturchnę go jeszcze raz. Przygotujcie się do wejścia, gdyby teraz też nie złapał aluzji.

- Gotowi! - zaskrzeczał głos po drugiej stronie.

Agent wcisnął po raz kolejny klawisz wysyłania wiadomości.

Słowa na wyświetlaczu zapiekły Bellingera w oczy. Oderwał wzrok od komórki i omiółł nim wnętrze baru, czując, że przerażenie narasta mu w sercu, niemal zatrzymując jego pracę. Wszyscy wokół nagle stali się podejrzani, groźni, niebezpieczni.

Matt zauważył jego niepokój.

- Co się dzieje? - zapytał.

Bellinger zamrugał kilka razy. Nie mógł się skoncentrować. Przez krótką chwilę wydawało mu się, że wszystkie twarze w knajpie wpatrują się w niego z bezgraniczną wrogością.

- Vince! Co jest grane? - znowu dotarł do niego głos Matta.

Bellinger odwrócił się do niego.

- Pomyliłem się. Zapomnij, że w ogóle rozmawialiśmy - wykrztusił przez ściśnięte gardło.

- Co?

Naukowiec niepewnie wstał. Spojrzął na Matta oczami, w których wyraźnie malowało się przerażenie.

- Zapomnij o tym, co ci mówiłem, jasne? Muszę lecieć.

Matt zerwał się zza stołu i sięgnął ku niemu, w ostatniej chwili łapiąc go za rękę.

- Nie pierdol, Vince. Co jest grane?

Bellinger odwrócił się szybko, wrywając mu się z furią, po czym odepchnął go obiema dłońmi. Jego gwałtowna reakcja zaskoczyła Matta, który poleciał do tyłu i upadł

ciężko na podłogę, uderzając głową o drewnianą krawędź boksu, czym wywołał zamieszanie wśród siedzących najbliżej klientów i zmusił ich do cofnięcia się o krok.

Mattowi zadudniło w głowie, ale wyprostował się szybko, zerwał na nogi i zdążył zobaczyć, jak Bellinger znika w tłumie, kierując się szybko w stronę drzwi.

Puścił się za nim biegiem. Dał nura w powstałą nagle w tłumie wyrwę i po chwili przepchnął się między pijącymi do wyjścia z baru.

Wypadł na chodnik i stanął jak wryty: dwóch napakowanych mężczyzn obezwładniało właśnie Bellingera i ciągnęło go w kierunku tyłu furgonetki.

- Hej! - krzyknął i miał już rzucić się na nich, ale ledwie jego stopa oderwała się od podłoża, gdy nagle poczuł silny cios zadany od tyłu w podstawę szyi i w plecy, który pozbawił go oddechu i po którym runął twarzą do dołu na pokryty cienką warstwą śniegu chodnik.

Upadł fatalnie - całym ciężarem ciała na prawy łokieć. Poczul ostre ukłucie bólu i zanim zdążył zerwać się znowu na nogi, dwie pary silnych rąk złapały go, wykręciły mu ramiona do tyłu, pchnęły w stronę furgonetki i wrzuciły do środka przez otwarte drzwi.

Wylądował na metalowej żebrowanej podłodze, usłyszał gdzieś z tyłu trzask zamykanych drzwi i poczuł, że jego ciało leci do tyłu - furgonetka ruszyła. Wokół niego w zawrotnym tempie rozgrywały się dantejskie sceny. Ciągłe leżąc twarzą do dołu, z jednym okiem przyciśniętym do podłogi, usłyszał stłumione krzyki, a kiedy udało mu się unieść nieco głowę i wygiąć szyję, zobaczył Bellingera, dwóch goryli nad nim oraz - choć trudno mu było w to uwierzyć - zamazany zarys sylwetki wyraźnie atrakcyjnej kobiety z włosami do ramion, która odwracała się z siedzenia kierowcy i której głowę podświetlały reflektory nadjeżdżających z przeciwka samochodów. Jeden z mężczyzn siedział Vince'owi na plecach, przygważdżając go do podłogi oraz zasłaniając mu ręką usta i tłumiąc jego krzyki protestu. Inny siedział obok pochylony nad naukowcem. W ręku trzymał przedmiot przypominający wielką maszynkę do golenia.

Matt usłyszał mgliście znajome, piskliwe buczenie - coś jakby się ładowało - ale był tak ogłuszony, że nie potrafił go zidentyfikować. Podskoczył, starając się przesunąć i odwrócić na plecy, ale jeden z mężczyzn, którzy go porwali, nastąpił mu ciężko na łopatki, rozciągając go z powrotem na podłodze furgonetki. Gdy buczenie zamieniło się w przerażający pisk, Matt poczuł przyływ mdłości - przypomniał sobie, co to takiego, i poczuł, że kurczą mu się mięśnie.

Uniósł nieco głowę i zobaczył, jak drugi mężczyzna przysuwa dłoń do Bellingera i przykłada do niego maszynkę, a raczej - z czego Matt nagle zdał sobie sprawę - kieszonkowy

paralizator. Wnętrze samochodu rozbłysnęło słabym niebieskim światłem i naukowiec wrzasnął z bólu. Dwusekundowa seria zwykle wystarczała, by wysportowanego mężczyznę przyprawić o paraliż najważniejszych mięśni, trzyszekundowa - zamieniała największych gierojów w łkający odpowiednik ryby rzucającej się po suchym pokładzie. Bellingera potraktowano pięciosekundową dawką. Matt zdawał sobie sprawę, co po tym zostanie z naukowca. Nieraz zdarzało mu się znajdować po nieodpowiedniej stronie paralizatora. Nie było to przyjemne uczucie, zwłaszcza kiedy dzierżyli go troglodyci w rodzaju strażników więziennych. Na samo wspomnienie zjeżyły mu się włosy na skórze - bucząca maszyna wywoływała ból, tak jakby tysiące igiełek wbijano jednocześnie w każdy por ciała człowieka.

Furgonetka skręciła gwałtownie w lewo i zmiana prędkości pozwoliła Mattowi uwolnić się na chwilę od przygważdżającego go ciężaru oraz dostrzec, że prześladowca Bellingera odrywa w końcu od niego paralizator i wyciąga coś znacznie mniejszego, pobłyskującego w ostrych strumieniach światła, rozświetlających co chwilę wnętrze furgonetki - strzykawkę, którą szybko wbił naukowcowi w plecy tuż(u nasady szyi).

Bellinger przestał się rzucać.

- Załatwiony - stwierdził mężczyzna głosem, w którym nie dało się wyczuć nawet odrobiny napięcia czy zakłopotania, tak jakby to, co właśnie zrobił, było dla niego tylko kolejnym rutynowym, uciążliwym obowiązkiem.

- A co z tym? - zapytał buldożer siedzący na Matcie.

Mężczyzna, który sprawnie poradził sobie z Bellingerem, przez chwilę zastanawiał się nad odpowiedzią.

- To samo - zdecydował w końcu.

Nie była to dla Matta najlepsza wiadomość. Choć właściwie żadna z innych potencjalnych odpowiedzi na zadane przez byczka pytanie specjalnie by go nie nęciła.

Wiedział jedno: nie będzie siedział i czekał, aż goście przepuszczą przez niego milion woltów.

Spojrzał ukradkiem na mężczyznę odsuwającego właśnie Bellingera i wracającego po chwili na tył furgonetki z kieszonkowym paralizatorem, który znowu zaczął złowieszczo buczeć.

Nagle samochód skręcił, tym razem w prawo.

Czas najwyższy popsuć im zabawę, pomyślał Matt.

Zakręt sprawił, że siedzący na nim buldożer przesunął nieco wagę ciała, odciążając na chwilę swoją ofiarę. Matt skoncentrował na jednym ruchu energię ze wszystkich krwinek i nagle podźwignął się tak mocno, jak tylko potrafił. Zaskoczył tym swojego oprawcę, który

stracił równowagę i uderzył o ścianę samochodu. Matt błyskawicznie wsunął pod siebie dłonie, by uzyskać lepsze odbicie, po czym wykonał pełen obrót, jednocześnie splatając palce i zaciskając je. Następnie użył wyciągniętych w ten sposób rąk jak kija baseballowego.

Trafił osiłka prosto w nos i w furgonetce rozległ się głośny chrzęst miazdzonej kości. Mężczyzna szarpnął głową i uderzył nią w ścianę samochodu, a potem padł na podłogę, wijąc się z bólu.

Matt nawet na niego nie spojrział. Musiał sobie poradzić jeszcze z trzema zbirami. Ci dwaj zajęci Bellingerem mogli zaczekać. Bardziej bezpośrednim zagrożeniem był kolega buldożera, który znajdował się również z tyłu furgonetki i rzucał się właśnie na Matta. Ten, oparłszy się na łokciu, odzyskał równowagę, po czym pochylił się i przetoczył po podłodze, rozpędzając nogę, którą wycelował prosto w szyję zbliżającego się napastnika. Gdy jego głowa odbiła się mocno od tylnych drzwi wozu, Matt podskoczył, złapał go obiema dłońmi za czaszkę i walnął nią z całej siły o kolano. W twarzy mężczyzny coś chrząstnęło głośno, a on sam zatoczył się w stronę przodu furgonetki i upadł prosto na nieruchome ciało Bellingera, blokując drogę dwóm pozostałym mężczyznom.

Matt patrzył, jak gramolą się przez leżącego naukowca, i wiedział, że została mu tylko sekunda albo dwie. Wiedział też, że nie poradzi sobie z nimi tak łatwo.

Tak naprawdę miał tylko jedno wyjście. Nawet się nie zawahał.

Złapał za klamkę tylnych drzwi, otworzył je i mimo że zdecydowanie za blisko furgonetki zobaczył światła nadjeżdżającego samochodu, wyskoczył z pędzącego wozu.

Frunął w powietrzu jedynie przez chwilę, prawie natychmiast uderzając w asfalt. Upadek był bardzo bolesny. Przyjął go na lewe ramię i biodro, w których poczuł błyskawicę ostrego bólu. Gdy turlał się po ziemi, jego zmysły atakował ze wszystkich stron obraz splątanych ze sobą latarń ulicznych i nawierzchni. Siłę uderzenia odczuwał w każdym centymetrze ciała. Nagle usłyszał przenikliwy pisk zbliżający się z przerażającą prędkością - odgłos gumy ścierającej się ostro na asfalcie, wydawany przez gwałtownie hamujący samochód, którego przedni zderzak znajdował się zaledwie kilka metrów przed Mattem i szybko zmniejszał ten dystans.

Wreszcie się zatrzymali, jakby na rozkaz - i samochód, i Matt - zaledwie kilkanaście centymetrów od siebie. Samochód wpadł w lekki poślizg na asfalcie i stanął pod niewielkim kątem do drogi. Przez mgiełkę wywołaną bólem i światłem reflektorów Matt wyczuwał gorąco bijące od jego kratownicy, a powietrze wypełnił gęsty zapach spalonej gumy i klocków hamulcowych. W jego ramieniu ponownie zapulsował ból. Zebrał się w sobie i usiadł, obrzucając wzrokiem drogę. Furgonetka oddalała się szybko. Jeden z mężczyzn - z

powodu odległości trudno było stwierdzić który - spojrzał na ulicę, po czym sięgnął do drzwi i je zatrzasnął.

Matt odepchnął się od nawierzchni i wstał. Ugięło się pod nim lewe kolano, ale udało mu się w porę oprzeć o błotnik samochodu. Pokuśtykał do okna. Kierowca - starszy mężczyzna, na oko sześćdziesięciolatek - wpatrywał się w niego z mieszaniną lęku i niedowierzania w oczach. Sherwood nachylił się i spojrzał na (niego. Staruszek nie otworzył okna. Matt poprosił go o to gestem, ale mężczyzna nawet się nie poruszył, sparaliżowany strachem.

Sherwood zapukał w szybę.

- Otwórz pan, do jasnej cholery! - krzyknął, zawzięcie wymachując rękami. - Otwieraj!

Kierowca zawahał się, a potem zmarszczył czoło i pokręcił głową.

Matt szarpnął za klamkę, ale drzwi były zablokowane. Uderzył raz jeszcze otwartą dłonią w okno i warknął z gniewną miną:

- Otwieraj to cholerne okno!

Kierowca uśmiechnął się nerwowo i po raz kolejny pokręcił nieznacznie głową, a potem z niepokojem zerknął we wsteczne lusterko, spojrzał ponownie na Matta, wbił wzrok w ciemność przed sobą i wcisnął pedał gazu. Sherwood zatoczył się do tyłu i patrzył oniemiały, jak samochód nabiera prędkości, a potem rozplywa się w mroku.

ROZDZIAŁ 13

Klasztor asSurjani, Wadi anNatrun, Egipt dy trzej mężczyźni schodzili z góry, nad dalekim horyzontem rozkwitały już złociste błyski słońca.

Czekali na ojca Jerome prawie godzinę, a kiedy się nie pojawił, poddali się w końcu i ruszyli w drogę powrotną. Ani na szlaku, ani w samochodzie nie rozmawiali ze sobą. Opat skinął jedynie głową, gdy młody mnich zapytał, czy miał rację, jeśli chodzi o to, co widzieli.

Ojciec Cyryl musiał to wszystko przemyśleć.

Jusuf zatrzymał się przed klasztorem i zaproponował, że na wypadek gdyby mnisi go potrzebowali, zostanie na miejscu. Opat odparł, że nie jest to konieczne, podziękował, a potem zmienił wyraz twarzy i barwę głosu na poważniejszą.

- Jusufie - rzekł grobowym tonem - proszę, żebyś nikomu nie mówił o tym, co widziałeś. Nikt nie może się o tym dowiedzieć. Przynajmniej przez jakiś czas. Gdyby wieści

się rozeszły, sytuacja szybko mogłaby wymknąć się spod kontroli. Musimy zająć się tą sprawą z najwyższą ostrożnością. Rozumiesz?

Taksówkarz posępnie skinął głową i ucałował dłoń opata.

- Bi amarak, abouna.

Jak sobie życzysz, ojczu.

Mnich przez chwilę wbijał w niego wzrok, upewniając się, że Jusuf rozumie wagę jego słów, po czym skinął głową, pozwalając mu się oddalić. Patrzył ze swoim współbratem, jak taksówkarz wsiada do toyoty i odjeżdża.

- Co teraz zrobimy? - zapytał brat Amin.

Wzrok opata podążył za znikającym w dali minivanem.

- Przede wszystkim muszę się pomodlić. To wszystko jest zbyt... zatrważające. Dołączysz do mnie?

- Oczywiście.

Weszli do klasztoru przez niewielką bramę w otaczającym go grubym, wysokim na dwanaście metrów murze. Tuż za nim, na prawo od mnichów, w świetle jutrzeńki prężył się dumnie ogromny kasr - warownia - trzy piętrowy biały sześcienny donżon, poznaczony niewielkimi, nieregularnie rozrzuconymi prostokątnymi otworami, którego drewniany zwodzony most był teraz na stałe opuszczony, zapraszając gości do środka.

Nie zawsze tak było. Pochodzący z VI wieku klasztor o burzliwej historii kilkakrotnie przebudowywano.

Dolina Wadi an-Natron, która zawdzięczała swą nazwę obficie występującemu w jej glebie natronowi, węglanowi sodu, kluczowemu składnikowi wykorzystywanemu w mumifikacji zwłok, była miejscem narodzin chrześcijańskiego monastycyzmu. Jego tradycje sięgają III i IV wieku, kiedy tysiące wyznawców Chrystusa przybyło tam, uciekając przed prześladowaniem przez Rzymian. Kilkaset lat później pojawiło się ich w dolinie jeszcze więcej - tym razem szukali ocalenia przed muzułmanami. Było to miejsce o doniosłym znaczeniu dla wiernych: to tam Maryja, Józef i ich nowo narodzony syn odpoczywali w czasie ucieczki przed siepaczami króla Heroda i dopiero stamtąd udali się do Kairu.

Początkowo niewielkie społeczności pierwszych chrześcijan zamieszkiwały jaskinie, od których roilo się w niezbyt wysokich górskich łańcuchach wznoszących się na skraju pustyni, żyjąc ze skromnych plonów, jakie mogły im zaoferować rozrzucone tu i ówdzie oazy. Wkrótce ich członkowie, pragnąc czcić Pana we względnym spokoju i bezpieczeństwie, zaczęli wznosić klasztory, ale ich nadzieje okazały się płonne, bowiem zagrożenie nigdy, przez całe wieki, nie zniknęło. Od wrogich Rzymian pałeczkę przejęły pustyńne plemiona,

które były od nich jeszcze okrutniejsze. Najbardziej zajadły z ataków miał miejsce w roku, kiedy Berberowie zdziesiątkowali mieszkańców klasztoru. Gdy chrześcijanom nie zagrażali ludzie, ich godnym następcą okazywała się sama natura - po wybuchu zarazy w XIV wieku w monasterze ocalał tylko jeden mnich. Mimo to przez cały czas, dzięki uporowi i oddaniu wskrzeszających go ciągle świętych mężów, klasztor był domem dla ponad dwustu zakonników, którzy śladem swych starotestamentalnych ojców wyruszyli na pustynię i dotarli aż do doliny, by oderwać się od codziennego życia oraz ziemskich pragnień i zwalczać demony, modląc się o zbawienie rodzaju ludzkiego.

Wadi anNatrun stanowiło oazę chrześcijaństwa już u samych jego początków. To tam narodziła się monastyczna tradycja, na długo przed tym, zanim została zaadoptowana przez europejskich wyznawców Chrystusa. Przez całe stulecia to odcięte od świata pustkowie nęciło głęboko religijnych mężów. O świecie tego złowieszczego dnia, pomyślał opat, bardziej niż kiedykolwiek wydawało się prawdopodobne, iż nadal odgrywa doniosłą rolę wśród wiernych.

Mimo to... Na samą myśl o tym ogarniało go przerażenie.

Świat był teraz zupełnie inny niż kiedyś.

Bez wątpienia bardziej zaawansowany technologicznie. Może bardziej cywilizowany - pod pewnymi względami, w pewnych kręgach. Ale w swej istocie pozostał tak samo zły i drapieżny jak zawsze. Może nawet zmienił się na gorsze.

Brat Amin ruszył za opatem przez wieżę, zagłębiając się w krużganek, który rozwidlał się na kaplicę pod wezwaniem Czterdziestu Dziewięciu Męczenników - pojedynczą, zwieńczoną kopułą komnatę, której patronami byli mnisi zabici w czasie najazdu Berberów w roku - i kaplicę Najświętszej Maryi Panny, główne miejsce kultu w klasztorze. Na szczęście nie było tam jeszcze żadnego z zakonników, ale opat wiedział, że nie będzie mógł zbyt długo cieszyć się samotnością.

Poprowadził młodego mnicha nawą w stronę chóru. Kiedy mijali wielki drewniany portal rozdzielający dwie części kaplicy, jego oczy pobiegły w stronę muralu zdobiącego półkopułę wieńczącą jej wnętrze - tysiącletniego malowidła przedstawiającego zwiastowanie, malowidła, które oglądał niezliczoną ilość razy. Czterech proroków gromadziło się na nim wokół Najświętszej Maryi Panny i archanioła Gabriela. Opat stwierdził, że jego wzrok przyciąga zwłaszcza pierwszy prorok, stojący na prawo od Dziewicy, Ezechiel. Na jego widok poczuł ciarki na plecach. Przez ponad godzinę, gdy rozpaczliwie modlił się do Boga o pomoc, nie potrafił wyprzeć z umysłu myśli o Bożym widzeniu proroka: niebiosa otwierają się, uwalniając wirujący słup bursztynowego ognia, ogniste obręcze „jakby kryształ lśniące”, a wszystko to zapowiada głos samego Pana.

Modlili się razem ponad godzinę przed czarnym kamiennym ołtarzem, leżąc krzyżem na zimnej posadzce kaplicy, w czym naśladowali pierwszych chrześcijan, od których dopiero postawę tę przejęli muzułmanie.

- Nie powinniśmy byli poczekać na niego trochę dłużej? - zapytał Amin. Słońce zdążyło się już usadowić pewnie po wschodniej stronie nieba i mnisi przeszli do niewielkiego, świeżo odrestaurowanego klasztorowego muzeum. - Może coś mu się stało?

Opatowi również przyszło to do głowy, zresztą nie po raz pierwszy tego dnia. Mimo to ze stoickim spokojem wzruszył ramionami.

- Przebywa tam od kilku miesięcy. Sądzę, że nauczył się już żyć w górach. Wydaje się, że nieźle sobie radzi.

Po krótkiej chwili milczenia młody mnich odchrząknął i zapytał:

- Co teraz zrobimy, ojcze?

- Nie jestem pewien, co powinniśmy zrobić - odparł opat. - Nie rozumiem, co się dzieje.

Amin z niedowierzaniem uniósł brwi.

- Cud. To się dzieje.

Ojciec Cyryl zachmurzył się.

- Coś, czego nie rozumiemy, owszem. Ale od stwierdzenia* że mamy do czynienia z cudem, dzieli to...

- A jak inaczej można to wyjaśnić?

Opat pokręcił głową - brakło mu słów.

- Sam to ojciec powiedział - upierał się młody mnich. - Znak, który ojciec opisał; to, co widział ojciec w wiadomościach.

Umysł opata przesłoniła plątanina zmieszanych ze sobą obrazów. Wrócił myślami do tamtego dnia na pustyni. Kiedy ich gość został odnaleziony, zanim jeszcze udał się do jaskiń. Potworny stan, w jakim się znajdował. Jego powrót do zdrowia.

W jego głowie znowu zaświtało słowo „cud”.

- To nie pasuje do żadnego z proroctw zawartych w naszej świętej księdze - oświadczył w końcu.

- A musi?

Komentarz zaskoczył opata.

- Nie żartuj, bracie. Chyba nie masz zamiaru negować prawdy zawartej w pismach?

- My jesteśmy żywym cudem, ojcze! - zawołał podekscytowanym głosem Amin. - Nie czytać o tym przez setki lat, wiedząc doskonale, że zostało przełożone, upiękzone i

zniekształcone przez niezliczone dłonie. Przeżywać to. Teraz. W tych nowoczesnych czasach, w tej nowoczesnej epoce. - Zamilkł, a po chwili dodał znacząco: - Mając do dyspozycji potęgę, jaką dają współczesne środki komunikacji.

Twarz opata skurczyła się z niepokoju.

- Chcesz, żeby ludzie się o tym dowiedzieli?

- Przecież i tak już wiedzą o znaku. Widział ojciec tę kobietę w wiadomościach. Jej zdjęcia i słowa dotrą do milionów.

- Owszem, ale... Dopóki nie zrozumiemy dokładnie, co się dzieje, nie możemy pozwolić, by ktokolwiek się o tym dowiedział.

Amin rozłożył ręce w pytającym geście.

- A czy to nie jest oczywiste, ojcze?

Opata zatrwożył rozgorączkowany wzrok młodego zakonnika; skinął w zamyśleniu głową. Rozumiał jego podniecenie, ale wiedział też, że musi je poskromić. Od tego, co się działo, nie było odwrotu, nie miał co do tego wątpliwości. Musiał się z tym zmierzyć. Został w to wplątany przypadkowo, a teraz musiał zrobić to, co należy. Ale chciał się do tego zabrać spokojnie, ostrożnie.

- Musimy najpierw głębiej przestudiować pisma - zakończył dyskusję.

- Skonsultować się z przełożonymi. - Zamilkł, ważąc w głowie najtrudniejszą część czekającej ich misji. - Najistotniejsze, że musimy wrócić do jaskiń i z nim porozmawiać. Powiedzieć, co się wydarzyło. Może on coś z tego zrozumie?

Amin podszedł do opata.

- Wszystko, co ojciec mówi, jest bardzo rozsądne, ale nie pomniejsza to faktu, że nie możemy zatrzymać tego dla siebie - naciskał błagalnym tonem. - Otrzymaliśmy łaskę od Pana. Jesteśmy mu to winni: musimy się tym podzielić ze światem. Ludzie powinni wiedzieć, ojcze. Świat powinien wiedzieć.

- Jeszcze nie - skarcił go stanowczo opat. - Decyzja nie należy do nas.

- Wybacz mi, ojcze - rzekł zaniepokojonym głosem młody mnich

- ale uważam, że popełnia ojciec błąd. Inni, wielu innych bez wątpienia będzie próbowało uzurpować sobie prawo do znaku. Tym samym umniejszą, zniekształcą jego subtelne przesłanie. Żyjemy w cynicznych, amoralnych czasach. Ci szarlatani sprawią, że głos prawdy będzie jeszcze trudniej usłyszeć. Oszuści i oportuniści bez wątpienia zagłuszą nasze posłanie. Nie możemy czekać. Musimy działać szybko, zanim chaos zamieni to niebiańskie zdarzenie w cyrk.

Opat usiadł, westchnął głęboko i zaczął pocierać czoło zrogowaciałymi palcami, czując, że pomieszczenie nagle staje się dla niego za ciasne. W słowach młodego mnicha pobrzmiwała prawda, ale on sam nie był w stanie zdecydować się na taki krok. Konsekwencje były zbyt przerażające, wykraczały poza ludzką wyobraźnię. Siedział zatem w milczeniu, ogarnięty wątpliwościami, i wpatrywał się w kamienną posadzkę, po której krążył, stąpając ciężko i czekając na jego decyzję, sfrustrowany młody mnich. Wyobraźnia znowu podsunęła opatowi obraz malowidła z kaplicy i wrócił ponownie myślami do widzenia Ezechiela.

Ogniste obręcze jakby kryształ lśniące, zapowiadające głos Boga.

Po chwili podniósł zachmurzony wzrok.

- Ta decyzja nie należy do nas - powtórzył. - Musimy skonsultować się z radą i powiadomić o wszystkim Jego Świątobliwość. Niech oni zdecydują.

Godzinę później brat Amin stał na pograżonym na ciemnościach korytarzu i patrzył, jak brat bibliotekarz wychodzi ze swojego gabinetu.

Nie udało mu się przekonać opata. Starca najwyraźniej przerastało to, co zobaczył, i wydawało się, że nie jest w stanie pojąć doniosłości rozgrywających się na jego oczach wydarzeń. Ale młody mnich nie miał zamiaru dopuścić, by ojciec Cyryl je powstrzymał.

Musiał wziąć sprawy we własne ręce.

Przez chwilę czekał cierpliwie, odprowadzając wzrokiem księdza, który ruszył korytarzem w stronę refektarza. Po kilku kolejnych sekundach młody mnich wszedł do gabinetu bibliotekarza, podniósł słuchawkę telefonu i wybrał numer.

ROZDZIAŁ 14

Jakiś kilometr od łańcucha górskiego, z którego zeszli właśnie obaj mnisi i kierowca, czternastoletni chłopiec zmęczonym krokiem podążał za swym niewielkim stadkiem.

Mimo konieczności wczesnego wstawania lubił poranki, podobnie jak każda z siedmiu należących do jego ojca kóz. Słońce ciągle jeszcze było nisko nad horyzontem, a dolinę przesłaniały cienie rzucane przez otaczające ją góry. Chłodny wietrzyk stanowił miłą odmianę od skwaru, który już za chwilę miał się na niego zwalić, a purpurowy odcień, jakiego nabrał o tej porze jałowy krajobraz, był łatwiejszy do wytrzymania dla oczu i - gdyby chłopiec pozwalał sobie myśleć o tym w ten sposób - bardziej inspirujący.

Nucąc melodię, jaką niedawno usłyszał w również należącym do ojca radiu, okrążył występ skalny i nagle stanął jak wryty - roztoczył się przed nim niespodziewany widok.

Trzech mężczyzn - żołnierzy, sądząc z ubioru - ładowało jakiś sprzęt na zakurzoną, przykrytą brezentem półciężarówkę. Chłopiec nigdy jeszcze czegoś takiego nie widział. Nie miał pojęcia, do czego służy beżowy, przypominający bęben przedmiot - szeroki na metr, ale o głębokości zaledwie dziesięciu, dwunastu centymetrów - który przykuł jego uwagę.

Choć chłopiec zamarł i wstrzymał oddech, mężczyźni natychmiast go zauważyli. Jego oczy zetknęły się z jednolitym frontem surowych, bezlitosnych spojrzeń zza czarnych okularów. Ledwie zdołał zauważyć to, co oglądał w programach informacyjnych w czasie licznych relacji z wojny w Iraku - maskujące mundury, buty wojskowe, okulary przeciwsłoneczne - gdy jeden z żołnierzy rzucił krótki rozkaz, a pozostali przerwali wykonywane czynności i ruszyli wielkimi krokami w jego stronę.

Chłopiec zaczął biec, ale nie uciekł zbyt daleko. Poczł, że jeden z mężczyzn rzuca się na niego i dosięga go od tyłu, powalając go na splekaną ziemię.

Z sercem w gardle zastanawiał się, czego, u licha, mogą od niego chcieć, dlaczego przygwoździli go do podłoża, dlaczego gryzie piasek i pył, który przedostał mu się również do oczu. W przypiływie wywołanego strachem szaleństwa spróbował odwrócić się szybko na plecy, ale siedzący na nim mężczyzna był zbyt ciężki, zbyt mocno przyciskał go do ziemi.

Usłyszał chrzęst - zbliżające się kroki kolejnego żołnierza - a potem kątem oka dostrzegł parę wojskowych butów, wiszącym nad nim niczym jakiś półbóg.

Nie usłyszał ani jednego słowa.

Nie dostrzegł ani jednego skinienia głową.

A po chwili nie czuł już niczego - wielkie doświadczone łapska siedzącego na nim żołnierza szybko i sprawnie znalazły się w odpowiednim miejscu, jedna z boku, wokół szyi malca, druga po przeciwnej stronie głowy, wzmocniły uścisk, a następnie nagle i gwałtownie przekreśliły się w przeciwnych kierunkach.

Szybko, cicho, śmiertelnie skutecznie.

Bez wątpienia żołnierz zasłużył sobie na zaszczyt posługiwania się tym mottem.

ROZDZIAŁ 15

Morze Amundsena, Antarktyda

Jak dowiesz się czegoś nowego, zadzwoń do mnie, okej? Dzwoń o każdej porze dnia i nocy.

Gracie podała numer swojego telefonu satelitarnego, rozłączyła się i sfrustrowana westchnęła.

Kolejna ślepa uliczka.

Przesunęła dłońmi po twarzy, a potem przeczesła palcami włosy, masując sobie czaszkę, by choć trochę oprzytomnieć. Udało się jej nakłonić do udzielenia wywiadu Simmonsa oraz kilku innych przebywających na pokładzie naukowców, i kiedy Dalton montował nagrany materiał, konwertując go do formatu w wysokiej rozdzielczości, który mieli przesłać szerokopasmowym łączem do redakcji w Waszyngtonie - o wiele lepszej jakości niż skaczący, ziarnisty obraz, do którego musieli się ograniczyć w czasie pierwszej relacji, tym razem bardziej w stylu Armagedonu niż Projektu: Monster - wisiała na telefonie satelitarnym.

Lata spędzone w zawodzie pozwoliły jej skompletować całkiem imponujący wizytownik, z którego właśnie próbowała jak najwięcej wycisnąć. Rozmawiała ze znajomym z NASA, kierownikiem projektu, którego poznała, nagrywając materiał na temat katastrofy promu „Columbia” w 3 roku. Dzwoniła również do paru kumpli w CalTech i Pentagonie, do redaktora „Science” oraz do naukowego i technicznego guru jej macierzystej sieci.

Wszyscy byli tak samo zbici z tropu jak ona.

Ledwo zdążyła odłożyć słuchawkę, gdy zadzwonił telefon satelitarny.

Kolejny reporter zebrzący o komentarz.

- Jak im się udało zdobyć ten numer? - jęknęła do Fincha.

Zrobił minę, która miała oznaczać, że nie ma pojęcia, po czym złapał za telefon, by po raz kolejny uprzejmie, acz stanowczo rozmówcy odmówić. Przez pewien czas mieli ten temat na wyłączność - na szczęście albo niestety.

Nie chodziło o to, że wstydziła się kamery lub też nie lubiła być na wizji. Wręcz przeciwnie. Kariery jako korespondentka telewizyjna nie zrobiła przypadkiem: marzyła o tym już w liceum. Wykorzystywała każdą okazję, by dostać kolejną szansę, a gdy jej się to udawało, pracowała cholernie ciężko, by zdobyć dla siebie choć ułamek czasu antenowego, pokonując panujący w branży mizoginizm i darwinizm. Historie, które relacjonowała, oraz wrażenia, jakimi dzieliła się z widzami, dodawały jej skrzydeł: uwielbiała stawać przed kamerą i opowiadać światu, czego się dowiedziała, i trzeba przyznać, że kamera odwzajemniała jej miłość. Gracie miała w sobie ten nieuchwytny magnetyzm, który daleko wykraczał poza czystą fizyczność. Ludzie włączali odbiorniki i już ją lubili. Była niezwykle popularna we wszelkich grupach fokusowych: kobiety nie czuły się przez nią zagrożone, czerpiąc perwersyjną dumę z jej profesjonalizmu, a w epoce, w której publiczny wizerunek jest wszystkim, a każde słowo waży się pod kątem wywieranego efektu, jej szczerość i bezpośredniość były ogromnym atutem; mężczyźni, choć ochoczo zapewniali, że na jej widok

fantazjują, iż ją rozbierają, najczęściej przyznawali jednak, że równie silną podniętą jest dla nich jej umysł.

I tak z reporterki regionalnej filii kanału w Wisconsin awansowała na weekendową prezenterkę większego oddziału w Illinois i ostatecznie na prezenterkę oraz specjalną wysłanniczkę flagowego okrętu stacji, Zespołu do Zadań Specjalnych. Po drodze wyrobiła sobie markę i zdobyła zaufanie amerykańskich widzów, czy to relacjonując wydarzenia w Kuwejcie tuż przez inwazją na Irak, czy przebywając na pokładzie statku Greenpeace śledzącego japońskich wielorybników, czy też opowiadając o rozgrywających się na jej oczach, następujących po sobie katastrofach tsunami w Tajlandii i o huraganie Katrina w Nowym Orleanie.

Ostatnio nie do końca świadomie dała się wciągnąć w gorącą debatę na temat globalnego ocieplenia. Podeszła do zagadnienia sceptycznie: instynkt kazał jej kwestionować - na antenie - nierzadko nieprzemyślane, automatycznie przyjmowane założenia przedstawicieli coraz modniejszych ruchów ekologicznych, przypominających coraz częściej religijne. Wiedziała, jak mało wiarygodne są długoterminowe prognozy, do jakiego stopnia w historii świata roi się od niespełnionych prorocत्व głoszonych przez największe umysły, dotyczących czy to demografii, czy cen ropy naftowej, i nie owijała niczego w bawełnę, zaznaczając swój dystans do omawianych problemów. Aż do niedawna szczerość i uczciwość w wygłaszaniu sądów były jej atutem. W tym jednak wypadku okazały się problemem. Reakcja, z jaką się spotkała, przypominała wybuch bomby zapalającej. Zaczęto ją ze wszystkich stron atakować za jej wątpliwości i jej kariera stanęła pod znakiem zapytania.

Doszła do wniosku, że temat zasługuje na uwagę, niezależnie od tego, po której stronie barykady ostatecznie wyląduje. Postanowiła podejść do niego w sposób wszechstronny, bez ograniczeń, wnikliwy, dokumentalny, a władze sieci podpisały się pod tym. W ten sposób, gdy zdecydowana większość jej kolegów ugrzęzła po uszy w bagienku maratonu krajowej kampanii wyborczej, Gracie skupiła całą energię na analizie wszelkich dostępnych informacji na temat klimatu oraz na spotkaniach z wszystkimi znaczącymi nazwiskami z branży. Wkrótce nabrała przekonania, że przez ostatnie kilka dekad poziom emisji gazów cieplarnianych faktycznie się podniósł, a temperatura na całej planecie rzeczywiście wzrasta, nadal jednak nie miała pewności, czy związek między tymi faktami jest tak bezpośredni, jak utrzymują ekolodzy. Przemierzyła więc całą Ziemię, od stacji badawczej im. Czerskiego na Syberii, gdzie topi się licząca czterdzieści tysięcy lat wieczna zmarzlina, uwalniając przy okazji ogromne ilości gazów cieplarnianych, aż po Grenlandię, gdzie ogromne lodowce ześlizgują się do morza w tempie dwóch metrów na godzinę. W czasie

podróży spoglądała krytycznym okiem na wszelkie pojawiające się nowe raporty dotyczące interesującego ją zagadnienia.

Jej instynkt psa gończego rozbudził się, gdy przyjrzała się takim organizacjom, jak Koalicja Klimatu Ziemskiego, Rada Informacyjna ds. Środowiska czy Stowarzyszenie Zielonej Ziemi - które funkcjonowały pod mylącymi nazwami, gdyż w rzeczywistości zostały powołane i były utrzymywane przez branżę samochodową, naftową oraz węglową, a jedynym celem ich działalności było cyniczne mydlenie oczu społeczeństwu i przekonanie go, iż globalne ocieplenie jest raczej teorią niż faktem. Nie potrzebowała zbyt wiele czasu, by nabrać głębokiego przekonania, że w wyniku działalności człowieka Ziemi naprawdę grozi niebezpieczeństwo. O wiele mniej jasne było jednak to, co realnie rzecz biorąc, można z tym zrobić. Debata na ten temat była o wiele trudniejsza, wybuchało wokół niej coraz więcej sporów i Gracie całkowicie dała się w nią wciągnąć.

Nie spodziewała się tylko, że doprowadzi ją do czegoś takiego.

Westchnęła ze złością.

- Nic z tego nie będzie. Miałaś więcej szczęścia? - zapytała Fincha, wstając z krzesła i podchodząc do okna, by przyrzeć się niebu.

Producent rozmawiał z redakcją w Waszyngtonie i również przekopywał się przez swoją listę kontaktową.

- Niestety. Jeżeli mamy do czynienia ze zjawiskiem naturalnym, to wydaje się, że nikt jeszcze czegoś takiego nie widział. A jeżeli nie, to według wszystkich ekspertów, z którymi rozmawiałem, technologia pozwalająca osiągnąć tego rodzaju efekt po prostu nie istnieje.

- Tego nie wiemy - sprzeciwił się Dalton, odrywając wzrok od monitora. - Jestem pewien, że więcej jest na tej Ziemi szajsu, niż nam się śniło.

- Jasne, ale w tym wypadku właściwie nie ma znaczenia, czego nie wiemy, ponieważ nie znamy niczego, co by to choć odrobinę przypominało.

- Zgubiłam się.

- Przełomy technologiczne muszą mieć gdzieś początek - wyjaśnił Finch. - Nie biorą się znikąd. Nikt nie wymyślił nagle telefonu komórkowego. Jego historia zaczęła się dwieście lat temu, od Alexandra Grahama Bella. To właśnie nazywamy postępem. Zwykły telefon, bezprzewodowy, cyfrowy i wreszcie komórkowy... Myśliwce niewykrywalne dla radaru - nie wiedzieliśmy o nich, ale one po prostu wyewoluowały z innych myśliwców. Rozumiesz, o co mi chodzi? Technologia ewoluuje. A to, co widzieliśmy... Wydaje się, że nie istnieje coś takiego, co moglibyśmy wskazać i powiedzieć: „No cóż, gdybyśmy to trochę powiększyli albo wzmocnili, albo użyli tego trochę inaczej, dałoby się to wyjaśnić”. To zupełnie inne

boisko. I wszyscy próbują to wyjaśnić. Popatrz tylko. - Pokazał Gracie ostatni email z Waszyngtonu. - Prawdziwa bomba! - zachwycił się. - Reuter, AP, CNN. Wszyscy o tym trąbią. Mówi się o tym we wszystkich stacjach, od Londynu do

Pekinu. To samo w serwisach internetowych. Drudge, Huffington. W Digg zrobiono z tego temat numer jeden, a na YouTubie przekroczyliśmy dwieście tysięcy wejść. Na forach rozpętała się prawdziwa burza.

- I co się na ten temat pisze?

- Z tego co widzę, uczestnicy dyskusji podzielili się na trzy obozy. Niektórzy twierdzą, że to tylko nieszkodliwy wybryk, wygenerowany komputerowo obraz, coś jak kiedyś Wojna światów. Inni również uważają, że to oszustwo, tyle że snują najróżniejsze wariackie teorie na temat tego, jak udało się coś takiego wywołać, przy czym żadna z nich nie trzyma się kupy, chociażby w kontekście drwiących komentarzy umieszczanych na forach przez osoby, które jak się zdaje, znają się na tym, o czym piszą.

- A czy jest w ogóle ktoś, kto nie uważa, że to my za tym stoimy?

- Jasne. Trzecia grupa: obóz za. Uważają, że zjawisko jest prawdziwe. I skłaniają się raczej ku przekonaniu, że to dzieło Boga, a nie Marsjan. Ktoś nas nawet nazwał „heroldami Drugiego Przyjścia”.

- Zaraz mi lepiej - jęknęła Gracie, czując narastający w niej niepokój. Była wewnętrznie rozdarta: ogarnął ją strach, a jednocześnie zachłanność. Z jednej strony podniecała ją myśl, że stała się twarzą najgorętszej historii sezonu - nie mogła temu zaprzeczyć - ale z drugiej rozsądek podpowiadał jej, żeby się opanowała. Wiedziała, że coś widziała; nie wiedziała tylko, co to takiego. I męczyło ją, że dopóki się tego nie dowie, sprawy w każdej chwili będą mogły wymknąć się spod kontroli. Wyobrażała sobie, co by się stało, gdyby zjawisko okazało się czymś mniej doniosłym, niż wszyscy wokół sugerowali: niemal widziała, jak Jon Stewart nabija się z niej w swoim komediowym programie, zachęcając ją do jak najwcześniejszej emerytury.

Finch odwrócił laptopa i wpisał coś na klawiaturze.

- Skoro mowa o Marsjanach - powiedział, spoglądając znacząco na Daltona - wysłał mi to mój znajomy z Discovery Channel. - Odwrócił komputer z powrotem monitorem do nich. - Niektóre z tak zwanych obiektów kosmicznych faktycznie sprowadzają się do tego, czego moglibyśmy się spodziewać po tego typu sensacjach, czyli na przykład do chmur czy smug po przelocie odrzutowca, które ludzie biorą za UFO. Nie jestem pewien, czy mnie to dziwi, ale według niego co miesiąc w Stanach Zjednoczonych zgłasza się ponad dwieście przypadków zaobserwowania statków kosmicznych. Co miesiąc. Ale z drugiej strony w

historycznych materiałach źródłowych znajdujemy całe mnóstwo odniesień do niewyjaśnionych zjawisk sięgających tysięcy lat wstecz. Dysponujemy setkami relacji na temat kul ognia, latających „glinianych pojazdów”, świetlistych dysków. To nie jest wynalazek naszych czasów. Wystarczy przyrzeć się uważnie tym wzmiankom: „Japonia, 8: na niebie zaobserwowano obiekt jasny jak księżyc w pełni, a następnie cały szereg dziwnych znaków”. Albo to: „Londyn, 3: nad miastem unosił się otoczony płomieniami latający smok”.

- Opium daje ten sam efekt - zauważył półzartem Dalton. - Poważnie. W tamtych czasach narkotyki były legalne, prawda?

- Poza tym żadnej z tych relacji nie da się zweryfikować - dodała Gracie.

- Jasne, ale problem polega na tym, że jest ich aż tyle. Pochodzą z różnych piśmiennych kontynentów, z czasów, gdy podróżowanie z jednego na drugi było praktycznie niemożliwe, a większość ludzi pozostawała analfabetami. Nawet w Biblii mamy o tym wzmianki.

- Też mi niespodzianka - zadrwiła Gracie.

Przez chwilę w powietrzu wisiało napięcie.

- No to co mówimy? Jak myślicie, co zobaczyliśmy?

Finch zdjął okulary i w zamyśleniu wytarł je rękawem.

- Gdyby nie to, że musimy powiedzieć coś do kamery, określiłbym nasz fenomen jako zbiorową halucynację. - Pokręcił powoli z niedowierzaniem głową i wsunawszy z powrotem okulary na nos, spojrzął na Gracie. - Nie potrafię tego wyjaśnić.

- Dalton? - zapytała.

Na jego zachmurzonej twarzy malowała się niepewność. Odchylił się w krześle i przeczesał palcami włosy.

- Nie mam pojęcia. Było w tym coś... niezemskiego, zgodzicie się ze mną? Obiekt nie był płaski jak projekcja, ale z drugiej strony nie wyglądał na coś twardego czy materialnego. Trudno to wyjaśnić. Było w tym coś jakby organicznego, dotykającego. Tak jakby rozświetliła się część samego nieba. Rozumiecie, o co mi chodzi?

- Ja rozumiem - zgodziła się niechętnie Gracie.

Przed oczami stanął jej jasny gorejący znak, tak wyraźny jak wtedy, gdy zobaczyła go po raz pierwszy. Kiedy przypominała sobie, jak zmaterializował się właściwie z niczego, nagle, tak samo jak przedtem, ogarnęła ją euforia. „Wyglądało to tak, jakby sam Bóg poruszył powietrzem, rozświetlił je z wewnątrz i ukształtował w znak” - pomyślała. I nie spodobała jej się ta myśl. Przestała wierzyć w Boga, gdy zmarła jej matka, gdy została oderwana od młodej

córki przez bezlitosnego guza w piersi. A teraz na niebie pojawia się takie niewytłumaczalne coś. Tak jakby chciało ją pognać.

Wyparła z głowy tę myśl. „Weź się w garść. Gonimy w piątkę. Musi być jakieś logiczne wyjaśnienie”.

Ale nie potrafiła się uwolnić od dręczącego ją pytania.

„A co, jeżeli go nie ma?”

Wyrzała przez okno, szukając na niebie kolejnego cudu i rozpaczliwie próbując znaleźć w głowie odpowiedź. Zadzwoił telefon satelitarny i gdy Finch sięgał przez stół, żeby go odebrać, Gracie zaczęła się zastanawiać nad psikusem sprzed roku, rzekomym pojawieniem się na niebie UFO. Materiał pokazujący statek kosmiczny przelatujący nad plażą w Haiti w ciągu kilku dni od umieszczenia go na YouTube obejrzało ponad pięć milionów użytkowników, okupował też fora oraz serwisy internetowe i gościł na niemal wszystkich funwallach na Facebooku. Dały się na niego nabrać miliony osób - aż wreszcie okazało się, że zmontował go jakiś francuski specjalista od animacji komputerowych, w ciągu kilku godzin na własnym macbooku, używając dostępnego powszechnie oprogramowania, tłumacząc później, że był to tylko „socjologiczny eksperyment” przeprowadzony na potrzeby filmu - na temat domniemanego UFO ma się rozumieć - nad którym ponoć pracował. Kiedy Gracie myślała o rozwoju technologii efektów specjalnych oraz namnożeniu się podrabianych filmików tak wysokiej jakości, że były w stanie przekonać nawet najbardziej zagorzałych sceptyków, w jej głowie zaczęło kielkować bardzo delikatnej natury pytanie: Czy ludzie rozpoznaliby „prawdziwe” zjawisko tego rodzaju, gdyby - tak jak teraz - miało miejsce naprawdę? Gracie wiedziała, co zobaczyła. Widziała to na własne oczy, ale wszyscy inni oglądali to tylko na ekranie. Tymczasem gdyby nie była tego naocznym świadkiem, czy uznałaby to za coś, czym rzeczywiście było - coś cudownego, niewyjaśnionego, może nawet ponadnaturalnej lub boskiej natury - czy też rozpląnęłoby się to w morzu przyrodzonego jej cynizmu?

- Gracie! - zawołał Finch, przykrywając dłonią słuchawkę telefonu.

Odwróciła się.

Na jego twarzy malowała się niepewność.

- To do ciebie.

- Co znowu? - burknęła.

- Nie jestem pewien, ale... To z Egiptu. Chyba powinnaś odebrać.

ROZDZIAŁ 16

Boston, Massachusetts

Matt nie dostrzegł w okolicy ani jednej taksówki, ale do swojego samochodu dostał się dosyć szybko. Furgonetka nie zdążyła oddalić się zbyt od baru, kiedy z niej wyskoczył. Pokonałby tę drogę jeszcze prędzej, gdyby nie jego stan. Był półprzytomny i czuł mdłości, w kilku miejscach miał otarty naskórek, a kości bolały go tak, jakby każdą z nich potraktował młotem kowal na sterydach. W dodatku, żeby go bardziej pognębić, zaczął padać śnieg.

Z ulgą odnalazł samochód, zielonego mustanga GT „Bullitt” fastback z 8 roku, pierwszy wóz, który osobiście poddał renowacji, zaparkowany w miejscu, gdzie go zostawił - w pobliżu baru przy Emerson. Nie przyszło mu do głowy, żeby po drodze sprawdzić, czy ciągle ma przy sobie kluczyki, ale na szczęście były na miejscu, bezpiecznie schowane w kieszeni kurtki.

Cuda się zdarzają - nawet w tak parszywą noc.

Szybko jednak stwierdził, że wyczerpał ich przeznaczoną na ten wieczór pulę: zgubił komórkę. Pewnie wypadła mu z kieszeni w czasie twardego lądowania na asfalcie. Zresztą... Matt nie rozwodził się w myślach nad tym zbyt długo, miał poważniejsze zmartwienia.

Oparł się o samochód, dysząc ciężko, a przed oczami mignął mu obraz bezbronnego Bellingera, którego tamte zbiry najpierw usmażyły, a potem potraktowały jeszcze strzykawką. Matt pragnął usilnie jakoś mu pomóc, ale nie przychodziło mu do głowy żadne rozsądne posunięcie. Nie mógł iść na policję. Furgonetka zniknęła, a pytania, które biorąc pod uwagę jego kartotekę, niechybnie by mu zadano, tylko zagmatwałyby sprawę. Ściślej rzecz ujmując, nie sądził, żeby na tyle pomogło to glinom w odnalezieniu i uwolnieniu Bellingera, by ryzykował ujawnienie miejsca swego pobytu bandytom, którzy go dopadli.

Zresztą i tak był przekonany, że interwencja policji w tym wypadku na niewiele by się zdała.

Gdy wracał do domu, ulice były już pustawe, a na miasto znowu opadła cienka pierzynka śniegu. Po kilku minutach dotarł do ekspresówki, a stamtąd miał tylko kawałek do warsztatu w Quincy oraz kawalerki nad nim, w której mieszkał. Jechał na południe i roztrząsał w myślach wszystko, co mu się przydarzyło, starając się poukładać w sensowną całość bieg wypadków, które dopadły go zupełnie zniemacka, i wymyślić jakieś rozsądne wyjście z sytuacji.

Zadzwoił Bellinger. Poprosił o spotkanie - i to natychmiast. Potem zaskoczył go informacją, że jego brat być może został zamordowany albo że jego śmierć została

upozorowana i przebywa gdzieś w zamknięciu. Jak to określił dokładnie? „Pracuje nad tym wbrew woli?”

Danny, żywy - ale gdzieś zamknięty?

Myśl ta wywoływała w Matcie falę uniesienia - ale zarazem gniewu. Zawsze byli ze sobą zżyci, co nigdy nie przestało zdumiewać ich przyjaciół, bo przecież różnili się od siebie jak ogień i woda. Po pierwsze, wyglądali zupełnie inaczej. Matt, trzy lata starszy, odziedziczył po ojcu oliwkową cerę, ciemne włosy i masywną budowę ciała; Danny - chłopak o jasnej karnacji, dwadzieścia pięć kilo lżejszy od brata - wdał się w matkę. Różnice w wyglądzie przekładały się właściwie na wszystko. Matt nie miał cierpliwości do lekcji, podczas gdy Danny obdarzony był nieposkromionym apetytem na wiedzę. Matt uprawiał wszelkie dyscypliny sportu, jakie tylko potrafił zmieścić w napiętym grafiku. Danny spudłowałby do kosza, nawet gdyby siedział na tablicy. Poza szkołą kontrast między nimi bynajmniej się nie zmniejszał. Matt był bezczelny, gwałtowny i lekkomyślny - innymi słowy, spełniał wszystkie kryteria magnesu na kobiety. Danny był introwertykiem i preferował towarzystwo komputera, który znalazł w jakimś sklepie ze starociami i zreperował we własnym pokoju. Mimo to łączyła ich nierozzerwalna więź, obopólne zrozumienie, które przetrwało najbardziej obraźliwe docinki i najbardziej nęcące podszepty, jakimi starano się ich rozdzielić w liceum.

Ich przyjaźń przetrwała również kilka powtarzających się kolizji Matta z prawem.

Jak często bywa w wypadku chłopców takich jak on, zaczęło się od drobiazgów. Matt zmajstrował swój pierwszy samochód w wieku trzynastu lat - zamontował silnik ze starej pralki w czterokołowej „mydelniczce” i tym samym zbudował pojazd, który wkrótce stał się atrakcją w całej dzielnicy. Miejscowi gliniarze byli zdumieni i nawet najbardziej twardogłowi maniacy wśród nich nie mogli się zmusić, by odebrać mu jego dumę i radość - choć z biegiem lat ich względnie neutralny stosunek do niego miał się radykalnie zmienić. Ponieważ gdy przybywało mu lat, rozziw między jego miłością do samochodów z jednej strony a marnymi szansami na pracę po godzinach, którą mógłby podjąć gdzieś w okolicach Worcesteru, oraz cieniutkim portfelem jego rodziców z drugiej, stawał się coraz bardziej frustrujący. Matt był krnąbrny i niecierpliwy, i zaczął szukać własnych sposobów, by wyrównać tę niesprawiedliwość.

Te pierwsze eskapady... To był cały Matt. Nie rzucał się po prostu na jakieś stare gruchoty. Krążył po bogatszych dzielnicach Bostonu w poszukiwaniu konkretnych samochodów ze swojej listy celów. Nigdy nie rozbijał ani nie złomował ukradzionych wozów, nie starał się też ich sprzedać. Kiedy już się nimi nacieszył, zostawiał je zwyczajnie

na którymś z parkingów. Udało mu się przetestować kilka niezłych bryk, zanim został złapany. A sędziego, który przewodniczył jego pierwszej rozprawie, bynajmniej nie rozbawiły jego wygłupy, nie zrobiły też na nim większego wrażenia.

Okazało się, że ten inauguracyjny pobyt za kratkami ma daleko idące konsekwencje. Po zwolnieniu z więzienia Matt szybko zdał sobie sprawę, że jego życie bardzo się zmieniło. Wyparowały perspektywy na pracę. Przyjaciele odsunęli się od niego. Ludzie patrzyli na niego w zupełnie inny sposób. On zresztą również się zmienił. Wydawało się, że kłopoty same go szukają, tak jakby wyczuwając w nim chętnego klienta. Jego bogobojni, ciężko pracujący rodzice byli przerażeni i przygnębieni złą passą syna. Nie mieli na tyle zdrowego rozsądku czy siły charakteru, by wyciągnąć do niego pomocną dłoń, czego ogromnie wtedy potrzebował. Światelkiem w tunelu nie stał się dla niego również kiepsko opłacany, skorumpowany kurator sądowy. I pomimo powtarzających się, ociekających frustracją sporów z Dannym na temat tego, dokąd to wszystko zmierza, Matt wyleciał przed maturą ze szkoły i nagle życie wymknęło mu się spod kontroli. W ciągu paru następnych lat kilkakrotnie znowu lądował w więzieniu, między innymi za kradzież, uszkodzenie mienia oraz pobicie, i jego przyszłość zaczęła się malować w ciemnych barwach, podczas gdy kariera Dannyego nabierała rozpędu: najpierw w MIT, potem w mającej nieopodal siedzibę firmie z branży technologicznej, gdzie otrzymał bardzo dobrze płatną posadę.

Jadąc mostem nad rzeką Neponset, Matt ze smutkiem wspominał, jak rzadko widywał się z Dannym przed jego śmiercią. Wyszedł z więzienia zaledwie kilka miesięcy przed tym, jak Reece zaproponował jego bratu pracę, i nie mieli odtąd zbyt wielu okazji, żeby się spotykać. Matt był zajęty Rozkręcaniem interesu - brat udzielił mu na to pożyczki, która stała się dla niego ostatnią szansą, jak pomyślał ze wstydem. Właściwie uratował mu życie.

To Danny usiadł z nim kiedyś i przemówił mu do rozumu - wreszcie. Zmusił go, by zrozumiał, że daleko w ten sposób nie zajdzie. I kazał wyprostować swoje życie.

Zaproponował mu bardzo prosty sposób na wybrnięcie z trudnej sytuacji. Chodziło o to, by to, co przede wszystkim przyczyniło się do jego katastrofy, zamienić w coś pozytywnego. Wykorzystać to i wyrzeźbić z tego nowe życie. Matt posłuchał dobrej rady. Znalazł niewielki warsztat samochodowy w Quincy, który miał być wkrótce zamknięty, i postanowił go przejąć. Plan, który wymyślili z Dannym, polegał na tym, że będzie wyszukiwał i remontował klasyczne samochody. Matt miał słabość do potężnych amerykańskich krążowników szos z lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych, takich jak mustang, za którego kierownicą właśnie siedział, model kolekcjonerski, o którym marzyli z Dannym, odkąd zobaczyli w telewizji, jak Steve McQueen katapultuje się ponad ulicami San

Francisco (oglądali ten film jakieś trzydzieści razy). Wiedział, że ciężko mu będzie rozstać się z takim cackiem, kiedy już je wyszykuje, ale przy odrobinie szczęścia mógł je sprzedać jakiemuś potrzebującemu weekendowej zabawki menadżerowi za siedemdziesiąt tysięcy, może nawet więcej. W upajających dniach poprzedzających wybuch kryzysu Matt cieszył się już reputacją w branży entuzjastów samochodów. Sprzedał nawet kilka maszyn gościom, którym kilka lat wcześniej ukradł samochody, ale oczywiście nie przyznał się im do tego. Przyszłość zaczynała nabierać rumieńców - niestety, nie wiedział, że nowa praca wciąga Dannyego w czarną dziurę. Czarną dziurę, która ostatecznie miała go kosztować życie.

Ale czy na pewno?

Czy to było w ogóle możliwe, by Danny ciągle żył?

Bellinger podsunął mu przekonujący argument. A kilka sekund później dorwali go. To musiało coś znaczyć.

Niezależnie od tego, czy Danny żyje czy nie, sama myśl, że wszystkich ich okłamano, że ktoś znał prawdę i ukrył ją przed nimi - sama myśl, że to nie los, ale jakiś bandyta zabrał im Dannyego - przyprawiała go o mdłości.

Nie miał zamiaru tak tego zostawić.

Zjechał na Willard Street, minął rondo, skręcił na Copeland i nagle ogarnęła go prawdziwa furia, bo przypomniał sobie, jaki wpływ wieść o śmierci Dannyego miała na jego rodziców. Już wystarczającym ciosem było dla nich to, że ich starszy syn został bandytą. Stracić Dannyego - ich dumę i radość, dzięki któremu ich nazwisko zostało oczyszczone - tego już nie mogli wytrzymać. Matka zmarła kilka miesięcy później. Matt wysłuchał lekarzy upierających się przy swojej skomplikowanej terminologii, ale wiedział swoje: kobiecie po prostu pękło serce. Zdawał sobie również sprawę, że częściowo się do tego przyczynił. Rozumiał, że troska zaczęła pustoszyć jej żyły w dniu, kiedy został po raz pierwszy aresztowany, może nawet wcześniej. Ojciec nie przyjął ciosu o wiele lepiej. Danny miał w pracy wykupioną polisę na życie i choć dzięki jej spieniężeniu staruszek mógł zamieszkać w domu opieki, gdzie pieniądze zapewniły mu dodatkowy komfort, i tak był już wtedy strzępkiem człowieka. Na pogrzebie żony ledwie zamienił słowo z Mattem, a ten od tamtego ponurego styczniowego dnia nie pofatygował się, żeby go odwiedzić. Prawie rok później miejscowy szeryf, widmo krążące od lat za Mattem, wysłedził go w warsztacie w Quincy i poinformował o śmierci ojca. Zawał, powiedział, ale i tym razem Matt miał na ten temat własne zdanie.

Przypomniały mu się słowa Bellingera. Ktoś załatwił Dannyego i miało to jakiś związek z czymś, co właśnie pojawiło się na niebie nad Antarktydą. Brzmiało to dziwacznie,

absurdalnie. Tyle że najwyraźniej takie nie było. Faceci, którzy stanęli mu na drodze przed godziną, byli bardzo realni. Zawodowcy. Świetnie wyposażeni. Bezwzględni. I nie za bardzo przejmowali się zachowaniem dyskrekcji.

Niepokojące wnioski wypływały zwłaszcza z tego ostatniego.

Jechał na wschód Copeland, niewiele przed sobą widząc: czterdziestoletnie reflektory mustanga ledwie przebijały się przez gęste płatki śniegu. Ponieważ wokół nie było żadnych samochodów, puch zdołał się osadzić na ziemi, pokrywając drogę cienką białą kołderką. Minął Buckley i dotarł wkrótce do spożywczaka, przy którym zaczynała się dróżka prowadząca do jego warsztatu, i kiedy miał już w nią skręcić, nagle zauważył odcisnięty w świeżym śniegu ślad opon.

Samochód, do którego należały, zjechał z Copeland. Matt nie widział dobrze dalszej części podjazdu. Warsztat znajdował się jakieś sto metrów od głównej drogi, a w pobliżu nie było latarni, ale ślady opon były na tyle wyraźne, by rozbudzić jego czujność - nie mogły prowadzić nigdzie indziej niż do niego. Dalej po prostu niczego już tam nie było.

Problem polegał na tym, że nikogo się nie spodziewał.

Co oznaczało, że magiczna noc bynajmniej nie dobiegła końca.

ROZDZIAŁ 17

Morze Amundsena, Antarktyda

Musi tu pani przyjechać. Musi pani coś zobaczyć.

Głos nie należał do rodowitego Amerykanina czy Anglika, ale Gracie nie potrafiła zidentyfikować akcentu rozmówcy. Choć mówił powoli i wyraźnie, w jego słowach wyczuwała wzburzenie, które przebiło się nawet przez szumy połączenia satelitarnego.

- Chwileczkę - powiedziała. - Kim pan właściwie jest i skąd ma pan ten numer?

- Nazywam się Amin. Brat Amin, gwoli ścisłości.

- I dzwoni brat z Egiptu?

- Tak. Z Dajr asSurjani, klasztoru obrządku syryjskiego w Wadi anNatrun.

Jej wewnętrzny alarm, który odezwał się już, kiedy mężczyzna zaczął mówić, nagle rozdzwonił się wniebogłosy.

- A skąd ma brat ten numer? - zapytała ponownie nieco podniesionym głosem.

- Zadzwoiłem do waszej filii w Kairze.

- I tam go bratu podali?

Choć nawet nie starała się ukryć rozdrażnienia, mężczyzna nie próbował jej udobruchać.

- Powiedziałem im - rzekł po prostu - że dzwonię w imieniu ojca Jerome.

Imię to przez chwilę kołatało się po rozmaitych zakamarkach zmęczonego umysłu Gracie, ale po chwili wywołało odpowiednie skojarzenie.

- Co!? Tego ojca Jerome?

- Owszem - potwierdził zakonnik. - Właśnie tego.

Jej wewnętrzny alarm nieco się uspokoił.

- I dzwoni brat w jego imieniu z Egiptu? A więc to tam przebywa?

Nagle zdała sobie sprawę, że od pewnego czasu nie czytała niczego o światowej sławy działaczu humanitarnym. Co było dosyć niezwykle, zważywszy na jego, przyjmowany wprawdzie z oporem, ale trudny do zaprzeczenia, status osoby publicznej oraz to, że założona przez niego potężna organizacja dobroczynna, z tego co wiedziała Gracie, kontynuowała działalność.

- Tak, jest tutaj. Od prawie roku.

- No dobra, zainteresował mnie brat - przyznała. - O co chodzi?

- Musi pani tutaj przylecieć. Zobaczyć się z ojcem Jerome.

- Dlaczego? - zdziwiła się.

- Widzieliśmy pani program. To pani zobaczyła znak. I pokazała go światu.

- „Znak”?

Dalton i Finch spoglądali na nią, zaciekawieni. Wzruszyła pod ich adresem ramionami, co miało oznaczać, że nie jest pewna, o co chodzi.

- Z jakiegoś powodu - powiedział brat Amin - czy tego chciał Bóg, czy z jakiegoś innego, była tam pani. To pani materiał. Poza tym, oczywiście, znam doskonale inne pani relacje. Ludzie pani słuchają. Ma pani doskonałą reputację. Dlatego właśnie mówię o tym pani i nikomu innemu.

- Na razie nic mi brat nie powiedział.

Zakonnik milczał przez chwilę.

- Ten symbol - odezwał się w końcu - który widziała pani na własne oczy, tam, nad lodem. My też go tutaj mamy.

Gracie poczuła, że gwałtownie przyspiesza jej puls.

- Co? U was też jest? Na niebie?

Na te słowa Dalton i Finch zaczęli jeszcze uważniej przysłuchiwać się rozmowie.

- Nie, nie na niebie.

- W takim razie gdzie?

- Musi pani tutaj przyjechać. Sama pani zobaczy.

Gracie zaczęła tracić cierpliwość.

- Muszę wiedzieć więcej.

- Trudno to wyjaśnić.

- Proszę spróbować.

Brat Amin przez chwilę ważył słowa.

- Właściwie ojciec Jerome nie przebywa dokładnie tutaj, w klasztorze. Był u nas. Przybył kilka miesięcy temu. Był... w nie najlepszym stanie. A po kilku tygodniach wyruszył w góry. Tam jest taka jaskinia. Jaskinia wyposażona tylko w najbardziej podstawowe rzeczy, rozumie pani, dach nad głową, łóżko do spania, kuchenka. Mężowie Boży udają się tam, szukając odosobnienia, gdy nie chcą, żeby im przeszkadzano. Czasem zostają tam kilka dni. Czasem tygodni. A nawet miesięcy.

- I ojciec Jerome jest tam?

- Tak.

Gracie nie wiedziała, co o tym myśleć.

- A co to ma wspólnego ze mną?

Zakonnik się zawahał. Sprawiał wrażenie, jakby mówienie o tym wzbudzało u niego opór.

- Panno Logan, ojciec Jerome bardzo się zmienił. Coś... Przydarzyło mu się coś, czego do końca nie rozumiemy. Poza tym od czasu, gdy zamieszkał w jaskini, pisze. Dużo pisze. Zapenia swymi przemyśleniami zeszyt za zeszytem. A na niektórych stronicach są też rysunki. Właściwie ciągle ten sam rysunek, którym pokrył również ściany jaskini.

Dziennikarka poczuła gęsią skórę.

- To ten sam znak, panno Logan. Ten, który zobaczyła pani nad lodem.

Gracie przez chwilę walczyła ze sobą, nie mogąc uwierzyć w to, co przed chwilą usłyszała. Z chaosu jej myśli wyłoniło się oczywiste pytanie.

- Bez obrazy, bracie Aminie, ale...

- Wiem, co chce pani powiedzieć - przerwał jej. - I rzeczywiście, ma pani pełne prawo zachować sceptycyzm. Nie spodziewałbym się niczego innego po kimś o tak przenikliwym umyśle jak pani. Ale musi mnie pani wysłuchać. W jaskini nie ma telewizora. Nie mamy go nawet w klasztorze, radia zresztą też. Ojciec Jerome nie widział pani programu.

Wytrenowany przez lata wewnętrzny wykrywacz świrusów Gracie miał wyraźny problem z jednoznaczną oceną jej rozmówcy.

- No cóż, po prostu nie jestem pewna, czy jedno słowo brata wystarczy, żebym wskoczyła zaraz do samolotu.

- Nie rozumie pani - stwierdził brat Amin, wyraźnie powściągając wzburzenie. - On nie zaczął tego robić teraz.

Gracie poczuła ucisk w żołądku.

- Co brat sugeruje? Kiedy zaczął rysować ten znak? Odpowiedź przeszła ją niczym grot włóczni.

- Siedem miesięcy temu. Rysuje wszędzie ten znak od siedmiu miesięcy.

ROZDZIAŁ, 18

Quincy, Massachusetts att poddał się instynktowi i zjechał szybko na parking sklepu tuż przed początkiem dróżki prowadzącej do jego warsztatu.

Całodobowy sklep był otwarty, choć na zewnątrz nie stały żadne samochody. Zgasił światła, ale silnik zostawił na chodzie, i zalewany przez migoczące czerwonozielone świąteczne lampki spożywczaka, siedział przez chwilę nieruchomo, analizując sytuację.

Byli tam. Czekali na niego. Zdążyli. A

„Jak to możliwe?”

Wrócił szybko myślami do porwania Bellingera. Pewnie go obserwowali. Może nawet mieli jego telefon na podsłuchu. A skoro tak, to wiedzieli o jego rozmowie z Mattem. A jeśli faktycznie chodziło o Dannyego, to wiedzieli już o Matcie wszystko.

I stał się teraz dla nich problemem.

„Cudownie”.

Rozejrzał się, ale nie zauważył niczego podejrzanego. Pewnie czekali na niego przy warsztacie. Postawił się w ich sytuacji i natychmiast przyszło mu do głowy idealne miejsce, w którym mogli zaparkować - niewidoczni, gotowi do zdjęcia go zaraz po powrocie. „Sukinsyny. Jak to możliwe, że zareagowali tak szybko?” Przecież nie minęła nawet godzina, odkąd wyskoczył z ich furgonetki.

Nie brakowało im środków.

Co było raczej mało pocieszające.

Zgasił silnik, postawił kołnierz kurtki i wysiadł z samochodu, ukradkiem rozglądając się wokół siebie. Kilkoma szybkimi krokami pokonał dystans dzielący go od sklepu i skulił się pod jego markizą, jeszcze raz obrzucając wzrokiem okolicę.

Nic.

Widział tylko ślady opon prowadzące dróżką wzdłuż bocznej ściany budynku, znikające w ciemnościach i jakby drwiące z niego.

Wszedł do środka, uruchamiając dwutonowy elektryczny sygnał. Sanjay, niezwykle sympatyczny właściciel sklepu, uzupełniający właśnie hot dogami grilla, podniósł na niego wzrok.

- Cześć, Matt! - przywitał się z uśmiechem, a zauważywszy śnieg na głowie sąsiada, przybrał speszony wyraz twarzy i dodał: - Robi się paskudnie, co?

W połowie zdania zorientował się, w jakim stanie jest Matt, i na jego czole pojawiły się zmarszczki oznaczające niepokój.

Matt skinął tylko w zamyśleniu głową, nadal analizując sytuację. Obrzucił wzrokiem wnętrze sklepu, upewniając się, że są sami.

- Faktycznie, paskudnie - odparł po chwili i nagle spochmurniał. - Sanjay, muszę skorzystać z tylnego wyjścia.

Sklepikarz wpatrywał się w niego przez chwilę.

- Jasne - rzekł w końcu. - Skoro musisz.

Znali się od dnia, w którym Matt przejął warsztat. Był dobrym klientem i sąsiadem, a Sanjay znał go już na tyle, by wiedzieć, że nie prosiłby go o coś takiego bez powodu.

Sklepikarz zaprowadził Matta na zaplecze sklepu i otworzył drzwi.

Matt zatrzymał się w przejściu.

- Nie zamykaj ich, dobra? Zaraz wrócę.

Sanjay z wahaniem skinął głową.

- Jasne. - Uciekł wzrokiem, a potem spojrzał z powrotem na sąsiada i dodał: - Na pewno wszystko w porządku?

- Niezupełnie - odparł Matt, wzruszając ramionami, i ostrożnie wymknął się ze sklepu.

Nie zauważył żadnych samochodów. Przycisnął się pod ścianą z tyłu budynku i ruszył przed siebie, starając się trzymać z dala od głównej drogi. Minał samochód Sanjaya oraz kontener na śmieci. Wkrótce wyszedł poza zasięg światła i znalazł się w całkowitych ciemnościach, w których mógł się jako tako zorientować tylko dzięki rozmytej poświacie wiszącego na niebie księżyca. Dobięł chylkiem do kępki drzew, a potem do niskiego, parterowego ceglanego budynku, w którym mieściła się niewielka kancelaria prawnicza. Tak jak się tego spodziewał, wszystkie światła były zgaszone, a wokół nie zauważył żadnych pojazdów. Walcząc z bólem, który przy każdym kroku eksplodował w jego lewej nodze i biodrze, popędził wzdłuż ściany, aż dotarł szybko do jej końca.

Schylił się i zaryzykował rzut oka za róg. Okazało się, że miał rację. Na jednym z miejsc parkingowych kancelarii, na samym końcu placu, jakieś dwieście metrów od wejścia do jego warsztatu, stał czarny chrysler c. Dostrzegł również sylwetki dwóch mężczyzn siedzących w środku.

Czekali na niego. Bo przecież nie stawili się tam osiem godzin przed umówionym spotkaniem z adwokatem - nikt aż tak bardzo nie przepada za swoim prawnikiem.

Matt wycofał się do cienia, w myślach szybko odhaczając możliwości, jakie mu zostały. Instynkt podpowiadał mu, by natychmiast rzucić się do ataku, zrobić z nich miazgę i pięściami wymusić informacje. Jeszcze kilka lat wcześniej prawdopodobnie by go posłuchał, nie zważając na to, że przeciwnik ma nad nim przewagę. Teraz jednak dostrzegał ją wyraźnie i choć rozpaczliwie pragnął się zmierzyć z bandytami, niechętnie pogodził się z faktami i stwierdził, że byłoby to bardzo nierozsądne posunięcie. Przecież wszystko go bolało, a lewa noga ledwo utrzymywała jego ciężar. Nie miał szans i doskonale zdawał sobie z tego sprawę.

Przeżył krótką chwilę słabości, zastanawiając się, czy nie zadzwonić na policję, ale szybko odrzucił ten pomysł. Nie ufał przedstawicielom władzy. Zawsze tak było i będzie. Poza tym, jeśli chodzi o gliny, musiał się liczyć z tym, że może przegrać konkurs pod tytułem: „Moje słowa przeciw ich”. A przecież było jasne jak słońce, że ci goście w chryslerze są doskonale poinformowani, co oznaczało, że mają niezłe plecy. On zaś miał tylko kartotekę, której wydrukowanie wysuszyłoby pełen cartridge drukarki atramentowej.

Nic dziwnego, że szybko zastąpił ten pomysł innym, o wiele lepszym.

. Przebiegł w myślach poszczególne etapy planu, szukając słabych punktów, i doszedł do wniosku, że to najrozsądniejsze, co może zrobić. Że właściwie nie może zrobić nic innego. Po raz ostatni przyjrzał się ukradkiem chryslerowi, upewniając się, że co najmniej przez chwilę nie ruszy się z miej - - sca, po czym wrócił do sklepu.

Minął półki i Sanjaya, który spojrzał na niego pełnym niepokojem, pytającym wzrokiem. Nie zatrzymując się, Matt raczej mało przekonującym gestem zasygnalizował mu, że wszystko jest pod kontrolą.

- Potrzebuję jakiejś taśmy - powiedział. - Mocnej taśmy klejącej, na przykład takiej do pakowania kartonów.

Sklepiarz zastanawiał się przez chwilę, po czym skinął głową.

- Znajdzie się - rzucił za Mattem, który właśnie zniknął we frontowych drzwiach.

Rozejrzawszy się, stwierdził, że póki co chyba nic mu nie grozi. Podszedł od tyłu do swojego mustanga i otworzył bagażnik. Wyćwiczonymi palcami odsunął okładzinę bocznej ścianki. Sięgnął za nią i trafił na znajdujący się tam niewielki schowek. W środku leżało

również nieduże czarne pudełko, nie większe od paczki papierosów. Matt wyciągnął je i wsunął do wewnętrznej kieszeni kurtki. Następnie wyjął ze skrzynki narzędzia klucza nasadowy, zamknął bagażnik i ruszył chyłkiem z powrotem w stronę sklepu.

Sanjay już na niego czekał. Trzymał w dłoniach rolkę dwucalowej taśmy. Matt wziął ją od niego, burknął pod nosem: „Super!”, i pobiegł dalej.

Podkraść się do ceglanego budynku i wyjrzał za róg. Chrysler ciągle stał tam gdzie przedtem. Matt rozejrzał się, cofnął nieco i dał nura w krzaki oraz drzewa rosnące obok parkingu. Dotarłszy do miejsca oddalonego od samochodu o jakieś piętnaście metrów, opadł na ziemię i resztę drogi dzielącej go od samochodu pokonał, czołgając się.

Ciągle bolały go łokcie po upadku z furgonetki. Nie zwracał jednak na to uwagi i podpełzł aż do samego bagażnika chryslera. Zatrzymał się, by złapać oddech i sprawdzić, czy nic się nie dzieje. Cisza. Zadowolony, że nikt go nie zauważył, przetoczył się na plecy i wczołgał pod samochód. Szybko znalazł odpowiednią rozpórkę. Sięgnął do kieszeni, wyjął urządzenie naprowadzające i przymocował je do podwozia.

Prawie już skończył, gdy nagle poczuł ruch w samochodzie, a potem usłyszał szczęknięcie otwieranych drzwi. Odwrócił głowę w stronę siedzenia pasażera i zamarł, dostrzegając opadającą na ziemię najpierw jedną, a potem drugą stopę, oświetloną przez lunę z wnętrza wozu. Zaskrzybiał śnieg i światło zgasło - mężczyzna przymknął cicho drzwi, nie zatrzymując ich do końca.

Matt nagle przypomniał sobie o czymś i poczuł przypływ paniki. Bardzo powoli przekręcił głowę, by spojrzeć za samochód, gdzie dostrzegł wyraźny ślad w śniegu, jaki zostawił, czołgając się po nim. Trop odcisnięty w połyskującej perłowo, puszystej pierzynie prowadził prosto do wozu.

Napinając wszystkie mięśnie, patrzył, jak mężczyzna oddala się o kilka kroków i podchodzi do bagażnika samochodu. Matt nie spuszczał go z oczu, w myślach wybiegając w przyszłość, do momentu gdy przeciwnik zauważy ślad, i zastanawiając się, jak mógłby zareagować. Z sercem w okolicach gardła podążał wzrokiem za stopami pasażera chryslera, które minęły tylne koło i podeszły do tyłu wozu - i nagle się zatrzymały. Każdy nerw w ciele Matta bił gwałtownie na alarm, a jego palce odruchowo sięgnęły pod kurtkę i zacisnęły się wokół rączki klucza. Miał już zamachnąć się nogami i przewrócić mężczyznę, gdy ten nagle odwrócił się i stanął twarzą do ściany. Matt usłyszał odgłos odpinanego rozporoka i odetchnął z ulgą. Facet wyszedł tylko, żeby się wysikać.

Zaczekał, aż skończy, a potem obserwował, jak mężczyzna wsiada z powrotem do samochodu. Upewniwszy się, że urządzenie naprowadzające trzyma się podwozia, wypelzł

spod chryslera i wrócił po własnych śladach do sklepu, zatrzymując się tylko na chwilę, by zapamiętać numer rejestracyjny wozu.

Sanjay stał przy kasie, najwyraźniej ze zmartwienia nie bardzo potrafiąc sobie znaleźć miejsce.

Matt skinął do niego z wdzięcznością głową, a potem sięgnął po ołówek i zanotował na jakiejś ulotce numery blach chryslera. Schował kartkę do kieszeni i spojrzał na sklepikarza.

- Zrób coś dla mnie. Gdyby ktoś pytał, nie widziałeś mnie od lunchu. W porządku?

Sanjay skinął głową.

- Nie powiesz mi, co jest grane?

Matt ogarnęły sprzeczne uczucia i jeszcze bardziej spochmurniał na twarzy.

- Lepiej, żebyś nie był w to wplątany. Bezpieczniej dla ciebie.

Sklepikarz ponuro przyjął do wiadomości jego słowa, po chwili jednak zawahał się i dodał lęklwym tonem, tak jakby nie był pewien, ile może powiedzieć oraz jak bardzo może się angażować w sprawę:

- Ale będziesz ostrożny?

Matt uśmiechnął się smutno.

- Taki mam plan.

Nagle coś mu przyszło do głowy. Podeszedł do lodówki i wyciągnął puszkę coli. Przytrzymał ją przed Sanjayem i zapytał:

- Ale nadal mam u ciebie czyste konto? Sklepikarz wyraźnie się rozluźnił.

- Jasne, że masz. Matt wyszedł.

ROZDZIAŁ 19

Morze Amundsena, Antarktyda

Więc jaki werdykt? Wierzymy braciszkowski?

Gracie oparła głowę o zimną szybę w oknie sali konferencyjnej. Na zewnątrz było prawie tak samo jasno jak wcześniej - niebo miało ten sam szarobławy odcień - co bynajmniej nie podnosiło jej na duchu. Musiała cofnąć się o krok, zresetować skołatany umysł, odpocząć choćby godzinkę lub dwie. Na innej szerokości geograficznej było pewnie grubo po północy, a niegasnące światło dzienne antarktycznego lata zdążyło już całkowicie rozregulować jej zegar biologiczny, ale w głowie kołatało jej "Się jeszcze bardzo wiele pytań domagających się gwałtownie odpowiedzi.

- Daj spokój, Gracie - odparł Dalton. - Przecież mówimy o ojcu Jerome. *

- No i?

- Żartujesz? Facet jest chodzącą świętością! Nie ukułby czegoś takiego. To tak, jakbyś powiedziała, że... No nie wiem... Że Dalajlama jest łgarzem.

Ojciec Jerome oficjalnie nie był świętym. Zasadniczym warunkiem kanonizacji jest bowiem, przynajmniej w oczach Watykanu, jego uprzednia śmierć. Było jednak niemal pewne, że w przyszłości zakonnik zostanie co najmniej beatyfikowany, a pewnie i kanonizowany.

W jego wypadku określenie „święty” było jak najbardziej odpowiednie.

Przyszedł na świat w 9 roku jako Alvaro Suarez, syn skromnych rolników mieszkających u stóp Gór Kantabryjskich w północnej Hiszpanii. Najmłodsze lata spędził w ubóstwie. Gdy miał pięć lat, zmarł jego ojciec, zostawiając żonę z zadaniem nie do pozazdroszczenia: musiała odchować sześcioro małych dzieci, i to w kraju rządzonym nadal twardą ręką przez Franco i liżącym ciągle rany po latach wojny. Wychowany w rodzinie katolickiej mały Alvaro - najmłodszy z rodzeństwa - wykazał się ogromną siłą charakteru, zwłaszcza pewnej ostrej zimy, kiedy w wyniku epidemii wirusowej omal nie zmarły jego matka oraz dwie siostry. To, że udało mu się zwalczyć przeciwności losu i pomóc najbliższym, przypisywał swej wierze, a uzdrowienie bliskich jeszcze bardziej zacieśniło jego więź z Kościołem. W czasach młodości uwielbiał też opowieści o misjonarzach, oddanych bliźnim mężach podejmujących dzieło Pana w najuboższych zakątkach naszego globu, a jako nastolatek był już pewien, że poświęci swe życie Kościołowi. Sam ledwo uniknąwszy takiego losu, postanowił się skupić na pomaganiu sierotom i porzuconym dzieciom. W wieku siedemnastu lat opuścił dom rodzinny i rozpoczął podróż życia, najpierw zapisując się do seminarium w Andaluzji, a potem przenosząc do Afryki, gdzie wkrótce założył pierwszą ze swych wielu misji. Po drodze, kilka miesięcy przed ukończeniem dwudziestu jeden lat, złożył śluby zakonne, wybierając dla siebie imię Jerome, od Jerome Emilianiego, włoskiego księdza z XVI wieku, patrona sierot. Nowoczesne hospicja i sierocińce zakonnik zakładał na całym świecie. Jego armia wolontariuszy uratowała życie tysiącom najbiedniejszych dzieci całego globu. A działalność charytatywna zakonnika, jak się okazało, dalece przerosła dokonania postaci historycznej, która go zainspirowała.

Zresztą nieważne formalności. Człowiek ten był chodzącą świętością i Dalton miał całkowitą rację. Rzecz jasna pod warunkiem, że opowieść mnicha o ojcu Jerome była prawdziwa.

- No dobra, ale po drugiej stronie linii nie znajdował się sam ojciec Jerome. Nie wiemy nawet, czy rozmówca naprawdę dzwonił z Egiptu, z klasztoru - stwierdziła dziennikarka.

- Wiemy za to, że ojciec Jerome rzeczywiście tam przebywa - zauważył Finch.

Po zakończeniu rozmowy udało im się dotrzeć do doniesień prasowych, że słynny ksiądz faktycznie przeniósł się do Egiptu. Trochę ponad rok wcześniej pracował w jednej ze swoich tamtejszych misji i nagle zachorował. Wyzdrowiawszy, wycofał się z pełnienia zwyczajnych obowiązków - zbliżał się już do sześćdziesiątki - tłumacząc, że potrzebuje trochę czasu dla siebie, „by przybliżyć się do Boga”, jak to ujął. Wkrótce zniknął całkowicie z życia publicznego. Najważniejsze jednak, że - jak twierdzili autorzy kilku depeesz - rzeczywiście wyjechał na północ, szukając odosobnienia w klasztorach w dolinie Wadi anNatrun.

- Ale jak właściwie udało mu się narysować to, co widzieliśmy? To znaczy, jak wy byście to narysowali? - zapytała Gracie.

- Musimy zdobyć kopię tej taśmy - odpowiedział Dalton.

Brat Amin, zanim się rozłączył, zasugerował im, by na własną rękę potwierdzili jego słowa. Otóż parę miesięcy wcześniej klasztor odwiedziła ekipa brytyjskich filmowców pracujących dla BBC. Przez niecały tydzień kręcili tam kilkuodcinkowy dokument, w którym porównywali dogmatyczne podejście do wiary, właściwe dla Kościołów Zachodu, z bardziej mistycznym na Wschodzie. Udało im się zajrzeć do jaskini i sfilmować jej wnętrze, zanim ojciec Jerome ich stamtąd wyprosił. Brat Amin zapewnił Gracie, że na materiale Brytyjczyków widać odręczne rysunki księdza zdobiące ściany i sufit jego pustelni.

Mogło to posłużyć za dowód, którego Gracie rozpaczliwie potrzebowała. Problem polegał na tym, że gdyby usiłowała zdobyć wspomniany materiał, zaalarmowałyby jego autorów, podpowiadając im, jaki skarb znalazł się w ich rękach - najwyraźniej póki co nie zdawali sobie z tego sprawy - i straciłaby monopol na temat. Temat, który do tej pory należał wyłącznie do niej.,

Rozsiadła się na kanapie i westchnęła ciężko, zastanawiając się nad propozycją Daltona.

- Nie - postanowiła w końcu. - Jeszcze nie. Nie możemy ryzykować.

Spojrzała na Fincha, a ten skinął głową.

- W takim razie co robimy? - zapytał po chwili.

Gracie poczuła w powietrzu wokół siebie pełne wyczekiwania napię - cie. Targały nią sprzeczne emocje, ale w głębi duszy wiedziała, że tak naprawdę podjęła decyzję już w momencie, gdy odkładała słuchawkę.

- Muszę tam pojechać - stwierdziła tonem tak stanowczym, że aż ją samą to zaskoczyło. Spoglądała to na Fincha, to na Daltona, szukając u nich wsparcia. - Chcę mu wierzyć. To znaczy, sami rozumiecie, to wszystko w ogóle nie ma sensu, prawda? Ale co, jeżeli to się naprawdę dzieje? Możecie to sobie wyobrazić? Jeżeli mnich mówi prawdę... O Jezusie! - Zerwała się na nogi i zaczęła krążyć po pomieszczeniu, tak jakby podjęcie decyzji coś w niej wyzwoliło, dało jej nagły, upajający zastrzyk energii. - Nie wiem, jak to się stało, nie wiem, co tak naprawdę się dzieje, ale czy nam się to podoba czy nie, uczestniczymy w czymś, zostaliśmy wciągnięci w coś... wyjątkowego. A tematu nie da się już drążyć tutaj. Przeniósł się do Egiptu. Do klasztoru. I ja też muszę się tam przenieść. - Spojrzała na nich rozgorączkowana. - Właściwie, co nam zostało? Nie możemy tkwić do końca świata na tym statku. No i jasne jak słońce, że nie wracamy do domu, nie teraz, w samym środku wydarzeń. - Zamilkła, przyglądając się kolegom i próbując odgadnąć ich reakcję, a po chwili powtórzyła: - Temat jest w Egipcie.

Finch w zamyśleniu wpatrywał się przez kilka sekund w Daltona, po czym odwrócił się do niej i po niepewnej, choć wymownej pauzie, uśmiechnął się.

- Zróbmy to. Nawet jeśli rozczaruję dzieciaki. Znowu.

Finch miał syna i córkę, oboje w wieku poniżej dziesięciu lat. I choć był rozwodnikiem, ciągle przyjaźnił się z byłą żoną i mieli zamiar spędzić święta wspólnie.

Usłyszawszy jego komentarz, Gracie skrzywiła się nieco, skrzepowana. Wiedziała, że nie będzie to dla niego łatwe. Ona sama nie miała tego rodzaju problemów. Była singielką i nawet nie widywała się z nikim szczególnym. Poza tym nie należała do fanów długich świątecznonoworocznych urlopów. Jako dziewczynka nie cierpiała ich, zwłaszcza po śmierci matki. Zimno, krótkie dni, kolejny rok odliczony, kolejny rok życia - wydawało jej się to smutne i makabryczne. Spojrzała na Daltona. Skinął głową z zamyślnym, choć pełnym akceptacji wyrazem twarzy. On również w to wchodził.

Gracie uśmiechnęła się.

- Super.

- Pójdę pogadać z kapitanem - powiedział Finch. - Dowiem się, jak szybko da się nas wyekspediować ze statku jakimś śmigłowcem. A wy się spakujcie.

Gorszy producent najpierw zagadałby się na śmierć, a potem starałby się chronić własny tyłek, uzyskując zgodę szefa działu informacji kanału.

Finch był twardzielem i Gracie cieszyła się, że ma go w swoim narożniku. Spojrzał na nią, tak jakby wyczytał na twarzy jej myśli, skinął głową na znak całkowitego poparcia, a potem wyszedł.

Podeszła znowu do okna i wyjrzała na zewnątrz. Szelf ciągle się rozpadał, ale znaku nie było już na niebie. Wyobraziła go sobie, przypomniała szok i zdumienie, jakie wywołał zarówno u niej, jak i pozostałych osób na pokładzie. Poczwała, że ogarnia ją zwątpienie. Zadrzała.

- Jak sądzisz - zapytała Daltona, nie odwracając się do niego - czy podjęliśmy właściwą decyzję?

Podszedł do niej do okna. Spojrzała na niego i pomyślała, że rzadko widywała u operatora tak poważny wyraz twarzy.

- Mówimy o ojcu Jerome - powiedział z naciskiem. - Jeśli nie uwierzymy jemu... to komu właściwie mielibyśmy wierzyć?

ROZDZIAŁ 20

Boston, Massachusetts

Matt wrócił na ekspresówkę i ruszył na północ, w stronę miasta. Prowadził na pamięć, nie trzymając się żadnego konkretnego kierunku, starając się tylko jak najszybciej oddalić od swoich prześladowców w chryslerze.

Był wykończony. W głowie kłębiły mu się rozmaite myśli i z trudem układał w rozsądną całość wszystko, co mu się przydarzyło od chwili, gdy zadzwonił Bellinger. Umieszczając pod chryslerem nadajnik, zapewnił sobie zastrzyk adrenaliny, teraz jednak opuściły go siły. Musiał odpocząć i przemyśleć swoją sytuację, ale nie przychodziło mu do głowy żadne miejsce, w którym mógłby się zwalić na łóżko tak, by nikt go nie zauważył. Nie miał fajnej i kasiastej dziewczyny, nie miał żadnego opornego, ale w ostateczności pomocnego kumpla», żadnej wkurzonej, ale ciągle kochającej byłej żony.

Był sam.

Jechał przez chwilę ekspresówką, a potem skręcił w zjazd na South Station i zatrzymał się w knajpie w stylu lat pięćdziesiątych na rogu Kneeland, jedynym miejscu w okolicy, co do którego był pewien, że będzie o tej porze otwarte.

Wyglądał okropnie i jak tylko wszedł do środka, przyciągnął podejrzliwy wzrok kilku osób, co nie wróżyło najlepiej. Wolałby nie zwracać na siebie uwagi. Zniknął w męskiej toalecie, gdzie doprowadził się jako takodo porządku, po czym zajął miejsce przy samym

końcu baru. Zamówił kawę, a po chwili postanowił jeszcze poprosić o cheeseburgera - nie wiedział, kiedy znowu przydarzy mu się okazja, żeby się pożywić, a poza tym miał nadzieję, że kofeinowoproteinowa bomba pomoże mu dociągnąć jakoś do świtu.'

Wprawdzie ciągle bolały go od upadku wszystkie mięśnie, ale jedzenie i kawa faktycznie pomogły mu spojrzeć trzeźwo na sytuację. Poprosił kelnerkę o dolewkę i zaczął rozważać różne możliwości. Nie żywił jakichkolwiek złudzeń co do tego, by był w stanie pomóc Bellingerowi. Wydawało mu się zupełnie jasne, że bandyci, którzy ich napadli, mają związek z tym, co przydarzyło się Dannyemu, i raczej nie żartują. Spotkał na swej drodze zawodowców dysponujących znacznymi środkami i pozbawionych wszelkich zahamowań, a zatem nie miał zbyt wielu opcji, zwłaszcza biorąc pod uwagę to, że niewiele wiedział - musiał się zadowolić właściwie tylko tajemniczymi słowami Bellingera oraz podejrzeniem, że Danny być może wcale nie zginął. Jeżeli chciał się zwrócić do kogoś o pomoc - do prasy, może nawet do gliniarzy, właściwie na tym etapie nie bardzo wiedział do kogo - musiał dowiedzieć się czegoś więcej. Do głowy przychodziły mu jedynie dwie nitki prowadzące do kłębka. Pierwszą było urządzenie naprowadzające. Drugą - Bellinger. Czy też, ściśle rzecz biorąc, coś, o czym wiedział Bellinger i co sprawiło, że znalazł się na celowniku. Na myśl o bezbronnym naukowcu, kumplu jego brata, oraz paskudnej sytuacji, w jakiej się znalazł, ścisnęło mu się serce i nagle ogarnęła go bezsilna wściekłość, że nie jest w stanie mu pomóc.

W każdym razie w tej chwili.

Musiał określić pozycję urządzenia naprowadzającego, chciał się też przekonać, czy nie znajdzie czegoś interesującego w mieszkaniu Bellingera. Dwie potencjalne linie ataku - a przy obu potrzebował dostępu do sieci.

Minęła już północ i mógł skorzystać z Internetu wyłącznie w jakiejś hotelowej kawiarence. Zapytał kelnerkę, a ta skierowała go do pobliskiego Best Western. Po piętnastu minutach, zatrzymując się po drodze przy bankomacie trzy domy od baru, wjeżdżał już na parking.

Kawiarenka wychodząca na bezduszną recepcję była otwarta przez całą dobę, ale mogli z niej korzystać tylko goście hotelu. Pomyślał, że przecież przez jakiś czas i tak nie może wrócić do domu, więc pomyślał, by w ten sposób zapewnić sobie bezpieczne łóżko i gorący prysznic, nie jest taki zły. Podał recepcjoniście zmyślone nazwisko, wykupił jedynekę i zapłacił gotówką. Wkrótce już siedział przy komputerze, a szybkie łącze zalewało ekran jego monitora istnym potokiem informacji.

Zalogował się na stronie urządzenia naprowadzającego i sprawdził jego pozycję. Jako były złodziej samochodów doskonale zdawał sobie sprawę, jak przydatne może być tego typu

urządzenie, zwłaszcza kiedy chodzi o wyśledzenie unikatowych, cennych klasyków, takich jak jego mustang. W obecnej sytuacji docenił je jeszcze bardziej. Wybrał program, dzięki któremu pluskwa, gdy samochód, pod jaki została podczepiona, porusza się, transmituje współrzędne co trzydzieści sekund, a gdy jego położenie się nie zmienia, zapada w stan uśpienia, wysyłając sygnał jedynie co dwanaście godzin. Zakładając, że wóz nie spędza zbyt wiele czasu na drodze, jej bateria w normalnych warunkach wystarczała na jakieś trzy tygodnie, niestety Matt nie doładowywał jej ostatnio i wiedział, że goni już na oparach. Urządzenie mogło być sprawne jeszcze co najwyżej przez kilka dni.

Samochód nie ruszył się z miejsca. Co z jednej strony oznaczało dobre wieści, a z drugiej złe. Skoro zbiry ciągle tam tkwiły, można było założyć, iż nie wpadły jeszcze na jego trop, ale Matt musiał się też liczyć z możliwością, że nie ustąpią tak łatwo. Zaczął szukać w sieci adresu domowego Bellingera. Znalazł go zadziwiająco szybko. Najwyraźniej naukowiec nie przejmował się zbyt własną prywatnością. Matt pomyślał, że patrząc na to z innej perspektywy, to dosyć przerażające, iż znalezienie o kimś informacji w sieci jest tak proste. W każdym razie kumpel jego brata mieszkał przy Inman Square, na modnym, drogim osiedlu w pobliskiej dzielnicy Cambridge, którą Matt odwiedził kilka razy. Danny również tam mieszkał, aż do swojego zniknięcia, przypomniał sobie, zdecydowanie preferując brzmienie tego określenia od tego, którego używał jeszcze dzień wcześniej - do śmierci. O tej porze można się tam było dostać w mgnieniu oka. A zatem do dzieła.

Zanotował adres i miał już się wylogować, kiedy pomyślał o czymś jeszcze. Wrzucił do Googlea słowa „Antarktyda”, „niebo” i „wiadomości”, po czym wcisnął enter, czekając, aż miliardy algorytmów spełnią swoje zadanie. Nie męczyły się z nim długo. Niemal natychmiast na ekranie pojawiło się ponad milion trafień. Na pierwszej stronie Matt zauważył głównie doniesienia prasowe na temat ogromnego pęknięcia lodowca szelfowego. Kliknął w pierwszy link, który skierował go na stronę kanału informacyjnego Sky, i przeczytał artykuł.

Nie dowiedział się zbyt wiele. Rozsiadł się na krześle i zaczął zastanawiać nad treścią newsa, usiłując go jakoś powiązać z Dannym czy z brutalną reakcją, jaką sprowokował Bellinger. Przeczytał tekst jeszcze raz, ale nie był przez to ani odrobinę mądrzejszy, i miał już wstać, gdy nagle jego uwagę zwrócił link zamieszczony pod artykułem. Wspominano w nim o „niewyjaśnionym zjawisku” zauważonym na zamrożonym kontynencie. Kliknął w odnośnik, który skierował go na odpowiednią stronę - klip wideo na YouTube.

Tu wreszcie znalazł to, czego szukał.

Czytając artykuł i oglądając krótki materiał, w którym reporterka pokazywała dziwne zjawisko nad lodowcem szelfowym, czuł, że napinają mu się mięśnie karku. Jeszcze raz

przejrzał tekst i wideo, a na jego twarzy pojawił się wyraz konsternacji. Poszperawszy trochę głębiej w wyszukiwarce, wywołał na ekranie kolejną falę linków, tym razem dotyczących niewyjaśnionego fenomenu, i gdy je przeglądał, coraz dobitniej uświadamiając sobie wnioski, jakie z nich płyną, znowu poczuł ucisk w żołądku.

Nie miał do czynienia z drobną aferą.

Jeśli Danny został w nią jakoś wplątany - wbrew własnej woli, jak zapewniał Bellinger, choć Matt wołał nawet nie próbować sobie wyobrazić, na czym mogło polegać owo zaangażowanie - stawka była o wiele wyższa, niż jego brat przypuszczał.

Kilka minut później samotny mustang mknął już na tle opustoszałego miejskiego krajobrazu przez Longfellow, po czym skręcił ostro w Broadway. Panujący wokół bezruch miał w sobie osobliwie surowe piękno, ale Matt w ogóle tego nie zauważał. W jego umyśle kłębiły się najdziwniejsze teorie, a wraz z nimi pojawiło się coraz bardziej nieprzyjemne uczucie, tak jakby zaatakował go bardzo złośliwy guz.

Próbował skupić się na czekającym go zadaniu, tym bardziej że minął właśnie skrzyżowanie z Fayette i dotarł do dwupiętrowego wiktoriańskiego domu, odpowiadającego adresowi Bellingera. Na wszelki wypadek przejechał obok, zawrócił kilka przecnic dalej i jeszcze raz przemknął mustangiem w pobliżu budynku. Śnieg przestał padać, ale całą dzielnicę i tak zdążyła już przykryć jego kilkucentymetrowa warstwa. W oknie wykuszowym Matt zauważył migoczące światła choinki, ale poza tym dom był pogrążony w ciemności, a ulica wydawała się całkowicie uśpiona. Nie dostrzegł również żadnych śladów na śniegu przed budynkiem.

Skręcił w wąską dróżkę oddzielającą dom od sąsiedniego, nieco większego niż budynek Bellingera, i zgasił silnik - raczej mało dyskretny, gardłowy ośmiocyldrowiec. Zaczekał chwilę, upewniając się, że jest sam, po czym wysiadł z wozu. Wokół panowała upiorna cisza, a lodowate powietrze, rozjaśniane teraz przez nieprzesłonięte opadami światło księżycy, sprawiało, iż atmosfera wydawała się nieco senna. Matt przerzucił kilka rzeczy w schowku i znalazłszy to, czego szukał: swojego wiernego multitoola Leatherman oraz krótki sztywny kawałek drutu, zatrzasnął cicho drzwi, postawił kołnierz kurtki i ruszył szybko w stronę ganku.

Według tabliczek w domofonie budynek miał trzech lokatorów, co odpowiadało liczbie pięter - jedno mieszkanie na piętro. Nazwisko Bellingera znajdowało się na szczycie listy, co pewnie oznaczało, że zamieszkuje apartament na poddaszu. Zamek we wspólnych drzwiach okazał się niezbyt dużym wyzwaniem dla Matta. Zwyczajny pięciobolcowy mechanizm, standardowo montowany w tego typu budynkach i zadziwiająco łatwy do

sforsowania, nawet dla kogoś, kto nie dysponuje ulubionym w takich wypadkach narzędziem Sherwooda - dwoma spinaczami do papieru. Równie szybko uporał się z zamkiem w drzwiach mieszkania Bellingera na drugim piętrze. Lata wprawy zrobiły swoje.

Zamknawszy ostrożnie drzwi i nie zapalając światła, wkradł się cicho do środka. Zaczekał, aż wzrok przyzwyczai mu się do ciemności. Wszedł nieco głębiej, żalując, że nie zabrał latarki. Krótki korytarz prowadził do dwóch otwartych pomieszczeń: salonu i jadalni, oddzielonych dwustronnym gazowym kominkiem, na którego gzymsie stało kilkanaście świątecznych pocztówek. Przez wykuszowe okno cały pokój zalewała delikatna, srebrzysta poświata księżycy, która zachęcała intruza, by podszedł bliżej. Matt poruszał się powoli i ostrożnie, wyęzając wzrok i słuch. W rogu, obok wielkiej skórzanej kanapy i w oddaleniu od okna, zauważył pionową lampę halogenową z regulowaną ostrością światła. Doszedł do wniosku, że jeśli ustawi ją na minimum, nie będzie właściwie widoczna z zewnątrz. Zaryzykował, przekręcając gałkę ledwie o parę milimetrów. Regulator zabuczał cicho i pokój wypełniła przytłumiona żółtawa poświata.

Mieszkanie było urządzone bardzo starannie i panował w nim porządek. Przy ścianie naprzeciw okna stało lśniące biurko ze szkła i chromu. Matt podszedł do niego. Na blacie leżały stosy gazet, książek, czasopism, wydruków i nieotwartej jeszcze poczty. Zwyczajne szpargały zapracowanego specjalisty o dociekliwym umyśle. Matt zauważył niewielkie pudełko z wizytówkami Bellingera; zabrał jedną i schował do kieszeni. Nagle uderzyło go, że na biurku czegoś wyraźnie brakuje. Komputer. Duży płaski ekran znajdował się w odpowiednim miejscu, przed nim natomiast leżała pusta stacja dokująca oraz bezprzewodowa mysz. Sam laptop najwyraźniej zniknął.

Czyżby już tu byli?

Matt zdenerwował się i jeszcze raz obrzucił wzrokiem pomieszczenie, wyęzając słuch w oczekiwaniu na choćby najdrobniejszy szmer. Mieli Bellingera, co oznaczało, że również jego klucze. Zastanawiał się nad tym przez chwilę. Jeżeli faktycznie tu byli, to pewnie dawno już opuścili mieszkanie. Minęły całe trzy godziny, odkąd pożegnał towarzystwo z furgonetki.

Mimo to musiał się upewnić.

Ostrożnie, bezszelestnie podkradł się do korytarza i sprawdził pozostałe pokoje. Zajrzał do dwóch sypialni, głównej, wychodzącej na boczną ulicę i tył budynku, oraz mniejszej, skromniej umeblowanej. Obie były puste. Sprawdził łazienki, również nie znalazł w nich nikogo. Odetchnął nieco i wrócił do salonu, gdzie jego wzrok przyciągnęło migające na stoliku do kawy światło. Stała tam baza bezprzewodowego telefonu, na którym ktoś zostawił wiadomość - tylko jedną, jeżeli wierzyć informacji na wyświetlaczu.

Matt wcisnął klawisz odtwarzania. Androgeniczny, cyfrowy głos poinformował, że wiadomość została nagrana o 0:47 w nocy, co natychmiast przyciągnęło jego uwagę. Zazwyczaj nikt nie zostawia wiadomości o tej porze.

- Stary, gdzieś, ty się, do cholery, rozpląnął? - zapytał za pośrednictwem urządzenia podekscytowany głos. - Co się dzieje? Nie ma cię w domu, nie odbierasz komórki. Nie rób jaj i podnieś tę pieprzoną słuchawkę, w porządku? To cholerstwo wywołało niezły burdel. Blogerzy świrują, sam możesz się przekonać. W każdym razie oddzwon do mnie. Oglądam wiadomości na wypadek, gdyby pojawiło się znowu. Zadzwoń albo... Tak czy inaczej, widzimy się jutro w firmie.

Wydawało się, że z rozmówcy ktoś spuścił powietrze. Rozłączył się.

Matt złapał za pióro, podniósł słuchawkę i wcisnął gwiazdkę, a potem szóstkę i dziewiątkę. Kolejny cyfrowy głos podał mu numer telefonu. Lokalny. Kiedy go zapisywał na rewersie wizytówki Bellingera, jego uwagę przyciągnął ledwie słyszalny odgłos samochodu zatrzymującego się przed budynkiem, a po chwili stłumionego trzaśnięcia zamykanych drzwi.

Podszedł do okna, ale szmery krótkich meldunków przekazywanych przez krótkofalówki wyjaśniły mu wszystko, zanim jeszcze wyjrzał i dostrzegł dwóch mężczyzn oddalających się od nieoznakowanego wozu i znikających w drzwiach budynku.

Przyjechali sprawdzić mieszkanie Bellingera.

Co mogło oznaczać jedno z dwojga.

Albo na tej samej liście płac co goście, którzy wepchnęli Matta do furgonetki, znajdowało się jeszcze kilka nazwisk, albo byli to gliniarze w cywilu i gdzieś już zostało odnalezione ciało Bellingera.

Matt potrafił sobie wyobrazić, jak to wyglądało.

Wzdrygnął się, słysząc dzwonek domofonu. Podbiegł szybko do drzwi i je uchylił. Czekał, wsłuchując się w ciszę i w uderzenia własnego serca, które dudniło mu w uszach. Po chwili rozległ się kolejny dzwonek, tym razem dłuższy, bardziej niecierpliwy.

To, że dzwonili domofonem, potwierdzało drugi scenariusz. Bandyci mieli przecież Bellingera, a zatem i jego klucze. Nie musieliby dzwonić. Matt pobladł i znowu poczuł się jak w koszmarnym śnie. Wyobraził sobie, co mogło się przydarzyć kumplowi jego brata. Czekał przy drzwiach, rozpaczliwie analizując w myślach różne warianty rozwoju sytuacji, z których żaden nie wydawał mu się obiecujący.

Dzwonek domofonu milczał złowrogo.

Postanowił zaryzykować i znowu wyjrzeć. Zostawiwszy drzwi nieco uchylone, podbiegł z powrotem do okna.

Zobaczył, że przed samochodem - tym razem udało mu się go rozpoznać: ford crown Vic, wersja standardowa - stoi dwóch mężczyzn. Jeden z nich rozmawiał przez komórkę, ale Matt nie słyszał, co mówi. Odetchnął nieco. Przyszli, zadzwonili, nie doczekali się odpowiedzi, więc pewnie sobie pójdą. Przynajmniej taką miał nadzieję. Nagle zobaczył, że drugi mężczyzna odwraca głowę w kierunku wejścia, tak jakby coś przyciągnęło jego uwagę, a po chwili ponownie wchodzi na ganek.

Natychmiast zaalarmowało to Matta. Wrócił szybko do drzwi wejściowych i po cichu podniósł słuchawkę domofonu. Włączył się w połowie rozmowy.

-...na drugim piętrze - wyjaśniał kobiecie głos. - Bellinger mieszka w apartamencie nade mną. - Sąsiadka naukowca zawahała się, po czym dodała: - Czy wszystko w porządku?

Mężczyzna zignorował słyszalny w jej głosie niepokój.

- Czy pan Bellinger mieszka sam? - zapytał.

Mieszka - pomyślał Matt. Nie mieszkał. Czas terazniejszy. Być może Bellingerowi nie jest.

Szybko jednak stłumił tę radosną myśl. Faceci w furgonetce nie wyglądali na żartownisiów. Bellinger był martwy i Matt dobrze o tym wiedział. Dlaczego zatem tutaj przyjechali? I dlaczego pytali, czy mieszka sam?

W głosie kobiety dało się wyczuć nerwowe drżenie.

- Owszem, sądzę, że tak. To znaczy, jest kawalerem. I chyba z nikim nie mieszka. Dziwi mnie tylko, że panu nie otworzył. Jestem pewna, że jest w domu.

Jej słowa podziały na Matta niczym kubek zimnej wody.

- Dlaczego tak pani sądzi? - zapytał mężczyzna ożywionym nagle głosem.

- Cóż, słyszałam, jak wraca. To stary dom i nawet po remoncie podłogi strasznie w nim skrzypią. Słyszę, kiedy wchodzi i kiedy wychodzi, zwłaszcza o tak późnej porze, gdy na zewnątrz jest cicho i...

- Czyli? - przerwał jej zniecierpliwiony głos.

- Słyszałam, jak wchodzi - wyznała w końcu - a potem, że znowu wychodzi. A jeszcze później, że wraca.

- Kiedy według pani wrócił?

- Całkiem niedawno. Może dziesięć minut temu? Powinien być na górze.

Matt o mało nie zemdlał.

Usłyszał, że ton głosu mężczyzny nagle twardnieje.

- Proszę nas wpuścić, i to zaraz - rozkazał, po czym zawołał swojego partnera i po chwili Matt usłyszał odgłos otwieranych drzwi.

Kilka sekund później na schodach rozbrzmiały pośpieszne kroki.

ROZDZIAŁ 21

Morze Amundsena, Antarktyda

Gracie poczuła, że przewraca jej się w żołądku. Patrzyła, jak Dalton wznosi się nad pokład królewskiego okrętu badawczego. W przeciwieństwie do „Shackletona”, drugiego statku należącego do floty towarzystwa, „James Clark Ross” nie był wyposażony w lądowisko dla helikopterów. Transfer pasażerów w jego wypadku odbywał się więc wyłącznie poprzez wciąganie ich lub opuszczanie z wiszącej w powietrzu maszyny. Co przy ujemnej temperaturze oraz gigantycznych ścianach lodu spadających do wody kilkaset metrów dalej nie było rozrywką dla wycieczkowiczów o słabej konstrukcji psychicznej.

Minęło już sześć godzin od pojawienia się znaku. Po wyemitowaniu rozszerzonej, zmontowanej w dużej rozdzielczości wersji materiału - najpierw w stacji macierzystej, a potem w innych kanałach - temat okazał się prawdziwą bombą. Okupował wszystkie bieżące wydania programów informacyjnych, pełno go było na ekranach telewizorów i na wszystkich newsowych stronach internetowych. Omawiały go całe zastępy reporterów i ekspertów, bezustannie go analizując i podsuwając najróżniejsze teorie. Dziennikarze rzucili się na Amerykanów i obywateli innych krajów, pytając ich w wywiadach, co myślą o zjawisku. Jak można się było spodziewać, niektórzy respondenci wygłaszali tylko długie lekceważące tyrady, ale większość osób była naprawdę zaintrygowana. A przecież w Ameryce Północnej ciągle był środek nocy. Kraj jeszcze spał. Gracie wiedziała, że prawdziwe szaleństwo wybuchnie dopiero następnego dnia. Jej telefon satelitarny dzwonił właściwie bez przerwy - wszyscy prosili ją o wywiady czy komentarze - a skrzynka mailowa była całkowicie zapchana.

Na każdym kanale, w każdym portalu kolejni eksperci prześcigali się w najrozmaitszych wyjaśnieniach. Fizycy, klimatolodzy, przedstawiciele wszystkich nauk z najdalszych zakątków planety. Żaden z nich nie miał pojęcia, co się dzieje. Nie byli w stanie zaproponować choćby odrobinę przekonującego wytłumaczenia, czym jest sensacyjne zjawisko oraz co je wywołało, i chociaż niektórych to ekscytowało, wiele osób było wprost przerażonych. Spece od religii radzili sobie o wiele lepiej. Wiara jest jedynym rodzajem wyjaśnienia, które nie potrzebuje dowodów. Księża, rabini, muftiowie z rosnącym zaangażowaniem głosili swe prawdy dotyczące znaku. W jednym z programów, które oglądała Gracie, zapytano pastora baptystów, co sądzi na jego temat. Odparł, że ludzie wiary

na całym świecie obserwują go uważnie, i zastanawiał się na głos, czy istnieje jakieś inne wytłumaczenie zjawiska poza nadprzyrodzonym. Jego zdanie podzielało kilku innych rozmówców - i ten punkt widzenia stawał się coraz powszechniejszy. Wyjaśnień szukano w wierze, a nie w nauce. Gracie myślała właśnie o tym, walcząc z wiatrem wywołanym przez potężny wirnik śmigłowca, osłaniając oczy i obserwując, jak Dalton powoli unosi się w powietrze. Gdy pomachał do niej, na jej twarzy pojawił się słaby uśmiech. Odwzajemniła jego gest. Filmowiec z krwi i kości - w jednej ręce trzymał niewielką przenośną kamerę, rejestrując każdy moment przyprawiającej o gęsią skórę operacji.

Zauważyła, że Finch się odwraca i podążywszy za jego wzrokiem, dostrzegła zbliżającego się kapitana statku. Popatrzył w górę, oceniając postęp akcji, którą należało przeprowadzić jak najszybciej, ponieważ śmigłowiec, mimo wykorzystania dodatkowych zbiorników paliwa, był na skraju zasięgu, po czym spojrzał na Fincha i Gracie.

- Miałem telefon z Pentagonu - poinformował ich, przekrzykując ogłuszający łoskot wirnika.

Gracie podchwyciła wzrok swojego producenta - oboje natychmiast wyraźnie się zaniepokoiłi.

- Chcieli, żebym nie wypuszczał nikogo ze statku, zanim nie dotrą tutaj ich ludzie - dodał kapitan. - Pani w szczególności - podkreślił, wskazując palcem na Gracie.

Dziennikarka zamarła.

- I co im pan powiedział?

Kapitan się uśmiechnął.

- Że jesteśmy na kompletnym pustkowiu i nie sądzę, żeby ktoś się stąd gdzieś wybierał. Przynajmniej przez jakiś czas.

Gracie odetchnęła z ulgą.

- Dzięki - powiedziała i obdarzyła kapitana promiennym uśmiechem.

Oficer wzruszył tylko ramionami.

- To nawet nie była prośba. Raczej rozkaz. A jakoś nie pamiętam, żebym się zaciągał do armii. - W jego głosie dało się wyczuć zażenowanie, a zarazem wzburzenie. - Mam nadzieję, że rozpętaście prawdziwe piekło, jeśli wyślą mnie do Guantanamo.

Gracie się uśmiechnęła.

- Ma pan to jak w banku.

Oficer spojrzał w górę na helikopter, po czym nachylił się do dziennikarki.

- Dziennikarze i reporterzy z całego świata ciągle bombardują nas prośbami. Zastanawiam się, czy nie podnieść ceny za pokój i trochę na tym wszystkim nie zarobić.

- I co im pan mówi? - zapytał Finch.

Wzruszył ramionami.

- Póki co wywieszamy tabliczkę: „miejsce wolnych brak”.

- Jeśli są cokolwiek warci - powiedziała Gracie - nie przestaną dzwonić.

- Wiem - odparł kapitan - i trudno mi ciągle odmawiać, ale to przecież okręt badawczy. Nie chciałbym, żeby zamienił się w statek komediantów. Problem polega na tym, że nie ma tu nikogo poza nami. W promieniu kilkuset mil znajdują się tylko dwie inne jednostki pływające: japoński statek wielorybniczy i ścigająca go łódź Greenpeace. Z tego co wiem, ich załogi są raczej mało gościnne. - W jego głęboko osadzonych szczerych oczach zamigotał łobuzerski uśmiech. - Wygląda na to, że ciągle macie newsa na wyłączność.

Gracie uśmiechnęła się z wdzięcznością.

- Co mogę powiedzieć? Los nam sprzyja.

- Trochę mnie dziwi, że chcecie się stąd tak szybko wydostać, podczas gdy pół świata robi wszystko, żeby tutaj dotrzeć - dodał kapitan żartobliwie podejrzliwym tonem. Dziennikarka spojrzała na Fincha, a potem, nie starając się nawet zmylić gospodarza, znowu się uśmiechnęła i odparła:

- Dlatego właśnie jesteśmy najlepszą dziennikarską ekipą śledczą w branży. Zawsze wyprzedzamy temat o krok.

Nagle, tak jakby chcąc wybawić ich z krępującego milczenia, pojawiła się obok nich uprzęż. Jeden z członków załogi pomógł Gracie się przypiąć. Kiedy wszystkie paski zostały już zaciągnięte, pomachała do operatora wyciągarki w helikopterze i linka zaczęła się naprężać.

- Jeszcze raz dziękuję za wszystko! - zawołała do kapitana, kładąc nacisk na ostatnie słowo, które odnosiło się do prośby Fincha, by trzymać ich wyjazd w tajemnicy. Oficer chętnie na to przystał, nie zadając zbędnych pytań, i czuła się trochę winna, że nie mogła wyjawiać mu wszystkich przyczyn ich nagłej ucieczki.

Pomachał jej na pożegnanie.

- Cała przyjemność po mojej stronie. Niech tylko opowie nam pani o wszystkim, czego się dowie - dodał, mrugając znacząco. - Będziemy śledzić wiadomości.

Zanim zdążyła odpowiedzieć, linka naprężyła się i poderwała ją - prosto w objęcia lodowatego powietrza. Gracie wstrzymała oddech i obserwowała oddalający się szybko pod jej nogami statek. Czekala ją daleka podróż, u której kresu być może znajdowało się więcej pytań niż odpowiedzi.

ROZDZIAŁ 22

Zachodnia Antarktyda, lądolód

Przyczajone na lądolodzie cztery duchy obserwowały, jak kilkaset metrów na zachód od ich pozycji sunie po niebie śmigłowiec Królewskiej Marynarki Wojennej.

Nie martwili się, że ktoś ich zauważy. Bezpieczeństwo zapewniał im ich doskonały sprzęt. Leżeli na zbitym śniegu, niewidzialni w swoich „śnieżnobiałych” maskujących kurtkach i spodniach, z twarzami schowanymi za kominiarkami, z których upiornych okrągłych wycięć wystawały tylko oczy i usta. Nawet podeszwy ich butów, które co rano musieli skrobać przed wejściem do akcji, były białe. W pobliżu stały cztery skutery śnieżne, również białe i bez oznaczeń. Schowane pod białą siatką maskującą, były praktycznie niewidoczne z powietrza.

Dowódca oddziału przez silną lornetkę obserwował, jak na helikopter wciągany jest ostatni z członków ekipy reporterów. Na jego spierzchniętych ustach pojawił się cień uśmiechu. Wszystko szło zgodnie z planem. Co nie było wcale oczywiste, biorąc pod uwagę, jak precyzyjnego harmonogramu musieli się trzymać i jak pospiesznie został wyprawiony jego oddział.

Operacja rozpoczęła się zaledwie cztery dni wcześniej. Z obozu szkoleniowego w Karolinie Północnej polecili do Christchurch w Nowej Zelandii, gdzie na płycie lotniska czekał już na nich boeing C-17 globemaster Powietrznej Gwardii Narodowej, który zabrał ich do Narodowej Stacji Badawczej Fundacji McMurdo na pokrytej lodem wyspie Ross. Stamtąd zaopatrzony w płozy hercules LC - przewiózł ich na tymczasowy posterunek na samym lodowcu szelfowym, jakieś dwadzieścia pięć kilometrów na południe od ich obecnej pozycji. Ostatni etap liczącej ponad dwadzieścia tysięcy kilometrów wyprawy pokonali na skuterach śnieżnych, które przyleciały razem z nimi samolotem.

Ekstremalna zmiana klimatu i podróż przez kilka stref czasowych krańcowo wyczerpałyby większość amatorów tego typu rozrywek, ale na nich nie zrobiły specjalnego wrażenia. Trenowali bardzo intensywnie przed operacją i wiedzieli, czego się spodziewać.

Określenie ich misji jako arcyważnej, o priorytetowym znaczeniu, w najmniejszym stopniu nie oddawałoby jej rangi. Dowódca nigdy w życiu nie był poddawany tak ścisłym, tak bezwzględny procedurom, jak w czasie drobiazgowego wywiadu i psychologicznego profilowania, jakie przeszedł, zanim otrzymał tę robotę. Kiedy już został wybrańcem, na jego szkolenie nie szczędzono żadnych środków, zarówno w odniesieniu do urzędzeń

treningowych, jak i sprzętu, który udostępniono jemu i jego oddziałowi. Klient najwyraźniej nie miał kłopotów finansowych. Z drugiej strony wśród kontrahentów tej firmy było wiele rządów - z rządem amerykańskim na czele - które zwykle nie oszczędzały na niczym i zapewniały wszystko, czego wymaga dana misja.

Jednakże w tym wypadku dla dowódcy od samego początku było jasne, że stawka jest wyższa niż przy wcześniejszych zleceniach. Bejrut, Bośnia, Afganistan, ostatnio Irak - wszystkie te szaleńcze, wypełnione brutalnymi akcjami lata postrzegał teraz jedynie jako etapy w karierze. Doprowadziły go do tego miejsca - do tego, by poprowadzić ten właśnie oddział.

Był to bez wątpienia występ jego życia.

I teraz, po wszystkich przygotowaniach oraz po okresie niekończącego się wyczekiwania, wreszcie dostali zielone światło. Zaczął już podejrzewać, że to się nigdy nie stanie. Zaliczywszy szkolenie, on i reszta jego niewielkiej drużyny „zleceniobiorców” - eufemizm ten zawsze wywoływał na jego ustach szydery uśmiech, ale on również chętnie unikał pogardliwego, choć w tym wypadku bardziej adekwatnego określenia „najemnik” - musieli czekać w gotowości bojowej. Stan ten trwał przez kilka miesięcy. Do - wódca nie lubił, gdy płaciło mu się za nic. To nie było w jego stylu. Tak jak pozostali członkowie oddziału, służył wcześniej w Force Recon, w marines - odpowiedniku Komanda Foki czy Delta Force. „Szybcy, cisi, śmiertelnie skuteczni” - motto reconów nie bardzo pasowało do siedzenia w odciętych od świata, choć wygodnych barakach i oglądania telewizji. Świat na zewnątrz - prowadzony na manowce, tyranizowany, zły - czekał.

Coś zaskrzeczało w jego plecaku. Spojrzał na zegarek. Połączenie zostało nawiązane dokładnie o czasie.

Jeszcze raz sprawdził pozycję helikoptera. Zaczynał się oddalać szerokim łukiem. Dowódca wyciągnął telefon satelitarny - niewielki podręczny iridium. Przypominał zwyczajną komórkę, tyle że wystawała z niego dwudziestocentymetrowa antena, a do jego bazy przymocowany był STUIII, moduł szyfrujący głos. Nacisnął klawisz odbioru. Seria sygnałów dobiegająca przez zakłócenia wskazywała, że wiadomość pędzi przez pół planety. Zaczekał, aż zapali się czerwona lampka, informująca, że połączenie jest już bezpieczne, odebrał rozmowę:

- Tu Fox One.

Po krótkiej przerwie odezwał się przefiltrowany przez komputer męski głos.

- Podaj swój status.

Brzmiało to tak, jakby dzwonił Stephen Hawking, ale dowódca wiedział, że po drugiej stronie linii jego głos jest równie automatyczny. Choć razem z koordynatorem projektu mieli okazję kłaniać się wspólnie kulom na wielu kontynentach, wojskowy - bitowy system szyfrowania sprawił, że ich głosy były zupełnie nierozpoznawalne, co miało utrudnić zadanie potencjalnym podsłuchującym. Wprawdzie było raczej mało prawdopodobne, by ktoś podrzucił im pluskwę, ale ostrożności nigdy zbyt wiele - zresztą, zabezpieczenia nie sprowadzały się tylko do tego, bo w telefonie dowódcy zamontowano jeszcze mikrochip, umożliwiający szyfrowanie metodą skoków częstotliwości. Odkodować transmisję można było jedynie za pomocą telefonu wyposażonego w identyczny mikrochip. Użytkownik każdego innego aparatu usłyszałby tylko ogłuszające wiązki zakłóceń.

- Gotowi do akcji - odpowiedział Fox One.

- Jakież problemy?

- Brak.

- Świetnie - odparł komputerowy głos. - Pozbieraj swoich ludzi i rozpocznij następną fazę operacji.

Dowódca oddziału zakończył rozmowę i spojrzał w niebo. Ponownie przybrało monotony odcień złamanej bieli.

- Ani śladu - mruknął do siebie. - Idealnie.

ROZDZIAŁ 23

Cambridge, Massachusetts

Matt odłożył słuchawkę, zamknął drzwi i rzucił się przez korytarz w stronę głównej sypialni.

Musiał się wydostać z mieszkania. Pojawienie się w nim intruzów było kwestią sekund.

Minął okno i podszedł szybko do przeciwległej ściany, gdzie w bladym świetle księżycy zauważył wcześniej przeszkłone od połowy drzwi prowadzące na kilkumetrowy balkon. Czując, jak w uszach wali mu puls, wyrzwał na zewnątrz i tak jak przypuszczał, ujrzał schody pożarowe.

Szarpnął za klamkę, ale drzwi były zamknięte na klucz. Rgzejrzał się za nim, jednak nigdzie wokół go nie zauważył. Jeszcze raz pociągnął rozpaczliwie za klamkę, a gdy drzwi nie ustąpiły, spojrzał z powrotem na korytarz. Jego przerażony umysł niczym mechanizm bomby zegarowej odliczał kolejne sekundy, usiłując dociec, ile zostało mu czasu, i

podsuwając mu przed oczy obraz dwóch mężczyzn wpadających do mieszkania, gdy nagle rozległo się gwałtowne stukanie do frontowych drzwi.

- Otwierać, policja!

Nie miał zamiaru dać się złapać. Bellinger pewnie już nie żył, a on właśnie włamał się do jego mieszkania - do mieszkania martwego człowieka, z którym widziano go niedawno, który uciekał od niego, pokłóciwszy się z nim uprzednio w zatłoczonym barze.

Szybka piłka dla każdego przysięgłego - gdyby w ogóle doszło do rozprawy.

Co z jakiegoś powodu Mattowi wydawało się mało prawdopodobne.

Zaczął działać pod wpływem impulsu.

Złapał za stolik przy łóżku, zamachnął się i cisnął nim w drzwi balkonu. Ciężki mebel rozbił szybę w drobny mak i z głuchym łoskotem wylądował na podłodze tarasu. Grupa interwencyjna przy drzwiach musiała usłyszeć hałas, bo z klatki schodowej dobiegł jeszcze donośniej stanowczy okrzyk:

- Otwierać, policja!

Matt ruszył pędem przez pokój, tyle że nie w stronę balkonu. Pobiegł w przeciwnym kierunku i schował się za drzwiami sypialni dokładnie w momencie, gdy frontowe drzwi z hukiem otworzyły się do środka.

W mieszkaniu pojawiło się dwóch mężczyzn. Rozejrzeli się szybko, po czym wpadli do głównej sypialni i skierowali się prosto w stronę roztrzaskanych drzwi balkonowych. Matt, który z całej siły przyciskał się do ściany, usłyszał krzyk jednego z nich:

- Uciekł przez schody pożarowe! Sprawdź resztę mieszkania!

Mężczyzna czubkiem lufy usunął resztki szkła wystające z framugi okna, po czym przelazł na drugą stronę i zniknął w ciemnościach. Jego kolega przemknął obok Matta, a ten ułamek sekundy później wyskoczył z kryjówki i ruszył za nim.

Policjant był już w połowie pogrążonego w ciemności korytarza, gdy Matt rzucił się na niego od tyłu. Obaj upadli na wyłożoną parkietem podłogę, po której coś przetoczyło się z głośnym, metalicznym stukotem. Pistolet, sądząc z dźwięku, pomyślał Matt. Mężczyzna nie był zbyt wysoki ani dobrze zbudowany, ale jego szczupłe ramiona poruszały się z zacieklą, gwałtowną energią, a on sam walczył niczym złapana w klatkę mangusta, rzucając się na boki i za pomocą serii błyskawicznych ciosów próbując się uwolnić spod leżącego na nim Matta. Ten zdawał sobie sprawę, że czas działa na jego niekorzyść i musi działać szybko. Ofiarnie przetrzymał uderzenia w żebra, ustawiając się do potężnego ciosu, i gdy tylko dostrzegł okazję, opuścił gwałtownie ciężką jak kowadło pięść na czaszkę mężczyzny tuż pod lewym uchem, powalając go ostatecznie na ziemię. Policjant zwinął się, jęcząc głośno. Matt

wykorzystał chwilę wychnienia, by przewrócić go z powrotem na brzuch i nagle poczuł coś pod jego kurtką. Sięgnął policjantowi do pasa i znalazł przymocowaną do niego parę kajdanek. Podciągnął półprzytomnego mężczyznę kilkadziesiąt centymetrów do ściany i szybko przykuł go do rurki kaloryfera. Rozejrzawszy się, zauważył wieszak, na którym wisiało kilka kurtek, czapka, parasol oraz szalik. Ściągnął natychmiast szalik, wetknął gliniarzowi w usta, owinął kilka razy wokół głowy.

Nie obejrzawszy się nawet za siebie, skoczył na równe nogi i wybiegł z mieszkania, pokonując za jednym razem po trzy stopnie. Zatrzymał się przy wyjściu z budynku i wyjrzał na zewnątrz. Po mężczyźnie, który zbiegł schodami pożarowymi, nie było już śladu. Wziął głęboki wdech, starając się nieco oprzytomnieć, zebrał się w sobie i wyszedł, zagłębiając się w mroźne nocne powietrze.

Na ulicy, obojętnej na kłopoty Matta, panował zwodniczy spokój. Zbiegł po schodach i podkrał się do zaparkowanego przed domem samochodu, po czym sięgnął po leathermana i jednym z ostrzy przebił jego przednie opony. Przez ułamek sekundy patrzył, jak uchodzi z nich powietrze, a potem popędził do ogrodzenia z palików, ciągnącego się wzdłuż dróżki prowadzącej do budynku, i omijając szerokim łukiem fasadę, starając się unikać chodnika oraz rozglądając się uważnie, ruszył w jej stronę.

Mustang stał na swoim miejscu, ukryty w ciemnościach. Matt wszedł cicho do środka, nie zatrzaskując drzwi, jedynie ostrożnie je przymknął. Dysząc ciągle i nie zapalając świateł, przekręcił kluczyk w stacyjce. Niestety, jak tylko odezwał się silnik, z tyłu, na końcu dróżki, pojawił się drugi policjant, oświetlony przez uliczną latarnię.

- Stać, policja! - wrzasnął, sięgając jedną ręką po pistolet, wyciągając drugą przed siebie i unosząc dłoń. Odcinał drogę Mattowi, który mógł co najwyżej ruszyć tyłem i spróbować go staranować, ryzykując „grę w cykora”, która dla jednego z przeciwników - prawdopodobnie tego, którego nie chroniły dwie tony stali - mogła się skończyć fatalnie. Mógł też uciekać w drugą stronę, ale...

Zaklął pod nosem, wrzucił bieg i wcisnął gaz do dechy. Koła mustanga zabuksowały na cienkiej warstwie śniegu, ale po chwili złapały przyczepność i samochód rzucił się przed siebie, z wściekłym rykiem pędząc dróżką w stronę coraz głębszych ciemności. Matt próbował przebić się przez nie wzrokiem, sprawdzić, dokąd prowadzi alejka, co czeka go po jej drugiej, stronie - Niestety, gdy w końcu mu się to udało, raczej nie był zachwycony. Dróżka kończyła się na porośniętym krzakami wzniesieniu, na którego nek. Podciągnął półprzytomnego mężczyznę kilkadziesiąt centymetrów do ściany i szybko przykuł go do rurki kaloryfera. Rozejrzawszy się, zauważył wieszak, na którym wisiało kilka kurtek, czapka,

parasol oraz szalik. Ściągnął natychmiast szalik, wetknął gliniarzowi w usta, owinął kilka razy wokół głowy.

Nie obejrzawszy się nawet za siebie, skoczył na równe nogi i wybiegł z mieszkania, pokonując za jednym razem po trzy stopnie. Zatrzymał się przy wyjściu z budynku i wyjrzał na zewnątrz. Po mężczyźnie, który zbiegł schodami pożarowymi, nie było już śladu. Wziął głęboki wdech, starając się nieco oprzytomnieć, zebrał się w sobie i wyszedł, zagłębiając się w mroźne nocne powietrze.

Na ulicy, obojętnej na kłopoty Matta, panował zwodniczy spokój. Zbiegł po schodach i podkraść się do zaparkowanego przed domem samochodu, po czym sięgnął po leathermana i jednym z ostrzy przebił jego przednie opony. Przez ułamek sekundy patrzył, jak uchodzi z nich powietrze, a potem popędził do ogrodzenia z palików, ciągnącego się wzdłuż dróżki prowadzącej do budynku, i omijając szerokim łukiem fasadę, starając się unikać chodnika oraz rozglądając się uważnie, ruszył w jej stronę.

Mustang stał na swoim miejscu, ukryty w ciemnościach. Matt wszedł cicho do środka, nie zatraskując drzwi, jedynie ostrożnie je przymknął. Dysząc ciągle i nie zapalając świateł, przekręcił kluczyk w stacyjce. Niestety, jak tylko odezwał się silnik, z tyłu, na końcu dróżki, pojawił się drugi policjant, oświetlony przez uliczną latarnię.

- Stać, policja! - wrzasnął, sięgając jedną ręką po pistolet, wyciągając drugą przed siebie i unosząc dłoń. Odcinał drogę Mattowi, który mógł co najwyżej ruszyć tyłem i spróbować go staranować, ryzykując „grę w cykora”, która dla jednego z przeciwników - prawdopodobnie tego, którego nie chroniły dwie tony stali - mogła się skończyć fatalnie. Mógł też uciekać w drugą stronę, ale...

Zaklął pod nosem, wrzucił bieg i wcisnął gaz do dechy. Koła mustanga zabuksowały na cienkiej warstwie śniegu, ale po chwili złapały przyczepność i samochód rzucił się przed siebie, z wściekłym rykiem pędząc dróżką w stronę coraz głębszych ciemności. Matt próbował przebić się przez nie wzrokiem, sprawdzić, dokąd prowadzi alejka, co czeka go po jej drugiej % stronie - niestety, gdy w końcu mu się to udało, raczej nie był zachwycony. Dróżka kończyła się na porośniętym krzakami wzniesieniu, na którego szczycie pięła się w górę gęsta kępka drzew. Hummer mógłby dać radę. Mustang nie był zaprojektowany do tego rodzaju wyczynów. Nie miał szans.

Wcisnął gwałtownie hamulec i mustang zatrzymał się na krawędzi asfaltu. Silnik pomrukiwał niecierpliwie, jakby w oczekiwaniu na ponowne wejście do akcji. Matt zerknął we wsteczne lusterko i dostrzegł w nim zarys sylwetki policjanta biegnącego w jego stronę z uniesioną bronią.

Nie miał wyjścia. Zacisnął zęby i wrzucił wsteczny. Samochód szarpnął i pomknął - do tyłu - przez alejkę, rycząc wściekle pełną mocą ośmiocylindrowego silnika. Matt zacisnął rękę na zagłówku fotela pasażera, prowadząc pojazd właściwie na oślep. Nawet w lepszych warunkach, przy pełnym świetle, jadąc z taką prędkością, nie miałby najlepszej widoczności przez tylną szybę; w tych ciemnościach i w wąskiej uliczce, prowadzony jedynie przez mdławą tylną światła mustanga, mógł tylko starać się utrzymywać kurs w linii prostej i modlić się o łut szczęścia - że nie uderzy w ścianę budynku i że policjant nie ma myśli samobójczych. Skulił się w oczekiwaniu na nieuniknioną kanonadę, i rzeczywiście, po chwili na ciasnym podwórku rozległ się odgłos najpierw pojedynczego strzału, a potem kilku kolejnych, jeden z pocisków roztrzaskał mu tylną szybę i utkwiał w przednim podłokietniku, a drugi trafił w karoserię przy oknie gdzieś po prawej stronie wozu.

Po zaledwie ułamku sekundy Matt niemal zrównał się z policjantem. Szarpnął gwałtownie kierownicą i samochód ustawił się bokiem do najbliższej ściany, naprzeciw strzelającego policjanta. Mustang zatrzęsł się, z piskiem ocierając się o budynek, i gliniarz musiał przytulić się do ściany po drugiej stronie, umożliwiając Mattowi prześlizgnięcie się obok niego. Rozległo się jeszcze kilka strzałów, Matt mknął już jednak alejką w stronę drogi, na której zaciągnął ręczny hamulec, wprowadzając samochód w kontrolowany poślizg, i gdy tylko udało mu się skrócić w prawo, wcisnął znowu gaz do dechy.

Zobaczył w lusterku, że policjant wbiega na ulicę i pędzi w stronę własnego wozu. Wiedział jednak, że nie uda mu się ruszyć za nim w pościg. Mimo to nie mógł jeszcze czuć się bezpieczny. Zdawał sobie sprawę, że wkrótce w eterze rozejdzie się komunikat z numerami i opisem jego raczej rzucającego się w oczy pieszczocha. Musiał pozbyć się samochodu - i to szybko - a potem przycząić się gdzieś do świtu.

Pytanie, co zrobi następnego dnia, póki co nie zaprzętało jego głowy. Na razie musiał jakoś dożyć do rana.

ROZDZIAŁ 24

Waszyngton

Keenan Drucker czuł się wspaniale. Szczęśliwie tuż po północy udało mu się oderwać od surfowania po kanałach informacyjnych oraz Internecie i przespać się parę godzin, był więc teraz całkowicie wypoczęty. Rano, po solidnym śniadaniu złożonym z gofra i owoców, przejrzał gazety, odczuwając rosnącą satysfakcję, co mu się nie zdarzyło od lat. Miał przecucie, że tak cudownie rozpoczęty dzień przyniesie same dobre nowiny.

Siedział już w swoim gabinecie na dziewiątym piętrze budynku przy Connecticut Avenue; obrócił się w skórzanym fotelu tyłem do biurka - na którym oprócz laptopa, telefonu i ramki z fotografią jego zmarłego syna próżno było szukać zwyczajnych szpargałów, co nadawało meblowi ascetyczny wygląd - i spojrzał przez okno na miasto. Uwielbiał przebywać w stolicy kraju, pracować tam, odgrywać ważną rolę w kształtowaniu egzystencji obywateli najpotężniejszego państwa na świecie, a zatem również pozostałych mieszkańców globu. Robił to od zawsze. Służyć systemowi zaczął zaraz po ukończeniu uniwersytetu Johna Hopkinsa, gdzie zrobił magisterium z nauk politycznych. Następnie z grubsza dwadzieścia lat spędził jako pracownik Kongresu, pracując dla kilku senatorów jako starszy doradca polityczny oraz dyrektor ds. legislacyjnych. Pomagał im rosnąć w siłę i zdobywać coraz większą władzę, przy okazji samemu nabierając coraz większego znaczenia, swoją działalność prowadząc po cichu, za kulisami, stroniąc od eksponowanych stanowisk, które bez przerwy mu oferowano - choć miał też za sobą krótki flirt z oficjalną polityką, kiedy przyjął posadę podsekretarza ds. bezpieczeństwa. Preferował jednak bardziej długofalową aktywność, wolał pociągać za sznurki, pozostając w cieniu, i uciekł z Kapitolu, jak tylko pojawiła się na tyle atrakcyjna oferta, że nie wypadało mu jej odrzucić, co umożliwiło mu powołanie i objęcie szefostwa nad własnym, dysponującym znacznymi funduszami, wpływowym think tankiem o nazwie Amerykańskie Centrum Wolności.

Urodził się do takiego życia. Był bezwzględny i kreatywny strategiem politycznym, jego umysł przypominał stalową pułapkę, a przywiązanie do szczegółów w połączeniu z nadzwyczajną pamięcią czyniło go mistrzem w swym fachu. Jakby tego nie było dosyć, natura pozwoliła mu zwiększyć własną skuteczność, obdarzając go niekłamany, ujmującym wdziękiem - który doskonale maskował czającą się pod nim żelazną determinację i pomagał przekonywać nawet najbardziej zagorzałych przeciwników, gotowych zabrać się za najbardziej kontrowersyjne kwestie dzielące kraj i naród.

Przez ostatnie lata narastało w nim jednak wrażenie, że należy jak najszybciej podjąć odpowiednie działania. Ster polityki - zarówno wewnętrznej, jak i zagranicznej - dostał się bowiem w ręce grupy cywilnych doradców, którzy zaczęli skwapliwie kształtować kraj, dostosowując go do własnej wizji. Ich pozbawione kompleksów, niepohamowane poczucie misji dla takiego politycznego zwierzęcia jak Drucker było czymś pięknym; metody i taktyka - zapierały dech Wjpiersiach.

Najbardziej imponował mu jednak sposób, w jaki wykorzystywali „kadrowanie” - oszukańczą technikę upraszczania złożonych, kontrowersyjnych kwestii i strategii politycznych poprzez stosowanie potężnych, sugestywnych, oddziałujących na emocje

sloganów i obrazów, w celu przekreślenia i podważenia każdego potencjalnego ataku skierowanego na ich politykę. W nowym stuleciu kadrowanie zostało podniesione do rangi sztuki, co przejawiało się chociażby w rozpowszechnieniu takich określeń, jak „ulgi podatkowe”, „wojna z terrorem” czy „polityka łagodzenia”, silnie obecnie zakorzenionych w świadomości społecznej, zawsze trafiających w najczulsze pod względem emocjonalnym punkty wyborców i tworzących przekonanie, że każdy, kto protestuje przeciw tego rodzaju metodom, z definicji musi być zbrodniarzem usiłującym powstrzymać orędownika niewinnych cierpiących przed zaaplikowaniem im lekarstwa, tchórzem uchylającym się od uczestnictwa w otwartej wojnie z narodem agresorów czy nawet gorzej - nędznikiem zbyt tchórzliwym, by sprzeciwić się Hitlerowi.

Kadrowanie było skuteczne. Nikt nie wiedział o tym tak dobrze jak Keenan Drucker. A teraz był gotów samemu poćwiczyć się w tej umiejętności.

Zerknął na zegarek. Zwołał pilne późnoporanne spotkanie z dostępnymi obecnie najważniejszymi działaczami Centrum, na którym mieli przedyskutować pojawienie się niewyjaśnionego zjawiska na lodowcu szelfowym. Z kilkoma z nich rozmawiał już przez telefon; byli - co zrozumiałe - podekscytowani, a zarazem zaniepokojeni.

Później miał zamiar przejrzeć znowu kanały informacyjne i sprawdzić, czy operacja przebiega zgodnie z planem. Wydawało się zresztą, że owszem, z wyjątkiem drobnej komplikacji, która pojawiła się w Bostonie. Ale Drucker nie martwił się. W tej sprawie mógł całkowicie zaufać Pociskowi.

Zadzwoiła jego komórka. Rozpoznał po sygnale, że dzwoni właśnie Pocisk.

Uśmiechnął się, sięgając po aparat. Powiedzonko „O wilku mowa” nigdy jeszcze nie wydawało mu się tak trafne.

Maddox ze zwykłą dla siebie profesjonalną zwięzłością przekazał Druckerowi najnowsze informacje na temat losu Bellingera, ucieczki Matta Sherwooda oraz jego wypadu do mieszkania martwego już naukowca.

Drucker wysłuchał wieści z podziwu godną obojętnością. Maddox nie przepadał za nim. Facet był w końcu politykiem. Człowiekiem z Waszyngtonu. Ale to akurat w nim lubił. Kiedy była mowa o sprawach, w których nie czuł się ekspertem, Drucker nigdy niczego nie kwestionował ani nie szukał dziury w całym. Nie miał problemów z własnym ego, nie przybierał też pozy zwierzchnika, co często zdarzało się biurkowym zwierzchnikom, a zwłaszcza politykom, których Maddox uwielbiał w takich wypadkach miażdżyć. Drucker wiedział, że brudną robotę należy zostawić tym, którzy czują się dobrze, brnąc po uszy w gównie, przed czym Maddox nigdy się nie uchylał i nie miał zamiaru tego robić, mimo że

jego specjalizująca się w „zarządzaniu ryzykiem i bezpieczeństwem” firma znacznie rozrosła się od momentu, kiedy ją założył przed trzema laty, niedługo po tym, jak został ranny w Iraku.

Maddox był człowiekiem praktycznym. Miał swój surowy, sztywny kodeks etyczny i cechowała go żelazna dyscyplina, którą wykształcił w czasie dwudziestu lat służby w marines i w jej jednostce specjalnej Force Recon, gdzie początkowo przezywano go „Pociskiem” z powodu wygolonej czaszki o zaostrzonym nieco kształcie. Przewisko to nabrało bardziej złowrogiego znaczenia, gdy jego oddział został wybity niemal do nogi w barbarzyńskiej wymianie ognia w apokaliptycznym miasteczku AlFalludza.

To właśnie w wyniku tej tragedii skrzyżowały się losy jego i Druckera.

Jego oddział świetnie sobie radził w górach Afganistanu. Skutecznie polował na talibów i ich kumpli z al Kaidy. Oczyszczał z nich wzgórza i jaskinie ciągnące się wzdłuż granicy z Pakistanem. Coraz bardziej deptał po piętach bin Ladenowi. I nagle, z niewyjaśnionych, niezrozumiałych przyczyn, został stamtąd wycofany i powierzono mu nową misję. W Iraku. I pewnego dnia, w to piekielne popołudnie, dziewięć miesięcy po rozpoczęciu wojny, Maddox stracił czternastu ludzi i ucho. Ci, którzy przeżyli atak, zostawili na polu bitwy ręce, nogi i palce. Słowo „ranny” nie oddawało potworności ich obrażeń oraz tego, w jaki sposób wpłynęły na ich późniejsze życie. Maddox wspominał ten dzień za każdym razem, gdy dostrzegał swoje odbicie w szybie okna lub w okularach słonecznych któregoś z kolegów. Odcisnął się na jego twarzy jako piętno w postaci blizny w kształcie gwiazdy, otaczającej niewielki, żaloszny kawałek skóry ucha, który udało się ocalić lekarzom.

Nienawidził luster. Za każdym razem gdy widział w nich swoje odbicie, przeżywał na nowo tamten dzień. Nie tylko zresztą tamten dzień, ale i wszystko, co go spotkało później. To, jak został potraktowany, przemielony przez system. To, że na domiar złego został okłamany. Podobnie jak cały naród. Wojna okazała się jedną wielką lipą. Katastrofalną lipą. Później na własne oczy widział, uznając to za - dosłownie - zniewagę dla swoich ran, jak ci sami kłamliwi dranie, którzy wysłali go na wojnę, od najmniej znaczącego kongresmena po bohatera wojennego, który otarł się o prezydenturę, głosują przeciwko powiększeniu funduszu pomocy tym, którzy tak jak on wrócili do domów z uniemożliwiającymi im normalne funkcjonowanie fizycznymi i psychicznymi urazami. Patrzył, jak wyławia się poszczególnych żołnierzy, stawia przed sądem za najdrobniejsze choćby naruszenie zasad zaangażowania i poświęca na ołtarzu polityki, a robili to ludzie, którzy nie wachali prochu nawet z odległości kilkuset kilometrów. I z każdym nowym doniesieniem na temat kłamstw i manipulacji wojennych - które jego kolegów kosztowały życie, a jego samego twarz -

wzbierał w nim gniew. Coraz bardziej gorzki. Pragnienie zemsty. A po pewnym czasie gniew i gorycz przerodziły się w nim w przekonanie, że jeśli cokolwiek ma się zmienić, musi wziąć sprawy w swoje ręce.

Status rannego znacznie ułatwił mu rozkręcenie interesu. Już wkrótce miał pod rozkazami dziesiątki doskonale wyszkolonych i wyposażonych mężczyzn pracujących dla niego w piekle Afganistanu, Iraku i gdziekolwiek indziej, gdzie tylko ktoś był gotów płacić za ich usługi. Wykonywali tam robotę, której inni nie chcieli się nawet tknąć. Robotę, przy której wykonywaniu nikt nie chciałby być widziany. Robotę, przy której wykonywaniu nie byli uzależnieni od reguł wyznaczonych przez polityków sączących dwudziestoletni koniak. I dziwna rzecz, każde nowe zlecenie przynosiło mu większą ulgę, większą satysfakcję. Zamieniało się to w narkotyk, bez którego nie mógł żyć. I mimo że na kolejnych rządowych kontraktach, kolejnych drobnych operacjach zarobił setki tysięcy dolarów, mimo że dysponował niewielką armią zaufanych, zaprawionych w bojach ludzi gotowych robić wszystko, co tylko im każe, Maddox za każdym razem był z nimi na linii frontu. A kiedy pojawiła się ta robota, natychmiast zorientował się, że nie może nikomu zlecić jej wykonania. Angażując się w nią, odczuwał satysfakcję na zupełnie innym poziomie.

Postanowił, że jeśli to ustrojstwo naprawdę jest zdolne do tego, co twierdzą, już on zadba, żeby wszystko poszło jak z płatka.

Tak czy inaczej, Drucker raczej nie był zachwycony przekazaną mu informacją.

- Niedobrze, że Sherwood się tam kręci - powiedział. - Musisz się nim zająć, zanim sprawy wymkną się spod kontroli.

- To nie potrwa długo - zapewnił polityka Maddox. - Facet jest podejrzany o morderstwo. Nie ma zbyt wielu możliwości.

- Daj mi znać, kiedy będzie po wszystkim - podsumował Drucker i zakończył rozmowę.

Maddox odłożył telefon na biurko i jeszcze raz przeanalizował wydarzenia poprzedniej nocy. Matt Sherwood okazał się twardszym orzechem do zgryzienia niż jego brat. Byli ulepiani z zupełnie innej gliny, czego zresztą Pocisk mógł się spodziewać, zważywszy, że znał kartotekę faceta. Z czego wynikał wniosek, że sprawa wymaga zakrojonych na szerszą skalę działań.

Jego ludzie monitorowali policyjne linie, ale to nie wystarczało. Matt Sherwood działał pod wpływem impulsu, podejmując tak nieoczekiwane inicjatywy, jak włamanie do mieszkania Bellingera. Nieoczekiwane inicjatywy, które mogły się okazać dosyć uciążliwe.

Maddox skoncentrował się i spróbował postawić na miejscu Matta, analizując w myślach każdy krok, jaki podjął były oszust, próbując zrozumieć jego sposób działania. Starał się myśleć kilka ruchów naprzód, szukając wszelkich brzytew, których mógł się chwytać Matt, brzytew, które należało usunąć, zanim ofiara się ich złapie. Wrócił myślami do raportów, które dostarczyli mu jego ludzie, i postanowił spróbować szczęścia na tym polu.

Skupił się na ekranie, na którym wyświetlił wszystkie przychodzące oraz wychodzące rozmowy Bellingera i Matta. Jego wzrok zatrzymał się na ostatniej pozycji - telefonie od kolegi z pracy Bellingera, niejakiego Csaby Komlosyego. Kliknął w niewielką ikonkę obok i wysłuchał wiadomości, która została nagrana na sekretarce nieżyjącego naukowca. Po chwili przesłuchał ją raz jeszcze, a potem odtworzył pierwszą rozmowę między oboma współpracownikami. Tę, która sprowokowała wydarzenia poprzedniego wieczoru.

Pocisk zerknął na zegarek i wziął do ręki telefon.

ROZDZIAŁ 25

Boston, Massachusetts

Larry Rydell przez chwilę w osłupieniu wpatrywał się w wyświetlacz komórki, po czym odłożył ją na biurko. Właśnie skończył rozmawiać z Rebeccą. Znowu. Dwie rozmowy z córką w ciągu niecałych dwudziestu czterech godzin. O wiele więcej, niż był przyzwyczajony. Jasne, mieli ze sobą dobry kontakt, mimo że prawie dziesięć lat wcześniej rozwiódł się z jej matką. Ale Rebecca miała dziewiętnaście lat. Była cudowną i szaloną dziewczyną, wolną, studiowała na drugim roku w Brown i choć jak na kogoś, kto ma świat u swych stóp, zadziwiająco trzeźwo stąpała po ziemi, w jej intensywnym od jakiegoś czasu życiu - jak można się było tego spodziewać - brakowało miejsca na regularne telefony do tatusia.

Uwielbiał z nią rozmawiać. Uwielbiał, gdy była tak podekscytowana, zafrapowana, tak czymś zainteresowana, mimo że w jej ożywionym głosie wyczuwał również ślad lęku. Uwielbiał mieć od niej wieści dwa razy dziennie.

Nie lubił tylko jej okłamywać.

A przecież to robił. Okłamał ją dwa razy, i to w ciągu jednego dnia. W dodatku nadal będzie ją okłamywał - jeśli wszystko pójdzie dobrze, przez resztę życia.

Na myśl o tym poczuł się rozdarty, a uczucie to wzmogło się tylko, gdy dotarło do niego ponownie znaczenie tego, co właśnie działo się na jego oczach.

„To się dzieje naprawdę”.

Zaczął się. Nie było już odwrotu.

Myśl ta wywoływała u niego zarazem stan upojenia i przerażenia.

Kiedy po raz pierwszy rozważał tę możliwość, zaledwie cztery lata wcześniej, wszystko wydawało się zupełnie nierealne. A mimo to tak szybko zamieniło się w rzeczywistość. Rozpad lodowca szelfowego można było przewidzieć. Monitorowali go za pomocą satelity, ale zaczął się szybciej, niż się spodziewali. Byli jednak gotowi. Gotowi go wykorzystać.

Gotowi zmienić świat.

Wrócił myślami do brzemiennego w skutki wieczoru spędzonego z Reeceem przed trzema laty. Wspaniała kolacja. Butelka Brunello di Montalcino. Kilka cygar Cohiba Esplendidos. Długa natchniona rozmowa na temat tego, co wynika z przełomu, którego udało się dokonać Reeceowi. Wiele różnorodnych jego zastosowań. Skoków wyobraźni, które czasami bywają udziałem wielkich umysłów i które stają się rzeczywistością. A potem to słowo - wystarczyło je tylko wymienić.

„Niewiarygodne”.

Jedno słowo. Katalizator, który pchnął umysł Rydella na nieznane dotąd terytorium. Mroczne, tajemnicze, cudowne, zakazane terytorium. I oto niecałe cztery lata później niemożliwe stało się możliwe.

Reece. Przed oczami Rydella nagle pojawiła się twarz naukowca. Obok niej zmaterializowały się inne - młode, utalentowane, oddane - a towarzyszyło im znane mu dobrze, głęboko zakorzenione, trudne do zaakceptowania uczucie. Na wspomnienie ostatniego dnia w Namibii ścisnęło mu się serce. Po ostatnim teście. Po tym, gdy razem w upojeniu obserwowali, jak ich ciężka praca przynosi owoce, i to w tak spektakularny, uskrzydlający sposób. A potem wszystko poszło nie tak. Ciągle widział Maddoxa, jak stoi obok niego i pociąga za spiist. Słyszał własny krzyk, słyszał kulę wbijającą się głucho w plecy Reecea, widział, jak ciałem jego przyjaciela wstrząsa dreszcz”jak pada prosto w ramiona Dannyego Sherwooda.

Te dźwięki i obrazy miały go prześladować do końca życia.

Nienawidził samego siebie za to, że nie zdołał tego powstrzymać. I choć inni karmili go najróżniejszymi komunałami, żaden z frazesów na temat wyższego dobra czy poświęcania życia kilku jednostek dla dobra milionów - żaden nie spełnił swojej funkcji. Nie poznał się na nich. Nie zdawał sobie sprawy ze stopnia ich determinacji. A teraz było już za późno na interwencję. Potrzebowali siebie nawzajem. Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, będzie musiał po prostu przełknąć żabę i iść do przodu.

Co zresztą właściwie już zrobił, choć nie było to łatwe. Ciągłe prześladowało go to uczucie, gnębiło go od środka, zżerało kawałek po kawałku. Wiedział, że kiedyś go zniszczy. W ten czy inny sposób umrze przez nie. Musiał. Ale może zanim to się stanie, po prostu maże, jeśli wszystko pójdzie jak trzeba - może ich śmierć ostatecznie do czegoś się przyczyni. Choć zdawał sobie sprawę, że ich duchy nigdy nie zostawią go w spokoju, nawet wtedy.

ROZDZIAŁ 26

Boston, Massachusetts

Poranek był rześki i chłodny. Matt, schroniwszy się za wysokim żywopłotem, czekał i obserwował okolicę, próbując się upewnić, że w hotelu nie czeka go żadna przykra niespodzianka. Dopiero po chwili wyszedł z ukrycia i ruszył w stronę wejścia. W napięciu, gotów do natychmiastowej ucieczki, unikając kontaktu wzrokowego, przemknął obok kilku biznesmenów o zapuchniętych oczach, którzy wnosili pozory życia do bezbarwnego holu, przypominającego wszystkie inne na świecie, wjechał windą na czwarte piętro i w końcu dotarł do swojego pokoju.

Nie potrafił określić, czy jest bardziej zmęczony, czy wściekły. Musiał zostawić mustanga kilka ulic od mieszkania Bellingera, co tylko podsyciło jego gniew. Samochód ten reprezentował przełom w jego życiu, ważny i szczęśliwy krok na drodze znad krawędzi. Danny nie tylko wprowadził go na tę drogę, ale również opłacił bramki i dał mu forszę na paliwo na dobry początek. A teraz Matt był zmuszony zostawić swój samochód w jakiejś ciemnej bocznej uliczce, i to z powodu tych samych sukinsynów, którzy wykończyli Dannyego. Był naprawdę wkurzony.

Zaparkowawszy mustanga, przemknął kilkaset metrów w cieniu, po czym skręcił w Broadway, gdzie stykając przewody, odpalił bezbronnego dziesięcioletniego forda taurusa. Następnie skierował się na zachód, byle dalej od miasta, docierając w końcu z powrotem na autostradę. Przez cały czas rozglądał się za gliniarzami. Zaparkował w rogu niepozornego parkingu na tyłach niewielkiego centrum handlowego, którego częścią był również hotel, i resztę drogi pokonał pieszo.

Stał w oknie pokoju i obserwował budzące się do życia miasto. Dzień wstawał znowu ponury, zimowy, słońce ledwie było w stanie przebić się przez grubą warstwę szarych chmur. Zwalił się na łóżko. Po tak męczącej, stresującej nocy mięśnie i nerwy miały w strzępkach. Nie przespał ani minuty i jego ciało rozpaczliwie potrzebowało odpoczynku. Nie dał mu takiej szkoły od lat. Wiedział jednak, że to będzie musiało poczekać. Zdecydował się

za to na długi gorący prysznic, mając nadzieję, że choć trochę go ożywi i pozwoli oczyścić umysł. I rzeczywiście, kiedy wrócił z łazienki, rozpieła go energia, która jednak, niestety, dosyć szybko opadała. Po dwudziestu minutach siedział już przy komputerze w brzydkiej, pozbawionej okien kawiarence internetowej.

W książce telefonicznej sprawdził numer, który spisał z automatycznej sekretarki Bellingera. Widniało pod nim dziwne nazwisko: Csaba Komlosy oraz adres domowy - tym razem bez niespodzianek - na tym samym zamieszkanym przez geeków osiedlu między Harvardem a MIT, na którym mieszkali Bellinger i Danny. Matt zastanawiał się, czy zadzwonić do nieznanego. Sądząc z treści wiadomości, rozmawiał on z Bellingerem na temat tego, co działo się na Antarktydzie, tuż przed jego spotkaniem z Mattem, i Matt przeczuwał, że ten cały Csaba - nie był pewien, jak wymawiać jego imię - może wypełnić kilka luk w jego wiedzy. Postanowił jednak, że tego nie zrobi. Zabójcy najwyraźniej mieli słabość do podsłuchów. Lepiej było spotkać się twarzą w twarz. Zanotował adres, numer mieszkania - w apartamentowcu, sądząc po numerze - kliknął w mapę, żeby lepiej się zorientować w terenie, a następnie, doszedłszy do wniosku, że nie może dłużej tego unikać, wszedł na stronę „Boston Globe” i rozwinął link działu wiadomości lokalnych.

News znajdował się na samej górze.

Skrzywił się; jego twarz stężała pod wpływem smutku - i wściekłości.

Tekst nie był długi. Pchnięcie nożem. Niedaleko baru w południowym Bostonie, tuż po północy. Ciało zostało już zidentyfikowane - jako zwłoki Bellingera. Autor doniesienia opisywał pokrótce awanturę w pobliskiej knajpie. I tyle. Śledztwo w sprawie morderstwa już się toczy.

W artykule nie wymieniono nazwiska Matta - jeszcze. Wiedział jednak, że wkrótce trafi na okładki gazet.

Już oni o to zadbają.

Wypuścił głośno powietrze z płuc, potarł twarz, próbując się trochę ożywić, i jeszcze raz przeczytał tekścik. Suche, rzeczowe słowa sprawiły, że gniew niemal ścisnął mu gardło, trawiły go swą nieodwracalnością. Zacisnął pięści nad klawiaturą tak mocno, że odpłynęła z nich cała krew. Ze wszystkich sił powstrzymywał się, żeby nie uderzyć nimi w biurko i nie rozbić komputera w drobny mak.

Dla tych sukinsynów coś takiego było jak kaszka z mlekiem. Mogli zwyczajnie zgarnąć kogoś z ulicy, zarznąć go, porzucić w śniegu i zapomnieć o wszystkim, bez mrugnięcia okiem przechodząc do kolejnej misji. Życie człowieka - życie niewinnego,

dobrego człowieka przecięte w kwiecie wieku, a wszystko to z powodu... Czego właściwie? Jednego telefonu? Pomysłu?

Matt gotował się z wściekłości.

Wziął głęboki wdech i wypuścił powoli powietrze, starając się stłumić gniew. Po chwili skupił się z powrotem na ekranie, wpisał adres strony internetowej urzędnika naprowadzającego i się zalogował.

Chrysler odjechał już spod jego mieszkania.

Na szczegółowej mapie w trzydziestosekundowych odstępach wyświetliła się marszruta samochodu. Cofnąwszy animację do pierwszego odcinka, jaki pokonał jego nadajnik GPS, Matt stwierdził, że bandyci porzucili punkt obserwacyjny - a raczej, o czym był przekonany, przekazali pałeczkę kolejnej ekipie - prawie godzinę wcześniej. A zatem, co nie umknęło jego uwagi, wkrótce po tym, jak uciekł z mieszkania Bellingera. Zastanawiał się, czy oznaczało to, że wiedzą już o jego krótkim wypadzie do Cambridge. Jeżeli tak, to musieli mieć dostęp do informacji na temat działań policji, czy to przez podsłuch radiowy, czy dzięki uprzejmości kogoś z pracowników departamentu. Zapamiętał to sobie, a potem zrobił najazd na obecną lokalizację chryslera.

Od dwudziestu trzech minut stał zaparkowany na ulicy w Brighton, niedaleko Centrum Medycznego Świętej Elżbiety. Na stronie urzędnika naprowadzającego był link do Google Maps. Matt kliknął w „widok ulicy”, przesunął niewielkiego pomarańczowego awatara na lokalizację samochodu i kliknął ponownie. Na ekranie wyskoczyło szerokokątne ujęcie, tak wyraźne i szczegółowe, jakby on sam stał na środku ulicy - oczywiście nie w czasie rzeczywistym, ale wtedy gdy furgonetka Google wyposażona w panoramiczną kamerę zarejestrowała obraz, czyli niezbyt dawno temu, zważywszy, że nie była to technologia z czasów zimnej wojny. Tak czy inaczej, Matt mógł się dokładnie przyjrzeć okolicy. Rzucił widok na pełny ekran, przewinął ulicę w górę i w dół, wykonując wirtualny przejazd, a potem odwrócił kamerę, uzyskując obraz przeciwległej strony chodnika.

Wzdłuż wąskiej uliczki dzielnicy mieszkaniowej ciągnął się rząd piętrowych domków. Samochód, którego lokalizację urządzenie wyznaczyło z dokładnością do trzech metrów, jeśli wierzyć zapewnieniom wygadanego sprzedawcy, od którego je kupił, stał przed zapuszczonym nieco, szarym budynkiem z balkonem nad gankiem i spiczasto zakończonym dachowym oknem.

Matt musiał mu się przyjrzeć. Na żywo.

Droga na miejsce o tej porze nie zabrała mu zbyt wiele czasu, zwłaszcza że jechał w przeciwnym kierunku niż większość kierowców. Cienka warstwa śniegu, pokrywająca miasto

jeszcze w nocy, niemal już zniknęła i stary taurus od biedy radził sobie na jezdni. Skręcił w Beacon i ruszył na zachód, analizując w myślach różne sposoby, na jakie mógł rozegrać konfrontację z bandytami. Starał się trzymać na wodzy swoje pierwotne instynkty. Owszem, miał do czynienia z ohydnyimi, krwiożerczymi szumowinami i zdawał sobie sprawę, że trudno mu będzie się powstrzymać przed tym, by przy najbliższej okazji nie zrobić im z tyłków jesieni średniowiecza. Ale z drugiej strony nie powinien zamieniać swego przedsięwzięcia w samobójczą misję. Jeżeli tam będą, musiał dowiedzieć się o nich czegoś więcej - kim są, co robią, kto ich wynajął.

Co wiedzą o Dannym.

Gdy dowie się tego wszystkiego - cóż, właściwie nie widział powodu, by pozostawiać ich przy życiu.

Nagle zdał sobie z tego w pełni sprawę, ale nawet się nie skrzywił. Co zresztą go zdziwiło. Nigdy jeszcze nikogo nie zabił. Jasne, miał za sobą parę bójek. Przed pobytem w więzieniu. W czasie pobytu w więzieniu. Przez te wszystkie lata kilka razy skopano mu tyłek, ale i on rozbił niejedną czaszkę. Ale to nie on zaczynał. Jako człowiek gwałtowny i lekkomyślny trzymał się własnych zasad, ale w żadnym razie nie był zbirzem i nigdy nie chciał nikogo skrzywdzić. I chociaż w więzieniu zhardział, zarówno pod względem fizycznym, jak i psychicznym, nie zmieniło to tej części jego charakteru. Częściej zdarzało mu się teraz tracić nad sobą panowanie, mniej stronił od używania pięści, ale nigdy nie czerpał z tego przyjemności. Zawsze bił się w samoobronie, nigdy też nie robił więcej, niż było konieczne, by zneutralizować określone zagrożenie.

Tym razem czuł się inaczej. Ale póki co nie przejmował się tym zbyt. Que sera, sera. Najpierw musiał ich znaleźć.

Skręcił w prawo w Washington i ruszył na północ. Z każdym mijanym kwartałem dzielącym go od celu serce waliło mu szybciej. Nie mógł się doczekać konfrontacji. Na dużym skrzyżowaniu z Commonwealth zatrzymał się na czerwonym świetle i nagle, gdy czekał niecierpliwie, wpatrując się w stojącego przed nim poobijanego pickupa, rozpaczliwie domagającego się nowych pierścieni tłokowych, jego wzrok powędrował w stronę agresywnego, wyszczerzonego uśmiechu znajomej kratownicy wlotu powietrza - należącej do chryslera c. Podejrzany samochód stał po drugiej stronie, naprzeciw niego, i miał włączony lewy kierunkowskaz.

Matt zmrużył oczy, próbując ocenić, czy to „jego” chrysler. Wyciągnął szyję, żeby uzyskać lepszy widok na ulicę, przesłoniętą dymem z kopącego pickupa. Światło po drugiej stronie musiało się zmienić na zielone, bo podejrzany samochód przeciął skrzyżowanie tuż

przed półciężarówką i pomknął w górę Commonwealth, niczym rekin z doczepionymi remorami, ciągnąc za sobą sznur importowanych wozów. Gdy przejeżdżał obok, Matt nachylił się i przyjrzał facetowi na fotelu pasażera. Choć twarde rysy jego twarzy odpowiadały temu, co zapamiętał, nie był pewien do końca. Widział bandytów jedynie przelotnie, przed barem i w furgonetce oraz w nocy przed swoim mieszkaniem. Na szczęście wszystko wyjaśniła tablica rejestracyjna chryslera. Mattowi udało się dojrzeć jej dwa ostatnie numery, które dokładnie odpowiadały numerom samochodu, który parkował przed jego warsztatem. 4

To byli oni.

Z przyspieszonym pulsem podążył wzrokiem za szybko oddalającym się wozem, zachodząc w głowę, co powinien zrobić. Musiał podjąć decyzję w ułamku sekundy. Przekręcił kierownicę, wcisnął gaz, ominął półciężarówkę, zahaczając prawymi kołami o krawężnik, i ruszył ulicą, którą chwilę wcześniej pomknął chrysler.

Była to raczej instynktowna reakcja niż przemyślane posunięcie, ale gdy dogonił swoją ofiarę i zajął pozycję w odległości kilku samochodów od niej, doszedł do wniosku, że podjął właściwą decyzję. Nie wiedział, co to za miejsce, w którym według nadajnika zatrzymał się chrysler - czy to baza bandytów, czy tylko przypadkowy przystanek przed budynkiem, do którego nie będą już wracali. Poza tyrap było ich tylko dwóch, a zatem mieli jedynie niewielką przewagę. Nic takiego, zwłaszcza biorąc pod uwagę to, jak się teraz czuł.

Jechali Commonwealth na wschód, po czym skręcili w Harvard i ruszyli w stronę mostu prowadzącego do Cambridge. Gdy zbliżali się do River, Matt poczuł zimne, nieprzyjemne ukłucie niepokoju. Prowadzili go z powrotem w okolice Inman Square, skąd uciekł zaledwie godzinę czy dwie wcześniej. Lęk zamienił się w przerażenie, gdy zobaczył nazwę ulicy, w jaką skręcił chrysler, oraz dostrzegł numer budynku, przy którym się zatrzymał.

Nie było mowy o pomyłce - przecież przed chwilą szukał tego adresu.

Zaparkowali dokładnie przed budynkiem, w którym znajdowało się mieszkanie Csaby.

ROZDZIAŁ 27

Cambridge, Massachusetts

Matt skierował taurusa w stronę zaparkowanego chryslera. Przejeżdżając obok, odwrócił się - nie chciał, by siedzący w nim mężczyźni rozpoznali jego twarz. Minął ich, skręcił w najbliższą boczną uliczkę i się zatrzymał.

Niedobrze.

Przez chwilę nie ruszał się z miejsca, zachodząc w głowę, co to może oznaczać. Czyżby ten cały Csaba dla nich pracował? Może wystawił Bellingera, ostrzegając ich, co zamierza? Matt nie wiedział już, co o tym myśleć, choć miał dziwne przeczucie, że taki scenariusz jest raczej mało prawdopodobny. Wiadomość, którą Csaba zostawił koledze, brzmiała autentycznie. Rozmawiali o zjawisku i Bellinger - jak się zdaje - nagle przerwał wymianę zdań.

Jeżeli Csaba dla nich nie pracował, to przyjechali tam z tych samych powodów, dla których ścigali Bellingera. Co raczej nie wróżyło Csabie świetlanej przyszłości. Nie wspominając już o tym, iż sam fakt, że zbiry go ścigały, oznaczał, że coś wie, coś, co być może przybliżyłoby Matta do odpowiedzi na pytanie, co chronią tak desperacko - i być może rzuciłoby więcej światła nato, co się stało z Dannym.

Co o n i zrobili Dannyemu, poprawił się.

Musiał działać.

Wysiadł z taurusa i podkraść się do budynku. Wyjrzał ostrożnie zza rogu i obrzucił wzrokiem ulicę. Chrysler stał tam gdzie przedtem, a w środku dostrzegł sylwetki dwóch osób. Obserwowali. Czekali.

Śledzili Csabę. Matt był już tego pewien.

Musiał dostać się do niego pierwszy.

Oszacował wzrokiem budynek, szukając miejsca, w którym mógłby się przemknąć obok zabójców. Nie dostrzegł niczego. Csaba mieszkał w nowoczesnym, pięcio - czy sześciopiętrowym apartamentowcu. Faceci w chryslerze kontrolowali całą ulicę i mieli wyraźny widok na plac przed domem oraz hol wejściowy, co wszelkie próby dostania się do mieszkania od tej strony z góry skazywało na porażkę. Matt zauważył jednak obok podjazdu, który najprawdopodobniej prowadził do podziemnego garażu. Problem polegał na tym, że zbiry również miały na niego widok.

Schował się za rogiem, pobiegł wzdłuż bocznej uliczki i znalazł wąską dróżkę prowadzącą między sąsiednimi budynkami. Skręcił w nią i ostrożnie ruszył przed siebie, równoległe do głównej ulicy, zbliżając się do celu - trafił po chwili na półtorametrowy drewniany płot odgradzający drugi z domów. Trochę dalej widział apartamentowiec Csaby, od którego dzieliło go jednak kilka budynków i płotów. Przeskoczył przez ogrodzenie i pobiegł dalej. Po paru minutach dotarł do bocznego przejścia prowadzącego wzdłuż podjazdu z powrotem na ulicę.

Wyrzał na nią. Chrysler nie ruszył się z miejsca i Matt ciągle nie mógł niepostrzeżenie wbiec na podjazd. Ze swojego punktu obserwacyjnego dostrzegł kolejny problem. Żeby wjechać do garażu, trzeba było wprowadzić kod na umieszczonej obok wejścia klawiaturze. W dodatku na jej klawiszach nie wypisano żadnych numerków. Gdy ktoś próbował wprowadzić kod, zaświecały się tylko pojedynczo i w przypadkowej kolejności pojawiały się na nich liczby, co miało uniemożliwić potencjalnemu złodziejowi podpatrzenie któregoś z mieszkańców i powtórzenie za nim odpowiedniej sekwencji.

Nagle Matt usłyszał mechaniczne trzaśnięcie, a potem niski, głośny zgrzyt. Choć z miejsca, w którym się znajdował, właściwie nic nie widział, domyślił się, że to odgłos otwieranych drzwi garażu. Zebrał się w sobie i cofnął o krok. Na podjeździe pojawił się przód i dach ogromnego czarnego cadillaca escalade. SUV zaryczał, połknął z galon benzyny, po czym zaatakował asfalt, zatrzymując się tuż przed wjazdem na ulicę.

I na chwilę zasłaniając chryslerowi widok.

Matt natychmiast wykorzystał okazję. Rzucił się przed siebie i przeskoczył przez niski murek przy podjeździe. Wylądował ciężko, aż kości zatrzeszczały mu w proteście przeciw takim wyczynom. Spadł z wysokości co najmniej trzech metrów, może nawet więcej, jeżeli doliczyć wysokość murku. Przetoczył się po asfalcie, stając po chwili na ugiętych nogach. W tym samym momencie usłyszał ryk cadillaca, który wjechał na ulicę, tym samym odsłaniając go. Dał nura w stronę zamykających się drzwi garażu i schował się pod boczną ścianą, mając nadzieję, że nie został zauważony.

Wyrzał na zewnątrz, ale nie dostrzegł w samochodzie żadnego ruchu.

Chyba się udało.

W windzie obok klawiszy z oznaczeniami pięter były wypisane numery mieszkań. Wjechał na drugie piętro, podszedł do drzwi Csaby i miał już nacisnąć dzwonek, gdy nagle zauważył wizjer. Cofnął się, spojrzał w górę, a potem zdjął but i stłukł kilka żarówek w korytarzu, który zaraz pograżył się w ciemności. Włożył z powrotem but i wcisnął dzwonek, który odezwał się melodyjnie. Po chwili rozległ się odgłos kroków i Matt zauważył w szparze pod drzwiami cień.

- Kto tam? - Był to ten sam lekko napięty głos co na automatycznej sekretarce.

Matt nie spuszczał z oka windy, gotów do natychmiastowej reakcji.

- Jestem przyjacielem Vince'a. Vincea Bellingera.

Usłyszał szuranie za drzwiami - widać Csaba stanął tuż przy nich, próbując przyjrzeć się gościowi przez wizjer, co biorąc pod uwagę panujące ciemności, nie było najłatwiejszym zadaniem.

- Przyjaciel Vince'a? - wyjąkał głos Csaby. - Czego... Czego chcesz?

Matt starał się, by jego głos był szczerzy i łagodny, ale zarazem stanowczy.

- Musimy pogadać. Coś mu się przydarzyło.

Nastąpiła chwila milczenia, potem dało się słyszeć znowu szuranie i wreszcie Csaba zawołał:

- Człowieku, Vince nie żyje!

Mówił z wyraźną powściągliwością.

- Wiem. Możesz otworzyć drzwi? Pogadamy normalnie.

Matt odniósł wrażenie, że Csabę ściska za gardło śmiertelny strach.

- Posłuchaj, nie chcę. <. Vince nie żyje, został zamordowany i nie mam pojęcia, czego ode mnie chcesz, ale...

- To ty posłuchaj - przerwał mu obcesowo Matt. - Ci sami goście, którzy go zabili, parkują teraz przed twoim budynkiem. Podsluchiwali twoje wczorajsze rozmowy telefoniczne, wiedzą, o czym gadaliście, a Vince zginął z tego właśnie powodu. Jeśli więc chcesz, żebym ci pomógł, jeśli nie chcesz skończyć jak on, otwórz te cholerne drzwi.

Przez chwilę w powietrzu wisiała pełna napięcia cisza, a potem Csaba najwyraźniej podjął decyzję, bo zamek szczęknął i drzwi się uchyliły. W szparze między nimi a framugą pojawiła się duża chłopcęca twarz, otoczona grzywą kudłatych włosów. Nagle Csaba spojrzał Mattowi w twarz i w jego oczach zamigotała panika.

- O kurwa! - zaklął, próbując zamknąć drzwi.

Matt zdążył już jednak wetknąć but w szparę. Pchnął drzwi i wpadł do środka. Zamknął je za sobą, ruszając za wycofującym się w stronę pokoju Csabą. Grubas uniósł ramiona w obronnym geście, potykając się i próbując trzymać jak najdalej od Matta.

- Nie rób mi krzywdy, proszę, nie zabijaj mnie. Nic nie wiem, przysięgam! - wyjąkał, wymachując rozpaczliwie rękami.

- Co?

- Nie zabijaj mnie, człowieku! Ja nic nie wiem!

- Uspokój się! - warknął Matt. - Nie przyszedłem cię zabfl:.

Csaba zamilkł i wbił w niego przerażony wzrok. Na jego twarzy pojawiły się krople potu. Matt przyglądał mu się przez krótką chwilę - po czym jego uwagę odciągnął obraz na ekranie telewizora za gospodarzem.

Grubas zauważył nagle wahanie Matta i przesunął się niechętnie, odsłaniając telewizor. Był nastawiony na jeden z dwudziestoczworgodzinnych kanałów informacyjnych i

na jego ekranie widać było ten sam znak co wcześniej, choć był to już inny materiał. Podpis u spodu ekranu obwieszczał: „Drugie niewyjaśnione zjawisko, tym razem nad Grenlandią”.

Matt przybliżył się odrobinę do ekranu i zmieszany zmarszczył czoło.

- To nie ten sam co przedtem?

Minęła sekunda, zanim Csaba zorientował się, że pytanie jest skierowane do niego.

- Nie - wyjąkał. - Tym razem pojawił się nad Arktyką.

Matt spojrział na Csabę, niczego nie rozumiejąc. Najwyraźniej miał to wypisane na twarzy, bo grubas nagle zaczął kręcić gwałtownie głową.

- Co? - warknął wściekle Matt.

- Nie zabijaj mnie, stary. Serio. Matt czegoś nie rozumiał.

- Przestań to powtarzać, dobra? Co z tobą?

Csaba zawahał się, a potem, jakby wbrew sobie, powiedział głuchym głosem:

- Wiem, że zabiłeś Vincea. - Co?

Grubas zaczął machać rękami.

- Twoja twarz, stary. Pokazali ją w wiadomościach. Matt poczuł, że drętwieje.

- Moja twarz?

Csaba skinął głową, nadal sparaliżowany strachem.

- Pokaż mi - rozkazał Matt.

ROZDZIAŁ 28

Kair, Egipt

Gracie zauważyła mężczyznę w czarnej sutannie i z zaniepokojonym wyrazem twarzy, usiłującego przyciągnąć jej uwagę w tłumie ludzi tłoczących się przy szybie hali przylotów międzynarodowego lotniska w Kairze. Podchwyciła wzrok brata Amina i pomachała mu niepewnie, co mnich odwzajemnił dyskretnym, powściągliwym ruchem ręki, po czym zaczął się przepychać przez tłum na spotkanie z dziennikarką.

Mieli za sobą koszmarnie długą podróż. Śmigłowiec wysadził ich na stacji Rothera, skąd samolotem DASH-7 poleciecieli na wojskowe lotnisko Mount Pleasant na Falklandach. Tam z kolei weszli na pokład starego tristara RAFu, który świadczył teraz komercyjne usługi, przewożąc pasażerów na lotnisko Wideawake na Wyspie Wniebowstąpienia i dalej do bazy RAFu w Brize Norton. Stamtąd taksówką dostali się na Heathrow, gdzie przesiedli się na samolot linii EgyptAir.

Na Wyspie Wniebowstąpienia zrobiło się trochę gorąco: ledwo udało im się uskoczyć i uniknąć zderzenia z brytyjską ekipą filmową zmierzającą w przeciwnym kierunku. Wykorzystali podróż, by przeczytać jak najwięcej na temat religii koptyjskiej i historii klasztoru. Znalazłszy się z powrotem w krainie objętej zasięgiem GSM, na każdym przystanku sprawdzali wiadomości w telefonach, ale nie odpowiadali na żadną z nich. W Waszyngtonie nikt z wyjątkiem Ogilvyego, dyrektora naczelnego sieci ds. kanałów informacyjnych, nie wiedział, że opuścili Antarktydę - nawet Roxberry, kuzdumieniu Gracie, Daltona i Fincha - nikt też nie znał celu ich wyprawy. Gracie i Ogilvy zdawali sobie doskonale sprawę, jak wilcze metody stosują wobec siebie ich koledzy i konkurenci. Musieli zaciekle bronić swojej wyłączności przed resztą watahy.

Nowy terminal - lśniący nowoczesny budynek ze stali i szkła - zdziwił Gracie, która nie spodziewała się, że zostanie tak sprawnie obsłużona: mimo że Egipt bił na głowę wszystkie kraje regionu pod względem niefrasobliwości urzędników, tym razem nie spotkały ich żadne opóźnienia. Kolejka do kontroli paszportowej posuwała się szybko i sprawnie. Bagaż pojawił się na „karuzeli” niemal w tym samym momencie co oni. Jeszcze bardziej zdziwiło ją, że pasażerowie przestrzegali wprowadzonego niedawno na lotnisku zakazu palenia, co było niebanalnym osiągnięciem w kraju, gdzie przepisy prawa zwykło się ignorować i gdzie ponad połowa męskiej populacji pali praktycznie od kołyski.

Gracie, Dalton i Finch wiedzieli już o nowym zjawisku, które pojawiło się nad Grenlandią. Jak tylko boeing wylądował, ich telefony niemal jednocześnie rozbrzmiały pilnymi wiadomościami od redakcji informacyjnej i z innych źródeł. Elektryzujące wieści sprawiły, że natychmiast wyparowało z nich zmęczenie, i dodały im na nowo energii. Siedzieli na tylnej kanapie toyoty Jusufa, przebijającej się w kierunku miasta przez poranne korki, i zasypywali biednego brata Amina pytaniami.

Powiedział im, że również widział to drugie zjawisko w wiadomościach, i potwierdził, że jego zdaniem wygląda identycznie jak to, które sami obserwowali nad lodowcem szelfowym, oraz jak symbole pokrywające ściany jaskini ojca Jerome. Te, które zaczął rysować przed siedmioma miesiącami.

Gracie była już pewna, że słuchając mnicha i udając się do Egiptu, podjęła właściwą decyzję. Mimo że przez ostatnie kilkadziesiąt godzin skakała po kontynentach niczym konik polny, co było dosyć uciążliwe, nie potrafiła sobie przypomnieć, kiedy ostatnio do tego stopnia przepelniała ją energia. Owo rzadkie, choć upragnione uczucie - dreszczyk wywołany świadomością, że ma na wyłączność sensacyjny temat - tym razem było jeszcze bardziej upajające niż zawsze, do czego przyczyniła się sama skala i doniosłość wydarzeń. Mimo to

cisnęło jej się na usta mnóstwo pytań, które domagały się natychmiastowej odpowiedzi. Pierwsze z nich dotyczyło osoby, z powodu której pojawili się w Egipcie.

- Po pierwsze, jak i dlaczego znalazł się tutaj? - zapytała mnicha.

Brat Amin się zawahał.

- Prawdę mówiąc - skrzywił się - nie jesteśmy pewni.

Gracie i Finch wymienili zdziwione spojrzenia.

- Pracował w Sudanie, prawda? - zapytał Finch.

- Owszem. Jak pewnie państwo wiedzą, przez ostatnie kilka lat ojciec Jerome bardzo przejmował się tym, co się dzieje w Darfurze. Na początku roku otworzył w Sudanie, niedaleko granicy z Egiptem, kolejny sierociniec, swój czwarty. A potem, no cóż... Sam tego do końca nie rozumie. Pewnej nocy opuścił przytułek, sam, pieszo, bez rzeczy osobistych, bez prowiantu czy wody. Zwyczajnie wyszedł na pustynię.

- Tak po prostu? Przecież był chory, prawda? Czyjego współpracownicy nie obawiali się, że został porwany lub zabity? Bardzo krytycznie wypowiadał się na temat tamtejszych dowódców bojówek - zauważyła Gracie. - Byłby dla nich niezłym trofeum.

- Walki, masakry w Darfurze... Rzeczywiście, bardzo to przeżywał. Osłabiło go to i poważnie zachorował. Cud, że przeżył. - Mnich skinął sam do siebie głową, a w jego głosie na samo wspomnienie tamtych dni pojawił się smutek. - Tej nocy, gdy wyszedł na pustynię, powiedział swoim współpracownikom, że musi się oddalić na chwilę... żeby „znaleźć Boga”. To jego słowa. Powiedział, że może nie wracać przez jakiś czas, i poprosił ich, by kontynuowali jego dzieło w czasie jego nieobecności. A potem wyszedł. Pięć miesięcy później grupka beduinów znalazła go leżącego na pustyni, kilka kilometrów na południe stąd. Miał na sobie podartą i brudną szatę, a podeszwy jego stóp były popękane i zrogowaciałe. Majaczył, nie wiedział, gdzie jest, był ledwo żywy. Nie miał przy sobie wody ani żywności, a mimo to... Wygląda na tOs że przemierzył pustynię. Sam. Pieszo.

Gracie zaświeciły się oczy; pojawiło się w nich zdumienie.

- Ale stąd jest jakieś osiemset, tysiąc kilometrów do granicy, prawda?

- Owszem - potwierdził irytująco spokojnym głosem brat Amin.

- Przecież nie mógł... nie w tych warunkach. - Gracie miała problem z doбором słów.

- Tam nie ma niczego oprócz pustyni. Już samo słońce, jego skóra... Miał oparzenia słoneczne? Jak udało mu się przeżyć?

Mnich odwrócił w pytającym geście dłoń i spojrział na nią, a na jego twarzy malowała się taka sama konsternacja jak u niej, ale nie powiedział nic.

Gracie rozpaczliwie usiłowała nadać opisywanym wydarzeniom jakiś sens. Możliwe, że... być może... Niestety, w opowieści mnicha było zbyt wiele niewiadomych.

- A jak sam ojciec Jerome opisywał swoje losy? Nie twierdzi chyba, że całą drogę z Sudanu pokonał pieszo, prawda?

- Nie pamięta, co się stało - wyjaśnił mnich. Uniósł palec oraz brwi i zaczął mówić nieco uszczypliwym tonem. - Wierzy za to, że było mu pisane przyjść do nas, do naszego klasztoru, do naszej jaskini. Wierzy, że to jego powołanie. Część Boskiego planu. - Brat Amin przerwał, miał skruszony wyraz twarzy. - Nie powinienem się wypowiadać w jego imieniu - dodał. - Możecie go sami zapytać, jak go spotkacie.

Gracie spojrzała ukradkiem na Fincha. Producent przechylił nieco głowę, dyskretnie sygnalizując w ten sposób zdumienie.

- A co z tymi dokumentalistami? - zapytała. - Niech nam brat o nich opowie.

- Co chcieliby państwo wiedzieć?

- Jak to wyglądało? Był tam brat, spotkał się tymi ludźmi?

Brat Amin wzruszył ramionami.

- Nie ma zbyt wiele do opowiadania. Skontaktowali się z nami. Twierdzili, że kręcą dokument, że słyszeli o przenosinach ojca Jerome do jaskini, że mogą przyjechać i go sfilmować. Opat odniósł się do tego dosyć niechętnie, podobnie zresztą jak my wszyscy. To nie leży w naszej naturze, nie jesteśmy do tego przyzwyczajeni. Ale oni pracowali dla szanowanego kanału, byli bardzo uprzejmi i nie przestawali prosić, nalegać. W końcu się zgodziliśmy.

- Całe szczęście - odezwał się Finch. - Gdyby nie oni, nie przylecielibyśmy tutaj.

- No nie wiem - odparł brat Amin, a w jego oczach zamigotało rozbawienie. - Niezbadane są ścieżki Pana. Pewnie znalazłby inny sposób, żeby was tutaj ściągnąć, prawda?

ROZDZIAŁ 29

Cambridge, Massachusetts

Csaba zawahał się, ale po chwili, ani na moment nie odwracając się do Matta plecami, podszedł do biurka. Było ono zavalone stosami czasopism i wydruków. Chybotwały się na nich, niczym kartonowe wertownie, kubki po kawie. Najwyraźniej Csaba i Bellinger nie stanowili pary bliźniąt nie tylko pod względem wyglądu. Nad całym tym bajzłem dominował duży płaski monitor Apple. Na nim również widać było światło nad lodowcem szelfowym. Csaba przeniósł szybko wzrok z Matta na bezprzewodową klawiaturę, nacisnął kilka klawiszy

i wszedł na inną stronę internetową. Spojrzał na swojego gościa z wyrazem zażenowania i przerażenia na twarzy.

Matt podszedł do niego. Na ekranie pojawiło się doniesienie prasowe, krótki raport ze śledztwa. W alejce w pobliżu baru zostało odnalezione ciało Bellingera. Tekst zdobyły dwa czarnobiałe zdjęcia z kamery zamontowanej we wnętrzu knajpy. Na pierwszym, szerokim ujęciu Matt szarpał się z Vinceem. Na drugim widać było zbliżenie twarzy Matta, wycięte z innego kadru.

Nietrudno go było na nim rozpoznać.

Łapczywie pożerał wzrokiem artykuł. Nie znalazł w nim swojego nazwiska, ale wiedział, że to tylko kwestia czasu. Autor tekstu wspominał o kilku świadkach, w tym „anonimowej kobiecie”, która twierdziła, że stała przed barem, gdy wybiegł z niego Matt, ścigając po ulicy Bellingera.

Nie było to prawdą. Bandyty złapali ich przecież tuż przy drzwiach knajpy. Matt zmarszczył brwi i przypomniał sobie kobietę z furgonetki. Zapamiętał jej profil, podświetlony ulicznymi latarniami, włosy długie do ramion, okalające jej twarz. Był pewien, że to ona. Wyobraził sobie, jak na miejsce docierają policjanci z nakazem rewizji w rękę. Jak znajdują broń mordercy, którą dziewczyna i jej kumple pewnie tam podrzucili.

Zauważył, że Csaba nerwowo mu się przygląda.

- Wiem, na co to wygląda - powiedział Matt - ale to nie było tak. Ci goście przyszli po Vince'a z powodu tego czegoś, co pojawiło się nad Antarktydą. - Wskazał wściekłym gestem ekran telewizora. - Podejrzewał, że mój brat mógł zostać zamordowany z tego powodu. To oni zabili Vincea. Nie ja. Musisz mi uwierzyć.

Sądząc z rozbieganych oczu Csaby, było to jednak dla niego zadanie ponad siły.

- Ty i Vince. - Matt postanowił spróbować od innej strony. - Rozmawialiście o tym, prawda? Zanim się rozłączył.

Csaba z ociąganiem skinął głową.

Póki co Mattowi musiało to wystarczyć.

- Musisz mi opowiedzieć, o czym rozmawialiście, ale to może poczekać. Ci goście są na zewnątrz. Musimy spadać.

- „My”? - Csaba wzdrygnął się, po czym sięgnął po telefon. - Stary, nigdzie nie idę. Ty rób sobie, co chcesz. Ja dzwonię po gliny i...

- Nie mamy na to czasu! - wybuchnął Matt. Wyrwał mu słuchawkę i z hukiem odłożył ją na widełki. - Oni są tutaj. Teraz. Ponieważ uciąłeś sobie pogawędkę z Vinceem. Powtórka z rozrywki. Jeżeli chcesz więc pożyć jeszcze dzień lub dwa, to lepiej zaufaj mi i chodź ze mną.

Przeszył go śmiertelnie poważnym wzrokiem.

Csaba zawahał się i spojrzał Mattowi w oczy, dysząc ciężko w przyspieszonym tempie. W końcu skinął głową.

- Masz samochód?

- Nie.

- Nie szkodzi. Idziemy.

Matt pobiegł w stronę drzwi.

- Zaczekaj! - zawołał Csaba, unosząc dłoń.

Podniósł z podłogi plecak i zaczął wrzucać do niego różne rzeczy.

- Musimy uciekać! - nalegał Matt.

- Sekundkę - odparł Csaba.

Wcisnął do środka macbooka, ładowarkę i iphona, po czym po raz ostatni obrzucił spojrzeniem mieszkanie i dołączył przy drzwiach do Matta.

Gdy ten zobaczył telefon, nagle coś przyszło mu do głowy.

- Komórka - powiedział. - Wyłącz ją.

- Dlaczego?

- Mogą cię dzięki niej namierzyć. Powinieneś o tym wiedzieć.

Csaba otworzył nieco usta. A potem zrozumiał.

- Jasne, racja - rzekł, ciągle oszołomiony. Powtarzając co chwila: „Racja, racja”, wyłowił telefon i wyłączył go.

Matt po raz ostatni spojrzał na monitor, na którym ciągle widać było oślepiający znak. Wydawało się, że śmieje mu się prosto w oczy. Sekundę później wybiegł z mieszkania, ciągnąc za sobą Csabę.

Zjechali windą do garażu. Stało w nim kilkanaście samochodów. Matt rozejrzał się, niezbyt zachwycony asortymentem. Stwierdził, że sąsiedzi Csaby, z chwalebny wyjątkiem w postaci właściciela escaladea, mają dziwną słabość do toyoty prius i japońskich kompaktów. Jego wzrok przyciągnęła nieco bardziej napakowana toyota RAV4, która miała tę dodatkową zaletę, że z pewnością nie mogła oprzeć się jego zalotom.

Działął szybko. Oderwał od ściany gaśnicę, rozbił nią szybę od strony kierowcy i otworzył drzwi.

- Wsiadaj! - rozkazał Csabie, dłonią strzepując z siedzenia drobinki szkła.

Grubasowi opadła szczęką. Stał jak wryty.

- To samochód pani Jorris! - jęknął żałośnie. - Stary, kobiecina naprawdę się wkurzy:

Uwielbia ten wóz.

- To tylko okno. Do środka!

Csaba potrzebował chwili, żeby dać wreszcie spokój i usadowić się na fotelu pasażera; Matt w tym czasie podniósł maskę, wyrwał z modułu przekaźników bezpiecznik i uruchomił silnik. Wskoczył za kierownicę, wrzucił jedynkę i z piskiem opon ruszył w stronę drzwi garażu. Niewidzialny czujnik natychmiast wysłał do nich sygnał. Otwierające się drzwi odsłoniły widok na podjazd - pusty, zakręcający nieco w lewo i przytulający się do budynku.

- Zapnij pas! - polecił Matt.

Csaba zgromił go wzrokiem, a potem spojrzał cierpko na swój brzuch. Klamra pasa ginęła gdzieś w niebycie w okolicy jego opasłego uda.

- A pomożesz mi?

- Może lepiej nie - odparł Matt, wykrzywiając usta w ironicznym półuśmiechu. - Trzymaj się.

Gdy drzwi garażu uniosły się na tyle, by ich przepuścić, z całej siły zacisnął palce na kierownicy. Podjechał do podjazdu, najpierw powoli - nie miało sensu wcześniej niż to konieczne ujawniać zabójcom swej obecności. Wiedział, że i tak go zobaczą - i zobaczyli, w chwili gdy niewielki SUV odkleił się od ściany budynku.

Matt uniósł stopę nad pedałem gazu i podchwycił wzrok obu zaskoczonych mężczyzn gapiących się na niego z chryslera. Starał się, na ile było to możliwe w ciągu ułamka sekundy, zapamiętać ich rysy twarzy. Rozegrał już wszystko w głowie. Błyskawiczny wypad ukośnie na ulicę, prosto na siedzących w samochodzie bandytów, lewy przedni zderzak toyoty wycelowany w obręcz prawego przedniego koła chryslera, uderzenie w nią pod lekkim kątem z odpowiednią siłą, by unieruchomić wóz, tak by jego własny, wprowadzie poobijany, był jednak ciągle na chodzie. Było to ryzykowne posunięcie, wymagające od niego w dodatku sporego poświęcenia. Wiedział, że straci przewagę w postaci urządzenia naprowadzającego, ponieważ zbiry będą musiały zmienić wóz, ale nie miał wyboru. Toyota nie była żadnym przeciwnikiem dla chryslera. Nie udałoby mu się ich zgubić.

Miał już wcisnąć pedał gazu, gdy nagle wyczuł z prawej jakiś ruch. Oderwał wzrok od chryslera i zauważył samochód nadjeżdżający w jego stronę. Przyszedł mu do głowy pewien pomysł. Zaczekał sekundę czy dwie, aż pojazd podjedzie trochę bliżej. Csaba gapił się na niego, nie rozumiejąc, dlaczego zwleka, i burknął nawet pod nosem: „Stary, gazu!”. Również na twarzach zabójców pojawił się wyraz konsternacji - nie mieli pojęcia, dlaczego stoi w miejscu, a przecież aż palili się, by rzucić się za nim w pościg, pewnie już wyciągali pistolety z kabur, ładowali naboje do komór i...

Gdy nadjeżdżający samochód znalazł się na jego poziomie, Matt wcisnął do oporu pedał gazu i wyskoczył na ulicę, zagradzając mu drogę. Wóz, ciężki stary caprise, pamiętający dawno minione czasy taniego paliwa i błogiej niefrasobliwości w temacie niszczenia planety, zahaczył o toyotę i odbił się od niej, a jego kierowca - nerwowy wieśniak z kucykiem i w okularach w rogowej oprawce - chcąc uniknąć kraksy, skręcił gwałtownie na przeciwległy pas, zatrzymując się z piskiem opon niemal dokładnie przy chryslerze. Matt wcisnął gaz i pomknął ulicą w kierunku wyznaczanym przez tylne lampy wozu zabójców. Obserwował we wstecznym lusterku, jak nieszczęsny kierowca caprisea wyskakuje z samochodu i wrzeszczy za nim bezgłośnie oraz jak zabójcy wysiadają z chryslera, krzycząc na biedaka, by ruszył się z miejsca i umożliwił im podjęcie pościgu.

Skręcił z piskiem opon w pierwszą lepszą ulicę i pomknął przed siebie. Po chwili wjechał w kolejną boczną dróżkę, a potem w następną, zmieniając często kierunek jazdy, byle jak najdalej od Cambridge. Starał się jak najszybciej dojechać do drogi ekspresowej. Nie odrywał wzroku od lusterka, w którym spodziewał się zobaczyć (j)hryslera.

Na szczęście niczego nie zobaczył.

Odrpężył się trochę i zwolnił, kierując się na północ w stronę rogatek miasta. Oddalał się coraz bardziej od ulic, które zdaje się, próbowały go usidlić, złapać w swoje szpony.

Spojrzał na Csabę. Jego okrągła, złana potem twarz ciągle była zarumieniona, ale najwyraźniej jemu również trochę ulżyło, co potwierdził, sztywno kiwnąwszy głową. Po chwili pokręcił nią nieznacznie i rzekł:

- Jak pani Jorris to zobaczy, zawał murowany.

- Jak właściwie wymawia się twoje imię? - zapytał go Matt.

-,Czaba". Ale możesz mówić do mnie „Jabba” - odparł bez cienia irytacji w głosie. -

Wszyscy tak mówią.

- Naprawdę? - zdziwił się Matt.

Jabba skinął głową.

- Jasne.

- I nie przeszkadza ci to?

Na twarzy Jabby pojawił się wyraz niefrasobliwego, poufałego zdumienia.

- A powinno?

Matt zastanawiał się przez sekundę, po czym wzruszył ramionami.

- W takim razie, niech będzie. Pozbądźmy się tego wozu i znajdźmy jakieś bezpieczne schronienie, gdzieś, gdzie nas nie znajdą. Potem opowiesz mi dokładnie, o czym rozmawialiście z Vinceem. Może zrozumieć dzięki temu, co tu się, do jasnej cholery, dzieje.

ROZDZIAŁ 30

Klasztor asSurjani, Wadi anNatrun, Egipt

Wkrótce toyota previa zostawiła za sobą pustynię i w żółwym tempie zaczęła się przebijać przez korki przed Kairem. W żaden sposób nie mogli ominąć rozrastającego się miasta: lotnisko leżało na wschód od niego, a Wadi anNatrun - na północny zachód. Zbliżał się wieczór i słabnące światło słoneczne z coraz większym trudem przebijało się przez mgiełkę spalin i kurzu, dławiących przeludnioną, zaniedbaną metropolię.

- Czy on już wie, co się dzieje? - zapytała brata Amina Gracie. - Powiedzieliście mu o znaku?

- Nie - przyznał ze smutkiem mnich. - Jeszcze nie. - Spojrzał na nią zaniepokojony i w jego oczach wyczytała, że chodzi o coś, co dotyczy jej samej. - Właściwie nie wie nawet, że przyjeżdżacie. Opat też nie.

Gracie miała już go poprosić, żeby to wyjaśnił, mnich zdołał ją jednak ubiec.

- Opat nie wie, co robić. Nie chce, by dowiedział się o tym zewnętrzny świat.

- Ale brat chce - zasugerował Finch.

Zakonnik skinął głową.

- - Na naszych oczach dzieje się cud. Nie możemy go zataić. Nie należy do nas.

Gracie spojrzała na Fincha. Bywali już w takich sytuacjach: nieproszeni goście udający się do ogarniętych konfliktami zakątków świata, żeby przepytować niechętnych rozmówców, ludzi, którym instynkt każe unikać badawczych spojrzeń osób z zewnątrz. Czasem udawało im się do nich dotrzeć; innym razem odbijali się od nich jak od ściany. W tym jednak wypadku nie mogli do tego dopuścić. Nie przelecieli połowy globu, żeby odejść z pustymi rękami. Zwłaszcza że cały świat czekał na wyjaśnienie.

Kiedy na horyzoncie pojawiły się wierzchołki piramid w Gizie, Gracie domyśliła się, że w końcu zostawili za sobą miasto. Oglądała te budowle już wcześniej, ale ich widok zawsze (wywoływał w niej podziw, podobnie jak w nawet najbardziej zblazowanych turystach. Tym razem poruszyły ją na inny niż zazwyczaj sposób: kamienne ostrosłupy, wyrastające wprost z piasku, skojarzyły jej się z nunatakami - skalistymi graniami, wznoszącymi się nad zaśnieżonym krajobrazem - które zaledwie kilkanaście godzin wcześniej podziwiała przez okno helikoptera. Hałaśliwe, chaotyczne ulice Kairu wkrótce ustąpiły miejsca zaspanym, rozproszonym domkom miasteczka Bir Hooker, za którym

rozcigała się już tylko pustynia i klasztory. Stracili sygnał w komórkach. Mnich poinformował ich, że od tej chwili będą musieli ograniczyć się do telefonów satelitarnych.

Już kiedy rozmawiali po raz pierwszy, Gracie nie potrafiła rozpoznać jego akcentu.

- Tak przy okazji, skąd brat pochodzi? - zapytała.

- Z Chorwacji - wyjaśnił. - Urodziłem się w małym miasteczku na północy, niedaleko włoskiej granicy.

- W takim razie jest brat zapewne rzymskim katolikiem.

- Oczywiście - potwierdził.

- I Amin nie jest prawdziwym imieniem brata.

- Pod takim się nie urodziłem - poprawił ją, uśmiechnąwszy się ciepło. - Zanim tutaj dotarłem, nazywano mnie ojcem Dario. W klasztorze wszyscy przyjmujemy koptyjskie imiona. To taka tradycja.

- Ale Kościół koptyjski należy do prawosławnych - dopytywała dalej. Na długo przed protestancką reformacją w XVI wieku światem chrześcijańskim wstrząsnął inny podział, wielka schizma z XI wieku. Niemal od czasów Chrystusa Rzym rywalizował ze swoimi odpowiednikami na Wschodzie, Aleksandrią i Antiochią, prowadząc z tymi ośrodkami gorące dysputy teologiczne. Drobnie początkowo sprzeczki doprowadziły w 4 roku do podziału chrześcijaństwa na dwie części: wschodnią, Kościół prawosławny czy ortodoksyjny, oraz zachodnią, rzymskokatolicki. Greckie słowo orthodox oznacza dosłownie „prawidłowo wierzącego”, co w dużym stopniu podsumowuje przekonanie wschodniego Kościoła, że to on jest prawdziwym stróżem płomienia wiary, że to jego wyznawcy podążają za autentyczną, nieprzekłamaną tradycją i naukami przekazanymi przez Jezusa i Jego apostołów.

- Prawosławnych, owszem, ale nie obrządku wschodniego - dookreślił mnich. Zdziwiony wyraz twarzy Gracie najwyraźniej nie był dla niego niespodzianką. Pewnie nie po raz pierwszy spotykał się z taką reakcją. - To długa historia. Kościół koptyjski jest najstarszy na świecie, bardziej prawosławny niż Cerkiew prawosławna. Założył go święty Marek Apostoł w połowie pierwszego wieku, niecałe dziesięć lat po śmierci Jezusa. Ale tak naprawdę nie ma to znaczenia. Ostatecznie wszyscy chrześcijanie są wyznawcami Chrystusa. I tylko to się liczy. W tutejszych klasztorach nie uznaje się różnic między nimi. Przyjmujemy z otwartymi rękami wszystkich. W końcu ojciec Jerome też jest katolikiem - przypomniał.

Wkrótce minęli pobliski klasztor Świętego Biszoja i przed oczami, na końcu zakurzonej, nieoświetlonej drogi, zamajaczył im Dajr asSurjani. Wyglądał jak arka dryfująca po morzu piasku - co zresztą mnisi uznawali za nieprzypadkowe skojarzenie, ponieważ wierzyli, że został on zaprojektowany na podobieństwo arki Noego. Gdy busik zbliżył się do

monasteru, podróżni mogli zacząć podziwiać szczegóły: dwie wysokie dzwonnice; sześcienna, przysadzista trzypiętrowa warownia - kasr - strzegąca bramy wjazdowej; niewielkie kopulaste budowle z ogromnymi krzyżami, rozrzucone nieregularnie wokół różnych kaplic i budynków należących do kompleksu otoczonego dziesięciometrowym murem.

Wysiedli z busiku i brat Amin poprowadził ich obok warowni na wewnętrzny dziedziniec, o tej porze zupełnie opustoszały. Wydawał się całkiem obszerny. Gracie zauważyła, że długością i szerokością przypomina boisko do piłki nożnej i że jest równie płaski. Każda zewnętrzna płaszczyzna, czy to murów, czy sarnych budynków, pokryta została glinianowapienną, suszoną na słońcu cegłą tego samego koloru, przyjemnego, piaskowego beżu, a krawędzie budowli były zaokrąglone, miękkie i naturalne. W murach warowni w miejscu okien znajdowały się nieregularne otwory - chodziło o to, żeby upał nie przedostawał się do środka - urozmaicone od czasu do czasu prowadzącymi we wszystkie strony wąskimi schodami. Słońce właśnie zachodziło i pomarańczowa łuna jego światła dodawała klasztorowi ponadziemskiego blasku, pozostającego w ostrym kontraście do zimnego, ponurego krajobrazu lodowego kontynentu, którego chłód Gracie ciągle jeszcze czuła w kościach. Odniosła wrażenie, że nie tyle przeniosła się z kontynentu na kontynent, co zawędrowała na samą planetę Tatoonie.

Gdy zbliżali się do wejścia do biblioteki, z budynku wyszedł mnich. Zatrzymał się na ich widok i spojrzał na nich najpierw z zaciekawieniem, a potem ze srogim wyrazem twarzy. Gracie domyśliła się, że to opat.

- Zaczekajcie tutaj, proszę - powiedział brat Amin. Zatrzymali się, a on podszedł do wyraźnie zagniewanego opata. Gracie spojrzała znacząco na Fincha: „Zaczyna się”. Przyglądali się gorączkowej dyskusji mnichów, starając się nie wyglądać na zbyt zainteresowanych.

Po chwili brat Amin wrócił do nich z opatem. Starszy zakonnik najwyraźniej nie był zachwycony z powodu ich obecności i nawet nie starał się tego ukryć.

- Biskup Cyryl, opat klasztoru - przedstawił się z kwaśną miną. - Obawiam się, że brat Amin przekroczył swoje kompetencje, zapraszając tutaj państwa.

Nie podał im dłoni.

- Ojciec - przemówił Finch - proszę przyjąć nasze najszczerze przeprosiny, że przybywamy tutaj w ten sposób. Kiedy zdecydowaliśmy się na podróż, nie wiedzieliśmy o... - przerwał, próbując znaleźć najbardziej dyplomatyczne określenie sytuacji -...wewnętrznej debacie, jaką toczycie odnośnie do naszego pobytu. Z pewnością nie chcieliśmy wam

przysparzać kłopotów ani w jakikolwiek sposób się narzucać. Jeżeli nie życzyacie sobie, żebyśmy tutaj zostali, niech ojciec powie tylko słowo, a wrócimy do domu i nikt się o niczym nie dowie. Proszę jednak, by ojciec uwzględnił dwa fakty. Po pierwsze, nikomu nie mówiliśmy o naszej wyprawie. Wie o niej tylko jedna osoba w naszej centrali, nasz szef, i nikt poza nim. Nie musi się zatem ojciec obawiać, że z naszego powodu nagle rozpęta się tutaj jakaś medialna awantura, a klasztor zamieni się w cyrk. Nie dopuścimy do tego.

Przerwał znowu, chcąc sprawdzić, czy jego słowa wywarły na zakonniku jakiegokolwiek wrażenie. Nie był pewien, czy tak się stało, ale z pewnością opat odrobinę się rozchmurzył.

- Po drugie - kontynuował - przyjechaliśmy tutaj wyłącznie po to, by pomóc ojcu oraz ojcu Jerome w zrozumieniu niezwykłych wydarzeń, jakich jesteśmy obecnie świadkami. Sami próbujemy je pojąć. Jak przypuszczam, wie ojciec, że tam byliśmy. Na Antarktydzie. Widzieliśmy to na własne oczy. I zjawiliśmy się tutaj przede wszystkim jako eksperci, świadkowie. Niczego nie wyemitujemy bez waszej zgody. Dopóki nie zdecydujecie inaczej, to, co zobaczymy tutaj i o czym będziemy rozmawiali, pozostanie między nami.

Opat przyjrzał mu się, potem spojrzął na Gracie i Daltona, zgromił niezadowolonym wzrokiem brata Amina i wreszcie skupił się znowu na Finchu. Po krótkiej chwili skinął powoli głową, tak jakby wydał właśnie wyrok, po czym powiedział:

- Chcecie pewnie rozmawiać z ojcem Jerome.

- Owszem - odparł Finch. - Opowiemy mu, co widzieliśmy. Pokażemy mu to, co sfilmowaliśmy. I może on dostrzeże w tym jakiś sens.

Opat ponownie skinął głową.

- Bardzo dobrze - rzekł i unióśł palec wskazujący. - Ale mam wasze słowo, że dopóki nie udzielę wam zgody, zachowacie wszystko w tajemnicy?

- Ma ojciec moje słowo - uśmiechnął się Finch.

Opat jeszcze przez chwilę wpatrywał się w niego uważnie, po czym dodał:

- Chodźmy.

Zaprosił ich do najnowszego z budynków klasztornej kompleksu, otynkowanego, dwupiętrowego domku, postawionego w latach siedemdziesiątych ubiegłego wieku. Finch i Gracie poszli za nim, a Dalton ruszył pędem przez dziedziniec. Brat Amin ostrzegł ich, że w klasztorze nie ma telewizora, a przecież nie mogli się już doczekać, żeby zobaczyć materiał z Arktyki i poznać światowe reakcje na niego.

Gracie i Finch z wdzięcznością przyjęli poczęstunek w postaci szklanki wody, plasterka sera i świeżych daktyli, ale ledwie zdążyli wymienić zwyczajowe uprzejmości, gdy w drzwi wetknął głowę Dalton.

- Gotowe!

Wybiegli z domku. Operator podłączył laptopa do składanej anteny satelitarnej i wszedł na stronę internetową swojego macierzystego kanału. Gracie, Finch, opat i mnich stanęli obok, a on puścił im fragment wiadomości poświęcony zjawisku, które pojawiło się nad Grenlandią.

Na ekranie wyświetliła się mapka z lokalizacją zdarzenia, w pobliżu fiordu Carlsbad na wschodnim wybrzeżu Grenlandii, sześćset pięćdziesiąt kilometrów na północ od koła podbiegunowego. Filmik wideo wydawał się osobliwie znajomy. Nie kręciła go jednak profesjonalna ekipa i obraz okazał się bardziej urywany oraz ziarnisty niż ich materiał. Zjawisko udało się sfilmować naukowcom, którzy badali wpływ wód roztopowych na lodowce arktycznej wyspy. Całkowicie ich zaskoczyło, czego efektem było raptowne podniecenie i gorączkowa, chaotyczna reakcja, wyraźnie widoczna na ekranie. Jeden z badaczy, siwobrody glaciolog z Krajowego Centrum Gromadzenia Danych na temat Śniegu i Lodu w Boulder w stanie Kolorado, udzielił później wywiadu na żywo. Jego twarz była mocno spikselowana, a głos urywał się od czasu do czasu - najwyraźniej transmisja odbywała się za pomocą kamery internetowej podłączonej do telefonu satelitarnego.

- Najpierw Antarktyda, a teraz tutaj - zadał pytanie niewidoczny na ekranie prowadzący. - Jak pan sądzi, co się dzieje?

Na emanującej profesjonalizmem twarzy naukowca reakcja pojawiła się z dwusekundowym opóźnieniem.

- Proszę pana, nie jestem... Nie wiem, co to jest ani skąd się wzięło

- odpowiedział szorstko. - Wiem tylko, że to nie może być przypadek, że to... Że ten znak pojawia się nad terenami, których nie da się określić inaczej niż jako miejsca katastrofy. Tamten lodowiec szelfowy na Antarktydzie i lodowiec tutaj to strefy zero. Badam te tereny od ponad dwudziestu lat. - Odwrócił się i machnął rękawicą w stronę rozpościerającej się za nim bieli. - Kiedyś patrzyło się na ten krajobraz i widziało czystą biel. Nic oprócz śniegu i lodu, przez cały rok. A teraz przypomina to raczej kolor niebieski niż biały. Topi się tak szybko, że mamy już tutaj jeziora i rzeki, że woda znajduje dojście do podłoża skalnego i poluzowuje podstawę lodowca, który właśnie zaczął się ześlizgiwać do morza. A jeśli się ześlizgnie

- podkreślił ponurym tonem - to mamy jak w banku globalne podniesienie poziomu morza o metr. Co może uruchomić serię katastrofalnych zmian. Więc pyta mnie pan, co sądzę o tym zjawisku? To przecież oczywiste. Natura zapaliła nam czerwone światło i moim zdaniem powinniśmy zastosować się do tego ostrzeżenia, zanim będzie za późno.

Gracie obserwowała w milczeniu, jak realizatorzy programu przechodzą do montażu reakcji na powtórne pojawienie się znaku. Były to zapierające dech w piersiach obrazy. Ogromny tłum zgromadzony na Times Square, oglądający relację na wielkim ekranie; poniżej napis wielkimi literami opisujący zjawisko. Podobne sceny rozgrywały się w Londynie, Moskwie i innych najważniejszych miastach świata. To, co zasiał znak za pierwszym razem, zgarniano teraz całymi łopatami. Świat stanął w miejscu i patrzył.

Gracie rzuciła okiem na Daltona oraz Fincha i nagle poczuła ukłucie lęku. Działo się coś niepojętego, coś wielkiego, cudownego, niewytłumaczalnego, a zarazem przerażającego - a ona znajdowała się w samym oku cyklonu.

Od ekranu odciągnął ją sygnał telefonu satelitarnego. Dzwonił Ogilvy, ze swojej komórki, dokładnie tak, jak się umówili.

- Włksnie rozmawiałem z Pentagonem - poinformował Gracie. - Dwóch agentów wywiadu wojskowego wylądowało właśnie w McMurdo i stwierdziło, że wyjechałaś z miasta. Trochę się wkurzyli - zachichotał.

Dziennikarka zmarszczyła brwi.

- I co im musiałeś powiedzieć?

- Nic. Ciągłe żyjemy w wolnym kraju. W miarę. Ale szybko dotrą do informacji, że wylądowałaś na lotnisku w Kairze, jeżeli już nie dotarli. A potem... Kto wie. Może powinniście wyłączyć komórki?

- Tu i tak nie ma zasięgu. Ale musimy być w kontakcie. Jesteśmy tu trochę odcięci od świata.

- Sprawdzaj co godzinę telefon satelitarny; wyślę ci wiadomość, jeśli czegoś się dowiem.

Zaimponował Gracie swoją zimną krwią.

- W porządku - potwierdziła. - Na wszelki wypadek podam ci też stacjonarny do klasztoru.

- Świetnie. - Ogilvy nagle spowaźniał. - Spotkałaś się już z nim?

- Nie, dopiero tutaj dotarliśmy.

- Porozmawiaj z ojcem Jerome, Gracie. I to szybko. Cały świat na ciebie patrzy. Musimy zachować pozycję lidera w tym temacie. Jest nasz.

Gracie poczuła ucisk w przetyku. Spojrzała z niepokojem na mnichów, po czym odeszła na bok, odwróciła się do nich plecami.

- Powinniśmy uważać, Hal - powiedziała ściszym głosem. - Zanim coś ogłosimy, musimy przedsięwziąć odpowiednie środki ostrożności.

- Co masz na myśli?

- Przebywamy w kraju muzułmańskim. Nie jestem pewna, czy jego mieszkańcy zareagują radością na coś, co na kilometr pachnie Drugim Przyjściem, zwłaszcza że nie chodzi o ich mesjasza.

- Za pierwszym razem też pojawił się u nich - zauważył cierpko Ogilvy.

- Ha! bądźmy poważni - upomniała go Gracie. - Musimy to rozegrać ostrożnie. Gdybyś nie zauważył, nie jest to najbardziej tolerancyjny region naszej planety. Nie chciałabym narażać ojca Jerome na niebezpieczeństwo.

- Ja też nie chcę nikogo narażać na niebezpieczeństwo - stwierdził Ogilvy dobitniejszym nieco tonem. - Będziemy ostrożni. Po prostu z nim pogadaj. Skup się na tym.

Gracie bynajmniej nie ulżyło.

- Zadzwoń do ciebie jutro, jak już się z nim spotkam - ustąpiła, po czym zamknęła telefon i odwróciła się do opata. Musiała usunąć jeszcze jedną przeszkodę. - Ten film dokumentalny, który nakręcili w jaskini. Możemy go zobaczyć?

- Oczywiście. Dziennikarze wysłali go nam na DVD, ale nie oglądaliśmy go, bo nie mamy tutaj odtwarzacza.

- Możemy go puścić na laptopie - powiedział Dalton, poklepując swój komputer.

Opat kiwnął głową i wyszedł.

Dalton spojrzał z niepokojem na Gracie i Fincha.

- A co, jeśli interesujące nas kadry nie weszły do filmu?

Faktycznie, musieli wziąć pod uwagę tę możliwość. Niestety, oznaczałoby to, że muszą się skontaktować z autorami filmu i poprosić ich o niewykorzystany materiał. Nie zamartwiali się jednak zbyt długo, bo wkrótce wrócił opat z płytą DVD. Dalton wrzucił ją do laptopa i przewinął film do sceny, w której niewielka ekipa dokumentalistów wspina się na górę i podchodzi do czegoś, co wyglądało jak stare drzwi wycięte w licu skały.

- Tam! - zawołał opat. - To jaskinia ojca Jerome!

Dalton wrócił do trybu normalnego odtwarzania i na ekranie pojawiło się ujęcie z punktu widzenia operatora wchodzącego do jaskini. Gracie patrzyła z zapartym tchem, jak zagłębia się w ciemne wnętrze komnaty; słuchała, jak głos z offu w pierwszej osobie opisuje jaskinię i jej skąpe, proste umeblowanie, które już niedługo mieli zobaczyć na własne oczy - i nagle kamera zatoczyła łuk, prześlizgując się po zakrzywionym suficie pomieszczenia.

- Tam! - krzyknęła, wskazując palcem punkt na ekranie. - To znak, prawda!?

Dalton wcisnął pauzę, przewinął materiał kilka klatek do tyłu i puścił go jeszcze raz w zwolnionym tempie. Wszyscy nachylili się nad monitorem. Ujęcie było krótkie, kamerzysta

zaledwie na sekundę zatrzymał się na osobliwym rysunku - ale więcej nie potrzebowali. Dalton zatrzymał obraz i na ekranie pojawił się jeden z narysowanych na skale symboli. Była to misterna kompozycja koncentrycznych kręgów i krzyżujących się z nimi linii, które promieniowały z jej środka na zewnątrz. Pomimo prostoty znaku, w osobliwy sposób, z ogromną łatwością, i wyrazistością, była w nim uchwycona istota tego, co unosiło się nad lodowcem szelfowym, oraz zjawiska, które oglądali przed chwilą na wideo.

Nie można było mieć co do tego żadnych wątpliwości.

Gracie spojrzała na opata. Ledwie była w stanie się opanować.

- Możemy tam pojechać i spotkać się z ojcem Jerome?

Zerknął na zegarek.

- Robi się późno. Wkrótce zajdzie słońce. Może pojedziemy jutro zaraz z rana?

Gracie skrzywiła się. Nie była w stanie powstrzymać przyspieszonego bicia serca wywołanego właśnie obejrzanym materiałem.

- Ojczy, proszę. Nie chciałabym być dla ojca ciężarem, ale... Zważywszy, co się dzieje, nie sądzę, że powinniśmy czekać. Naprawdę musimy z nim porozmawiać jeszcze dzisiaj.

Opat wytrzymał jej wzrok, milcząc przez chwilę, która Gracie ciągnęła się w nieskończoność, aż w końcu ustąpił.

- Niech będzie. Ale w takim razie musimy ruszać natychmiast.

Kilkaset metrów na zachód od bramy klasztoru Fox Two leżał pod piaskową siatką maskującą i przez silne lornetki obserwował, jak Gracie, Finch oraz Dalton, w towarzystwie opata i jeszcze jednego mnicha, wsiadają do czekającego nieopodal busiku.

Nagle zawibrował jego telefon satelitarny. Wyciągnął go z kieszeni i zerknął na wyświetlacz. Otrzymał wiadomość, w której Fox One zawiadamiał go, że właśnie wylądował ze swoim oddziałem. O czasie. Zgodnie z planem.

Zablokował telefon, wsunął go z powrotem do kieszeni i patrzył, jak previa odjeżdża w kłębach kurzu.

Zaczekał, aż oddalą się o jakieś osiemset metrów, po czym dźwignął się na kolana. Siedząc w kucki, starannie zwinął siatkę, schował ją do plecaka.

ROZDZIAŁ 31

Woburn, Massachusetts

Hotel był brudny i zaniedbany, ale zapewnił Mattowi i Jabbie to, co najważniejsze: cztery ściany, dach i brak pytań ze strony uzależnionego od telewizji cherlawego recepcjonisty, który ledwo potrafił sklecić pojedyncze zdanie. W tej chwili właśnie tego potrzebowali najbardziej. Schronienia i anonimowości.

Oraz odpowiedzi na kilka pytań.

Matt siedział oparty o łóżko na podłodze i przechylił głowę maksymalnie do tyłu, tak że spoczęła na grudkowatym materacu. Za to Jabba nie był w stanie usiedzieć w miejscu. Krążył po pokoju i co chwila wyglądał przez okno.

- Możesz przestać? - zapytał zrięzionym głosem Matt. - Nikt tu po nas nie przyjdzie. Przynajmniej przez jakiś czas.

Jabba niechętnie odstepił od cienkiej poplamionej zasłony i zaczął znowu łązić w kółko.

- Usiądźże, do jasnej cholery! - warknął Sherwood.

- Sorki, w porządku? - odpalił Jabba. - Nie przywykłem do czegoś takiego. No wiesz, stary, to kompletne wariactwo! Po co w ogóle się tutaj przywlekliśmy? Nie mogliśmy iść na policję i powiedzieć gliniarzom wszystko, co wiemy?

- Problem polega na tym, że to, co ja wiem, niekoniecznie pasuje do tego, co we własnym przekonaniu wiedzą gliniarze, a dylematem tym nie mam zamiaru dręczyć się za kratkami. Wyświadczyć więc mi oraz dywanowi przysługę i siadaj na dupie.

Jabba wpatrywał się w niego przez chwilę i w końcu ustąpił. Rozejrzał się, popatrzył krzywo na rozchybotane krzesło, które sądząc z wyglądu, rozpadłoby się, gdyby tylko pomyślał o tym, żeby na nim usiąść, i ostatecznie postanowił usadowić się na odrobinę solidniejszym łóżku. Złapał po drodze pilota i zmienił kanał w przyśrubowanym do ściany telewizorze. Pod każdym względem odpowiadał on pokojowi: podniszczony, pozbawiony bajerów, ale sprawny. Matt spojrzał na ekran. Obraz był ziarnisty, a z głośnika dobiegało przyciszone, irytujące brzęczenie, ale nie miało to większego znaczenia. Najważniejsze, że widział, co trzeba.

Wieści z Grenlandii rozpały media do czerwoności. Jeszcze nie zdążyła ostygnąć temperatura dyskusji na temat zjawiska, które pojawiło się na Antarktydzie, a już dziennikarze uzyskali niepodważalne potwierdzenie doniosłości jego znaczenia, z którym absolutnie nie dało się polemizować. Temat okupował wszystkie kanały - wszędzie rozbrzmiewała niekończąca się paplanina, z której nie wyłaniało się jednak żadne wyjaśnienie i która w sumie sprowadzała się do powtarzania w kółko tych samych urywków oraz

poszukiwań różnych dawnych cudownych zjawisk, które mogłyby mieć związek z tym najnowszym. Czas antenowy wypełniały relacje ze starych objawień, od Fatimy do Medjugorie, tyle że błędy one w porównaniu z dniem dzisiejszym. W tym wypadku nie chodziło przecież tylko o grupkę dzieciaków, które zobaczyły na polu Najświętszą Panienkę.

Świat był jak urzeczony.

Matt przechylił znowu głowę i ze znużeniem wypuścił z płuc powietrze.

- Opowiedz mi o czym rozmawialiście z Vinceem.

- Mam ci opowiedzieć, o czym rozmawialiśmy? - powtórzył Jabba. - O wszystkim i o niczym, stary. Od czego mam zacząć?

- Od wczorajszego wieczoru - sprecyzował zniecierpliwionym tonem Matt. - O czym rozmawialiście wczoraj wieczorem.

- Wczoraj wieczorem. Wieczorem. Wczoraj - mruknął Jabba, szczypiąc się palcami w nos. - Oglądaliśmy to cholerstwo - powiedział, wskazując na ekran. - To znaczy, jak pojawiło się po raz pierwszy. Próbowaliśmy zgadnąć, jak można to było zmaistrować.

Matt podniósł głowę.

- Zmaistrować? Myślisz, że to jakaś sztuczka?

Jabba spojrzał na niego krzywo.

- Stary, przestań. Jak dzieje się coś takiego, od razu zakładasz, że to sztuczka. Chyba że kupujesz to całe gówno typu: „Prawda się objawiła”.

- Wnoszę zatem, że ty tego nie kupujesz?

- Nie no, stary, próbuję być otwarty na różne możliwości. Nie musisz mnie przekonywać, że na świecie dzieją się dziwne rzeczy, o których nam nie mówią. Ale wciskają nam tyle kitu, czy to rząd, czy goście, którzy próbują na nas zbijać łatwy szmal, że człowiek musi podchodzić do rzeczywistości w nieco cyniczny sposób. Poza tym, stary, jesteśmy naukowcami. Instynkt każe nam przede wszystkim zadawać pytania.

Matt skinął głową, starając się za nim nadążyć.

- Rozumiem, że wymienialiście z Vinceem różne pomysły. Wpadliście na coś ciekawego?

- No właśnie, stary. Numer polega na tym, że nie. - Jabba nachylił się i nagle wyraźnie ożywił. - Bo nic do tego nie pasowało. Nic a nic. Na dobrą sprawę nie wiedzieliśmy nawet, od czego zacząć. Jeżeli to sztuczka, to jej twórcy używają jakiejś marsjańskiej technologii.

Sherwood zmarszczył brwi. Czegoś nie rozumiał.

- A właściwie czym wy się zajmujecie? To znaczy, jeżeli to była sztuczka, to skąd pomysł, że ty i Vince możecie ją rozszyfrować?

- Jesteśmy inżynierami od elektroniki. Pracujemy nad... To znaczy, ja i Vince, my... - Jabba zaplątał się, najwyraźniej zbity z tropu. - Projektujemy obwody komputerowe, mikrochipy, tym podobny szajs.

Matt spojrzał na niego podejrzliwie.

- Jakoś nie wydaje mi się to powiązane z całym tym cholerstwem.

- Stary, nie mówimy o jakichś krótkofalówkach z Media Marktu. Czy nawet o iphoneach. Chodzi raczej o rzeczy, które kojarzą ci się z filmami science fiction. Na przykład teraz pracujemy nad chipami mikroRFID. Pamiętasz tę scenę z Raportu mniejszości? Jak Tom Cruise idzie przez galerię handlową i wszystkie te holograficzne panele wiedzą, że to on, gadają do niego i pokazują mu dostosowane do jego profilu reklamy?

- Nie bardzo - wzruszył ramionami Matt. - Ostatnimi laty przegapiłem parę filmów.

- Żałuj, stary. Ten był niesamowity. Oprócz Łowcy androidów to chyba jedyne opowiadanie Philipa K. Dicka, którego Hollywoodowi nie udało się spieprzyć. - Jedno spojrzenie Sherwooda wystarczyło, by wrócił do tematu. - W każdym razie my też już to potrafimy. To znaczy ekranów jeszcze nie mamy. Chodzi mi o to rozpoznawanie. Malutkie chipy wplecione w materiał twojej koszuli, tego typu rzeczy.

- Ciągle nie łapię, dlaczego niby potrafilibyście zdemaskować tę „sztuczkę”.

- To, co robimy... to nie jest zwykła praca - wyjaśnił Jabba. - To powołanie. Żyjesz tym, oddychasz, śnisz o tym. Całe twoje życie kręci się wokół tego. To jest twoje życie. A polega to między innymi na tym, żeby trzymać rękę na pulsie, być na bieżąco, i to nie tylko z tym, co bezpośrednio odnosi się do twojej pracy. Musisz wiedzieć, co robią inni: w NASA, w Dolinie Krzemowej, w jakimś laboratorium w Singapurze. Ponieważ to wszystko się ze sobą łączy. Ktoś dokonuje przełomowego odkrycia, a ty wykorzystujesz je w sposób, o którym żaden z was początkowo nie myślał, może ono otworzyć w twoim mózgu zupełnie nieoczekiwane drzwi. Może wystarczyć, żebyś wykonał własny milowy skok, skierować twoje badania w zupełnie nową stronę.

- Niech ci będzie - skwitował Matt, najwyraźniej nie do końca przekonany. - Więc ty i Vince trzymaliście rękę na pulsie i staraliście się śledzić wszystko, co przyśniło się innym jajogłowym.

- Mniej więcej.

Matt nadal był zdezorientowany.

- Ale skoro do niczego nie doszliście, to dlaczego wasza rozmowa naraziła jednego z was na niebezpieczeństwo? Może w pewnym momencie trafiliście w sedno, sami o tym nie wiedząc?

Jabba szybko powtórzył w myślach swoją rozmowę z Bellingerem.

- Wątpię. Nic, o czym rozmawialiśmy, nie wykraczało poza publicznie dostępną wiedzę, przynajmniej w kręgach jajogłowych. Jeżeli trafiliśmy na coś ważnego, a raczej nie sądzę, żeby tak było, to do tej pory na pewno ktoś też by już na to wpadł.

- Dlaczego więc przyszli po Vince'a? I dlaczego on doszedł do wniosku, że to ma coś wspólnego z moim bratem?

Jabba się ożywił.

- Twoim bratem?

- Vince uważał, że mój brat mógł zostać zamordowany z tego powodu.

- Dlaczego tak sądził?

- Nie wiem. Byli ze sobą bardzo zżyci.

Jabba zrobił minę, jakby czegoś nie rozumiał.

- Jak się nazywał twój brat?

- Danny. Danny Sherwood.

Na dźwięk tego imienia Jabba znów się ożywił. I to wyraźnie.

- Danny Sherwood był twoim bratem?

Matt skinął głową.

- Znałeś go?

- Nie, ale o nim słyszałem, jak wszyscy. Obliczenia rozproszone, co? Programowanie świętego Graala. Jeśli o to chodzi, wiara twojego brata była jak skała. - Pokiwał ze smutkiem głową. - Vince uwielbiał twojego brata, stary. Mówił, że był najlepszym programistą, jakiego w życiu spotkał. - Słowa dźwięczały przez chwilę w powietrzu, gdy Jabba próbował w głowie połączyć fakty. - Co dokładnie powiedział ci Vince?

- Nie za dużo. Powiedział, że jakiś Reece wynajął Danny ego do pracy nad bliżej nieokreślonym projektem. Słyszałeś o nim?

- Dominie Reece. Zginął w tym samym helikopterze, z tego co słyszałem. Przykro mi, stary. - Nagle Jabbie stężała twarz. - Vince powiedział ci, że być może zostali zamordowani? Wszyscy?

- Może. Chyba nie. - Matt nie chciał tracić wątku. - Powiedział, że pracowali nad jakimś projektem związanym z biosensoremami. Mówi ci to coś?

- Nie. Ale Vince i Danny byli ze sobą zżyci. I to bardzo. Być może Danny powiedział mu coś w sekrecie. Coś, o czym nie powinien był paplać. Może chodziło o patenty, o które jeszcze nie wystąpiono. W naszej branży jedno chlapnięcie ozorem może kogoś kosztować miliardy dolarów.

Matt potarł zmęczone oczy. Na ekranie znowu pojawił się sfilmowany nad Grenlandią znak. Wydawało się, że z niego szydzi. Widok był hipnotyzujący i Matt ledwo mógł od niego oderwać wzrok.

- Wróćmy do ciebie i Vincea. Do tamtego wieczoru. Przerwał nagle waszą rozmowę, prawda?

Jabba potwierdził skinieniem głowy.

- Jakie były jego ostatnie słowa? Pamiętasz?

Naukowiec skoncentrował się.

- Właściwie ja coś powiedziałem, nie on. Że wygląda to tak, jakby paliło się samo powietrze. Tak jakby ogień ogarnął cząsteczki powietrza. Tyle że to jest niemożliwe.

Matt przyjrzał się ziarnistemu obrazowi na ekranie.

- A co, jeżeli jest?

- Podpalenie powietrza? Nie sądzę.

- Może chodzi o laser, projektor... Coś, co wymaga umiejętności cholernie dobrego programisty.

Jabba pokręcił tylko głową.

- Nic mi nie wiadomo o czymś takim. A gdyby ktoś inny wpadł na to, jak można osiągnąć taki efekt, dawno trąbiliby o tym na wszystkich kanałach.,

Matt zamknął oczy i sfrustrowany oparł się o łóżko. Nie był w stanie skupić się i połączyć faktów. Gonił w końcu resztkami sił. Był wyczerpany, fizycznie i umysłowo. Nie spał od ponad dwudziestu czterech godzin, obfitujących w dodatku w wybitnie stresujące przeżycia. Poza tym nic nie wskazywało, by w najbliższym czasie zdołał się wymknąć z kleszczowego uścisku, w jaki złapało go... właściwie nie wiadomo co.

- Nie zabili Vince'a bez powodu. A jego śmierć łączy się jakoś z tym, co spotkało Danyego i pozostałych. Niezależnie od tego, czy cały ten cholerny znak jest prawdziwy czy nie, dzieje się coś dziwnego.

Jabba spochmurniał na twarzy.

- A ty masz zamiar przekonać się, co takiego?

- Właśnie.

Spojrzał na Matta niczym dziecko przyglądające się w zoo trzykrotnej pandzie.

- Odbiło ci? To cholernie niedobry plan, stary. Powinniśmy raczej zniknąć z powierzchni Ziemi, przynajmniej do czasu, kiedy cały ten burdel się nie skończy. Wyparować, wyjechać do Kanady albo coś w tym guście, siedzieć jak trusia, dopóki sprawa nie przycichnie.

Matt popatrzył na niego, tak jakby teraz to on miał przed sobą kosmitę.

- Tak uważasz?

Jabba zmarszczył brwi, zbity nieco z tropu skwaszonym wyrazem twarzy swojego rozmówcy.

- Pytasz mnie, dlaczego to niby ja i Vince mielibyśmy rozszyfrować to całe cholerstwo. A dlaczego ty byś miał? Kim ty właściwie jesteś? Byłem gliną czy coś? Agentem FBI? Psycholem po stażu w Komandzie Foki?

Matt pokręcił głową.

- Sytuujesz mnie po złej stronie barykady

- No to cudownie - jęknął Jabba.

Pokręcił ponownie głową i nagle spowaźniał.

- Stary, mówię serio. To źli ludzie. Rozmawiamy o gościach, którzy mordują bliźnich, i to całymi helikopterami.

Matt myślał już jednak o czymś innym. Jabba natychmiast to zauważył.

- Stary, czy ty mnie w ogóle słuchasz?

Matt pokręcił głową.-

Jabba znowu spochmurniał, ale tym razem na jego twarzy widać było również złość.

- Mamy przerąbane, zgadza się?

Matt zignorował jego pytanie.

- Możesz się dowiedzieć, kto jeszcze był w tym helikopterze? Specjaliści z jakich dziedzin? I może... kto ich sponsorował?

Naukowiec westchnął.

- A mam jakiś wybór?

Sięgnął do plecaka i wyjął laptopa. Matt wskazał go palcem.

- Myślisz, że w tej dziurze mają Internet?

- Raczej wątpię, żeby mieli w swojej ofercie połączenie wifi, ale... - Jabba uniósł swojego iphona i spojrzał znacząco na Matta. Nagle przypomniał coś sobie i zrzędła mu mina. - Niech to szlag. Nie mogę użyć komórki. - Poglądził w zamyśleniu mięsistymi paluchami twarz i nagle zabłysnęły mu oczy. - Zależy od tego, czego potrzebujesz. Na czterdzieści sekund mogą go odpalić. Potem będą mogli nas namierzyć.

Matt się skrzywił.

- Naoglądałeś się Dwudziestu czterech godzin czy wiesz na pewno?

Jabba przytrzymał w powietrzu telefon.

- Stary, wiesz, co zrobiłem zaraz po tym, jak kupiłem ten aparat? Rozebrałem go na kawałki i zerwałem ze smyczy. Tylko po to, żeby wkurzyć AT&T.

- To znaczy?

- To znaczy, że go uwolniłem. Mogę za jego pomocą podpiąć laptopa do netu przez EDGE.

- Niech ci będzie. Ale na wszelki wypadek zapytajmy może lepiej gościa w recepcji, czy możemy skorzystać z jego komputera.

ROZDZIAŁ 32

Góry Wadi anNatrun, Egipt

Ojciec Jerome wyglądał zupełnie inaczej, niż wyobrażała sobie Gracie.

Nie zdziwiło jej to. Wiedziała z doświadczenia, że w bezpośrednim kontakcie ludzie często mało przypominają siebie z filmów czy zdjęć. Od czasu do czasu zmieniają się na lepsze, przeważnie jednak - zwłaszcza dzisiaj, w epoce Photoshopa - konfrontacja prowadzi do rozczarowań. W tym wypadku Gracie spodziewała się kogoś innego przede wszystkim dlatego, że wiedziała, ile ksiądz przeszedł, odkąd ostatni raz widziała go w telewizji. Teraz siedział przed nią: szczuplejszy, bardziej wychudły na twarzy, mizerniejszy, niż zapamiętała. Ale nawet w tej paskudnej, ciemnej jaskini, oświetlonej jedynie trzema gazowymi latarniami i rozstawionymi tu i ówdzie świecami, jego przenikliwe zielonoszare oczy, płonące na tle opalonej twarzy, były o wiele bardziej zniewalające niż na filmie i całkowicie niwelowały wrażenie, jakie wywierał wygląd jego ciała zmęczonego w jego organizmie wywarły niedawne ciężkimi przeżyciami.

- Nie pamięta więc ojciec niczego ze swojej podróży? - zapytała Gracie. - Przecież był ojciec na pustyni przez wiele tygodni.

- Dokładnie trzy miesiące - odparł staruszek, nie odrywając od niej wzroku. Gracie, Finch i Dalton byli mile zaskoczeni tym, że nie odmówił im spotkania. Przeciwnie, wprost emanował ciepłem i życzliwością. Był pewny siebie, mówił spokojnym, kojącym głosem, jasno i wyraźnie. Nie wyzbył się do końca hiszpańskiego akcentu. Gracie natychmiast go polubiła, co przyszło jej tym łatwiej, że od dawna podziwiała tego człowieka, który swą bezinteresownością i pokorą potrafił zarażać innych.

- I co? Po prostu ma ojciec pustkę w głowie? - zapytała.

- Nigdy jeszcze czegoś takiego nie przeżyłem. Mam jakieś mgliste wspomnienia, potrafię przywołać pewne ulotne obrazy... Idę, sam. Widzę sandały na swych stopach, idę w

piasku, wokół mnie ciągnąca się aż po horyzont pustynia. Błękitne niebo, palące słońce, gorące powietrze... Czuję jego zapach, czuję upał na twarzy, w płucach. Ale to wszystko. Strzępy Przebłyski świadomości na pustej poza tym tabliczce. - Pokręcił z rezygnacją głową, ledwo dostrzegalnie, tak jakby lajał samego siebie za tę porażkę.

Choć Dalton i Finch siedzieli w jaskini razem z nią, podobnie jak opat i brat Amin, Gracie postanowiła nie prosić o pozwolenie na sfilmowanie pierwszej rozmowy. Nie była to łatwa decyzja. Doszła jednak do wniosku, że powinna najpierw spędzić z ojcem Jerome trochę czasu, poznać go, pozwolić mu oswoić się z nimi; przede wszystkim zaś nie była pewna, jak zareaguje, gdy zobaczy nagranie znaku na niebie. Nie czuła się najlepiej na myśl, że zaskoczy go taką wiadomością, a potem będzie rejestrowała kamerą jego reakcję.

Spojrzała na sufit jaskini. Był pokryty białymi zawijasami, niepokojącymi rysunkami znaku, który widziała na własne oczy nad lodowcem szelfowym.

- Czy może mi ojciec o tym opowiedzieć? - poprosiła, wskazując ręką sufit.

Ksiądz w zamyśleniu popatrzył w górę, przyglądając się wymalowanym nad ich głowami symbolom, i przez chwilę rozważał jej prośbę, po czym ponownie spojrzał Gracie w oczy.

- Wkrótce po przybyciu tutaj - rzekł - ogarnęła mnie jasność, jakiej nigdy wcześniej nie doświadczyłem. Zacząłem wyraźniej rozumieć wiele rzeczy. Czuję się, jak gdyby mój umysł oderwał się od wszystkiego, co nieistotne, wyzwolił, by widzieć życie w najczystszej postaci. Myśli, idee... zaczęły się zarysowywać w mojej głowie z ogromną wyrazistością, z ogromną mocą. Wystarczyło, że zamknąłem oczy, i natychmiast płynął przede mną ich strumień. Było to całkowicie poza moją kontrolą. Zapisywałem je, tutaj. - Wskazał na biurko. Na zniszczonym blacie leżało kilka zeszytów; kolejne spoczywały na parapecie okna. - Jak wierny skryba - dodał z cieniem uśmiechu na ustach.

Gracie nie mogła od niego oderwać oczu. Najbardziej niepokojące było to, że mówił tak spokojnym głosem, tak normalnym, lekkim tonem. Tak jakby opisywał tylko zwyczajne, codzienne zjawisko.

- A ten symbol? - przypomniała mu, ponownie wskazując sufit. - Zdaje się, że to ojca rysunki.

Skinął powoli głową, a na jego twarzy pojawiło się pewne napięcie i zmieszanie.

- Nie potrafię tego do końca wyjaśnić. Kiedy opadają mnie myśli, kiedy słyszę w głowie głosy, dokładnie tak, jak słyszę teraz panią, widzę również to - wyjaśnił, pokazując na znak. - Pojawia się, jakby wypalony w mojej świadomości. I po chwili orientuję się, że go rysuję, bez końca. Nie jestem pewien, co to oznacza, ale... Jest tam, w mojej głowie. Widzę

go wyraźnie. W dodatku jest... Jest jeszcze coś - dodał niemal żałośnie, wyciągając dłoń w stronę dachu jaskini. - Jest... wyraźniejszy. Mocniejszy. Bardziej olśniewający. Bardziej... żywy. - Uciekł wzrokiem, wahając się jakby, czy kontynuować.

- Trudno to wyjaśnić. Przepraszam, jeśli moje słowa wydają się pani mętne, ale... To naprawdę wykracza poza moją zdolność rozumienia. I kontroli.

- Może widział ojciec ten symbol we śnie? Ojciec Jerome pokręcił głową i się uśmiechnął.

- Nie. Jest tam. Wystarczy, że zamknę oczy i natychmiast go widzę. Kiedy tylko zechcę.

Gracie poczuła ciarki na plecach.

- Zatem tak naprawdę nigdy go ojciec nie widział? To znaczy, fizycznie? - dookreśliła, ważąc słowa. Nagle w jej głowie zaświtała pewna myśl.

- A może zobaczył go ojciec gdzieś na pustyni? Zobaczył ojciec, ale teraz o tym nie pamięta?

- Zobaczył? Gdzie? - zapytał. Zawahała się> po czym wyjaśniła:

- Na niebie?

Ksiądz przechylił nieco głowę i uniósł brwi, zastanawiając się nad jej słowami.

- Przypuszczam, że to możliwe - przyznał w końcu. - Wszystko jest możliwe, zważywszy, że wszystkie te tygodnie zwały mi się w pamięci w niewyraźną plamę.

Gracie spojrzała na Fincha, a potem na opata. Obaj kiwnęli nieznacznie głowami, sygnalizując, że się z nią zgadzają. Odwróciła się do Daltona, który załapał zaraz, o co jej chodzi, i zaczął wpisywać na klawiaturze laptopa jakieś komendy.

- Chciałabym coś ojcu pokazać - powiedziała ze ściśniętym gardłem. - Sfilmowaliśmy to niedawno, a widzieliśmy na Antarktydzie, tuż przed przyjazdem tutaj. Boję się trochę pokazywać to ojcu bez żadnych wyjaśnień, ale naprawdę uważam, że powinien to ojciec zobaczyć. To musi się jakoś łączyć z symbolem, który rysuje ojciec w jaskini. - Przerwała, przyglądając się jego twarzy i oczekując, że jakoś zaprotestuje. Ponieważ jednak tego nie zrobił, przełknęła ślinę i zapytała: - Czy chce to ojciec zobaczyć?

Ksiądz spojrzał na nią zdziwiony, ale skinął spokojnie głową.

- Proszę - rzekł, rozkładając dłonie w zachęcającym geście.

Dalton wstał, położył laptopa przed księdzem na niskim stoliku i obrócił komputer tak, by wszyscy mieli widok na monitor. Wcisnął klawisz odtwarzania. Na ekranie pojawił się film nakręcony na Antarktydzie, a właściwie jego zmontowana wersja, którą wysłali do redakcji. Gracie nie odrywała wzroku od ojca Jerome, przyglądając się jego twarzy, gdy

oglądał materiał. Patrzyła, zdenerwowana, spodziewając się jakiejś emocjonalnej reakcji na film - zdziwienia, konsternacji, niepokoju, a nawet strachu - i mając nadzieję, że nie wpędzi księdza w czarną rozpacz. Bała się jednak niepotrzebnie, choć oczywiście materiał wywołał w zakonniku konsternację. Zesztywniał, nachylając się nad ekranem, otworzył nieco usta, a na jego czole pojawiło się kilka poziomych bruzd.

Gdy film się skończył, ojciec Jerome odwrócił się do swoich gości i spojrzał na nich zdumiony.

- Czy to wy kręciliście?

Gracie skinęła głową.

Ksiądz nie wiedział, co powiedzieć. W jego oczach pojawił się ból.

- Co to może oznaczać?

Dziennikarka nie знаła odpowiedzi na to pytanie. Zresztą, sądząc z panującej w jaskini ciszy, nikt jej nie znał.

- Niedługo potem na niebie pokazało się podobne zjawisko - dodała, krzywiąc się lekko. - Tym razem nad Grenlandią. Zaledwie kilka godzin temu.

- Jeszcze raz?

- Owszem - potwierdziła.

Ojciec Jerome wstał i szurając nogami, podszedł do okna. Wpatrzył się w biurko, kręcąc z niedowierzaniem głową, po czym sięgnął po jeden z zeszytów. Przerzucił kilka stron, aż znalazł to, czego szukał. Stał przez chwilę nieruchomo, wbijając wzrok w otwartą stronicę.

- Nie rozumiem - powiedział cicho. - Widziałem dokładnie to samo. A przecież...

Odwrócił się do Gracie i pozostałych, wyciągając ku nim otwarty zeszyt. Gracie podeszła do niego z wahaniem. Z nieobecnym, umęczonym wzrokiem położył jej kajet na dłoniach. Spojrzała w dół i przerzuciła kilka kolejnych kartek. Wyglądały bardzo podobnie: pokryte były gęstym, eleganckim ręcznym pismem, od czasu do czasu przerywanym starannymi rysunkami znaku. Popatrzyła na Fincha i przekazała mu zeszyt. Z wrażenia trzęsły jej się ręce.

- Kiedy go widzę - kontynuował ksiądz - zaczyna... Zaczyna mówić do mnie. Wydaje się w jakiś cudowny sposób wkładać mi do głowy słowa i idee. - Wbił swój intensywny, jakby magiczny wzrok w ich twarze, przenosząc go z jednej na drugą i szukając na nich wsparcia. - Nie słyszycie ich?

Gracie nie wiedziała, co powiedzieć. Czowała, że pozostali szurają niepewnie stopami po podłodze, równie jak ona skonsternowani. Opat wstał i podszedł do ojca Jerome.

- Może powinniśmy zrobić sobie małą przerwę? - zasugerował, kiwając głową w stronę Gracie. - Pozwólmy ojcu trochę ochłonąć. Ma sporo do przemyślenia.

- Oczywiście - zgodziła się dziennikarka, uśmiechając się ciepło. - Zaczekamy na zewnątrz.

Cała trójka zostawiła ojca Jerome z opatem oraz młodym mnichem i udała się w stronę niewielkiej polany przed jaskinią. Ostatnie promienie słońca, które obserwowali, wspinając się na górę, definitywnie zniknęły już z nieba. Było ciemno choć oko wykol i granatowoczarna kopuła nad ich głowami wydawała się zupełnie nierealna, pobłyskując olśniewającym światłem gwiazd, jaśniejszym i bardziej zdumiewającym, niż Gracie kiedykolwiek w życiu widziała.

Nikt nic nie mówił. Wydawało się, że wszyscy próbują jakoś pojąć to, co usłyszeli od księdza, szukają na to jakiegoś racjonalnego wytłumaczenia. Gracie, nieobecna duchem, zerknęła na zegarek i zorientowała się, że wskazówka dobija do pełnej godziny. Nagle przypomniała sobie umowę z Ogilwym.

- Gdzie jest telefon satelitarny? - zapytała.

Finch wyciągnął aparat z torby, którą zostawił przy drzwiach do jaskini, wsunął z powrotem baterię i włączył go. Po kilku sekundach telefon zasygnalizował kilka nowych wiadomości. Wzrok producenta natychmiast przyciągnęła jedna z nich, od Ogilvy'ego. Była krótka i zwięzła: „ZADZWOŃ DO MNIE NATYCHMIAST, JAK ODBIERZESZ WIADOMOŚĆ”. Przekazał aparat Gracie.

- Coś się stało.

Lapidarność informacji zaniepokoiła dziennikarkę. Natychmiast wybrała opcję oddzwania. Ogilvy odebrał już po pierwszym sygnale i słowa niemal wylały mu się z ust.

- Właśnie wyemitowali film dokumentalny nakręcony w jaskini.

Gracie zamarła.

- Co?

- Pokazali go! - zawołał Ogilvy, z wściekłości nie mogąc złapać tchu. - Wydało się! Wszystko się wydało! Wiedzą o ojcu Jerome, o klasztorze, o symbolu na ścianach jaskini. Kiedy rozmawiamy, wiadomość o tym jest emitowana na wszystkich kanałach stąd do Szanghaju - dodał niespotykanym u niego łamiącym się głosem. Najwyraźniej sam jeszcze nie był w stanie przewidzieć wszystkich konsekwencji swojego newsa. - Właśnie wybuchła bomba, Gracie, a ty stoisz w samym środku strefy zero.

ROZDZIAŁ 33

Boston, Massachusetts

Larry Rydell nie był w stanie skupić się na tym, co po drodze z windy mówili mu jego główny specjalista do spraw strategii reklamowych oraz dyrektor marketingu interaktywnego. Nie potrafił się też skoncentrować na rozmowie w czasie ich wspólnego lunchu w firmowej stołówce (nie było to najszcześniejsze określenie, biorąc pod uwagę pierwszorzędną jakość serwowanej tam kuchni, głównie śródziemnomorskiej i sushi). Znał doskonale obu swoich menadżerów. Należeli do ścisłego kierownictwa firmy - jego firmy, którą założył dwadzieścia trzy lata wcześniej, zanim został wylany z Berkeley. Zazwyczaj na ich nieformalnych spotkaniach tryskał energią. To między innymi dzięki nim jego korporacja osiągnęła globalny sukces i zazwyczaj Rydell podchodził do nich z entuzjazmem właściwym młodemu przedsiębiorcy, który postanowił zawojować świat. Ostatnio jednak coraz częściej bywał na nich chłodny, nie potrafił się skupić, a tego dnia był tam obecny właściwie tylko fizycznie. Jego umysł wędrował po zupełnie innych rejonach, nie potrafiąc się oderwać od wydarzeń rozgrywających się kilka kontynentów od siedziby firmy.

Obdarzył współpracowników luzackim półuśmiechem i pomachał do nich na pożegnanie, po czym ruszył szerokim przeszklonym korytarzem do swojego gabinetu. Dotarłszy do sekretariatu, stwierdził, że Mona, jego zaufana główna osobista sekretarka, oraz trzy inne asystentki tłoczą się przy zamontowanych na ścianie ekranach LCD, nastawionych zawsze na jeden z międzynarodowych kanałów informacyjnych. Widok ten trochę go zdziwił. Oglądali już przecież tego ranka zjawisko zaobserwowane na niebie nad Grenlandią. Mona zauważyła szefa i się odwróciła. Pomachała mu, wskazując drugą ręką ekran.

- Widziałeś to? - zapytała. - To fragment filmu dokumentalnego sprzed pół roku, poświęconego jakiemuś staremu klasztorowi w Egipcie. Musisz to zobaczyć.

Podszedł do ekranu, czując nagły przypływ niepokoju, i nagle zbladł, zrozumiawszy, co właśnie ogląda, t

Udało mu się zamaskować lęk i przez minutę czy dwie udawał, że podziela zainteresowanie asystentek, po czym wycofał się chyłkiem do gabinetu, gdzie w samotności przejrzał doniesienia prasowe. Słyszał oczywiście o ojcu Jerome - któż o nim nie słyszał? - ale wiadomość o klasztorze była dla niego nowością. Na wszystkich stronach internetowych roiło się od zbliżeń rysunków na ścianie jaskini, które w oczywisty sposób przypominały znak. Umysł Rydella zaczął pędzić w różnych kierunkach, a to, co z tego wynikało, przyprawiało go o dreszcz.

Przejrzał gorączkowo kanały informacyjne oraz strony internetowe, szukając jakiegoś punktu zaczepienia - czegokolwiek, co pozwoliłoby mu się uspokoić. Nic jednak nie przybywało na ratunek. Na ekranach tysiące komentatorów wychodziło z siebie, żeby połączyć fakty w jakąś sensowną całość.

- Jeśli to, co oglądamy, nie jest podróbką - perorował jeden z ekspertów - jeśli rzeczywiście zostało sfilmowane, jak zapewniają autorzy materiału, kilka miesięcy temu, to w oczywisty sposób dowodzi to związku między niewyjaśnionym zjawiskiem a powszechnie szanowanym człowiekiem wiary, zresztą nie wiary ogólnie - podkreślił - ale wiary chrześcijańskiej, który przebywając w jednym z najstarszych na świecie miejsc kultu Chrystusa, w zadziwiający sposób przewidział wydarzenia, jakich jesteśmy świadkami...

Z filmu dokumentalnego płynęły oczywiste i nieuchronne wnioski, co najwyraźniej zdążyło już wywołać ogromne poruszenie. Wszelkiej maści kaznodzieje, księża oraz nagle rozmnożeni chrześcijanie zaczęli rościć sobie pretensje do znaku i głosić najbardziej nieprawdopodobne proroctwa. Wyznawcy innych religii - co było do przewidzenia - nie podzielali ich entuzjazmu, czując się wykluczeni i zagrożeni. Kilku uczonych muzułmanów wygłosiło już potępiające mowy. Rydell był pewien, że jeszcze wielu pójdzie w ich ślady, i będą to nie tylko przedstawiciele świata islamu. A przecież plan czegoś takiego nie zakładał.

Odepchnął się od biurka i zaczął analizować w myślach sytuację w szerszym, mniej uzależnionym od pospolitych uprzedzeń kontekście. Wiedział, że istniało wiele innych możliwych wyjaśnień takiego obrotu sprawy. Spodziewali się, że różni ludzie przez cały czas będą zgłaszać pretensje do znaku. Wiedzieli, że we wszystkich mrocznych zakątkach planety najwięksi szaleńcy powyłażą ze swych króliczych jam i zaczną wygłaszać najbardziej dziwaczne deklaracje. Ale tu nie chodziło o wariata. To był ojciec Jerome. Ten ojciec Jerome.

Nie, był tego całkowicie pewien. Coś poszło nie tak.

Znowu źle ich osądził.

Myśl o tym, przeradzająca się w pewność, sprawiła, że poczuł w żyłach coś jak zastrzyk lodu.

Starając się ze wszystkich sił powściągnąć gniew, podniósł słuchawkę, wcisnął klawisz szybkiego wyboru i połączył się z Druckerem.

Keenan Drucker, usadowiony wygodnie w fotelu w swoim gabinecie przy Connecticut Avenue, z wypiekami na twarzy wpatrywał się w ekran telewizora. Zdumiewało go, jak szybko media podchwytywały każdy nowy ochłap wiadomości i rzucały go na żer widzom na całym świecie. Bestię trzeba było nakarmić, a od momentu pierwszego pojawienia się znaku uczta trwała w najlepsze.

Poczuł głęboką satysfakcję na myśl o tym, że wszystko przebiega zgodnie z planem. Oderwał wzrok od wiszącego na ścianie plazmowego ekranu i przeniósł go na obramowane zdjęcie na swoim biurku. W odpowiedzi Jackson, jego syn - jego nieżyjący syn - błysnął mu okiem zza cienkiej szybki. Druckera ukłuło to samo uczucie żalu co zawsze, gdy patrzył na fotografię. Starał się tak właśnie zachować chłopaka w pamięci - żywego, tryskającego energią, przystojnego, dumnie prężącego się w świeżym galowym oficerskim mundurze, z oczami promieniejącymi pewnością siebie i determinacją - i nie pozwolić, by obraz ten wyparły potworne wspomnienia z kostnicy. Nigdy jednak mu się to nie udało. Tamta wizyta w bazie, kiedy jemu i jego żonie pokazano, co zostało z ich syna, wyryła się głęboko w jego zahartowanej przeciw duszy.

„Wyprostuję to wszystko” - obiecał w myślach Jacksonowi. „Sprawię, że to się już nigdy nie powtórzy”. Oderwał wzrok od twarzy syna i spojrzał znowu na ekran. Przerzucił kilka głównych kanałów informacyjnych i skupił się na stacjach chrześcijańskich. Uznał dominujący na nich ton za bardzo obiecujący. Jedno było pewne: materiał nakręcony w jaskini podsycił panującą w mediach gorączkę. Ludzie na ulicach złapali się na jego lep. Księża byli jednak ostrożniejsi. Obejrzał wypowiedź jednego z telekaszodziejów, który, wyraźnie niepewny, jak poradzić sobie z tą nieoczekiwaną inwazją na swoje bezpieczne dotąd terytorium, udzielał kolejnej wymijającej odpowiedzi na pytanie, co się dzieje.

„Typowe” - pomyślał, zdając sobie sprawę, że on i jemu podobni szarlatani muszą być przerażeni, choć również muszą wiedzieć, że wszyscy oglądają się nawzajem i czekają z niecierpliwością, który z nich jako pierwszy pójdzie na całość.

- Jeżeli to się dzieje naprawdę - stwierdzał na wizji kolejny z ekspertów - duchowni wkrótce jeden przez drugiego będą próbowali do niego dotrzeć i uznać go za jednego ze swoich.

„Zrobią to” - pomyślał. „Trzeba ich tylko troszkę zachęcić”.

Oczywiście jak najdyskretniej.

Tak się składało, że Keenan Drucker celował w dyskretnych działaniach.

Nagle zadzwoniła jego komórka. Oderwał wzrok od monitora i spojrzał na wyświetlacz. Rydell.

Tak jak się spodziewał.

Wziął głęboki, uspokajający oddech i odebrał telefon.

- Keenan, co się, do jasnej cholery, dzieje!?! - zawołał mocno podenerwowanym tonem, czego również można się było spodziewać, Rydell.

Czas ogarnąć szkody. W tym również celował.

- Nie przez telefon - odparł szorstko.

- Chcę wiedzieć, że to nie jest to, co myślę.

- Musimy pogadać - powtórzył po prostu Drucker, powoli i stanowczo. - W cztery oczy.

W słuchawce zaległa na chwilę cisza.

- Przylecę jutro pierwszym porannym samolotem - odezwał się w końcu Rydell. - O ósmej.

A potem się rozłączył.

Drucker powoli skinął do siebie głową. Przewidział reakcję Rydella, jego telefon, co zresztą nie wymagało jakichś specjalnych wróżbiarskich zdolności. Była to zwyczajnie kwestia przyczyny i skutku. Oznaczało to jednak, że musi zainicjować pomyślny dla siebie skutek.

Maddox odebrał po dwóch sygnałach.

- Gdzie jesteś? - zapytał go Drucker. - I co nowego w sprawie Sherwooda?

- Wszystko pod kontrolą - zapewnił Maddox. - Załatwię to osobiście.

Polityk zmarszczył brwi. Zdawał sobie sprawę, że Pocisk osobiście wkracza do akcji dopiero wtedy, gdy sprawy wymykają się spod kontroli. Doszedł jednak do wniosku, że nie jest to odpowiednia chwila, by zajmować się tym problemem. Miał dla Maddoxa o wiele pilniejsze zadanie, co przekazał mu za pomocą dwóch prostych słów:

- Zgarnijcie dziewczynę.

Rozłączył się.

Ponad trzy tysiące kilometrów dalej na wschód Rebecca Rydell ciągle leżała w łóżku, rozkoszując się słodkim nieróbstwem. Według konwencjonalnych standardów minęła już właściwie pora lunchu, ale na Costa Careyes nikt nie przejmował się konwencjami. Również w należącej do Rydellów rozległej posiadłości Casa Diva, podobnie zresztą jak w innych willach i domkach na słonecznym wybrzeżu Meksyku, nie przywiązywano wagi do tego rodzaju przyziemnych ograniczeń.

Nie spała zresztą prawie całą noc, którą spędziła z przyjaciółmi. Najpierw na wielkim ekranie w urządzonym pod gołym niebem salonie oglądali transmisję z miejsca pojawienia się ostatniego zjawiska, a potem przenieśli się na plażę i analizowali je nad ceviche, grillowanymi krewetkami i margaritą, przy wielkim ognisku płonącym pod rozświetlanym migoczącym księżycem niebem.

Obudziła się i, ciągle półprzytomna, zaczęła sobie mgliście przypominać szczegóły wieczoru. Jej zmysły powoli wracały do życia, drażnione delikatnymi aromatami bugenwilli

oraz copa de oro, rozchodzącymi się po domu. Sypiała zwykle przy otwartych drzwiach - uwielbiała odgłos oceanu i słony zapach powietrza, zdecydowanie przedkładając je nad szum klimatyzatora, ale mijający tydzień był szczególnie upalny, gorętszy niż kiedykolwiek. Ciągłe zaspana, zdała sobie nagle sprawę, że coś ją chyba obudziło. Stłumiony dźwięk dochodzący spoza sypialni. Kroki, zbliżające się kroki.

Po chwili otworzyły się drzwi pokoju i Rebecca omal nie dostała zawału na widok wpadających do środka dwóch mężczyzn. Znała ich, oczywiście. Ben i Jon, ochroniarze. Ojciec nalegał, by towarzyszyli jej za każdym razem, kiedy wyjeżdżała z kraju. Zwłaszcza do Meksyku. Zazwyczaj zachowywali daleko idącą dyskrecję i trzymali się w cieniu, szczególnie tutaj, na tym sennym, zapadłym kawałku wybrzeża, daleko od słynącej z porwań stolicy oraz strefy walk narkotykowych bonzów na północy. Znała obu mężczyzn od ponad roku, co więcej, lubiła ich i ufała im - i dlatego właśnie usiadła szybko, czując, że ogarniają strach. Skoro wpadli do jej sypialni w ten sposób, nawet nie pukając, musiało się wydarzyć coś bardzo, bardzo złego.

- Ubieraj się - rozkazał obcesowo Ben. - Musimy cię stąd zabrać.

Podciągnęła pod szyję prześcieradło i cofnęła się, opierając o ramę łóżka. Jej oddech nagle stał się płytki i przyspieszony.

- Co się dzieje?

Wzrok Bena padł na jasną sukienkę w kwiecisty wzorek, przerzuconą przez ławę u stóp łóżka. Podniósł ją i rzucił Rebecce.

- Musimy cię stąd zabrać. Idziemy - rozkazał.

Powiedział to w jakiś dziwny sposób, który wywołał w niej niepokój, podobnie jak rozbiegane oczy Jona. Sięgnęła do nocnego stolika i znalazła na nim komórkę.

- Gdzie jest mój ojciec? Nic mu nie jest? - zapytała, wystukując na klawiaturze numer.

Ben podszedł szybko do łóżka i wyrwał jej aparat z dłoni.

- Jest cały i zdrowy. Pogadasz z nim później. Teraz musimy jechać.

Schował telefon do kieszeni i spojrzał na nią znacząco.

Mówił tak stanowczo, że udało mu się w końcu stopić jej opór.

Skinęła z wahaniem głową i sięgnęła po sukienkę. Szanując jej prywatność, mężczyźni odwrócili się nieco, by nie patrzeć, jak się ubiera. Spróbowała się uspokoić, odegnąć strach, który zaczął ją ścisnąć za gardło. Ci faceci są zawodowcami, myślała. Wiedzą, co robią. Tak zostali wyszkoleni. Nie powinna zadawać pytań. Wiedziała, że jej ojciec zatrudnia tylko najlepszych. Była w odpowiednich rękach. Poznała przecież kiedyś szefa swoich ochroniarzy, nieco przerażającego gościa o granitowych oczach, którego firma

zajmowała się w spółce ojca wszelkimi kwestiami związanymi z bezpieczeństwem. Facet nie wyglądał na kogoś, kto podejmuje jakiegokolwiek działania bez absolutnej pewności. Wszystko będzie dobrze, próbowała przekonać samą siebie.

Wskoczyła w sandały. Kilka sekund później wyprowadzili ją z domu prosto do czekającego pod drzwiami samochodu. Pojazd ruszył z piskiem opon przez posiadłość i pomknął wyboistą drogą w stronę Manzanillo.

„Wszystko będzie dobrze” - powtórzyła w myślach, choć jakiś cichy, ledwie słyszalny głos w głowie przez cały czas ostrzegał ją, że jest w błędzie.

ROZDZIAŁ 34

Brighton, Massachusetts att zaparkował po drugiej stronie ulicy, sześć samochodów od interesującego go domu. Przez ponad godzinę siedział przyczajony w wozie i obserwował. Analizował w myślach różne warianty. I doszedł ostatecznie do wniosku, że żaden z nich mu się nie podoba.

Porzucił RAVa 4, zamieniając go na białą toyotę camry sprzed osiemdziesiątego dziewiątego roku, a zatem sprzed epoki immobilizerów. Był to prawdopodobnie najbardziej nijaki samochód, jaki w życiu ukradł - przebijał pod tym względem nawet taurusa, co w końcu nie było łatwe. Mimo to, gdy odpalał rzęcha, gryzło go sumienie. Kilka osób będzie musiało się przez niego borykać z firmami ubezpieczeniowymi. Ale tak naprawdę nie miał wyboru. Pomyślał, że okradzeni pewnie zrozumieliby go, gdyby się dowiedzieli, przez co przeszedł.

Obserwowany przez niego szary budynek był podobnie nijaki: niski, zaniedbany, jednopiętrowy domek o szczytowym dachu, ze ścianami obłożonymi drewnianym sidingiem. Prawdopodobnie został wynajęty na fasadową firmę. Czynsz opłacony z góry. Praktycznie nie do wyśledzenia, jak przypuszczał Matt. Wydawał się zupełnie anonimowy; jego szare panele przypominały ponure zimowe niebo i były podobnie przygnębiające oraz martwe jak dęby czerwone, które porastały pogrążoną w ciszy dzielnicę. Wytyczony obok krótki podjazd prowadził do krytego garażu na jeden samochód na tyłach. Chrysler stał zaparkowany na zewnątrz, podobnie jak furgonetka - ta sama, którą widział ostatnio, gdy oddalała się ośnieżoną ulicą po tym, jak z niej wyskoczył.

Z niecierpliwości niemal swędziały go włókienka nerwowe. W środku tego budynku mógł prawdopodobnie uzyskać wyjaśnienia, których tak bardzo potrzebował. Nie mógł jednak wejść tam jak gdyby nigdy nic i o nie poprosić. Musiał zaczekać na odpowiednią

chwilę. Obserwować. Analizować. Wymyślić jakiś plan. Który miałby jakiekolwiek szanse powodzenia. W wyniku którego nie skończyłby sześć stóp pod ziemią.

Opracował wcześniej jeden, jeszcze w motelu, przed odjazdem. Wspaniały plan, po wymyśleniu którego ogarnęło go ogromne podniecenie - w każdym razie na chwilę.

Zadzwoń po gliny. Złóż „anonimowe doniesienie”; powie, że prawdziwi zabójcy Bellingera znajdują się w tym budynku. Wyślą samochód, żeby to sprawdzić. Policjanci - być może ci sami, którzy pojawili się wieczorem w mieszkaniu naukowca - podejną do drzwi i zapukają. Otworzy im jeden z bandytów - na pewno nie tamta dziewczyna, ponieważ była przecież „świadkiem”, który „widział”, jak Matt ściga Bellingera. Zacznie się małe przesłuchanko. Pytania, odpowiedzi.

I wtedy Matt nieco pokomplikuje sprawę.

Wyciągnie z jakiegoś kontenera parę pustych butelek i starą szmatę. Na stacji benzynowej kupi kanister i paliwo. Przeleje je do butelek. Podrze szmatę na paski, wetknie je do szyjek i użyje jako knotów. A potem podpadli dom.

Może od tyłu? Albo z boku. Podkradnie się zwyczajnie do miejsca, w którym będzie niewidoczny, i wrzuci przez okno jedną albo dwie płonące butelki. I będzie obserwował. Zaskoczy ich całkowicie. Gliniarze będą chcieli wejść do środka pomóc gasić pożar. Bandyci pewnie stawią opór, nie chcąc, by policjanci zobaczyli zgromadzony w środku sprzęt. Ich zachowanie z pewnością nie będzie niewinne, co wzbudzi podejrzenia gliniarzy. Ci ostatni zrobią się ciekawscy, zwłaszcza gdy przypomną sobie powód, z jakiego zostali tam wezwani. Zadzwonią po wsparcie. Szanse się wyrównają. Bandyci pewnie będą musieli się gęsto tłumaczyć. Gliniarze, prowadząc śledztwo w sprawie podpalenia, trafią na dowody przestępstwa w furgonetce, które powiążą ze śmiercią Bellingera. Zbiry ugrzęzną po uszy w proceduralnym bagnie. Odczepią się od Matta, który również, przy odrobinie szczęścia, przestanie być głównym podejrzanym w sprawie pchnięcia nożem naukowca.

Może.

Z drugiej strony wszystko może pójść nie tak: gliny zastrzelą go i będzie po sprawie. Albo nie uda mu się załatwić najpilniejszej w tej chwili sprawy: nie dowie się, co zrobili z jego bratem.

Porzucił więc swój plan. Postanowił rozegrać to nieco ostrożniej. Powoli. Spróbować tak pokierować wydarzeniami, by znaleźć się sam na sam z jednym z bandytów. W tym wypadku przydałaby mu się broń. Na pewno mógłby ją znaleźć w furgonetce L albo w samochodzie. W ten sposób wyrównałby nieco szanse. I przy odrobinie szczęścia dorwałby jednego z bandytów i wycisnął z niego odpowiedzi na parę pytań.

Może.

Odkąd pojawił się pod domem, nikt z niego nie wychodził ani nie wchodził do środka, ale samochody i światła w pokoju na parterze pozwalały przypuszczać, że ktoś tam jest. Spróbował sobie przypomnieć, ilu ich było w furgonetce - zdaje się, że czworo. Niedobrze. Nie wiedział, czy dwójka z chryslera należy do tej samej ekipy, czy też działa równolegle do nich, co zwiększałoby liczbę przeciwników do sześciu. Jeszcze gorzej.

Z kolei budynek obok wydawał się pogrążony w ciemnościach i pusty - pozory życia nadawała mu tylko choinka migająca w irytujący sposób w oknie od ulicy. Między sąsiadującymi ze sobą domami, wzdłuż podjazdu, biegło półtorametrowe ogrodzenie. Matt zastanawiał się, czy nie zaczekać, aż zrobi się całkiem ciemno - zapewniłoby mu to osłonę - ale raczej nie uśmiechało mu się wałęsanie po okolicy do wieczora, w dodatku nie był pewien, jak długo bandyci zostaną w domu.

Postanowił zaryzykować.

Pobiegł wzdłuż ogrodzenia i dotarł na tył budynku. Podkraść się do chryslera i wyjrzał zza niego. Nie zauważył żadnego ruchu. Dom nadal był pogrążony w mroku. Zerknął przez okno do wnętrza samochodu. Nie dostrzegł niczego w środku, ale wiedział, że to, co go interesuje, znajduje się pewnie w schowku lub w bagażniku. Drzwi wozu były zamknięte, co było do przewidzenia - i zdecydowanie nie ułatwiało mu to zadania. Samochód był nowy, dobrze wyposażony, z solidnymi zamkami i perymetrycznym oraz wolumetrycznym alarmem w standardzie. Co oznaczało, że zanim uda mu się włamać do środka, musi zajrzeć pod maskę, w dodatku nie szarpiąc zbyt mocno wozem. Zdawał sobie sprawę, że niełatwo będzie mu sforsować to cacko, zwłaszcza że dysponował jedynie podstawowym zestawem narzędzi.

Podkraść się do furgonetki. Był to nieco starszy model, wyposażony w mniej skomplikowany zamek, łatwiejszy do rozpracowania. Zajrzał przez szybę. I znowu nic, ale wiedział, że gdyby się dostał do środka, sprawa pewnie wyglądałaby zupełnie inaczej.

Ukląkł przy drzwiach od strony pasażera i miał już zacząć majstrować przy zamku, gdy nagle usłyszał, że jakiś samochód zwalnia obok domu i wtacza się na podjazd. Schował szybko głowę i podkraść się do przodu furgonetki. W tym samym momencie przed budynkiem zatrzymał się czarny mercedes klasy S.

Matt przykucnął i wyjrzał na ulicę, spoglądając na nią między kołami furgonetki. Usłyszał, jak otwierają się drzwi merca. Zobaczył, że wysiada z niego mężczyzna i podchodzi do tylnego wejścia. Wychylił się i zaryzykował rzutoka znad lewego zderzaka vana. Nieznajomy miał ponad metr osiemdziesiąt i poruszał się szybkim, zdecydowanym krokiem. Bez cienia wahania. Miał gładko wygoloną czaszkę, a ubrany był w ciemny garnitur, ciasno

opinający jego umięśnione kończyny. Matt pamiętał ten typ z czasów więzienia. Lekko pałkowaty chód, ramiona odrobinę uniesione, ręce napakowane tak, że uniemożliwiało im to naturalny spoczynek po bokach ciała. Nie jak u kulturysty. Nie wyzywająco. W sam raz, by z jednej strony nie zakłócać szczupłej poza tym sylwetki, z drugiej - móc pogruchotać przeciwnikowi kości.

Kiedy mężczyzna się odwrócił, Matt zauważył, że brakuje mu ucha, na którego miejscu straszyla blizna po oparzeniu w kształcie pajęczej sieci. Ten niepokojący widok całkowicie go zaskoczył. Zastanawiał się, czy gość to były wojskowy. Może oni wszyscy nimi byli. Poza tym, sądząc po kroku, garniturze i samochodzie, facet nie był kolejną płotką. Był szefem. Podejrzenia Matta szybko się potwierdziły. Nieznajomy podszedł do tylnych drzwi domu, które same się przed nim otworzyły. Jeden z bandytów wyszedł przed budynek i instynktownie rozejrzał się wokół, a twardziel w garniturze minął go bez słowa i zniknął we wnętrzu. Po chwili zbir ruszył za nim, zamykając za sobą drzwi.

Matt siedział w kucki, na gwałt analizując świeżo uzyskane informacje i próbując dostosować do nich plan. Natychmiast przyszedł mu do głowy nowy pomysł. Postanowił go zrealizować. Podkrał się do mercedesa i wślizgnął pod niego.

ROZDZIAŁ 35

Góry Wadi anNatrun, Egipt

Tu nie jest bezpiecznie - ostrzegła ojca Jerome Gracie. - Musimy stąd księdza zabrać.

Szybko przekazała trzem duchownym, czego dowiedziała się od Ogilvyego.

- Zaufajcie mi - podsumowała. - Wiem, jak to wygląda. Wozy transmisyjne są już w drodze, łączy satelitarne zarezerwowane. Zanim wzejdzie słońce, będzie tutaj istny cyrk. W klasztorze znajdziecie się przynajmniej w czterech ścianach i będziecie mogli bezpiecznie przeczekać całe to zamieszanie, zanim dowiemy się, o co chodzi.

Nie wspomniała o kolejnym problemie - niezwiązanym ze szturmem dziennikarzy, ale w sumie o wiele groźniejszym. Znajdowali się w kraju w przeważającej mierze muzułmańskim, w jego w przeważającej mierze muzułmańskim regionie. Wprawdzie jakieś dziesięć procent Egipcjan wyznaje wiarę chrześcijańską - w wersji koptyjskiej, ściślej rzecz ujmując - ale nie zmieniało to faktu, iż jakimś siedemdziesięciu milionom ich rodaków, nie wspominając o niezliczonych rzeszach w okolicznych muzułmańskich państwach, mogło się nie spodobać to, co działo się w klasztorze. W końcu w tym regionie lądowanie na Księżycu ciągle uważało się za sztuczkę, mającą dowieść amerykańskiej dominacji na świecie, i przez

cały czas mówiło się o „spisku chrześcijan”, poza tym znajdowali się w kraju, na który ciągle złowrogim cieniem kładła się historia krucjat.

Gdy ojciec Jerome usłyszał wieści, na jego twarzy pojawił się niepokój, ale on sam ani przez moment się nie sprzeciwiał. Nieraz miał okazję obserwować na własne oczy, do jakiego barbarzyństwa potrafią posuwać się mieszkańcy tego zakątka świata, czego powodem bywały niejednokrotnie tak drobne różnice, jak przynależność plemienna czy wyznawana religia. Również opat i młody mnich nie protestowali. Propozycja Gracie wydawała się bardzo rozsądnym posunięciem.

- Powinniśmy zabrać ze sobą wszystko, co tylko damy radę - powiedziała, obrzucając spojrzeniem spartańskie wnętrze jaskini i wskazując na zeszyty. - Wszystko, co ojciec napisał. I wszystko inne, co jest dla ojca cenne. Nie mam pojęcia, w jakim stanie będzie jaskinia, gdy ojciec do niej wróci.

Spojrzała na rysunki na suficie i ogarnęły ją złe przeczucia. Zastanawiała się, ile czasu minie, zanim zostaną zniszczone. Poprosiła o zgodę na sfilmowanie ich wyjścia z jaskini. Mnisi zgodzili się bez problemu. Poleciała Daltonowi zrobić szybkie ujęcie wnętrza oraz sufitu, a pozostali pomogli ojcu Jerome się spakować.

Wkrótce znaleźli się ponownie pod rozgwieżdżonym niebem i schodzili już pochyłym zboczem góry.

ROZDZIAŁ 36

Brighton, Massachusetts

Matt wyczołgiwał się właśnie spod wielkiego mercedesa, gdy nagle usłyszał, że otwierają się tylne drzwi domu.

Przywarł do drzwi samochodu od strony pasażera i zamarł. Nie mógł zaryzykować i wyrzeć w stronę budynku, ale właściwie nie musiał. Najprawdopodobniej wyszedł z niego twardziel w garniturze, ale Matt zdawał sobie sprawę, że znalazł się w tarapatkach niezależnie od tego, kto się do niego zbliżał. Merc blokował przejazd zarówno chryslerowi, jak i furgonetce. Żeby którykolwiek z wozów mógł ruszyć z miejsca, należało najpierw przestawić mercedesa. A ten ostatni był całkowicie odsłonięty. Z przodu i z tyłu od bocznej i tylnej części budynku na lewo od Matta oraz od półtorametrowego ogrodzenia oddzielającego na prawo od niego sąsiadujące ze sobą domy dzieliło go kilka metrów otwartej przestrzeni. Co oznaczało, że gdyby którykolwiek z samochodów gdziekolwiek się wybierał, najpierw ktoś musiał cofnąć merca, odsłaniając Matta.

Znalazł się w ślepych zaułku. Od początku zdawał sobie sprawę z ryzyka, ale postanowił mimo wszystko działać, doszedłszy do wniosku, że jest tego warte. Teraz jednak, gdy wsłuchiwał się w odgłos nadchodzących kroków, gorzko pożałował, że nie zdecydował się na swój pierwszy plan i nie odpalił wszystkiego w cholerę. Wtedy jednak sprawy wyglądały bardziej obiecująco, jak to zwykle bywa, gdy człowiek bezpiecznie opiera się plecami o mur - czy, jak w tym wypadku, o gęstą, zapewniającą idealną osłonę siatkę wysokiego ogrodzenia.

Co gorsza, odgłos kroków nie pozostawiał żadnych wątpliwości: zbliżało się co najmniej dwóch bandytów. Jeżeli zmierzali do merca, Mattowi zostało zaledwie kilka sekund. Padł na ziemię, przywierając policzkiem do chodnika i starając się policzyć, ilu ich jest i w którą stronę się kierują. Podwórko było jednak nachylone i pięło się nieznacznie w górę. Przez pełną napięcia chwilę nic nie widział, a potem nagle pojawiła się przed nim para butów - czarnych męskich butów, należących, jak się domyślił, do twardziela - za którymi podążała jeszcze jedna. Było ich dwóch. Szli do mercedesa. Twardziel wcisnął pewnie przycisk w kluczyku, bo samochód zahuczał, a zamki w drzwiach odskoczyły z głośnym trzaskiem.

Matt nie miał wyboru.

Zwinął się kłębek, wytężając słuch w oczekiwaniu na odgłos zbliżających się kroków. Usłyszał, jak otwierają się drzwi od strony kierowcy - a potem obok samochodu pojawiła się jakaś postać, która okrążyła go od strony prawego zderzaka: facet z wysokimi kośćmi policzkowymi i językiem na głowie, którego Matt, zdaje się, rozpoznawał jako jednego z bandytów pilnujących mieszkania Jabby. Zanim gość zdążył zareagować, Matt zerwał się na nogi, wykorzystując przewagę wynikającą z zaskoczenia, i wymierzył przeciwnikowi miążdzący cios w podbródek. Twarz języka odskoczyła w bok, wykręcając się nienaturalnie wokół szyi, czemu towarzyszyło wilgotne rzeżenie, dobiegające z jego klatki piersiowej i ust. Gość był jednak twardy i nie dał się tak łatwo powalić. Spróbował nawet przejść do kontrataku i oddać cios, ale Matt był już na tyle blisko, by unieszkodliwić go do końca: przywalił mu morderczym sierpowym w podbródek i stopy języka oderwały się na chwilę od ziemi, a on sam zatoczył się kilka kroków do tyłu.

Matt usłyszał ruch po drugiej stronie samochodu i kątem oka zobaczył, jak twardziel w garniturze cofa się i sięga pod płaszcz. Zamroczony język ledwo był w stanie ustać o własnych siłach. Matt złapał go od tyłu, obejmując lewą ręką za szyję, a drugą wsuwając mu pod kurtkę i modląc się, by jego palce trafiły tam na broń. Po drugiej stronie merca twardziel zdążył już wyciągnąć spluwę. Przeladował ją i wycelował w Matta, którego na szczęście oddzielało od niego ciało języka.

Przecucie nie myliło Matta. Jeżyk miał pod kurtką pistolet, wsunięty do kabury na pasku przy prawym biodrze. Matt złapał za żebrowaną rękojeść i wyszarpnął broń. Uniósł ją, wyciągnął prawą rękę na poziomie ucha zakładnika i wycelował prosto w twardziela.

- Cofnij się! - krzyknął, na przemian przykładając lufę do głowy jeżyka i mierząc w stronę drugiego ze zbirów.

Przemieścił się kilka kroków w lewo, dzięki czemu samochód znalazł się między nim a twardzielem, który nie przestając celować z pistoletu w twarz Matta, w uspokajającym geście uniósł lewą dłoń.

- Spokojnie, Matt - powiedział. - Nie rób głupstw.

- Kim wy, do kurwy nędzy, jesteście? - zawołał Matt, ciągle przesuwając się w bok, rozglądając nerwowo i nie spuszczać z oka frontowej oraz tylnej części budynku.

- Jestem pod wrażeniem, że udało ci się tu dotrzeć, Matt - rzekł twardziel, najwyraźniej zastanawiając się, jak ich znalazł. - Właściwie to jestem pod wrażeniem wszystkiego, co zrobiłeś, odkąd rozpętało się to piekło.

Matt był już przy bagażniku merca. Twardziel nie miał zamiaru się cofnąć. Podążał za Mattem, umykając gładko w bok i zbliżając się do dzielącego ich samochodu. Niczym radar przeczesywał wzrokiem okolicę. Było w nim coś głęboko niepokojącego. Brakujące ucho, blizna, łysa czaszka zwężająca się ku górze na kształt pocisku - wszystko to stanowiło zaledwie tło dla mroku, jaki emanował z jego czarnych jak smoła oczu, z których można było wyczytać, że ich właściciel bez cienia wahania udałby się do piekła i z powrotem, z obrzeżających je ciemnych, otoczonych jakby czarną obwódką powiek, z narysowanych zdecydowaną kreską brwi, układających się w kamienną maskę wiszącą nad resztą twarzy.

- O co w tym wszystkim chodzi? - dysząc, wyrzucił z siebie Matt. - Co tu się, kurwa, dzieje? Co się stało z moim bratem?

Twardziel pokręcił nieznacznie głową - protekcyjnie, tak jakby cmokał z niezadowolaniem.

- Wiesz co, Matt? Za bardzo skupiasz się na przeszłości. A moim zdaniem powinieneś pomyśleć raczej o tym, co cię czeka.

Matt cofnął się znowu o krok.

- Co zrobiliście mojemu bratu!? - wrzasnął. - Czy on żyje?

Twardziel nawet nie drgnął. Był całkowicie spokojny; szacował zimnym wzrokiem pozycję Matta i oceniał potencjalne możliwości.

- Zacząłeś grzebać w czymś, od czego zdecydowanie powinieneś się trzymać z daleka - odezwał się w końcu. - Mam dla ciebie dobrą radę: daj spokój. Poszukaj sobie jakiejś

przytulnej, głębokiej dziury, zagrzeb się w nią po uszy i zapomnij o wszystkim, co się wydarzyło. Albo jeszcze lepiej...

I nagle po prostu pociągnął za cyngiel, tylko raz - bez cienia emocji podjął decyzję i nie mrugnawszy nawet okiem, zrobił to, co postanowił. Kula trafiła faceta, którego trzymał Matt, prosto w klatkę piersiową.

-...pozwól, że ci w tym pomogę.

Jeżyk rzucił się przed siebie, a Matt poczuł nagle pieczenie w boku, tuż przy lewych żebrach, ale nie miał nawet czasu, żeby zatrzymać się i to sprawdzić. Musiał utrzymać się na nogach, bo świat nagle przyspieszył, zamieniając się w rozmazaną plamę.

Pod językiem ugięły się kolana i zaczął padać na ziemię, a twardziel wypalił jeszcze raz, a potem znowu i znowu. Jedna z kul trafiła jego kolegę w ramię i wyszła z jego ciała tuż przy pochylonej głowie Matta, śmigając mu obok ucha i ochlapując twarz mieszaniną krwi oraz odłamków kości. Z trudem utrzymywał języka w pozycji wyprostowanej, używając go jako tarczy i strzelając zza niej w twardziela, który jednak schował się za mercem. Matt zatoczył się do tyłu, rozglądając się rozpaczliwie i czując, że z każdym krokiem mocniej pali go w boku. Twardziel ustawił się do kolejnego strzału i trafił Jeżyka w udo. Nagle z budynku wybiegło z uniesionymi pistoletami dwoje kolejnych bandytów. Zauważyli Matta, przykucnęli, szykując się do strzału, ale znajdowali się na otwartej przestrzeni i Matt, rozpoznawszy kasztanowłosą dziewczynę z furgonetki, tę, która kierowała nią w nocy, gdy porwali jego i Vince'a Bellingera, wypalił i trafił ją w ramię. Powinęła jej się stopa i zabójczyni potoczyła się po chodniku. Drugi ze strzelców dał nura za merca, dołączając do twardziela. Matt szedł przed siebie, nadal używając broczącego krwią, a może i martwego języka jako tarczy, krok po kroku, centymetr po centymetrze zbliżając się do ulicy i strzelając za każdym razem, gdy mignął mu przed oczami kawałek ciała. Obok przemknęło ze świstem kilka kul, na które natychmiast odpowiedział, nagle jednak okazało się, że z magazynku do komory trafił ostatni nabój i zamek zablokował się w otwartej pozycji.

Twardziel i jego kamrat natychmiast się zorientowali i beztrąsko wstali zza mercedesa. Matt rozejrzał się szybko i stwierdził, że znajduje się zaledwie kilka metrów od chodnika. Zbierając wszystkie siły, jakie mu jeszcze zostały, pociągnął jeszcze parę kroków za sobą martwego języka, po czym puścił jego ciało i ruszył pędem przez jezdnię.

Nie oglądał się. Biegł przed siebie z pistoletem w dłoni, szukając osłony za stojącymi przy krawężniku samochodami. Znalazłszy się po drugiej stronie jezdni, wskoczył na chodnik, gdzie od linii ognia dzieliła go bariera zaparkowanych pojazdów. Miał nadzieję, że

żadna zbląkana kula nie dosięgnie go, zanim nie dotrze do camry, i zachodził w głowę, jak poważnie jest ranny oraz czy będzie miał w ogóle okazję się tego dowiedzieć.

ROZDZIAŁ 37

Klasztor asSurjani, Wadi anNatrun, Egipt

Obawy Gracie okazały się słuszne: ledwie zdążyli ubiec ekipy reporterów i schronić się przed nimi w bezpiecznych murach klasztoru. Przed bramą gromadziło się coraz więcej samochodów i wozów transmisyjnych. To nagle zainteresowanie zaalarmowało pozostałych mnichów - przebywało ich w monasterze prawie dwustu - i opat pobiegł ich uspokoić, poleciwszy uprzednio bratu Aminowi porozmawiać z dziennikarzami. Młody zakonnik powiedział tłoczącym się pod murami reporterom, że ojciec Jerome póki co nie wygłosi oświadczenia, i poprosił ich, by uszanowali jego prywatność. Dziennikarze głośno zaprotestowali, co jednak nie zrobiło na nikim większego wrażenia. Rozpoczęło się oblężenie.

Gracie włączyła telefon satelitarny. Nie było już sensu się ukrywać. Przeciwnie. Okazało się, że ona, Dalton i Finch zostawili kolegów daleko w tyle, monopolizując temat, który okupował ekrany wszystkich najważniejszych kanałów informacyjnych, hon stop nadających relacje z wydarzeń i przekazujących najświeższe wiadomości. Zapewniwszy sobie całkowitą wyłączność, jiięcałe pół godziny po powrocie nadali z dachu warowni, przylegającej do głównej bramy klasztoru, pierwszy materiał na żywo.

Dziennikarka stała teraz na samym szczycie ogromnego piaskowego sześcianu i spoglądając w obiektyw kamery Daltona, ostrożnie dobierała słowa:

- Nie wygłosił jeszcze oświadczenia, Jack. Jak pewnie się domyślasz, jest porażony tym, co wydarzyło się w ciągu kilku ostatnich dni. Mogę tylko potwierdzić, że w tej chwili ojciec Jerome rzeczywiście przebywa tutaj z nami, w klasztorze.

- Ale rozmawiałaś z nim, tak? - zapytał przez słuchawkę Roxberry.

- Tak, rozmawiałam - przyznała.

- I co ci powiedział?

Prowadzący program był wyraźnie coraz bardziej sfrustrowany ostrożnymi odpowiedziami Gracie. Nie wspomniała mu, że pokazała ojcu Jerome film nakręcony w czasie wystąpienia zjawiska, nie mówiła też, o czym rozmawiali w jaskini. Wcześniej starannie wyselekcjonowała z Finchem fakty, o których mogła nadmienić, doszedłszy do wniosku, że nie powinni - w każdym razie jeszcze nie - obwieszczać światu tego, z czego

ksiądz zwierzył im się w tajemnicy, a co w przeciwnym razie w nieunikniony sposób zostałyby wyjęte z kontekstu i przekręcone. Trudno było trzymać taką bombę w sekrecie, ale zgodzili się, że muszą dać ojcu Jerome szansę, by sam opowiedział tę historię - wtedy gdy uzna, że jest na to gotowy. Doszli do wniosku, że poproszą go o wywiad na żywo, jak tylko trochę odpocznie i zdoła jakoś oswoić się z zaskakującymi wiadomościami.

- Poprosił nas, żebyśmy uszanowali jego wolę i pozwolili mu trochę ochłonąć, co oczywiście jest zupełnie zrozumiałe.

Niemal czuła w słuchawce, jak Roxberryego zaczyna zalewać krew.

Zastanawiali się też z Finchem, czy wykorzystać materiał nakręcony we wnętrzu jaskini. Gracie uważała, że gwarantował on ogromną oglądalność, ale miała złe przeczucia co do emisji i była przekonana, że nadużyłaby zaufania księdza. Jak jednak argumentował Finch, nie mogli również nie wyemitować relacji. Była za dobra, liczyła się jako część całego tematu, a poza tym przecież ekipa brytyjskich dokumentalistów i tak uzyskała zgodę na pokazanie swojego materiału w telewizji. Cały świat już go obejrzał. Finch nie widział niczego złego w tym, żeby po prostu potwierdzić ustalenia ich kolegów, i Gracie się z nim zgodziła.

Zakończyła połączenie, spodziewając się za chwilę podenerwowanego telefonu z redakcji, i podeszła do krawędzi płaskiego dachu. Obrzeżał go tylko niski, nawet nie dziesięciocentymetrowy murek, i Gracie zakręciło się w głowie, gdy spojrzała w stromą przepaść. Wbiła wzrok w płaski, pusty krajobraz ciągnący się za bramą klasztoru i znowu ogarnęły ją złe przeczucia. Na pustyni widać było złowrogi ciąg reflektorów samochodów, których coraz więcej pojawiało się pod klasztorem. Znała na tyle dobrze region, by zdawać sobie sprawę, jak szybko sprawy wymykają się w nim spod kontroli, jak nagle i niespodziewanie spory religijne osiągają stan zapalny i zamieniają się w rzeź. Oderwała wzrok od upiornych świateł i dołączyła do Fincha oraz Daltona, którzy garbili się nad laptopem, oglądając relację nadawaną na żywo spod murów klasztoru przez reportera AlDżaziry.

- Dziwne, nie? - zauważyła, czując, że nagle ogarnia ją znużenie, i siadając obok nich po turecku. - Być tutaj, za bramą, i obserwować ich z wewnątrz.

- To jak jakaś kosmiczna wersja filmowej sceny z zakładnikami - skomentował Dalton.

Gracie zauważyła cień przy włączniku po lewej stronie, w którym po chwili pojawiła się twarz brata Amina. Skinął im nieznacznie głową, wspinał się po chybotałej drabinie na górę i dołączył do nich.

- Co u ojca Jerome? - zapytała Gracie.

Zakonnik ze znużeniem wzruszył ramionami.

- Jest zdezorientowany. Przerażony. Modli się o wskazówki.

Gracie pokiwała ze współczuciem głową, sama czując się sfrustrowana, że nie może udzielić mu żadnych odpowiedzi. Zdawała sobie sprawę, pod jaką presją się znalazł. Wystarczył rzut oka na wiadomości w laptopie, żeby to zrozumieć. Relacje nadawane z Kairu i Aleksandrii nie były pocieszające. Sensacyjne doniesienia, że ojciec Jerome przewidział pojawienie się niewytłumaczalnego ciągle zjawiska, wywołały ogromne poruszenie w całym kraju. Widać już było polaryzację opinii, choć przecież dziennikarze ledwie liznęli temat. Z emitowanych wywiadów wynikało, że wśród miejscowych chrześcijan doniesienia prasowe spowodowały z jednej strony sporą niepewność, ale z drugiej podekscytowanie. Ojciec Jerome przez długi czas był dla nich latarnią morską pozytywnie pojmowanej transformacji, więc nic dziwnego, że jako zbiorowość przyjmowali jego uczestnictwo w wydarzeniach jako coś inspirującego - i że chcieli wiedzieć jak najwięcej. Z drugiej strony muzułmanie, których proszono o komentarz, albo zbywali rzecz całą lekceważeniem, albo reagowali wściekłością. Gracie pomyślała też cynicznie, że sądząc z tego, jak burzliwe, a zatem atrakcyjne medialnie były ich reakcje, pewnie dobrano ich z premedytacją. Za to duchowni zgodnie podważali wiarygodność ojca Jerome i wzywali wiernych, by nie poddali się temu, co według nich było manipulacją.

Spojrzała na młodego mnicha. Na jego twarzy wyraźnie rysowało się napięcie.

- O co chodzi? - zapytała.

Przez chwilę wpatrywał się w ekran, a potem utkwił wzrok w dziennikarce.

- Nie mam pojęcia, czym jest to, co wy troje widzieliście. Nie rozumiem też natury wizji ojca Jerome ani tego, w jaki sposób łączą się one z waszym zjawiskiem. Ale kilku rzeczy jestem pewien. Egipt to biedny kraj. Połowa jego mieszkańców nie odebrała żadnego lub prawie żadnego wykształcenia i żyje za niecałe dwa dolary dziennie. Nawet lekarze w publicznych szpitalach nie zarabiają wiele więcej. Jesteśmy jednak również krajem bardzo religijnym. - Przeniósł wzrok na feerię świateł pod murami klasztoru. - Tutejsi ludzie czerpią z religii pociechę, ponieważ w niczym innym, co ich otacza, nie dostrzegają nadziei. Nie wierzą swoim politykom. Są zmęczeni tłokiem na drogach, zanieczyszczeniem środowiska, rosnącymi cenami, spadającymi zarobkami oraz korupcją. Mogą zaufać tylko Bogu. Tak to już jest w tej części świata. Tożsamość religijna znaczy u nas o wiele więcej niż obywatelstwo któregoś z krajów. A tutaj, w Egipcie, jeśli chodzi o relacje między różnymi sektami, sytuacja jest niezwykle napięta. Nie rozmawia się na ten temat, stanowi to swego

rodzaju tabu, ale problem okazuje się zupełnie realny. Miało tu miejsce sporo incydentów. Naszych braci z klasztoru Abu Fana w ubiegłym roku atakowano dwukrotnie. Za drugim razem pobito ich, wychłostano i zmuszono, by pluli na krzyż. - Przerwał i odwrócił się. Przez chwilę przenosił wzrok z jednego dziennikarza na drugiego, skupiając się ostatecznie na Gracie. - W kraju tym odczuwalne jest ogromne napięcie, ogromny brak zrozumienia między ludźmi. A w odległości godziny drogi stąd mieszkają ich miliony.

Gracie zrozumiała. Nie była to optymistycznie nastrojająca mieszanka.

- Dobrze zrobiliśmy, zabierając ojca Jerome z jaskini - dodał. - Ale to może nie wystarczyć.

Myślała dokładnie o tym samym. Wyobrażenia podpowiadała jej mrozące krew w żyłach obrazy: dwie poważnie zantagonizowane grupy pod bramą, koptyjscy chrześcijanie, pielgrzymujący, by wysłuchać, co ma do powiedzenia ojciec Jerome, oraz muzułmanie pragnący pomścić zniewagę, jakiej dopuścili się kuffar, czyli niewierni.

Kolejna niedobra mieszanka. Chyba że ktoś chciałby zmajstrować bombę.

- Gdzie jest wojsko? - zapytała. - Nie widzą, co się tutaj dzieje? Czy nie powinni wysłać żołnierzy, żeby chronili klasztor? Albo jaskinię? Przecież jeśli sprawy wymkną się spod kontroli, zostanie zniszczona!

- Tutaj porządku pilnuje nie wojsko - wyjaśnił ponuro mnich - ale siły bezpieczeństwa wewnętrznego. Są dwukrotnie liczebniejsze od armii, z czego już można wywnioskować, gdzie rząd upatruje prawdziwego zagrożenia. Ale zwykle wysyła się je dopiero wtedy, gdy dane miejsce ogarnie pożoga. A kiedy się pojawiają, najczęściej sytuacja się pogarsza. Nie widzą problemu w tym, by przywracać stan normalności za pomocą siły. Brutalnej siły.

Gracie poczuła przypływ niepokoju. Odwróciła się do Fincha.

- Dasz radę skontaktować się z ambasadą? Może potrafią coś wykombinować.

- Spróbuję, ale... Sądzę, że brat Amin ma rację. Dobrze byłoby zwinąć się stąd, zanim sprawy wymkną się spod kontroli. To dotyczy również ojca Jerome.

Dalton kiwnął głową w stronę tłoczących się poniżej reporterów.

- To nie będzie proste.

Gracie zachmurzyła się.

- Mamy samochód i kierowcę. A na zewnątrz ciągle jest w miarę spokojnie. Musimy wyruszyć o świcie. Póki jeszcze jest to wykonalne. - Spojrzała znowu na Fincha. - Możemy zabrać ojca Jerome do ambasady. Musimy ich powiadomić o naszym przyjeździe. Na miejscu coś wymyślimy.

- A co, jeżeli nie będzie chciał wyjechać? - zapytał Finch.

Dziennikarka popatrzyła na brata Amina, który niepewnie wzruszył ramionami.

- Pogadam z nim, ale nie wiem, co mi powie.

- Pójdę z bratem. Musimy go przekonać - stwierdziła, dźwigając się z podłogi. Brat Amin skinął głową i podszedł do otwartego włazu. Gracie odwróciła się do Fincha.

- O świcie, tak?

Spojrzała na niego z determinacją, po czym złapała po obu stronach właz i zniknęła w sercu warowni.

ROZDZIAŁ 38

Houston, Teksas

Wielebny Nelson Darby nie zdążył jeszcze wysiąść ze swojego lincolna, kiwnąwszy głową szoferowi, gdy rozdzwoniła się jego komórka. Ów wysoki, elegancki mężczyzna był w doskonałym nastroju: właśnie skończył oglądać próbę kostiumową pięćsetosobowego chóru ćwiczącego przez wigilijny show. Zerknąwszy na nazwisko, jakie pojawiło się na wyświetlaczu, odprawił machnięciem ręki asystenta i zatrzymał się, mając zamiar odebrać rozmowę na szerokich schodach prowadzących do okazałej posiadłości, mieszczącej centrum administracyjne jego rozprzestrzeniającego się stale imperium „chrześcijańskich wartości”, imperium, którego okrętem flagowym był postawiony przez niego olśniewający, mogący pomieścić siedemnaście tysięcy wiernych, stalowoszklany megakościół, jeden z coraz liczniejszych wielofunkcyjnych bastionów chrześcijaństwa, pomyślanych na skalę, jakiej nie notowano na świecie od czasu budowy trzynastowiecznych europejskich katedr.

- Witaj, wielebny - odezwał się rozmówca. - Co nowego?

- Roy! - przywitał się serdecznie Darby, jak zawsze z przyjemnością wsłuchując się w spokojny głos Roya Buscemy. Pastor, wysportowany czterdziestolatek, miał kościstą twarz, głęboko osadzone oczy i wąskie usta. Przypadkowy przechodzień, patrząc na jego zaczesane do tyłu, idealnie ułożone, lśniące czarne włosy, na jego garnitur od Brioniego, mógłby go wziąć raczej za bankowca na dorobku z czasów przed kryzysem niż za kapłana. Nie myliłby się zresztą zbyt, jako że wielebny zarządzał na co dzień wartym miliony dolarów przedsiębiorstwem, operującym w dodatku na wysoce konkurencyjnym rynku. - Miło cię słyszeć. Co u ciebie?

Buscema, niezwykle towarzyski dziennikarz „Washington Post”, poznał pastora niecały rok wcześniej, gdy pracował nad poświęconym mu artykułem, zamówionym przez redakcję do niedzielnego magazynu. Napisał starannie wyważony, bardzo przychylny tekst,

który legł u podstaw ich przyjaźni, a ta niebawem, po wielu godzinach rozmów na temat strategii pastora w ramach maratonu wyborów prezydenckich z poprzedniego roku, zamieniła się w nieoficjalną relację typu doradcaojciec chrzestny. Podejście Buscemy do wydarzeń okazało się zadziwiająco przenikliwe, dziennikarz zawsze miał rację, zdradził też pastorowi niejednego gorącego newsa, który wkrótce znajdował potwierdzenie w faktach. Pastor dał się nawrócić. Postrzegał Buscemę jako rozsądnego analityka, który trzyma rękę na pulsie i wie, gdzie się zwrócić, żeby jego prognozy zawsze się sprawdzały. Jako taki - biorąc pod uwagę to, że Darby był jedną z grubych ryb prawicowego ruchu chrześcijańskiego - okazał się osobą bezcenną i dobrze było mieć go zawsze pod ręką.

Zwłaszcza w takim momencie.

- Czyste wariactwo - odparł Buscema. - Ale cóż, właściwie nie powinienem narzekać. W końcu za to mi płacą. Oglądał wielebny w telewizji to coś nad czapą lodową?

- A kto nie oglądał?

- I cóż o tym wielebny sądzi?

- Szczerze mówiąc, nie wiem, co o tym myśleć, Roy - przyznał pastor z właściwą sobie, rozbrajającą szczerością. - Na Boga, co tam się dzieje?

W tonie Buscemy nagle pojawiła się poważniejsza nuta.

- Myślę, że powinniśmy o tym porozmawiać. Jutro będę w mieście. Jeżeli masz chwilę, może gdzieś się spotkamy?

- Brzmi nieźle - odparł Darby. - Przyjedź do mnie do domu. Umieram z ciekawości, jakie masz zdanie na temat tego wszystkiego.

„Jasne, że tak” - pomyślał Buscema, dogadując godzinę spotkania. Pożegnał się i rozłączył. Następnie przewinął listę kontaktów w komórce i wykonał drugą, identyczną rozmowę.

Po której z kolei nastąpiła trzecia.

Sześć podobnych, starannie skoordynowanych ze sobą telefonów do wpływowych kaznodziejów i przywódców religijnych wykonało jeszcze dwóch innych dziennikarzy.

ROZDZIAŁ 39

Woburn, Massachusetts

Kula nie dokonała tak wielkich spustoszeń, jak początkowo obawiał się Matt. Trafiła go tuż poniżej ostatniego lewego zebra, robiąc niewielką dziurę jakieś dwa centymetry od bocznej krawędzi ciała. Nie było to wprawdzie tylko otarcie, ale pocisk nie uszkodził też

żadnego z organów. Problem jednak istniał: Matt miał w sobie parę sporych dziurek, które należało zaszyć. Co oznaczało szwy. A ponieważ należało wykluczyć możliwość udania się do szpitala lub do gabinetu lekarza, pozostawało mu tylko jedno rozwiązanie: zawierzyć krawieckim talentom Jabby.

Grubas radził sobie zadziwiająco nieźle. Udało mu się nie zwymiotować, gdy Matt dowlókł się do ich pokoju w ubraniu przesiąkniętym krwią. Dzielnie podreptał też do najbliższej apteki i kupił wszystkie artykuły z listy, którą pośpiesznie podyktował mu Matt: jodynę do wyczyszczenia rany, krem znieczulający do skóry, igły oraz zapalniczkę, żeby je wysterylizować, nylonowe nici, środki przeciwbólowy, bandaże.

Jeszcze większe wrażenie zrobił na Matcie, gdy udało mu się wykonać trzy szwy na ranie wlotowej, nie puszczając przy tym pawia, czego wprawdzie był bliski, gdy zabierał się za pierwszy z nich. Kolejne trzy załatwiły sprawę. Została jeszcze rana wylotowa.

Operację przeprowadzili w dalekiej od sterylności łazience motelowego pokoju. Matt w bokserkach siedział na podłodze, oparty o wykafelkowaną ścianę przy wannie, i zaciskał zęby, a Jabba przeciągał igłę przez krater, w jaki zamieniła się skóra wokół wylotu kuli. Bolało go o wiele bardziej niż zaraz po postrzale, gdy rana była ciepła i receptory bólu nie rozpoczęły jeszcze wściekłego szturmu na jego kręgosłup. Zrobiło mu się słabo i niedobrze, musiał z całej siły walczyć, żeby nie zemdleć. Przeczekiwał kolejne minuty, bez końca przekonując siebie samego, że męka wreszcie się skończy. Bo przecież wiedział, że się skończy. Musiał tylko wytrzymać jeszcze chwilę. Odniósł już w życiu kilka poważnych ran i choć postrzelony został po raz pierwszy, próbował sobie wmówić, że nie jest to niczym gorszym od paskudnego rozcięcia od noża. A to ostatnie kiedyś mu się zdarzyło. Tyle że wtedy zszywał go prawdziwy lekarz, który użył odpowiedniego środka znieczulającego, a nie dostępnego bez recepty kremu stosowanego przy hemoroidach czy depilacji woskiem nóg.

Gdy igła wyszła po drugiej stronie, zamrugał parę razy, powstrzymując łzy.

- I jak, ładnie zaszyłem? - zapytał Jabba, przeciągając nić trzęsącymi się palcami.

Matt wołał na to nie patrzeć. Wykrzywił jeszcze bardziej zlaną potem twarz.

- Pół życia spędzasz przed telewizorem. Musiałeś widzieć parę razy na filmach, jak to się robi.

- Jasne, ale zwykle odwracam wtedy głowę. - Naukowiec skrzywił się, przyciągając do siebie oba końce rany, a potem wiążąc nić w supeł. - Ale skoro o tym mowa - dodał - na filmach bohaterowie przeważnie robią to sobie sami.

- Zgadza się, a potem łądują z bliznami jak u Frankensteina, podczas gdy dr Jabba...

- Uroda Frankensteina gwarantowana - podsumował raczej mało dowcipnie Jabba, odcinając koniec nici. Szew nie należał do najelegantszych, ale rana przynajmniej już nie krwawiła. - Widzisz?

Matt wzruszył ramionami.

- W porządku. Słyszałem, że laski lecą na facetów z paskudnymi bliznami. Jak już ze mną skończysz, może rzucisz okiem na dziurę w kurtce? To moja ulubiona.

Siedem szwów i pół godziny później było już po bólu.

Sprzątając przypominającą rzeźnię łazienkę, Jabba opowiedział Mattowi, co udało mu się odkryć, kiedy go nie było. Niestety, nie było tego zbyt wiele. Wręczywszy znużonemu życiem recepcjonście dziesięć dolców, uzyskał dostęp do jego komputera. Zalogował się na Skypie i wykonał kilka telefonów, myszując jednocześnie po Internecie w poszukiwaniu bardziej szczegółowych informacji na temat osób, które zginęły w katastrofie helikoptera.

Poza Dannym i Reeceem udało mu się wygrzebać dwa nazwiska - inżyniera chemii, niejakiego Olivera Serresa, oraz inżyniera specjalizującego się w biologii molekularnej, Sunila Kumara.

- Obaj należeli do najlepszych w swoich dziedzinach i byli uznanymi naukowcami - wyjaśnił Mattowi. - Ale to trochę dziwne, stary. No wiesz, Kumar był biologiem. Póki co mamy więc jego, chemika, Reecea

- inżyniera elektryka oraz informatyka - i Dannyego, programistę. Tych trzech ostatnich rozumiem. Ale Kumar? Co ma z tym wspólnego biolog molekularny?

Mattwnie bardzo potrafił się rozeznac w tego rodzaju niuansach. W swoim obecnym stanie ledwo mógł uchwycić różnicę.

- A jak myślisz?

- Nie wiem, stary - westchnął z widocznym zakłopotaniem Jabba.

- Ci goście od biologii molekularnej zajmują się rearanzacją DNA, bawią się klockami życia. Rozkładają i składają na nowo atomy oraz molekuly, jak lego. Ten cały znak na niebie... Wygląda jak coś organicznego, może nawet żywego... Szara strefa między biologią a chemią, między życiem a nieżyciem, kapujesz? Jak o tym myślę, ciarki chodzą mi po plecach. Bo może to, co robią, ma więcej wspólnego z jakąś formą sztucznie wytworzonego życia niż z projektowanym obrazem.

Matt zmarszczył brwi, starając się nadażyć za tokiem myślenia naukowca.

- Chyba spędzasz za dużo czasu na oglądaniu Z archiwum X.

Jabba wzruszył tylko ramionami, jakby nie widział w tym niczego złego.

- Ci goście od biotechnologii zawsze dostają po łbie za to, że szperają w szufladach Pana Boga. Szufladach Pana Boga, człowieku! Kto wie, co tam znaleźli?

Pozwolił, by jego słowa wisiały przez chwilę w powietrzu, po czym odkręcił kran z zimną wodą. Napił się, spryskał sobie twarz i napełnił szklankę, mając zamiar podać ją Mattowi. Nie miał mu już nic więcej do powiedzenia. Nie udało mu się znaleźć żadnej wzmianki na temat sponsorów projektu Reecea, nie wspominając już o tym, czego dotyczył.

Za oknem szybko zapadał zmrok, co Matt przywitał z ulgą. Tego wieczoru nigdzie się nie wybierał. Musiał odpocząć. Jabba wyszedł kupić mu jakieś niepoplamione krwią ubrania oraz coś do jedzenia i kilka puszek coli. Pochłonęli łączywie kolację, oglądając wiadomości. Na wszystkich kanałach trąbiono o odkryciu w jaskini w Egipcie. Nawet dwie gorące pizze, choć dotarły w samą porę, nie byfy w stanie rozproszyć zimnego, nieprzyjemnego uczucia, jakie zaczęło w nich narastać.

- Sytuacja staje się poważna - zauważył ponuro Jabba. - I skomplikowana.

Matt skinął głową.

- Goście doskonale wiedzą, co robią.

- Nie o to mi chodziło.

- A o co?

- Ci ludzie. Dysponują naprawdę ogromnymi środkami. Pomyśl o tym, co robią. Najpierw gromadzą najlepszych naukowców i zlecają im projekt, nad którym pracują przez... Ile? Kilka lat? Potem wszystkich zabijają. - Zauważył na twarzy Matta nutę sprzeciwu i szybko się poprawił. - Czy tam, no wiesz, zamykają gdzieś i inscenizują ich śmierć - jeszcze bardziej skomplikowane. W dodatku wydaje się, że nikt nie wie, nad czym ci najwybitniejsi z wybitnych pracowali, i nie można znaleźć nawet cienia informacji na temat tego, kto był ich zleceniodawcą. Jedno jest pewne: chodzi o kupę forsy. Danny, Reece i pozostali nie zaangażowaliby się w projekt, jeśli nie byłiby pewni, że zostanie im zapewnione wszystko, czego zażądatają. A tego rodzaju badania raczej nie są tanie. Plus cała ta reszta, wszystkie te... - powiedział, machając ręką w stronę ekranu. - Goście mają naprawdę głębokie kieszenie, stary.

- Okej, co to więc może być za forsa?

Jabba zastanawiał się przez chwilę.

- Mamy dwie możliwości. Reece mógł zgromadzić środki od prywatnych sponsorów, choć na pewno należy w tym wypadku wykluczyć venture capital i spółki notowane na giełdzie. Zostałby jakiś ślad, zwłaszcza po śmierci uczestników projektu. Nie, to by musiały być prywatne pieniądze. Niełatwa rzecz, wzięwszy pod uwagę skalę przedsięwzięcia. I

praktycznie nie do wyśledzenia, bo przecież cały zespół kreatywny został przypuszczalnie sprzątnięty.

- A druga możliwość?

- Reece pracował dla agencji rządowej. Ścisłe tajny projekt. Co wydaje mi się bardziej prawdopodobne.

Matt spochmurniał. Na jego twarzy pojawił się wyraz niepewności. Sam się nad tym zastanawiał.

- Jacyś kandydaci?

Jabba wzruszył ramionami.

- DARPA. InQTel.

Matt spojrzał na niego pytająco.

- DARPA. Defense Advanced Research Projects Agency, Agencja Zaawansowanych Obronnych Projektów Badawczych. Są częścią Departamentu Obrony. Sponsorują masę badań. Wszystkó, od mikrobotów po wirtualne pola bitwy. Każdy rodzaj technologii, który pomógłby nam wygrywać wojny i zwyciężać wrogów nienawidzących naszej wolności - dodał drwiącym tonem.

- A to drugie?

- InQTel. To ramię CIA operujące w branży venture capital. Inwestują na początkowym etapie rozwoju projektów, co w sumie, jeśli się nad tym zastanowić, jest całkiem niegłupie z ich strony. Chodzi o to, żeby zacząć od parteru. Dowiedzieć się o użytecznym rozwiązaniu technologicznym w momencie, gdy inni dopiero o nim marzą. Ich macki sięgają wielu firm z branży technologicznej, w tym właścicieli kilku dużych, doskonale znanych stron internetowych, z których obaj korzystamy na co dzień.

Spojrzał na swojego rozmówcę znacząco, tak jakby mówił: „Uważaj, Wielki Brat patrzy”. Mattowi wydawało się, że zaczyna rozumieć, co chce mu powiedzieć.

- Operacja rządowa.

- To dosyć oczywiste, nie? To znaczy, jeżeli się nie mylimy, jeżeli faktycznie wywołali to całe zjawisko, to są na najlepszej drodze, by przekonać wszystkich, że przemawia do nas Pan Bóg. Może nawet przez dobrego ojca Jerome. Kto inny potrafiłby zмайstrować coś takiego?

Matt pomyślał, że hipoteza Jabby brzmi rozsądnie, w głębi duszy coś jednak nie dawało mu spokoju. Skrzywił się, a na jego twarzy pojawił się sceptyczny wyraz.

- Pewnie masz rację, ale... Sam nie wiem. Chodzi o tych gości w furgonetce. Albo o ten dom w Brighton.

- Co?

- To mała jednostka. Dysponująca znacznymi, ale wcale nie oszałamiającymi środkami. Jako bazę wybrali sobie domek w spokojnej dzielnicy. Sam nie wiem. Jeżeli to tajna operacja, to musi być faktycznie tajna, cholernie tajna.

- W takim razie jest gorzej, niż myślałem - stwierdził dobitnie Jabba. - Oficjalnie nie istnieją. Ten, kto ich wysłał, jest całkowicie kryty. Mogą nam zrobić, co im się żywnie podoba(i nikt się o tym nigdy nawet nie dowie. - Spojrzał pełen powagi na Matta. - Stary, musimy przestać się bawić w zgadywanki i zniknąć. Naprawdę. Wiem, że to twój brat i w ogóle, ale... Goście mają lekką przewagę.

Matt zastanowił się nad jego ostrzeżeniem. Był zbyt zmęczony, żeby myśleć jasno, ze zmęczenia i strachu miał nerwy w strzępach. Nie przestawała go jednak dręczyć pewna myśl, która była niczym kamizelka ratunkowa utrzymująca mu głowę ponad powierzchnią wody w czasie burzy, jaka nagle się wokół niego rozpiętała. Spojrzał na Jabbę i zapytał:

- A co, jeżeli Danny żyje?

Grubas wziął głęboki, pełen rezygnacji wdech.

- Naprawdę uważasz, że to możliwe?

Matt wrócił myślami do reakcji Twardziela na to samo pytanie. Mężczyzna zachował twarz pokerzysty, z której nie dało się wyczytać absolutnie nic.

- Nie wiem, ale... Co, jeżeli tak? Chcesz, żebym o nim zapomniał i uciekł?

Jabba wytrzymał przez chwilę jego wzrok, a w jego oczach pojawił się błysk niepewności. Wydawało się, że szuka rozpaczliwie sposobu, żeby wymazać z pamięci słowa Matta, i że niestety w żaden sposób nie jest w stanie tego zrobić. W końcu skinął głową.

- Niech ci będzie.

Matt przyjął jego zgodę, również kiwnąwszy głową. Po chwili milczenia poprosił Jabbę, żeby wydębił u recepcjonisty kilka dodatkowych minut w sieci i wszedł na stronę urządzenia naprowadzającego.

Naukowiec zostawił go samego, a po paru minutach wrócił uzbrojony w kilka stron wydruków zrzutu ekranowego. Wręczył je Mattowi. Ten rzucił na nie okiem i stwierdził, że urządzenie naprowadzające, z tego co mógł wywnioskować z danych, zmieniło lokalizację zaledwie kilka minut po jego ucieczce spod domu w Brighton. Tego właśnie się spodziewał. Sąsiedzi na pewno zgłosili strzelaninę. Wkrótce okolica miała zaroić się od gliniarzy.

Oczywiście bandyci musieli natychmiast opuścić dom. W pośpiechu. W panice. Przez jego wypad ich baza była spalona, a to wywołało u Matta uczucie lekkiej satysfakcji.

Sprawdził aktualną pozycję urządzenia. Nie przemieszczało się, a sygnał wskazywał na dzielnicę Seaport. To oznaczało, że wielki mercedes

- samochód twardziela, do którego Matt zdążył podpiąć swoją zabawkę
- znajdował się właśnie tam.

Spojrzał przelotnie na leżący na stoliku nocnym pistolet, a potem opuścił głowę z powrotem na poduszkę. Powieki opadły mu na oczy, odcinając dostęp do zewnętrznego świata. Ostatnią rzeczą, jaka mignęła mu przed nimi, zanim wszystko pograżyło się w ciszy, była twarz twardziela.

Człowiek ten mógł udzielić odpowiedzi na kilka pytań, które Matt rozpaczliwie chciał mu zadać. Twardziel czy nie, mniejsza z tym - Matt wiedział, że będzie musiał wydrzeć mu je z gardła.

ROZDZIAŁ 40

Klasztor asSurjani, Wadi anNatrun, Egipt

O świcie pustynna równina wokół klasztoru tętniła już życiem. Za murami, wzdłuż wąskiej drogi prowadzącej do głównej bramy, spalony słońcem ugór roił się od dziesiątek samochodów. Ludzie - głównie mężczyźni - tłoczyli się wokół swoich wozów lub stali w niewielkich grupkach. Czekali w napięciu i niepewności.

Nie można było dłużej zwlekać.

Gracie i Finch usiedli w środkowym rzędzie busiku po obu stronach ojca Jerome, brat Amin z tyłu, a Dalton, uzbrojony w kamerę - załadowaną, gotową do strzału - zajął miejsce obok Jusufa.

Odgłosy dobiegające zza murów wydawały się dziwnie przytłumione, jak na tak ogromny tłum. Właściwie panowała tam cisza, która tylko podbijała wiszące w powietrzu napięcie i nastrój wyczekiwania, przypominający chwilę spokoju między błyskawicą a gromem. Tu i ówdzie dał się słyszeć jakiś gwar. Fragmenty muzyki dobiegały od strony kilku grup chrześcijan, z pochylonymi głowami intonujących tradycyjne koptyjskie hymny. Trochę dalej, w znaczniejszej odległości od murów klasztoru, harmider był jednak większy. Kilku duchownych podżegaczy wyrzucało z siebie gniewnie inwektywy, demaskując księdza oraz znak przed zgromadzonymi współwyznawcami. Nigdzie nie było widać funkcjonariuszy sił wewnętrznych i choć obie przeciwstawione sobie grupy nie zdążyły się jeszcze zetrzeć, nikt nie miał wątpliwości, że na równinie w każdej chwili mogą wybuchnąć brutalne zamieszki.

Gracie zaczęła się martwić.

„To nie potrwa długo. Jeszcze parę minut i rzuca się sobie do gardeł”. Dlatego właśnie ojciec Jerome zgodził się - choć niechętnie - na wyjazd. To on był przyciągającym błyskawice piorunochronem. Jeżeli zniknie, być może burza przejdzie bokiem.

Patrzyła, jak opat zasuwa drzwi. Wbił wzrok w przyciemnioną szybę i z twarzą wykrzywioną niepokojem pomachał im nieśmiało na pożegnanie. Ojciec Jerome z równie stropioną miną odwzajemnił jego gest. Wydawał się jeszcze bardziej zagubiony niż w jaskini.

Opat ruchem dłoni polecił dwóm mnichom otworzyć wrota. Skinęli głowami i zaczęli ciągnąć ich ogromne skrzydła. Prastare cedrowe drzwi odwróciły się powoli do wewnątrz, skrzypiąc zardzewiałymi zawiasami, i na dziedziniec wdarła się kakofonia dźwięków - tłoczący się na zewnątrz ludzie zauważyli, co się dzieje, i tłum nagle obudził się do życia.

Gracie w momencie otoczył nieludzki hałas. Poczula, że przyspiesza jej puls. Poprawiła się niepewnie w fotelu, wyrzawszy za okno, a połączenie strumienia zimnego powietrza z włączonej na cały regulator klimatyzacji ze stęchłym nieco zapachem kadzidła dobiegającym od sutanny ojca Jerome tylko wzmogło jej podekscytowanie.

- Czas na rumbę - powiedział Dalton, przenosząc obiektyw kamery na boczne okno i celując przed siebie.

Dziennikarka przełknęła ślinę.

Stary busik wystrzelił do przodu z bramy. Szybko oddalał się od niej wzdłuż murów klasztoru, ale ludzie niemal natychmiast rzucili się przez busz i skupili wokół niego. Gdy minął fortyfikacje i skręcił na drogę prowadzącą z monastynu, tłum zafalował. W stronę samochodu pomknęły niezliczone wyciągnięte dłonie usiłujące powstrzymać ucieczkę księdza. Jusuf zwolnił, gdyż nagle wolna przestrzeń przed przednim zderzakiem wozu skurczyła się do zera. Wcisnął klakson i zdołał przejechać jeszcze jakieś trzydzieści metrów, ale w końcu musiał się zatrzymać, zablokowany przez ścianę ludzi.

Gracie nachyliła się i wetknęła głowę między Jusufa a Daltona, który robił właśnie panoramiczne ujęcie otaczającego samochód pandemonium. Do przyciemnianych okien toyoty przyciśnięte były twarze, których właściciele desperacko wołali ojca Jerome po imieniu, próbowali sprawdzić, czy jest w środku, błagali, żeby z nimi porozmawiał. Szarpali za klamki drzwi, walcząc z zamkami; szyba wykrzywiała karykaturalnie rozplaszczone na niej nosy i policzki, a spocone, pokryte kurzem dłonie znaczyły brudem okna. Ojciec Jerome skulił się na siedzeniu, rzucając na prawo i lewo nerwowe spojrzenia na twarze, która zza przyciemnianego szkła wydawały się jeszcze groźniejsze.

- Musimy wracać! - krzyknął Finch do Jusufa. - Musimy wracać do klasztoru!

- Nie damy rady! - zawołała Gracie, wyciągając szyję tym razem do tyłu i spoglądając na masę ciał napierających ze wszystkich stron na samochód. Ludzie walili pięściami w dach i okna, które wydawały odgłosy przypominające wojenne bębny. - Utknęliśmy!

Na skraju tłumu, na niewielkim wzniesieniu przy niszczących resztkach starego muru, trzech mężczyzn w krytym brezentem pickupie z ogromnym zainteresowaniem przyglądało się całemu zamieszaniu przez silne, wojskowe żółte lornety.

Gdy busik zniknął pod mrowiem ciał, Fox Two spojrzał raz jeszcze i doszedł do wniosku, że czas działać.

Nieznacznym ruchem ręki dał sygnał swoim ludziom.

Jeden z nich odwinął róg brezentowego nakrycia, odsłaniając schowane pod nim zamontowane na trójnogu, przypominające bęben urządzenie. Drugi z mężczyzn stanął za nim, spojrzał przez celownik i wymierzył je w tłoczących się z tyłu toyoty mężczyzn.

Dwa razy kliknął w ustawienia.

A potem pociągnął za spust.

Tłum naciskający na busika na moment się cofnął, jakby pod uderzeniem niewidzialnej siły, a twarze ludzi wykrzywił ból i wszyscy zacisnęli dłonie na uszach.

Trwało to zaledwie sekundę, ale Finch zdążył zarejestrować to dziwne zachowanie - podobnie jak brat Amin. Gdy tłum się cofnął, za toyotą otworzyła się wolna przestrzeń.

Brat Amin podchwycił wzrok Fincha - obaj mieli na twarzy wymalowane zdumienie - po czym wskazał na tylne okno i zawołał rozpaczliwie do Jusufa:

- Do tyłu!

Kierowca oraz Gracie odwrócili głowy i zauważyli pustą przestrzeń.

- Do tyłu! Już! - zawołał ponownie brat Amin.

Kierowca skinął z wahaniem głową, wrzucił wsteczny i - z dłonią ciągle na klaksonie - zaczął cofać samochód. Tłum zdziwionych ludzi zafalował i ustąpił im miejsca.

- Jedź! - wołała Gracie, rozglądając się we wszystkich kierunkach. - Wracaj do bramy!

Previa nabrała rozpędu, a Jusuf wykorzystał niepewność tłumu i wcisnął mocniej pedał gazu. Dotarłszy do klasztornych fortyfikacji, skręcili gwałtownie i mogli już poruszać się pewniej wzdłuż murów, ciągle na wstecznym i ścigani przez rozszalały tłum. Nagle rozpętała się bitwa: ludzie rzucili się do ataku i zaczęli się nawzajem szarpać. Zwolennicy ojca Jerome usiłowali nie dopuścić do busiku podburzonych przez podżegaczy wyznawców islamu. Toyota przecisnęła się przez kotłowaną zakrwawioną pięść i dotarła wreszcie do wrót klasztoru, które w tym samym momencie się otworzyły. Jusuf wprawnie przecisnął wóz przez bramę, a ta natychmiast z powrotem się zatrzasnęła, odcinając napierający tłum.

Wszyscy w oszołomieniu wygramolili się z samochodu, czując, że serca walą im jak młotem, a w żyłach krąży szybko krew. Dalton ciągle filmował, rejestrując każdy moment ich ucieczki.

- Chodźmy na górę! - zawołała Gracie do kolegów, wskazując warownię wyrastającą z murów klasztoru tuż obok bramy.

Finch skinął głową.

- Weźmy tam terminal BGAN - dodał, wyciągając z toyoty niewielką antenę satelitarną. - Goście na zewnątrz nadają to na żywo.

Gracie spojrzała na ojca Jerome.

- Proszę wejść do środka, ojcie. Musi się ksiądz gdzieś schronić, najlepiej z dala od bramy - ostrzegła.

Przeniosła wzrok na opata, który skinął głową, zgodziwszy się z nią.

Wyglądało jednak na to, że nie przekonała ojca Jerome.

Duchowny nawet nie usłyszał jej słów. Wydawało się, że jego umysł krąży gdzieś daleko, że jest czymś zajęty. Ojciec Jerome utkwiał wzrok w dali, za bramą, w napierającym na nią tłumie krzyczącym jego imię, i sprawiał wrażenie zadziwiająco spokojnego.

- Muszę z nimi porozmawiać - odezwał się w końcu pewnym i opanowanym głosem.

Jego wzrok spoczął ponownie na Gracie, a następnie na opacie. Potem, nie czekając na odpowiedź, duchowny ruszył spod samochodu w kierunku warowni.

- Niech ksiądz zaczeka! - zawołała dziennikarka, puszczając się za nim biegiem.

Opat i brat Amin dołączyli do niej.

- Muszę z nimi porozmawiać -(powtórzył z uporem ojciec Jerome, nie odwracając się ani nie zatrzymując. Po chwili dotarł do wąskich schodów i zaczął się wspinać po kamiennych stopniach.

Pobiegli za nim, przez most zwodzony na piętrze weszli do warowni i po chwili znaleźli się na ostatnim piętrze. W rogu kaplicy ciągle stała rozchybotana drewniana drabinka, oparta o krawędź ciasnego wjazdu. Minutę później wszyscy byli już na dachu.

Gracie, Finch i Dalton podeszli ostrożnie do krawędzi i rzucili okiem na tłum poniżej.

To, co się tam działo, bynajmniej nie podniosło ich na duchu. Pod bramą klasztoru tłoczyły się setki osób. Śpiewały, krzyczały, machały rękami i uderzały pięściami powietrze w oczekiwaniu na jakąś odpowiedź, oglądały się nerwowo przez ramiona i usiłowały dojrzeć coś w tyle, gdzie toczyła się coraz bardziej zacięta walka, która w dodatku rozprzestrzeniała się lotem błyskawicy, grożąc, że obejmie za chwilę swoim zasięgiem całą równinę.

Dalton nawiązał połączenie na żywo, a Finch przez telefon satelitarny uzyskał kontakt z Atlantą. Gracie, łapiąc za słuchawkę i mikrofon, układała w myślach komentarz, jaki miała za chwilę wygłosić do widzów na całym świecie, i jednocześnie obserwowała starego księdza, który stał przy włączniku i wpatrywał się w krawędź dachu odległą od niego zaledwie o sześć metrów, jedyną barierą oddzielającą go od wrzawy poniżej. Ze swojego miejsca mógł usłyszeć tłum, ale jeszcze nikogo nie widział. Opat i młody mnich zaczęli go błagać, by nie wystawiał się w ten sposób, tłumacząc, że ktoś w dole pewnie ma broń i z łatwością może go zastrzelić. Ojciec Jerome nie zwracał na nich uwagi. Pokręcił spokojnie głową. Promieniowała z niego dziwna mieszanka strachu i determinacji. Ręce zwisały mu bezwładnie po bokach, wyprostował palce, a jego obute w sandały stopy nawet się nie poruszyły. Odwrócił głowę w bok i napotkał wzrok Gracie. Kiwnąwszy jej w ledwie dostrzegalny sposób głową, ruszył przed siebie.

Przeżrana Gracie odwróciła się do Fincha i Daltona. Obaj siedzieli w kucki przy niewielkiej, zwieńczonej krzyżem kopule w kącie płaskiego poza tym dachu. Dalton trzymał już kamerę i śledził za jej pomocą księdza. Finch dał Gracie znak, że są na wizji. Dziennikarka złapała za mikrofon i ruszyła przed siebie w stronę księdza, który właśnie dotarł do krawędzi dachu. Nagle oniemiała.

Ojciec Jerome zatrzymał się i spojrzał w dół, gdzie tłum odezwał się donośnym rykiem, w którym wiwaty i okrzyki uwielbienia mieszały się z wściekłymi pohukiwaniami. Ludzie rzucili się przed siebie, wykrzykując jego imię i machając do niego w euforii, wzmagającej z kolei gniew tych, których nie ucieszyło pojawienie się księdza, i walka nagle stała się jeszcze bardziej zaciekle. Na równinie rozległy się okrzyki: Kafir, czyli „błuznierca”, i La ilah illa Allah, „Nie ma Boga oprócz Allaha”, a najbardziej rozsierdzeni protestujący zaczęli rzucać w warownię kamieniami.

Stary ksiądz z niedowierzaniem patrzył na rozgrywające się w dole dzikie sceny i na jego twarzy pojawiły się krople potu. Powoli unióśł ręce, wyciągając je wysoko i szeroko w powitalnym geście. I znowu, tak jak wcześniej, gdy samo jego pojawienie się wywołało burzę, tak i teraz wydawało się, że jego zachowanie jeszcze bardziej spolaryzowało tłum i dolało oliwy do ognia.

- Proszę! - zawołał z ciężkim akcentem po arabsku. - Proszę, przestańcie! Przestańcie i posłuchajcie mnie!

W ogólnej wrzawie jego prośby były ledwo słyszalne, nie wywarły zresztą na tłumie większego wrażenia. Kamienie ciągle odbijały się od murów warowni, kilka przemknęło

nawet obok niego, on jednak stał nieporuszony z wyciągniętymi wysoko rękoma, zamknął oczy, na jego twarzy malowało się skupienie i...

I nagle tłum wstrzymał oddech. Gracie zobaczyła, że ludzie wskazują palcami coś na górze - nie księdza, ale gdzieś wyżej, na niebie. Odwróciła się i dostrzegła obracającą się ponad księdzem kulę światła o średnicy jakichś sześciu metrów. Wisiała przez chwilę w miejscu, po czym zaczęła się unosić pionowo w górę. W pewnym momencie zapłonęła, rozrastając się gwałtownie i rozbłyskując jaskrawym światłem, i nagle zamieniła się w znak, ten sam, który dziennikarka widziała nad lodowcem: mieniący się, masywny kulisty kalejdoskop przechodzących jeden w drugi świetlistych wzorów. Jego dolna krawędź unosiła się co najwyżej sześć metrów ponad głowę ojca Jerome.

Tłum zamarł; ludzie nie byli w stanie się poruszyć i jak urzeczeni, z otwartymi ze zdumienia ustami, wpatrywali się w niebo. W powietrzu przestały fruwać kamienie. Walka została przerwana. Umilkły złorzeczenia. Znak wisiał w powietrzu, mieniając się tysiącem barw, obracając bardzo powoli - i to niemal w zasięgu ręki, bliżej niż na okręcie badawczym. Jego promieniste linie i kręgi były wprost hipnotyzujące.

Dalton, leżąc na plecach na krawędzi dachu, filmował znak i wykonywał od czasu do czasu panoramiczne ujęcia reakcji ludzi. Gracie ciągle przykuciała obok niego, jakieś cztery metry od ojca Jerome, który z odchylną głową w osłupieniu wpatrywał się w pobłyskujące ponad nim zjawisko. Kamera zatoczyła łuk, zatrzymując się na chwilę na Gracie. Dziennikarka spojrzała w ciemną otchłań obiektywu, ale nie była w stanie wykrztusić z siebie nawet słowa. Pragnęła coś powiedzieć, czuła na sobie oczy całego świata, który zamarł na krawędzi foteli przed telewizorami i żądał od niej, żeby powiedziała, jak to jest być tam w takiej chwili - ale nie mogła tego zrobić. Tego wrażenia po prostu nie dało się opisać słowami. Przeniosła wzrok z powrotem na oślepiającą kulę światła, gdy nagle ojciec Jerome opuścił głowę i spojrzała mu w oczy. Widziała, że cały dygocze, i zauważyła łzę spływającą mu po policzku. Wyglądał na przerażonego i zbitego z tropu, a na jego ściągniętych rysach twarzy było wyryte skierowane do niej bolesne pytanie: „Czy naprawdę ja to robię?”, oraz niemała prośba, by potwierdziła, że ona również to widzi, tak jakby on sam nie potrafił w to uwierzyć. Zmusiła się, by skinąć mu głową i uśmiechnąć się pocieszająco - ale nagle spoważniał, tak jakby zaskoczyła go jakaś myśl. Zamknął oczy i wydawało się, że próbuje się skoncentrować. Po kilku sekundach odwrócił się twarzą do tłumu. Patrzył przez chwilę na zgromadzonych, po czym rozpostarł szeroko ramiona i odchylił głowę, zwracając się w stronę kuli. Zamknął znowu oczy i oddychał głęboko, upajając się promieniowaniem znaku, wchłaniając jego energię. Tłum poniżej ciągle był sparalizowany i w milczeniu wpatrywał się

w księdza. Ludzie wyciągali w górę ręce, tak jakby próbowali dotknąć pustej w środku kuli światła.

Ojciec Jerome przez prawie minutę wytrwał w tej postawie, po czym otworzył oczy i spojrzał na zgromadzonych.

- Módlcie się ze mną! - zawołał głosem drżącym z emocji i wyciągnął ręce ku niebu. - Módlmy się razem!

I wszyscy zaczęli się modlić.

Przez cały tłum przemknęła fala niczym na stadionie piłkarskim. Wszyscy - chrześcijanie i muzułmanie, wielbiciele i przeciwnicy księdza - padli na kolana i pochylili się ku ziemi, bijąc w nią czołami i padając na twarz w pełnej trwogi adoracji.

ROZDZIAŁ 41

Waszyngton

Co ty, do jasnej cholery, wyprawiasz!?! Myślałem, że zawarliśmy umowę! Rydell gotował się ze złości. Przez całą noc nie spał, oglądając wiadomości. Relacje z Egiptu pojawiły się na ekranach tuż po północy i gdy krążył teraz po kabinie pasażerskiej swojego prywatnego jęta obok dyskretnego hangaru na Lotnisku im. Reagana, wydawało mu się, że zaraz zaleje go krew.

- Nigdy nie udało nam się dojść w tej kwestii do porozumienia, Larry

- odparł gładko Drucker, który siedział w miękkim, luksusowym fotelu.

- Nie chciałeś się zgodzić, żeby zrobić to nieco inaczej.

- Więc po prostu i tak to zrobiłeś?

- Obaj sporo w to zainwestowaliśmy. Nie miałem ochoty ryzykować wszystkim tylko i wyłącznie z powodu twojego uporu.

- Uporu!?! - wybuchnął Rydell. - Keenan, ty chyba nie wiesz, co robisz! Czy zastanawiałeś się kiedykolwiek, do czego to doprowadzi?

- Ale to się sprawdza, nieprawdaż?

- Jeszcze za wcześnie, by o tym wyrokować. Drucker przechylił nieznacznie głowę.

- Nie bądź fałszywy. Sam siebie w ten sposób obrażasz.

- Nie wiem, czy to się sprawdza, ale...

- Owszem, sprawdza, Larry - przerwał mu stanowczo Drucker. - Ponieważ ludzie już tacy są. Od tysięcy lat tak się zachowują.

- Nie potrzebowaliśmy tego.

- Oczywiście, że potrzebowaliśmy. Czego się spodziewałeś? Myślałeś, że ludzie będą tylko patrzyli na znak i „załapią”?

- Owszem. Gdybyśmy dali im szansę.

- Nie bądź naiwny. Jeżeli ludzie czegoś nie rozumieją, grzebią to po prostu gdzieś w najdalszym zakamarku umysłu, gdzie w końcu zanika i zostaje zapomniane. Ponieważ tak jest łatwiej. Nie, ludzie potrzebują, żeby ktoś powiedział im, w co mają wierzyć. Zawsze tak było. I znowu tak jest.

- I co teraz? - zapytał Rydell nadal gotującym się z wściekłości głosem. - Co masz zamiar teraz zrobić?

Drucker się uśmiechnął.

- Po prostu pozwolimy mu poszerzyć krąg wyznawców. Niech rozgłosi dobrą nowinę.

- To niewykonalne, i dobrze o tym wiesz! - wybuchnął Rydell. - Tworzysz coś, czego się nie da utrzymać.

- Chyba że zaszczepimy to na już istniejącej strukturze. Takiej, która ma w sobie długofalowy potencjał. Która potrafi przetrwać całe wieki.

Rydell pokręcił głową.

- Nie mogę uwierzyć, że to mówisz. Właśnie ty.

Drucker zachichotał.

- Powinieneś docenić tkwiącą w tym ironię. Powinieneś siedzieć w fotelu i dusić się ze śmiechu, zamiast tak się pieklić.

- Nie mogę nawet zrozumieć, że... - Rydell nie był w stanie opanować wzburzenia. - Nie rozumiesz, co? Nie widzisz, że robisz coś bardzo złego?

- Daj spokój, Larry. Dobrze wiemy, czym rządzi się ten świat. Istnieją tylko dwa pewne sposoby, żeby przekonać ludzi do zrobienia tego, czego od nich chcesz. Możesz włożyć żelazną rękawicę i zmusić ich do tego. Albo powiedzieć im, że chce tego od nich Bóg. Skoro taka wola Boska - zadrwił - niech tak się stanie. Wtedy dopiero słuchają. A zważywszy, że nie żyjemy w czasach i kraju Wujka Joego lub przewodniczącego Mao...

- I na tym właśnie polega różnica! - zaprotestował Rydell. - To Bóg powinien tego chcieć. Bóg. Nie jakiś Jego samozwańczy, świętszy od papieża przedstawiciel.

- To tak nie zadziała, Larry. Zbyt mgliste. Zbyt otwarte na interpretację. Pokładasz w ludziach zbyt wiele zaufania, żądając od nich, żeby odszyfrowywali przesłanie na własną rękę. To się jeszcze nigdy nie sprawdziło. Ludzie nie nawykli rozwiązywać zagadek

samodzielnie. Chcą za kimś podążać, być prowadzeni. Potrzebują przewodnika. Posłańca. Proroka. Zawsze potrzebowali. I zawsze będą.

- Więc projektujesz... bo ja wiem, Drugie Przyjście?

- Niedokładnie, ale coś w tym rodzaju. A dlaczego nie? Potężny procent ludzkości tego właśnie oczekuje. Całe to gadanie o końcu czasów i Armagedonie. Wspaniała okazja.

- A co z innymi religiami? Bo chyba zdajesz sobie sprawę, że na naszej planecie są takowe, co? Jak twoim zdaniem zareagują na twojego podrobionego mesjasza?

- Podzielimy się nim. To część planu. Jego przesłanie dotrze do wszystkich.

- Dotrze do wszystkich i przekona ich, by podążyli za Jezusem? - zapytał sceptycznym tonem Rydell.

- CÓŻ - odparł Drucker, a na jego ustach zagościł figlarny uśmiezek - nie nazwałbym tego najważniejszą częścią jego przekazu, ale przypuszczam, że może się to okazać ubocznym efektem jego nauczania.

- Świetnie! - zawołał Rydell. - I tym samym będziesz promował zbiorowe urojenia, z których od tysięcy lat nie udało nam się wyzwolić. Wyobrażasz sobie używanie, jakie będą mieli z tego powodu ci wszyscy kaznodzieje? Jaką władzę przekazesz tym całym farbowanym, samolubnym egomaniakom? Zamienisz wszystkich nawróconych polityków i telekaznodziejów w świętych, czyniących samo dobro. I zanim się zorientujesz, uznają pigułkę za formę aborcji i zabronią jej, Dzień zagłady zakwalifikują jako lekturę szkolną, urządzą publiczne palenie egzemplarzy Harryego Pottera, dzieciaki za karę będą odmawiać Zdrowaś Mario, a w każdym mieście otworzy się muzeum kreacjonizmu. Jeśli na tym ma polegać twoja strategia kompromisu, to ja już wolę globalne ocieplenie.

- To wcale nie musi tak wyglądać. Zapominasz o jednej rzeczy - zaczął tłumaczyć Drucker, pochyliwszy się ku rozmówcy z twarzą rozpaloną nadzieją. - Kontrolujemy posłańca. Zastanów się nad tym, Larry. Mamy szansę stworzyć sobie proroka. Własnego mesjasza. Wyobraź sobie tylko, jakie płyną stąd możliwości. Pomyśl, do czego możemy nakłonić ludzi.

Drucker wbił w Rydella zimny, wyrachowany wzrok.

- Wiesz, że mamy rację - kontynuował. - Wiesz, że nie było innego sposobu. Ci ludzie nie czytają gazet. Nie szukają informacji w Internecie. Słuchają tego, co mówią im ich kapłani - i wierzą im. Fanatycznie. Nie kwestionują niczego, co powie kapłan. Nie próbują nawet weryfikować za pomocą faktów tego, co słyszą w swoich megakościołach. Z radością łykają wszystko, niezależnie od tego, jakie by to było żalosne, i nawet cała armia obdarzonych zdrowym rozsądkiem zdobywców Pulitzera czy szafujących dowodami laureatów Nagrody

Nobla nie jest w stanie ich od tego odwieść. Odrzucają ich jako agentów szatana. Diabła, który próbuje zamącić im w głowach. Potrzebujemy tych fanfaronów. Potrzebujemy ich, żeby głosili nasze posłanie. A jak skuteczniej zwerbujemy ich do naszej drużyny, niż podając im na tacy nowego proroka, którego będą mogli sprzedać swojej trzódce?

Coś w jego słowach nie zgadzało się Rydellowi.

- A co z resztą świata? Mówisz tak, jakby poza nami nikt nie stanowił problemu.

- Produkuje najwięcej zanieczyszczeń, nieprawdaż? Zaczniemy więc od siebie samych. Reszta świata pójdzie w nasze ślady. - Przerwał i przez chwilę mierzył miliardera uporczywym wzrokiem. - Nasz główny cel się nie zmienił. Ciągłe robimy to z tych samych powodów. Ciągłe chodzi o przetrwanie. Ciągłe mówimy o zagrożeniu dla naszej planety. Próbuje przekonać ludzi, by zawrócili z obranej dawno temu ścieżki.

- Wysyłając ich z powrotem do średniowiecza? Dając idiotom prawdziwy powód, by uwierzyli w swoje przesady rodem z epoki brązu?

- Prawda? - Drucker się uśmiechnął. - Zaczynasz łapać tkwiącą w tym ironię. - Przyjrzał się Rydellowi, po czym dodał: - Tak czy inaczej, wszystko to zamieniło się w ruch religijny, Larry. Zdajesz sobie z tego sprawę. Ta sama stara historia, ten sam klasyczny mit wypalony w naszych mózgach, a w tym przypadku pasuje jak ulał. W końcu to opowieść o zbawieniu, nieprawdaż? Jesteśmy grzesznikami. Wszyscy jesteśmy grzesznikami. Bóg obdarował nas ogrodem Eden, a my go zbeczciliśmy naszymi konsumpcyjnymi orgiami. I teraz musimy za to zapłacić. Złożyć wielką ofiarę, samobiczować się, jeździć mniejszymi samochodami, zużywać mniej prądu, oszczędzać na lataniu samolotami oraz innych luksusach, które uznawaliśmy za rzecz oczywistą, zdławić nasze gospodarki niemal na śmierć, żeby to wszystko wyprostować. Musimy pokonać antychrysta zanieczyszczenia środowiska i szukać zbawienia w równowadze ekologicznej, zbawić samych siebie, zanim zwali się na nas Dzień Sądu i zmiecie nas z powierzchni Ziemi jakąś gwałtowną, przypominającą Armagedon zmianą klimatyczną. Tak to właśnie wygląda, Larry. A dzieje się tak dlatego, że ludzie lubią mity. Żyją nimi. Prędzej czy później wszystko zamieniają w krucjatę. A krucjata, żeby słowo rozeszło się po całym świecie i wprawilo w ruch wir wydarzeń, potrzebuje nie tylko znaku, ale i proroka.

Rydell przez chwilę patrzył w bok, kręcąc głową. Ciągłe nie mógł uwierzyć, że naprawdę prowadzi tę rozmowę. Że po tym, jak omówili całą rzecz wiele miesięcy wcześniej i odłożyli ją w czasie na nieokreślone jutro - przynajmniej tak mu się wydawało - że to naprawdę teraz się działo, przyjmując w dodatku najbardziej koszmarną, najbardziej katastroficzną z możliwych postaci.

- A pozostali... Czy wszyscy zgodzili się z tobą?

- Bez wahania.

- Ale jak to się skończy? Czy naprawdę sądzisz, że zawsze będziesz w stanie utrzymywać ojca Jerome w ryzach? Naprawdę sądzisz, że potrafisz bez końca podsycać to kłamstwo? Prędzej czy później ktoś się połapie. Coś się spieprzy, ktoś gdzieś coś palnie i wszystko wyjdzie na jaw. Co wtedy?

Drucker wzruszył ramionami.

- Mamy wszystko na oku.

- Nawet najlepszy plan może się w końcu posypać. Sądziłem, że to właśnie jeden z głównych powodów, dla których zgodziłeś się nie iść tą drogą.

Polityk nie miał zamiaru zmieniać zdania.

- Chcemy wszystko kontrolować tak długo, jak tylko się da.

- A potem?

Drucker zastanawiał się przez chwilę, a potem machnął ręką, tak jakby rozmawiali jedynie o drobnej uciążliwości.

- Potem wymyślimy jakieś zgrabne wyjście z sytuacji.

Rydell skinął stoicko głową, próbując przetrwać to, co usłyszał. Siedział nieruchomo, sparaliżowany szokiem, jakiego doznał, i wbijał wzrok w nieokreśloną dal, tak jakby właśnie się dowiedział, że został mu tylko tydzień życia.

- Nie - powiedział w końcu z konsternacją. - Nie tędy droga. Popełniasz ogromny błąd.

Drucker zmrużył nieco oczy.

- Przemyśl to sobie jeszcze, Larry. Nie spiesz się. Przekonasz się, że mam rację.

Rydell w ogóle go nie słuchał. Przed oczami stanął mu znowu obraz księdza na dachu klasztoru w Egipcie, nad którego głową unosił się znak, oraz setek bijących przed nim pokłony wyznawców.

- Nawet przy najlepszych intencjach, nawet biorąc pod uwagę to, co masz zamiar zrobić... Nie chcę w tym uczestniczyć. Nie mogę ci pomóc w tym, by... By ten wirus stał się jeszcze silniejszy niż do tej pory.

- Będziesz musiał. Obaj mamy zbyt wiele do stracenia - przypomniał mu oschle Drucker.

- Nie tędy droga! - wybuchnął znowu Rydell. - Według planu mieliśmy ich tylko nastraszyć, Keenan. Sprawić, że zatrzymają się i zastanowią nad tym, co robią. I tyle. Kilka cudownych objawień, starannie dobranych pod kątem miejsca i czasu, a potem koniec.

Celowo niewyjaśnionych. Tajemniczych, niepokojących, przerażających. Zgodziliśmy się co do tego, do jasnej cholery! Zgodziliśmy się, że dobrze będzie, jeśli ludzie nie dowiedzą się, skąd pochodzi znak, jeśli zaczną wierzyć, że wyświetlili go na niebie jacyś obcy, przedstawiciele wyższej inteligencji. Genialność całego planu polegała na tym, że ludzie nie tylko będą musieli zatrzymać się i zacząć słuchać, ale że może również uwolnią się od dziecięcego przekonania, że mają własnego Boga, swojego osobistego Boga, tego staruszka z białą brodą, który wysłuchuje każdej ich najbardziej nawet żalostnej prośby i ustala kretyńskie zasady, co mają jeść, pić, w co się ubierać albo komu się kłaniać, pomoże im dojrzeć do pojęcia Boskiej Istoty, niezgłębionej, niewytłumaczalnej...

-...i zamieni w półmózgich, popieprzonych agnostyków - drwiącym tonem dokończył za niego Drucker.

- No cóż, owszem. Ale to krok we właściwym kierunku, prawda?

Polityk pozostał nieczuły na jego argumenty. Pokręcił głową.

- To szlachetny pomysł, Larry, ale... Nie było innego sposobu, żeby to osiągnąć. Świat nie jest gotowy porzucić obsesję religii. Wręcz przeciwnie. Z każdym dniem coraz silniej popada w fundamentalizm. I nie dotyczy to tylko naszych wrogów. My robimy to samo. Popatrz, co się dzieje w tym kraju. Nie ma już ani jednego kongresmena czy senatora, który przyznałby, że jest ateistą. Ani jednego! Do diabła, w ubiegłym roku mieliśmy na podium dziesięciu kandydatów na prezydenta i ani jeden z nich nie ośmielił się podnieść ręki, by powiedzieć, że wierzy w ewolucję!

- A ty sprawisz, że stan ten jeszcze się pogorszy

- Kompromis. Tylko tego rodzaju posłanie są w stanie zrozumieć.

Rydell ponownie pokręcił głową.

- Nie. Nie tędy droga. Nie widzę potrzeby, żeby rozgrywać to w ten sposób. Sprawisz, że być może zniknie jedno zło, ale podsycasz inne, równie nikczemne. Z powodu którego świat dla każdego rozsądnego człowieka zamieni się w piekło na ziemi. - Na jego twarzy pojawił się wyraz ponurej determinacji. Spojrzał twardo Druckerowi w oczy. - Musimy znaleźć sposób, żeby się z tego wycofać. Musimy to powstrzymać, zanim wymknie się spod kontroli.

- Widziałeś, co się właśnie wydarzyło w Egipcie. Już za późno.

- Musimy to powstrzymać, Keenan - powtórzył uparcie Rydell.

Drućker wzruszył ramionami.

- Pewnie obaj będziemy zmuszeni pozostać w tym względzie przy swoim zdaniu.

- Ciągle mam tu coś do powiedzenia.

- W granicach rozsądku. A właśnie zaczynasz je przekraczać.

Rydell zastanawiał się przez chwilę, po czym postanowił sprowokować polityka:

- Inteligentny proszek. Potrzebujesz mnie.

- Owszem - przyznał spokojnie Drucker.

- Bez niego nic nie wskórasz.

- Wiem.

Rydella uderzył brak choćby cienia wzburzenia w głosie Druckera.

- Więc?

- Więc... - Polityk skrzywił się, tak jakby bolało go to, co musi powiedzieć. - Więc musiałem załatwić sobie coś w rodzaju polisy ubezpieczeniowej.

Rydell przyjrzał mu się, niepewny, co mogą oznaczać jego słowa - i nagle zrozumiał.

- Co? - syknął. - Co zrobiłeś? Co zrobiłeś, sukinyń!

Drucker pozwolił mu gotować się przez chwilę, po czym rzekł po prostu:

- Rebecca.

Rydell poczuł coś jak pchnięcie szpikulcem do lodu w serce. Oczy zamieniły mu się w spodki, wyszarpał z kieszeni telefon i wcisnął klawisz szybkiego wybierania. Po dwóch sygnałach w słuchawce odezwał się głos. Nie był to głos Rebekki. Należał do mężczyzny. Rydell natychmiast go rozpoznał: głos ochroniarza jego córki.

- Ben, gdzie jest Becca?

- Jest bezpieczna, panie Rydell.'

Serce biznesmena z ulgi wykonało pełnego koziołka. Popatrzył z triumfem na Druckera.

Twarz mężczyzny pozostała całkowicie pogodna.

Rydell znowu poczuł ukłucie niepokoju.

- Daj mi Beccę - polecił ochroniarzowi, mając nadzieję, że usłyszy odpowiedź, której jednak tak naprawdę już się nie spodziewał.

- Nie mogę tego zrobić, panie Rydell.

Poczuł, że skręcają mu się jelita.

- Daj mi ją! - warknął.

Głos ochroniarza nawet nie zadrżał.

- Proszę bardzo, ale pod warunkiem że każe mi to zrobić pan Drucker.

Rydell cisnął aparatem o podłogę i rzucił się na Druckera.

- Gdzie ona jest? - wrzasnął.

Polityk zerwał się i odparł atak Rydella, chwytając go za dłoń oraz łokieć i wykręcając je na bok, a potem do tyłu. W tej samej sekundzie kopnął biznesmena w nogę. Ten zwałił się ciężko na podłogę, uderzając w jedno z siedzeń. Drucker wpatrywał się w niego przez chwilę, po czym cofnął się kilka kroków.

- Nic jej nie jest'- powiedział, poprawiając marynarkę. Na jego twarzy pojawił się rumieniec, a oddech stał się nieco przyspieszony. Wciągnął w płuca powietrze, żeby się uspokoić, a potem dodał: - I nic jej nie będzie. Dopóki nie popełnisz jakiegoś głupstwa. Rozumiemy się?

ROZDZIAŁ 42

Klasztor asSurjani, Wadi anNatrun, Egipt

Czterysta metrów na zachód od klasztoru, osłonięci pustynną siatką maskującą, Fox Two i jego dwóch ludzi siedzieli ukryci za rozpadającym się murem, obserwując cel przez silne lornetki i czekając.

Obok nich, przykryte brezentem z ciężarówki, leżało długodystansowe urządzenie akustyczne, gotowe do użycia - do ponownego odpalenia potężnej dawki niewidzialnej energii. Dla potrzeb misji pomalowano je matową, piaskowobeżową farbą, dzięki czemu idealnie wtapiało się w teren w okolicach klasztoru oraz wyżej, na szczycie góry, nad jaskinią. Tym razem mikrofon kierunkowy zostawili w pudle. Tego dnia planowali wyłącznie jednokierunkową konwersację, w odróżnieniu od długich godzin, jakie spędzali przez ostatnie tygodnie i miesiące na tamtej górze, czekając, aż ojciec Jerome będzie gotów, by zadać pytanie lub nawet dwa.

Fox Two przyglądał się niespokojnemu tłumowi. Póki co udawało mu się pociągać za odpowiednie sznurki i bez problemu uzyskiwać spodziewane reakcje. Ojciec Jerome, kiedy pojawił się nad nim na dachu znak, na delikatne kuksańce, jakie mu wysyłali, reagował dokładnie tak, jak oczekiwali - ale w sumie był do tego doskonale przygotowany. Kilka wyszeptanych słów skierowanych do najbardziej poruszonych przedstawicieli zbieraniny również spowodowało odpowiednią reakcję łańcuchową, wywołując u nich na widok uciekającego samochodu istną gorączkę. Ultragłośny impuls o wysokiej częstotliwości, którego używali do kontrolowania tłumy, okazał się niezwykle skutecznym narzędziem także przy jej wygaszaniu, gdy nie była już nikomu potrzebna, i wystarczył w zupełności, by odepchnąć ludzi i umożliwić samochodowi ucieczkę.

„Niesamowite” - myślał ciągle, choć używał urządzenia LRAD tak często, że właściwie weszło mu to już w krew. Pomysł był naprawdę prosty: projekcja dźwięku za pomocą silnie skoncentrowanej wiązki audio, działającej na tej samej zasadzie, jak soczewki projektora filmowego skupiającego strumień światła, dzięki czemu mogły ją usłyszeć jedynie osoby - czy też osoba, bo przecież urządzenie było tak dokładne, jak karabin snajpera - które znalazły się na celowniku. Nawet z tej odległości. W efekcie ofiara odnosiła wrażenie, że czyjś głos - nagrany albo puszczone na żywo - odzywa się w środku jej głowy. Z kolei jeśli przestawić urządzenie na nieco mniej subtelny tryb kontrolowania tłumy, wysyłało ono wprost do uszu celu nieznośnie głośny, drażniący dźwiękowy impuls, przy maksymalnej mocy powodujący mdłości, omdlenia i unieszkodliwiający nawet najbardziej wytrzymałego wroga.

Proste, ale niezwykle skuteczne.

„Głos Pana” - pomyślał Fox Two.

Sugestia była silna szczególnie w tych wypadkach, kiedy ofiary aż przebierały nogami, by zrobić to, czego od nich oczekiwano, podobnie jak wtedy, gdy wybierał poszczególne cele z tłumy przed klasztorem czy w czasie wymuszonej indoktrynacji, jakiej przez wiele tygodni poddawali ojca Jerome. Wstrząsy elektryczne i długotrwałe pozbawienie snu, a potem koktajl metoheksytalowy, by zmniejszyć presję. Transczaszkowa stymulacja umysłowa. Całkowite psychochemiczne załamanie. Drażnienie mózgu, niszczenie jego barier obronnych, a potem psychologiczne bombardowanie. Wywoływanie wizji, myśli, wrażeń. Zmuszanie mózgu do akceptowania alternatywnej rzeczywistości w postaci głosu Boga czy zwalczanie pokory ofiary w celu przekonania jej, że naprawdę została Wybrańcem.

Przesunął lornetką po pustyni i wycelował ją na zachód od swojej pozycji. Choć wiedział, czego szuka, i tak odnalezienie Foxa One oraz jego oddziału zajęło mu prawie całą minutę. Cztery mężczyźni, przykucnięci kilkaset metrów dalej w wydmach piaskowych pod siatką maskującą, oraz ich sprzęt byli praktycznie niewidzialni. Operację przeprowadzili perfekcyjnie, czego zresztą można się było po nich spodziewać. Efekt okazał się wprost oszałamiający. Fox Two widział go już wcześniej na wideo w czasie testów na pustyni, ale czegoś takiego się nie spodziewał. Na żywo sprawiało to niezwykle wrażenie. Zwłaszcza w obecności niczego nieświadomej publiki.

Fox Two wstrzymał oddech. Nawet taki zaprawiony w bojach cynik jak on dał się porwać tej chwili. Wiedział, że coś takiego odbije się szerokim echem na całym świecie.

Skupił wzrok z powrotem na tłumie pod bramą klasztoru. Już wkrótce opuści tę dziurę na dobre, pomyślał z radością. Misja, mówiąc ogólnie, nie należała do przyjemnych. Żyli w

ukryciu, musieli być na każde wezwanie, czy to świt, czy zmrok, codziennie wspinać się na górę i z powrotem, w dodatku taszcząc ze sobą cały sprzęt. Stanowczo zbyt długo przebywał już na pustyni. Tęsknił za dotykiem kobiecej skóry i za zapachem barbecue, ale przede wszystkim chciał się znowu znaleźć wśród ludzi.

„Już wkrótce” - pomyślał.

Zanim jednak się tego doczeka, musiał jeszcze się upewnić, że koniec misji przebiegnie tak samo gładko jak jej początek.

ROZDZIAŁ 43

Woburn, Massachusetts

Zapach świeżej kawy podrażnił zmysły Matta i wyrwał go z pozbawionego marzeń snu. Świat wydawał się nieco zamglony. Spróbował usiąść, ale zrobił to tak szybko, że prawie zemdlał. Musiał spróbować ponownie, tym razem wolniej. Rozejrzył się po pomieszczeniu, powoli przytomniejąc. Wydawało mu się, że głowę ma pełną smoły.

Zauważył włączony telewizor, ale nie był w stanie wychwycić, co jest na ekranie. Zamrugał, starając się strząsnąć z oczu mgłę. Na stoliku obok okna siedział Jabba i gapił się w odbiornik. Odwrócił się i uśmiechnął do Matta. W jednej dłoni trzymał dymiący kubek z kawą - venti, grandę czy jak tam ostatnio finezyjnie, oryginalnie, słowem okropnie nazywają w sieciówkach dużą kawę - w drugiej na w pół zjedzonego lukrowanego - czy może „glaze”? - pączka, którym natychmiast kiwnął w stronę dwóch kolejnych gigantycznych kubków oraz kartonu z pączkami na stole.

- Śniadanie na stole - powiedział z pełnymi ustami.

Matt powitał naukowca rozmiaru venti zmęczonym uśmiechem i dopiero po chwili zauważył, że przez okno wpada do pokoju słońce.

- Jak długo byłem martwy? Która godzina?

- Prawie jedenasta. Co oznacza, że wyautowałeś się na jakieś... - Jabba szybko policzył w głowie - szesnaście godzin.

Matt tego właśnie potrzebował.

Bardzo potrzebował.

‘

Zauważył również na stoliku gazety. Nagłówki wydrukowano ogromną czcionką - zarezerwowaną dla wydarzeń najwyższej rangi. Na pierwszych stronach rzucały się w oczy

zajmujące niemal jedną czwartą powierzchni fotografie zjawiska oraz zdjęcia paszportowe ojca Jerome.

Matt spojrział na Jabbę. Ten skinął głową, a radość na jego twarzy wkrótce ustąpiła powadze.

- Orzeł wylądował - powiedział ponuro, wskazując pączkiem telewizor.

Matt w milczeniu, z niedowierzaniem, obejrzał materiał z Egiptu. Z całego świata docierały zapierające dech w piersiach relacje opisujące żywiołowe reakcje na to, co wydarzyło się w klasztorze.

W Watykanie na placu Świętego Piotra zgromadziło się tysiące ludzi niecierpliwie wyczekujących na wskazówki papieża, jak odnosić się do zjawiska. W Sao Paulo tłumy rozentuzjasmowanych Brazylijczyków ściągnęły z miasta i spoza niego na Praça da Se, w oczekiwaniu na wyjaśnienia zajmując każdy centymetr powierzchni katedry Se. Różne reakcje odzwierciedlały różnice w wyznaniach oraz różne stopnie apetytu na ponadnaturalne zjawiska na całej planecie. W krajach chrześcijańskich, od Meksyku po Filipiny, rozgorączkowane masy gromadziły się na placach przed kościołami, choć w pozostałych regionach podekscytowanie wyrażało się nieco inaczej. Na Dalekim Wschodzie reakcje, ogólnie rzecz biorąc, były bardziej powściągliwe. Wprawdzie na ulicach Chin, Tajlandii czy Japonii pojawiły się tłumy, ale panował tam porządek i rzadko wybuchały zamieszki. Z drugiej strony, w takim punkcie zapalnym jak Jerozolima widać było zatrwazające, wyraźne oznaki polaryzacji postaw, już wcześniej rysującej się między różnymi grupami religijnymi. Chrześcijanie, muzułmanie i żydzi wychodzili na ulice w poszukiwaniu odpowiedzi na cisnące się na usta pytania, zantagonizowani i niepewni, jak traktować to, co dla wielu z nich było cudownym, nadnaturalnym zjawiskiem - które jednak nie pasowało do żadnych proctw zapisanych w ich świętych księgach. To samo działo się w świecie islamu. Od krajów arabskich po Pakistan, Bangladesz i Indonezję zdeorientowani wyznawcy Proroka gromadzili się na miejskich placach, rynkach mniejszych miejscowości oraz w meczetach. Jak zawsze, wydawało się, że umiarkowanych opinii albo nikt nie wygłasza, albo zagłuszane są przez bardziej radykalnych duchownych. Kilka kanałów wyemitowało relacje z utarczek słownych i awantur w paru miastach, zarówno między przedstawicielami różnych religii, jak i skonfliktowanymi wyznawcami tej samej wiary

Na całym świecie odnotowano póki co niewiele oficjalnych reakcji; rządy i przywódcy religijni powstrzymywali się na razie od publicznych wystąpień na temat zjawiska - z wyjątkiem kilku fundamentalistycznych podżegaczy, którzy nie bali się wygłosić płomiennych mów.

Dzięki relacji z Egiptu twarz ojca Jerome była wszędzie. Wabiła czytelników z pierwszych stron wszystkich gazet w kraju, a może i na całym świecie. Niepozornego księdza, który nagle znalazł się w samym oku cyklonu, pokazywały wszystkie stacje telewizyjne. We wszystkich kanałach informacyjnych rozmawiano tylko na jeden temat. Prowadzący programy i gadające głowy na całym obszarze anglojęzycznym starali się nie przesadzać w wielkich słowach - bez powodzenia. Cały świat mówił wyłącznie o niewyjaśnionym zjawisku.

Gdy Matt pił, jadł i oglądał wiadomości, Jabba opowiedział mu, co wydarzyło się w nocy. Kofeina i cukier wypełniły swoje magiczne posłannictwo, powoli wstrzykując w żyły Sherwooda pozory życia; reszty dopełniły bezpośrednie relacje z Egiptu i z innych krajów świata. Przy każdym wejściu reportera, przy każdym nowym materiale Matt czuł na plecach ciarki. Stawka rosła gwałtownie, podobnie jak jego świadomość doniosłości dziejących się na jego oczach zdarzeń.

Kiedy skończyły się pączki, Jabba ściszył telewizor i streścił Mattowi, co udało mu się zrobić. Roboty miał mnóstwo. Gdy Matt zasnął, przed wyjściem po śniadanie zszedł na dół, wręczył chlerlawemu recepcjoniście kolejny dziesięciodolarowy banknot i pracował do późnych godzin wieczornych - a potem znowu rano.

Ustalił aktualną pozycję urządzenia naprowadzającego. Wręczył Mattowi wydruki. Jakoś przed dwudziestą trzecią merc opuścił dzielnicę Seaport, gdzie zatrzymał się ostatnio. Pojechał do centrum. Niestety, sygnał się tam urywał - prawdopodobnie na jakimś podziemnym parkingu o grubych betonowych ścianach. Pojawił się ponownie tuż po siódmej rano, wskazując, że samochód wrócił do lokalizacji w Seaport, skąd już się nie ruszał.

Jabba większość czasu spędził, próbując uzupełnić o bardziej szczegółowe informacje szkic na temat uśmierconej drużyny naukowców oraz ich tajnego projektu, który udało im się już sporządzić. Wykonał kilka telefonów do kumpli z branży oraz postawił przed wyszukiwarkami Google oraz Cuil ambitniejsze niż wcześniej zadania i chociaż nie dowiedział się zbyt wiele, samo to, że właściwie niczego nie znalazł, pozwoliło mu wyciągnąć pewne wnioski.

Wprawdzie jego doświadczenie ograniczało się do projektów badawczych niezwiązanych z zagadnieniami bezpieczeństwa, pracę jego oraz jego kolegów często spowijała tajemnica nie mniejsza od tej, jaka charakterystyczna jest dla przedsięwzięć wojskowych. I chociaż programy z dziedziny obronności były jeszcze tajniejsze, często zdarzał się jakiś szept, aluzja - coś, co precyzyjnie się przez sito i dawało choćby mglisty zarys tego, z jakiego podwórka pochodzi projekt. Najściślej chronioną informacją najczęściej

było to, jak osiągnąć dany cel; sam cel w większości wypadków był przynajmniej ogólnie znany, zwłaszcza w zaprzyjaźnionych kręgach technicznych. Jednakże w tym wypadku nikt nic nie wiedział. Projekt narodził się i umarł w całkowitej, nieprzeniknionej tajemnicy. Z czego Jabba wywnioskował, że nie mógł on przypominać niczego, z czym zetknął się do tej pory. Stojący za nim ludzie musieli też dysponować ogromnymi środkami oraz być bardzo zdeterminowani, co sprawiało, że perspektywa starcia z nimi jawiła się jako jeszcze mniej obiecująca - jeżeli to w ogóle możliwe.

Udało mu się jednak dotrzeć do samorodka, który zostawił na deser.

- Wytropiłem żonę Dominica Reecea - pochwalił się Mattowi z dumnym uśmiechem na zmęczonej twarzy. - Może wie coś na temat tego, co jej mąż i Danny robili w Namibii.

- Gdzie mieszka? - zapytał Matt.

- W Nahant na wybrzeżu - odparł Jabba, wręczając mu karteczkę z numerem telefonu.

- Możemy tam być w ciągu pół godziny.

Sherwood zastanawiał się przez chwilę, po czym skinął głową.

- Brzmi obiecująco. Ale najpierw sprawdźmy, jaką niespodziankę w Seaport przygotował nam nasz mechaniczny tropiciel.

ROZDZIAŁ 44

Klasztor asSurjani, Wadi anNatrun, Egipt d momentu gorączkowej relacji z dachu warowni Gracie niemal przez cały czas nadawała na żywo. Mniej więcej co pół godziny stawała przed obiektywem kamery Daltona i usiłowała zaspokoić nowymi wieściami nienasycony głód informacji widzów, bez względu na to, jak dużo ich - czy raczej, jak niewiele - tak naprawdę się pojawiało. Zdrętwiała jej szyja, drażniły ją końcówki nerwów, jej nogi były jak z waty, ale nie miała wyjścia. Cały świat zatrzymał się i słuchał, rzucając się na każdy okruch informacji, jaki mogła im podsunąć. We wszystkich kanałach informacyjnych mówiło się tylko na jeden temat. A ona tam była, w oku cyklonu - twarz i głos, od których nie mogli się nawet na chwilę oderwać mieszkańcy całej planety.

Mimo to ciągle nie mogła uwierzyć w to, co się działo, nie była w stanie pojąć tego, że tam jest, robi to, przeżywa epokowe wydarzenia ramię w ramię z człowiekiem, który najprawdopodobniej jest Bożym posłańcem.

Dla jego własnego bezpieczeństwa sprowadzili ojca Jerome z dachu - tłum ciągle tłoczył się przy bramie. Po tym, jak o świcie pojawił się na niebie znak, jego liczebność wzrosła dziesięciokrotnie, a ze wszystkich stron ciągle napływali nowi ludzie. Opat i brat

Amin zaprowadzili księdza do wnętrza klasztoru. Całe wydarzenie wprawiło go w ogromną konsternację, był też wyraźnie zmęczony. Musiał dojść trochę do siebie, poukładać sobie w głowie to, co się stało. Dalton, Finch i Gracie kilka razy wspinali się na dach, a Dalton podkraść się nawet do samej krawędzi i sfilmował rozgrywające się za murami sceny. Miał ogromną ochotę użyć powietrznej kamery, ale zgodził się niechętnie z Gracie i Finchem, którzy twierdzili, iż nie byłoby to najmądrzejsze posunięcie, biorąc pod uwagę fakt, w jak nieprzewidywalny sposób reagował tłum.

Na razie, odkąd znak zaniknął jakieś piętnaście minut po tym, jak pojawił się nad ojcem Jerome, sytuacja, choć nadal napięta, nieco się uspokoiła. Nie wybuchły na nowo zamieszki, ale tłum obwarował się w kilku oddzielonych od siebie miejscach, tworząc konkurencyjne obozy, których członkowie nerwowo obserwowali się nawzajem: chrześcijanie, zgromadzeni, by modlić się i wielbić Pana, muzułmanie, których zafrapował cud, jakiego byli świadkami, i którzy dołączyli do modłów, choć nie byli pewni, jak interpretować pojawienie się znaku nad głową księdza, oraz podminowane grupy bardziej fundamentalistycznych muzułmanów, którzy odrzucali jakiegokolwiek sugestie o pojawieniu się nowego proroka i których sama obecność wybijała na aut bardziej umiarkowanych, charakteryzujących się otwartymi umysłami wyznawców.

Między kolejnymi wejściami Gracie, Finch i Dalton monitorowali wiadomości, jakie napływały z całego globu, i kontaktowali się ze współpracownikami stacji w Kairze, by uzyskać najnowsze informacje. Jako pierwsza znacząca figura spośród przywódców religijnych z komentarzem na temat bieżących wydarzeń wystąpił patriarcha Konstantynopola. W przeciwieństwie do papieża, który jest niekwestionowanym liderem rzymskich katolików i którego słowa uznawane są za nieomyłne, patriarcha nie ma zbyt wielkiej władzy wykonawczej w poszatkowanym świecie wschodnich Kościołów prawosławnych. Nie powstrzymało go to jednak od wykorzystywania swego doniosłego historycznego tytułu, by wyrazić swą troskę o środowisko, określając ją jako duchową odpowiedzialność. W tym właśnie kontekście wydał oświadczenie, w którym prosił wiernych na całym świecie, żeby wzięli pod uwagę to, czego są świadkami, oraz wyraził chęć spotkania z ojcem Jerome, by lepiej zrozumieć, co się dzieje.

Patrząc teraz na nieprzebrany tłum na równinie poniżej, Gracie odczuwała rosnący niepokój. Cisza zalegająca wokół jedynie zwiększała wiszące w powietrzu napięcie. W każdej chwili mogły wybuchnąć zamieszki gwałtowniejsze niż wcześniej. Z wdzięcznością przyjęła z rąk mnicha świeżą lemoniadę i usiadła po turecku na skraju dachu, opierając się o torbę ze sprzętem. Dołączyli do niej Dalton i Finch, również ze szklankami w dłoniach.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu, próbując nieco uspokoić myśli i trochę ochłonać.

- Niesamowite, co? - odezwał się w końcu Finch, spoglądając ponad nieregularnymi kopulastymi dachami budynków po wewnętrznej stronie murów klasztoru. - Jak wszystko może się zmienić q̄t tak, w mgnieniu oka, nie?

- Czy my przypadkiem zaledwie wczoraj nie odmrażaliśmy sobie jajek na biegunie południowym? - zmęczonym, pełnym niedowierzania tonem podjął wątek Dalton. - Co właściwie się stało?

- Trafiliśmy na temat życia, ot co - odparła Gracie.

- To na pewno.

Dalton pokręcił głową, a w kąciku jego ust zatańczył nagle gorzki uśmieszek. Gracie zauważyła to.

- Co jest?

- Dziwne to wszystko, nie? Nie wiem nawet, jak to nazwać. Szczęście? Los?

- Co masz na myśli?

- Niewiele brakowało, a cała afery by nas ominęła. Wyobraźcie sobie tylko... Gdybyś nie odebrała na statku telefonu od brata Amina. Albo gdyby nie udało mu się ciebie przekonać do wyjazdu. Gdyby tamta ekipa dokumentalistów nie przyjechała tu przed nami i nie nakręciła rysunków ojca Jerome na ścianach. Pewnie machnęlibyśmy na to ręką, co? - Spoglądał to na Gracie, to na Fincha. - Nie byłoby nas tutaj i być może to wszystko w ogóle by się nie wydarzyło.

Gracie zastanawiała się przez chwilę, po czym wzruszyła ramionami.

- Byłby tutaj ktoś inny. Ktoś inny zgarnąłby temat.

- Czyżby? A co by było, gdyby dokumentaliści nie nakręcili tego materiału? Gdyby nikt nie przyjechał tutaj, żeby z nim porozmawiać? Nie byłoby tu tych tłumów. Ojciec Jerome nie znalazłby się na dachu. Nie pojawiłby się nad nim znak. - Uniósł brwi, tak jakby mówił: „Pomyślcie tylko”. - Człowiek zaczyna się zastanawiać, czy ojciec Jerome jest pierwszy, czy też byli przed nim inni.

- Inni? - zdziwiła się Gracie.

- No wiesz, szajbusy. Wariaci słyszający głosy w głowach, malujący dziwne znaki na ścianach i zapełniający zeszyty gryzmołami. A co, jeżeli przed nimi byli inni? Inni, którzy też mieli rację? Ale nikt o tym nie wiedział? - Skinął głową sam do siebie, dalej drążąc w myślach temat.

- No i jak to się wszystko zgrało w czasie. Dlaczego akurat teraz? Bywały w historii bardziej odpowiednie chwile, w których przydałby się znak, posłanie. Dlaczego nie przed Hiroszimą? Albo w czasie kryzysu kubańskiego?

- Zawsze tak ci się rozjaśnia w głowie po lemoniadzie? - zapytała.

- Zależy, czego dodają do niej mnisi.

Uśmiechnął się, unosząc brwi. W tym samym momencie we włązie na dachu pojawiła się zatroskana twarz brata Amina.

- Proszę, chodźcie ze mną. Musicie to usłyszeć.

- Gdzie? - zapytała Gracie, wstając.

- Na dół. Do samochodu. Chodźcie.

Zeszli po drabinie i po chwili stanęli obok toyoty, która ciągle stała zaparkowana przy wrotach. Podszedł do nich opat. Drzwi samochodu były otwarte, a wokół tłoczyło się kilku mnichów oraz Jusuf, słuchający w skupieniu audycji radiowej po arabsku. Wyglądali na porządnie wystraszonych.

Jakiś kolejny przywódca religijny wygłaszał oświadczenie, tyle że nie tak wzniosłe jak poprzednie. Gracie nie rozumiała, co mówi duchowny, ale nietrudno było wychwycić ostry ton jego głosu. Brzmiało to dokładnie tak jak inne wściekłe, gwałtowne tyrady, których tysiące razy słuchała w świecie arabskim. I zanim jeszcze brat Amin wyjaśnił, co się dzieje, dziennikarka sama się wszystkiego domyśliła.

- To imam z Kairu - powiedział zakonnik lekko drżącym głosem.

- Jeden z najbardziej w gorącej wodzie kąpanych duchownych w kraju.

- Nie brzmi na zachwyconego - zauważył Dalton.

- Bo nie jest - rzekł brat Amin. - Przekonuje swoich współwyznawców, by nie dali się oszukać temu, na co patrzą. Twierdzi, że ojciec Jerome to hila - sztuczka zrobiona przez Wielkiego Szatana Amerykę

- a może nawet jest samym wysłannikiem szajtana, diabła. Tak czy inaczej, powinni go uznać za fałszywego proroka, który został wysłany, by siać strach i konflikty wśród prawdziwych wyznawców. - Słuchał jeszcze przez chwilę, po czym dodał: - Przypomina im, że ich najświęszym obowiązkiem jako dobrych muzułmanów jest pamiętać o naukach jedynej prawdziwej wiary.

- Czyli? - zapytał Finch.

- Domaga się głowy ojca Jerome - odparł brat Amin. - Dosłownie.

ROZDZIAŁ 45

River Oaks, Houston, Teksas uszę wyznać, że zupełnie się w tym pogubiłem - zwierzył się pastor, usiadłszy ze szklaneczką burbona. - Co tam się właściwie dzieje? To powinno wyglądać zupełnie inaczej.

- Ale co właściwie?

- Drugie Przyjście, Roy. Koniec czasów. Pochwycenie Kościoła. Siedzieli naprzeciw siebie w oranżerii, ogromnej szklarni, większej od większości domów jednorodzinnych, ale wyglądającej jak przybudówka w porównaniu z pozostałą częścią rozległej posiadłości. Za fazonowanymi oknami widać było okrągły basen, przykryty obecnie brezentem i czekający na lepsze, czyli cieplejsze czasy. Za rządkiem topól, ciągnących się wzdłuż lewej krawędzi posesji, migotało ogrodzenie wokół prywatnego kortu tenisowego Darbyego.

Choć w mijającym roku spotykali się wiele razy, Roy Buscema ciągle przyglądał się siedzącemu przed nim mężczyźnie z fascynacją entomologa odkrywającego nowy gatunek chrząszcza. Wielebny Nelson Darby był intrygującym okazem. Człowiekiem na wskroś nowoczesnym, jeśli chodzi o zamiłowanie do współczesnej technologii oraz model biznesu, jaki wyznawał, ale zupełnie średniowiecznym, gdy mowa o czymkolwiek odnoszącym się do Pisma Świętego. Ten dystyngowany i wyważony duchowny był zarazem zaciekłym prawniczym bojownikiem w dziedzinie kultury i zatwardziałym zwolennikiem nietolerancji. Za każdym razem gdy się spotykali, Darby okazywał się czarującym, zrelaksowanym i uprzejmym gospodarzem, w niczym nieprzypominającym napuszonego, trąbiącego o ogniu i siarce kaznodziei, w którego zamieniał się na scenie. Był również człowiekiem eleganckim, zawsze nienagannie ubranym, niezwykle ceniącym w życiu wszystko, co wyrafinowane. Na szczęście dla Darby ego Bóg - w każdym razie według pism, którymi nas obdarował - czerpie przyjemność z dobrobytu swych sług, a przecież pastor był najwierniejszym spośród nich.

Jego wykwintny styl odbił się również na wyglądzie samego domu. Wybudowany na końcu tonącej w zieleni drogi w River Oaks, zajmował w okolicy uprzywilejowane miejsce, dokładnie naprzeciw alejek country klubu. Była to okazała rezydencja z białymi kolumnami z lat dwudziestych ubiegłego wieku - okazała, ale gustowna i skromna w swej prostocie, nie jakaś wulgarna świątynia Teologii Dobrobytu. Darby był szczególnie dumny ze swojej oranżerii. Na jego specjalne zamówienie wykonał ją jeden z czołowych londyńskich projektantów domów ogrodowych. Aby ją zainstalować, przyleciał znad Tamizy przez ocean ze swoimi czterema stolarzami. Pastor lubił urządzać w niej spotkania. Oranżeria znajdowała się z dala od oczu i uszu niewielkiej armii pracowników licznych biur umiejscowionych w kampusie jego megakościoła. Miał tam okazję popisać się i zaimponować gościom. Poza tym

pomieszczenie inspirowało go. Szklany dom wydawał się Darbyemu pryzmatem dla promieni słonecznych, białą dziurą, która wsysała najbledszą nawet cząstkę światła w najbardziej pochmurne dni. Zazwyczaj pomagało mu to rozwijać w sobie poczucie zadziwienia światem, tak bardzo dla niego charakterystyczne. To tam przygotowywał większość swych płomiennych kazań, skierowanych przeciw homoseksualistom, aborcji - nawet w przypadku ofiar gwałtu i kazirodztwa - prezerwatywom, ewolucji, badaniom nad komórkami macierzystymi czy prezydenckim aspiracjom elitarnych quasimuzułmanów, jadowite tyrady, w których gromił nawet harcerki, które uważał za agentki feminizmu, grę Dungeons & Dragons czy, co mogło się wydawać jeszcze dziwniejsze, SpongeBoba Kanciastoportego. To tam szkicował kazania zarezerwowane na specjalne okazje, takie jak święta Bożego Narodzenia, do których zostało już tylko kilka dni.

Teraz jednak wśród bezładnych myśli kłębiących się w jego głowie trudno było pastrowi odnaleźć natchnienie.

- Może to nie jest koniec czasów - zasugerował Buscema.

- Jasne, że nie jest - zgodził się z rozdrażnieniem duchowny. - Nie może być. Jeszcze nie. Przecież nie spełniło się żadne z proroctw Świętej Księgi. - Nachylił się z żarliwym błyskiem w oczach i dla podkreślenia wagi słów wykonał ręką kilka przywodzących na myśl karate ciosów, tak jak to zawsze robił na ambonie. - Biblia mówi nam, że Mesjasz powróci dopiero po ostatniej bitwie między dziećmi Boga a armią Antychrysta, która rozegra się w Izraelu. Dopiero potem możemy zostać zbawieni poprzez Pochwycenie. - Pokręcił głową. - Nic się nie zgadza. Do diabła, ciągle czekamy, aż Izraelczycy zbombardują ten cholerny Iran i dadzą impuls wszystkim wydarzeniom.

- Bóg daje nam posłanie, Nelsonie - wtrącił w zamyśleniu Buscema. - Daje nam znak, dwa znaki, które pojawiły się nad czapami lodowymi. I wysłała nam posłańca.

- Araba! - zadrwił Darby. - I w dodatku katolika, jakby tego nie było dosyć.

- Nie jest Arabem, Nelsonie. Jest Hiszpanem.

Pastor tylko machnął ręką.

- Co za różnica. Ciągłe jest katolikiem.

- To nie ma znaczenia. A myślałeś, że kim będzie Mesjasz Drugiego Przyjścia? Luteraninem?

- No nie wiem, ale... katolik? - jęknął Darby

- To teraz nic nieznaczący szczegół. Jest chrześcijaninem. Co więcej, jednym z najbardziej świętobliwych mężów stąpających dzisiaj po ziemi. Ostatnie kilka miesięcy

spędził w jaskini w pobliżu klasztoru w Egipcie, który jest częścią Ziemi Świętej. W tej samej dolinie ukrył się Jezus, kiedy ścigali Go Rzymianie.

- A co z tymi całymi Koptami?

- Klasztor, w którym się zatrzymał, jest koptyjski, ale on nie jest Koptem. Co o nich wiesz?

- Jeszcze nic - przyznał Darby, a na jego twarzy pojawił się skromny uśmiech.

- To egipscy chrześcijanie. W swoim kraju stanowią co najwyżej dziesięć procent populacji. Ale to oni są tam najdłużej. Byli tam na długo przed inwazją Arabów w VII wieku. Tak naprawdę żyją w Egipcie od początku naszej ery. Ciągle. Jest to najczystszy, najstarszy, mogący się poszczycić najdłuższą nieprzerwaną tradycją odłam chrześcijaństwa na świecie, Nelsonie - tłumaczył Buscema. Przerwał, by jego rozmówca dobrze zrozumiał jego słowa, po czym zadał pytanie: - Wiesz, kto założył Kościół koptyjski?

- Nie.

- Marek. Rozumiesz? Mateusz, Marek, Łukasz i Jan. Ten Marek. Jakieś trzydzieści lat po śmierci Jezusa udał się tam głosić ewangelię. Nietrudno było mu zresztą przekonać do niej tamtejszych mieszkańców. Wierzyli już przecież w żywot wieczny, i to od tysięcy lat. Różnica polegała na tym, że według Marka nie był on tylko przywilejem faraonów. Ewangelista twierdził, że nie trzeba być z mumifikowanym i umieszczonym w ogromnej piramidzie, że nie są do tego potrzebne dziwaczne rytuały odprawiane przez kapłanów. Każdy może iść do nieba, pod warunkiem że wierzy w jednego Boga i prosi Go o odpuszczenie grzechów. Co, jak się pewnie domyślasz, brzmiało w ich uszach jak muzyka. I tam to się wszystko zaczęło, tam ukształtowało się chrześcijaństwo. Jego symbole, obrzędy. Wiele z nich pochodzi właśnie z Egiptu. Porównaj na przykład ankh, starożytny egipski symbol życia wiecznego - i krzyż. Pomyśl o ich bogu, Ra - bogu Słońca - oraz o naszym dniu świętym, po angielsku Sunday. A dolina, w której zaszły się ojciec Jerome? Jest bardziej święta, niż mógłbyś przypuszczać. Tamtejsze klasztory? Najstarsze na świecie. Znajdują się w nich najstarsze święte księgi chrześcijaństwa. Ewangelie z czwartego i piątego wieku. Bezcenne rękopisy. Całe stosy. Po prostu sobie leżą. Są właśnie tłumaczone. Kto wie, co w nich znajdziemy. To miejsce przesiąknięte religią, Nelsonie. Religią chrześcijańską. A ojciec Jerome... Cóż, przecież o nim słyszałeś. O tym, czego dokonał. Dzieło Boże. Jak szerzył Dobrą Nowinę. Jeśli Bóg chciał kogoś wybrać, to wydaje mi się, że w osobie ojca Jerome znalazł idealnego kandydata.

Darby skinął głową, niechętnie zastanawiając się nad sensem kazania swego doradcy.

- Ale dlaczego teraz? I dlaczego znaki pojawiły się nad biegunami?

Buscema niepewnie uniósł brwi.

- Może Bóg mówi nam, żebyśmy byli ostrożni? Może chce, żebyśmy zostali tu jeszcze chwilę? I kto wie - uśmiechnął się - być może okaże się, że ludzie przedłożą to posłanie nad proroctwa końca czasów, o których ciągle im przypominasz. Bez względu na to, z jaką niecierpliwością czekasz na jego nadejście. - Odczuł lekką satysfakcję, zdecydowawszy się na ten przytyk.

Darby natychmiast to wyczuł i zmrużył oczy. Ale postanowił nie komentować słów swojego gościa.

- To nasze przeznaczenie, Roy. Tak mówi Biblia. Tak właśnie ci z nas, którzy uznają Jezusa Chrystusa za wybawiciela, zostaną zbawieni. Przed nadejściem Armagedonu. Zanim Ziemia zostanie starta w pył. Poza tym nie wierzysz chyba, że zmiecie nas stąd jakaś fala pływowa gazów cieplarnianych albo że nadejdzie nowa epoka lodowcowa, o której ciągle nudzą w telewizji?

Buscema wzruszył niezobowiązująco ramionami.

- Nie jestem pewien, czy tak się nie stanie.

- Bzdury! - zawołał Darby. - To wojna rozpocznie koniec czasów, Roy. Wojna atomowa między siłami dobra i zła. Nie jakieś globalne ocieplenie. - Westchnął i odchylił się w fotelu. - Ziemię stworzył dobry Pan. Pamiętasz Księgę Rodzaju? I rzekł: „Jest dobra”. Co oznacza, że był zadowolony z tego, co stworzył. To Jego Boska kreacja. A przecież jest wszechmogący, na litość boską! Sądziś, że stworzył świat tak, by żaloszny mały człowiek był w stanie zniszczyć go, jeżdżąc po drogach SUVem albo nastawiając na cały regulator klimatyzację? To się nie zdarzy. Nie w ten sposób.

- Mówię tylko - sprzeciwił się spokojnie Buscema - że znak pojawił się nad szczytowymi punktami naszej planety, najbardziej narażonymi na zmiany klimatyczne. To nie przypadek, Nelsonie. Poza tym właśnie oglądałem wyniki najnowszych badań opinii publicznej.

Ostatnia uwaga dziennikarza uruchomiła zupełnie inną podsekcję mózgu pastora. Na jego twarzy nagle pojawił się wyraz najwyższego zainteresowania.

- I na co wskazują?

- Ludzie to zauważyli. I słuchają.

Darby z irytacją wypuścił nosem powietrze.

- Założę się, że te wszystkie ciołki od chrześcijańskiej ekologii śmieją się teraz w kółka.

- „Ziemia jest dziełem Pana, przejawem Jego pełni” - zacytował żartobliwie Buscema.

Pastor zmarszczył brwi.

- Dzięki, że mi przypomniałeś.

- To jest w Biblii, Nelsonie. „Pan Bóg wziął zatem człowieka i umieścił go w ogrodzie Eden, aby uprawiał go i doglądał”^{*} - podkreślił. - Ludzie martwią się tym, w jakim świecie będą dorastały ich dzieci. To potężny haczyk.

- Mylą się. I są niebezpieczni. Musimy być ostrożni, Roy. O czym my właściwie rozmawiamy? Mówimy, że planeta jest święta? Czyżbyśmy mieli czcić naturę? To śliski temat. Nie możemy kazać ludziom kochać Matki Ziemi i troszczyć się o nią. Do diabła, przecież w coś takiego wierzyli Indianie!»

Buscema uśmiechnął się. Facet był niezłe oblatany w subtelnościach wiary. No i nie można mu było odmówić inteligencji. Czarodziej brandingu, świetny mówca, który doskonale wie, jak porwać publiczność. W końcu nie bez powodu tysiące ludzi w każdy niedzielny poranek stało dobrowolnie w korkach, by wysłuchać jego porywających kazań, a miliony innych nastawiało odbiorniki na jego zręcznie zmontowane programy puszczone w krajowych kablówkach i kanałach telewizyjnych. Nie bez powodu jego poglądy, choć prymitywne, bigoteryjne i pełne bredni w rodzaju pomysłu, że za zamachem jedenstego września stoją geje, pozwoliły mu zbudować imperium, które obejmowało pięćdziesiąt różnych duszpasterstw, globalną sieć ponad dziesięć tysięcy kościołów i szkół, uniwersytet, centrum konferencyjne, dwadzieścia trzy stacje radiowe oraz kilkadziesiąt czasopism.

- Nie chodzi o to - powiedział Buscema. - Pomyśl o tym raczej jako o grzesznych pragnieniach człowieka, które sprowadzają go na manowce. Musi odnaleźć drogę do zbawienia. A twoim zadaniem jest złapać go za rękę i pokazać mu tę ścieżkę. - Dziennikarz przyjrzał się pastrowi, a potem nachylił się, pragnąc podkreślić znaczenie swych słów. - Jeśli dobrze zrozumiałem, opowiadasz się za prawem do życia, prawda? - Drażnił przez chwilę rozmówcę, pozwalając, by pytanie wisiało w powietrzu. Zawsze zdumiewało go i bolało, że obrońcy życia z taką zaciekłością występują w imieniu małej grupy komórek, niezależnie od tego, jak tragicznie byłyby upośledzone czy w jakich warunkach zostały poczęte, ale zupełnie nie obchodzą ich inne gatunki czy środowisko, w którym żyjemy. - O to w końcu chodzi w ratowaniu planety, prawda? O życie.

* Biblia Tysiąclecia, Rdz 2,15 (wszystkie cytaty z Pisma Świętego pochodzą z Biblii Tysiąclecia).

Darbyemu najwyraźniej nie spodobały się jego słowa. Odetchnął ciężko, po czym złączył dłonie końcówkami palców i podparł kciukami podbródek.

- Dlaczego te pajace z Waszyngtonu nic nie mówią?

- Jeszcze zaczną, zapewniam - rzekł Buscema, sugerując wyrazem twarzy, że wie więcej, niż może powiedzieć.

Darby natychmiast to kupił.

- Co słyszałeś?

- Sprawa jest poważna, Nelsonie. I oni o tym wiedzą. Planują strategię, jak to najlepiej rozegrać.

Darby zachmurzył się. Drobniutkie zmarszczki przebiły się przez botox i przypuściły atak na skórę wokół jego oczu.

- Martwią się tym samym co ja. - Rozłożył szeroko ramiona. - Budujesz to wszystko, wspinasz się na szczyt, jesteś królem własnego zamku... A potem pojawia się ktoś znieca i chce, żebyś go nazywał swym mistrzem.

- Zdarza się, Nelsonie. Nie zmienimy tego. A on tam jest. Po prostu nie chciałbym, żebyś stracił taką okazję.

- Co według ciebie powinienem zrobić? - zapytał pastor.

Buscema zastanawiał się przez chwilę.

- Bierz go. Dopóki możesz.

- Chcesz, żebym udzielił mu poparcia?

Dziennikarz potwierdził skinieniem głowy.

- Inni też się nad tym zastanawiają.

- Kto dokładnie?

Buscema wytrzymał jego wzrok przez kilka sekund, a potem ściszył głos:

- Schaeffer. Scofield. I wielu innych.

Zdawał sobie sprawę, że wymieniając nazwiska największych konkurentów pastora w branży łowców dusz, wymusi na nim reakcję. Jeden z nich był przecież na tyle bezczelny, by postawić swój megakościół w tym samym mieście co Darby.

Sądząc z wyrazu twarzy duchownego, udało mu się trafić w najczulszy punkt.

- Jesteś pewien?

Buscema skinął zagadkowo głową.

„Jeszcze jak” - pomyślał. „Zanim przyszedłem do ciebie, rozmawiałem z nimi”.

- Facet jest pieprzonym katolikiem, Roy - jęknął Darby z wyrazem paniki w oczach.

- To nie ma znaczenia - powiedział kategorycznym tonem Buscema. - Musisz go poprzeć, i to na całej linii. Głośno. Posłuchaj, i tak pozostajesz już w tyle. Inni szefowie Kościołów już dwa lata temu podpisali porozumienie dotyczące globalnego ocieplenia. Są na pokładzie. - Chodziło mu o osiemdziesięciu sześciu liderów Kościołów chrześcijańskich,

którzy pomimo silnego sprzeciwu ze strony swych braci kaznodziejów podpisali dokument znany jako „Ewangeliczna Inicjatywa Klimatyczna”. Niestety, niektórzy z najbardziej wpływowych przywódców, tacy jak prezes Narodowego Stowarzyszenia Ewangelistów, nie poparli ruchu publicznie, mimo że osobiście uważali inicjatywę za słuszną. - Masz szansę prześcignąć ich i odzyskać kontrolę nad wydarzeniami.

Darby zmarszczył brwi.

- Ale co z tym znakiem, który ciągle się gdzieś pojawia? Co to ma być? Gdyby przynajmniej przypominał krzyż albo jakiś wczesnochrześcijański symbol... Ale nie przypomina.

- To też nie ma znaczenia. Najważniejsze, że się pojawia. Widać go na niebie, wszyscy na niego patrzą i chcą należeć do wspólnoty. - Buscema nachylił się i wbił w Darby ego przenikliwy wzrok. - Pomijasz jedną ważną sprawę, Nelsonie. Katolicy, protestanci, baptyści, prezbiterianie, kwakrzy czy amisze - a choćby i mormoni, żydzi, muzułmanie, buddyści czy scjentolodzy. To w ogóle nie jest teraz ważne. Masz rację, że na niebie nie pojawił się krzyż. Ale nie jest to również gwiazda Dawida, półksiężyc czy jakikolwiek symbol powiązany z którąś z najważniejszych religii. To zupełnie zmienia zasady gry. Daje całkowicie nowy paradygmat. Może to być początek czegoś większego niż wszystko, co kiedykolwiek się pojawiło, czegoś nowego, globalnego. Jak uczy nas historia, kiedy coś takiego się dzieje, wpływa ożywczo na wielkie instytucje. A to nie należy do żadnej. Absolutnie żadnej. Jest tylko człowiek i znak na niebie. Ale zewsząd schodzą się do niego ludzie. Całe tłumy. I musisz zdecydować, czy chcesz być tego częścią czy nie. Póki co możesz wyprzedzić innych, podłączając wagonik do księdza, zanim zrobią to inni. Sytuacja ciągle się zmienia... W mgnieniu oka. - Nie mógł się powstrzymać, by nie dobić pastora ostat-
„Jeszcze jak” - pomyślał. „Zanim przyszedłem do ciebie, rozmawiałem z nimi”.

- Facet jest pieprzonym katolikiem, Roy - jęknął Darby z wyrazem paniki w oczach.

- To nie ma znaczenia - powiedział kategorycznym tonem Buscema. - Musisz go poprzeć, i to na całej linii. Głośno. Posłuchaj, i tak pozostajesz już w tyle. Inni szefowie Kościołów już dwa lata temu podpisali porozumienie dotyczące globalnego ocieplenia. Są na pokładzie. - Chodziło mu o osiemdziesięciu sześciu liderów Kościołów chrześcijańskich, którzy pomimo silnego sprzeciwu ze strony swych braci kaznodziejów podpisali dokument znany jako „Ewangeliczna Inicjatywa Klimatyczna”. Niestety, niektórzy z najbardziej wpływowych przywódców, tacy jak prezes Narodowego Stowarzyszenia Ewangelistów, nie poparli ruchu publicznie, mimo że osobiście uważali inicjatywę za słuszną. - Masz szansę prześcignąć ich i odzyskać kontrolę nad wydarzeniami.

Darby zmarszczył brwi.

- Ale co z tym znakiem, który ciągle się gdzieś pojawia? Co to ma być? Gdyby przynajmniej przypominał krzyż albo jakiś wczesnochrześcijański symbol... Ale nie przypomina.

- To też nie ma znaczenia. Najważniejsze, że się pojawia. Widać go na niebie, wszyscy na niego patrzą i chcą należeć do wspólnoty. - Buscema nachylił się i wbił w Darby ego przenikliwy wzrok. - Pomijasz jedną ważną sprawę, Nelsonie. Katolicy, protestanci, baptyści, prezbiterianie, kwakrzy czy amisz - a choćby i mormoni, żydzi, muzułmanie, buddyści czy scjentolodzy. To w ogóle nie jest teraz ważne. Masz rację, że na niebie nie pojawił się krzyż. Ale nie jest to również gwiazda Dawida, półksiężyc czy jakikolwiek symbol powiązany z którąś z najważniejszych religii. To zupełnie zmienia zasady gry. Daje całkowicie nowy paradygmat. Może to być początek czegoś większego niż wszystko, co kiedykolwiek się pojawiło, czegoś nowego, globalnego. Jak uczy nas historia, kiedy coś takiego się dzieje, wpływa ożywczo na wielkie instytucje. A to nie należy do żadnej. Absolutnie żadnej. Jest tylko człowiek i znak na niebie. Ale zewsząd schodzą się do niego ludzie. Całe tłumy. I musisz zdecydować, czy chcesz być tego częścią czy nie. Póki co możesz wyprzedzić innych, podłączając wagonik do księdza, zanim zrobią to inni. Sytuacja ciągle się zmienia... W mgnieniu oka. - Nie mógł się powstrzymać, by nie dobić pastora ostatnim argumentem. - Ponieważ nawet jeśli nie jest to ruch w oczywisty sposób chrześcijański, jeśli nie poprzysz go, gdy zrobią to inni, możesz się obudzić, patrząc na puste ławki w swoim kościele. A tego byś sobie nie życzył, prawda? - Skrzywił się, nie chcąc uciekać się do frazesów używanych w kazaniach na temat końca czasów, ale znowu nie mógł się powstrzymać. Starając się mówić spokojnym głosem, dodał: - Nie chciałbyś zostać w tyle, prawda?

- Kupił to? - zapytał Buscemę Drucker.

- Proszę - odparł drwiącym tonem dziennikarz, starając się przebić przez szum powietrza dobiegający z głośnika telefonu w samochodzie.

- Wszedł w to jak w masło. Aż żal było patrzeć.

- Odwiedzisz ponownie Shaeffera?

- Odkąd z nim rozmawiałem, zostawił mi dwie wiadomości - potwierdził. - Podobnie jak Scofield. Niech się przez chwilę pomęczą, a potem oddzwonię.

„Dobry chłopczyk” - pomyślał Drucker. Wyglądało na to, że złapali na haczyk potężnego marlina. Przy odrobinie szczęścia czekał ich rekordowy połów.

ROZDZIAŁ 46

Boston, Massachusetts

Matt i Jabba siedzieli w Seaport w poplamionej krwią toyocie zaparkowanej przed nowoczesnym pięciopiętrowym biurowcem.

Twarz Matta była ukryta w cieniu rzucanym przez czapkę bejsbolową i postawiony kołnierz kurtki. Zajął miejsce pasażera i wściekły obserwował budynek. Był to nijaki, nieciekawo architektonicznie klocek z płytek i szkła, ze sporych rozmiarów parkingiem od frontu. Przy wejściu nie było widać żadnych tabliczek z nazwami firm. Najwidoczniej najemcy często się tam zmieniali, wprowadzając się i wyprowadzając w zależności od zwiększonych bądź zmniejszonych wpływów. Na asfalcie oraz gałęziach drzew, rosnących tu i ówdzie na placu, po porannych opadach zalegała cienka warstwa śniegu.

Siedzieli już tam od pół godziny i zauważyli tylko jedną osobę wchodzącą do środka. Nigdzie nie dostrzegli twardziela.

Dzięki środkom przeciwbólowym rana nie piekła już tak bardzo Matta, choć przy każdym ruchu ból nadal dawał mu o sobie znać. Ciągle czuł się trochę na haju, co przypisywał temu, że utracił sporo krwi. Ciało błagało go, by dał mu czas na dojście do siebie, ale było to jak rzucanie grochem o ścianę. Mógł chodzić, i właśnie miał zamiar to wykorzystać.

- Idę się rozejrzeć - poinformował Jabbę.

Sięgnął do klamki, pociągnął i natychmiast skrzywił się z bólu.

Jabba rzucił się, żeby go powstrzymać.

- Niezbyt dobry pomysł, stary. Nie powinieneś nawet tu siedzieć. Popatrz tylko na siebie.

- Tylko się rozejrzę - powtórzył Matt; zanim jednak zdążył do końca otworzyć drzwi, Jabba położył mu dłoń na ramieniu i wyciągnął go z powrotem do środka.

- Ja pójdę - powiedział.

Matt spojrzał na niego.

- Ja pójdę - nie ustępował naukowiec, podnosząc nieco głos. W jego oczach pojawił się niepokój. - Jak nie wrócę za pięć minut, dzwoń po gliny - dodał, przekazując Mattowi iphona. Nagle połapał się, co właśnie powiedział, i natychmiast wyszczerzył zęby w uśmiechu. - Boże, nigdy bym nie przypuszczał, że usłyszę coś takiego z własnych ust.

Jego towarzysz zgromił go wzrokiem.

- Nie bądź tylko zbyt wścibski - rzekł śmiertelnie poważnym tonem.

Jabba spojrział na niego krzywo.

- Naprawdę, czasem mówisz, jakbyś mnie nie znał - westchnął półzartem i wysiadł z samochodu.

Rozejrzał się na lewo i prawo, a potem ruszył przed siebie ostentacyjnie swobodnym krokiem, choć wokół nie było nikogo, kto doceniłby jego wysiłki. Matt patrzył, jak znika w wejściu do holu budynku.

Po niecałej minucie pojawił się z powrotem w drzwiach.

- I co? - zapytał Matt.

Jabba obdarzył go uśmiechem, co wyraźnie kłóciło się z tym, co mówiła reszta jego ciała. Oddychał szybko, a jego twarz pokrywały krople potu, których wcześniej tam nie było.

- Nie ma recepcjonisty - poinformował między jednym a drugim łączywym wdechem. - Na wykazie pięć nazw, po jednej na każde piętro. Zdaje się, że drugie jest wolne, chyba że ktoś był na tyle leniwy, że nie chciało mu się wywiesić logo. Ale myślę, że wiem, o którą firmę nam chodzi. Muszę tylko podłączyć się gdzieś do sieci, żeby to potwierdzić.

Matt zastanawiał się przez chwilę, a potem powiedział:

- W porządku. Zrób to tutaj.

Udało mu się całkowicie zaskoczyć Jabbę.

- Co? Chcesz, żebym użył tutaj telefonu?

- Właśnie - potwierdził beztrąsko Matt.

- Stary, zaraz nas wyśledzą! Mój iphone ma GPS, co jeszcze bardziej ułatwi im zadanie!

- Super. Łącz się. I posiedź w sieci tak długo, żeby na pewno cię namierzyli.

Jabba spojrział na niego jak na wariata.

- Chcesz, żeby wiedzieli, że tu jesteśmy?

Matt skinął głową.

- Właśnie.

Naukowiec popatrzył na niego tak, jakby spodziewał się, że z uszu wyrosną mu zaraz zielone antenki.,

- Dlaczego?

- Chcę ich trochę wkurwić. Podrażnić się z nimi. Wytrącić ich z równowagi.

- To mój telefon - przypomniał Jabba. - Dowiedzą się tylko, że ja tutaj byłem.

- Na jedno wychodzi. Wiedzą, że jesteśmy razem.

Jabba zrobił minę, jakby chciał się jeszcze przez chwilę opierać, ale w końcu zrezygnował, podniósł dłonie w geście kapitulacji i włączył telefon. Zerknął na zegarek, a potem odpał macbooka, podłączył go do komórki i zalogował się do sieci za pomocą łącza internetowego iphona. Matt patrzył, jak jego palce tańczą po klawiaturze, od czasu do czasu uderzając w touchpad. W końcu naukowiec odwrócił komputer ekranem do niego.

Wyświetliła się na nim strona internetowa firmy o nazwie Centurion. Starannie przygotowany slideshow pokazał zdjęcie starej rafinerii ropy naftowej na pustyni o zachodzie słońca, potem jakiegoś strzeżonego bramą kompleksu na Bliskim Wschodzie, a następnie konwój samochodów, znowu w słonecznym, pokrytym kurzem terenie. Na ostatnim zdjęciu widać było srogiego faceta w nieskazitelnym, quasiwojskowym stroju, czarnych rękawicach i panoramicznych okularach słonecznych, pozującego za karabinem maszynowym dużego kalibru. Na każdej fotografii pojawiała się jedno z haseł reklamowych firmy, z których ostatnie służyło za jej motto: „Zabezpieczamy lepszą przyszłość”.

Matt z Jabką przeczytali podstronę zatytułowaną „O nas”, na której opisywano Centuriona jako „firmę z branży zarządzania bezpieczeństwem i ryzykiem, z biurami mieszczącymi się w Stanach Zjednoczonych, w Europie i na Bliskim Wschodzie”, wśród której klientów znajduje się „rząd amerykański” i która „jest aktywnym i oficjalnym współpracownikiem Organizacji Narodów Zjednoczonych”. Jabba kliknęła w ikonkę „Zarząd” i na ekranie pojawiło się natychmiast czarnobiałe zdjęcie Maddoxa. Twardziel okazał się założycielem i dyrektorem zarządzającym firmy, a widoczna obok notka opisywała jego wieloletnią gwiazdorską karierę w marines oraz osiągnięcia jako „konsultanta ds. bezpieczeństwa”.

- Auć! - jęknęła Jabba, wzdrygając się na widok bezwzględnej, groźnej gęby oprycha. Rozejrzył się nerwowo; najwyraźniej niezbyt podobał mu się pomysł ścigania tego faceta. Zerknął znowu na zegarek i podniósł iphona.

- Osiemdziesiąt pięć sekund. Mam pewną sugestię: wyłączmy telefon i wypieprzajmy stąd tak daleko, jak tylko się da.

Matt nadal w milczeniu analizował każde słowo notki biograficznej Maddoxa.

- Jasne - powiedział w końcu.

Jabba wyłączył telefon, a Matt zapalił silnik i ruszyli z miejsca.

Naukowiec spojrzał na swego towarzysza.

- I co?

Matt skinął sam do siebie głową. Jego oczy patrzyły gdzieś w dal, a twarz przybrała ponury wyraz.

- Przynajmniej wiemy już, z kim mamy do czynienia.

- Stary, gość ma prywatną armię! - wybuchnął Jabba. Słyszając panikę w swoim głosie, zaczął się jeszcze bardziej nakręcać. - A my mamy starą białą toyotę i pistolet bez nabojów.

- W takim razie musimy coś zrobić, żeby wyrównać szanse - odparł Matt. - Ale najpierw przekonajmy się, co ma nam do powiedzenia pani Reece.

- Jesteś pewien?

Maddox nie krzyczał. Właściwie spokój w jego głosie był nienaturalny, zważywszy na wieści, jakie właśnie do niego dotarły. Ale kiedy rozmawiał ze swoją wtyczką w Fort Meade, w jego tonie głośno i wyraźnie pobrzmiwało niezadowolenie.

- Absolutnie - padła odpowiedź. - W sieci pojawił się sygnał telefonu Komlosyego, a po jakiejś minucie zniknął.

Maddox podszedł w swoim gabinecie do okna i spojrzał w dół. Nie zauważył niczego odbiegającego od normy. Na parking i ulicy panowała cisza jak makiem zasiał.

Pieprzony Sherwood, pomyślał z wściekłością. Dwa razy w ciągu dnia pojawia się zupełnie niespodziewanie, przy czym po raz drugi w bezpośrednim sąsiedztwie jego biura.

Gość jest dobry.

Za dobry jak na jego gust.

- Kiedy to było?

- Sygnał właśnie zniknął.

Maddoxa mało krew nie zalała.

- Możesz go wyśledzić, gdy ma (wyłączony telefon)?

- Według umowy z operatorem, ma iphona 3G - odparł agent dyżurujący w NSA przy stanowisku monitoringu. - Jeśli włączy go na wystarczająco długi okres, mogę zdalnie zainstalować w nim program szpiegujący, dzięki któremu będę go mógł zlokalizować, nawet jeśli potem wyłączy komórkę.

- Wymyśl coś lepszego - skwitował Maddox.

- Pracujemy nad czymś takim. Ale póki co musimy liczyć na to, że będzie się co jakiś czas włączał. Zacznę mu przesyłać program i przy każdym uruchomieniu komórki doładuję trochę danych. Wkrótce uzyskamy kontrolę nad aparatem.

- Dobra. Daj znać, gdy się znowu włączy - polecił Pocisk. - I załaduj mu program tak szybko, jak tylko się da.

Rozłączył się, schował komórkę do kieszeni, zerknął na zegarek i wyjrzał znowu przez okno.

ROZDZIAŁ 47

Klasztor asSurjani, Wadi anNatrun, Egipt czy nikt nie może po nas przyjechać wcześniej? - zapytał Dalton.

- Gdzie jest ta cholerna Szósta Flota, kiedy się jej potrzebuje?

Wszyscy stali zaniepokojeni pod warownią - Gracie, Finch, Dalton, brat Amin i opat. Po równinie, za grubymi murami klasztoru, niósł się pełen wyczekiwania szmer tłumu. Bliżej, z radia samochodowego, słychać było zionący nienawiścią głos gładzącego imama - wściekłe, niekończące się wezwanie do walki, które odbijało się głośnie echem w niezliczonych odbiornikach w całym regionie.

- Tak, to by dopiero było - skomentował kwaśno Finch. - Amerykańskie oddziały przypuszczają atak, by oswobodzić z morza rozwścieczonych muzułmanów chrześcijańskiego świątobliwego męża. Dopiero rozpętałyby się jatka.

- Przecież musimy wydostać stąd ojca Jerome - powiedziała Gracie.

- Zgadza się - odparł Finch. - Ale jak?

- Może przysłałiby helikopter? - zapytała.

- A gdzie miałby wylądować? - ostudził jej zapał producent. - Nie ma tutaj żadnego placu szerokiego na tyle, żeby mógł usiąść, w każdym razie w obrębie murów klasztoru.

Gracie wskazała dach warowni.

- Może tam?

Finch pokręcił głową. - Dach nie jest wystarczająco solidny. Ma kilkaset lat. W żadnym razie nie udźwignie takiego ciężaru. Nie sądzę też, żeby dało się księdza wciągnąć na linie. Jest na to za stary, a nawet gdyby, ktoś z tłumu mógłby go postrzelić.

Dalton pokiwał żałośnie głową w stronę warowni za ich plecami.

- To co robimy? Ukryjemy go? - Wskazał widoczny powyżej most zwodzony na piętrze. - Czy to cholerstwo ciągle działa? - zapytał tylko półzartem opata. Ufortyfikowana warownia, z pełnymi prowiantu magazynami, zaopatrzona w studnię z wodą pitną, bibliotekę oraz kaplicę na najwyższym piętrze, służyła niegdyś za schronienie w czasach ataków, z których ostatni miał tam jednak miejsce ponad tysiąc lat temu.

- Nie, ale... Powinniśmy poczekać na przybycie sił bezpieczeństwa. Muszą je teraz wysłać. Poza tym pod murem stoją nie tylko muzułmanie - zapewnił ich opat. - Jest tam mnóstwo naszych ludzi. Chrześcijan. W razie konieczności obronią ojca Jerome.

- Jasne że tak, ale nie o to chodzi - nie ustępowała Gracie. - Lepiej byłoby wydostać go stąd, zanim rozpęta się jatka. Żeby jej zapobiec.

- Jest jeszcze jeden sposób - odezwał się brat Amin.

Oczy wszystkich skierowały się na niego.

- Jaki? - zapytała dziennikarka.

- Tunel - wyjaśnił, spoglądając na opata pytająco.

- Macie tu tunel? Dokąd prowadzi? - ucieszyła się Gracie.

- Do najbliższego klasztoru - tego, obok którego przejeżdżaliśmy

- Do klasztoru Świętego Biszoja - potwierdził opat.

- Co? Tego po drugiej stronie równiny? - Gracie wskazała na północny wschód, próbując przypomnieć sobie, gdzie mniej więcej znajdował się drugi klasztor, gdy widziała go po raz ostatni z dachu kasru.

Opat skinął głową.

- Tak. Tunel jest nawet starszy niż nasz klasztor. Monastyr został zbudowany w miejscu, w którym znajdowała się niegdyś pustelnia Biszoja, jaskinia, w której się zaszywał. Mnisi, zagrożeni ciągłymi atakami, postanowili wytyczyć sobie trasę ucieczki z klasztoru Świętego Biszoja i jako jej punkt docelowy wybrali jego starą jaskinię. Wiele lat później zagrożenie minęło i w miejscu tym wybudowano niewielką kaplicę, która ostatecznie rozrosła się w klasztor.

- Myśli ojciec, że tunel ciągle nadaje się do użytku? - zapytał Finch.

- Ostatnim razem zapuszczano się weń wiele lat temu, ale wtedy dało się nim dojść aż do końca. Nie sądzę, żeby coś się od tego czasu zmieniło - odparł opat. - Nie mieliśmy tu żadnych trzęsień ziemi czy czegoś w tym rodzaju.

Gracie spojrzała z powątpiewaniem na producenta. Niestety, właściwie nie mieli wyboru.

- Jeśli uda nam się przedostać do klasztoru, czy może ojciec załatwić nam stamtąd transport? Dyskretny? - zapytała.

Opat zastanawiał się przez chwilę, a potem spojrzał na kierowcę toyoty i pozostałych, słuchających radia i palących nerwowo papierosy. Podeszedł do Jusufa i odezwał się do niego po arabsku. Mężczyzna coś odpowiedział i zakonnik odwrócił się z powrotem do Gracie.

- Szmagier Jusufa również jeździ takim samochodem. Jeżeli pozwolisz mu skorzystać z telefonu satelitarne go, może go z wami umówić u Biszoja.

- No dobra, ale co potem? Gdzie pojedziemy? - zapytał Dalton. - Do ambasady?

- Tam będzie niewiele lepiej niż tutaj - zauważył Amin. - Może nawet gorzej. Najbezpieczniej byłoby wywieźć księdza z kraju.

Finch zmarszczył brwi, próbując przemyśleć sprawę, opracować logistykę.

- Łatwo powiedzieć. Czy ojciec Jerome ma w ogóle paszport?

- Musimy go przemycić - podpowiedziała Gracie. - Jeśli ktokolwiek go zobaczy, sytuacja się skomplikuje.

- Niech weźmie mój paszport - zaproponował opat. - Może mieć na sobie swoją szatę i opuścić kaptur, nikt nie będzie mu się zbyt dokładnie przyglądał. Niech Amin pojedzie ztłumami, żeby odpowiadać na wszelkie pytania.

Gracie spojrzała pytająco na Fincha. Producent zastanawiał się przez chwilę, po czym skinął głową.

- W porządku, warto spróbować. Dzwonię do Waszyngtonu. Zobaczymy, jak szybko są w stanie załatwić nam samolot. - Odwrócił się do mnichów. - Jak długi jest tunel? Pięćset metrów?

- Nie jestem pewien - rzekł opat. - Może trochę dłuższy.

Finch zmarszczył brwi.

- Nie przetaszczymy przez niego całego sprzętu. - Spojrzał na Daltona. - Znieś wszystko. Weźmiemy tyle, ile się da.

Tyrada w radiu stawała się coraz bardziej płomienna, a głos imama coraz ostrzejszy. Gracie stanęły na chwilę przed oczami najgłośniejsze sceny przemocy z burzliwej najnowszej historii regionu, wszystkie wywołane przez gorączkę religijną - szturm na ambasadę USA w Teheranie, obrzucenie kamieniami i podpalenie duńskiej ambasady w Bejrucie, egzekucje zakładników przez ścięcie w Iraku i w Afganistanie. Nie chciała stać się uczestniczką czegoś takiego, w każdym razie nie w ten sposób.

- Lepiej ruszajmy w drogę. - Spojrzała na mnicha i opata. - Musicie porozmawiać z ojcem Jerome.

Amin skinął głową.

- W takim razie pójdę - powiedział, po czym odwrócił się i po chwili zniknął w drzwiach.

Opat ruszył w ślad za nim.

- Próbują go stamtąd wywieźć - poinformował Darbyego Buscema.

- Już? Kto?

- Dzwonił właśnie do mnie kumpel z telewizji - wyjaśnił wielebnemu dziennikarz. - Jest z nim ich ekipa reporterska, która nie ma zamiaru czekać na oficjalne reakcje. Sami postanowili się tym zająć.

- Jasne, że tak - roześmiał się Darby. - To, że mają ludzi na miejscu, raczej niezgorzej wpływa na ich wyniki oglądalności. Jak mają zamiar to zrobić?

- Nie jestem pewien. Kumpel mówi, że załatwiają im na szybko samolot.

- Gdzie chcą go zabrać? - zapytał pastor.

- Nie wiem. Sądzę zresztą, że oni też nie. Po prostu chcą go stamtąd zabrać, zanim ci szaleńcy rozerwą go na strzępy.

Wielebny zamilkł. Po chwili wypuścił powoli z płuc powietrze, tak jakby podjął właśnie decyzję.

- Sprowadźmy go tutaj - zaproponował.

- Tutaj?

- Tak, do diabła. To chrześcijański kraj, o ile się nie mylę - zagrział.

- To nie będzie łatwe. Wszyscy chcieliby go dorwać - prowokował go Buscema. - Oglądałeś zamieszki w Rzymie?

- Papież ciągle nie ogłosił oficjalnego stanowiska w tej sprawie, prawda? - W jego głosie można było wyczuć osobliwą u niego lekką panikę.f -

- Nie. Watykan raczej nie słynie z podejmowania szybkich decyzji.

- Więc gdzie polecą? Do Francji? - zakpił Darby.

- Może do Hiszpanii. W końcu ksiądz stamtąd pochodzi. Poza tym na przykład Brytyjczycy zwykle błyskawicznie zapraszają do siebie wszystkich, którzy znaleźli się w tarapatkach.

- Nie ma mowy. Musimy go sprowadzić tutaj. Zresztą, jak wspominałeś - dodał - słupki poparcia skaczą aż pod niebiosa. Ludzie chcą tutaj słyszeć, co ma do powiedzenia.

- Rząd nie ogłosił jeszcze oficjalnego stanowiska.

-1 bardzo dobrze! - zawołał triumfująco Darby. - Dzięki temu mam szansę go ubiec i osobiście sprzątnąć naszego księdza sprzed nosa tym poganom na wschodzie.

„Tu cię mam” - pomyślał Buscema.

- Chcesz się tym sam zająć? - zapytał z udawanym zdziwieniem w głosie.

- Bóg przekazał nam posłanie - stwierdził stanowczo Darby. - Dopilnuję, żeby wszyscy je usłyszeli, głośno i wyraźnie.

Buscema zamilkł na chwilę, a potem powiedział:

- Jeśli Departament Stanu da ambasadzie zielone światło, a pewnie da, będzie po wszystkim. Jeżeli chcesz to zrobić, musisz działać szybko.

Głos wielebnego był gładki i ostry jak brzytwa.

- Spokojna głowa.

Gracie, Dalton i Finch znieśli resztę sprzętu z dachu warowni i przerzucali go, schroniwszy się w cieniu wejścia do biblioteki. Z tego co im powiedziano, tunel był długi, ciemny, wąski oraz zakurzony, i nie sądzili, by mogli zabrać ze sobą wszystko. Najważniejsza była kamera, sprzęt do nadawania na żywo oraz zeszyty ojca Jerome, których chcieli wziąć tyle, ile się tylko da. Ofiarą wymuszonej selekcji niemalże padła kamera powietrzna Daltona, na szczęście opat ściągnął kilku mnichów i polecił im towarzyszyć dziennikarzom w czasie ucieczki oraz pomóc w przeniesieniu sprzętu.

Finch połączył się z Ogilvym, który zabrał się szybko za załatwianie samolotu - najlepiej takiego, który wywiózłby ich bez prowokowania zbyt wielu pytań. Musieli wprawdzie przebrnąć przez kontrolę na lotnisku, ale Finch wiedział, że w wypadku prywatnych lotów jest ona o wiele mniej skrupulatna niż przy komercyjnych. Na lotnisku czekało ich trochę

- Nie. Watykan raczej nie słynie z podejmowania szybkich decyzji.

- Więc gdzie polecą? Do Francji? - zakpił Darby.

- Może do Hiszpanii. W końcu ksiądz stamtąd pochodzi. Poza tym na przykład Brytyjczycy zwykle błyskawicznie zapraszają do siebie wszystkich, którzy znaleźli się w tarapatkach.

- Nie ma mowy. Musimy go sprowadzić tutaj. Zresztą, jak wspominałeś - dodał - słupki poparcia skaczą aż pod niebiosa. Ludzie chcą tutaj słyszeć, co ma do powiedzenia.

- Rząd nie ogłosił jeszcze oficjalnego stanowiska.

- I bardzo dobrze! - zawołał triumfująco Darby. - Dzięki temu mam szansę go ubiec i osobiście sprzątnąć naszego księdza sprzed nosa tym poganom na wschodzie.

„Tu cię mam” - pomyślał Buscema.

- Chcesz się tym sam zająć? - zapytał z udawanym zdziwieniem w głosie.

- Bóg przekazał nam posłanie - stwierdził stanowczo Darby. - Dopilnuję, żeby wszyscy je usłyszeli, głośno i wyraźnie.

Buscema zamilkł na chwilę, a potem powiedział:

- Jeśli Departament Stanu da ambasadzie zielone światło, a pewnie da, będzie po wszystkim. Jeżeli chcesz to zrobić, musisz działać szybko.

Głos wielebnego był gładki i ostry jak brzytwa.

- Spokojna głowa.

Gracie, Dalton i Finch znieśli resztę sprzętu z dachu warowni i przerzucali go, schroniwszy się w cieniu wejścia do biblioteki. Z tego co im powiedziano, tunel był długi, ciemny, wąski oraz zakurzony, i nie sądzili, by mogli zabrać ze sobą wszystko. Najważniejsza była kamera, sprzęt do nadawania na żywo oraz zeszyty ojca Jerome, których chcieli wziąć tyle, ile się tylko da. Ofiarą wymuszonej selekcji niemalże padła kamera powietrzna Daltona, na szczęście opat ściągnął kilku mnichów i polecił im towarzyszyć dziennikarzom w czasie ucieczki oraz pomóc w przeniesieniu sprzętu.

Finch połączył się z Ogilvym, który zabrał się szybko za załatwianie samolotu - najlepiej takiego, który wywiózłby ich bez prowokowania zbyt wielu pytań. Musieli wprawdzie przebrnąć przez kontrolę na lotnisku, ale Finch wiedział, że w wypadku prywatnych lotów jest ona o wiele mniej skrupulatna niż przy komercyjnych. Na lotnisku czekało ich trochę improwizacji, ale Finch zbytnio się tym nie przejmował. Wydostawali się z gorszych miejsc.

Kiedy zamykał plecak, po głowie ciągle chodziły mu spostrzeżenia Daltona sprzed kilku minut. Coś było nie tak. Jak zauważył Dalton, wszystko obracało się wokół brytyjskiego filmu dokumentalnego. Bez niego, pomyślał, nic by się nie wydarzyło. Z pewnością nie zdecydowałiby się na wyjazd. Niepokoiło go jednak coś jeszcze. Przypomniawszy sobie, jak tłum otaczający ich samochód cofnął się nagle, otwierając im drogę w stronę bezpiecznego schronienia w klasztorze. Niestety, nie potrafił jasno powiedzieć, co mu się w tym nie podobało - wszystko wydarzyło się w mgnieniu oka i zlało w jego pamięci w niewyraźną plamę. Mimo to był przekonany, że coś jest nie tak.

Pomyślał znowu, żeby zadzwonić do producenta filmu i dowiedzieć się czegoś więcej na jego temat. Zerknął na zegarek i miał już otworzyć usta, gdy nagle ubiegł go Dalton, który rozglądał się niecierpliwie wokół siebie:

- Gdzie są wszyscy? Musimy spadać.
- Myślałem, że Amin i opat poszli po niego - odparł Finch.
- Spróbuję ich znaleźć - zaproponowała Gracie.

Ruszyła przez dziedziniec w stronę niewielkiego budynku, w którym mieściły się cele mnichów. Finch odprowadził ją wzrokiem. Otarł pot z czoła i dreptał przez chwilę tam i z powrotem po placu, aż w końcu postanowił wykorzystać wolną chwilę i zadzwonić do producenta. Ponownie spojrzawszy na zegarek, obliczył szybko w głowie różnicę czasu między Egiptem a Anglią, gdzie mieszkał producent, i doszedł do wniosku, że raczej nie obudzi go o

jakiejsz nieludzkiej godzinie. Podniósł telefon satelitarny, a potem zaczął się klepać po kieszeniach w poszukiwaniu komórki. Niestety, nie znalazł aparatu.

- Widziałeś moją komórkę?

Dalton się rozejrzył.

- Nie, dlaczego?

Sprawdził w plecaku.

- Myślałem o tym, co mówiłeś. Chyba zadzwonię do gości od tamtego dokumentu.

- No to dzwoń przez satelitarny. Komórki i tak tutaj nie działają, nie pamiętasz?

Finch obdarzył go promiennym uśmiechem.

- Jasne, ale w komórce mam listę kontaktów, matolku.

Dalton zastanawiał się przez sekundę.

- Z tego co pamiętam, miałaś ją, jak byliśmy na górze. - Wskazał kasr. - Zanim odebrałaś rozmowę przez satelitarny.

Finch spojrział na warownię, która górowała nad otoczonym murem dziedzińcem klasztoru, i zmarszczył brwi.

- Pewnie jej zapomniałem, jak się pakowaliśmy. Zaraz wracam.

Zostawił Daltona samego i ruszył przez dziedziniec, a potem przez most zwodzony do warowni.

Za każdym razem gdy tam wchodził, musiało minąć kilka sekund, zanim wzrok przestawił mu się z oślepiającego egipskiego słońca na mrok panujący w zakurzonej, pozbawionym okien wnętrzu twierdzy, w której sufity zwisały mu w dodatku tuż nad głową. Dotarł do schodów i zaczął się wspinać na górę.

Warownia była pusta, podobnie jak wcześniej. Niektóre pomieszczenia mnisi przerobili na magazyny - ciemność i grube mury zapewniały względnie niską temperaturę - innych nie używano od lat, może nawet od stuleci. Sufity wisiały nisko, za okna służyły wąskie szpary wybite w grubych murach - niezbyt zachęcające miejsce do pracy, snu czy do czego tam zostało pomyślane. Wszedł po schodach na drugie piętro i dotarłszy na samą górę, znalazł się na niewielkim podeście, z którego prowadziła na dach drabina.

Komórka faktycznie tam leżała - w kurzu za niewielkim otynkowanym kominem. Finch podniósł ją. Miał ochotę podejść do krawędzi dachu i raz jeszcze rzucić okiem na kłębiące się na równinie masy, ale postanowił tego nie robić. Znalazł numer producenta ekipy dokumentalistów, wyciągnął telefon satelitarny i zadzwonił

Facet, Gareth Willoughby, był powszechnie szanowanym filmowym globtroterem z imponującym CV, na które składały się dokumenty na chyba wszystkie możliwe tematy.

Niestety, Finch dodzwonił się tylko na pocztę głosową; zostawił mu krótką wiadomość, w której wyjaśnił, co się dzieje, i poprosił, żeby do niego oddzwonił.

Spojrzał jeszcze ostatni raz na pustynię i ruszył w drogę powrotną. Gdy postawił stopę na najniższym szczeblu drabiny prowadzącej z dachu, nagle usłyszał głos - niemalże szept dobiegający z pokoiku za kaplicą. Głos należał do mężczyzny, który powiedział zaledwie kilka słów, ale w cichej, przywodzącej na myśl labirynt przestrzeni rozbrzmiały one wyraźnym echem. Coś w nich zaniepokoiło Fincha, który nastawił uważnie uszu. Oddalił się cicho od drabiny i podążył za głosem, minął wąski korytarz i dotarł do pokoju zwróconego w stronę przeciwną niż klasztor. Producent nie rozumiał poszczególnych słów, ale uderzyło go, że mężczyzna mówi po angielsku.

Dotarł do drzwi, zatrzymał się przy nich, zawahał, a potem nachylił, żeby lepiej widzieć. Mężczyzna był w środku, sam. Okazało się, że to mnich. Podobnie jak jego współpracownicy, miał na sobie tradycyjną czarną sutannę z charakterystycznym obszyciem wokół kaptura, który narzucił na głowę. Był odwrócony plecami do producenta. Finch stał przez chwilę, nieco zaskoczony, i nagle zdał sobie sprawę, że mężczyzna mówi coś do telefonu komórkowego. Po angielsku.

- Powinniśmy wyruszyć za dziesięć, piętnaście minut. Po kolejnych dwudziestu pewnie będziemy na miejscu. - Przerwał na chwilę, a potem powiedział: - W porządku.

Finch zeszywniał: nagle rozpoznał głos, przez co pewnie przesunął nieco stopę, zaledwie o centymetr, może nawet mniej, nic takiego - ale wystarczyło to, by mnich wyczuł jego obecność i się odwrócił.

Był to brat Amin.

W powietrzu zawisła krępująca cisza. Finch pobiegł wzrokiem w stronę telefonu i z powrotem - było w tym wszystkim coś dziwnego, ale jego goniący mi ostatnimi siłami umysł nie wychwylił tego od razu - spojrzał mnichowi prosto w oczy, aż w końcu połapał się i przystroił twarz w swobodny, zawstydzony nieco uśmiech.

- Ja... eee... - wyjąkał, po czym wskazał na dach. - Zapomniałem tam telefonu.

Brat Amin nie odpowiedział. Nie odwzajemnił też uśmiechu. Stał jak wryty i się nie odzywał.

Finch wyczuł, że mnich spina mięśnie. Opuścił znowu wzrok na telefon i nagle zdał sobie sprawę, co nieświadomie odkrył. To nie był zwykły telefon komórkowy. Takie w tym miejscu nie działały. Był to telefon satelitarny, łatwo rozpoznawalny po charakterystycznej, długiej rozkładanej antenie. Co więcej, do aparatu było przymocowane niewielkie pudełko. Finch natychmiast skojarzył co to takiego - moduł szyfrujący.

ROZDZIAŁ 48

Nahant, Massachusetts

Tom przede wszystkim żył swoją pracą - zaczęła opowieść Jenna

Reece. - Nawet gdy pojawiły się dzieci, nigdy go nie było, a jeżeli już był, i tak nie miałam z niego pożytku. Myślami zawsze przebywał w laboratorium.

Siedzieli w salonie, czy też studiu w jej domu w Nahant, niewielkim miasteczku na równie niewielkim, oddalonym o trzydzieści kilometrów na północ od Bostonu, wygiętym w kształt pół księżycy półwyspie. Usytuowany kilka kilometrów od wybrzeża, połączony był z lądem wąską pępowiną piaszczystego wału. Dom Reecea, nowocześnie odrestaurowana holenderska kolonialna rezydencja, wznosił się nad brzegiem oceanu na zachodnim wybrzeżu miejscowości. Kiedyś, jak wspomniała Mattowi i Jabbie, służył Dominicowi i jej za domek letni, ale po śmierci męża sprzedała ich mieszkanie w mieście i przeprowadziła się na stałe do Nahant, gdzie przebudowała wysoki na dwa piętra salon na atelier i poświęciła się całkowicie rzeźbieniu.

- Przypuszczam, że z pańskim bratem było to samo, prawda? - zapytała. - Wszyscy oni myśleli tylko o pracy. - Wzruszyła smutno ramionami i pochyliła się, żeby pogłaskać psa, rudawego retrievera, który leniwie drzemał u jej stóp. W kącie pokoju, przy dochodzących aż do sufitu przesuwanych drzwiach prowadzących na taras, migotała niewielka choinka. - No i co im z tego przyszło? Matt wytrzymał jej wzrok i poważnie skinął głową.

- Co pani wie o projekcie, nad którym pracowali tuż przed śmiercią?

Jenna Reece zaśmiała się cicho.

- Niezbyt wiele. Jeśli chodzi o pracę, Dom nigdy nie wchodził ze mną w szczegóły. Byłam przecież tylko jego głupiutką żoną. - Tym razem roześmiała się na głos. - Rzeczywiście, nie mam umysłu naukowca, więc właściwie nawet mnie to nie interesowało. To był jego świat. Poza tym muszą panowie zrozumieć, że on i cała reszta mieli prawdziwą obsesję na punkcie tego, by nikt nie wiedział, nad czym pracują - w każdym razie do momentu, gdy gotowi byli ogłosić wyniki swych badań i pławić się w glorii. Uważałam zawsze, że trochę w tym paranoi... Przecież o takich rzeczach raczej rzadko wspomina się w czasie pogaduszek z koleżankami w kawiarni, prawda? - Uśmiechnęła się.

Matt poprawił się na siedzeniu i nachylił, podpierając podbródek palcami złożonymi w szpic, wyraźnie zakłopotany tym, o co musiał ją zapytać.

- Pani Reece...

- Mów mi Jenna, Matt - poprawiła go łagodnie.

- Jenna - spróbował ponownie - muszę cię o coś zapytać, ale może ci się to wydać trochę dziwne i...

Zamilkł i popatrzył na nią, szukając wzrokiem zachęty.

- Matt, powiedziałaś mi, że musisz ze mną porozmawiać, i jechałeś tutaj kawał drogi, żeby się spotkać, zakładam zatem, że to ważne. - Spojrzała mu prosto w oczy. - Pytaj, o co tylko chcesz.

- W porządku - skinął z wdzięcznością głową. - Chciałem tylko wiedzieć... Czy widziałaś na własne oczy ciało męża?

Jenna Reece zamrużyła kilka razy i odwróciła wzrok, ostatecznie wbijając go we własne stopy. Sięgnęła w dół i znowu pogłaskała psa, poruszona wspomnieniami. Za oknem zimne fale z regularnością metronomu rozbijały się o skały pod drewnianym tarasem, zakłócając niespokojną ciszę.

- Nie - powiedziała po chwili. - A właściwie, nie widziałam całego ciała. Przecież wiesz, jak zginęli i... Tamtejsze warunki...

- Wiem - potwierdził, nie chcąc zmuszać jej do powrotu do bolesnych wspomnień. - Ale jesteś pewna, że to był on?

Spojrzała w stronę Matta, ale jej wzrok był jakby wbity w jakiś punkt za nim, daleko, daleko za ścianami pokoju, a nawet miasteczka.

* *

- Pokazali mi tylko jego dłoń - rzekła. Słowa uwięzły jej w gardle i na moment musiała zacisnąć oczy Kiedy je z powrotem otworzyła, błyszczały od łez. - Ale to była jego dłoń. Lewa dłoń. Ciągle miał na niej obrączkę. Nie miałam żadnych wątpliwości.

- Jesteś pewna? - nie ustępował Matt, mimo wewnętrznego oporu, jaki odczuwał.

Jenna Reece skinęła głową.

- Miał naprawdę cudowne, delikatne dłonie. Jak u pianisty. Zwróciłam na nie uwagę już pierwszego dnia, kiedy się spotkaliśmy. Oczywiście była... - Wyparła bolesną myśl i wyprostowała się. - Mimo to wiedziałam, że to jego dłoń. - Uśmiechnęła się do Matta. - Dlaczego o to pytasz?

- Cóż, z mojego brata nic nie zostało i zastanawiałem się, czy... - Nie mógł powiedzieć całej prawdy, dodał więc tylko: - Miałem po prostu nadzieję, że ktoś popełnił błąd.

- Masz nadzieję, że twój brat ciągle żyje?

Zaskoczył go sposób, w jaki dotarła na skróty do sedna jego wątpliwości, i nie mógł się powstrzymać - skinął głową.

Obdarzyła go ciepłym, pocieszającym uśmiechem.

- Żałuję, że nie mogę ci powiedzieć czegoś, co pozwoliłoby ci dotrzeć do prawdy, jakakolwiek by była, ale trudno mi mówić o kimś innym niż mój Dom.

Matt skinął głową, wdzięczny, że nie musi nic więcej wyjaśniać. Wrócił myślami do głównego powodu ich wizyty.

- Wiesz może, dla kogo pracował Dom?

- Nie zwierzał mi się z takich rzeczy - powiedziała zamyślonym tonem. - Nie chodzi o to, żeby nie był tym podekscytowany. Przeciwnie. Ale tak jak pozostali, nie lubił wdawać się w szczegóły. Spotkałam się z tym już wcześniej - każde jego odkrycie mogło potencjalnie zmienić nasz styl życia. Byli co do tego przekonani, do tego właśnie dążyli. Sądzę zresztą, że niektóre z tego rodzaju wynalazków faktycznie wpływają na naszą codzienność. Wystarczy wspomnieć o telefonach komórkowych, Internecie czy elektrycznych samochodach. - Nachyliła się, marszcząc w skupieniu brwi i próbując przebić się przez pajęczynę, jaka spowijała jej pamięć. - Ale jeśli chodzi o ten projekt... Było inaczej. Jak już wspominałam, Dom nigdy nie mówił zbyt wiele na temat swojej pracy, ale tym razem był szczególnie powściągliwy. Zauważyłam jednak, że chodzi o coś innego niż zazwyczaj. Dużego. Im bardziej starał się to ukryć, tym widoczniejszy stawał się jego entuzjazm, optymizm... Był przekonany, że ten projekt naprawdę wiele zmieni, i to na zupełnie fundamentalnym poziomie. Naciskałam go kilka razy, ale on odpowiadał tylko: „Wkrótce się przekonasz”. A tego dnia, gdy dostał zielone światło, jeśli chodzi o fundusze - zwykle coś takiego było dla nas wielkim świętem, które lubiliśmy uczcić wieczorem w dobrej restauracji. Tym razem było zupełnie inaczej. Nie zrozum mnie źle, był zachwycony. Ale wyczułam w nim coś więcej. Tak jakby zaczął nowy etap życia. Jakby miał misję. I był bardziej tajemniczy niż zawsze. Ledwie go widywałam. Aż w końcu...

Odwróciła wzrok, próbując wyprzeć to wspomnienie z pamięci.

- Nie wiesz może, kto go sponsorował? Musiał coś o tym wspomnieć - naciskał Matt.

Jenna spojrzała na niego z wahaniem, a potem powiedziała:

- Nie jestem pewna, czy powinnam ci o tym mówić.

- Proszę, Jenno - odparł Matt, rozkładając dłonie. - Naprawdę muszę wiedzieć. Mój brat był jego współpracownikiem.

Jenna przyglądała mu się przez chwilę, po czym westchnęła ciężko i kiwnęła głową.

- Niech będzie... Zawsze zakładałam, że pieniądze, które zdobywał, pochodzą od jednej z szyszek branży venture capital albo od rządu. Raz jednak o tym wspomniał, zresztą właściwie przez przypadek - wyznała.

- Co? - zapytał łagodnie Matt.

- Pieniądze. Pochodziły od Rydella.

Matt spojrzał na nią zmieszany.

- Larry ego Rydella? - przejął od niego pałeczkę Jabba.

- Tak - potwierdziła. - To była tajemnica. Nie wiem dlaczego, ale nie chcieli tego ujawniać. Rydell to osoba znana i przypuszczam, że mógł się niepokoić o kurs swoich akcji. Mimo to byłam zdziwiona - i trochę wkurzona, muszę przyznać - że nawet się nie pojawił na pogrzebie Doma. Oczywiście nie mogę narzekać, zaopiekowali się mną, nie miałam żadnych problemów z ich ludźmi od ubezpieczenia i tak dalej, ale mimo to...

Jabba spojrzał znacząco na Matta. Matt znał to nazwisko - jak wszyscy - ale nie do końca rozumiał, dlaczego było ono tak ważne dla Jabby.

- Jesteś tego pewna? - zapytał Jabba.

- Tak - odparła Jenna Reece.

Naukowiec spojrzał na Matta i zrobił minę, tak jakby dowiedzieli się już wszystkiego, czego potrzebowali.

ROZDZIAŁ 49

Klasztor asSurjani, Wadi anNatrun, Egipt

Więc... brat ma telefon satelitarny? - zapytał retorycznie, jak gdyby w transie Finch. Brat Amin nie odpowiedział.

- Nie wiedziałem, że macie tutaj coś takiego - dodał producent, usiłując nie dopuścić, by w jego głosie pojawiła się choćby nuta podejrzliwości.

Mnich nadal nic nie mówił. Patrzył w osłupieniu na Fincha.

- Zabawne - kontynuował producent - bo przecież wydawało mi się, że jesteście w klasztorze właśnie po to, żeby odciąć się od reszty świata i tym samym skupić na Bogu i... Tymczasem brat ma telefon satelitarny

- powtórzył, przenosząc wzrok na telefon w rękach zakonnika, a potem z powrotem na jego oczy.

Finchowi uśmiech zamarł na wargach. Pojawił się za to na ustach brata Amina.

- Mam - powiedział w końcu zakonnik, niemalże z żalem w głosie.

- Mam też moduł szyfrujący.

Wytrzymał badawczy wzrok producenta. Ten spróbował zlekceważyć jego uwagę, przybierając niewinny wyraz twarzy, tak jakby nie było to nic takiego, ale mnich nie dał się nabrać.

- Widziałem, że zaraz go rozpoznałeś - stwierdził. - Miałeś to wymalowane na twarzy. Zważywszy na twoją pracę oraz na miejsca, w których ją wykonujesz, przypuszczam, że nieraz już spotkałeś się z czymś takim.

- Jasne, ale... - Finch machnął ręką z udawaną obojętnością.

- W ostatnich latach widać tego coraz więcej. Tak jest bezpieczniej, prawda? Przy tych wszystkich skanerach i tak dalej...

Nagle zamilkł. Jego umysł zaczął pracować niezależnie od woli, wracając po kolei do wydarzeń, które doprowadziły go do tego miejsca, do tej małej dusznej komnaty; nagle go oświeciło i wszystko ułożyło się w logiczną, niewyobrażalnie przerażającą całość - nagle zrozumiał, że znalazł się w poważnym niebezpieczeństwie, i zareagował instyryktownie. Nie do końca pojmował dlaczego, ale cofnął się z wahaniem o krok.

Mnich wykonał odwrotny ruch i zbliżył się do niego.

Finch zmarszczył brwi.

- Co brat robi?

- Przykro mi - powiedział brat Amin, podchodząc do niego jeszcze o krok.

Producenta nagle ogarnęła panika - rzucił się do tyłu i ruszył w stronę schodów, ale ledwo zdążył minąć próg drzwi, gdy mnich stanął za nim i poruszając się z prędkością błyskawicy, uderzył nim o ścianę, jednocześnie wymierzając mu solidnego kopniaka prosto w krocze. Finch zgiął się wpół, nie mogąc złapać oddechu. Okulary spadły mu z twarzy. Obrócił się i podniósł ręce w obronnym geście, mając nadzieję odeprzeć kolejny cios. Przez ułamek sekundy wydawało mu się, że widzi pięść mnicha. Bez okularów obraz był trochę niewyraźny, ale zauważył, że zakonnik zaciska palce, wysuwając środkowy kłykieć, po czym cofa nieco rękę, a potem gwałtownie, z prędkością grzechotnika, celuje nią w głowę producenta. Twarda niczym z żelaza pięść trafiła go w szyję tuż poniżej ucha, z siłą młota miażdżąc mu zatokę szyjną. Poczuł, że od uderzenia tężeją mu mięśnie, a potem nagle stracił panowanie nad nimi i upadł na podłogę.

Było to dziwne uczucie - nie mógł się ruszyć, nie miał władzy w mięśniach, czuł się jak wielka bryła galaretki upuszczona na ziemię. Zmętniętymi, półprzytomnymi oczami dostrzegł mnicha, który nachylił się nad nim, spozjrzał gdzieś w bok, a potem znowu na niego, tak jakby przez krótką chwilę się zastanawiał, aż w końcu nachylił się jeszcze raz, złapał go za rękę, podniósł i przerzucił sobie przez ramię.

- Gdzie on jest? - zapytała Gracie, rozglądając się po dziedzińcu klasztoru.

Oboje z Daltonem byli już gotowi do drogi. Dołączyli do nich opat i ojciec Jerome oraz kilku innych mnichów, którzy mieli im pomóc przenieść sprzęt.

Dalton spojrzał do góry na dach warowni, złożył dłonie wokół ust niczym megafon i zawołał:

- Finch! Czekamy na ciebie! Czas ruszać w drogę, stary!

Bez odpowiedzi.

Gracie rozejrzała się, po czym zapytała Daltona:

- Na pewno poszedł na górę?

Operator skinął głową.

- Powinien już wrócić. Miał tylko zabrać komórkę.

Dziennikarka jeszcze raz rozejrzała się niecierpliwie, po czym zmarszczyła brwi i wbiła wzrok w warownię.

- Sprawdzę, co go zatrzymało - powiedziała i ruszyła przed siebie.

Nie zdążyła dojść do drzwi, kiedy nagle coś - ledwo słyszalny szelest wiatru, ledwo zauważalny cień na ziemi na prawo od niej - kazało jej podnieść wzrok. Odwróciła się i spojrzała w górę dokładnie w momencie, gdy ciało Fincha śmignęło przez powietrze i zderzyło się z ubitym piaskiem zaledwie kilka metrów od niej.

ROZDZIAŁ 50

Okolice Bostonu, Massachusetts

To miałyby sens - stwierdził Jabba. Był podniecony i paplał bez przerwy. - Gość ma forszę. Dostęp do całego technologicznego syfu, żeby zorganizować coś takiego. I jest orędownikiem ekologii, jednym z najbardziej znanych. - Pokręcił głową, a na jego twarzy pojawiła się konsternacja. - Pytanie tylko, jak to zrobić.

- A co za różnica? - wzruszył ramionami Matt.

Byli już na łądzie i jechali autostradą Salem w kierunku miasta. Jabba opowiedział Mattowi, co wie o Rydellu - że promuje na całym świecie projekty związane z alternatywną energią, że z ogromną pasją lobbuje w Waszyngtonie, by politycy poważniej podchodzili do kwestii związanych ze zmianami klimatycznymi, że wspierał polityków i organizacje toczące najczęściej z góry skazane na przegrane bitwy z poprzednią administracją, raczej niewykazującą zrozumienia dla problemów poruszanych przez ekologów. Każde słowo wypełniało kolejnymi pikselami niejasny początkowo obraz, który rysował się w głowie

Matta: jak staje twarzą w twarz z Rydellem i osobiście wyciąga mu z gardła prawdę na temat tego, co on i jego kumple zrobili Dannyemu.

- Skąd tyle wiesz o Rydellu? - zapytał.

Jabba spojrział na niego jak na kosmitę.

- Stary, pytasz serio? Na jakiej ty żyjesz planecie?

Matt wzruszył ramionami.

- Więc gość naprawdę wierzy, że może stworzyć nową, „zieloną” religię? Serio?

Jabba uśmiechnął się ironicznie.

- Stary, przecież wszyscy mamy ją w genach. Przyroda otacza nas od dnia naszych narodzin. Nie możemy od niej uciec. A ludzie wierzą w takie gówno. Pomyśl tylko, jaką histerię może wywołać pierwszy lepszy trzeciorzędny pisarz science fiction, a przecież wszyscy wiedzą, że chodzi mu tylko o to, żeby zbić kasę. Rydell... Ten gość to zupełnie inna liga. Dysponuje najnowocześniejszą technologią i nieograniczonymi środkami finansowymi. I nie jest durniem. Taka kombinacja musi wzbudzać szacunek.

Matt skinął głową, przyjmując jego argumenty.

- I twierdzisz, że zorganizował to wszystko, żeby ocalić planetę?

- Nieplanetę. Nas. Pamiętasz, co powiedział George Carlin? Planeta sobie poradzi. Radziła sobie z gorszymi rzeczami niż cokolwiek, czym możemy ją próbować zniszczyć. Istniała na długo przed nami i będzie istniała jeszcze długo po naszym zniknięciu z jej powierzchni. To n a s trzeba ocalić.

Matt pokręcił z niedowierzaniem głową, po czym spojrział przez okno. Ruch na autostradzie zagęszczał się - świąteczna gorączka zaczęła już zapychać najważniejsze krajowe arterie.

- Myślisz, że wiedzieli, nad czym tak naprawdę pracują? - zapytał. - Danny i pozostali... Myślisz, że Reece i Rydell im powiedzieli?

- Nie wiem... Na pewno wiedzieli, jaka siła drzemie w tym, co projektowali. - Spojrzął z ukosa na Matta. - Pytanie nie sprowadza się do tego, czy im coś powiedzieli. Chodzi raczej o to, czy wiedzieli od samego początku. Czy pracowali nad tym, wiedząc, do jakich celów zostanie użyte.

Matt pokręcił głową.

- Był twoim bratem, stary - dodał z wahaniem Jabba. - Jak myślisz? Mógłby się zgodzić uczestniczyć w czymś takim?

Jego towarzysz zastanawiał się przez chwilę.

- W takim fałszerstwie? Oszukać miliony ludzi? - Jeszcze raz pokręcił głową. - Nie sądzę.

- Nawet jeśli uważał, że cel jest szczytny?

Na to pytanie trudniej było odpowiedzieć. Danny, mimo wysiłków ich rodziców, nie był bardziej religijny niż Matt, więc raczej nie chodziło tu o kwestię wiary. I chociaż był porządnym, uczciwym facetem, Matt nieu przypominał sobie, by jakoś specjalnie przejmował się ekologią, w każdym razie nie bardziej niż każdy czytany, trzeźwo myślący człowiek. Z pewnością nie miał żadnych zapędów mesjanistycznych w tę stronę. Sęk w tym, że gdy Matt siedział za kratkami, spędzili sporo czasu z dala od siebie, a nawet gdyby nie, to przecież w ostatecznym rozrachunku, czy można tak naprawdę poznać kogoś do końca?

Jabba przyglądał mu się, niepewny, czy powinien coś jeszcze dodać. Matt zauważył jego wahanie.

- Co? - zapytał.

- No nie wiem, stary. To znaczy, ciężko mi o tym mówić, ale nie wygląda mi to najlepiej. Minęły dwa feta. Jeśli Danny nie postanowił zniknąć, bo na przykład należał do spisku, to nie wyobrażam sobie raczej, że byliby w stanie trzymać go przez ten czas w zamknięciu, tak żeby nikt się nie zorientował. Twój brat na pewno znalazłby sposób, żeby kogoś powiadomić, przemycić jakąś wiadomość, nie sądzisz?

- Nie, jeśli znali się na swojej robocie.

- Człowieku, dwa lata! - dodał Jabba, krzywiąc się nieco.

Matt popatrzył przed siebie i zmarszczył brwi. Nagle poczuł ucisk w piersiach. Nie wiedział, co byłoby lepsze - dowiedzieć się, że Danny rzeczywiście od dawna nie żyje, czy że dobrowolnie bierze udział w czymś takim. W czymś, z powodu czego zginął jego najlepszy przyjaciel, a brat został oskarżony o morderstwo.

- Nie ma mowy - powiedział w końcu. - Nigdy by się na coś takiego nie zgodził. Zwłaszcza gdyby wiedział, do czego to tak naprawdę zmierza.,

- W porządku - odparł Jabba i odwrócił wzrok.

Jakieś dwa kilometry dalej Matt odezwał się do niego:

- Sprawdź znowu, gdzie jest samochód Maddoxa, dobra?

- Nie ma sprawy, ale naprawdę nie powinniśmy używać komórki - ostrzegł Jabba, wyciągając iphona.

- Po prostu nie pozostawaj na linii dłużej, niż twoim zdaniem jest to bezpieczne. Możesz się przecież rozłączyć po czterdziestu sekundach, nie?

- Wolę po trzydziestu - powiedział Jabba i niechętnie skinął głową. Wszedł na stronę urzędnika naprowadzającego. Nie musiał nawet wpisywać jego numeru identyfikacyjnego - był już zmagazynowany w cookies. Odczekał kilka sekund, aż nawiąże się połączenie, po czym zrobił zbliżenie mapy.

- Stoi. Przy jakimś Hanscom Field - poinformował Matta. - Zaczekaj. - Otworzył inną stronę. Wpisał zapytanie. Zaczekał kilka sekund, aż załaduje się do sieci. - To niewielkie lotnisko między Bedford a Concord. Wyloguję się, zanim nas namierzą.

Wyłączył telefon, zerknął na zegarek - dwadzieścia sześć sekund - i spojrzał na Matta.

Ten przez chwilę się zastanawiał. Niewielkie lotnisko. Ciekawe, co Maddox tam robił? Spodobał mu się pomysł, żeby znowu zaskoczyć przeciwnika, zbliżyć się do niego, podejść go na jego własnym terenie.

Spojrzał na zegarek na desce rozdzielczej. Dojazd na lotnisko nie zająłby im wiele czasu, nawet przy gęstniejącym świątecznym ruchu. Pół godziny, może czterdzieści minut.

- To tuż obok dziewięćdziesiątej piątej, co?

Jabba spochmurniał.

- Zgadza się - potwierdził zrezygnowanym tonem.

- Sprawdź go znowu za jakieś piętnaście minut, dobra? Żeby się upewnić, że ciągle tam jest.

Naukowiec skinął ponuro głową i zapadł się w fotelu, wciągając głęboko w płuca powietrze. Spodziewał się najgorszego.

Maddox rozłączył się ze swoim człowiekiem w NSA i zmarszczył z niezadowoleniem brwi. Instynktownie przesunął wzrokiem po niebie w oczekiwaniu na odrzutowiec, ale myślami był gdzie indziej.

Odebrał trzy kolejne telefony. Pierwsza wiadomość była dosyć pomyślna: oprogramowanie zostało załadowane, a cel poruszał się na północ od miasta i zmierzał w stronę centrum. Podczas drugiej rozmowy dowiedział się, że obiekt zmienił kierunek i jechał teraz autostradą Concord na zachód, co - z perspektywy czasu było to oczywiste - powinno go zaalarmować; niestety - w ogóle nie zareagował. Zaniepokoił go dopiero trzeci telefon. Cel skręcił na północ w 1-95 i znajdował się niecałe osiem kilometrów od lotniska.

Faktycznie, nie była to najlepsza wiadomość. Z jakiegoś powodu Maddox nie wierzył w ślepe trafy, podobnie jak w zbiegi okoliczności. Tymczasem Mattowi już po raz drugi tego dnia udało się go namierzyć. Co oznaczało, że albo miał zdolności paranormalne, albo dysponował jakimś atutem. Sęk w tym, że Maddox nie wiedział jakim.

Jeszcze nie wiedział.

Zawrócił w myślach o sto osiemdziesiąt stopni i prześledził raz jeszcze wszystko, co wydarzyło się od czasu, gdy po raz pierwszy zetknął się z Mattem Sherwoodem. Odłożył na półkę szczegóły, które uznał za nieistotne, i skupił się na tym, by ustalić związki przyczynowe między ich pierwszym spotkaniem a chwilą obecną, odnosząc to następnie do znanych sobie umiejętności Matta.

W efekcie jego uwagę zwrócił samochód.

Podszedł pół kroku do swojego wozu i przyjrzał mu się uważnie. Jego instynkt operacyjny próbował odnaleźć winowajcę.

Gdy mu się to udało, Pocisk zmarszczył brwi.

Nie miał czasu, żeby sprawdzić samochód. Co oznaczało, że z dużą dozą prawdopodobieństwa będzie go musiał na jakiś czas porzucić. Na samą myśl o tym jeszcze bardziej się wkurzył. Naprawdę lubił ten wóz. Zerknął na zegarek. Odrzutowiec miał wylądować lada moment.

Rozejrzał się. Na lotnisku, jak zawsze, panowała cisza. Bardzo dobrze. Doszedł do wniosku, że należało w końcu położyć kres nieoczekiwanym najściom Matta Sherwooda, i to definitywnie. Machnął na dwóch swoich ludzi, którzy czekali nieopodal.

- Myślę, że będziemy mieli towarzystwo - powiedział.

Następnie streścił im, co mają zrobić.

ROZDZIAŁ 51

Klasztor asSurjani, Wadi anNatrun, Egipt

Finch!

Krzyk Gracie wstrząsnął murami klasztoru. Dziennikarka opadła na ziemię u boku producenta. Cała się trzęsła. Pobladła na twarzy, dłonie uniosła do otwartych ust. Nieruchome ciało Fincha leżało przed nią na pustynnym piasku płasko na brzuchu. Obłok kurzu, który podniósł się, gdy biedak uderzył o podłoże, zaczął już z powrotem opadać.

Powoli wyciągnęła ręce i zawiesiła je nad nim, nie ośmielając się go dotykać. Pozostali, na czele z Daltonem, natychmiast do niej podbiegli.

- Czy on...? - Dalton nie dokończył.

Nie zauważyli żadnych otwartych ran, z ciała nie sączyła się krew. Widok nie był jednak przez to ani odrobinę mniej potworny. Jego głowa, która jako pierwsza musiała się zetknąć z ziemią, była przekrzywiona pod zupełnie nienaturalnym kątem. Jedną rękę miał wykręconą do tyłu, a martwe oczy wbijały się w spękaną glebę.

- O mój Boże, Finch! - załkała Gracie, wpatrując się w martwego kolegę, niepewna, co powinna zrobić. Jej ręce w końcu opadły na jego ciało. Przycisnęła delikatnie palce do jego szyi, szukając tam pulsu lub jakiegokolwiek śladu życia, choć w głębi duszy wiedziała dobrze, że go nie znajdzie.

Spojrzała na Daltona przez łzy i potrząsnęła głową.

Dalton również dygotał. Otoczył ramieniem Gracie, nie mogąc oderwać oczu od ciała przyjaciela. Mnisi, kryjący się niepewnie za ojcem Jerome i opatem, zaczęli mamrotać modlitwy. Po chwili dziennikarka odsunęła dłoń, delikatnie odgarnęła Finchowi z czoła kilka niesfornych kosmyków włosów i pogłaskała go po policzku, ciągle wpatrując się w niego, chcąc zamknąć mu powieki, ale nie ośmielając się ich dotknąć. Wyczuła za sobą ruch, odwróciła się i zobaczyła, że ojciec Jerome podchodzi do niej z wahaniem, z oczami utkwionymi w ciele Fincha. Świątobliwy mąż zbliżył się jeszcze kilka kroków, stanął tuż obok niej, a potem powoli ukląkł, przez cały czas skupiając wzrok na martwym producencie.

Przeszedł ją dreszcz. „Co on robi?” Patrzyła w napięciu, jak nachyla się bliżej, wyciąga dłonie nad Finchem i zamyka oczy w cichej modlitwie. Przez ułamek sekundy narastała w niej nadzieja, absurdałna nadzieja - że będzie oto świadkiem cudu, że ojciec Jerome naprawdę zainterweniuje w niebiosach i wyrwie jej przyjaciela ze szponów śmierci. Serce podskoczyło jej do gardła; siedziała nieruchomo, sparaliżowana strachem, trzymając się tej szalonej myśli jak najdłużej mogła, przypominając sobie wszystkie zupełnie nieprawdopodobne wydarzenia, jakich była świadkiem przez ostatnie kilka dni, próbując przekonać samą siebie, że wszystko jest teraz możliwe, z rosnącą desperacją czepiając się nadziei nawet wtedy, gdy równie szybko jak się pojawiła, opuściła ją nagle na widok powyginanego, martwego ciała Fincha, pod wpływem zdrowego rozsądku, którym zawsze się w życiu kierowała. Wróciło poczucie straszliwego żalu, które odbierało jej czucie w członkach.

Spojrzała na ojca Jerome, który otworzył oczy i nakreślił nad głową Fincha znak krzyża. Odwrócił się do niej. Na jego twarzy malował się wyraz głębokiego smutku. Wziął ją za dłonie.

- Bardzo mi przykro - powiedział.

Gracie zauważyła na jego twarzy poczucie winy. Skinęła głową, ale nie odezwała się. Wstał i powłókł się w stronę mnichów. Opat i brat Amin stali kilka kroków z tyłu i kiedy ojciec Jerome do nich dołączył, pierwszy z nich położył mu dłoń na ramieniu w pocieszającym geście. Obaj coś do niego szepnęli. Gracie spojrzała na Daltona, a potem na szczyt warowni. Piaskowa krawędź silnie kontrastowała z czystym błękitnym niebem.

Wyglądało to jak zbliżenie na pocztówce czy albumie, irytująco perfekcyjne w swoich uderzająco pastelowych kolorach - zbyt perfekcyjne jak na tło tak paskudnej śmierci.

- Jak... - bąknęła. - Jak to możliwe, że spadł?

Dalton powoli pokręcił głową. Ciągle był w szoku.

- Nie wiem. - Nagle otworzył szeroko oczy. - Sądysz, że ktoś mógł do niego strzelić?

Słyszałaś jakiś strzał?

Gracie spojrzała na niego z przerażeniem, po czym nachyliła się znowu nad Finchem. Dalton dołączył do niej. Zawahała się, a potem trzęsącymi się palcami wyprostowała ręce oraz nogi producenta i powoli przewróciła go na plecy. Przyjrzała się ciału, ale nie znalazła żadnej rany po kuli.

- Nic na to nie wskazuje - powiedziała. - Nie słyszałam strzału, a ty?

- Ja też nie. - Dalton się zamyślił. Popatrzył znowu na szczyt warowni. - Ten murek jest bardzo niski. Może wychylił się, żeby nam powiedzieć, że znalazł komórkę, i po prostu...

Zamilkł.

Gracie się rozejrzała. Kilka metrów dalej na ziemi połyskiwał telefon satelitarny, na wpół zakopany w piasku. Popatrzyła trochę dalej. I zauważyła ją. Czarną skrzyneczkę leżącą tuż przy ścianie warowni. Komórka Fincha. Wstała i podniosła telefon satelitarny, a potem podeszła do muru. Podniosła aparat i wpatrzyła się w niego. Wycierając palcami jego wyświetlacz z piasku, wyobrażała sobie ostatnie chwile Fincha: znajduje telefon na dachu, podchodzi do krawędzi, żeby... Co właściwie? Po raz ostatni rzucić okiem na równinę? Pomachać im? Z całego serca chciała cofnąć jakimś cudem czas i powstrzymać go, zabronić wspinania się tam, nie dopuścić, by chwila nieuwagi w okrutny sposób położyła kres jego życiu. Ale czasu nie można cofnąć. Wiedziała o tym. Przez ostatnie lata wiele razy patrzyła na śmierć i nauczyła się godzić z jej nieuchronnością.

- Co teraz zrobimy? - zapytała.

Oderwała ciągle załzawiony wzrok od Daltona i spojrzała na ojca Jerome, opata, brata Amina, który stał za nim, oraz makabryczne zgromadzenie mnichów nieco z tyłu.

- Musimy iść - powiedział głuchym głosem Dalton.

- A co z Finchem? Nie możemy go tak zostawić.

- Nie możemy go też ze sobą zabrać - zauważył łagodnie. - Po prostu nie możemy.

Po krótkiej chwili skinęła niechętnie głową. Powoli zaczynała odzyskiwać jasność myślenia.

- Masz rację - stwierdziła. Spojrzała na opata. - Może ojciec...?

Nie musiała nawet kończyć, bo opat zaraz uklonił się jej poważnie.

- Oczywiście - rzekł. - Zajmiemy się nim do momentu, gdy będzie go można odesłać do domu... Jak należy.

Zamilkł, czekając jakby, czy uzyska z jej strony potwierdzenie, i po chwili spojrzął w stronę toyoty oraz tłoczących się wokół niej mężczyzn. Podążyła za jego wzrokiem. Ciągłe dobiegało stamtąd słabe bzyczenie radia przypominające złowrogą syrenę.

- Musicie wyruszać - dodał. - Tak jak planowaliście.

Gracie z Daltonem podnieśli sprzęt i patrzyli, jak kilku mnichów z pomocą kierowcy dźwiga ciało Fincha na prowizoryczne nosze - stare drzwi, które zdjęli z zawiasów - i wноси je do głównej kaplicy. Czterech innych zakonników pozbierało pozostałe części Uposażenia dziennikarzy i niewielki orszak przeszedł za opatem z zalanego słońcem dziedzińca do chłodnego, pogrążonego w mroku klasztoru.

Minęli powoli wejście do kościoła Najświętszej Marii Panny oraz refektarza i po chwili dotarli do starych, nieoświetlonych schodów.

- Od teraz musicie używać lamp - poinstruował ich opat. Mnisi zapalili kilka niewielkich przenośnych latarni gazowych, rzucających bladą poświatę na kamienny korytarz. Zeszli powoli wąskimi schodami, wzbijając chmurę gryzącego pyłu, i po chwili dotarli do kolejnego korytarza, prowadzącego przez kilka piwniczek do składowania oliwy, w których w połowie XIX wieku odkryto jedno z najstarszych ksiąg na świecie - sprowadzone do klasztoru przez mnichów uciekających przed prześladowaniami religijnymi w Syrii i w Bagdadzie w VIII wieku - aż wreszcie znaleźli się przy wejściu do jaskini Świętego Biszoja.

Opat pchnął zmurszałe drewniane wrota i wprowadził ich do środka. Jaskinia była ciemna i ciasna; rozmiarami przypominała niewielką sypialnię. Gracie uniosła latarnię, przyglądając się uważniej wnętrzu. Podłogę jaskini pokrywała gruba warstwa brudu, a za sklepienie służyły z grubsza tylko ociosane kamienie. Nie zauważyła niczego, co potwierdzałoby legendę, o której czytała w czasie podróży, wedle której Biszoj był tak oddany wierze, iż przywiązywał sobie włosy do łańcucha zwisającego z sufitu jaskini, upewniając się w ten sposób, że nie zaśnie w niekończącym się oczekiwaniu na wizje zsyłane przez Chrystusa, o które się modlił.

- Tędy - powiedział opat. Gracie poświeciła latarnią we wskazanym kierunku. W rogu jaskini, na lewo od wrót, znajdowały się kolejne zmurszałe drzwi, nieco mniejsze od tych, które wiodły do jej wnętrza. Dwóch mnichów pomogło opatowi je otworzyć, wzbudzając w ciasnej grotcie jeszcze gęstsze kłęby kurzu. Dziennikarka podeszła bliżej i zauważyła wejście do ciasnego niskiego tunelu, wysokiego co najwyżej na półtora metra i szerokiego na metr.

Czarna dziura wydawała się wsysać całe światło już w chwili, gdy przedostawało się do jego wnętrza.

- Bóg z tobą - pobłogosławił ojca Jerome opat, gdy mnisi jeden po drugim schylali głowy i znikali w ciasnym korytarzu. Gracie była ostatnia. Zawahała się jeszcze, ciągle nie mogąc się pogodzić z tym, że zostawia Fincha, w końcu jednak pożegnała smutnym uśmiechem opata, zacisnęła zęby, stoicko godząc się z rzeczywistością, i zanurzyła się w przygnębiających ciemnościach tunelu.

ROZDZIAŁ 52

Bedford, Massachusetts

Drzewa po obu stronach dwupasmowej drogi ustąpiły miejsca niskim budynkom biurowym, przycupniętym za przyprószonymi śniegiem trawnikami. Matt zwolnił.

Odwrócił się na sekundę do Jabby.

- Uważaj! - ostrzegł go i zaczął się rozglądać po okolicy.

Na drodze nie było widać żadnych samochodów i wydawało się, że wokół panuje całkowity spokój. Po prawej stronie minęli bramę do niewielkiej bazy sił lotniczych. Niezbyt solidnego czerwono-białego szlabanu pilnował tylko jeden znudzony strażnik. Wojskowa jednostka dzieliła z lotniskiem cywilnym pas startowy, ale na tym kończyły się podobieństwa. Z tego co widzieli, była skromna i przestarzała, stanowiła więc ostry kontrast z eleganckimi budynkami trochę dalej, w których obsługiwano nadzianych klientów przylatujących prywatnymi odrzutowcami na Hanscom Field, żeby uniknąć opóźnień w lotach, oraz nieokrzesanych pracowników ochrony na bostońskim lotnisku Logan - dwóch cudów ruchu lotniczego XXI wieku.

Droga dojazdowa prowadziła do cywilnego terminalu, który o tej porze raczej nie tętnił życiem. Następnie skręcała w lewo i zawracała, zataczając krąg wokół nieproporcjonalnie dużego, trapezoidalnego wyasfaltowanego centralnego placu, służącego za parking dla gości. Matt naliczył na nim jakieś dziesięć samochodów, z których żadnego nie rozpoznawał. Na prawo, po zewnętrznej stronie drogi, naprzeciw parkingu, stały hangary i samoloty. Zza jednej z dwóch największych hal dochodziło piskliwe wycie kołującego odrzutowca. Jak na świat po jedenastym wrześniu, środki bezpieczeństwa na lotnisku wydawały się zadziwiająco skromne. Drogę od jego płyty oddzielało zupełnie zwyczajne ogrodzenie z metalowej siatki, wysokie co najwyżej na dwa metry i jedynie nachylone na górze. Praktycznie rzecz biorąc, można było sięgnąć przez nie i dotknąć samolotów stojących

wszędzie wokół hangarów. Podążając wyjazdowym odcinkiem drogi, Matt zauważył dwa wejścia na teren lotniska. I znowu okazały się zadziwiająco prymitywnie zabezpieczone: zwyczajna brama z metalowej siatki, szeroka na dwa samochody i odsuwana na bok na niewielkich kółkach. Żadnych budek strażniczych. Żadnych strażników. Po prostu czytnik kart i interkom na nóżce dla tych, którzy nie byli stałymi gośćmi.

- Sprawdź jeszcze raz - polecił Jabba. - Musimy dokładniej namierzyć sukinsyna.

- No nie wiem, stary - odparł z rezerwą naukowiec. - Jesteśmy za blisko.

- Trzymaj się tylko swojej zasady czterdziestu sekund i wszystko będzie dobrze, jasne?

Jabba spojrzał na niego nieufnie.

- Nie sądzisz, że twój chojracki optymizm pomógł ci trochę w otrzymaniu bilecika klasy biznes do pierdła?

- Gdzie tam. Byłem wtedy tylko nieco lekkomyślny - zbył go żartem Matt.

- Musiałeś mi o tym teraz mówić? - jęknął Jabba, odpalając laptopa i telefon. Zrobił najazd na zalinkowaną mapę Google, po czym natychmiast zerwał połączenie. Urządzenie naprowadzające znajdowało się jakieś czterysta metrów od ich pozycji, po drugiej stronie płyty, tuż przed rzędem drzew, za drugim hangarem i budynkiem, który wyglądał jak jakiś budynek gospodarczy.

- Co on tam robi? - zapytał naukowiec.

- Albo kogoś odwozi, albo - co zresztą bardziej prawdopodobne - spotyka się z kimś, kto właśnie przyleciał.

Matt wykręcił szyję, rozglądając się po okolicy. Zobaczył niewielki prywatny odrzutowiec kołujący od jednego hangaru do drugiego. Zbliżał się w stronę pozycji urządzenia naprowadzającego.

Poczuł, że przyspiesza mu puls, i nagle nabrał chęci do działania. Instynkt podpowiadał mu, że musi się tam znaleźć - i to szybko. Zmarszczył brwi, spoglądając na najbliższą bramę i rozważając w głowie możliwości, po czym przeniósł wzrok na drugą, położoną trochę dalej, bliżej urządzenia naprowadzającego, która właśnie się otwierała. Prawie podskoczył - ale nie zauważył ani merca, ani chryslera, tylko srebrnego miejskoterenowego minivana, który właśnie zatrzymał się na jałowym biegu w oczekiwaniu na przesuwającą się bramę.

Matt wcisnął gaz do dechy. Camry z bolesnym piskiem opon rzuciła się do przodu i zaczęła gwałtownie nabierać prędkości na drodze prowadzącej wzdłuż ogrodzenia po lewej stronie lotniska. Gdy brama otworzyła się na tyle, żeby przepuścić oczekujący samochód,

Matt znajdował się osiemdziesiąt metrów od niej. Odległość ta skurczyła się do sześćdziesięciu, gdy minivan minął wyjazd i zaczął się oddalać. Kiedy brama zatrzymała się i zaczęła powoli zamykać, zostało im czterdzieści metrów. Trzydzieści, gdy była zamknięta do połowy - i zamykała się dalej. Co, biorąc pod uwagę, że była szeroka na dwa samochody, oznaczało, iż znajdują się zdecydowanie po nieodpowiedniej stronie.

Matt nie uniósł stopy nawet o milimetr. Piętnaście metrów przed bramą obrócił gwałtownie kierownicę w lewo; samochód na ułamek sekundy wpadł w poślizg, a kiedy złapał znowu grunt, Matt przycisnął pedał gazu. Delikatne amortyzatory toyoty prawie trzasnęły, gdy jej tył zatańczył gwałtownie, samochód przechylił się niebezpiecznie na lewo, a pęd przeniósł cały jego ciężar na boczne koła - ale Mattowi chodziło właśnie o to. Pojazd odwrócił się w kierunku bramy i pomknął w jej stronę. Matt, nadal wciskając pedał gazu, przeprowadził go przez nią, mijając niemal w locie słupki i zahaczając prawym bokiem o zbliżającą się krawędź ruchomej części ogrodzenia.

Ale byli w środku.

Pocisk uważnie obserwował, jak citation X skręca w lewo na szerokiej płycie i zatrzymuje się między budynkiem gospodarczym a rzędem drzew, nieopodal merca i chryslera.

X był prawdziwym cudem techniki. Silniki turbowentylatorowe RollsRoycea pozwalały mu latać niemal z prędkością dźwięku, co oznaczało, że mógł przewieźć dwunastu pasażerów z Nowego Jorku do Los Angeles w pełnym luksusie w ciągu niecałych czterech godzin. Nic dziwnego, pomyślał Maddox, że był ulubionym odrzutowcem szczęściarzy z czołówki listy Forbesa, którzy nawet nie odczuli, że wokół szaleje jakiś kryzys: największych gwiazd Hollywood, rozrutnych rosyjskich magnatów - oraz telekaszodziejów. Skromnych sług Pana, takich jak Kenneth i Gloria Copeland, którzy zdołali jakoś przekonać tysiące wyznawców swoich megakościołów, by wyłożyli dwadzieścia milionów dolarów na wykonywany na specjalne zamówienie samolot, który pozwoli im skuteczniej podążać za słowem Boga i głosić Jego nauki.

Pocisk nie po raz pierwszy korzystał z tej części lotniska: dyskretnie wytyczonej na jego najdalszym krańcu, z dala od oczu ciekawskich. Idealnie nadawała się do tego, by umożliwić wylot czy przylot do miasta osobom, którym z jakiegoś powodu nie zależało na obecności kamer - zwykle gwiazd mających za sobą operację lub skandal czy też panów świata, negocjujących jakieś delikatne transakcje.

Tym razem chodziło jednak o coś zupełnie innego.

Gdy zamocowane na ogonie silniki samolotu nieco przycichły, w słuchawce Maddoxa odezwał się głos:

- Właśnie przez południową bramę prześlizgnęła się biała toyota camry. Sądzę, że to nasi chłopcy.

Pocisk uniósł od niechcienia nadgarstek do ust i powiedział prosto do ukrytego w mankiecie mikrofonu:

- Zrozumiałem. Pilnuj ich. I zdejmij, jak tylko ładunek znajdzie się w samochodzie.

Otworzyły się drzwi samolotu. Maddox podszedł bliżej, spokojnie przeczesując wzrokiem okolicę. Ponieważ nie zauważył niczego podejrzanego, mógł się skupić na samym odrzutowcu, na którego schodach pojawiła się właśnie Rebecca Rydell oraz jej dwaj ochroniarze.

Matt skręcił w lewo i schował się za pierwszym hangarem. Dotarł do końca jego ściany i zatrzymał się, po czym ostrożnie ruszył przed siebie, rozglądając się na boki. Kiedy otworzył okno, usłyszał gdzieś w dali samolot gaszący właśnie silniki, ponieważ jednak go nie zauważył, wcisnął znowu gaz i podjechał do drugiego hangaru. Z tego co widział na zamrożonej mapie na ekranie laptopa, od miejsca, w którym się znajdował, do pozycji urządzenia naprowadzającego dzieliła go tylko otwarta wyasfaltowana przestrzeń.

Podjechał jeszcze trochę. Jakies dwieście metrów przed nim stał budynek gospodarczy - niski, betonowy, pozbawiony okien. Matt dostrzegł wystający zza niego ogon odrzutowca oraz tylne drzwi czarnego dodgea durango. Między budynkiem gospodarczym a hangarem stało kilka prywatnych jetów oraz samolotów śmigłowych. Mogły mu zapewnić osłonę - której bardzo potrzebował, jeśli chciał się zbliżyć niepostrzeżenie.

Postanowił przemknąć jakoś do budynku gospodarczego i schować się za nim. Było to odpowiednie miejsce, żeby rozejrzeć się i przekonać, co się dzieje - oraz przy odrobinie szczęścia wkroczyć do akcji. Wyciągnął pistolet. Położył go na kolanach. Zauważył, że Jabba patrzy na niego nieufnie.

- Zdajesz sobie sprawę, że nie jest naładowany? - zapytał.

- Oni o tym nie wiedzą - odparł Matt. - Poza tym nie mam zamiaru go używać.

Sądząc z wyrazu twarzy Jabby, nie udało mu się go uspokoić.

- Jeśli chcesz, możesz wysiąść tutaj i poczekać na mnie - powiedział.

Jabba rozejrzał się na lewo i prawo po opustoszałym terenie za hangarem, po czym odwrócił się z powrotem do Matta.

- Lepiej zostanę w wozie. To raczej nie jest Grand Central Terminal, jeśli wiesz, co mam na myśli.

Matt skinął głową, położył pistolet na kolanach i wrzucił jedynekę.

Ruszyli śladem zaparkowanego samolotu i zatrzymali się za budynkiem gospodarczym. Okazało się, że to podstacja elektryczna, otoczona niskim metalowym ogrodzeniem. Matt podjechał jeszcze trochę, tak żeby zapewnić sobie widok na samolot, odsłaniając co najwyżej bok maski swojego samochodu.

Z samolotu dwóch mężczyzn wyprowadzało młodą opaloną blondynkę.

Jabba nachylił się i nagle opadła mu szczeka.

- Ooo!

Matt spojrział na niego karcąco.

- Nie teraz, tygrysie...

- Nie no, stary - przerwał mu szybko Jabba. - To córka Rydella.

Matt przyjrzał się jej uważniej. Zeszła ze schodów i rozejrzała się niepewnie. Mężczyźni przyprowadzili ją do Maddoxa, który porozmawiał z nią przez chwilę, a potem skierował do czekającego nieopodal duranga. Gdy otwierał jego tylne drzwi, spojrział przez asfalt w stronę Matta. Ich oczy spotkały się. Matt drgnął, ale Maddox nawet się nie poruszył. Właściwie nie wydawał się w ogóle zaskoczony. Co, biorąc pod uwagę, że dopiero ich zauważył, mogło oznaczać tylko jedno.

Zimna stalowa lufa, którą nagle przystawił ktoś Mattowi do głowy ponad uchem, potwierdziła, że się nie mylił.

ROZDZIAŁ 53

Klasztor św. Biszoja, Wadi anNatrun, Egipt

Pół godziny po zejściu do tunelu Gracie, Dalton, ojciec Jerome, brat Amin i ich czterej ubrani w czarne szaty tragarze wynurzyli się po jego drugiej stronie w zatęchłej starej piwnicy sąsiedniego klasztoru. Przywitało ich tam kilku wystraszonych mnichów, na czele z miejscowym opatem.

Gracie położyła na ziemi plecak, otrzepała się z kurzu i rozciągnęła się. Opat, niezbyt wysoki starszy mężczyzna o imieniu Antoniusz, natychmiast podszedł do wyglądającego jak siedem nieszczęść ojca Jerome. Wydawał się całkowicie zaskoczony cudownym pojawieniem się mnicha oraz wstrząśnięty rozwojem wypadków - w czym zresztą trudno byłoby doszukiwać się czegoś dziwnego. Dziennikarka obserwowała, jak trzęsącymi się palcami ujmuje dłoń ojca Jerome.

- Dzięki Bogu, nic ojcu nie jest - przywitał się, po czym wybuchnął nagle nerwową mieszaniną chaotycznych słów i zaprowadził ich na kamienne schody wiodące do refektarza.

Zaproponowano im zimną wodę i pozwolono złapać oddech, po czym wszyscy wyszli na zewnątrz. W kolorystyce klasztoru dominował beż, przez co podobnie jak ten, który właśnie opuścili, przywodził na myśl planetę Tatoonie. Chociaż był mniejszy, wydawał się równie wiekowy. Wielu koptyjskich papieży rozpoczynało w nim mnisi żywot, w tym obecny, Szenuda III. Wiązało się z nim również wiele religijnych legend. Przechowywano w nim na przykład ciało samego świętego Biszoja - jego imię w koptyjskim oznaczało „wzniosłego” - zapieczętowane w drewnianej skrzyni zawiniętej w przezroczysty plastik. Według tamtejszych wierzeń przez te wszystkie lata zachowało się nietknięte rozkładem, co było dosyć trudne do zweryfikowania, biorąc pod uwagę, że skrzynia leżała zamknięta w trumnie. Wierni, najwyraźniej nie bardzo przejmując się prawami fizyki, opowiadali też historie, że wyciągał z jej wnętrza rękę i ścisnął im dłonie. Zresztą magiczne moce nie były wyłączną domeną Biszoja. Gdzieś obok przechowywano podobnie zapieczętowane szczątki innego mnicha, ojca Piotra, także ascety, który ponoć popełniał samobójstwo - skutecznie - siedem razy.

Dotarli do taksówki szwagra Jusufa, sfatygowanego białego volkswagena sharan. Czekala na nich w cieniu niskiego, zwieńczonego kilkoma kopułami budynku, w którym od czasu do czasu schronienia lubił szukać sam Szenuda III.

- Jest ojciec pewien, że to bezpieczne miejsce? - zapytała Gracie opata.

- Panuje u nas względny spokój - odparł Antoniusz. - Nie interesują się nami. Póki co.
- Uśmiechnął się z zażenowaniem. - Chodźmy, pokażę państwu.

Zostawili kierowcę i pozostałych mnichów, którzy zaczęli ładować sprzęt do samochodu, i ruszyli za opatem przez dziedziniec oraz labirynt zewnętrznych schodów wijących się ku szczytowi murów.

- Mogą państwo spojrzeć - powiedział opat - ale lepiej się nie wychylajcie. Na wszelki wypadek.

Gracie i Dalton wyprostowali się powoli. Równinę poniżej pomiędzy oboma klasztorami szczelnie pokrywał znajomy im już dywan samochodów i ciężarówek, z jedną znaczącą różnicą: uwaga wszystkich wydawała się skierowana w przeciwną stronę - klasztoru, który właśnie opuścili. Co oznaczało, iż mają całkiem sporą szansę wymknąć się niepostrzeżenie.

Zeszli z powrotem na dziedziniec, podziękowali opatowi i wgramolili się do samochodu. Tym razem Dalton i Gracie zajęli miejsca po obu stronach ojca Jerome, a brat

Amin usiadł obok kierowcy. Dziennikarka z lękiem wbiła wzrok w otwierające się wrota. Wyprostowała się w fotelu, gotując się na najgorsze. Kierowca wcisnął gaz, busik szarpnął i ruszył w kierunku pustyni.

Po obu stronach zakurzonej drogi prowadzącej z klasztoru stało kilka samochodów i ciężarówek. Przy każdej ich grupce gromadzili się mężczyźni - rozmawiali, palili papierosy, czekali. Gdy volkswagen podjechał do pierwszej z nich, Gracie odwróciła się do ojca Jerome i narzuciła mu na głowę mnisi kaptur, tak by nikt nie dostrzegł jego twarzy. Szwagier Jusufa prowadził spokojnie, starając się nie zwracać na siebie uwagi, i busik powoli sunął przed siebie, przyciągając co najwyżej kilka przypadkowych spojrzeń.

Gracie odetchnęła z ulgą. Przed nimi nie było widać zbyt wielu samochodów. Przypuszczała, że za kilka minut będą wolni. Niecałe sto metrów od klasztoru droga skręciła w lewo i prowadziła dalej obok starego, rozpadającego się muru oraz kępki drzew palmowych. Parkowało tam jeszcze kilka wozów, a przy murze stała kolejna grupka mężczyzn, którym słońce najwyraźniej jakoś nie przeszkadzało. Gracie poczuła ucisk w żołądku, gdy kierowca zwolnił, by przecisnąć się między zaparkowanymi gdzie popadnie samochodami, co udało mu się bez większych problemów. Niestety, tuż za nimi droga obniżała się i prowadziła dalej wąskim wykopem. W ich kierunku szedł poboczem samotny mężczyzna, zmierzający w stronę drzew. Dziennikarka zauważyła go i zeszywniała. Kierowca zwolnił i samochód poruszał się w zółwym tempie. Próbowwała nie patrzeć na przechodnia. Byli już w połowie wykopu, gdy nagle - dokładnie tak, jak obawiała się Gracie - mężczyzna podszedł do ich wozu i zajrzał do środka, a w tym samym momencie ojciec Jerome odwrócił się i przypadkiem popatrzył w jego stronę. To wystarczyło.

Przechodzień zareagował, jakby oberwał obuchem w głowę. Na jego rozluźnionej twarzy wyrysowało się krańcowe zdumienie, przyłożył obie dłonie do okna w drzwiach samochodu, oparł się o szybę i ruszył bokiem, próbując jeszcze raz zajrzeć do środka.

- Zobaczyl nas! - zawołała Gracie. - Spadajmy stąd, i to szybko!

Kierowca odwrócił się, zobaczył idącego obok nich mężczyznę i wcisnął pedał gazu. Silnik volkswagena zawył, tylne koła zabuksowały na piasku i samochód gwałtownie przyspieszył. Przechodzień próbował dotrzymać mu kroku, ale nie udało mu się i szybko został w tyle na zakurzonej drodze. Gracie patrzyła, jak się oddala, ale zdawała sobie sprawę, że niebezpieczeństwo jeszcze nie minęło. I rzeczywiście, mężczyzna odwrócił się i zaczął biec w stronę grupki ludzi przy drzewach, gorączkowo machając rękami i próbując zwrócić na siebie ich uwagę. Nagle zniknął. Nie była pewna, co się stało, gdyż widok częściowo zasłaniał jej sprzęt z tyłu samochodu oraz pył, jaki podnosił się spod kół pojazdu, wiedziała

tylko, że w jednej sekundzie mężczyzna tam był - biegł, machał rękami i krzyczał - a po chwili już nie. Wydawało jej się, że widziała, jak przyciska dłonie do głowy i upada na ziemię, tak jakby dostał jakiegoś ataku, ale nie była tego pewna. Nie mieli jednak zamiaru zatrzymać się i sprawdzać, co z nim. Kierowca wciskał ciągle pedał gazu i po piętnastu minutach znajdowali się już na autostradzie prowadzącej do samego lotniska.

Nagle zadzwonił telefon satelitarny Gracie.

Ponieważ od dłuższej chwili przygotowywała się psychicznie, żeby zadzwonić do Ogilvyego i opowiedzieć mu o Finchu, pomyślała, że po prostu ją ubiegł. Ale gdy spojrzała na aparat, nie rozpoznała numeru. Wyczytała tylko z kierunkowego, że to amerykańska komórka.

- Halo? - zapytała zdziwiona.

- Panna Logan? - odezwał się nieznany głos. - Nie mieliśmy jeszcze okazji się spotkać, ale nazywam się Darby. Wielebny Nelson Derby. I sądzę, że mogę pani w czymś pomóc.

Fox Two przez chwilę patrzył, jak biały busik oddala się pustynną drogą, po czym przeniósł lornetkę na powalonego mężczyznę. Leżał ciągle na ziemi, wijąc się z bólu i przyciskając dłonie do uszu. Fox Two nieco odetchnął.

Mało brakowało - ale byli na to przygotowani.

Wiedział, że agitator przez jakiś czas będzie nieszkodliwy. Otrzymał potężny cios, tak na wszelki wypadek. Fox Two dziwił się, że mężczyzna nie stracił przytomności, choć zdawał sobie sprawę, że jeszcze nie jest na to za późno. Najważniejsze, że nigdzie się nie wybierał ani nie mógł wydusić z siebie głosu. W każdym razie przez kilka minut. Co powinno w zupełności wystarczyć.

Uniósł palec i wykonał nim obrót, dając swoim ludziom znak, że mogą ruszać. Szybko i bezszelestnie wyłączyli LRADa i przykryli go, po czym odjechali spod klasztoru tak samo dyskretnie, jak się tam dostali, śledząc busik z bezpiecznej odległości i nie mogąc się już doczekać powrotu do domu.

Rozdział 54

Bedford, Massachusetts

Mężczyzna przyciskał pistolet do skroni Matta.

- Spokojnie!

Jego głos był beznamiętny, ręka ani drgnęła. Lewą dłonią sięgnął na kolana Matta i podniósłszy jego pistolet, wsunął go sobie następnie za pasek. Matt zaklął w duchu. Tak się skupił na obserwowaniu samolotu i Maddoxa, że nie zauważył skradającego się od tyłu faceta. Kilka metrów dalej pojawił się drugi gość, podobny z wyglądu do pierwszego: ciemny garnitur i okulary, biała koszula, bez krawata. Okrążył podstację z drugiej strony i podszedł do Jabby. Również miał pistolet, którym celował w głowę Matta. Duży pistolet. Para Ordnance P14. Wyglądał na potężnego gnata, który powstrzymałby nacierającego nosorożca. I rzeczywiście mógł to zrobić.

Matt zaczął gorączkowo segregować w głowie fakty na dobre i złe. Trutnie Maddoxa nie mogły zabić ich na lotnisku - jego władze prowadziły pewnie rejestr, w którym musiała być odnotowana ich obecność, potwierdzona w dodatku przez liczne kamery zamontowane na terenie obiektu. Wiązałoby się to ze zbyt dużym ryzykiem, zbyt dużym bałaganem. Co zdecydowanie plasowało się po stronie „dobre” tabeli. Ale mieli mnóstwo innych możliwości. Najważniejszym zadaniem było wywieźć jego i Jabbę z lotniska, i to szybko. Albo mogli ich zaprowadzić do swoich samochodów, albo - co oznaczałoby czystsza robotę, a zatem było bardziej oczywistą opcją - jeden z trutniów, a pewnie nawet obaj mogli wsiąść do toyoty i trzymając swych zakładników na muszce, wywieźć ich w jakieś dyskretne miejsce, gdzie można by wpakować im po parę kulek w głowy i porzucić ich ciała, które odkryłby dopiero jakiś zabłąkany turysta. Co z kolei zdecydowanie podpadało pod złe fakty. Matt zdawał sobie sprawę, że jeśli jeden ze zbirów albo obaj wsiądą do samochodu, nie będzie już miał okazji bawić się w swoją tabelkę. Co zresztą samo w sobie nie byłoby takie złe, choć mimo wszystko wolał się trzymać innej, mniej niebezpiecznej dla życia możliwości.

Rozwiązanie było całkiem proste. Nie mógł ich wpuścić do samochodu.

A to znaczyło, że prawdopodobnie zostało mu zaledwie kilka sekund, żeby przejąć inicjatywę.

Jego ręce i stopy poruszały się z szybkością błyskawicy. Wystrzelił lewą dłonią, złapał mężczyznę za prawy nadgarstek - w tej ręce facet trzymał broń - i uderzył nią z całej siły od środka o słupek karoserii. Rozległ się strzał - we wnętrzu samochodu jego odgłos był wprost ogłuszający, a kula przemknęła niecałe pół metra od twarzy Matta. Poczul się, jakby trzasnął twarzą w powierzchnię basenu. Fala dźwiękowa wystrzału zadziałała jak uderzenie ołowianej pięści, rozbrzmiewając mu w uszach, wypierając z nich wszystkie dźwięki i zastępując je potworną, irytującą ciszą. W tym samym ułamku sekundy kula rozbiła wsteczne lustro i przebiła się przez przednią szybę - przeszła przez nią z taką prędkością i tak czysto, że nawet jej nie rozbiła, a tylko wywołała pajęczynkę pęknięć wokół idealnie okrągłej dziurki.

Mattowi wydawało się, że Jabba wrzasnął, ale nie był tego pewien. Czuł się, jak gdyby pływał pod wodą. Największym zmartwieniem był drugi facet. W tej samej sekundzie, w której pociągnął pierwszego strzelca za dłoń i uderzył nią o karoserię, wcisnął gwałtownie pedał gazu, a drugą ręką przekręcił kierownicę na prawo. Samochód wystrzelił łukiem do przodu - prosto w stronę strzelca. Facet z lewej próbował wyrwać rękę, ale Matt trzymał go mocno za łokieć i przyciskał do słupka jego uzbrojoną w pistolet dłoń, uniemożliwiając mu strzał, wystarczająco długo, by samochód pokonał trzy metry dzielące go od drugiego strzelca i uderzył w niego, wbijając go w niskie metalowe ogrodzenie wystające z boku z podstacji. Brzuch strzelca został dosłownie zmiażdżony - gość nagle otworzył szeroko oczy, a z jego ust wydobył się przesywający skowyt bólu, stłumiony dopiero przez krew, która zalała mu struny głosowe, a następnie wytrysnęła ustami prosto na pokrytą białym lakierem maskę toyoty.

Matt musiał zająć się jeszcze drugim facetem. Przez sekundę twarz gościa wykrzywił szok na widok tego, co stało się z jego kumplem, potem jednak otrząsnął się i ze zdwojoną determinacją zaczął wrywać się Mattowi, próbując skierować w jego stronę lufę pistoletu. Rozległ się kolejny strzał - kula znowu świsnęła tuż obok twarzy Matta, ponownie ogłuszając go niczym cios kijem bejsbolowym, po czym mijając o kilka centymetrów nos Jabby, śmignęła przez otwarte okno. Matt widział, że facet sięga wolną dłonią - lewą - w dół i próbuje wyrwać zza pasa odebrany mu pistolet. Obrócił kierownicę w prawo - raz, drugi, aż poczuł w prawej ręce opór - po czym opuścił dłoń na drążek zmiany biegów, wrzucił wsteczny i wcisnął do samej podłogi pedał gazu. Samochód rzucił się do tyłu - Matt pobłogosławił standardowe ciasne zębaki, które umożliwiały coś takiego - a jego przód zatoczył zewnętrzny łuk i uderzył z całą mocą w pierwszego strzelca. Ciągnęło go do tyłu, a ponieważ ciągle miał dłoń przyciśniętą do słupka karoserii, potknął się i upadł na ziemię. Toyota przez cały czas się cofała; jej tył uderzył o betonową ścianę podstacji, a lewe przednie koło przejechało powalonemu strzelcowi po stopie, miażdżąc mu kości oraz chrząstki. Mężczyzna zawył z bólu i wypuścił pistolet, który upadł Mattowi pod nogi. Ten wrzucił jedynkę i z piskiem opon ruszył przed siebie.

Rzucił okiem na samolot - obaj ochroniarze pilnujący córki Rydella biegli w jego stronę z wyciągniętymi pistoletami. Wcisnął znowu gaz do dechy i pomknął przez płytę lotniska. Brama, przez którą się tam prześlizgnęli, była zamknięta, ale Matt nie przejął się tym i po prostu przebił się przez nią. Po sekundzie znalazł się na Hanscom Drive, pod osłoną szpaleru drzew.

- Wiedzieli, że przyjedziemy - wrzasnął na Jabbę.

- Co? Niemożliwe!

- Wiedzieli. Maddox wiedział, że przyjeżdżamy. Czekali na nas.

- Ale... - Jabba poruszał niemo ustami, szukając rozpaczliwie słów, ciągle w szoku po tym, jak tuż przed jego nosem świstały w powietrzu kule.

- Twój telefon: namierzyli go - stwierdził kategorycznym tonem Matt.

- Nie ma mowy! - zaprotestował naukowiec. - Nie byłem tak długo w sie...

- Mówię ci, że go namierzyli - warknął wściekle Matt.

- To niemożliwe, stary! - Jabba wyciągnął iphona i przyjrzał mu się uważnie. - Nie mogli go namierzyć tak szybko, a nie byłem w sieci na tyle długo, żeby mogli załadować mu jakiś spyware i...

Matt wyrwał mu go z palców i miał go już wyrzucić przez okno, ale Jabba złapał oboma dłońmi za aparat.

- Nie! - wrzasnął. - Nie!

Matt spojrzał na niego wściekle.

Naukowiec odebrał mu telefon.

- Człowieku, całe moje pieprzone życie jest tutaj. Nie możesz go po prostu wyrzucić. Zaczekaj sekundę.

Rozejrzał się, sprawdził boczne kieszenie samochodu, popielniczkę, a na koniec przegrzebał zawartość schowka. Znalazł w nim jakieś dokumenty w plastikowej koszulce - faktury i wydruki z serwisu - spięte razem tym, czego szukał: spinaczem do papieru. Wyciągnął go, wyprostował i wetknął jeden z jego końców do maleńkiej dziurki w telefonie. Z aparatu wyskoczyła karta SIM. Jabba wyciągnął ją z gniazdka i pokazał Mattowi.

- Brak karty SIM. Brak sygnału. Telefon jest bez niej martwy. Okej?

Matt zmarszczył brwi, ale po chwili wzruszył ramionami i skinął głową.

- Okej. - Puls stopniowo wracał mu do normy. Właśnie zabił dwóch ludzi. Powinien mieć wyrzuty sumienia, ale - o dziwo - nie czuł nic. Sprowadzało się to, jak tłumaczył sobie samemu, do prostej kwestii: zabić lub dać się zabić. Wiedział jednak, że musi być ostrożniejszy, jeśli przy następnej okazji nie chce wylądować po niewłaściwej stronie równania, które sam ułożył.

Jabba przez chwilę się nie odzywał, patrząc przed siebie.

- Co zrobimy teraz? - zapytał w końcu.

- A jaki myślisz? - burknął Matt.

Naukowiec przyjrzał mu się, po czym ze stoickim spokojem skinął głową.

- Rydell?

- Rydell - potwierdził Matt.

ROZDZIAŁ 55

Wadi anNatrun, Egipt

Przypuszczam, że chce się pani jak najszybciej wydostać z Egiptu - zagał niewinnie Darby.

Gracie otworzyła szeroko oczy ze zdumienia.

- Słucham?

Dalton nachylił się i niemo sformułował ustami pytanie. Spojrzała na niego niepewnie.

- Potrzebuje pani transportu, panno Logan - stwierdził zadowolonym z siebie tonem Darby. - Dzwonię, żeby go pani zaoferować.

Dziennikarka gorączkowo próbowała zrozumieć, o co chodzi w tym telefonie. Rozpoznawała oczywiście nazwisko. Nie zaliczała się do szczególnych ferek pastora. Wręcz przeciwnie, szczerze powiedziawszy. Teraz jednak tak naprawdę ani nie miało to większego znaczenia, ani nie pozwalało odpowiedzieć na żadne z pytań, które cisnęły jej się na usta.

- Jak pan...? - wyjąkała. - Kto dał panu ten numer?

- Panno Logan, chyba zdaje sobie pani sprawę, że mam wielu przyjaciół. Dobrze ustosunkowanych przyjaciół. Ale to teraz nieważne, bo przecież chodzi tylko o to, żeby wyratować panią oraz mojego wielce szacownego brata w Chrystusie z niebezpieczeństwa. A ja mogę wam w tym pomóc. Jest pani zainteresowana?

Gracie spróbowała odsunąć na chwilę na bok jego ofertę i poukładać sobie w głowie strzępki informacji, które od jakiegoś czasu domagały się jej uwagi - stwierdzić po prostu, na czym stoi. Finch dzwonił do Ogilvyego. Szef kanałów informacyjnych miał załatwić samolot, ale nie miała od niego wieści. Nie zdążyła nawet powiedzieć mu o śmierci Fincha. Nie miała pojęcia, co dokładnie Ogilvy obiecał Finchowi - czy uda mu się załatwić samolot, a jeżeli tak, to jak szybko. Nie wiedziała też, gdzie jadą. Do ambasady w Kairze? Na lotnisko? Właściwie nie obrali żadnego konkretnego kierunku - ani w Egipcie, ani poza jego granicami. Uznali, że najważniejsze teraz to oddalić się maksymalnie od motłochu pod klasztorem. Reszty jeszcze nie zaplanowali. Wszystko działo się bardzo szybko, a poza tym to była działka Fincha i Gracie nie miała pojęcia, jak załatwia się takie rzeczy.

Musiała dowiedzieć się czegoś więcej.

- Co ma pan na myśli?

Wielebny uśmiechnął się do słuchawki.

- Po pierwsze, czy ojciec Jerome rzeczywiście jest z panią?

- Oczywiście - odparła, zdając sobie sprawę, że to przede wszystkim interesuje pastora.

- Może go pani bezpiecznie wydostać z klasztoru?

Gracie stwierdziła, że podejmie grę i spróbuje wyciągnąć od wielebnego jak najwięcej informacji.

- Owszem - odpowiedziała pewnym siebie tonem. - Mogę.

- Świetnie. W takim razie musicie jakoś dotrzeć do Aleksandrii.

- Dlaczego do Aleksandrii? - zdziwiła się dziennikarka.

Dalton znowu spojrzał na nią pytająco. Machnęła mu ręką, żeby chwilę zaczekał.

- Nie dzieli was większa odległość niż od Kairu, a miasto jest o wiele spokojniejsze - wyjaśnił Darby. - Łatwiej w nim coś załatwić. Za dwie godziny wylądaje tam samolot. Jak szybko może się tam pani dostać?

Gracie się zastanowiła. Aleksandria - to nie było takie głupie. Mniejsze lotniska, bardziej oddalone od utartych szlaków, o wiele mniej komercyjnych lotów, mniejsze ryzyko, że ktoś ich zauważy.

- Całkiem szybko - odparła. - Zanim jeszcze dotrze tam samolot.

- Doskonale - ucieszył się Darby. - Podam pani mój numer. Proszę zadzwonić, jak będą państwo w drodze.

- Gdzie ma pan zamiar nas zabrać? - zapytała.

Nagle zaniepokoiła ją myśl, że powierzy całkowicie los swój i ojca Jerome pastorowi.

- A gdzieżby indziej, panno Logan? - zagrzemiał. - Do jedyne go miejsca, w którym możemy zapewnić naszemu ojcu Jerome bezpieczeństwo. - Przerwał, po czym obwieścił z dumą: - Do domu. Przyleciecie do domu, panno Logan. Do ojczyzny Pana Boga. I może mi pani wierzyć, tutejsi mieszkańcy przywitają was z otwartymi ramionami.

ROZDZIAŁ 56

Brookline, Massachusetts

Niebo szybko ciemniało i zimowe słońce wiszące nisko nad horyzontem wkrótce zaczęło gasnąć. Matt zwolnił i zatrzymał się na poboczu. Okolica była gęsto porośnięta drzewami, ruch uliczny był niewielki. Z przodu dwa kamienne słupki wysokie do pasa znaczyły wjazd do Miejskiego Centrum Usług Komunalnych w Brookline, wtulonego między las Dane Park oraz gęszcz dębów osłaniających pole golfowe Putterham Meadows. Z miejsca,

w którym stali, Matt widział niski, przypominający magazyn budynek mieszczący biura i garaże MCUKu, oddalony nieco od ulicy, oraz drogę dojazdową do niego, tu i ówdzie naznaczoną płatami zalegającego brudnego śniegu, której pobocze szczelnie wypełniał rząd zaparkowanych samochodów. Okolica wydawała się niemal wymarła, co bardzo odpowiadało Mattowi.

Nie przyjechali tam prosto z Hanscom Field. Przede wszystkim musieli się przecież pozbyć poobijanej, poplamionej krwią camry. Skądinąd nie stanowiło to zbyt dużego problemu. Wjechali na teren centrum handlowego, zatrzymali się na samym końcu parkingu i wymienili ją na równie nieciekawego, dziesięcioletniego ciemnozielonego pontiaca bonneville, który i tak wyglądał, jakby nie miał już za długo pociągnąć.

Matt potrzebował kilku rzeczy - po pierwsze, amunicji do pistoletu, który odebrał strzelcowi na lotnisku. Nie miał zbyt wielu możliwości. Nie mógł wejść ot tak, po prostu do sklepu z bronią, nie w tym stanie - posiniaczony i poszukiwany przez policję. Ponieważ Jabba nie miał pozwolenia, on również nie mógł kupić nabojów. Pojechali więc do Quincy, gdzie zadzwonili do głęboko zaniepokojonego Sanjaya i nie chcąc ryzykować wizyty w sklepie, umówili się z nim w jego mieszkaniu. Przywiózł Mattowi dwa pudełka nabojów Pow'RBall, świeżą gazę do opatrzenia jego rany i trochę gotówki. Matt miał ochotę poprosić go o jeszcze jeden pistolet, a może nawet, żeby pożyczył mu strzelbę - Sanjay trzymał zawsze pod ladą załadowanego remingtona, którego dobrze byłoby mieć pod ręką, biorąc pod uwagę to, co planował. Zdawał sobie jednak sprawę, że nie może żądać tego od przyjaciela, nie w tych okolicznościach.

Na komputerze Sanjaya znaleźli adres Rydella - mieszkał w ogromnym domu w Brookline, gdzie jego plany przebudowy istniejącego budynku wywołały trochę smrodu. Matt odświeżył sobie również fizyczny wygląd potentata. Gdy skończyli, pojechali z Jabbą do Brookline, a tam zapoznali się z rozkładem centrum usług komunalnych, rozejrzeli trochę po okolicy i wreszcie zaczęli obserwować samą rezydencję.

Nie musieli czekać zbyt długo.

Tuż po piątej po południu na wąski podjazd prowadzący do domu wtoczył się lexus z szoferem za kierownicą. Matt zastanawiał się, czy nie wkroczyć do akcji w tej właśnie chwili, szybko jednak się rozmyślił. Wprawdzie bonneville nie był tak niepozorny jak camry, ale nie zaliczał się do kolosów, a ochroniarz oraz osiłek siedzący obok kierowcy wydawali się zbyt dużym wyzwaniem, biorąc pod uwagę stan Matta.

Obserwowali przez chwilę dom. Kiedy nabrali pewności, że Rydell nigdzie się nie wybiera, Jabba wysiadł z wozu, a Matt położył dłonie na kierownicy.

- Pamiętaj - powiedział - jeśli coś pójdzie nie tak, trzymaj się z daleka od glin. Nie ufaj nikomu. Zrób to, co miałeś zamiar na samym początku, okej?

- Mam zniknąć jak D.B. Cooper?

- Właśnie.

Jabba spojrział na niego i wzruszył ramionami.

- Lepiej zadbaj, żeby nic nie poszło nie tak, dobra? I tak już brakuje mi moich zabawek.

Matt się uśmiechnął.

- Do zobaczenia za chwilę.

Zostawił Jabbę i wrócił do centrum usług komunalnych.

Sprawdziwszy dwukrotnie pistolet, schował go pod kurtkę. Opróżnił do kieszeni jedno z pudełek z nabojami, spojrział na drogę przed sobą, zerknął do lusterka wstecznego, a potem wysiadł z wozu i ruszył w stronę budynku centrum.

Połknął wcześniej kilka tabletek przeciwbólowych, które znieczuliły mu ranę w boku, i przekonał się teraz, że jest w stanie chodzić całkiem naturalnie - w każdym razie nie było widać na kilometr, że jest ranny. Minął prowadzący łukiem podjazd, kilka zaparkowanych samochodów, wejście do recepcji i części biurowej, a następnie drzwi opatrzone napisem: „Tylko dla pracowników”. Z budynku wyszło kilku facetów, skończyli pewnie zmianę i wracali do domu. Spojrzeli na niego pobieżnie, a on kiwnął im nieznacznie głową i burknął: „Jak leci?”, na co odpowiedzieli mu równie lakonicznymi pomrukami. Nie zwalniając kroku, dotarł do garażów z tyłu budynku.

Stało tam obok siebie kilka ciężarówek, z wielkimi literami „MACK” widocznymi na kratownicach. Matt się rozejrzał. Przy śmieciarce zaparkowanej jakieś trzydzieści metrów od niego krzątało się kilku mechaników. Jeden z nich spojrział na niego. Matt pomachał do niego i kiwnął mu niedbale głową, tak jakby jego obecność w tym miejscu była rzeczą najnaturalniejszą w świecie, po czym pewnym siebie krokiem, starając się jak najbardziej wtopić w otoczenie, ruszył w stronę tylnej ściany garażu. Kątem oka dostrzegł, że mechanicy wrócili do pracy. Rozejrzał się. Zauważył białą tablicę, na której wypisano nazwiska pracowników kolejnych zmian, oraz przykręconą do ściany metalową skrzynkę, w której zazwyczaj trzyma się kluczyki. Nie była zamknięta. To nie zdziwiło specjalnie Matta - śmieciarki raczej nie plasują się na szczycie listy najczęściej kradzionych samochodów, co prawdopodobnie ma coś wspólnego z faktem, że są śmieciarkami.

Szybko znalazł kluczyki, na których breloczku rozpoznał trzy ostatnie cyfry tablicy rejestracyjnej jednej z ciężarówek, i ostrożnie zdjął je z haczyka. Wspiął się do ogromnej

kabiny śmieciarki, jeszcze raz się rozejrzył i zapalił silnik. Szoferka zatrzęsała się. Wcisnął ciężkie sprzęgło, za pomocą długiej cienkiej dźwigni wrzucił jedynkę i polechtał pedał gazu. Zasycały głośno hamulce hydrauliczne i ciężarówka szarpnęła do przodu. Ten sam mechanik spojrział znowu w stronę Matta, tym razem z wyrazem niepewności na twarzy. Matt zatrzymał śmieciarkę tuż obok niego i kiwnął mu przyjaźnie głową. Szybko jednak doszedł do wniosku, że to może nie wystarczyć. Wychylił się przez okno.

- Kończycie już? Steve mówił, że miał problem z wrzuceniem w tym złomie trójki - zablefował rzeczowym tonem, używając imienia, które zapamiętał z listy zmian.

Mechanik spojrział na niego trochę skonsternowany, ale zanim zdążył się odezwać, Matt dodał:

- Rzućcie potem okiem na sprzęgło. Wróć o dziesiątej.

Pomachał mężczyźnie i ruszył pized siebie.

Wyjeżdżając z garażu, zerknął w boczne lusterko. Mężczyzna patrzył za nim przez sekundę czy dwie, po czym wzruszył ramionami i wrócił do swoich zajęć.

Po chwili Matt skręcał już na główną drogę. Pomarańczowy kolos zaczął się zbliżać do luksusowej enklawy otaczającej Sargent Pond.

Larry Rydell siedział otępiąły w swoim pełnym książek gabinecie, wpatrywał się w szklaneczkę szkockiej i niemo gotował się ze złości.

„Sukinsyny!” - myślał, wzdrygając się na samą myśl, że mogą wyrządzić krzywdę jego córce. „Jeśli wyjdzie z tego choćby z zadrapaniem...” - kipiwał, czując w skroniach wzrastające ciśnienie krwi. Było to jednak bezcelowe. Wiedział, że nie może nic zrobić.

Zapadł się w fotelu, ciągle wbijając wzrok w szklanekę. Nigdy w życiu nie czuł się tak bezsilny.

Dzięki swojej fortunie i władzy, jaką udało mu się zdobyć, mógł bez mrugnięcia okiem poradzić sobie z najbardziej nawet agresywnym funduszem hedgingowym czy buntem akcjonariuszy. I nieraz to robił. Rozdmuchiwał debaty w Senacie, które nigdy ani odrobinę nie zbiły go z tropu. Dotarł do etapu w życiu, kiedy wydawało mu się, że jest nietykalny. I nagle okazało się, że jest zupełnie bezradny w starciu z tymi... zbirami. Bo byli właśnie nimi, nic dodać, nic ująć. Zbirami. Zdecydowanymi wypaczyć jego wizję, ukraść jego ideę, wywrócić ją na drugą Stronę i wykorzystać w celu... Właściwie w jakim celu?

To nie miało w ogóle sensu.

Im dłużej analizował w głowie każde słowo wypowiedziane przez Druckera, tym mniej miało to sensu. Byli do siebie podobni - wszyscy - jeśli chodzi o to, w co wierzyli. Postrzegali świat w ten sam sposób. W podobnym świetle rozpatrywali ryzyko, z jakim

przyszło mu się zmierzyć - z jakim przyszło się zmierzyć Ameryce. Podzielali tę samą frustrację głęboko zakorzenionymi postawami charakterystycznymi dla świata, dla tego kraju.

I mimo to zrobili coś takiego? Stworzyli fałszywego mesjasza? Boskiego pomazańca? Którego pojawienie się wzmocni tylko, potwierdzi słuszność zbiorowego urojenia, z powodu którego świat tyle wycierpiał?

„To kompletnie nie ma sensu” - pomyślał znowu. A mimo to oni to robili.

Widział to.

Drucker to potwierdził.

Zdradzieckie sukinsyny.

Stała mu przed oczami twarz Rebekki, tak jak widział ją po raz ostatni, tuż przed jej niefortunnym wyjazdem do Costa Careyes. Chciał zrobić sobie urlop i dołączyć tam do niej - właściwie nigdy nie spędzali ze sobą zbyt dużo czasu, bo przecież tyle miał ciągle rzeczy do zrobienia, i teraz bardzo tego żałował. Nie mógł jednak wyjechać. Nie w tym momencie. Nie w chwili gdy ważyły się losy najważniejszego przedsięwzięcia w jego życiu. Na szczęście nie wydawała się rozczarowana. Nigdy tak nie było. Przyzwyczaiła się, że ma ojcalegendę, w dobrym i złym znaczeniu tego słowa. Pomyślał, że powinien nad tym popracować - jeśli będzie miał okazję.

Musiał ją znaleźć.

Musiał ją wydostać, wyrwać z ich łapsk, umieścić w bezpiecznym miejscu. Nic innego się teraz nie liczyło. Nawet ratowanie planety wydało mu się nagle nieważne. Musiał uratować córkę. A potem - ale dopiero potem - spróbować to powstrzymać. Musiał znaleźć sposób, powstrzymać to szaleństwo, zanim rozpęta się na dobre.

Tylko jak? Nie miał do kogo zadzwonić. W swoim wizytowniku nie miał telefonu do własnej Drużyny A. Przez ostatnie lata wszystko, co wiązało się z kwestiami bezpieczeństwa - osobistego i zawodowego - powierzał temu grzechotnikowi Maddoxowi. Jego ochroniarze „pilnowali” go teraz w jego własnym domu. Kierowca i goryl w jednej osobie. Pilot, załoga jego jachtu. Kwestie bezpieczeństwa korporacyjnego w jego firmach. Emaile, telefony. Wszystkim zarządzała jedna firma. Maddoxa. Którego zarekomendował mu Drucker.

- Najlepiej trzymać wszystko pod jednym dachem - doradzał. - Korzystać z usług kogoś zaufanego. Jednego z nas.

Najwyraźniej Maddox był jednym z „nas”. Okazało się, że Rydell już niekoniecznie.

Czuł się jak głupiec.

Mieli nad nim kontrolę.

Posługiwali się nim. Od samego początku.

Wpatrywał się wściekły w ciężką szklankę i nagle cisnął nią w ścianę, celując w punkt obok dużego kamiennego kominka. Rozbiła się i zasypała dywan kawałeczkami szkła. W tym samym momencie usłyszał gdzieś w dali narastające wycie - coś jak odgłos pracującego na zbyt wysokich obrotach ogromnego silnika. Zaciekawiony podszedł do okna i wyjrzał na podjazd, lekko zakrzywionym łukiem opadający do głównej bramy wjazdowej rezydencji.

Zbliżając się do zjazdu na Sargent Lane, Matt zauważył Jabbę. Grubas uniósł oba kciuki, sygnalizując, że droga wolna, po czym zniknął z powrotem między drzewach. Matt skinął głową, skręcił i wcisnął gaz do dechy.

Trzystukonny silnik macka zaryczał i śmieciarka potoczyła się przed siebie, z każdym kolejnym kilometrem na godzinę wyjąc coraz głośniej. Po chwili przed oczami Matta pojawiła się brama wjazdowa do rezydencji. Nie miał zamiaru zmieniać biegu na wyższy, choć wskazówka obrotomierza znalazła się już na czerwonym polu. Nie jechał więc zbyt szybko, ale zupełnie się tym nie przejmował. Nie zależało mu na prędkości.

Raczej na masie.

Dotarłszy do bramy, obiema rękami przekręcił gigantyczną, poziomo umocowaną kierownicę, walcząc z potężną maszyną. Nie odrywał stopy od gazu. Śmieciarka zapiszczała i przechyliła się o kilka stopni na bok, a potem całą siłą piętnastu ton stali wbiła w bramę, roztrzaskując ją w drobny mak.

Ruszył przed siebie podjazdem, zostawiając na żwirowej nawierzchni głębokie koleiny. Między porastającymi posesję dostojnymi drzewami dostrzegł dom, wzniesiony na szczycie starannie utrzymanego, sztucznie usypanego wzgórza. Była to odrestaurowana georgiańska rezydencja z dwoma oddzielnymi skrzydłami oraz garażem na kilka samochodów trochę z boku. Do głównego wejścia prowadził okrągły żwirowy podjazd. Nigdzie nie było widać lexusa ani ochroniarzy. Jeszcze.

Nie puszczać pedału gazu, wycelował ciężarówkę we frontowe drzwi. Ledwo znalazł się na podjeździe, gdy z domu wybiegł jeden z ochroniarzy - wydawało mu się, że rozpoznał w nim tego, który siedział z przodu lexusa Rydella. Mężczyzna zauważył nacierającą śmieciarkę i nagle otworzył szeroko oczy, wyciągając jednocześnie pistolet z kabury pod ramieniem.

Matt nie miał zamiaru nadkładać drogi i trzymać się łuku podjazdu. Ruszył prosto w stronę wejścia do budynku. Ciężarówka podskoczyła na rabatce i uderzyła w ochroniarza, zanim zdążył oddać strzał. Mężczyzna rozpląszczył się na przedniej szybie, plamiąc ją krwią, a po kolejnej sekundzie śmieciarka wgniotła go we frontowe drzwi, torując sobie drogę do budynku.

Wnętrze domu eksplodowało nagle fontanną cegieł, drewna i szkła. Mack wbił się w ścianę i zatrzymał dopiero w przestronnym holu domu. Matt, nie gasząc silnika, wyszarpnął pistolet i zeskoczył z kabiny, w tym samym momencie, gdy w drzwiach bocznego pokoju pojawił się kolejny oniemiały byczek z wyciągniętą bronią. Matt wykorzystał przewagę wynikającą z zaskoczenia i sprzątnął go dwoma strzałami w klatkę piersiową. Oddalił się o kilka kroków od ciężarówki, oceniając, co zostało z holu wejściowego rezydencji, i wrzasnął:

- Rydell!

Niczym postać z gry wideo ruszył przez dom, używając pistoletu jak różdżki i szukając swojej ofiary. Sprawdził salon, potem odchodzący od niego pokój telewizyjny i był już w drodze, zdaje się, do kuchni, gdy w korytarzu po prawej stronie otworzyły się ogromne podwójne drzwi i pojawiła się w nich głowa Rydella.

Gospodarz był oniemiały i zdeprzentowany. Matt rozpoznał go natychmiast. Wyglądał na bardziej wychudzonego niż na zdjęciach, jakie pokazał mu w swoim telefonie Jabba, ale nie było mowy o pomyłce.

Uniósł pistolet, podbiegł do niego i złapał go za rękę.

- Idziemy!

Dźgnął Rydella lufą pistoletu w plecy i popchnął go w stronę ciężarówki. Miliarder doznał szoku, gdy w swoim własnym holu zobaczył obsypaną gruzem śmieciarkę, a za nią trzymetrowej szerokości wyrwę w fasadzie domu. Matt popędził go, ale nagle zauważył kolejnego nacierającego ochroniarza. Zdołał już się opanować po zastrzyku adrenaliny i działał właściwie instynktownie. Oderwał pistolet od Rydella, wycelował, pociągnął za spust i mężczyzna upadł na podłogę.

- To już ostatni, co? - warknął wściekle pod adresem Rydella. - To już wszystko, na co cię stać?

Zanim nadal pozostający w szoku miliarder zdążył odpowiedzieć, Matt złapał go za szyję, popchnął w stronę tylnej części ciężarówki i przycisnął do niej. Spojrzał na niego i wskazał lufą tylną komorę śmieciarki.

- Do środka! - rozkazał.

Rydell wbił w niego przerażony wzrok.

- Tam?

- Do środka! - wrzasnął Matt, podnosząc pistolet, którego lufa znalazła się nagle zaledwie kilka centymetrów od nosa miliardera.

Rydell przyglądał mu się przez chwilę, po czym wspiął się do komory i przykucnął w niej. Matt wpatrywał się w niego przez kilka sekund, a następnie wcisnął przełącznik

ugniatacza, uruchamiając hydrauliczne wiosło, które zaczęło wirować coraz niżej nad głową ofiary, zmuszając ją do schronienia się na samym dnie śmieciarki.

Matt przełącznikiem zablokował wiosło i torując sobie drogę przez kupę gruzu, wrócił do kabiny. Ledwo wspiął się za kierownicę, gdy w holu pojawił się jeszcze jeden mężczyzna - kolejny ochroniarz w ciemnym garniturze i z gnatem wycelowanym w twarz Matta. Wystrzelił; kula przebiła przednią szybę i utkwiała w tylnej ścianie kabiny, tuż za głową kierowcy. Ten pochylił się, wrzucił wsteczny i wcisnął gaz. Ciężarówka wyswobodziła się ze zniszczonej ściany domu i wjechała z powrotem na żwirowy podjazd. Mężczyzna ruszył za nią, strzelając raz za razem. Kule wbijały się w gruby korpus śmieciarki, nie czyniąc jej żadnej szkody - ochroniarz równie dobrze mógłby próbować ustną dmuchawką powstrzymać nosorożca. Matt zatoczył pomarańczową bestię łuk i wrzucił jedynkę. Z rury wydechowej wydobył się wściekły ryk czarnego dymu - silnik najprawdopodobniej jeszcze nigdy nie pracował na takich obrotach - i ciężarówka pomknęła podjazdem w stronę wąskiej uliczki prowadzącej do głównej drogi.

Pokonali już połowę dzielącej ich od niej odległości, gdy pojawił się pierwszy opancerzony wóz wsparcia - żółty SUV na sygnale i z wirującymi na dachu niebieskimi światłami. Jezdnia nie była na tyle szeroka, by pomieścić oba samochody. Kierowca zdawał sobie z tego sprawę. Był bez szans. Skręcił gwałtownie na widok nacierającej śmieciarki, ale nie miał gdzie uciec. Wbiła mu się w bok i SUV poszybował niczym krążek hokejowy w stronę drzew. Drugi, bliźniaczy wóz spotkał podobny los. Ciężarówka uderzyła w niego tuż przed skrzyżowaniem z główną drogą. Pojazdem rzuciło do tyłu; wykonał na dymiących oponach kilka piruetów i wylądował ostatecznie w rowie.

Matt zwolnił, zabrał Jabbę i ruszył dalej przed siebie. Ogarnęła go euforia. Miał Rydella, co było pomyślną wiadomością, i przeżył - co cieszyło go jeszcze bardziej.

ROZDZIAŁ 57

Waszyngton

Szkoda - pomyślał Keenan Drucker.

Lubił Rydella. Był wspaniałą zdobyczą i byłby nią w każdych okolicznościach. Bez niego nic by się nie udało. Określenie „wizjoner” ostatnimi czasy stało się trochę wyświechtane, ale w wypadku Rydella pasowało idealnie.

Drucker wrócił myślami do dnia, kiedy wszystko to się zaczęło.

W Davos, w Szwajcarii.

Kolacja dla VIPów, każdy stolik wart dwieście tysięcy dolarów. Steki z wołowiny Aberdeen Angus i galaretka z różowym szampanem. Kolejne spotkanie bogatych i sławnych, przedstawicieli wpływowych elit, aspirujących do tego, by rozwiązywać największe światowe kryzysy. Wystraszonych egotystów i pełnych najlepszych chęci filantropów spotykających się nie tylko po to, by odkupić winę i przekazać znaczniejszą sumę pieniędzy na pomoc tysiącowi czy dwóm tysiącom biednych, ale i mających nadzieję przyczynić się do zmian, które ocalały miliony.

Rydell i Drucker siedzieli razem do późnego wieczoru i przedzierałi się przez górę danych na temat globalnego ocieplenia. W samych Chinach codziennie na drogach pojawia się czternaście tysięcy nowych samochodów. W Indiach na potrzeby przeżywającego okres boomu przemysłu każdego tygodnia budowana jest nowa elektrownia węglowa. Kraje rozwinięte pochłaniają tanią, uzyskiwaną z węgla energię łączywiej niż kiedykolwiek.

Kongres uchwała w Stanach Zjednoczonych jedną ulgę podatkową za drugą, korzystną dla firm z branży naftowej. Kampanie dezinformacyjne spółek energetycznych zachęcają ludzi do lekceważenia problemów i oddalają moment podjęcia ważnych decyzji. Kolejne analizy potwierdzają, że to, co nie tak dawno wyglądało źle, tak naprawdę wygląda jeszcze gorzej.

Obaj zgodzili się ze sobą: Ziemia pędzi w stronę punktu, za którym nie będzie już odwrotu. Żyjemy w czasach przełomowych dla utrzymania życia na tej planecie - i całkowicie to ignorujemy.

Pytanie sprowadzało się do tego, co można z tym zrobić.

Przez cały czas Drucker nie mógł się pozbyć wrażenia, że Rydell próbuje go wyczuć, że go sonduje. Sprawdza, jak daleko byłby gotów się posunąć.

Uśmiechnął się w duchu, wspominając, jak miliarder w końcu to z siebie wydusił.

- Wszystko to - sprowokował go do tego Drucker, zataczając wokół siebie szeroki gest - jest ważne, ale tak naprawdę niczego nie zmienia. Rządy, wielki biznes... Nikt nie chce zakręcać kranika. Wyborcy i opcje finansowe tylko pogarszają sprawę. Wzrost. Ludzie nie chcą zmian, zwłaszcza jeśli mają ich coś kosztować. W naszym stuleciu cena ropy wzrosła czterokrotnie i nic się nie zmieniło. Nikt się tym nie przejmuje. Lobby naftowe promuje szeroko hasło: „Doñt worry, be happy - to wszystko bzdury”. A w głębi duszy ludziom ono odpowiada. Niebo nam je zesłało.

- Może powinno zesać inne - podpowiedział Rydell ze znaczącym wizjonerskim błyskiem w oku.

Potem wypadki potoczyły się właściwie same.

Początkowo wydawało się, że Rydell mówi czysto hipotetycznie. Ale to, co hipotetyczne, wkrótce zamieniło się w możliwe. A możliwe w wykonalne. I wtedy wszystko się zmieniło.

Jeśli chodzi o Druckera, podano mu na talerzu cały wachlarz możliwości. To, co wymyślili Rydell oraz jego ludzie, okazało się bronią, za pomocą której można było zażegnać wiele niebezpieczeństw na różne, potencjalnie spektakularnie skuteczne sposoby. Problem polegał na tym, że Rydell nie był na to otwarty. Jego zdaniem zagrożenie było tylko jedno.

Drucker się z nim nie zgadzał.

Było ich mnóstwo. Niektóre z nich domagały się o wiele pilniejszej uwagi, były o wiele poważniejsze. Wymagały natychmiastowej reakcji. Bo choć Drucker uważał się za obywatela świata, był przede wszystkim patriotą.

Islam podnosił coraz wyżej głowę, a pod jego wpływy dostawały się coraz to nowe kraje. Należało to powstrzymać. Drucker nie wierzył wprawdzie, że da się kiedykolwiek nawrócić tę część świata, odciągnąć ludzi od ich religii. Ale można tam było na inne sposoby wykorzystać technologię Rydella. Chodził mu na przykład po głowie pomysł, by za jej pomocą napuścić na siebie sunnitów i szyitów, wywołując powszechną wojnę między oboma odłami. Coraz poważniejszym zmartwieniem stawały się Chiny. Duchowe przesłanie mogło tam wiele zmienić. Jeszcze inne rzeczy niepokoiły Druckera nawet bardziej. Dotyczące jego własnego kraju. Zagrożenia, które kosztowały życie jego własnego syna. Tak czy inaczej, wykorzystanie jako pierwszego haczyka posłania na temat globalnego ocieplenia doskonale mu odpowiadało. Było bezpieczne. Sprawa ta dotyczyła wszystkich, wykraczała poza rasę i religię. Drugie posłanie - to, które tak naprawdę się liczyło - można było przepchnąć tylnymi drzwiami.

Należało starannie obmyślić strategię. Miał fory, zważywszy na charakter swojego kraju. Siedemdziesiąt procent Amerykanów wierzy w anioły, w niebo, w życie po śmierci - w cuda. Co więcej, całe dziewięćdziesiąt dwa procent wierzy w osobowego Boga - takiego, który interesuje się indywidualnymi dramatami ludzi i którego mogą poprosić o pomoc. Solidne podstawy do działania. Drucker wykorzystał również wyniki badań najwybitniejszych psychologów i antropologów zajmujących się strukturą mentalną przekonań religijnych. Swoją plan dostosował do ich ustaleń. Po pierwsze, sztuczka musiała być tylko nieznacznie antyintuicyjna. Dziwna na tyle, by przyciągnąć uwagę ludzi i zapuścić korzenie głęboko w ich świadomości, ale nie na tyle, by ją zlekceważyli. Badania wykazały, że najbardziej przekonujące są treści religijne o odpowiednim poziomie cudowności. Pokaz musiał być również wstrząsający pod względem emocjonalnym, żeby wierzenia zdołały się

utrwalić. W religii stosuje się wyrafinowane rytuały, by wywołać u wiernych emocje: strzeliste, mroczne katedry rozjaśnione tylko świecami, hymny i pieśni, wspólne bicie pokłonów. W tym kontekście ruch ekologiczny wzbogacony o aspekt quasireligijny wydawał się idealną platformą. Nie chodziło bowiem tylko o to, by stanąć twarzą w twarz z naszą śmiertelnością - rzecz dotyczyła całej planety.

Moment dziejowy również wydawał się sprzyjający. Pod wieloma względami na Ziemi nastąpiły ciężkie czasy Zanieczyszczenie środowiska. Załamanie gospodarki. Terroryzm, nielegalne badania nad bronią nuklearną. Ptasia grypa. Nanotechnologia. Wielki Zderzacz Hadronów. Wydawało się, że wszystko wymyka się spod kontroli, że zagłada możliwa jest na wielu frontach. Żyjemy na co dzień ze świadomością wiszącego nad całą ludzką rasą śmiertelnego niebezpieczeństwa. Czy można sobie wyobrazić lepszą pożywkę dla proroców zapowiadających nadejście wybawiciela, mesjasza zstępującego na Ziemię, by rozwiązać wszystkie problemy i zapoczątkować królestwo milenijne? I nie dotyczy to tylko chrześcijan. Każda z wielkich religii głosi własną wersję tego, w jaki sposób pojawi się wielki nauczyciel i uratuje świat przed katastrofą. Jednakże dla Druckera liczyła się tylko jedna z nich.

Ciągle jednak wracał myślami do pewnej, podstawowej zupełnie przeszkody: świadomości, że w którymś momencie coś może pójść nie tak. Że nie będą w stanie przez cały czas oszukiwać ludzi. Że ktoś się kiedyś wygada. Ujawni technologię. Że coś na pewno się schrzani. Dlatego właśnie postanowił wykorzystać niedoskonałość, zawodność człowieka i uznać ją za punkt wyjściowy dla całej swojej strategii.

Okazało się, że to prawdziwy przebłysk geniuszu.

Wszystko było już gotowe. Zwerbował partnerów, którzy mieli mu pomóc przeprowadzić całą operację. Musiał tylko poczekać na odpowiednie wydarzenie, na coś dużego, coś o odpowiednim wydźwięku emocjonalnym. Wiedział, że prędzej czy później coś takiego się zdarzy. Planeta kipiała, wrzała gniewem. Na całym globie dochodziło do kolejnych kataklizmów. I jeden z nich okazał się idealny - tak jakby zesłali mu go bogowie. Najciekawsze było to, jak rolę odegrały w tym media. Kupiły sztuczkę natychmiast. Widowisko było wstrząsające, spektakularne i - w każdym razie w początkowej fazie - krążyło wokół tematu ratowania planety, bliskiego sercom dziennikarzy.

„Szkoda” - pomyślał znowu Drucker, stykając pod zaciśniętymi wargami czubki palców dłoni. Wolałby, żeby Rydell był po ich stronie. Uczestniczył we wszystkim. Próbował go przekonać do tego, że konieczne jest włączenie do planu kolejnego elementu - posłańca, proroka. Długo o tym rozmawiali. Ale Rydell nie słuchał. Druckerowi nie podobało się również to, co musiał zrobić jego córce. Znał ją od lat, na jego oczach wyrosła na atrakcyjną,

wyzwoloną młodą kobietę. Ale musiał to zrobić. Rydell okazał się zbyt żarliwy. Jego zaangażowanie, zapał przełożyły się na brak elastyczności, z którym nie byli w stanie nic zrobić. Nigdy nie zaakceptowałby zasady „coś za coś”. Poza tym i tak nie dało się go w pełni wciągnąć do spisku. Miał być przecież uczestnikiem jego finału. Pionkiem, którego poświęcenie było niezbędne, by wygrać całą partię.

Zadzwoił telefon Druckerz. Spojrzał na wyświetlacz. Pojawiło się na nim nazwisko Pociska. Wykonawcy. Człowieka, którego żołnierze wszystko to umożliwili. Oszeconego, poparzonego komandosa v byłego dowódcy Jacksona. Człowieka, który stracił pół twarzy w tej samej jatce, w której syna Druckera rozerwało na kawałty.

Drucker odebrał telefon.

Więści nie były dobre.

ROZDZIAŁ 58

Brookline, Massachusetts

Hydrauliczny ugniatacz, wyjął i wirując, zaczął się powoli podnosić.

Niemal natychmiast z trzewi ciężarówki buchnął kwaśny smród, choć właściwie nie było w niej teraz żadnych śmieci. Matt zaczekał, aż wiosło uniesie się na dwie trzecie wysokości, po czym wyłączył silnik. Ciężkie wieko zawisło w górze nad ziejącą, cuchnącą komorą śmieciarki.

Nachylił się do środka:

- Wyłaź! - rozkazał.

Po chwili z ciężarówki wygramolił się Rydell. Osłonił oczy przed blaskiem słońca.

Śmieciarka stała na środku opustoszałej wąskiej alejki biegnącej równolegle do ruchliwego pasażu handlowego o niezbyt wysokiej zabudowie, na tyłach zamkniętej wypożyczalni wideo, jakieś sześć kwartałów od centrum usług komunalnych, w którym Matt ją ukradł. Nieopodal stał zaparkowany pontiac. Znajdowali się u wylotu wąskiej dróżki, z dala od oczu przechodniów; widok na przejeżdżające samochody zasłaniało im cielsko śmieciarki.

Rydell śmierdział. Jego ubranie było podarte, a on sam poobijany i posiniaczony po przejażdżce w pustej metalowej skrzyni, w której rzucało nim jak lalką. Oddychał chrapliwie, szybkimi nierównymi seriami. Na lewym policzku miał paskudne rozcięcie. Chwiał się, nie mógł złapać równowagi i musiał się oprzeć o samochód. Dysząc ciężko, zacisnął powieki - próbował odzyskać władzę nad zmysłami i prawdopodobnie robił wszystko, żeby nie zwymiotować.

Matt pozwolił mu przez kilka sekund dochodzić do siebie, ale po chwili uniósł wielki srebrny pistolet, upuszczony na lotnisku przez strzelca, i zbliżył go do twarzy Rydella.

- Co zrobiłeś mojemu bratu?

Rydell podniósł wzrok. Ciągle był półprzytomny, obolały i zdezorientowany. Spojrzał na Matta, a potem na Jabbę, który kilka kroków dalej nerwowo przestępował z nogi na nogę. Kręciło mu się w głowie i nie bardzo wiedział, gdzie się znajduje. Ciągłe powieki znowu opadły mu na oczy, a głowa zwisała na piersiach. Podniósł dłonie i zaczął sobie nimi masować skórę na skroniach.

- Co zrobiłeś mojemu bratu? - warknął ponownie Matt.

Rydell uniósł dłoń i przytrzymał ją, prosząc o kilka sekund na dojście do siebie. Po chwili otworzył oczy. Na jego twarzy wyraźnie malowało się, że nie ma bladego pojęcia, kim są Matt i Jabba oraz czego ten pierwszy od niego chce.

- Twój brat...? - wyjąkał.

- Danny Sherwood. Co się z nim stało?

Nazwisko natychmiast otrzeźwiło Rydella. Zamrugał gwałtownie i jego oczy się ożywiły, niczym stadion rozświetlony nagle powodzią reflektorów. Skrzywił się, najwyraźniej nie bardzo wiedząc, co powiedzieć.

- Z tego co wiem, nic mu nie jest - rzekł w końcu głuchym tonem. - Ale od naszego ostatniego spotkania minęło już kilka tygodni.

Matt się wzdrygnął.

- Twierdzisz, że żyje?

Rydell spojrzał na niego i skinął głową.

- Tak.

Matt przeniósł wzrok na Jabbę. Ten przestał niecierpliwie dreptać i również kiwnął do niego głową. Wyraźnie mu ulżyło.

- Przykro mi - kontynuował Rydell. - Nie mieliśmy wyboru.

- Oczywiście, że mieliście! - wrzasnął Matt. - To się nazywa wolna wola. - Ciągle nie mógł uwierzyć w to, co usłyszał. - A więc ten znak... To wszystko... Wy to robicie?

Rydell skinął głową.

- Robilem.

- Jak to „robilem”?

- Pozostali... moi partnerzy... robią to teraz na swój sposób. - Westchnął, ostrożnie ważąc słowa. - Zostałem... odsunięty.

- Co się tak naprawdę stało? W Namibii. Czy Danny w ogóle tam był?

Rydell ponownie skinął powoli głową.

- Tak. Tam właśnie wykonywaliśmy końcowe testy. Ale nie było żadnej katastrofy helikoptera. Została zainscenizowana.

- Więc Reece i pozostali... Oni też żyją?

- Nie. - Potentat zawahał się. - Posłuchaj, wcale tego nie chciałem. Nie działałem w ten sposób. Ale pracowałem z innymi, którzy... zareagowali zbyt gwałtownie.

- Kto? - zapytał Matt.

- Firma ochroniarska.

- Maddox? - na wpół zgadł Matt.

Rydell spojrzał na niego zdumiony, najwyraźniej zaskoczony, że jego gnębiciel zna to nazwisko.

- Pozbył się ich - spekulował dalej Matt. - Kiedy ich już nie potrzebowaliście.

- To nie było tak - sprzeciwił się Rydell. - Żaden z nich nie wiedział, co tak naprawdę planujemy. Ani Reece, ani twój brat. A kiedy w końcu powiedziałem Reeceowi, nie chciał o tym nawet słyszeć. Wydawało mi się, że potrafię go przekonać. Potrzebowałem tylko trochę czasu... Przeciągnąłbym go na naszą stronę. A wtedy pozostali również by do nas dołączyli. Ale nie dano mi na to szansy. Maddox po prostu strzelił i... To było szaleństwo. Zaczął strzelać. Nie mogłem go powstrzymać.

- A Danny?

- Rzucił się do ucieczki.

- Ale mu się nie udało.

Rydell pokręcił ze smutkiem głową.

- I przez cały czas trzymaliście go w zamknięciu.

Skinął głową.

- Danny zaprojektował interfejs do przetwarzania danych. Sprawdza się doskonale, ale jest wrażliwy na choćby najmniejsze zmiany w gęstości powietrza, temperaturze czy... - Przerwał, tak jakby zorientował się, że nie powinien rozwodzić się na ten temat. - Bezpieczniej było mieć go na miejscu.

- Więc przez cały ten czas... trzymaliście go przy życiu, żeby go wykorzystać.

Rydell znowu potwierdził skinieniem głowy.

- Ale dlaczego robi, co mu każecie? Musi się domyślać, że jak to wszystko się skończy, zabijecie go. - Matt przyjrzał się Rydellowi, modląc się, by nie usłyszeć odpowiedzi, której się najbardziej obawiał. - Chyba nie robi tego z własnej woli?

- Nie - odparł miliarder. - My... oni go szantażują.

- Czym?

- Twoimi rodzicami - wyjaśnił Rydell. - I tobą - dodał po chwili. Wytrzymał przez kilka sekund wzrok Matta, po czym spuścił oczy. - Powiedzieli mu, że zrobią ci coś złego. Bardzo złego. Że wylądujesz z powrotem w więzieniu, a oni już się postarają, żeby zamienić ci tam życie w piekło. - Zamilkł. - Danny tego nie chciał.

Matt poczuł, że wzbiera w nim wściekłość.

- Moi rodzice nie żyją.

Rydell skinął głową. Na jego twarzy malowało się poczucie winy.

- Danny o tym nie wie.

Matt się odwrócił i z nachmurzoną miną odszedł parę kroków. Wbił wzrok gdzieś w dal, porażony słowami miliardera. Jego mały braciszek. Od dwóch lat przechodzi przez prawdziwe piekło, żyje w celi, odcięty od świata, zmuszony wykorzystywać owoce swego błyskotliwego umysłu na potrzeby czegoś, w co nie wierzy... A wszystko to, żeby go chronić. Żeby nie narażać Matta na niebezpieczeństwo.

A przecież i wcześniej Danny tyle dla niego zrobił.,

Pomyślał o rodzicach, o tym, jak załamali się na wieść o śmierci syna w katastrofie helikoptera, o żalu, który zniszczył im życie. Spojrzał na Rydella i nagle nabrał ochoty, by sięgnąć mu do gardła i wyrwać przez nie serce.

Jabba patrzył żałośnie, jak Matt walczy ze sobą, ale nie miał zamiaru się wtrącać. Zawahał się i podszedł do Rydella.

Nie mógł się powstrzymać.

- Jak to robicie? - zapytał nabożnym tonem, tak jakby ciągle nie mógł uwierzyć, że stoi twarzą w twarz z takim bożyszczem, upadłym wprawdzie, pobitym i zakrwawionym, ale jednak bożyszczem.

Rydell uniósł wzrok i przyjrzał mu się, po czym pokręcił głową i się odwrócił.

- Odpowiadaj! - warknął Matt.

Miliarder spojrzał na niego, a potem z powrotem na Jabbę.

- Inteligentny proszek - powiedział po krótkiej chwili.

- Inteligentny proszek? Ale to nie... To znaczy, myślałem, że... - Jabba zaczął się jąkać, kręcąc z niedowierzaniem głową. Odpowiedź Rydella sprawiła, że w głowie pojawiło mu się mnóstwo pytań. - Jak drobny?

Miliarder przez kilka sekund milczał, wyraźnie nie mając ochoty oświecać w tym względzie Jabby, ale w końcu wzruszył ramionami.

- Jedna trzecia milimetra kwadratowego.

Jego rozmówcy opadła szczeka. Z tego co czytał i słyszał, było to niemożliwe. Absolutnie niemożliwe. A mimo to Rydell to powiedział.

„Inteligentny proszek” - mikroskopijne urządzenia elektroniczne, dosłownie unoszące się w powietrzu i potrafiące rejestrować oraz przekazywać informacje zaczerpnięte z najbliższego otoczenia - ciągle był marzeniem naukowców. Na pomysł ten wpadli i termin ukuli inżynierowie z dziedziny elektroniki oraz informatycy z Uniwersytetu Kalifornijskiego w Berkeley pod koniec lat dziewięćdziesiątych. Sam w sobie był dosyć prosty: chodziło o drobnuteńkie pyłki krzemu, zaopatrzone w nowoczesne sensory, procesory komputerowe oraz bezprzewodowe komunikatory, tak małe, że praktycznie niewidzialne, i tak lekkie, że mogą przez wiele godzin unosić się w powietrzu, gromadząc i przekazując dane w czasie rzeczywistym - niewykrywalne. Natychmiast zainteresowali się nimi wojskowi. Możliwość rozrzucenia sensorów rozmiaru pyłku nad polem bitwy w celu monitorowania ruchów oddziałów wydawała im się czymś niezwykle obiecującym. Podobnie jak rozpylanie ich w metrze, by wykrywać zagrożenie bronią chemiczną lub biologiczną, albo nad tłumem demonstrantów, dzięki czemu można by śledzić zdalnie ich ruchy. DARPA natychmiast postanowiła sfinansować badania - choć przyszły wynalazek mógł znaleźć wiele zastosowań w cywilnych dziedzinach, na przykład w medycynie, jeszcze bardziej nęcący był jego potencjał jako narzędzia obserwacji nieprzyjaciela. Ale nawet najhojniej finansowane badania nie zawsze kończą się sukcesem.

Pomysł był niegłupi. A kolejne przełomy w nanotechnologii przybliżyły realizację marzenia. Teoretycznie wytworzenie pyłków było możliwe. Ale w praktyce okazało się niewykonalne. A w każdym razie nie do końca wykonalne. Dało się już zbudować odpowiednio małe sensory. Ale procesorów analizujących dane, transponderów przekazujących je do bazy, modułów energii napędzających mikroskopijne urządzenia - czyli maleńkich litowych baterii - już nie. Jeśli zsumować te wszystkie akcesoria, zamiast cząsteczki wielkości pyłku otrzymywało się dosyć rzucającą się w oczy zbitkę wielkości piłki golfowej.

Najwyraźniej jednak zespół Rydella zdołał pokonać te przeszkody i wspiąć się na nowy poziom miniaturyzacji oraz zarządzania energią.

I to w tajemnicy.

Jabbie cisnęły się na usta miliony pytań.

- Pracowaliście dla DARMA?!

- Reece pracował. Wynalazek miałby tysiące zastosowań, ale nikt wcześniej nie wpadł na pomysł, jak można by produkować taki proszek. Dopiero jemu się to udało. Powiedział mi o tym, zanim jeszcze poinformował ich, że potrafi to zrobić. Siedzieliśmy do późna w nocy,

snując wizje tego wszystkiego, do czego można by wykorzystać jego pomysł. - Przerwał, wracając wspomnieniami do tamtej nocy. - Jedna rzecz wydała nam się szczególnie interesująca.

- Chodzi o tę całą aferę z biosensorami? - zapytał Jabba.

Rydell pokręcił głową.

- To była tylko zasłona dymna.

- Ale... jak? Skąd one się tam wzięły? Zrzuciliście je z samolotów bezzałogowych czy...?

Zamilkł, odrzucając w głowie kolejne możliwości.

- Metalowe pojemniki - wyjaśnił miliarder. - Odpaliliśmy je jak fajerwerki.

- Ale nie było słycać żadnego hałasu, żadnej eksplozji - zdziwił się Jabba. - Mam rację?

- Użyliśmy wyrzutni sprężonego powietrza. Takich jak te, z których korzysta się w Disneylandzie. Żadnego hałasu. Żadnej eksplozji.

W głowie Jabby błyskawicznie pojawił się kolejny milion pytań.

- A pyłki... Jak je rozświetlacie? I jak udało się wam tak zminiaturyzować moduły energii? Z czego korzystacie? Baterii słonecznych? Energii atomowej?

Wychwytywanie, segregacja i przekazywanie danych wymagało sporej ilości energii. Naukowcy zastanawiali się na przykład nad możliwością posypania pyłków izotopami radioaktywnymi, dzięki czemu każdy z nich zgromadziłby odpowiedni zapas energii.

Rydell pokręcił głową.

- Nie. Właściwie nie potrzebują zamontowanego na stałe modułu.

- Więc co je napędza?

- Na tym właśnie polegał genialny pomysł Reecea. Karmią się sobą nawzajem. Rozświetlamy je sygnałem elektromagnetycznym nadawanym z Ziemi. Zamieniają transmisję na energię i rozprzestrzeniają ją w chmurze na wymaganym obszarze.

Odpowiedź sprowokowała Jabbę do następnych pytań.

- Ale jak je rozświetlacie?

Rydell wzruszył ramionami.

- Zwykła reakcja chemiczna. To cząstki Janusa. Hybrydy. Zapalają się i gasną, kiedy trzeba, przyjmując kształt, jaki chcemy im nadać, niczym spadochroniarze w czasie powietrznego pokazu. Wypalają się po jakichś piętnastu minutach, ale to w zupełności wystarczy.

Jabba starał się szybko przeanalizować uzyskane informacje i wypełnić układankę brakującymi elementami. W jego głosie pojawiło się niedowierzenie.

- Ale pyłki przez cały czas wirują. Muszą. Przecież rozprasza je najłżejszy nawet podmuch wiatru, prawda? A znak się nie porusza. - Sam sobie odpowiedział i nagle otworzył szeroko oczy. - Są samobieżne? - Wydawało się, że nie potrafi uwierzyć we własne słowa.

- Nie. - Rydell pokręcił głową, a potem spojrzał na Matta. Twarz znowu spochmurniała mu od wyrzutów sumienia, opadły mu ramiona. Odwrócił wzrok. - Na tym właśnie polegała rola Dannyego. Jego program obliczeń rozproszonych... Czy raczej ogromnie rozproszonej inteligencji. To on go napisał. Zaprojektował genialny system optyczny oparty na reflektorach rogowych. Pozwala pyłkom komunikować się ze sobą w o wiele doskonalszy sposób, przy czym praktycznie nie potrzebują do tego żadnej energii. Dosłownie ożywił tym samym pyłki. - Miliarder wypuścił z* wysiłkiem powietrze z płuc i kontynuował: - Chcieliśmy, żeby kształt - znak - unosił się w jednym miejscu. Ale masz rację, pyłki są zbyt małe, zbyt lekkie, wirują, krążą w powietrzu jak nasiona dmuchawca. Trzeba było jakoś sprawić, żeby mogły się ze sobą porozumiewać. Kilkaset razy na sekundę. Kiedy któryś z zaświeconych pyłków odfruwa, wyłącza się, a ten, który znajduje się najbliżej, zapala zamiast niego i zajmuje jego miejsce, przejmując od niego zadanie w ramach pokazu. Cząstki zatem przez cały czas zmieniają pozycję, ale znak wydaje się nieruchomy. Sęk w tym, że chcieliśmy, by znak bezustannie zmieniał kształt, by wyglądał jak żywy i... Wymaga to ogromnej mocy obliczeniowej, i to od urządzenia rozmiaru pyłku kurzu. - Podniósł pełen wyrzutów sumienia wzrok na Matta. - Nie moglibyśmy tego zrobić bez Dannyego.

- Ach tak, rozumiem więc, że trzymanie go w zamknięciu przez ten czas było rzeczą słuszną - stwierdził z przekąsem Matt.

- Myślisz, że to było dla mnie łatwe!? - zawołał Rydell. - Myślisz, że wszedłem w to ot tak sobie? Wszystko temu podporządkowałem. I sądząc z obecnego obrotu spraw, najprawdopodobniej przez to zginę.

- Istnieje taka możliwość - potwierdził zgryźliwie Matt.

- Nie miałem wyboru. Trzeba było coś zrobić. Sprawy wymykały się z rąk i nikt się tym nie przejmował.

- Globalne ocieplenie? - zapytał Jabba. - O to chodziło, tak?

- A o co innego!? - wybuchnął Rydell, zrywając się nagle. - Nie rozumiecie? Ludzie nie mają o tym pojęcia. Nie zdają sobie sprawy, że za każdym razem gdy wsiadają do samochodu, powoli zabijają własną planetę. Zabijają własne wnuki. - Gestykułował zawzięcie, nagle pobudzony. - To już pewne: zbliżamy się do punktu, za którym nie będzie

odwrotu. A kiedy to się stanie, nic już nie da się zrobić. Pogoda zmieni się gwałtownie, i to będzie koniec naszej historii. A dzieje się to szybciej, niż wam się wydaje. Jesteśmy to winni naszym dzieciom i ich dzieciom, musimy działać. Nie minie nawet sto lat, a ludzie obudzą się na planecie, która okaże się bardzo nieprzyjemnym miejscem do życia. Spojrzą wtedy w przeszłość i zaczną się zastanawiać, jak to, do diabła, możliwe, że nikt nigdy niczego nie zrobił, żeby do tego nie dopuścić. Mimo wszelkich ostrzeżeń. Cóż, ja coś robię. I każdy, kto ma ku temu możliwości, powinien pójść w moje ślady. Zbrodnią jest brak działania.

- Postanowiłeś więc wystąpić przed szereg i zabić kilku fajnych gości, żeby przyciągnąć uwagę innych - powiedział Matt.

- Mówiłem ci, że nie taki był plan.

- Ale pogodziłeś się z tym.

Matt musiał trafić w sedno, bo Rydell nie miał dla niego gotowej odpowiedzi.

- A co miałem według ciebie zrobić? Zastopować projekt? Wydać Maddoxa i jego ludzi? Zmarnować wszystko, na czym pracowaliśmy przez te wszystkie lata? Odrzucić plan, który może zmienić losy planety?

Matt nawet nie drgnął.

- A rozważałeś chociaż taką możliwość?

Rydell zastanowił się i pokręcił głową.

- A co z ojcem Jerome? - wtrącił się Jabba. - On też jest częścią planu?

- Nie wiem. Na pewno nie był nią na samym początku. Włączyli go na własną rękę.

Sami musicie ich o to zapytać.

- To niemożliwe - zaprotestował naukowiec. - On by się na coś takiego nie zgodził.

- Wszystko jedno - uciął stanowczym tonem Matt. - Chcę tylko uwolnić Dannyego. -

Spojrzał na Rydella. - Gdzie on jest?

- Nie wiem - odparł miliarder. - Mówiłem ci, że dostałem odsunięty.

Matt uniósł pistolet i wycelował prosto w czoło Rydella.

- Pytam jeszcze raz.

- Mówię ci, że nic nie wiem, już nie! - zawołał potentat. - Ale jeżeli znak znowu się gdzieś pojawi, prawdopodobnie tam właśnie znajdziecie Dannyego.

- Co? - wykrztusił zaskoczony Matt.

- Dlatego potrzebowaliśmy go żywego - wyjaśnił Rydell. - Żeby dokonywał mikropoprawek w czasie rzeczywistym. Na miejscu.

- „Na miejscu”? - zapytał Jabba. - Musi tam być? Nie może robić tego zdalnie?

- Mógłby, ale transmisja danych na większe odległości nie jest niezawodnym procesem, a nawet najmniejsze opóźnienie czasowe może wszystko zepsuć. Bezpieczniej jest przewieźć go na miejsce, zwłaszcza że znak wykonuje skomplikowane ewolucje, a nie wyskakuje tylko na kilka sekund.

- Więc Danny tam był? - zapytał Matt. - Na Antarktydzie? I w Egipcie?

- Był na Antarktydzie - potwierdził Rydell. - Co do Egiptu, nie wiem. Powtórzę, że tego nie planowałem. Ale z tego co widziałem w telewizji, przypuszczam, że musiał tam być. Znajdował się pewnie w odległości mniejszej niż kilometr od znaku. Taki jest zasięg przekaźnika.

W pobliżu zawyła policyjna syrena. Matt zamarł. Przez wąską uliczkę prowadzącą do głównej drogi po drugiej stronie niskich budynków pasażu handlowego, odwróconych tyłem do ich alejki, zauważył błysk pędzącego radiowozu.

Stwierdził, że czas najwyższy się zmywać.

Odwrócił się do Jabby.

- Musimy ruszać. - Machnął pistoletem w stronę Rydella, poganiając go. - Jedziemy.

- Gdzie? - zapytał miliarder.

- Jeszcze nie wiem, ale jedziesz z nami.

- Nie mogę! - zaprotestował Rydell. - Oni...

- Jedziesz z nami - uciął Matt. - Mają Dannyego. A my mamy ciebie. Wygląda mi to na niezłą podstawę do wymiany.

- Nie wymienię go na mnie. Potrzebują go. Bardziej niż mnie. Zresztą pewnie ucieszyliby się na wieść o mojej śmierci.

- Być może, ale skoro cię nie zabili, to z jakiegoś powodu cię potrzebują - zauważył Matt.

Sądząc z wyrazu twarzy Rydella, zorientował się nagle, że rzeczywiście coś w tym może być. Nie zastanawiał się jednak nad tym zbyt długo.

- Nie mogę jechać z wami - powtórzył. - Mają moją córkę.

- Jasne - zadrwił Matt. Pomyślał, że Rydell musi być niezłym łgarzem, co nagle rzuciło nowe światło na wszystko, co powiedział w czasie przesłuchania.

- Mówię wam, mają moją córkę i...

- Bzdura. Idziemy. - Matt szturchnął go, ale coś w głosie miliardera, panika w jego oczach, nie dawało mu spokoju. Może jednak czegoś nie zauważył? Wciekłość na Rydella nie pozwoliła mu zastanowić się nad tym głębiej. - Idziemy! - popędził go znowu.

- Posłuchajcie mnie. Porwali ją. W Meksyku. Udawali jej ochroniarzy. Na wypadek gdybym zaczął rozrabiać. Nie mogą się nawet dowiedzieć, że z wami rozmawiałem. Zabiją ją.

Matt się zawahał. Jabba podszedł do niego.

- Może gość ma rację, stary. - Spojrzał na Rydella. - Dziewczyna jest tutaj.

Miliarder z nagłym ożywieniem podniósł głowę.

- Tutaj?

- Widzieliśmy ją. Kilka godzin temu. Maddox i jego bandyci przywieźli ją samolotem na niewielkie lotnisko niedaleko Bedford. Myśleliśmy, że to jej ochroniarze.

Na twarzy Rydella pojawiła się chmura.

- Mają twoją córkę, a ty twierdzisz, że jesteś tylko „odsunięty”? - W oczach Matta błysnęła pogarda. - No nie wiem, kolego. Gdyby

‘chodziło o mnie, uznałbym to za decydujący znak, że są teraz twoimi wrogami.

Rydell spojrział na niego w osłupieniu. Najwyraźniej dotarło do niego, że jego gnębiciele ma rację.

Matt pokręcił z oburzeniem głową i machnąwszy miliarderowi pistoletem, rzucił tylko po raz kolejny:

- Idziemy.

Na twarzy Rydella widać było rozterkę. Rozpaczliwie próbował rozjaśnić w myślach własną sytuację. Nagle pokręcił głową, uniósł zrezygnowany ręce dłońmi na zewnątrz i cofnął się o krok.

- Nie mogę. - Wykonał kolejny krok do tyłu, a potem jeszcze jeden. - Zabiją ją.

Matt poczuł, że ogarnia go wściekłość.

- Powinieneś być pomyśleć o tym, zanim odwróciłeś wzrok, gdy bandyci zabijali twoich ludzi.

- Ile razy mam powtarzać!?! - wybuchnął Rydell. - Nie chciałem tego! - Pokręcił spokojnie głową. - Nawet gdybym chciał wam pomóc, nie mogę. Dopóki ją mają. Róbcie więc, na co macie ochotę, ale nigdzie się z wami nie wybieram.

Matt wycelował w niego pistolet, ale miliarder się nie zatrzymał. Rozłożywszy ręce, nadal się cofał, rozglądając się panicznie na boki i obserwując okolicę.

- Stój! Nie żartuję! - ostrzegł go Matt.

Rydell pokręcił głową i dalej szedł tyłem. Dotarł już do wąskiego przejścia prowadzącego do głównej ulicy.

Matt zawahał się. Rydell to zauważył. Ledwo zauważalnie skłonił w przeproszającym geście głowę, po czym rzucił się w stronę drogi.

- Kurwa! - zaklął Matt i pobiegł za nim. - Rydell! - wrzasnął, a jego głos odbił się donośnym echem w wąskim ceglany wężowozie, fabba ruszył za nim brudnym pasażem. Po kilku sekundach znaleźli się na ulicy. Matt zatrzymał się gwałtownie. Kilku przechodniów stanęło jak wrytych na chodniku. Wbili w niego wzrok, zdziwieni nagłym pojawieniem się intruza, w dodatku uzbrojonego. Za ich plecami Rydell nadal się wycofywał, rozkładając ręce w uspokajającym geście.

Matt stwierdził, że obserwuje go zbyt wiele par oczu. Rydell wymykał mu się z rąk, a on nie mógł temu w żaden sposób zapobiec.

- Zmywamy się stąd - powiedział Jabbie, po czym odwrócił się na pięcie i ruszył z powrotem pasażem w stronę pontiaca. Rydell mu uciekł, ale Danny ciągle żył, a w tej chwili liczyło się tylko to.

ROZDZIAŁ 59

Aleksandria, Egipt

Decyzja, by ominąć szerokim łukiem lotnisko w Kairze, okazała się nad wyraz szczęśliwa, choć początkowo nic na to nie wskazywało. Na samą myśl, że musi zająć się tym, o co zazwyczaj potrafił zadbać Finch, Gracie zaczynała boleć głowa. Zwłaszcza że chodziło o przemycenie ojca Jerome przez szpaler egipskich celników, którzy mogli być drobiazgowymi maniakami, seksistami czy zagorzałymi wrogami Ameryki - albo wszystkimi naraz.

Gdy dotarli na miejsce, samolot już na nich czekał. Darby wywiązał się z obietnicy. Skierowali się do budynku urzędu lotnictwa cywilnego, dzięki czemu nie musieli przed wejściem na płytę lotniska przechodzić przez główny terminal, na którym ktoś mógłby rozpoznać ojca Jerome. Wiedzieli dobrze, że wystarczył czyjś rzut oka, by wywołać popłoch. Duchowny był zbyt rozpoznawalny - możliwe, że stał się teraz właścicielem najbardziej rozpoznawalnej twarzy na całym świecie. Urzędnik w niewielkim biurze, Kopt - szansa na to w Egipcie wynosiła jak jeden do dziesięciu - i to pobożny, zerknął tylko na sutannę brata Amina i po sprawie. Po kilku minutach mieli już podbite paszporty, bramka została otwarta, a oni wspinali się po schodach naprędce wyczarterowanego odrzutowca. Zgodnie z planem kierowca miał zaczekać, aż upewni się, że samolot odleci bez przeszkód, a potem powiadomić o tym opata, który następnie ogłosi, że ksiądz nie przebywa już w klasztorze. Mieli nadzieję, że tłum oblegający mury monastynu rozejdzie się wtedy do domów

Gdy koła gulfstreama oderwały się od pasa startowego i błyszczący czternastoosobowy samolot wystrzelił w niebo, nabierając prędkości, Gracie nieco

odetchnęła, choć ulga zdążyła rozproszyć jej czarne myśli tylko na chwilę. Myśli o Finchu. Wizje jego ciała leżącego na piasku. Martwego ciała.

Ogarnął ją straszliwy żal.

- Nie powinniśmy byli go tam zostawiać - powiedziała Daltonowi. Siedział naprzeciw niej, tyłem do kierunku lotu. - Strasznie się z tym czuję. My tutaj, a on...'

Zamilkła.

- Nie mieliśmy wyboru - próbował pocieszyć ją operator. - Poza tym on pewnie zrobiłby na naszym miejscu to samo.

- I pomyśleć, że zdarzyło mu się to, gdy kręciliśmy materiał naszego życia. - Wzruszyła ramionami, wracając myślami do dawnych wydarzeń. - Po wszystkim, co przeszedł, wojnach, kataklizmach... Umrzeć w ten sposób.

Dalton skinął głową. Przez chwilę siedzieli w milczeniu, rozpamiętując tragiczne wydarzenie.

- Musimy powiedzieć w redakcji o Finchu - odezwał się w końcu operator.

Gracie w milczeniu skinęła głową.

- Trzeba poinformować Ogilvyego, kiedy przylatujemy - dodał Dalton. - Pójdę pogadać z pilotem. Zapytam, czy może połączyć nas z centralą. A

Wstał już, ale Gracie wyciągnęła rękę i zatrzymała go.

- Jeszcze nie, dobrze? Daj... daj nam chwilę, kilka minut dla siebie, w porządku?

- Jasne. - Spojrzał na przedział kuchenny samolotu i dodał: - Zobaczę, czy możemy dostać jeszcze jedną kawę. Chcesz?

- Dzięki - skinęła głową. - Parę kropel szkockiej też nie zaszkodzi.

Fałszywy ksiądz, który wybrał dla siebie imię brata Amina, patrzył, jak Dalton wstaje z fotela naprzeciw Gracie i rusza w stronę tylnej części samolotu. Kiwnął przyjacielsko kamerzyście głową, gdy ten przechodził obok, po czym odwrócił się i wyjrzał przez okno.

Po raz pierwszy zabił w czasie tej misji, choć wcześniej robił to bardzo często. Wojna w jego ojczyźnie była bardzo brutalna. Zamieniła wielu młodych Serbów, takich jak on, w bezwzględnych morderców. Po jej zakończeniu niektórzy potrafili stłumić ten aspekt ich dawnego życia i stać się na powrót normalnymi, pogodnymi facetami. Innym spodobało się to, co w sobie odkryli. A niektórzy z nich, tacy jak Dario Arapovic, odkryli również, że na talenty, które rozwijali w takich miejscach jak Vukovar czy w czasie operacji w rodzaju ofensywy Otkos 10, jest w świecie duże zapotrzebowanie. Ten region świata ciągle był niestabilny. Bezustannie toczyły się tam walki, a każdy rozejm okazywał się tylko chwilową przerwą w Wielkiej Grze. Grze, w której aktywnie uczestniczyli zawodowcy, tacy jak

Maddox; grze, w której takie talenty jak Dario bardzo się liczyły - i były doskonale opłacane. I rzeczywiście, podjęcie takiej decyzji bardzo mu się opłaciło, bo chociaż Arapovic odczuwał ogromną dumę z potajemnej roli, jaką odegrał w kształtowaniu przyszłości swojej ojczyzny, to, że został wybrany przez Maddoxa do odegrania kluczowej roli w o wiele ważniejszym meczu, było dla niego źródłem jeszcze większej satysfakcji.

Żałował, że musiał zabić producenta. Ryzyko zdemaskowania było jednak zbyt duże. Równie niebezpieczna mogła się okazać zresztą możliwość zakłócenia realizacji planu, który aż do tej pory przebiegał nad wyraz gładko. Ekipa dziennikarzy robiła wszystko, czego się po niej spodziewali. Nie rozegraliby tego lepiej, gdyby sami byli tajną jednostką. Śmierć Fincha wszystko zmieniła. Pracowali jako zespół. Postrzegali rzeczywistość i reagowali na nią dokładnie tak, jak można było oczekiwać. Można było liczyć, że jako zawodowcy, jako znający się na swojej robocie profesjonaliści, zachowają się zgodnie z doskonale przemyślanymi procedurami - że zachowają rozsądek i podejmą właściwe decyzje. Finch był integralną częścią tego planu. Gdy zniknął, otworzyły się zupełnie nowe drzwi. Prowadzące na nieprzetartą ścieżkę. Ktoś mógł go zastąpić. Nowy producent. Jakiś uparciuch, nie tak łatwy do sterowania jak Finch.

Mimo to nie miał wyboru. Podjął jedyną możliwą decyzję. Finch nie kupiłby żadnego wyjaśnienia faktu, że Dario rozmawia przez telefon satelitarny, i to z zamontowanym modułem szyfrującym.

Odwrócił się i spojrzał na Gracie. Siedziała sama i z opadniętymi nieco ramionami wpatrywała się w okno. Wiedział, że dziennikarka nie wycofa się z powodu śmierci Fincha. Ona też była profesjonalistką. I jak wszystkich profesjonalistów, cechował ją upór. Ambicja. Zdolność do zimnego, wyrachowanego godzenia się z takimi tragediami jak śmierć producenta i parcia dalej naprzód.

I bardzo dobrze.

Miała jeszcze rolę do odegrania. Bardzo ważną rolę.

Pół godziny po tym, jak gulfstream oderwał się od płyty lotniska w Aleksandrii, w niebo wystrzelił drugi samolot i kilkaset kilometrów za jego ogonem obrał ten sam - zachodni - Jcierunek.

Wycarterowany boeing był o wiele większy i starszy. Przez dwadzieścia sześć lat swojej eksploatacji służył wielu liniom lotniczym, ale nigdy jeszcze nie wykonywał tak niezwyklej misji jak tego dnia.

Na jego pokładzie znajdowało się kilka bezcennych urządzeń, najwyższych osiągnięć współczesnej technologii: urządzenie akustyczne dalekiego zasięgu, pojemniki z

inteligentnym proszkiem, dziełem nanoinżynierii, oraz ultraciche wyrzutnie sprężonego powietrza. Obok nich w ładowni upchnięto także zdecydowanie mniej wyrafinowany technicznie, ale równie skuteczny sprzęt: karabiny snajperskie, pistolety z tłumikami, noże taktyczne, akcesoria do kamuflażu. Kabiną podróżował zresztą równie wyjątkowy ładunek: siedmiu mężczyzn, których dokonania przyciągnęły ostatnio uwagę całego świata. Sześciu z nich było doskonale wyszkolonymi zawodowcami: trzech spędziło ponad rok na pustyni, trzech miało za sobą pobyt w najbardziej ekstremalnych warunkach pogodowych na Ziemi. Siódmy nie należał do paczki. Był również wysokiej klasy specjalistą, ale raczej nie podzielał poczucia misji pozostałych.

Danny Sherwood przebywał tam wyłącznie ze strachu.

Od blisko dwóch lat był więźniem. Dwa lata konstruowania, niekończących się testów, czekania. Dwa lata martwienia się, opracowywania chytrych, skomplikowanych planów ucieczki, fantazjowania na ich temat i rezygnowania z nich. A teraz wreszcie się zaczęło. Po to trzymali go przy życiu. Dlatego go potrzebowali. Teraz się zaczęło.

Nie znał ich planów, nie wiedział, jak to się skończy. Słyszał tylko strzępki rozmów. Wydawało mu się, że wie, o co im chodzi, ale nie był tego pewien. Zastanawiał się, czy nie dokonać sabotażu, nie spieprzyć im planu, nie ustawić sprzętu, by zamiast zaprojektowanego przez nich tajemniczego znaku na niebie pojawiło się logo CocaColi. Wiedział jednak, że obserwują każdy jego ruch, że zanim zdąży to zrobić, prawdopodobnie we wszystkim się połapią. Wiedział też, że gdyby spróbował, oznaczałoby to wyrok śmierci dla niego, a pewnie i dla Matta oraz ich rodziców. Myślał więc o tym, rozgrywał to w głowie, marzył o tym i czerpał ulotną radość z poczucia satysfakcji, jakie mu to dawało, ale wiedział, że nigdy nawet nie spróbuje. Nie był typem bojownika. Nie był twardzielem.

Gdyby zamiast niego porwali Matta, wyglądałoby to zupełnie inaczej. Ale Matta tam nie było. Był on.

Czasem żałował, że w chwili gdy dżip przetaczał się przez krawędź wąwozu, instynkt samozachowawczy zadziałał u niego prawidłowo. Żałował, że ręka wystrzeliła mu w kierunku klamki i odepchnęła drzwi. Że w momencie gdy pod przednimi kołami skończył się grunt, wyskoczył z samochodu. Że zawisnął na krawędzi przepaści, czepiając się życia i wpatrując w krążącego nad swą ofiarą mechanicznego ptaka, który za chwilę miał wylądować i zabrać go ze sobą.

Ale tak się właśnie stało. I teraz siedział tam, przykuty kajdankami do fotela, i leciał na drugi koniec planety, zastanawiając się, czy ten koszmar kiedykolwiek się skończy.

ROZDZIAŁ 60

Framingham, Massachusetts

Hamburgery były duże i soczyste, idealnie wysmażone, bułeczki miękkie, ale nie sypkie, sałatka świeża i chrupiąca, frytki grube, chrupiące na zewnątrz, ale odpowiednio gąbczaste w środku, cola - ze szklanych butelek, a nie z puszek - schłodzona jak trzeba i serwowana w wysokich zakrzywionych szklankach, wypełnionych po brzegi kostkami lodu, który nie topił się od razu. Wspaniała ucza dla Matta i Jabby, biorąc pod uwagę, jaki mieli za sobą dzień - solidny posiłek, posiłek przywracający siły, posiłek, który pozwolił ich umysłom oderwać się od myśli o paskudnej sytuacji, w jakiej się znajdowali, i wrócić do lepszych dni, posiłek, który swym bogactwem dał im namiastkę domowego ciepła i pozwolił odłożyć przynajmniej na chwilę wszystkie trudne tematy rozmowy.

Siedzieli naprzeciw siebie w boksie w niewielkiej knajpce w Framingham, jakieś dwadzieścia pięć kilometrów na zachód od Brookline. Uciekli dosyć daleko, a w barze był spory ruch, co dawało im poczucie względnego bezpieczeństwa. Pałaszowali burgery niemalże w milczeniu; wymienili co najwyżej dziesięć słów. Tyle się wydarzyło. Mieli za sobą ciężki dzień, podobnie zresztą jak dzień wcześniej. Patrzyli na faceta miażdżonego na wysokości brzucha oraz na innego, któremu importowany japoński samochód przejechał po kostkach. Kule śmigły zaledwie parę centymetrów od ich twarzy. Matt postrzelił kilku gości, być może - prawdopodobnie - zabijając jednego z nich. Nigdy wcześniej czegoś takiego nie robił. Nawet nie próbował. Kiedy się nad tym zastanawiał, wracając myślami do krwawych obrazów, nie chciało mu się wierzyć, że to wszystko się wydarzyło. Że on to zrobił. Nie poznawał samego siebie. Wrażenie było mocno nierzeczywiste, tak jakby stanął obok siebie i obserwował własne czyny. Rzeczywistość nabierała jednak z powrotem realnych kształtów, gdy skupiał się na jednej upajająco dobrej wiadomości, która rekompensowało wszystko inne: sensacyjnej informacji, że jego młodszy brat jest jak najbardziej cały i zdrowy.

Siedzieli w milczeniu. Nad kasą wisiał na ścianie niewielki telewizor, mocno przyciszony. Nastawiony był na jakiś regionalny kanał, w którym puszczano właśnie powtórkę starego odcinka Simpsonów. Jabba znał go na pamięć, a Matta nic a nic nie obchodził. Wreszcie pojawiły się napisy końcowe, które płynnie przeszły w niewiarygodnie pozbawione polotu reklamy, a następnie w wiadomości wieczorne, rozpoczynające się - rzecz jasna - od najnowszych doniesień z Egiptu. Natychmiast zmusiły Matta do powrotu do rzeczywistości.

Telewizor nastawiono tak cicho, że Matt nie słyszał, o czym mowa, ale materiał ilustracyjny był na tyle wstrząsający, że zanim jeszcze pojawiła się kelnerka, i tak się wszystkiego dowiedział. Ogromny pasek u spodu ekranu informował, że nikt nie widział ojca Jerome od momentu pojawienia się znaku wiele godzin temu. Kolejny news głosił, że wedle niepotwierdzonych doniesień ksiądz opuścił już klasztor i udał się w niewiadomym kierunku. Reporterzy i eksperci na całym świecie mało przekonująco dywagowali, gdzie jest i gdzie się dalej wybierze. Twierdzili, że mógł pojechać do Jerozolimy, Watykanu albo wrócić do ojczystej Hiszpanii.

Tłumy gromadziły się w wielu krajach świata: na placu Świętego Piotra, w Sao Paulo, w innych miastach - modliły się i czuwały. Ludzkość wstrzymała oddech w oczekiwaniu na kolejne pojawienie się ojca Jerome. W kilku regionach wybuchły zamieszki: w Pakistanie, w Izraelu i w Egipcie, gdzie obu płci wyznawcy różnych religii, którzy wyszli na ulice głosić wiarę w nowego proroka, starli się a. tłumami niezachwianych w swych przekonaniach tradycjonalistów, trzymających się rygorystycznie zasad wypisanych w świętych księgach. Władze wysłały policję w celu zapanowania nad niepokojami, demonstranci podpalili kilka sklepów i samochodów, w każdym regionie były ofiary śmiertelne.

Matt przez chwilę patrzył w ekran.

- Gdziekolwiek uda się ten ksiądz - odezwał się w końcu - znajdziemy tam Dannyego.

- Chcesz jechać do Egiptu?

Wzruszył ramionami.

- Jeśli mój brat tam jest, to dlaczego nie.

Jabbie opadły ręce. Zjadł ostatni kawałek hamburgera i odepchnął talerz na koniec stołu. Wytarł usta, rozejrzał się po knajpce, a potem znów spojrzął na Matta. Ich losy były teraz ze sobą splecione i nic nie mogło tego zmienić. Choć ledwo znał tego faceta, był już w stanie rozpoznać to spojrzenie - nieobecne, zachmurzone, które wskazywało, że coś go trapi, swędzi i wymaga natychmiastowego podrapania. Przyglądał mu się przez chwilę i w końcu postanowił pociągnąć go za język.

- Co jest, stary? - zapytał.

Matt skinął nieznacznie głową do samego siebie. Najwyraźniej zwoje jego mózgu rozpałały się do czerwoności.

- Potrzebujemy Rydella - powiedział. - Wyruchali go. Mają jego córkę. Facet jest teraz naprawdę wściekły. Co oznacza, że może nam pomóc uwolnić Dannyego.

- Nie ruszy palcem, dopóki mają jego córkę - przypomniał mu Jabba.

- Może powinniśmy coś z tym zrobić?

- Stary, przestań! - zaprotestował naukowiec.

- Została w to wplątana mimowolnie, dokładnie tak samo jak my - stwierdził Matt. - W niczym nikomu nie zawiniła. Jak sądzisz, czym to się dla niej skończy? Myślisz, że jej tatuś ucałuje się i wyściska na zgodę z tymi gośćmi? Porwali ją, żeby robił, co mu każą. Po wszystkim nie będą mieli żadnego powodu, żeby zachować ich przy życiu.

Jabba spojrzał na niego, ale Matt wytrzymał jego wzrok.

- Podoba ci się to, że Maddox i jego szurmowcy trzymają ją gdzieś w zamknięciu?

Naukowiec uśmiechnął się wbrew sobie.

- Stary - powiedział - jeżeli myślisz, że nawiązując do Gwiezdných wojen, sprawisz...

- Poważnie - przerwał mu Matt. - Musimy to zrobić. Poza tym może trzymają tam też Dannyego.

Jabba z powątpiewaniem przechylił głowę.

- Naprawdę w to wierzysz?

- Niezupełnie - poddał się Matt, a potem uśmiechnął się nieznacznie do Jabby. - A co, masz coś lepszego do roboty?

Naukowiec, pokonany, pokręcił głową.

- Nawet gdybym miał, to przecież będzie tak zabawne.

Jakieś trzy godziny później Maddox odebrał drugi tego wieczoru telefon od swojej wtyczki w NSA.

- Właśnie znowu go wyłapałem - poinformował Pociska pracownik Fort Made. - Bardzo krótki sygnał. Niecałe dwadzieścia sekund.

- Wiedzą, że próbujemy ich namierzyć.

- To pewne. Są bardzo ostrożni. Ale za mało.

- Lokalizacja?

- Ta sama - powiedział mężczyzna. Według sygnału GPS iPhone Jabby znajdował się pasażu handlowym we Framingham.

- W porządku. Informuj mnie o wszystkim. Natychmiast. Akcja jest w toku.

Maddox rozłączył się i wcisnął klawisz szybkiego wybierania. Rozmówca po drugiej stronie odebrał, zanim jeszcze wybrzmiał pierwszy sygnał.

- Gdzie jesteście? - zapytał Pocisk.

- Powinniśmy być na miejscu przed dziesiątą - odparł agent.

- Okej. Właśnie znowu go namierzyliśmy. Ta sama lokalizacja. Pewnie zadekowali się w jakimś hotelu albo motelu w tym kwartale. Zawiadomcie mnie, jeśli coś tam znajdziecie.

ROZDZIAŁ 61

Boston, Massachusetts

Apartament prezydencki na piątym piętrze Four Seasons był równie wygodny jak każdy inny w mieście, a pewnie i na całym świecie, ale jeśli chodzi o Rydella, równie dobrze mógłby się zatrzymać w ciasnym pokoju motelowym z niedziałającym wibrującym łóżkiem na monety. Właściwie nie zwracał uwagi na otoczenie. Jego umysł krążył w zupełnie innych rejonach. Próbował się odnaleźć w nowej rzeczywistości.

Wrócił do domu godzinę po tym, jak uciekł Mattowi. W rezydencji roіło się od gliniarzy oraz uzbrojonych ochroniarzy. Był tam też Maddox. Kazał Rydellowi wcisnąć policjantom kretyńską bajeczkę o próbie porwania. Miliarder powiedział im, że nie ma pojęcia, kto może za tym stać, że porywacze rjosili kominiarki. Wyjaśnił, że nie potrafili obsługiwać ugniatacza i udało mu się im uciec, kiedy próbowali go przeprowadzić ze śmieciarki do innego samochodu. Ponieważ chciał uniknąć niechybnego najazdu dziennikarzy, udzieliwszy wyjaśnień, zostawił policjantów i zameldował się w Four Seasons. Resztą mieli zająć się jego prawnicy.

Maddox kazał dwóm swoim ludziom stać przed drzwiami apartamentu. Wkurzało to Rydella, ale nic nie mógł na to poradzić. W każdym razie dopóki mieli jego córkę. Skupił się zatem na analizowaniu minuta po minucie spotkań z Druckerem i Mattem oraz tego, co powiedzieli mu obaj mężczyźni.

„Skoro cię nie zabili, to z jakiegoś powodu cię potrzebują” - ostrzegł go Matt. Było w tym dużo racji. Przerazająco dużo. Ale do czego mieliby go potrzebować? Kiedy Rydell zaszantażował Druckera i powiedział mu, że nie poradzą sobie bez niego, polityk się z nim zgodził. Sęk w tym, że wcale tak nie było. Wcale a wcale. Rydell uwierzył we własny blef. Z rosnącym przerażeniem zdał sobie nagle sprawę, że właściwie mogą sobie doskonale poradzić. I radzili sobie. Dysponowali technologią. Wiedzieli, gdzie jest wytwarzany i magazynowany inteligentny proszek. Mogli zabezpieczyć cały obiekt. Mieli Dannyego.

Nie potrzebowali go do tego. Już nie.

A mimo to nie kazali jeszcze Maddoxowi nafaszerować go kulkami.

Kiedy zdał sobie z tego sprawę, ogarnęły go znowu wątpliwości, o co tak naprawdę chodzi Druckerowi. Weszli w to razem, jako towarzysze broni, zjednoczeni wielką sprawą. Czy ciągle była to ta sama sprawa? Nagle zaświtało mu, że może priorytety całkowicie się zmieniły. Być może pozostali dążyli do czegoś zupełnie innego. I po drodze stworzyli

posłańca, który wykraczał poza samo przesłanie. Który przyćmił je, pogрузzył we własnym cieniu. Wydawało się, że zmiana zainteresowań mediów potwierdza jego obawy.

Dziennikarze przestali się skupiać na ostrzeżeniu z ust Boga. Bardziej zajmował ich Jego prorok.

Drucker nie popełniłby takiego błędu. Chyba że chodziło mu o zupełnie inne posłanie.

„Pomyśl, do czego możemy nakłonić ludzi” - powiedział Drucker.

Zdanie to zabrzmiało wyraźnie w głowie Rydella.

Ostatnia myśl potwierdziła jego najgorsze obawy. I znowu wywołały ją słowa Matta.

„Gdyby chodziło o mnie, uznałbym to za decydujący dowód, że są teraz twoimi wrogami”. Nagle Rydell uświadomił sobie, że Matt ma rację. To się nie mogło skończyć dobrze. Nie dla niego. Nie dla jego niefortunnego sojuszu z tymi sukinsynami. Mieli Rebecę. Nie było sensu zaprzeczać. Udawać, że to tylko chwilowa zmiana zdania. Nie było już odwrotu. Żadnego ocalenia. To był koniec.

Zostali wrogami.

Zadzwo niła jego komórka. Drucker. Nie zajęło mu zbyt wiele czasu, by skontaktować się i zadać najważniejsze pytanie.

- Co im powiedziałaś?

- Chciał tylko wiedzieć, co się stało z jego bratem - odparł wymijająco Rydell.

- I?

- Powiedziałem mu, że ciągle żyje. I że nie wiem, gdzie jest. Potem uciekłem.,

Drucker zamilkł.

- Nic więcej? - zapytał po chwili.

- Nie martw się, facet ma gdzieś, co tam sobie kombinujecie - skłamał Rydell. - Nie wie o tobie, choć zaczynam żałować, że mu nie powiedziałem.

- To nie byłoby dobre dla Rebekki - przypomniał mu lodowatym tonem Drucker. Przerwał, najwyraźniej zastanawiając się, czy uwierzyć słowom miliardera. - Niech będzie - rzekł w końcu. - Zostań w hotelu i w miarę możliwości unikaj prasy. Być może będziemy musieli znaleźć jakieś dyskretne miejsce, w którym zatrzymasz się aż do powrotu do domu.

Rydell rozłączył się i wrócił myślami do Rebekki. W głowie rozbrzmiały mu słowa Matta.

Miał rację. Byli teraz wrogami.

I jak się zdaje, Matt był jedyną osobą, do której mógł się zwrócić, żeby spróbować przejąć inicjatywę.

ROZDZIAŁ 62

Niebo nad wschodnimi wodami Morza Śródziemnego

Gdzie okiem sięgnąć rozciągało się morze, kobaltowobłękitna kołdra docierająca do każdego zakątka globu. Z przodu, nieco na lewo, słońce drażniło się z horyzontem. Gracie nachyliła się ku szybie i chłonęła spokojny widok. Choć latała samolotami mniej więcej tak często, jak zwykli ludzie jeżdżą metrem, widok z okien na dużej wysokości nigdy nie przestał wywoływać w niej uczucia zdumienia. Było to niemal mistyczne doświadczenie - patrzeć na ziemię, na chmury, słońce, na przestrzenie ciągnące się w bezkresną dal. Nigdy jej się to nie znudziło. W normalnych warunkach siedziałyby, wpatrując się w szybę i pozwalając, by jej myśli błądziły we wszystkich kierunkach, ciesząc się ulotną chwilą błogiego odosobnienia przed powrotem na ziemię, do jakiego niechybnie miał ją zmusić jakiś intruz.

Tym razem intruz objawił się w formie pytania zadanego melodyjnym głosem ojca Jerome.

- Jak się pani czuje?

Spojrzała na niego. To było takie nierzeczywiste. Znajdować się tam, rozmawiać z nim. Po tym, co oglądała na własne oczy. Kiedy nie miała już pewności, kim on tak naprawdę jest.

Zmusiła się do słabego uśmiechu i wzruszyła lekko ramionami.

- Szczerze mówiąc... jestem trochę zagubiona. Co zdarza mi się dosyć rzadko.

- W takim razie ma pani szczęście - skomentował.

Wyglądał na skrępowanego. Garbił się nieco, mimo że luk pasażerski był wysoki na ponad metr osiemdziesiąt, a ojciec Jerome należał do raczej niskich mężczyzn.

Gracie zauważyła to. Wskazała mu pusty fotel Daltona.

- Proszę. Może ojciec do mnie dołączy?

Skinął głową, ale gdy siadał, z przedziału kuchennego wrócił właśnie Dalton.

- Przepraszam, zająłem pana miejsce - powiedział duchowny.

- Nic nie szkodzi - odparł pogodnie kamerzysta, wręczając Gracie kawę. - I tak muszę pogadać z pilotem. Dowiedzieć się, jaki jest plan.

Spojrzał na dziennikarkę, upewniając się, że nie ma nic przeciw temu, po czym ruszył w stronę kokpitu.

Gracie patrzyła, jak odchodzi, a potem spojrzała na księdza, wracając do poprzedniego wątku.

- Twierdzi ojciec, że mam szczęście?

- Wiem, co to za uczucie. Być zagubionym. Odkąd wyjechałem z Sudanu, często odnoszę wrażenie, że unosi mnie jakaś fala. Nie jestem pewien, gdzie się znajduję, co robię. To było... trudne - powiedział wymijająco. - A teraz to... - Uśmiechnął się nieznacznie. - Przez to wszystko jestem jeszcze bardziej zagubiony.

Potrząsnął głową, odganiając złe myśli, i skupił się na niej.

Patrzyła na niego przez chwilę, a potem się nachyliła.

- Tam na dachu - zaczęła. - Jak się ojciec wtedy czuł? - Przypomniała sobie jego zdumiony wyraz twarzy, gdy tuż nad nim, nad jego głową, zawisł w powietrzu znak. - Czy w jakikolwiek sposób kontrolował ojciec to, co się działo?

Pokręcił powoli głową.

- Jest to dla mnie tak samo dziwne, jak dla pani i wszystkich innych - przyznał. - Jasne jest dla mnie tylko jedno.

- Co?

- Skoro spotkało mnie takie szczęście i zostałem wybrańcem, muszę pokonać własne wątpliwości i zaakceptować łaskę Pana, z wdzięcznością przyjąć Jego zaufanie. Nie mogę się od tego uchylać czy temu zaprzeczać. To się dzieje z jakiegoś powodu. Musi tak być. - Spojrzał na nią, ciekawy jej reakcji, po czym zapytał: - A pani jak uważa, co się dzieje?-Nie wiem - odparła. - To po prostu dziwne przeżywać coś takiego. Być tam, patrzeć na to, widzieć, jak jest transmitowane na żywo w telewizji, i to na cały świat. Dokumentować dowód na pojawienie się niewytłumaczalnego zjawiska, cudu, jak sądzę, a nie tylko... - zawahała się, jakich słów powinna użyć, i po chwili dokończyła: -...jakichś mało wiarygodnych pism sprzed kilku tysięcy lat.

Ojciec Jerome ze zdumienia zmarszczył czoło i przechylił nieco głowę.

- Mało wiarygodnych?

Gracie uciekła wzrokiem, ale po chwili spojrzała duchownemu prosto w oczy.

- Będę z ojcem szczerą. Nie wierzę w Boga. I nie chodzi mi tylko o Biblię czy Kościół - dodała, tak jakby chciała, by jej słowa zabrzmiały dla niego mniej bluźnierczo - choć w nie również nigdy nie wierzyłam.

Ojciec Jerome nie wyglądał jednak na obrażonego czy poirytowanego-

- Dlaczego nie?

- Myślę, że wyniosłam to z domu, od rodziców. Ponieważ oni także nie wierzyli, nie nauczyli mnie tego, gdy byłam dzieckiem. A przecież wtedy właśnie rodzi się wiara, prawda?

Skinął głową.

- Sęk w tym - i znowu, bez obrazy, proszę ojca - że choć kilka razy byłam w kościele, nigdy nie spotkałam kapłana, któremu mogłabym zaufać. Nigdy nie poczułam, że znajduję się tam z właściwych powodów, a żaden z duchownych, których poznałam, nigdy nie udzielił mi uczciwej, inteligentnej czy przekonującej odpowiedzi na najprostsze pytania, jakie im zadawałam.

- Na przykład jakie?

- Ile ojciec ma czasu? - zażartowała.

Uśmiechnął się, zachęcając, by kontynuowała.

- W każdym razie gdy byłam ną tyle dorosła, by zacząć myśleć samodzielnie, zgodziłam się z moimi rodzicami i ich podejściem do całego zagadnienia. Chodzi o to, że - bez obrazy, powtórzę - spójrzmy na to historycznie. To się nie trzyma kupy, nieprawdaż? Bądźmy szczerzy. Wszystkie te opowieści, od Edenu po zmartwychwstanie... to mity. Archetypiczne, mądre, głębokie - ale tylko mity. Właściwie to próbowałam. Chciałam uwierzyć. Pragnęłam takiego pocieszenia, takiej podpory. Ale im więcej czytałam, im bardziej się w to zagłębiałam, im wyraźniej dostrzegałam, że to właściwie prymitywna maskarada, tym bardziej zdawałam sobie sprawę, że wiara, którą obserwowałam wszędzie wokół siebie, sprowadza się wyłącznie do nielicznych starych historyjek skleconych kilka tysięcy lat temu przez paru bardzo łebskich facetów, by zmienić pełen przesądów świat na nieco lepszy - i w celu łatwiejszego nim sterowania. Mowa w dodatku o bardzo prymitywnych ludziach. Półtora tysiąca lat później ludzie nadal palili czarownice. Więc wierzyć w to wtedy... to jedno. Ale dzisiaj? Przy obecnym stanie wiedzy? Kiedy opracowaliśmy mapę ludzkiego genomu i wysyłamy sondy do najdalszych zakątków Układu Słonecznego? - Westchnęła i dodała: - A teraz nagle dzieje się coś takiego i niczego już nie mogę być pewna.

Spojrzała na księdza zawstydzona, zrezygnowana.

Ojciec Jerome skinął z powagą głową, zastanawiając się nad jej słowami.

- Nie wierzyć w tę religię czy inną to całkowicie zrozumiałe - powiedział w końcu. - Zwłaszcza w wypadku tak wykształconej osoby jak pani. Poza tym wszyscy nie mogą mieć racji, prawda? - Rozłożył dłonie w pytającym geście i uśmiechnął się, ale po chwili znowu spoważniał. - Pani jednak mówi o czymś zupełnie innym. Czymś bardziej fundamentalnym. Mówi pani, że nie wierzy w Boga.

Gracie wytrzymała jego wzrok i skinęła głową.

- Nie wierzę. Nie wierzyłam. Przynajmniej jeszcze kilka dni temu. Teraz jednak już sama nie wiem, w co wierzyć. Albo nie wierzyć.

- Ale zanim to wszystko się zaczęło. Dlaczego by nie wierzyć w Boga poza religią? W samą ideę czegoś cudownego i niepoznawalnego - nie odłożyć na bok wszystkich skojarzeń, które słowo „Bóg” wywołuje w głowach religijnych ludzi.

- Logika. Można to sprowadzić do podstawowego pytania: „jajko czy kura”. Jedynym powodem, jedynym koniecznym, dla którego wierzymy w Boga, jest próba wyjaśnienia, skąd to się wszystko wzięło, prawda? Skąd pochodzimy. Gdzie zmierzamy. Ale to się nie sprawdza. Jeżeli istnieje stwórca, ktoś, kto stworzył to wszystko, to w takim razie musiał również istnieć stwórca tego stwórcy, prawda? Ktoś, kto stworzył jego. I tak dalej. To się nie trzyma kupy. - Przerwała, zastanawiając się nad czymś, czymś jeszcze bliższym jej sercu. Nagle zaczął z niej emanować głęboko dotąd ukryty smutek. - A potem umarła moja mama. Miałam wtedy trzynaście lat. Rak piersi. Przez pięć lat wydawało się, że wszystko jest w porządku, a potem nagle nastąpił nawrót i umarła w ciągu dziesięciu dni. To było... okrutne. A ja nie mogłam zrozumieć, dlaczego ktokolwiek miałby stwarzać coś tak strasznego, zabierać kogoś tak cudownego.

Od tamtej chwili minęło wiele lat, ale w jej oczach błysnęły teraz łzy.

- Przykro mi.

- To było dawno temu. - Przyjrzała mu się z wahaniem, tak jakby nie była pewna, czy może o czymś wspomnieć, ale po chwili zdecydowała się to zrobić. - Myślę ciągle o tej chwili w klasztorze. Kiedy nachylił się ojciec nad Finchem. Przez moment miałam nadzieję, że...

- Że przywrócę go do życia?

Zaskoczył ją swoją intuicją.

- Tak.

Skinął głową, tak jakby on też się nad tym zastanawiał.

- Muszę przyznać, że... sam nie byłem pewien. Co się może stać. Co mogę uczynić.

Spojrzał na nią z tajemniczą miną.

- Ale ja właśnie o tym mówię - podchwyciła. - Tego właśnie nie potrafię zrozumieć. W jednej chwili coś, czego nie rozumiemy - można to równie dobrze nazwać Bogiem - wysłała nam jakiegoś rodzaju posłanie, coś pełnego nadziei, inspirującego, cudownego... A potem, minutę później, ginie dobry, przyzwoity człowiek, tak po prostu. - Na jej twarzy malowało się rozpaczliwe pytanie. - To tak jak wtedy, gdy umarła moja mama. Na całym świecie nie było lepszej, wspanialszej osoby. Nie mogłam zrozumieć, dlaczego coś takiego jest możliwe, skoro nad naszym życiem ma czuwać jakaś istota nadprzyrodzona. Czegoś takiego nie da się usprawiedliwić. Rozmawiałam wtedy z kilkoma pastorami. Karmili mnie wtedy rutynowymi odpowiedziami w rodzaju, że „jest teraz z Bogiem”, że On nas

„doświadcza”, i podobnymi frazesami, które, szczerze mówiąc, brzmiały jak kompletne bzdury. Ich słowa nie znaczyły dla mnie nic.

Ojciec Jerome w zamyśleniu skinął głową.

- Duchowny, który z panią rozmawiał, nie mógł pani pomóc, ponieważ sam był zagubiony. Używał ciągle tych samych słów, jakimi księża pocieszali wiernych pięćset lat temu. A przecież od tamtego czasu trochę poszliśmy do przodu. - Przerwał, tak jakby to, co powiedział, jego samego zabolalo. - Na tym właśnie polega dzisiaj problem z religią. Tkwi w miejscu. Zamiast się otworzyć, szukać sposobu na to, by nabrać znaczenia we współczesnym świecie, staje się defensywna, broni dotychczasowego stanu posiadania, cofa medialnie do najniższego wspólnego mianownika - nabiera cech fundamentalizmu..

- Ale nie da się pogodzić religii ze współczesnym światem, z wiedzą, jaką posiadamy, z nauką - zaprotestowała Gracie. - Niech będzie, spróbuję ojca o to zapytać. Czy wierzy ojciec w ewolucję? Czy też może uważa, że sześć tysięcy lat temu ludzie i dinozaury jednocześnie wędrowały sobie po naszej planecie... stworzone w ciągu sześciu dni?

Ojciec Jerome się uśmiechnął.

- Żyłem przez wiele lat w Afryce, panno Logan...

- Niech ojciec mówi do mnie Gracie - wtrąciła.

Skinął głową.

- Byłem na miejscach wykopalisk, oglądałem skamieniałości, prowadziłem badania naukowe. Oczywiście, że wierzę w ewolucję. Trzeba być półgłówkiem, żeby w nią nie wierzyć. - Spojrzał na Gracie, która niemal podskoczyła. - Czy to cię dziwi?

- Jeszcze jak! - roześmiała się, ciągle zdumiona.

Wzruszył ramionami.

- A nie powinno. Problem w tym, że w twoim kraju religia jest tak skupiona na walce z nauką oraz trudnymi do odparcia argumentami ateistów, że wasi duchowni stracili poczucie, czym tak naprawdę powinna być wiara. W naszym Kościele - wschodnim - oraz w wyznaniach takich jak buddyzm czy hinduizm zadaniem religii nie jest dostarczanie teorii lub wyjaśnień. Akceptujemy prawdę, że to, co Boskie, jest niepoznawalne. Ale dla ciebie i podobnie jak ty myślących, kierujących się rozumem ludzi rzecz sprowadza się do wyboru. Fakty albo wiara. Nauka albo religia. - Przerwał, po czym dodał: - Nie musisz wybierać.

- Ale nauka i wiara nie są ze sobą zgodne.

- Oczywiście, że są. Nie powinny ze sobą konkurować. Problem sprowadza się do waszych duchownych i waszych naukowców. Jedni drugim deptają po palcach. Wielkimi ciężkimi buciorami. Nie rozumieją, że religia i nauka mają po prostu inne cele. Nauki

potrzebujemy, żeby zrozumieć, jak funkcjonuje wszystko na tej planecie i poza nią - my, natura, to, co nas otacza. Żaden myślący człowiek temu nie zaprzeczy. Ale religii również potrzebujemy. Nie dla żalosnych kontrteorii na temat tego, czego nauka nie jest w stanie udowodnić. Jest nam niezbędna z innego powodu, żeby zaspokoić innego rodzaju potrzebę - sensu. Dla nas, jako ludzi, ta potrzeba jest czymś zupełnie podstawowym. I wykracza poza dziedzinę nauki. Wasi naukowcy nie rozumieją, że nie są w stanie jej zaspokoić, niezależnie od tego, ile zbudują zderzaczy hadronów czy teleskopów Hubblea, a wasi duchowni nie pojmują, że ich zadanie polega na tym, by pomóc wam odkryć osobisty, wewnętrzny wyraz poczucia sensu, i że nie mogą zachowywać się jak banda fanatyków pragnąca przekonać resztę ludzkości do swoich sztywnych, pozbawionych wyobraźni poglądów na temat tego, jak powinni żyć. W twojej ojczyźnie oraz w krajach muzułmańskich religia zamieniła się w ruch polityczny, a nie duchowy. „Bóg jest po naszej stronie” - ciągle słyszę w waszych kościołach. A przecież nikt nie powinien się w ten sposób modlić.

- W czasie wojny secesyjnej raczej się to nie sprawdziło, zwłaszcza w wypadku Konfederacji - zażartowała Gracie.

- Ale dzięki takiemu podejściu można bardzo skutecznie porywać za sobą masy. I oczywiście wygrywać wybory. - Ojciec Jerome westchnął. - Każdy rości sobie prawo do Niego w tym czy innym względzie.

- Tak jak teraz roszczą sobie prawo do ojca - zauważyła.

- A tak jest? - zapytał zaciekawionym nagle tonem.

- Lecimy w końcu tym samolotem, prawda?

Jej uwaga zastanowiła ojca Jerome. Przez chwilę milczał.

- Chociaż przypuszczam - zadumała się Gracie - że mogą być trochę zdziwieni. Ja jestem. Nie jest ojciec takim dogmatykiem, jak się obawiałam. Ma ojciec otwarty umysł. Szokująco otwarty, muszę przyznać.

Duchowny się uśmiechnął.

- Wiele w życiu widziałem. Spotykałem dobrych, miłych, szczodrych ludzi, których uczynki były niezwykle szlachetne. Ale widziałem też takich, którzy robili niewyobrażalne, potworne rzeczy i to właśnie czyni nas ludźmi. Mamy rozum. Podejmujemy decyzje i wcielamy je w życie. Kształtujemy nasz los w relacjach z innymi. A Bóg - cokolwiek oznacza to słowo - po prostu wtedy jest. Za każdym razem gdy dokonujemy wyboru, czujemy Jego obecność. Jest w nas. Wszystko inne to po prostu... kuglarskie sztuczki. - Ale jest ojciec kapłanem, przedstawicielem Kościoła. Nosi ojciec to. - Wskazała na krzyż zwisający mu na skórzanym pasku na szyi. - Jak ojciec może mówić coś takiego?

Wydawało jej się, że uderzyła w czuły punkt, że zbudziła wątpliwości, które trapiły go od dłuższego czasu. Spojrzał na nią w zamyśleniu i zapytał:

- Kiedy pojawił się znak, czy widziałas tam krzyż?

Gracie nie była pewna, do czego zmierza.

- Nie.

Uśmiechnął się z nieco skrępowanym wyrazem twarzy, uniósł brwi i rozłożył w milczeniu ręce, tak jakby chciał powiedzieć: „No właśnie”.

ROZDZIAŁ 63

Framingham, Massachusetts

Okolo północy chrysler c skręcił na parking przed hotelem Comfort Inn. Wysiadło z niego dwóch mężczyzn. Ciemne garnitury, białe koszule, bez krawatów. Wysportowani twardziele o zimnych spojrzeniach i pewnym kroku. Trzeci został w samochodzie za kółkiem. Nie zgasił silnika. Nie mieli zamiaru przebywać tam długo.

Obaj mężczyźni weszli do spartańsko urządzonego holu. Nikogo w nim nie było, czego zresztą można się było spodziewać. Framingham raczej nie słynie z bujnego życia nocnego. Podeszli do recepcji. W kącie na krześle siedział tam samotny podstarzały Latynos i oglądał mecz piłki nożnej na zamazanym ekranie. Pierwszy z facetów kiwnął na niego. Ciemny garnitur, pewna siebie mina i ostry ton głosu sprawiły, że recepcjonista zerwał się na nogi. Mężczyzna sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki i wyciągnął trzy przedmioty, które rozłożył na stoliku pod nosem Latynosa: dwie fotografie - Matta oraz Jabby - i pięćdziesięciodolarowy banknot.

Recepcjonista przyjrzał się temu wszystkiemu, po czym podniósł wzrok na mężczyznę, opuścił go z powrotem i skinął głową. Następnie sięgnął ku banknotowi i drżącą ręką schował go do kieszeni. Ciemny garnitur uzyskał odpowiedź, ale nie taką, jakiej się spodziewał. Zameldowali się o wczesnej godzinie wieczornej. Wynajęli pokój. Zajmowali go przez kilka godzin. A potem zapłacili i wyszli. Recepcjonista doszedł do wniosku, że chodzi o jakieś cieleśne rozrywki, i w głowie zarysował mu się obraz, który nie wzbudził w nim zbyt dużego entuzjazmu.

Minęli się o parę minut.

Mężczyzna z chryslera zmarszczył brwi. Przyglądał się przez chwilę recepcjoniście, ale w końcu doszedł do wniosku, że nic więcej nie wskóra, i wyszedł. Zapłacili, co oznaczało, że już nie wrócą. Coś mu się jednak nie zgadzało. Po co brali pokój na kilka godzin? Doszedł

do wniosku, że musiało się wydarzyć coś niespodziewanego. Coś jednak, co nie zostało im zakomunikowane przez telefon grubasa. Nie oznaczało to dobrych wieści. Oznaczało, że potrafią w jakiś inny sposób nawiązać łączność ze światem, a oni nie wiedzieli w jaki.

Wrócił razem z kumplem do samochodu, zatrzymał się przy nim i instynktownie rozejrzał po parkingu. Nie rzuciło mu się w oczy nic podejrzanego. Wyciągnął telefon i zadzwonił. Poinformował szefa, czego się dowiedział. Wyczuł w jego głosie irytację. Rozkaz brzmiał: wrócić do bezpiecznego domu i czekać na dalsze instrukcje.

Mężczyźni wsiedli do chryslera. Kierowca zaczął, aż przejedzie jakiś samochód, po czym wtoczył się na drogę i odjechał, nie zwracając szczególnej uwagi na ciemnozielonego pontiaca bonneville'a, który kilkadziesiąt metrów za nimi również włączył się do ruchu i ruszył w ślad za nimi.

Matt i Jabba nie odrywali wzroku od tylnych świateł chryslera i prawie się nie odzywali. Było późno, ruch dosyć niewielki, samochody nieliczne i oddalone od siebie. Podnosiło to znacznie ryzyko, że zostaną zauważeni. Musieli być bardzo czujni. Żadnego perorowania nad planami, żadnych głośnych domysłów. Żadnych zbytecznych pogaduszek. Totalne skupienie.

Zwabili ich, odpalając iphona Jabby. Pojawienie się chryslera potwierdziło podejrzenia Matta, że Maddox i jego zbiry byli w stanie ich wysledzić mimo środków ostrożności podejmowanych przez naukowca, mimo że włączał telefon tylko na kilkadziesiąt sekund. Jakimś cudem im się to udało. Dzięki czemu mogli zarzucić przynętę. I czekać.

Chrysler skręcił w prawo na Cochituate i łukiem zjechał na autostradę, którą udał się na wschód. Na drodze pojawiło się więcej samochodów, co zmniejszyło ryzyko, że Matt i Jabba zostaną zauważeni, ale zwiększyło prawdopodobieństwo, że zgubią bandytów. Na szczęście Matt był ponadprzeciętnym kierowcą i czujnie reagował na najlżejsze nawet zmiany sytuacji na drodze, co pozwoliło im nie wypaść z gry.

Nie mieli pojęcia, co znajduje się u celu podróży chryslera. Matt przyznał przed Jabbą, że nie sądzi, by trzymali tam Dannyego, ale żywił całkiem uzasadnioną nadzieję, że bandyci doprowadzą ich do Rebekki Rydell. Wydawało się, że Maddox nie ma na zawołanie całej armii mętów. Prowadził operację raczej niewielkiego kalibru. Można więc było śmiało zakładać, że dysponuje tylko jednym bezpiecznym domem i że to w nim ukryli zakładniczkę. Było to najdyskretniejsze miejsce i nie zawyżało kosztów. Matt zaczął się zastanawiać, co by się stało, gdyby nie podczepił pod samochód Maddoxa urządzenia naprowadzającego, ale szybko oderwał się od tych myśli, stwierdziwszy, że tylko przeszkadzają mu się skupić. Nie chciał ryzykować, że zgubi bandytów. Dzięki nim mógł po pierwsze znaleźć pannę Rydell, a

po drugie wsadzić kij w szprychy koła planów Maddoxa, co brzmiało w jego uszach całkiem satysfakcjonująco.

Skręcili w dziewięćdziesiątkę, którą jechali kilka kilometrów na północ aż do skrzyżowania z Weston. Ruch przerzedził się znowu i Matt podjechał trochę bliżej do chryslera. Trzymał się jego charakterystycznych, kanciastych reflektorów aż do Bacon, przy której skręcili w lewo i wjechali w Waltham. Zaczęło się robić gorąco. Samochodów było jeszcze mniej i Matt musiał zwiększyć dystans z ofiarą, żeby nie zostać zauważony. Przy każdej zmianie kierunku przełączał też światła z drogowych na postojowe i odwrotnie, żeby kierowca chryslera w lusterku nie widział, że ciągle jedzie za nimi ten sam pojazd.

Bandyci minęli kilka ulic dzielnicy mieszkalnej, aż w końcu skręcili na nieoświetlony podjazd. Matt wyłączył już światła i zatrzymał się kilka domów wcześniej. Zgasił silnik i czekał. Z samochodu wysiadło trzech mężczyzn i ruszyło w stronę budynku. Ostatni z nich, kierowca, zamknął pilotem chryslera. Stał i rozejrzał się po okolicy, po czym poszedł za swoimi kumplami.,

Chwilę później zgasły automatycznie światła we wnętrzu chryslera i ulica pograżyła się w ciemnościach.

Dom był niewysoki, jednopiętrowy. Matt znał ten rodzaj budownictwa - w Worchesterze wychował się w podobnym. Plany wnętrza w tego typu budynkach były oparte na jednym standardzie. Frontowe lub boczne wejście prowadziło do salonu, kuchnia z tyłu, schody w środku, na piętrze dwie lub trzy sypialnie i łazienka. Domy były też obowiązkowo wyposażone w piwnicę i Matt był prawie pewny, że to tam trzymają więźniów.

Na piętrze nie paliły się światła, również okna salonu od frontu były ciemne. Przez okno wykuszowe na tyłach przedzierał się tylko słaby jaśniejszy strumień z salonu, rzucający równie bladą poświatę na sufit.

Matt spojrzał na łabę i skinął głową. Na podjeździe stał jeszcze jeden samochód. Czarne durango, które widzieli na lotnisku. To, do którego zbiry Maddoxa wepchnęły Rebecę.

Zakończył się łatwiejszy etap planu. Nadszedł czas na część krytyczną.

Na szczęście nie przyjechali z pustymi rękami.

Faceci z chryslera siedzieli w kuchni z tyłu domu: rozmawiali, palili papierosy, popijali colę z puszek. Omawiali wydarzenia minionego dnia. Odprężali się. Raczej się nie spodziewali, by góra dzwoniła do nich jeszcze tego wieczoru.

Wszystko zmienił potworny hałas, który zatrzęsł ścianami domu.

Mężczyźni natychmiast się zerwali. Łomot dobiegł od przodu, z parteru. Z salonu. Charakterystyczny odgłos szkła wpadającego do pomieszczenia: coś ciężkiego łupnęło głośno o ścianę i wylądowało z głuchym plaśnięciem na podłodze, którą następnie obsypały kawałki szyby z rozbitego w drobny mak okna.

Ruszyli pędem jak jeden mąż. Ich herszt, ten sam, który w hotelu przepytывał recepcjonistę, po drodze do salonu zaczął wykrzykiwać rozkazy, wyszarpując jednocześnie pistolet i wyciągając go przed siebie. Jednemu z kumpli kazał zostać w kuchni. Drugi pobiegł za nim i zatrzymał się na klatce schodowej, zajmując stanowisko przed drzwiami prowadzącymi do piwnicy. Trzeci wpadł zaraz za szefem do salonu.

Było tam wykuszowe okno, zasłonięte do połowy szyby, jakieś półtora metra nad podłogą, zewnętrznymi żaluzjami. Odruchowo mężczyzna powstrzymał się od zapalenia światła, jedynie słaba poświata przelewała się do pokoju z korytarza. Pomieszczenie powinno być puste, jak przystało na nieumeblowany dom do wynajęcia, i rzeczywiście - na drewnianej podłodze leżały tylko kawałki potłuczonego szkła. Zachręściły głośno, gdy mężczyzna wszedł do środka, omiatając wnętrze lufą pistoletu. Zatrzymał się, spojrzał na okno wykuszowe i dostrzegł w samym jego środku wielką dziurę rozmiaru dużej dyni. Rozejrzał się, próbując dociec, co się stało, i na podłodze przy ścianie z tyłu salonu zauważył kamień rozmiarów piłki futbolowej. Ciągle zastanawiał się, kto mógłby wrzucić do domu coś takiego, gdy nagle znowu rozległ się hałas i o krawędzie rozbitej szyby zahaczył jeszcze większy i cięższy przedmiot, wybijając większą dziurę. Przeleciał zaledwie o kilka centymetrów od mężczyzny, zasypał go odłamkami szkła i ochlapał cieczą o kwaśnym zapachu, aż w końcu upadł na podłogę, po której potoczył się przez chwilę i zatrzymał. Mężczyzna spojrzał na niego, przez ułamek sekundy całkowicie osłupiał. Była to puszka z benzyną. Lekka, polietylenowa - czerwona, z uszczelnionym korkiem. Tyle że odkręconym. Właściwie to w ogóle nie miała korka. I kiedy frunęła przez pokój, niczym z koła świętej Katarzyny wydobywała się z niej ciecz i rozlewała po całej podłodze.

- Kurwa mać! - wrzasnął mężczyzna i rzucił się w stronę podłogi, by złapać puszkę za rączkę, odwrócić ją dnem dołu i zahamować upływ benzyny. Nie mógł jednak nic zrobić: z pojemnika tryskały na wszystkie strony istne gejzery paliwa, rozpryskując się na jego rękach i nogach oraz na podłodze wokół niego. Nagle zauważył, że wycięto w nim nierówne otwory. Paliwa nie dało się już zatrzymać. Samo w sobie nie oznaczałoby to nic takiego, gdyby nie fakt, że wkrótce do salonu wpadł trzeci przedmiot. Tym razem trafił prosto w mężczyznę. Najgorsze, że płonął.

Matt obserwował ruchy cieni w salonie. Zapalił zapalniczkę. W ręce trzymał butelkę po wodzie, którą opróżnił i napełnił w połowie benzyną, a w połowie olejem silnikowym. Do szyjki wepchnął knot - pasek ściereczki do kurzu, nasączony również benzyną, gotowy do podpalenia. Dwa identyczne pociski stały na ziemi tuż przy jego stopie.

Zwabiwszy bandytów kamieniem do pokoju, wrzucił do środka ponacinany pojemnik z paliwem. Zdawał sobie sprawę, że musi działać szybko i uderzyć, zanim się połapią, co jest grane. Zapalił szmatę i cisnął butelką. Bomba poszybowała przez zimne wieczorne powietrze i wpadła do pokoju przez rozbite okno. Za okiennicami rozbłysło światło, a potem, gdy płomienie dotarły do paliwa, pokój wypełniła wielka ognista kula. Usłyszał pełen paniki krzyk; zapalił drugą butelkę, cisnął nią w to same okno, złapał trzeci pocisk i puścił się sprintem w stronę tylnego wejścia do domu.

Herszt bandytów wrzasnął, gdy ogień liznął mu ręce i nogi. Wykręcił się wściekle, próbując gołymi rękami stłumić płomienie. Jego kumpel zaczął w panice skakać wokół niego, niepewny, co powinien zrobić. Ogień był uparty, bardziej uparty i kleisty, niżby się tego spodziewał mężczyzna - i gorętszy. Benzyna łatwo dała się zdławić i zgasić. Gorzej z olejem silnikowym. Lepił się niczym smoła i płonął coraz mocniej, gwałtowniej. Nie dało się go zetrzeć z ubrania czy ze skóry na dłoniach i ogień buchał coraz jaśniej, przenosząc się na wszystko, czego dotykał mężczyzna. Płomienie zaczęły lizać podłogę i rozprzestrzeniać się po niej.

- Ściągnij to ze mnie! - wrzasnął panicznie mężczyzna, upadając i tarzając się. Miał nadzieję, że stłumi w ten sposób płomienie - nie wiedział, że jego wysiłki są daremne. W jego nagą gorejącą skórę wbijały się za to kawałki szkła, niewyobrażalnie potęgując ból. Drugi mężczyzna zdjął szybko kurtkę i zaczął krążyć wokół kolegi, szukając w płomieniach miejsca, przez które mógłby się przedrzeć i owinać go materiałem. W pokoju kłębił się szary dym, gęsty od smrodu zwęglonej skóry oraz spalonych włosów i oleju silnikowego. Trzeci z facetów - ten, który zajął pozycję przy schodach - również wpadł do pokoju i wbił przerażony wzrok w gorejącego kumpla. Rozejrzał się rozpaczliwie po pomieszczeniu, szukając czegoś, czym dałoby się stłumić płomienie, ale salon był pusty. Żadnych dywanów, zasłon, sofy z narzutą.

- Co się, kurwa, dzieje!?! - wrzasnął z głębi domu czwarty mężczyzna.

- Kuchnia! - odkrzyknął do niego numer dwa. - Oslaniaj tyły!

Ale było już za późno.

Czwarty z facetów był w kuchni sam. Podszedł do drzwi korytarza, próbując dostrzec, co się dzieje w domu, ale zarazem pamiętając, że musi tkwić w miejscu i pilnować tylnego

wejścia. Słyszał krzyki, widział płomienie i dym, czuł smród wydobywający się przez zamknięte drzwi salonu i rozprowadzany po budynku przez przeciąg z wybitego okna - i spanikował. Spanikował do tego stopnia, że przestał zwracać uwagę na tylne wejście i oddalił się na tyle, by umożliwić Mattowi kolejny atak.

Matt stał oparty plecami o tylną ścianę domu i od czasu do czasu zaglądał do kuchni przez okno. Rozpoznawszy w mężczyźnie jednego z dwóch drabów, którzy wyprowadzili Rebecę z samolotu, nabrał pewności, że dziewczyna jest w budynku. Zauważył, że wartownik się oddalił, i postanowił wkroczyć do akcji. Zapalił ostatnią butelkę, cofnął się trzy kroki, by jego koktajl Mołotowa mógł nabrać w powietrzu rozpędu, i rzucił nim z całej siły. Pocisk wpadł do kuchni i rozbił się o ścianę zaledwie kilka centymetrów od mężczyzny. Ten rzucił się w bok, by uniknąć płomieni, które skoczyły gniewnie, szukając pożywki. Trwało to ułamek sekundy, ale Matt nie potrzebował więcej. Kopnął drzwi, odsłaniając sobie widok na mężczyznę. Ten zdążył tylko obrócić nieco pistolet, nim w jego pierś wbiły się dwie kule.

Matt bez wahania wbiegł do domu, rozglądając się w poszukiwaniu zamkniętych drzwi i omiatając okolicę swoim P14. Ogarnęło go dziwne uczucie. Zastanawiał się, czy przetrzymywano tam kiedyś Danny ego. Przypuszczenie to jeszcze bardziej rozbudziło w nim gniew. Zostawił jednak zemstę na potem i skupił się na tym, by znaleźć Rebecę Rydell. Zakładał, że trzymają ją w piwnicy, i faktycznie, drzwi przy schodach prowadzące na dół były zamknięte, i to na klucz. Ktoś łomotał w nie rozpaczliwie z drugiej strony, szarpał za klamkę i krzyczał. Matt usłyszał dziewczęcy głos, co potwierdziło jego przypuszczenia.

Nie zatrzymał się jednak, by pomóc Rebecce. W domu przebywało co najmniej czterech bandytów; dwóch udało mu się unieszkodliwić, co oznaczało, że zostało jeszcze dwóch, albo i więcej. Mijał właśnie schody, gdy z salonu wyskoczył drugi facet, biegnący na pomoc martwemu już koledze w kuchni. Mattowi wydawało się, że to gość z lotniska. Nie miał jednak zamiaru się nad tym zastanawiać, bo bandyta zaczął do niego strzelać. Rzucił się na podłogę, umykając przed kulami - utkwily w ścianie tuż obok, i jednocześnie samemu wypalając ze swojej armaty. Jego przeciwnik oberwał w udo; zatoczył się na moment do tyłu, ugięła się pod nim noga i nagle upadł na podłogę. Uniósł pistolet, szykując się do kolejnego strzału. Nie miał już jednak siły - wyglądał, jakby próbował podnieść ołowianą sztabę. Matt przykucnął przy ścianie, wyciągnął przed siebie w obu dłoniach pistolet, wypalił dwa razy i sprzątnął faceta.

Przez chwilę się nie ruszał. Spojrzał w górę schodów, ale doszedł do wniosku, że to niemożliwe, by ktokolwiek tam jeszcze był. Postanowił nie ruszać się i zaczekać przed drzwiami w pozycji gotowej do strzału, obserwując dym oraz płomienie wydobywające się z

salonu i wsłuchując się w brzmiające mu głośno w uszach krzyki oraz odgłosy stąpania. Wiedział, że czwarty facet musi wyjść, chyba że chce się usmażyć jak kielbaska na grillu. A drzwi były tylko jedne.

I wtedy je usłyszał. Syreny, niskie i zgrzytliwe wycie - jeszcze dalekie, ale coraz bliższe. Dokładnie wtedy, kiedy trzeba. Powiedział Jabbie, żeby w momencie gdy wybuchnie pierwsza bomba, zadzwonił pod. Przypuszczał, że wystarczy mu czasu, by dokonać szturm na dom, zanim wpadną do środka strażacy, a z drugiej strony doszedł do wniosku, że mogą się okazać przydatni, gdyby coś poszło nie tak. Syreny wyły coraz głośniejsze, przykucnął więc jeszcze niżej, wyciągając maksymalnie ręce - przypuszczał, że facet w środku również je słyszy i podejmie teraz desperacką próbę ucieczki w stylu klasycznego westernu. Nagle jednak usłyszał coś jeszcze: brzęk tłuczonego szkła, straszliwy łoskot. Natychmiast zrozumiał. Facet postanowił uciec przez to, co zostało z wykuszowego okna.

Nagle Matt pomyślał o Jabbie, którego zostawił bez broni. Poczł przyływ paniki. Ale przecież zaparkowali kilka domów dalej, a należało przypuszczać, że sąsiedzi wylegli już z domów i zbiegli się na ulicy, zaalarmowani przez płomienie i wystrzały, co powinno zapewnić naukowcowi osłonę.

Zaczekał jeszcze chwilę, wytężając słuch w oczekiwaniu na jakikolwiek dźwięk, który przeczyłby jego teorii, aż w końcu postanowił podejść do zamkniętych drzwi. Rebecca Rydell - to musiała być ona - ciągle waliła w nie pięściami i krzyczała.

- Hej! Co jest granel!? Wypuście mnie!

Matt spróbował otworzyć drzwi klamką, ale były zamknięte jia klucz.

- Odejdź od drzwi! - zawołał. - Muszę przestrzelić zamek.

Zaczekał kilka sekund, po czym krzyknął znowu:

- Już?

- Tak! - zawołała Rebecca.

Matt wystrzelił raz, a potem drugi. Efekt był wyśmienity. Zamki okazały się stare i niezbyt solidne, a framuga przeżarta przez korniki. Kopnął drzwi. Drewniany trap prowadził do piwnicy, w której do ściany tuliła się opalona, bardzo atrakcyjna dziewczyna. Jej twarz wykrzywiało przerażenie.

Wyciągnął ku niej rękę, kiwając, by wstała.

- Chodźmy, musimy iść! - zawołał, przekrzykując trzask płomieni.

Zawahała się na sekundę, a potem skinęła nerwowo głową i podniosła się.

Wybiegli z domu, mijając zaskoczone twarze kilku sąsiadów oraz wozy strażackie wtaczające się właśnie na podjazd. Matt wbił wzrok w ciemność, szukając swojego

samochodu i czując, że ogarnia go przerażenie - w miejscu, gdzie stał, już go nie było. Krzyk przerażenia potwierdził jego obawy. Pobiegł szybciej; serce o mało nie wyskoczyło mu z klatki piersiowej, wyobrażał sobie najgorsze. Gdy się zbliżył, dostrzegł sylwetkę Jabby leżącego na plecach na chodniku obok pobliskiego domu.

Nie ruszał się.

Nachylało się nad nim dwoje gapiów: jakiś mężczyzna niepewnie sprawdzał, co mu jest, porażona strachem kobieta wbijała w niego wzrok, przyciskając dłonie do ust.

- Jabba! - zawołał Matt, opadając na ziemię tuż przy nim.

W ciemnościach trudno było stwierdzić, gdzie jest rana, ale pod ciałem naukowca zebrała się już kałuża krwi. Z trudem walczył z opadającymi powiekami, ale gdy zobaczył Matta, spróbował coś powiedzieć. Zakrztusił się i ledwie zdołał wyartykułować dwa słowa:

- Mamy ją?

Matt skinął głową.

- Jest tutaj - powiedział, odsuwając się, by Jabba mógł dostrzec Rebecę, która z twarzą ogarniętą smutkiem podeszła trochę do przodu. - Nic nie mów - uciszył go Matt, chwytając go mocno za rękę. - Wytrzymaj, okej? Wytrzymaj. Nic ci nie będzie. - Odwrócił się do dwójki nachylonych nad nimi gapiów. - Dzwońcie pod! - zawołał. - Już!

Kobieta pobiegła do domu. Matt został przy Jabbie, kurczowo trzymając się nadziei, że nie dojdzie do najgorszego, i przeklinając siebie samego, że ciągnął go tam za sobą. Wydawało mu się, że minęło kilka godzin, choć tak naprawdę ambulans pojawił się już po niecałych dziesięciu minutach.

Patrzył, jak pielęgniarki krzątają się wokół Jabby, a potem z podziwu godną sprawnością kładą go na noszach.

- Nic mu nie będzie? - pytał raz za razem, ale nie uzyskał odpowiedzi. Ze straszliwym poczuciem straty patrzył, jak wtaczają nosze do wnętrza karetki, zamykają drzwi i odjeżdżają na sygnale.

Usłyszał kolejną syrenę - tym razem policyjną. Spojrzał na Rebecę. Ciągle dygocąc, siedziała na trawniku.

- Chodźmy - powiedział, a potem odmawiając bezgłośnie modlitwę o życie swego nowego przyjaciela, wziął ją za rękę i wyprowadził z przerażonego tłumu, który zgromadził się wokół buchającego płomieniami domu.

ROZDZIAŁ 64

Houston, Teksas

Gdzie teraz są? - zapytał Buscema pastora.

Wielebny Darby siedział w swoim gabinecie. Było już późno, ale nie miał pretensji do Buscemy, że dzwoni o tej porze. Ciągłe nie odwdzińczył mu się za cynk o kłopotach ojca Jerome. Poza tym mile łechtało jego ego to, że rozmawia z praktycznie jedyną osobą w kraju spoza jego organizacji, która wie, co przedsięwziął.

- Za jakieś półtorej godziny powinni wylądować w Shannon w Irlandii - poinformował dziennikarza. - Zatrzymają się tam na kilka godzin, żeby zatankować.

Był niemal tak napompowany jak w czasie swoich kazań.

- A o której powinni być w Stanach?

- Zgodnie z planem o osiemnastej czasu Houston.

Buscema przez chwilę milczał.

- Być może będziesz musiał nieco opóźnić przylot.

- Dlaczego?

- Powiedzmy, że to zależy - myślał na głos Buscema. - Możesz oczywiście przemycić go tak, żeby nikt się nie zorientował. Tak byłoby bezpieczniej.

- Albo możemy z jego przybycia zrobić wielkie wydarzenie - dopowiedział za niego Darby. Zastanawiał się przez chwilę, po czym przyznał: - Sam o tym myślałem. Masz rację. Ojciec Jerome zasługuje na huczne powitanie. Nie powinniśmy go szmuglować jak jakiegoś drobnego złodziejaska. Na litość boską, w końcu jest wysłannikiem Pana! Nie jesteśmy tacy jak ci barbarzyńcy. Przyjmiemy go z otwartymi rękami. Pokażmy całemu krajowi i światu, gdzie bije moralne serce Ameryki.

- Mogę załatwić przeciek - zaproponował Buscema. - Informuj mnie tylko o wszystkim z odpowiednim wyprzedzeniem.

Darby rozegrał w myślach całe wydarzenie. Wyobrażał je sobie jako coś wielkiego. Podniosłego. Przypomniawszy sobie telewizyjne relacje z przylotu papieża do bazy lotniczej w Andrews, które oglądał przed rokiem. Czerwony dywan, wojskowe mundury. Prezydent i pierwsza dama witający go, gdy wychodzi z samolotu. Potem wrócił myślami do jeszcze starszych materiałów, które oglądał kilka razy. Ziarnisty, czarnobiały film nakręcony w czasie przylotu Beatlesów na lotnisko Kennedyego w 4 roku. To mu się jeszcze bardziej spodobało. Rozgorączkowany tłum napierający na barierki. Ogluszające przeciągłe krzyki. Błyski fleszy, piszczące kobiety. Czyste uwielbienie. Tak, o to właśnie chodzi. Tak powinno wyglądać jego wydarzenie. A on w samym środku tej historii.

Myśl ta wywołała na jego ustach uśmiech. To będzie przełomowa chwila. Dla całego kraju, a co najważniejsze - dla niego.

„Przyćmię prezydenta” - myślał z narastającą satysfakcją. „A to będzie dopiero początek”.

- Dam ci tyle czasu, ile potrzeba - zapewnił Buscema.

- Musisz zaangażować siły porządkowe, żeby zapanować nad tłumem - podpowiedział dziennikarz.

- Żaden problem. Gubernator należy do mojej trzódki.

- A co potem? Pracujesz nad świąteczną ofertą?

- Stadion już zarezerwowany - stwierdził pastor. - Zostało mało czasu, ale zdążymy. Sprowadzimy kilka gwiazd. Wielkie nazwiska. Zapamiętaj moje słowa, Roy. Urządę temij narodowi Boże Narodzenie, jakiego nigdy nie zapomni.

Buscema zamilkł. Przeciągał milczenie, by zaniepokoić Darby ego.

I rzeczywiście, pastor nie wytrzymał:

- Co jest? - zapytał.

- Trochę się martwię, czy wyniknie z tego odpowiednie przesłanie.

- To znaczy? - Darby najwyraźniej nie był zachwycony.

Buscema westchnął ciężko, tak jakby czekała go trudna rozmowa.

- Docierają do mnie pomruki niezadowolenia. Ze strony innych pastorów i przywódców religijnych.

- Wiem - powiedział ze złością Darby. - Odkąd rozeszły się wieści, bombardują nas telefonami. Dzwonił do nas chyba każdy kaznodzieja stąd do Kalifornii. Nawet gubernator chce się włączyć.

- Może nie byłoby najgorszym pomysłem podzielić się podium, pastarze. Rozgłosić szeroko nowinę. Zamienić to w jeszcze Większe, jeszcze ważniejsze wydarzenie. Kraj mógłby na tym skorzystać.

- To ja jestem pasterzem tej trzódki, Roy - wyluszczył spokojnie Darby. - I to ja go stamtąd wydostałem.

- I to ty będziesz go witał, kiedy wysiądzie z samolotu - zapewnił go Buscema. - Ty. Nikt inny.

- Gubernator również naciska, że chce tam być. Trudno mi będzie się od tego wykręcić.

- To nieistotne, wielebny. Na lotnisku nie będzie innych pastorów. Tylko ty. To będzie twoje pięć minut. Taki obraz zapamiętają ludzie, kiedy zobaczą go po raz pierwszy. Ale

potem, moim zdaniem w twoim najlepiej pojętym interesie, lepiej będzie okazać wspaniałomyślność, zaprosić wszystkich innych przywódców religijnych, by razem z tobą świętowali ten dzień. Musisz myśleć szeroko. Możesz stanąć na czele tego ruchu. Ameryka nie ma papieża. Nie ma duchowego przywódcy. Ale kraj go potrzebuje. Zwłaszcza w obecnym stanie rzeczy. Amerykanie potrzebują inspiracji. Poczucia, że są częścią większej sprawy. - Zamilkł na krótką chwilę, wystarczająco długą jednak, by do pastora dotarł sens jego słów, ale nie na tyle, by zdążył wtrącić jakiś kontrargument. - Nie chcesz chyba, żeby wyglądało to tylko jak kolejna ceremonia w twoim kościele. Tym razem chodzi o cały kraj. O cały świat. Na tym etapie nie możesz już być sam. Ale możesz to rozegrać na własnych warunkach. A wyciągając pomocną dłoń, tylko wzmocnisz swoją pozycję jako łaskawego gospodarza i... przywódcy.

„Najgorsze za mną” - pomyślał Buscema, rozłączywszy się z Darbym. Teraz musiał tylko poczekać, by się przekonać, czy ten zapatrzony w siebie bufon będzie posłuszny. Potrzebował Darby ego. Chodziło jednak o to, by pastor podzielił się swoją nową zabawką z innymi dziećmi. Dziennikarz wiedział, że to nigdy nie jest łatwe. Nie w momencie, gdy trzeba przekonać do tego zepsutego bachora, w dodatku z kompleksem jedynej słusznej sprawy.

Podniósł aparat i wcisnął kolejny klawisz szybkiego wybierania. Mężczyzna po drugiej stronie linii czekał na jego telefon.

- Wchodzimy - powiedział tylko Buscema. - Uruchamiaj przeciek. I się rozłączył.

ROZDZIAŁ 65

Shannon, Irlandia

Gulfstream zatrzymał się przy technicznym hangarze, z dala od niewielkiego terminalu lotniska. Gracie krążyła wokół samolotu i rozmawiała przez komórkę. Była na widoku, ale nie martwiła się, że ktoś ją zauważy. W nocy na płycie kręciło się tylko kilku zaspanych, obojętnych pracowników obsługi, tankujących odrzutowiec.

Było zimno i dziennikarka po raz kolejny doznała szoku termicznego: najpierw mrozy bieguna południowego, później gorący oddech egipskiej pustyni. Chłód podziałał jednak na nią mobilizująco. Pozwolił jej zebrać siły. Znieczulił ją. Przydało się to zwłaszcza w momencie, gdy rozmawiała przez telefon z opatem i przeżywała na nowo śmierć Fincha, wysłuchując kolejnych makabrycznych szczegółów.

Zakonnik wracał właśnie z Kairu. Poinformował ją, że dostarczył ciało Fincha do tamtejszej ambasady amerykańskiej. Dostał się tam z trudem. Kiedy wieści o ucieczce ojca

Jerome dotarły do tłumu przed klasztorem, na równinie wybuchły ostre zamieszki. Wkrótce stłumili je funkcjonariusze sił bezpieczeństwa wewnętrznego, którzy w tej chwili zgarniali ostatnich wichrzycieli, ale niepokoje przeniosły się do Kairu, Aleksandrii i innych miast regionu.

Gracie zobaczyła, że idzie do niej Dalton, machając komórką i wskazując, że ktoś chce z nią rozmawiać. Podziękowała opatowi, ale on nagle przypomniał sobie o czymś i powiedział:

- Chciałbym panią również bardzo przeprosić za to, co się stało z okularami pani przyjaciela. Jeden z braci przez przypadek je rozbił. Włożyliśmy mu ramki do kieszeni w kurtce.

Dalton podszedł już do niej i przeliterował niemo ustami nazwisko: „Ogilvy”. Sprawa była chyba pilna. Gracie podniosła palec wskazujący” żeby zaczekał. Miała zamęt w głowie i nie do końca rozumiała, o czym mówi opat.

- Przepraszam, okulary Fincha?

- Tak - potwierdził mnich. - Jeden z moich braci przez przypadek na nie nadepnął. Nie widział ich.

- Rozumiem - odparła, kiwając głową do Daltona, że już kończy. - Ja też ich nie zauważyłam.

- Nie mogła pani. Nie było ich na dziedzińcu. Leżały w warowni, a jak pani pewnie pamięta, tam przez cały czas jest ciemno. Tak czy inaczej, bardzo przepraszam. Wiem, że tego rodzaju osobiste pamiątki mają ogromne znaczenie dla bliskich. Czy przekaże pani ode mnie najszczerze przeprosiny jego żonie?

- Oczywiście - zapewniła Gracie, spoglądając niespokojnie w stronę Daltona. - Dziękuję za wszystko, ojcze. Zadzwoń z Ameryki.

Rozłączyła się i wzięła od operatora drugi aparat.

Dzwonił Ogilvy. Wieści, jakie jej przekazał, sprawiły, że zepchnęła na bok myśli o Finchu.

- Wszyscy już wiedzą - powiedział nagłym tonem jej szef. - Wszyscy już wiedzą, że ojciec Jerome tutaj leci.

- Jak to? Był przeciek? - zdziwiła się Gracie. - Skąd?

- Nie mam pojęcia. Informacja o tym pół godziny temu pojawiła się na stronie Drudgea i teraz wszyscy ją powtarzają.

Rozejrzała się wokół, czując, że ogarnia ją paranoja. Przed oczami mignęła jej wizja zbiegających się tłumów. Na szczęście szybko wyparowała.i

- Wiedzą, że tu jesteśmy?

- Nie, nie wspominali o tym. Ale wiedzą, że ojciec Jerome wyjechał z Egiptu i że zmierza do Houston. Za to nikt nawet nie zająknął się o Darbym.

Gracie zmarszczyła brwi. Niedobrze, pomyślała. Wyobraziła sobie cyrk medialny i chaos, jaki ich przywita.

- Musimy zmienić kierunek. Lecieć gdzie indziej. W jakieś dyskretniejsze miejsce.

- Dlaczego? - zapytał Ogilvy.

- Bo ludzie oszaleją, jak go zobaczą. Będą nas oblegały tłumy.

- Dzwoniłem do Darbyego. Powiedział mi, że gliny nam pomogą. Otoczą kordonem płytę lotniska, zapewnią eskortę. Wszystko będzie dobrze.

- Mówisz poważnie?.

- Żartujesz? - zdziwił się filmowiec. - To ciągle nasz materiał. Twój materiał. Każdy reporter w Ameryce dałby sobie odciąć obie ręce, żeby się znaleźć na twoim miejscu. Pomyśl o tym. Każda ekipa telewizyjna w kraju będzie filmowała, jak wychodzisz z samolotu razem z ojcem Jerome, a kamera Daltona zarejestruje wszystko od wewnątrz. A Darby chce, żebyście z nim zostali. Zaprosi was do siebie. Ja też lecę. Wyluzuj więc, odpocznij trochę i dobrze się przygotuj. Przed nami wielkie widowisko, a ty stoisz właśnie przed szansą nakręcenia najważniejszego materiału w swoim życiu.

ROZDZIAŁ 66

Boston, Massachusetts

Tato? Ryde

Rydell nie wierzył własnym uszom. Strach i nadzieja sprawiły, że puls mu. Przyciskając telefon do policzka, czuł jego dudnienie.

- Gdzie jesteś? Nic ci nie jest?

- W porządku - odparła. - Wyciągnęli mnie. Nic mi nie jest. Rydellowi kamień spadł z serca. Mówiła nieco drżącym głosem, ale wydawało się, że nie jest nawet wystraszona.

- Zaczekaj - powiedziała.

Usłyszał trzaski, gdy najprawdopodobniej przekazywała komuś słuchawkę, a potem głos, którego najmniej się spodziewał.

- lesteś sam?

Rozpoznał Matta. Nagle ogarnęła go panika.

- Gdzie jesteś? Co zrobiłeś? t Matt zignorował jego pytania.

- Jest bezpieczna. Możesz się wydostać bez eskorty?

- Nie wierń. - Rydell zawahał się. - Mogę... mogę spróbować.

- Zrób to - polecił mu Matt. - I to zaraz. Spotkamy się w miejscu, do którego zabrałeś Rebecę na jej osiemnaste urodziny.

Rozłączył się.

Rydell nie wiedział, co o tym myśleć. Czy Rebecca była teraz zakładniczką Matta? Na tym polegał jego plan? Trudno mu było stwierdzić, czego obawia się bardziej - że dziewczyna jest w rękach Sherwooda czy Maddoxa.

Nie miał jak rozstrzygnąć tej wątpliwości. Ale jedno było pewne: Rebecca została uwolniona i Drucker nie trzymał go już w garści. Chyba że spróbuje porwać go i wymienić na Rebecę.

Musiał uciekać.

I to zaraz.

Podniósł słuchawkę telefonu i wybrał numer recepcji. Już po pierwszym dzwonku usłyszał głos dyżurującego.

- Mówi Rydell. Przyślijcie do mnie ochronę. Natychmiast. Tylu ludzi, ilu tylko macie. Moi goryle coś szykują; potrzebuję ochrony. Przed nimi.

Ton w jego głosie nie pozostawiał wątpliwości, że sprawa jest pilna.

Spanikowany mężczyzna po drugiej stronie linii ciągle jeszcze nie wiedział, co powiedzieć, gdy Rydell się rozłączył. Miliarder pobiegł do łazienki, znalazł portfel i płaszcz, włożył buty; wrócił do drzwi apartamentu i wyjrzał przez judasza. Zobaczył, że na zewnątrz stoi dwóch goryli, ludzi Maddoxa. Wyglądali na znudzonych, próbowali jakoś zabić czas. Zaczekał. Po jakichś dziesięciu sekundach usłyszał dźwięk silnika windy i sygnał otwieranych drzwi. Ze środka wypadło czterech mężczyzn i rzuciło się w stronę apartamentu. Rydell widział, jak jego goryle podchodzą do ochroniarzy, unosząc w pytającym geście ręce.

Postanowił wykorzystać okazję. Otworzył drzwi, wybiegł na korytarz i śmignął obok zaskoczonych goryli w kierunku muru utworzonego przez ochroniarzy hotelu, machając rozpaczliwie ręką w stronę tych pierwszych i krzycząc:

- Zatrzymajcie ich! Próbują mnie porwać! Pomóżcie mi uciec!

Zdezorientowani ochroniarze spojrzeli na siebie, podobnie jak goryle, których ucieczka Rydella całkowicie zbiła z tropu. Ludzie Maddoxa rzucili się gwałtownie do przodu, a jeden z nich sięgnął do kabury, ale nie

. wystraszyło to ochroniarzy. Dwaj z nich - potężne byczki przypominające wykidajłów w barze - zbliżyli się do siebie i stanęli na rozstawionych nogach, blokując

korytarz. Najwyższy podniósł palec wskazujący, jednocześnie również wyciągając pistolet, a na jego twarzy pojawił się wyzywający grymas. Rydell nie miał zamiaru czekać na rozwój wypadków. Wskoczył do windy i nerwowo wcisnął kilka razy przycisk parteru. Drzwi się zasunęły, winda ruszyła w dół. Droga na parter ciągnęła się w nieskończoność. Drzwi nie zdążyły otworzyć się do końca, gdy wypadł z nich, minął pędem recepcję i wskoczył do czekającej przed wejściem taksówki. Kazał kierowcy po prostu jechać przed siebie. Wykręcił szyję, patrząc, czy ktoś nie śledzi ruszającego samochodu. Poleciał taksówkarzowi skrócić kilka razy przypadkowo to w lewo, to w prawo. Gdy wreszcie upewnił się, że nikt nie siedzi im na ogonie, powiedział, dokąd jadą.

Nie mieli zbyt daleko do Garden: objechali Common, minęli Faneul Hall i już byli na miejscu. O tej porze, mimo przedświątnej gorączki, nie było dużego ruchu. Gdy taksówka wjeżdżała na parking przed halą, Rydell zauważył po drugiej stronie ulicy Matta opierającego się o ciemnego sedana. Kazał kierowcy wysadzić się przy bramce, zaczekał, aż odjedzie, po czym ruszył w stronę Sherwooda. W połowie drogi otworzyły się tylne drzwi samochodu i wysiadła jego córka. Natychmiast do niego podbiegła.

Przytulił ją z całej siły. Ciągle nie mógł w to uwierzyć. Spojrzał Rebecce przez ramię. Matt, wciąż opierając się o samochód, stał w tym samym miejscu z założonymi rękami i z wściekłością wypisaną na twarzy. Rydell złapał mocno córkę za rękę i podszedł do niego.

- Ty to zrobiłeś? - bardziej oświadczył, niż zapytał.

- Mój przyjaciel jest w szpitalu - poinformował go rzeczowym tonem Matt. - Został postrzelony. Poważnie. Zadzwoń, gdzie trzeba, i załatw, żeby miał wszystko, czego potrzebuje.

Miliarder skinął głową i sięgnął po telefon.

- Oczywiście.

- Musi też mieć ochronę - dodał Matt. - Masz do kogo zadzwonić?

- Mam numer detektywa, który pojawił się u mnie w domu. Mogę zadzwonić do niego.

- Zrób to.

Rydell, rozmawiając, nie wypuszczał z dłoni ręki córki. Załatwienie sprawy nie zajęło mu zbyt wiele czasu. Jego nazwisko zazwyczaj przyspieszało wszelkie procedury.

Dowiedział się, że Jabba jest na chirurgii i że rokowania są niepewne. Rozłączył się i przekazał wieści Mattowi.

- Jest w dobrych rękach - zapewnił go. - Otrzyma najlepszą opiekę.

- Lepiej, żeby tak było.

Rydell przyjrzał mu się, niepewny, na czym stoi.

- Przykro mi z powodu twojego przyjaciela. Ja tylko... Nie wiem, jak mam wyrazić swoją wdzięczność - powiedział niepewnym tonem.

- Po prostu nie lubię twoich kumpli - wyjaśnił lapidarnie Matt. - Mają bardzo zły zwyczaj zamykać ludzi bez powodu. Rebecca odwróciła się i podchwyciła pełen poczucia winy wzrok ojca.

-1 co teraz?

Rydell oczekiwał wyroku. Czy byli jego więźniami?

- Nic. Mój przyjaciel został postrzelony, a twoi kumple ciągle mają mojego brata. - Matt wbił w miliardera twardy wzrok. - Pomyślałem, że pomożesz mi coś z tym zrobić.

Rydell uniósł dłoń i potarł skronie. Spojrzał na Matta, a potem z powrotem na Rebecę. W jej oczach dostrzegł mieszkankę dezorientacji, strachu i wyrzutów.

Nie wiedział, co robić. Ale nie musiał już nikogo chronić.

- Sprowadzają go tutaj - odezwał się w końcu.

- Kogo?

- Księdza. Ojca Jerome. Wyleciał z Egiptu. Jest w drodze.

- Dokąd?

- Podobno do Houston. Informacja właśnie przedostała się do mediów. Gdziekolwiek zmierza, pewnie będą chcieli wyświetlić nad nim znak, co oznacza sporą szansę, że znajdziesz tam Dannyego. - Przerwał, zbierając myśli. - Miałeś rację - przyznał w końcu. - Oni coś knują. Coś, do czego będę im potrzebny. Nie mam pojęcia co, ale sądzę, że plan, który w moim głębokim przekonaniu ciągle był ich planem... już nim nie jest. Chodzi o coś innego. Chodzi teraz przede wszystkim o księdza.

- Kto może to wyjaśnić? - zapytał Matt, patrząc mu prosto w oczy.

- Inni.

- Potrzebuję nazwisk.

Rydell wytrzymał jego wzrok.

- Potrzebujesz tylko jednego. Keenan Drucker. To właściwie jego numer. On wszystko może wyjaśnić.

- Gdzie go znajdę?

- W Waszyngtonie. W Amerykańskim Centrum Wolności. To think tank.

Nagle zadzwoniła komórka Rydella. Wyłowił ją z kieszeni i zerknął na wyświetlacz. Zmarszczył brwi.

Matt spojrzał na niego pytająco.

Rydell skinął głową. Dzwonił Drucker.

Wcisnął zielony klawisz.

- Co ty robisz? Gdzie, do cholery, jesteś? - zapytał ostro Drucker.

- Pracujesz po godzinach, Keenan?

Miliarder spojrzął znacząco na Matta, unosząc wolną dłoń i pokazując mu, żeby chwilę zaczekał.

- Larry, co ty wyprawiasz?

- Odzyskuję córkę. - Miliarder pozwolił, by jego słowa odpowiednio wybrzmiały.

Drucker zaniemówił.

- A za chwilę przejdę się chyba do redakcji „New York Timesa” i trochę sobie z nimi pogadam - dodał po chwili.

- Czemu miałbyś to robić?

- Ponieważ nie wiem wprawdzie, do czego się szykujecie - odparł drżącym z wściekłości głosem - ale mam dziwne przeczucie, że ma to niewiele wspólnego z naszymi pierwotnymi planami.

Drucker aż jęknął.

- No dobra, popełniłem błąd, w porządku? Porywanie Rebekki nie było dobrym pomysłem. Wiem. I przykro mi. Ale nie zostawiłeś mi wyboru. A tkwimy w tym po uszy razem. Dążymy do tego samego celu.

- Tyle że ty nie robisz tego, żeby ocalić planetę, Keenan. Obaj dobrze o tym wiemy.

- Dążymy do tego samego - zapewnił spokojnie Drucker. - Uwierz mi.

- Czyli do czego?

Polityk milczał przez chwilę.

- Spotkajmy się - zaproponował w końcu. - Gdzie chcesz. Wysłuchasz mnie. Powiem ci, o co mi chodzi. A potem sam zdecydujesz, czy ciągle pragniesz zniweczyć nasz plan.

Rydell prześlizgnął się wzrokiem po Mattcie i Rebecce. Niech Drucker pomartwi się chwilę. Wiedział jednak, że musi go wysłuchać. Zbyt wiele - całe swoje życie, wszystko, co osiągnął, co jeszcze mógł osiągnąć - miał do stracenia.

- Zastanowię się - oświadczył beznamiętnie i się rozłączył.

- Czego chciał? - zapytał Matt.

- Pogadać. I przekonać mnie, żebym wrócił na boisko.

Matt skinął głową, a potem spojrzął na komórkę miliardera.

- Mogą cię namierzyć.

Rydell uniósł aparat ze zdziwionym wyrazem twarzy.

- Co, za pomocą tego?

- Nas tak właśnie wysledzili. Przez telefon mojego przyjaciela. Mimo że byliśmy ostrożni. Łączyliśmy się tylko na parę sekund.

Rydell wydawał się w ogóle tym nie przejmować.

- Potrafimy namierzyć telefon w czasie potrzebnym jego właścicielowi na wysłanie SMSa.

Matt nie rozumiał.

- To nasz produkt - wyjaśnił Rydell. - Program szpiegowski, który opracowaliśmy dla NSA. Ale jeśli chodzi o mnie, możesz się nie martwić. Wszystko w porządku. Mój telefon jest zabezpieczony.

Matt wzruszył ramionami i się odwrócił. Po chwili spojrzał jednak znowu na Rydella.

- Co teraz zrobisz?

Miliarder zastanawiał się przez kilka sekund.

- Nie wiem. - Nie miał czasu, żeby obmyślić jakiś plan. Choć z drugiej strony nie dysponował zbyt wieloma możliwościami. Jeszcze niedawno wydawało mu się, że jego świat runął niczym domek z kart. Ale telefon od Rebekki wszystko zmienił.

Spojrzał na córkę. Jej bezpieczeństwo było teraz najważniejsze.

- Nie możemy tutaj zostać - powiedział Mattowi. - W Bostonie. Zwłaszcza po wizycie, jaką mi złożyłeś. W całym mieście nie ma miejsca, w którym moglibyśmy się przycisnąć. A wszędzie, gdzie się udamy, natychmiast wywęszy nas prasa. I Maddox.

Matt skinął głową i zastanawiał się przez chwilę.

- Nie chciałbyś tego zobaczyć? - zapytał w końcu.

- Czego?

- Swojego dzieła. W całej okazałości.

Rydell rozważał przez chwilę jego propozycję, a potem powiedział:

- Do diabła, czemu nie? Zmywajmy się stąd.

ROZDZIAŁ 67

Houston, Teksas

Tłumy<było widać już z powietrza.

Gracie początkowo ich nie zauważyła. Samolot zatoczył pętlę na niewielkiej wysokości nad lotniskiem. Z odległości trzech kilometrów dostrzegła tylko zbitą masę, ciemną plamę na tle pokrytej białym szronem roślinności, porastającej teren wokół szarej

betonowej płyty. Drogi i dróżki prowadzące na lotnisko były kompletnie zapchane. Wszędzie wokół na chybił trafił stały samochody, niczym klocki lego wysypane z pudełka. Tłoczyły się jeden za drugim na polach po obu stronach jezdni i było jasne, że pozostaną tam przez jakiś czas. Korek ciągnął się do samej obwodnicy, która była zatkana na wiele kilometrów w obu kierunkach. Ludzie wychodzili z samochodów i podążali na lotnisko pieszo, schodząc się ze wszystkich stron niczym grupie zmierzające na wielki plenerowy rockowy koncert. Wylewali się zewsząd, kierując się w stronę północnozachodniej części lotniska, nieopodal północnego krańca pasa startowego.

Gracie nie znała tego lotniska, parby wyjaśnił, że komendant policji zalecił im, by trzymali się z dala od międzynarodowych portów Hobby i Bush i wylądowali raczej na Ellington Field. Po pierwsze, nie zakłóca w ten sposób kotnercyjnych lotów do i z miasta. Na niewielkim, głównie wojskowym Ellington miało bazy kilku właścicieli prywatnych odrzutowców, ale nie korzystały z niego żadne linie lotnicze. Nie było na nim nawet terminalu, a tylko kilka pasów startowych i rząd nierównych hangarów, należących do Straży Wybrzeża, NASA oraz Teksasńskiej Powietrznej Gwardii Narodowej, znanej z tego, że w czasie wojny wietnamskiej służył w niej George Bush, gotów odeprzeć każdy atak Wietkongu na Houston. Po drugie, łatwiej było tam zapanować nad tłumem. Odbywało się na nim wiele imprez masowych, na przykład coroczny pokaz Wings Over Houston.

Mimo to Gracie mogła się założyć, że czegoś takiego jeszcze tam nie widziano.

Pilot perfekcyjnie posadził samolot na pasie i zaczął kołować w lewo w stronę jego końca. Po kilkuset metrach zatrzymał się przy pojedynczym hangarze z otwartymi wrotami. Obok stał helikopter, wokół którego zgromadziło się kilku ludzi. Kapitan zamknął przepustnicę i wyłączył silniki gulfstreama. Gdy ich ryk cichł, do środka samolotu zaczął się przedzierać hałas z zewnątrz - osobliwa fala klaskania i wiwatowania, głośna na tyle, by się przedostać przez szczelne plomby kabiny i potrójne okna.

Gracie spojrzała na ojca Jerome. Na jego błyszczącej nieco od potu twarzy rysowało się napięcie i niepokój. Wyciągnęła rękę, położyła mu dłoń na palcach i uśmiechnęła się, dodając mu otuchy

- Wszystko będzie dobrze - powiedziała. - Przyjechali tutaj, żeby ojca powitać.

Skinął ze stoickim spokojem głową, tak jakby pogodził się już ze swoją nową rolą.

Na jego twarzy malował się taki sam niepokój jak wtedy, gdy stał na dachu warowni. Dziennikarka zastanawiała się, dlaczego ona sama nie czuje ulgi na myśl o powrocie na ziemię, do bezpiecznego kraju. Spojrzała na Daltona. Włączył już kamerę i terminal BGAN, za pomocą którego mógł nadawać na żywo.

- Gotowa? - zapytał.

- Nie - zaprzeczyła, uśmiechając się niepewnie.

Nelson Darby czekał na płycie lotniska i chłonął wrzawę dobiegającą od strony rzeszy ciekawskich. Był przyzwyczajony do tłumów. W jego megakościele co niedziela gromadziło się dziesięć tysięcy osób, a w święta - piętnaście tysięcy. Tym razem było jednak inaczej. Zazwyczaj to on podsyczał ogień. Był katalizatorem. Tłum chłonął jego energię i reagował na jego wezwania. Nie przywykł do roli pasywnego obserwatora, choć musiał przyznać, że naród tłoczący się za barierkami na skraju lotniska sam siebie potrafił rozpalić. Ludzie klaskali i krzyczeli, jakby próbowali zachęcić Bono do bisu. Spora grupa po lewej śpiewała pieśń Zostałem ocalony, kołysząc się przy każdym wersie. A ojciec Jerome nawet jeszcze nie wyszedł z samolotu.

Pastor spojrział na lewo, gdzie przy jego boku stał sztywno gubernator. Obdarzył siwowłosego polityka najbardziej szczerym uśmiechem, na jaki potrafił się zdobyć, po czym przeniósł wzrok na prawo. Roy Buscema zauważył to i skinął mu poważnie głową.

Darby nachylił się do niego i szepnął:

- Całkiem nieźle, amigo.

Buscema skinął ponownie głową, nie odrywając oczu od drzwi kabiny samolotu, które właśnie zaczęły się otwierać.

Tłum wrzasnął. Z kadłuba wysunął się opuszczany trap. Jak tylko dotknął asfaltu, trzech pracowników Darby ego rozwinęło czerwony dywan, po którym miał przejść ojciec Jerome.

Wielebny Darby, nie zaprosiwszy żadnego z gości, żeby mu towarzyszył, podszedł do samolotu, odwracając się tylko na moment do tłumu i pozdrawiając go królewskim gestem oraz swoim markowym promiennym uśmiechem. Wierni, przyciśnięci do ogrodzenia, które policja ledwie zdołała postawić, odpowiedzieli radosnym okrzykiem. Duchowny stanął tuż pod schodami. Gubernator ruszył za nim i również skinął tłumowi, ale przepuścił właściwy moment i nie wywołał takiej samej reakcji.

W samolocie ojciec Jerome wygładził sutannę i podszedł do przedniej części kabiny. Wydawał się zagubiony i zmieszany, jak intruz w obcej krainie. Odwrócił się do Gracie. Na jego twarzy malował się niepokój. Brat Amin zbliżył się do niego i wziął jego dłoń w obie ręce.

- Wszystko będzie dobrze - zapfegnił starszego księdza.

Gracie przyglądała mu się z niepokojem, czekając, aż się opanuje. Ojciec Jerome wziął głęboki wdech, wyprostował się i skinął głową, a na jego twarzy pojawił się wyraz determinacji.

- Możemy zacząć kręcić? - zapytała, wskazując Daltona i jego kamerę. Brat Amin patrzył przez chwilę na ojca Jerome, a potem odwrócił się do Gracie i skinął jej głową. Dziennikarka przystawiła słuchawkę do ucha, podniosła do ust komórkę i ściszym głosem dała sygnał Roxberryemu, że wchodzi. Zgodnie z planem nadawali na żywo - na wyłączność dla swojego kanału.

Ojciec Jerome schylił się, przechodząc przez niskie wyjście z kabiny, i podszedł do podestu u szczytu wysuwanych schodów. Gracie i Dalton zostali w kabinie, filmując go od tyłu. Tłum zareagował gromkim okrzykiem. Ze wszystkich stron opadła na księdza fala uwielbienia. Ojciec Jerome zamarł i stał przez chwilę, pozwalając, by przetoczyła się po nim, i przesuwając oczami po twarzach zgromadzonych. Gracie wyciągnęła szyję, żeby lepiej widzieć. Gdzie tylko sięgał jej wzrok, znajdowali się ludzie. Niektórzy mieli ze sobą transparenty, inni wyciągali ręce. Krzyczeli, wyli, płakali z zachwytem, a barierki ledwo powstrzymywały wybuch religijnego zapału. Wszędzie było pełno kamer i wozów transmisyjnych, których widoczne tu i tam anteny satelitarne nadawały lotnisku wygląd bazy kosmicznej. Nad głowami wiernych krążyło z włączonymi kamerami kilka śmigłowców należących do sieci telewizyjnych.

Ojciec Jerome podniósł jedną rękę, a potem drugą, otwierając dłonie w geście, który wyrażał pokorę, a nie gwiazdorstwo. Tłum oszalał, ludzie zaczęli niecierpliwie klaskać i krzyczeć, przyglądając się niebu i zastanawiając, czy na własne oczy zobaczą cud. Ojciec Jerome również odchylił nieco głowę i pozwolił sobie na rzut oka w górę - on też się spodziewał, że coś może się pojawić, choć raczej na to nie czekał. Spojrzał ponownie na brata Amina oraz na Gracie i zaczął schodzić po schodach, prosto w objęcia czekającego na dole walebnego Darbyego.

Gracie i Dalton ruszyli za nimi, trzymając się dyskretnie trochę z boku.

- Widzisz nas? - zapytała Roxberryego, który prowadził w studiu relację.

- Jasne - zatrzeszczał w słuchawce jego głos. - Nie przerywaj.

Patrzyła, jak pastor trzyma mocno rękę księdza w swoich dłoniach i szepcze mu coś na ucho. Ojciec Jerome wydawał się tym zdziwiony, ale po chwili skinął z wahaniem głową, tak jakby nie chciał robić nikomu przykrości.

Darby odwrócił się do publiczności, podniósł ręce i zamachał nimi kilka razy, prosząc o ciszę. Musiało minąć kilka sekund, zanim ludzie się uspokoili i zapanowała niesamowita

cisza. W powietrzu wyraźnie wyczuwało się z jednej strony wyczekiwanie, z drugiej lęk. Jeden z asystentów Darbyego wręczył mu mikrofon i pastor wyciągnął dłoń w stronę wiernych.

- Bracia i siostry w Chrystusie! - zawołał donośnym głosem. - Pozdrawiam was wszystkich w imieniu Jezusa Chrystusa, naszego Pana, i dziękuję, że przybyliście tutaj, by powitać naszego specjalnego gościa, ojca Jerome.

Niczym sprawozdawca sportowy rozciągnął samogłoskę „o” w imieniu kapłana, co wywołało dziki, radosny okrzyk tłumu.

- Jak wszyscy wiecie, jutro jest niezwykle dzień. Jutro rozpoczyna się Boże Narodzenie, czas świętowania oraz... W tym roku będzie to również czas zatrzymania, czas, kiedy musimy pochylić pokornie głowy i zastanowić się nad tym, w jak trudnej, przełomowej epoce żyjemy, nad tym, co możemy zrobić, by nasz świat stał się lepszy, oraz nad tym, co niesie nam wszystkim przyszłość. I muszę wyznać, że jeszcze kilka dni temu byłem zalękniony. Byłem pełen niepokoju i smutku. Trudno mi było odnaleźć w sobie nadzieję. I jak wielu z was, modliłem się. Modliłem się do Boga, by oszczędził nasz wielki naród. By oszczędził go przed osądem, na jaki z pewnością zasługuje za nasze liczne występki, takie jak zabijanie milionów nienarodzonych dzieci. Modliłem się do Boga, by litościwie wybawił nas od kamieni, które powinniśmy uwiązać sobie u szyi za nasze grzechy. Za to, że pozwalamy naszym naukowcom eksperymentować z komórkami macierzystymi i zderzaczami. Że pozwalamy, by nasze dzieci były wykorzystywane przez wykolejeńców i anarchistów, którzy kontrolują publiczną edukację oraz Hollywood. Że tolerujemy tych, którzy chcieliby całkowicie zakazać obchodzenia świąt Bożego Narodzenia. A kiedy tak wielki naród jak nasz przechodzi przez tak trudne czasy, kiedy tak wielki naród jak nasz jest na kolanach, jedyną - normalną, naturalną i duchową - rzeczą, jaką możemy zrobić, jest to, co my, jako dobrzy chrześcijanie, robimy przez cały czas: wołać do Boga. Wołać o Jego wskazówki i o to, by dał nam się odrodzić.

Przerwał, czekając, aż sens jego gorzkich słów dotrze do tłumu, w którym zapanowała cisza, tu i ówdzie przerywana tylko słowami: „Amen” i „Chwalmy Pana”. Po chwili wziął głęboki wdech i ubrał twarz w najbardziej promienny ze swoich uśmiechów.

- I wiecie co? Jestem przekonany, że Bóg wysłuchał naszych modłów - zawołał. Odpowiedziały mu gromkie: „Alleluja!” i „Amen”. - Wiem, że słucha naszych modlitw. I wierzę, że rzuca nam linę ratunkową. Linę ratunkową, by poprowadzić nasz kraj oraz świat, które są bliskie upadku, a może i trzeciej wojny światowej. Linę ratunkową w postaci pobożnego, głęboko wierzącego człowieka, człowieka, który całe swe życie poświęcił

bezinteresownej pomocy bliźnim. Proszę zatem was wszystkich, żebyście dołączyli do mnie i powitali naszego kochanego ojca Jerome w naszym wspaniałym stanie Teksas!

Jego słowa wywołały jeszcze większą niż dotąd wrzawę.

Ojciec Jerome w milczeniu przyglądał się tłumowi. Po chwili spojrzał na Gracie. Stała obok Daltona z mikrofonem w ręku, ale nic nie mówiła. Rozpoznała na twarzy księdza ten sam zmartwiony wyraz, jaki widziała u niego na dachu kasru na chwilę przed pojawieniem się znaku. Wydawał się wręcz zażenowany tym, co się wokół niego dzieje.

Darby objął ramieniem księdza i łagodnie odwrócił go z powrotem w stronę tłumu.

- A teraz mam wielką prośbę do ojca Jerome i mam nadzieję, że się do niej dołączycie. To zaproszenie płynące z serca, z serca Teksasu i całego narodu. - Odwrócił się do księdza i powiedział: - Wiem, że jest ojciec zmęczony, wiem, że ma ojciec za sobą trudne dni, ale jestem tutaj, by poprosić ojca w imieniu tych ludzi oraz całego kraju - czy zaszczyli nas ojciec jutro i odprawi dla nas specjalną mszę świętą?

Tłum zawył, rozległa się burza braw i wiwatów. Darby wyciągnął dłoń, uciszając wiernych, po czym odwrócił się znowu do ojca Jerome i przystawił mu do ust mikrofon, czekając na odpowiedź. Kapłan przez chwilę patrzył mu w oczy, a potem skinął głową i poruszając tylko ustami, powiedział bezgłośnie;

- Oczywiście.

- Zgodził się! - zawołał Darby i tłum znowu oszalał. Pastor uniósł dłonie, uspokajając wrzawę, i dodał: - Wszyscy jesteście zaproszeni. - Wskazał na tłum. - Każdy z was. Spędźcie ten dzień z tymi, których kochacie. Ciescie się indykiem, śpiewajcie kolędy. A o piątej po południu przyjdźcie na stadion w Reliant Park. Znajdźcie się miejsce dla was wszystkich! - zawołał i tłum zagrział jeszcze huczniejszym wiwatem.

Darby pomachał do wiernych w podziękowaniu za tak gorące przyjęcie, a potem objął ramieniem księdza, ustawiając się profesjonalnie do fotografii, i wreszcie poprowadził go na prawo w stronę hangaru.

- Zostawiamy za sobą tłum - poinformowała Roxberryego Gracie, ruszając z Daltonem za pastorem i nie przerywając transmisji na żywo.

- Idziemy chyba do... - Usłyszała łoskot rozgrzewanych silników helikoptera i zobaczyła, że łopaty jego wirnika zaczynają się obracać. - Idziemy do śmigłowca, Jack. Ojciec Jerome zostanie stąd przewieziony drogą powietrzną, co zresztą obecnie wydaje się jedyną możliwością. Przypuszczam, że stracimy łączność, ale będziemy nadal kręcili i prześlemy ci zdjęcia natychmiast, jak tylko wylądujemy.

Wszyscy wsiedli do helikoptera - Darby, dwóch jego asystentów, ksiądz i mnich oraz Gracie i Dalton. Niecałą minutę później maszyna poderwała się z ziemi, zatoczyła łuk nad tłumem i ruszyła najkrótszą trajektorią do miasta. Jej śladem podążyły dwa inne reporterskie helikoptery.

- Idziemy chyba do... - Usłyszała łoskot rozgrzewanych silników helikoptera i zobaczyła, że łopaty jego wirnika zaczynają się obracać. - Idziemy do śmigłowca, Jack. Ojciec Jerome zostanie stąd przewieziony drogą powietrzną, co zresztą obecnie wydaje się jedyną możliwością. Przypuszczam, że stracimy łączność, ale będziemy nadal kręcili i prześlemy ci zdjęcia natychmiast, jak tylko wylądujemy.

Wszyscy wsiedli do helikoptera - Darby, dwóch jego asystentów, ksiądz i mnich oraz Gracie i Dalton. Niecałą minutę później maszyna poderwała się z ziemi, zatoczyła łuk nad tłumem i ruszyła najkrótszą trajektorią do miasta. Jej śladem podążyły dwa inne reporterskie helikoptery.

ROZDZIAŁ 68

Houston, Teksas

Matt nachylił się, nie odrywając wzroku od telewizora plazmowego zamontowanego na ścianie salonu centrum obsługi naziemnej dla VIPów lotniska Hobby. Był tam również Rydell i razem z nim oglądał wiadomości. Miliarder załatwił im nocny lot z Bostonu - wypożyczył odrzutowiec od jednego ze swoich kumpli z branży dotcomów. Samolot wysadził ich w Houston, a potem poleciał z Rebeccą dalej do Los Angeles. Rydell miał nadzieję, że w wielkim mieście, gdzie miała się zatrzymać u jego starego przyjaciela, będzie względnie bezpieczna. Na Hobby załatwił im z kolei na wyłączny użytek jeden z budynków centrum obsługi naziemnej, doszedłszy do wniosku, że lepiej będzie, jeśli zatrzymają się na lotnisku i rozeznają w sytuacji, zanim pojadą do centrum, ryzykując, że się ujawnią. Przyczaili się więc i oglądali relację z wydarzeń.

Na ekranie twarz Grace Logan zastąpił obraz z kamery zamontowanej na krawędzi lotniska. Widok startującego helikoptera sprawił, że z Matta uszło całe powietrze. Miał nadzieję zobaczyć znak nad fałszywym prorokiem - jego pojawienie się oznaczałoby, że Danny jest gdzieś blisko. Nic się jednak nie wydarzyło, co zresztą nie powstrzymało go od przyglądania się każdemu fragmentowi ekranu w poszukiwaniu czegokolwiek podejrzanego, aż wreszcie operator przełączył obraz na widok z kamery jednego z reporterskich śmigłowców.

Matt opadł na sofę, złożył głowę na oparciu i zamknął oczy.

- Stadion Reliant - powiedział. - To tam grają Houston Texans? Rydell trzymał już w ręku komórkę.

- Zobaczmy, jaka jutro będzie pogoda.

- Po co? - zdziwił się Matt.

- Stadion jest wyposażony w składany dach. Jeżeli nic nie będzie zapowiadało deszczu, pozostanie otwarty. To konieczne, jeśli mają zamiar wyświetlić nad księdzem znak.

Matt nadal opierał głowę o kanapę, wpatrując się w sufit. Wziął głęboki wdech.

- A zatem jutro - rzekł.

Siedzieli przez chwilę w milczeniu, analizując sytuację, starając się uporządkować w myślach wydarzenia. Matt ciągle gapił się w sufit. Zaczął myśleć z optymizmem. Był coraz bliżej Dannyego i póki co jeszcze nie zginął. W żadnym razie nie mógł być jednak pewien, że nadal będzie miał takie szczęście - w obu sprawach.

- Nie będzie łatwo znaleźć Dannyego - odezwał się Rydell. - Stadion jest ogromny.

Matt zmarszczył brwi. Zastanawiał się nad czymś innym.

- Może nie będziemy musieli. - Spojrzał na miliardera. - Drucker powiedział ci, że chce pogadać, tak?

- Jak kontaktowaliśmy się ostatnio, był w Waszyngtonie - stwierdził Rydell. Nagle jednak coś przyszło mu do głowy. - Chyba że jest już tutaj. Żeby być w centrum wydarzeń.

- Zadzwoń do niego. Powiedz, że jesteś w Teksasie i że możecie pogadać. I że jeżeli jeszcze tu nie przyleciał, niech bierze dupę w troki.

Rydell rozważał przez chwilę jego propozycję. Najwyraźniej mu się spodobała, choć nie mógł się pozbyć pewnej rezerwy do pomysłu.

- Zacznie coś podejrzewać.

Matt wzruszył ramionami.

- Ciągłe chce się z tobą spotkać, a my jesteśmy w stanie to kontrolować. Wybierzemy miejsce. Przygotujemy się. Poza tym raczej nie możemy przebierać w możliwościach.

Rozegrał to jeszcze raz w myślach, po czym skinął głową.

- Dzwon.

- Jesteś pewien? - zapytał Rydell.

- Sprowadź go tutaj - potwierdził Matt. - Myślę, że obaj chcemy posłuchać, co ten sukinsyn ma ci do powiedzenia.

ROZDZIAŁ 69

River Oaks, Houston, Teksas

Teren wokół domu Darby ego został całkowicie odgradzony przez policję. Barykady, ciągnące się na cztery kwartały w każdą z trzech stron, odcinały dostęp wszystkim z wyjątkiem mieszkańców. Ponieważ dom od tyłu wychodził na pole golfowe, policja ściśle kontrolowała również cały ruch w klubie. Funkcjonariusze z psami patrolowali łąki, szukając nazbyt żarliwych wiernych i wściekłych fanatyków. Rząd postawił także w stan gotowości Gwardię Narodową, na wypadek gdyby potrzebne były posiłki.

Helikopter wylądował na parkingu country klubu. Pasażerowie zostali pod policyjną eskortą odwiezieni przez pole golfowe do rezydencji gospodarza. Po obu stronach kordonu stały wozy transmisyjne - długi ciąg białych furgonetek z antenami satelitarnymi. Przy barykadach tłoczyły się chmary rozhisteryzowanych wyznawców, głośno wzywających ojca Jerome, by podszedł do nich i coś powiedział, rozpaczliwie pragnące choćby zerknąć na posłańca Pana. W ich szeregi wkradło się kilku wariatów, którzy głosili brednie na temat zbliżającego się końca świata, ale częściej słyszało się śpiewane chórem hymny oraz kolędy rozbrzmiewające po całej okolicy.

Gracie i Dalton zostali odprowadzeni do pokoju na parterze domku gościnnego przylegającego do głównej rezydencji. Brata Amina zakwaterowano w pokoju obok. Ojciec Jerome otrzymał gościnny apartament na piętrze. Mieli pozostać w rezydencji aż do wielkiego kazania na stadionie, planowanego na wieczór następnego dnia. Ogilvy, który był już w mieście, zamówił transmisję na żywo z posiadłości Darbyego. Gracie i Dalton oprowadzili widzów stacji po obiekcie, ale nie udało im się porozmawiać z ojcem Jerome, który odpoczywał w apartamencie i prosił, żeby mu nie przeszkadzać.

Gdy skończyli, Dalton zerknął na zegarek i powiedział:

- Jadę na lotnisko odebrać kamerę powietrzną i resztę naszych rzeczy.. Może podskoczę też do jakiejś galerii handlowej i jeżeli nie będzie zbyt zatłoczona, kupię trochę czystych ciuchów. Potrzebujesz czegoś?

- Rzeczywistości alternatywnej? - westchnęła Gracie.

- Nie jestem pewien, czy Zara ma ją w ofercie, ale zobaczę, co da się zrobić - odpowiedział z uśmiechem operator.

Gdy wyszedł, dziennikarka wróciła do pokoju i padła na łóżko. Miała za sobą kilka ciężkich dni, a nic nie wskazywało na to, by ciąg ten w najbliższym czasie się skończył. Udało jej się wyłączyć na całe trzy minuty, po których zadzwoniła nagle komórka.

Znalazła swój aparat, ale okazało się, że to nie on dzwoni. Pogrzebała w torbie i zobaczyła niebieską poświatę na wyświetlaczu innego telefonu

- komórki Fincha. Wyciągnęła ją.

Przyjrzała się jej z zainteresowaniem. Na ekraniku wyświetliło się nazwisko dzwoniącego: Gareth Willoughby. Początkowo go nie skojarzyła

- dopiero po kilku sekundach przypomniała je sobie. Z Finchem próbował się skontaktować producent dokumentu BBC.

Odebrała.

Willoughby nie wiedział o śmierci Fincha. Wiadomość była dla niego całkowitym zaskoczeniem. Powiedział Gracie, że nie znał jej przyjaciela i że po prostu odpowiada na nieodebrane połączenie.

Przez chwilę w eterze wisiała krępująca cisza.

- Jak przypuszczam - odezwała się w końcu Gracie - jesteś teraz bardzo zadowolony, że w końcu zgodzili się, żebyś pojechał do jaskini i porozmawiał z ojcem Jerome.

- Co masz na myśli? - zapytał niepewnym głosem producent.

- To, że gdyby nie powiedzieli „tak” albo gdybyś nie nalegał... Kto wie, co by się wydarzyło. My na przykład prawdopodobnie nie polecilibyśmy do Egiptu

Willoughby nie bardzo rozumiał, o co jej chodzi.

- O czym ty mówisz? To oni do nas przyszli.

Jego słowa przeszły Gracie jak strzała. Wyprostowała się.

- Co?

- To oni do nas przyszli. To znaczy, owszem, byliśmy tam. Kręciliśmy dokument i tak dalej. Ale nie przyjechaliśmy szukać ojca Jerome. Nie mieliśmy nawet pojęcia, że tam przebywa.

Jego wersja kompletnie nie zgadzała się z tym, co na ten temat wiedziała Gracie.

- W takim razie, jak doszło do waszego spotkania?

- Cóż, chyba po prostu mieliśmy szczęście - wyjaśnił producent.

- Kręciliśmy tam materiał przed wyjazdem do Świętej Katarzyny na Synaju. Taki w każdym razie był plan. Nie interesowały nas klasztory obrządku syryjskiego. Dotarliśmy do Biszoja, drugiego klasztoru w okolicy, wiesz którego?

- Owszem, wiem.

- Zaciekawiała nas ta cała historia, że niby przywiązywał sobie łańcuchem włosy do sufitu, żeby nie zasnąć. Takie wywołujące gęsią skórę szczegóły dodają materiałowi nieco pikanterii. W czasie pobytu w klasztorze robiliśmy zakupy w tamtejszym sklepiku

spożywczym i spotkaliśmy mnicha z syryjskiego monasteru. Zaczęliśmy rozmawiać i powiedział nam, że w jednej z miejscowych jaskiń przebywa ojciec Jerome. I że zachowuje się cokolwiek dziwnie. Tak jakby był opętany, tyle że w pozytywnym sensie. Uznaliśmy to za niesamowitą okazję.

- Zaczekaj chwilę - przerwała mu Gracie, próbując poukładać w logiczną całość to, co usłyszała. - Myślałam, że wszyscy wiedzieli, że ojciec Jerome tam przebywa.

- Nikt nie wiedział.

- Sprawdziliśmy - stwierdziła dziennikarka. - Było o tym w różnych serwisach.

- Jasne, że było, ale dopiero po wyemitowaniu naszego programu

- poprawił ją Willoughby. - Wtedy wieść trafiła do mediów. Wcześniej, zanim nakręciliśmy w Egipcie materiał, nikt o tym nie wiedział. Oficjalnie ojciec Jerome był na „urlopie naukowym”, jak pewnie pamiętasz. Ale nikt nie mówił, gdzie dokładnie. W pewnym momencie myśleliśmy nawet, że nie żyje. W sumie, jeżeli dobrze się nad tym zastanowić, naprawdę mieliśmy szczęście, pod wieloma względami.

- To znaczy?-No wiesz, przede wszystkim nie spotkalibyśmy go nigdy, gdyby nie nasi redaktorzy prowadzący w BBC. To im tak naprawdę powinienem być wdzięczny.

- Za to, że dali wam zielone światło?

- Nie, że w ogóle zamówili u nas ten materiał - oznajmił radośnie Willoughby. - To był ich pomysł. Przyszli z nim do nas.

Gracie poczuła rosnące ciśnienie w skroniach.

- Ooo! Cofnijmy się trochę. Twierdzisz, że to oni was tam wysłali? To nie był wasz pomysł?

- Nie.

- Jak więc właściwie do tego doszło? Możesz mi wszystko opowiedzieć?

- Wiesz, jak to jest - rzekł Anglik. - My rzucamy pomysły. Programy, które chcielibyśmy zrobić. Tak długo, aż ktoś coś podchwyci. Wtedy dogadujemy budżet oraz terminy - i zaczynamy. Tym razem wyglądało to jednak inaczej. Chodziło nam po głowach kilka pomysłów. Chciałem właściwie nakręcić film o osobliwym, perwersyjnym nieco uroku wołań o koniec świata w twoim kraju. Wiesz, szaleńcy niemogący się doczekać, by wszystko to szlag trafił. Ale nagle skontaktowała się z nami redakcja i zaproponowała trzyczęściowy dokument, którym byli zainteresowani ich amerykańscy partnerzy. No i go zrobiliśmy. Porównanie wschodniego i zachodniego podejścia do duchowości. Niby coś zupełnie innego, ale w sumie na ten sam temat, w dodatku dostaliśmy na to całkiem przyzwoity budżet. - Przerwał, reflektując się nagle, i dodał: - Jeżeli mogę zapytać, skąd te wszystkie pytania?

Gracie instynktownie przyjęła postawę obronną. Mimo że bardzo nie spodobało jej się to, co usłyszała, wewnętrzny głos podpowiadał jej, że nie powinna dzielić się z nikim swoimi podejrzeniami.

- Właściwie bez powodu - skłamała. - Ja tylko... próbuję lepiej zrozumieć, dlaczego wszyscy się tam znaleźliśmy. Dlaczego zginął Finch. - Już kiedy wypowiadała te słowa, poczuła wyrzuty sumienia, że wykorzystuje w ten sposób śmierć przyjaciela. Miała nadzieję, że Finch by jej to wybaczył. - Powiedz mi coś jeszcze - poprosiła Willoughby ego. - Ten mnich, który zaprowadził was do ojca Jerome... Pamiętasz może, jak się nazywał?

- Oczywiście - odparł producent. - To dosyć interesujący typ. Miał raczej ciężkie życie, wiesz? Pochodzi z Chorwacji. Nazywa się Amin. Brat Amin.

Gracie czuła, że tonie. Tak jakby wpadła w wielki wir wątpliwości, który ciągnął ją w stronę mrocznego dna. Dna wyłożonego słowami Willoughbyego oraz wcześniejszymi strzępami informacji, które jej pamięć wydobywała teraz na światło dzienne.

Próbowała uporządkować je w niewinny sposób, odgonić ponure myśli, które pchały ją w otchłań, ale nip była w stanie. W żaden sposób nie mogła zbyć ich lekceważeniem.

Okłamano ich.

Skupiła się na rozmowie w samochodzie w dniu, gdy zostali odebrani na kairskim lotnisku. Zamknęła oczy i przypomniała sobie mnicha, brata Amina, jak opowiadał im o filmowcach, którzy wiercili zakonnikom dziurę w brzuchu, żeby móc spotkać się z ojcem Jerome, i o tym, że opat w końcu ustąpił.

Łgarstwo czystej wody.

Pytanie tylko, dlaczego została nim poczęstowana.

Jej najczarniejsze myśli zaczęły pędzić we wszystkich kierunkach, z których żaden jednak nie wydawał się prawidłowy. A z pajęczyny sprzecznych wniosków i podejrzeń zaczęła się wyłaniać kolejna niepokojąca myśl. Uwolniła się, wystrzeliła w górę i uczepiła się świadomości dziennikarki.

Znalazła telefon, przejrzała listę połączeń i wybrała numer, z którego dzwonił do niej opat. Musiało minąć kilka sekund, zanim sygnał dotarł na inny kontynent. Po trzecim dzwonku odebrał Jusuf, kierowca. Okazało się, że to jego komórka. Był wieczór, ale niezbyt późny. Chyba go nie obudziła.

- Jusufie - przywitała się drżącym z napięcia głosem. - Kiedy w czasie waszej drogi powrotnej z Kairu dzwonił opat, wspomniał mi o czymś. O tym, gdzie znaleziono okulary mojego przyjaciela. Pamiętasz?

- Tak - odparł niepewnie Jusuf, najwyraźniej nie bardzo wiedząc, do czego zmierza Gracie.

- Powiedział, że w środku było ciemno. Dlatego ktoś na nie nadepnął. Nie widział ich. Były w środku? W warowni?

Kierowca milczał przez chwilę, tak jakby się zastanawiał, po czym powiedział:

- Tak. Leżały na korytarzu na najwyższym piętrze. Obok wjazdu na dach. Pewnie wypadły pani przyjacielowi, kiedy tam się wspinał.

- Jesteś tego pewien?

- Tak, całkowicie - potwierdził Jusuf. - Opat mi opowiadał.

Gracie poczuła gwałtowny ucisk w żołądku.

Sęk w tym, że Finch bez okularów nic nie widział. I jakoś nie była w stanie sobie wyobrazić, jak mógłby się wspiąć na dach, nie mówiąc już o znalezieniu komórki, gdyby nie miał ich na nosie.

Rozłączyła się. Stwierdziła nagle, że przygląda się drzwiom swojego pokoju, tak jakby były bramą do piekła. Coś było nie tak. Coś było cholernie nie tak. I musiała zacząć działać. Instykt podpowiedział jej, żeby natychmiast zadzwonić do Ogilvyego.

- Musimy się spotkać - powiedziała mu. Stała sztywno, ciągle nie odrywając wzroku od drzwi. - Dzieje się coś złego.

ROZDZIAŁ 70

Houston, Teksas

Matt uważnie omiół wzrokiem hol i powoli wszedł do eleganckiej recepcji hotelu. Rozejrzał się jak gdyby nigdy nic, szukając strażników, kamer, tras ucieczki i punktów obserwacyjnych. Dotarł tak daleko, jak tylko się dało, po czym zawrócił i ruszył w stronę wychodzącej na ulicę kawiarni przed budynkiem. Zapamiętał jej rozkład oraz wszystkie wejścia i wyjścia, przyjrzał się klientom, policzył ich. Potem sprawdził wejście służbowe na tyłach hotelu.

Przyszedł dosyć wcześnie. Rydell miał się spotkać z Druckerem dopiero za dwie godziny. Polityk nawet nie wylądował jeszcze w Houston, poza tym plan polegał na tym, żeby podać mu miejsce spotkania dopiero, gdy dotrze już do miasta. Mimo to Matt wolał wszystko sprawdzić, zanim którykolwiek z ludzi Druckera będzie mógł się tam pojawić. Wiedział, że jego ofiara nie przyjdzie sama. Przy odrobinie szczęścia przyprowadzi ze sobą nawet Maddoxa. I choć Matt zdawał sobie sprawę, że będzie się musiał zmierzyć z

przeważającymi siłami wroga, wiedział zarazem, że ma nad nim pewną przewagę. Nie musiał dbać o pozory ani o to, że wywoła panikę. Nie obchodziło go, na czyich oczach wyciągnie swoją wielką spluwę i przyłoży ją Druckerowi do głowy, na miejscu, w kawiarni. Nie miał nic do stracenia. Jedyнным jego celem było wziąć polityka na muszkę i wyprowadzić. Było mu wszystko jedno, kto go zobaczy. Jak bardzo wystraszy hotelowych gości. Liczył się tylko wynik. Mógł sobie pozwolić na to, by poczekać po prostu, aż Rydell wyciągnie z Druckera interesujące ich informacje, a potem wkroczyć do akcji.

Łatwiej pomyśleć, niż zrobić, ale mimo to z jakiegoś powodu Matt nie mógł się doczekać konfrontacji.

Sześć kwartałów dalej Gracie stała z Ogilwym w parku Sama Houstona. Jej myśli biegły w rozmaitych kierunkach, z których żaden nie przyniósł jej jednak pocieszenia.

Umówili się przy fontannie Neuhaus, ozdobionej trzema dzikimi wężącymi kojotami z brązu. Obok kręciło się kilka osób - zatrzymywały się, by przez chwilę odpocząć w spokojnym zakątku, po czym ruszały dalej w swoją stronę. Gracie jednak nie czuła spokoju. Ledwo była w stanie ustać w miejscu. Kiedy zapoznawała swojego szefa z tym, czego dowiedziała się od Willoughbyego i Jusufa, rozpierała ją energia.

Ale wydawało się, że szef nie podziela jej niepokoju. Ogilvy - przystojny mężczyzna o orlim nosie i zaczesanych do tyłu włosach - przyglądał się cierpliwie dziennikarce przez pozbawione ramek okulary.

- To ludzie pełni pokory, Gracie - zauważył, wzruszywszy niefrasobliwie ramionami. - No dobra, więc ten twój cały brat Amin nie przyznał się, że tak naprawdę nastęrczył ojca Jerome filmowcom. Pewnie miał nadzieję, że sam zabłyśnie na ekranie. A przecież ktoś taki jak on raczej nie powinien szczyścić się tym, że trudno mu ulec pokusie, gdy pojawia się okazja zdobycia małego rozgłosu.

- Przestań, Hal. Facet nie był ani odrobinę zdenerwowany, kiedy kłamał. W ogóle nie wyglądał na zawstydzonego czy zmieszanego. Nie chodziło o to, że go przyłapaliśmy. A co z okularami Fincha?

- Może to właśnie tłumaczy jego upadek? Skoro nic bez nich nie widział?

- Powinny wylądować na ziemią gdzieś obok niego - sprzeciwiła się. - Albo leżeć na dachu, choć ten wariant również jest raczej naciągany. Ale w warowni? Piętro poniżej dachu? Jak mu się udało wspiąć bez nich na górę?

- A może upadły mu i sam je nadepnął? Zanim wlaź na dach?

- I tak po prostu je zostawił? Gdyby je rozdeptał, rozbiłby pewnie tylko jedno szkło. Nie oba. Mógłby je nadal nosić i widzieć co nieco. Na pewno by ich nie porzucił.

Ogilvy odwrócił wzrok i wypuścił ciężko powietrze z płuc. Wyglądał, jakby miał zaraz stracić cierpliwość.

- O co ci w takim razie chodzi?

- O to, że mamy dwa kłamstwa, które powinniśmy sprawdzić. Coś jest nie tak, Hal. Coś tu naprawdę zaczyna śmierdzieć.

- Z powodu jakiegoś mnicha, który nie był w stanie się przyznać, że mu staje na widok kamery, oraz innego, który próbuje znaleźć wymówkę dla własnej niezgrabności?

Gracie zaskoczyło jego lekceważenie.

- Musimy się temu przyjrzeć. Musimy znaleźć sposób, by bezpośrednio pogadać z opatem, potwierdzić, gdzie znalazł okulary. I zdobyć jakieś informacje na temat tego całego brata Amina. Pochodzi z Chorwacji, prawda? Skąd dokładnie przyjechał? Od jak dawna przebywa w klasztorze? To przede wszystkim on wkręcił nas w tę całą aferę, a my nic o nim nie wiemy.

Ogilvy zamilkł na chwilę i wpatrywał się w nią, tak jakby twierdziła, że została porwana przez kosmitów.

- Co ty właściwie wyprawiasz?

- Co? - zaprotestowała.

- Dostałaś bezpośredni dostęp do tematu stulecia. To pierwszorzędna, naprawdę pierwszorzędna historia. Dla nas i dla ciebie. Możemy ją śledzić z bliska. A ty zaczynasz wtykać nos w nieswoje sprawy. Możesz wkurzyć Jerome i Amina, co spowoduje, że nas odsuną. A to by nie było dobre. Dla nas wszystkich. Nie możesz teraz przy tym grzebać, Gracie. To zbyt ważne. Może więc skupisz się na robocie i zapomnisz na chwilę o swojej paranoi i o teoriach spiskowych?

Tym razem Gracie spojrzała na niego tak, jakby to on gadał o porwaniu przez kosmitów.

- Hal, mówię ci, coś jest nie tak. Cała ta sprawa to niesamowity splot zbiegów okoliczności. - Zaczęła odginać po kolei palce. - Od samego początku. - Jej umysł pracował tak szybko, że nie nadążała z mówieniem. - Zastanów się tylko. Przypadkiem jesteśmy tam, gdy rozpada się szelf. Przypadkiem filmujemy w pobliżu. Do diabła, nawet by nas tam nie było, gdybyś nam tego nie podpowiedział, kiedy planowaliśmy materiał.

I nagle zrozumiała. Jej umysł generował strumień szalonych myśli, które krążyły chaotycznie w jej głowie, ale w pewnym momencie jakoś zdołały ułożyć się w logiczną całość. Jak kolory kostki Rubika. Zobaczyła wyraźnie związek między poszczególnymi

wątkami, który nagle wydał jej się tak oczywisty, że nie potrafiła sobie wyobrazić, iż mogłoby być inaczej.

- O mój Boże! - zawołała, nie zastanawiając się nad własnymi słowami. - Ty też w tym tkwisz.

Przez ułamek sekundy, dzielący jej słowa od jego odpowiedzi, kiedy patrzył na nią z otwartymi ustami, wszystko było jasne. Prawda. Minimalne, ledwo zauważalne wahanie. Które mogła dostrzec jedynie dzięki swym najbardziej pierwotnym instynktom. Którego nie pozwoliły jej zignorować. Przez ten ułamek sekundy maksymalnego wyczulenia na intuicję wydawało jej się, że serce wyskoczy jej z piersi.

- Gracie, nie bądź śmieszna - powiedział Ogilvy lekceważącym, spokojnym tonem.

Ale ona nie słuchała jego słów. Czytała między wierszami, wpatrywała się w zmarszczki wokół jego oczu, dostrzegła, że rozszerzyły mu się źrenice. I nabierała straszliwej pewności, że się nie myli.

- Jesteś z nimi, tak? Przyznaj się, do jasnej cholery! - wybuchła. - Przyznaj, zanim wszystkim to rozgłoszę.

- Gracie...

- To sztuczka, tak!? Cały ten cholerny znak. Jest ustawiony. Ogilvy cofnął się o krok i uniósł dłoń w uspokajającym geście.

- Ludzie zaczynają się nam przyglądać. Nie rób z siebie idiotki. Odepchnęła jego rękę i sama się cofnęła. Jej umysł pędził jak oszalały.

- Posłużyłeś się mną. Przez cały czas się posługiwałeś. To całe zlecenie. Wyjazd na Antarktydę. Twoje wsparcie, entuzjazm. Wszystko to bzdury.

- Zgromiła go wzrokiem rozpalonym od dziesiątków pytań. - Co szykujecie? Co tu się, do diabła, dzieje? - Jej umysł nadal wariował, wykorzystując wszystkie rezerwy energii, jakie jej jeszcze zostały. - Ukartowaliście to? Aranżujecie Drugie Przyjście? Po co? Chcecie stworzyć nowego mesjasza? O to wam chodzi? Chcecie nawrócić świat?

Ogilvy rozglądał się trwożliwie na boki. Gracie nie mogła już mieć żadnych wątpliwości.

- Myślisz, że miałem na to ochotę? - syknął, próbując się uspokoić.

- Przecież mnie znasz. To ostatnia rzecz, jakiej bym sobie życzył.

- W takim razie dlaczego? - nie ustępowała. - Chyba nie chcesz mi wmówić, że ratujesz w ten sposób planetę?

Również w postawie Ogilvy ego coś się zmieniło. Wydawało się, że dał już sobie spokój z pozorami; mierzył Gracie rozgorączkowanymi, gniewnymi oczami.

- Może. Ale przede wszystkim ratuję nasz kraj - oświadczył stanowczo.

I nagle na powierzchnię umysłu dziennikarki przedostała się jeszcze jedna myśl, niczym nurek biorący ostatni wdech nad taflą wody.

- Czy śmierć Fincha to był wypadek?

Ogilvy nie zaprzeczył tak szybko, jak powinien. W Gracie coś pękło.

- Niech cię szlag, Hal! - zawołała, z przerażenia cofając się jeszcze o krok. - Powiedz mi, że śmierć Fincha była przypadkowa! Powiedz to!

- Oczywiście, że tak - zapewnił ją, rozkładając w obronnym geście ręce.

Ale coś w środku mówiło jej, że było inaczej, a w oczach Ogilvyego i zmarszczkach wokół nich dostrzegła potwierdzenie tych wątpliwości.

- Nie wierzę ci.

Serce waliło jej jak oszalałe. Cofnęła się jeszcze o krok, nagle wyczulona na każdy element otoczenia. Nie widziała już niewinnych spacerowiczów czy amatorów joggingu. Patrzyła za to na dwóch facetów o kamiennych twarzach i krótko przystrzyżonych włosach, w ciemnych garniturach, bez krawatów, pilnujących obu wejść na teren fontanny. Nie zachowywali się jak przypadkowi przechodnie.

Przeniosła szybko wzrok z powrotem na Ogilvyego. Jej szef ledwo dostrzegalnie skinął mężczyznom głową. Ruszyli groźnie w jej stronę. Zbliźali się, odcinając jej potencjalną drogę ucieczki.

Spojrzała z niedowierzaniem na Ogilvyego, ciągle się cofając.

- Jezu, Hal. Co ty robisz?

- Tylko to, co konieczne - odparł nieco przepraszającym tonem. Gracie nie mogła dalej tkwić w miejscu. Odwróciła się na pięcie i puściła pędem przed siebie, prosto na jednego z nadciągających goryli, krzycząc na całe gardło i wołając o pomoc. Próbowwała zrobić unik i go wyminąć, udając, że skręca w lewo, a tak naprawdę rzucając się w prawo, ale wyciągnął szybko ramię, złapał ją i przyciągnął do siebie. Po kilku sekundach był już przy nich drugi facet w garniturze. Jego kolega odwrócił ją i unieszkodliwił, wykręcając jej rękę za plecami. Spróbowała mu się wywinąć, ale nie udało jej się wyrwać z jego kleszczowego uścisku. Kopnęła więc go z całej siły prawą stopą w łydkę. Musiało zabołeć, bo goryl skulił się i skrzywił, ale natychmiast się pozbierał i uderzył ją otwartą dłonią w twarz. Głowa Gracie przekręciła się w bok, zęby zadzwoniły. Poczwała, że nogi ma jak z waty. Kiedy otworzyła oczy, zobaczyła, że gość w garniturze podnosi rękę do jej ust. Przycisnął jej coś do nosa, jakąś gazę. Bił z niej ostry, kwaśny zapach. Niemal natychmiast opuściły ją siły. Oczy uciekły gdzieś w bok i spoczęły na jednym z kojotów, który nagle wydał jej się groźniejszy niż do tej

pory, a potem opadła jej głowa, opierając się ostatecznie podbródkiem o klatkę piersiową. Upadając, dostrzegła jeszcze pod stopami kilka kamieni brukowych, a po chwili wszystko umilkło i świat pogrążył się w całkowitych ciemnościach.

ROZDZIAŁ 71

Spotkali się w pięciogwiazdkowym hotelu w centrum, zgodnie z instrukcjami Rydella. Grove Cafe, usytuowana tuż przy recepcji, wydawała się idealnym miejscem. Zapewniała otwartą, publiczną przestrzeń z mnóstwem ludzi wokół. Rydell uważał, że będzie tam bezpieczny.

Kiedy dotarł do kawiarni, Drucker już tam był. Siedział przy niskim stoliku obok szklanej ściany wychodzącej na ulicę. Było późne pogodne popołudnie. Po szerokim chodniku na ulicy przechadzało się kilku pieszych. Polityk gestem zaprosił Rydella do siebie.A

Gdy miliarder siadał, Drucker wyciągnął z aktówki niewielkie pudełko. Położył je na blacie, nieco z boku stolika. Było czarne i ciężkie, rozmiarami przypominało kieszonkowe wydanie powieści, a na jego bocznej ścianie widniało kilka LEDowych światełek.

- Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko? - zapytał Rydella. - To na wypadek gdybyś miał zamiar mnie nagrać. - Nie zaczekawszy nawet na odpowiedź, dyskretnie wcisnął małe przyciski na pudełku. Zapaliły się LEDowe lampki. Miliarder wzruszył ramionami i rozejrzał się. Kilka osób w sali, które rozmawiały przez komórki, nagle zaczęło przyglądać się w zdumieniu swoim aparatom i wciskać przypadkowe klawisze, by odzyskać sygnał. Rydell wiedział, że ich wysiłki są bezcelowe. W każdym razie dopóki Drucker nie wyłączy zagłuszarki.

Polityk uśmiechnął się znacząco do Rydella i przykrył urządzenie serwetką. Podeszła do nich kelnerka i zapytała, czego sobie życzą, ale miliarder odprawił ją, pokręciwszy stanowczo głową. Nie przyszli tam na herbatkę.

- Jestem zdziwiony, widząc cię tutaj - powiedział Drucker. - Czyżbyś nie mógł oprzeć się pokusie, by na własne oczy zobaczyć nasze widowisko?

Uśmiechnął się nieznacznie, ale nie zdołał w ten sposób zamaskować wrażeń, że na coś poluje.

Rydell zignorował jego pytanie.

- Co zamierzasz, Keenan? - zapytał spokojnie.

Drucker odchylił się na krześle i powoli wypuścił przez nos powietrze. Przyglądał się Rydellowi jak dyrektor szkoły, zastanawiający się, co zrobić z krnąbrnym uczniem.

- Kochasz swój kraj? - zapytał po chwili.

Rydell nie zrozumiał.

- Słucham?

- Czy kochasz swój kraj? - powtórzył stanowczo Drucker.

- Co to w ogóle za pytanie?

Drucker rozłożył ręce.

- Odpowiedz.

Miliarder zmarszczył brwi.

- Oczywiście, że kocham swój kraj. Ale co to ma w ogóle do rzeczy?

Drucker skinął głową, tak jakby otrzymał prawidłową odpowiedź.

- Ja też go kocham, Larry. Poświęciłem całe życie, żeby mu służyć. I kiedyś był to wielki kraj. Stał na czele całego świata. Japończycy, Chińczycy... byli tylko pyłkiem w naszym lusterku wstecznym. Pięćdziesiąt lat temu wysłaliśmy człowieka na Księżyc. Pięćdziesiąt lat temu! To my wyznaczaliśmy standardy nowoczesności. To my pokazywaliśmy reszcie świata, jak to się robi, jak nauka, technologia i nowe idee przyczyniają się do tego, by żyło nam się coraz lepiej. To my snuliśmy wizje na temat tego, jak powinien wyglądać dwudziesty pierwszy wiek. A gdzie jesteśmy teraz? Kim jesteśmy teraz?

- Na pewno jesteśmy biedniejsi - przyznał żalonym głosem Rydell.

- Biedniejsi, bardziej skąpi, tłuści... i głupsi. Cofamy się. Wszyscy inni pędzą do przodu, a my zjeżdżamy po pochylni do punktu, w którym będziemy tylko obiektem żartów. Straciliśmy pozycję w świecie. A wiesz dlaczego? Z powodu przywództwa - powiedział, dźgając wściekle paluchem powietrze i celując nim w Rydella. - Kiedyś wybieraliśmy prezydentów, którzy porywali nas swoją inteligencją. Znajomością świata, byстрыm umysłem, godnością. Polityków, którzy nas inspirowali, którzy potrafili zdobyć szacunek reszty świata, którzy napełniali nas dumą. Ludzi z wizją.

- Teraz też takiego wybraliśmy - wtrącił Rydell.

- I sądzisz, że wyszliśmy na prostą? - zdziwił się Drucker. - Myślisz, że nagle, jak za dotknięciem czarnoksiężskiej różdżki, jesteśmy już bezpieczni? Zastanów się nad tym. Właśnie przeżyliśmy osiem lat pod rządami nafcjarza, którego nie zatrudniłbym nawet na stanowisku szefa myjni samochodowej, osiem lat pod rządami człowieka, który uważa, że instynkt jest manifestacją woli Bożej, osiem lat podpadającej pod kryminał niekompetencji i

nieposkromionej arogancji, które rzuciły nasz kraj na kolana, i co - czy czegokolwiek się nauczyliśmy? Najwyraźniej nie. Do diabła, potrzebny był kryzys gospodarczy stulecia, żeby ledwo udało nam się zapewnić sobie zwycięstwo. Nie było ono druzgocące, Larry. Do cholery, połowa kraju zagłosowała na mniej więcej to samo - albo gorzej. O mało nie postawiliśmy na osobę, która uważa, że serial Flintstonowie oparty jest na faktach, która uzyskała paszport zaledwie rok przed wyborami i która przez miesiąc nie udzielała wywiadów, ponieważ naprędce uczono ją, co się dzieje w realnym świecie, która naprawdę jest przekonana, że zobaczy Chrystusa na tej ziemi jeszcze przed śmiercią, która uważa, że nasi chłopcy w Iraku wykonują „Bożą robotę!” - Ostatnie słowa Drucker wykrzyczał, uderzając ze wściekłością dłonią w blat stołu. - Naprawdę niewiele brakowało, żebyśmy wybrali na prezydenta kogoś żalostnego, absurdalnie pozbawionego kwalifikacji, w dodatku był to siedemdziesięciodwuletni starzec osłabiony rakiem. Wydaje się to śmiesznym, szalonym pomysłem, ale o mało co to się nie wydarzyło, Larry, i ciągle może się wydarzyć. Tak

* bardzo okazaliśmy się zaślepieni, jeśli chodzi o wybór naszych przywódców. A wiesz, dlaczego o mało do tego nie doszło? Wiesz dlaczego o mało im się to nie udało?

Rydell pomyślał o ojcu Jerome i zaczął rozumieć, do czego zmierza Drucker.

- Ponieważ mają Boga po swojej stronie - powiedział.

- Ponieważ mają Boga po swojej stronie - powtórzył poważnie polityk

- W każdym razie tak twierdzą - dodał miliarder, wzruszywszy drwiąco ramionami.

- O to właśnie chodzi. Jesteśmy w stanie wybrać na najwyższy urząd w państwie każdego głupka, każdą miernotę, dopóki uważa Boga za swojego kumpla. Powierzmy mu odpowiedzialność za wszystko - za pokarm, którym się żywimy, domy, w których mieszkamy, powietrze, którym oddychamy - dajmy mu władzę, by spuścił bombę nuklearną na inne kraje i zniszczył naszą planetę, nawet jeśli nie potrafi prawidłowo wymówić słowa „nuklearny”. I zrobimy to z dumą, bez wahania, jeśli tylko użyje magicznych słów: że wierzy. Że ma Chrystusa w sercu. Że podąża ścieżką wyznaczoną przez Boga Ojca. Że potrafi zajrzeć prezydentowi Rosji w serce, więc nie potrzebuje opinii ekspertów. Nasi prezydenci podejmują decyzje polityczne, opierając się na wierze, a nie na rozumie. I nie mówię o Iranie. Nie mówię o Arabii Saudyjskiej ani o talibach. Mówię o nas. Mówię o Ameryce i ewangelicznej fali, która przetacza się po całym kraju. Nasi prezydenci podejmują decyzje polityczne, opierające się na Apokalipsie świętego Jana. Na Apokalipsie świętego Jana!

Odchylił się w krześle, łapiąc oddech i obserwując reakcję Rydella.

- Kiedyś byliśmy wielkim krajem - podjął po chwili wątek. - Bogatym krajem, któremu zazdrościła reszta świata. A potem oni postawili na czele naszego narodu człowieka, który uważał, że Rosja jest imperium zła i że żyjemy w czasach Armagedonu. Człowieka, który odnalazł Jezusa, ale który nie potrafił odczytać zestawienia bilansowego. I trzęsą teraz całym naszym krajem, wypowiadają wojny w imię Boga i posyłają naszych chłopców na śmierć, a połowa kraju ciągle co niedziela grzecznie maszeruje do kościoła i wychodzi z niego z szerokim uśmiechem na twarzy, machając flagą swego odkupienia...

- Wiedziałem, że jesteś rozgoryczony z powodu Jacksona - przerwał mu Rydell, któremu nagle przez oczami stanęła twarz zmarłego syna Druckera, uświadamiając mu, co tak naprawdę podsycił gniew polityka - ale...

- Rozgoryczony? - warknął Drucker. - Nie, nie jestem tylko rozgoryczony, Larry. Jestem wściekły, do kurwy nędzy! Ale nie zrozum mnie źle. Nie należę do tych, którzy chcieliby rozpieszczać nasze oddziały. Zawód żołnierza polega na tym, że czasem trzeba oddać życie za swój kraj. I Jackson wiedział o tym, kiedy się zaciągał. Ale naszemu krajowi nic nie groziło. Ta wojna w ogóle nie powinna była wybuchnąć. Nigdy! - zawołał. - A jedynym powodem, dla którego do niej doszło, było to, że naszym przywódcą był niekompetentny dureń z kompleksem ojca i mesjasza. I do tego właśnie nie możemy po raz kolejny dopuścić.

Rydell nachylił się. Zdawał sobie sprawę, jak bardzo Drucker kochał syna, jak wielkie miał co do niego plany. Trzeba było podejść do niego ostrożnie.

- Pod tym względem jestem po twojej stronie, Keenan. Dążymy do tego samego celu. Ale to, w jaki sposób chcesz zrealizować swoje plany...

Drucker przerwał mu, wyciągając dłoń i kiwając głową, że wie, do czego zmierza Rydell.

- Nie możemy znowu do tego dopuścić, Larry. A oni doprowadzili do tego, że polityk nigdy nie zostanie wybrany na żaden urząd, jeśli przyzna, że wierzy w Darwina. Dyplom collegeu zamienili w piętno, a słowo „elitarny” w nieprzyzwoite. - Zmrużył oczy. - W Ameryce dwudziestego pierwszego wieku wiara jest ważniejsza od kompetencji. Wiara jest ważniejsza od rozumu. Wiara jest ważniejsza od wiedzy, badań naukowych, otwartej debaty i ostrożnego ważenia argumentów. Musimy odwrócić ten porządek. Musimy przywrócić szacunek dla faktów. Dla wiedzy. Dla nauki, wykształcenia, inteligencji i rozumu. Ale z tymi ludźmi nie da się rozsądnie dyskutować. Obaj to wiemy. Nie da się prowadzić debaty politycznej z kimś, kto uważa cię za agenta szatana. Oni nie idą na kompromis, ponieważ dla nich kompromis oznacza kompromis z diabłem, a żaden bogobojny chrześcijanin się na to nie

zgodzi. Nie, jedynym sposobem skończenia z tym jest sprawić, by ludzie się tego wstydzieli, by politycy zaczęli lekceważyć wiarę. Musimy odebrać to narzędzie wszystkim, którzy za jego pomocą wygrywają wybory i forsują swoje programy. Musimy sprawić, by ludzie uznali przyznanie się do kreacjonizmu za tak samo wstydlive, jak stwierdzenie, że ciągle popierają niewolnictwo. I musimy to zrobić teraz. Ten kraj wpadł w jakiś zabobonny trans, Larry. Znasz dane statystyczne. Sześćdziesiąt procent Amerykanów wierzy, że opowieść o arce Noego jest prawdziwa. Sześćdziesiąt procent! W Stanach Zjednoczonych żyje siedemdziesiąt milionów ewangelików - jedna czwarta populacji, która uczęszcza do kilkuset tysięcy kościołów, w większości prowadzonych przez pastorów należących do konserwatywnych stronnictw politycznych, i ci właśnie goście mówią im, na kogo mają głosować. A ludzie ich słuchają i nie głosują na polityków z rozsądnymi programami. Nie głosują na polityków obdarzonych mózgiem i wizją. Głosują tylko na tych, którzy zapewnią im lepszą pozycję, gdy staną u bram raju. I jest coraz gorzej. Ta zbiorowa ułuda rozprzestrzenia się. W Ameryce codziennie jest otwierany nowy megakościół. Dosłownie codziennie.

Drucker wbił w Rydella rozpalony wzrok.

- Twierdzisz, że katastrofa związana z globalnym ociepleniem czeka nas lada dzień? To zagrożenie jest już obecne. Wprawdzie udało nam się uniknąć kuli w czasie ostatnich wyborów, ale niebezpieczeństwo nie minęło, czai się za rogiem, wróci wkrótce, a oni będą walczyć dwa razy zacieklej, uciekając się do jeszcze brudniejszych środków. Dla nich to jest wojna. Wojna z sekularyzmem. Krucjata, dzięki której chcą odzyskać Królestwo Boże z rąk niewierzących, uratować nas od małżeństw gejowskich, aborcji i badań nad komórkami macierzystymi. I jeżeli będą postępować tak jak do tej pory, osiągną swój cel. W pewnym momencie ci rozmodleni bojownicy doprowadzą do tego, że w Gabinetcie Ovalnym zasiądzie telekaszodzieja. A wtedy naprzeciw wariatów rządzących krajami Bliskiego Wschodu stanie banda świrów na Kapitolu; oba stronnictwa będą przekonane, że Bóg jest po ich stronie i że trzeba wykazać, iż druga strona się myli. I wiesz, jak to się skończy? Bardzo brzydko. Zbombardują się nawzajem atomówkami. Nie mam zamiaru do tego dopuścić.

Rydell nie nadązał.

- I masz zamiar to zrobić, podając im na tacy proroka, który rozpali ich jeszcze bardziej?

Drucker po prostu spojrział na niego zagadkowo.

- Tak.

- Nie rozumiem - zdziwił się miliarder. - Dajesz im coś prawdziwego, prawdziwego cudotwórcę, którego będą mogli czcić i wokół którego się zgromadzą. Drugie Przyjście, które ich zjednoczy.

- Tak - powtórzył Drucker, zachęcając, by mówił dalej.

Rydell próbował nadażyć za jego tokiem myślenia.

- Doprowadzisz do tego, że wszyscy przywódcy Kościoła uznają go i podłączą wagoniki pod jego lokomotywę.

- Tak.

Tym razem na twarzy Druckera pojawił się ledwo wyczuwalny wyraz satysfakcji.

Rydell zmarszczył brwi.

- A potem przekonasz go, żeby zmienił treść posłania?

Polityk pokręcił głową.

- Nie. Po prostu wyszarpnę mu spod stóp dywanik.

Miliarder spojrzał na niego pytająco - i nagle otworzył szeroko oczy.

- Zdemaskujesz go jako podróbkę?

- Właśnie tak. - Drucker wbił w niego swój stalowy wzrok. - Przez jakiś czas pozwolimy mu swobodnie pohasać. Kilka tygodni. Może miesięcy. Niech sprawa się rozwinie. Żeby każdy pastor w kraju go zaakceptował i udzielił mu poparcia jako posłańcowi Boga Ojca. Niech rozpowiedzą dobrą nowinę swoim owieczkom - dodał, drwiąco wypływając poszczególne słowa. - A kiedy wszystko się już uleży i zapuści głęboko korzenie, kiedy wszyscy złapią przynętę, pokażemy, kim naprawdę jest ich prorok. Pokażemy, czym tak naprawdę jest znak.

- I udowodnisz wszystkim, jak są łatwowierni.

Rydell patrzył, jakby był nieobecny duchem - wyobrażał sobie skutki całego podstępu.

- Duchowni wyjdą na takich durniów, że trudno im będzie wejść na swoje ambony i spojrzeć ludziom w twarz. Wierni zrozumieją, że dali się nabrać - i być może zaczną kwestionować resztę bzdur, których wysłuchują w tych salach. Otworzy to zupełnie nową dyskusję, doprowadzi do całkowitej zmiany nastawienia, ludzie zaczną zadawać pytania. „Skoro tak łatwo było nas oszukać dzisiaj, przy całym naszym obecnym stanie wiedzy... to jak proste było nabicie bliźnich w butelkę dwa tysiące lat temu? Co tak naprawdę o tym wiemy?” Cała prawda o religii zostanie wyłożona na stół. I ludzie dwa razy się zastanowią, zanim znowu pójda za kimś na ślepo w ogień.

Rydellowi zrobiło się ciemno przed oczami. Sam był gotów spróbować przekonać świat do własnej sprawy, ale to... To szło o wiele dalej. Wypuścił z sykiem powietrze i pokręcił głową.

- Sprawisz, że staną się jeszcze większymi fanatykami niż do tej pory - ostrzegł.

- Pewnie tak - lekkim tonem zgodził się Drucker.

- Możesz też rozpętać wojnę domową - dodał Rydell. - Albo światową.

- Raczej wątpię - zadrwił Drucker.

- Żartujesz? - wybuchnął miliarder. - Staniesz oko w oko z milionami porządnie wkurzonych ludzi. Którzy będą chcieli na kimś się wyładować. Kto udźwignie taki ciężar? Nie możesz po prostu wyjść do nich i powiedzieć: „Hej, przecież zrobiliśmy to dla waszego dobra!”. Jeszcze bardziej ich spolaryzujesz. Odwet będzie potworny. Ulice spłyną krwią. I to jeszcze zanim reszta świata zdecyduje się zareagować. Sam widzisz, co się zaczyna dzieć w Pakistanie, Egipcie, Izraelu i w Indonezji. Na twój przekręt dali się nabrać nie tylko chrześcijanie. Muzułmanie, żydzi, hindusi... Wszyscy walczą ze sobą niezależnie od tego, czy mają do czynienia z prawdziwym cudem. I porządnie się wkurzą, gdy odkryją, że Wuj Sam maczał w tym paluchy. Ludzie nie reagują najlepiej, jeżeli ktoś bawi się ich wierzeniami religijnymi, Keenan. Naprawdę się wnerwiają. A zapłacą za to Amerykanie, i to własną krwią. Rozpętasz wojnę, którą trudno będzie powstrzymać.

- No cóż, jeśli mają tak ciasne umysły, jeśli nie dostrzegą zagrożenia i uprą się, by dalej zdążyć ku zagładzie, to nie będziemy ich ratowali. - Drucker zawrzał z oburzenia. - Mieliśmy wojnę z powodu niewolnictwa. Być może potrzebujemy teraz nowej. - Wzruszył wyniośle ramionami. - Skoro prędzej czy później i tak musi do tego dojść, miejmy to już za sobą. A potem może uda nam się wznieść na gruzach naszego świata coś bardziej rozsądnego.

Rydell poczuł się, jakby ktoś sięgnął mu do gardła i wyciągał przez nie obcęgami płuca.

- Jesteś szalony - powiedział. - Straciłeś całkowicie perspektywę.

- Bynajmniej.

- Nie uda ci się tego zrobić, Keenan - upierał się miliarder.

- Nie. Potrzebujemy kozła ofiarnego - przyznał Drucker.

Rydell wpatrzył się w niego. Słowa polityka połączyły się ze strumieniem jego splątanych myśli - i nagle zrozumiał.

- Mnie. Do tego mnie potrzebujesz.

Drucker ze stoickim spokojem skinął głową.

- Potrzebuję kozła ofiarnego. Kogoś działającego z zupełnie innych pobudek, kto w żaden sposób nie jest powiązany z życiem politycznym kraju. Ponieważ masz całkowitą rację: to nie może być postrzegane jako akt polityczny. Jedynym sposobem jest odmalować to jako desperacki czyn geniusza wizjonera bez politycznych motywów, próbującego ocalić planetę. Zresztą kto wie? Może dzięki temu faktycznie uświadomimy ludziom wagę problemu globalnego ocieplenia.

- Ale właściwie masz to gdzieś - zauważył gorzko Rydell.

- Nieprawda, Larry. To poważny problem. Nie jestem tylko pewien, czy jesteśmy w stanie realnie mu przeciwdziałać. A przywrócenie polityki rozumowi pomoże mi siom polarnym bardziej niż doprowadzenie Hummera do bankructwa, nie sądzisz?

- Tu nie chodzi o niedźwiedzie polarne czy lasy równikowe, Keenan

- zaprotestował zdławionym ze wściekłości głosem miliarder. - To kwestia sprawiedliwości społecznej. Dla wszystkich mieszkańców planety.

- A czy wyrwanie ludzi z objęć szamańskich lekarzy i przesądów nie jest sprawiedliwością społeczną? - odgryzł się Drucker.

Rydell pomasaował skronie, zastanawiając się nad słowami polityka. Nagle pomieszczenie wydało mu się dziwnie ciasne, zrobiło mu się duszno.

- A czym to ma się skończyć dla mnie? „Samobójstwem”? Drucker skinął głową.

- Jak już nasza sztuczka zostanie zdemaskowana. Tragiczny kres bohaterskiej próby. - Westchnął i nachylił się. - Przykro mi, Larry. Ale mam nadzieję, że potrafisz dostrzec sens w tym, co usiłuję zrobić. To paląca sprawa. Przypuszczam też, że w głębi duszy zgadzasz się ze mną.

Rydell odchylił się na krześle i wzruszył ramionami.

- Mam nadzieję, że nie za bardzo cię rozczaruję, stwierdzając, że na to nie pójdę.

Drucker machnął lekceważąco ręką.

- Proszę, Larry. Nie doceniasz mnie.

Larry spojrział na niego, czekając na dalszy ciąg - i nagle zamarł, wi. dząc spokój Druckera.

- Dostaniesz zawału - poinformował Rydella lekkim tonem polityk.

- Ostrego. I to szybciej, niż ci się wydaje. Może nawet tutaj, w tej restauracji. Na oczach tych wszystkich ludzi. Zapadniesz w śpiączkę. Kontrolowaną. A w tym czasie - przerwał, szukając odpowiednich słów - popracujemy nad twoją osobowością. Pamiętasz, tak samo, jak zrobiliśmy z księdzem. Zaprogramujemy ci w mózgu prawidłowe odpowiedzi. Sprawimy, że staniesz się uległy. A kiedy przyjdzie czas, nagrasz szczegółowe, pełne

skruchy, poruszające wyjaśnienie, dlaczego zrobiłeś to, co zrobiłeś, a potem pomożemy ci odebrać sobie życie. - Drucker przyjrzał się jego twarzy, tak jakby go ciekawiło, jak Rydell zareaguje na jego słowa. - Przejdiesz do legendy, Larry. Nikt nigdy nie zapomni twego nazwiska, jeżeli stanowi to dla ciebie pocieszenie.

Rydell poczuł przyływ czystego przerażenia - i nagle zauważył coś za plecami Druckera. Mężczyznę w ciemnym garniturze, jednego z jego zbirów. Miliarder odwrócił głowę i spojrzał w stronę wejścia do kawiarni. Stańło w nim dwóch kolejnych mężczyzn. Zastanawiał się właśnie nad jedynym, co mu zostało - rzucić się z wrzaskiem w stronę drzwi, mając nadzieję, że raban, jakiego narobi, pokrzyżuje im plany - i miał już zerwać się z krzesła, gdy niespodziewanie zobaczył coś jeszcze. Trochę z boku. Na zewnątrz, na ulicy. W białej furgonetce, która była tam przez cały czas zaparkowana. Jej boczne drzwi się otworzyły. W środku dostrzegł sylwetki dwóch mężczyzn, po obu stronach jakiegoś dużego, zamocowanego na statywie urządzenia, przypominającego projektor świetlny. Rydellowi dłonie opadły na oparcia krzesła i spróbował się poderwać, ale nie udało mu się ruszyć nawet o centymetr. Huk był ogłuszający. Zaatakował jego zmysły niczym cios młotem wymierzony z wnętrza jego czaszki, miażdżąc wszystkie zakończenia nerwów w jego głowie nieznośnym, przenikliwym jazgotem, który nie ustępował nawet na chwilę. Oczy zalały mu się łzami, wrzasnął, a siła akustycznego podmuchu zmiotła go na oczach zdumionych hotelowych gości z krzesła. Przycisnął dłonie do uszu, ale było już za późno. Ugięty się pod nim nogi i upadł na ziemię, wijąc się w konwulsjach, kaszląc i charkocząc.

Ludzie Druckera natychmiast do niego podbiegli. Pomogli mu wstać i wyprowadzili z pomieszczenia, starając się unikać gwałtownych ruchów - udając wyszkolonych, profesjonalnych, sprawnych ochroniarzy. Jeden z nich zawołał nawet, żeby sprowadzić lekarza. Po kilku sekundach wynieśli go z kawiarni do czekającej już windy.

Drzwi zamknęły się z przyciszonym sykiem i winda ruszyła w dół na podziemny parking. jakby go ciekawiło, jak Rydell zareaguje na jego słowa. - Przejdiesz do legendy, Larry. Nikt nigdy nie zapomni twego nazwiska, jeżeli stanowi to dla ciebie pocieszenie.

Rydell poczuł przyływ czystego przerażenia - i nagle zauważył coś za plecami Druckera. Mężczyznę w ciemnym garniturze, jednego z jego zbirów. Miliarder odwrócił głowę i spojrzał w stronę wejścia do kawiarni. Stańło w nim dwóch kolejnych mężczyzn. Zastanawiał się właśnie nad jedynym, co mu zostało - rzucić się z wrzaskiem w stronę drzwi, mając nadzieję, że raban, jakiego narobi, pokrzyżuje im plany - i miał już zerwać się z krzesła, gdy niespodziewanie zobaczył coś jeszcze. Trochę z boku. Na zewnątrz, na ulicy. W białej furgonetce, która była tam przez cały czas zaparkowana. Jej boczne drzwi się

otworzyły. W środku dostrzegł sylwetki dwóch mężczyzn, po obu stronach jakiegoś dużego, zamocowanego na statywie urządzenia, przypominającego projektor świetlny. Rydellowi dłonie opadły na oparcia krzesła i spróbował się poderwać, ale nie udało mu się ruszyć nawet o centymetr. Huk był ogłuszający. Zaatakował jego zmysły niczym cios młotem wymierzony z wnętrza jego czaszki, miażdżąc wszystkie zakończenia nerwów w jego głowie nieznośnym, przenikliwym jazgotem, który nie ustępował nawet na chwilę. Oczy zalały mu się łzami, wrzasnął, a siła akustycznego podmuchu zmiotła go na oczach zdumionych hotelowych gości z krzesła. Przycisnął dłonie do uszu, ale było już za późno. Ugięty się pod nim nogi i upadł na ziemię, wijąc się w konwulsjach, kaszląc i charkocząc.

Ludzie Druckera natychmiast do niego podbiegli. Pomogli mu wstać i wyprowadzili z pomieszczenia, starając się unikać gwałtownych ruchów - udając wyszkolonych, profesjonalnych, sprawnych ochroniarzy. Jeden z nich zawołał nawet, żeby sprowadzić lekarza. Po kilku sekundach wynieśli go z kawiarni do czekającej już windy.

Drzwi zamknęły się z przyciszonym sykiem i winda ruszyła w dół na podziemny parking.

ROZDZIAŁ 72

Matt z przyspieszającym nagle pulsem patrzył, jak nieznana siła zmiata Rydella z krzesła. Nie słyszał żadnego hałasu, nie widział też niczego, co mogłoby zaatakować miliardera. Wyglądało to tak, jakby otrzymał cios jakąś wielką niewidzialną pięścią. Po chwili leżał już na podłodze zgięty wpół, wijąc się z bólu i plując zawartością żołądka na puszysty dywan kawiarni.

Był już gotowy, by wkroczyć do akcji. Siedział w boksie w rogu, za wielkim pianinem przy barze, z dala od głównej części kawiarni, czekając na odpowiedni moment. Zaciskał palce na szerokiej rękojeści pistoletu, tak by w każdej chwili móc wyciągnąć go i przystawić Druckerowi do żeber. Ale przeciwnik go ubiegł. Cokolwiek zrobił Rydellowi, plan Matta spalił przez to na panewce.

Wstał i ruszył pędem w stronę wyjścia z kawiarni. Zobaczył kątem oka, że Drucker również z niej wychodzi w towarzystwie dwóch swoich ludzi. Skręcił w prawo, w stronę frontowych drzwi hotelu, podczas gdy Rydella zabrano na lewo, w kierunku wind. Matt wybiegł na zewnątrz. Nagle jednak zatrzymał się. Drucker wyszedł z hotelu z eskortą. Wokół było mnóstwo ludzi. Goście, boye hotelowi, obsługa. Zdał sobie sprawę, że nie uda mu się go dorwać. Okazja minęła bezpowrotnie. Spojrzał w przeciwnym kierunku. Światła nad windą,

do której wrzucono Rydella, wskazywały, że bandyci zawieźli go na parking. Matt doszedł do wniosku, że lepiej będzie, jeśli ruszy za nimi. Jeśli Drucker znowu dorwie miliardera, on sam straci jedyną kartę przetargową - której potrzebował, jeśli chciał jeszcze kiedyś zobaczyć brata.

Pobiegł w stronę recepcji. Mijając zszokowanych gości hotelowych, skierował się ku drzwiom przy wewnętrznej klatce schodowej. Niemal sfrunął po stopniach, pokonując je po trzy naraz, łapiąc się poręczy na zakrętach i śmigając wokół nich łukiem jak bobsleista. Sześć pięter niżej znalazł się na poziomie parkingu. Zeskoczył na pomalowaną gładką farbą betonową podłogę dokładnie w momencie, gdy ciemnoszara furgonetka z piskiem opon skręcała na pochylnię wyjazdową. Rozejrzał się po garażu. Usłyszał po lewej szcęk otwieranych drzwi; odwrócił się i pobiegł w tamtym kierunku. Jakiś pracownik hotelu właśnie wychodził z samochodu wielkiego srebrnego chryslera navigatora SUVa. Matt nawet się nie zawahał. Rzucił się na kierowcę, wyrwał mu z palców kluczyki i odepchnął go od samochodu, po czym sam wskoczył do środka i natychmiast odpalił potężny ośmiocylindrowy silnik. Wrzucił bieg i wystrzelił z miejsca parkingowego w stronę pochylni.

Gdy zamigotała mu w oczach złotopomarańczowa wieczorna słoneczna poświata, rozejrzał się szybko w obu kierunkach. Na centrum miasta składała się prostokątna siatka jednokierunkowych ulic, z których część była szeroka na pięć pasów. Arteria, na której się znalazł, prowadziła ze wschodu na zachód. Furgonetka skręciła w prawo, czyli właśnie na zachód. Matt wcisnął pedał gazu. Chrysler wyjechał spod daszku nad pochylnią i nabierając prędkości, ruszył w pościg. Od furgonetki dzieliło go jakieś trzysta metrów.

Matt wyprzedzał szybko kolejne wlokące się samochody i po chwili dogonił porywaczy. Przyhamował i trzymał się w odległości jednego wozu od nich. Ulica była prosta i szeroka, a ruch niezbyt gęsty; skrzyżowania rozległe, drogi niczym betonowe równiny, po ich obu stronach ciągnęły się wzorzyste kamienne wypełnienia, nadające im charakter placów w Beverly Hills. Dwa kwartały dalej nad jezdnią pojawił się wielki niebieski znak zapowiadający zjazd na autostradę międzystanową, a potem na drogę nr 90. Matt wiedział, że musi coś zrobić, zanim tam dotrą. Na autostradzie musiałby brać pod uwagę dziesiątki niewiadomych. Ryzykowałby, że zostanie zauważony. Mógł też ich zgubić. Mogliby dotrzeć do miejsca, do którego zmierzali, i mieliby wtedy nad nim przewagę wynikającą ze znajomości terenu.

Musiał działać.

Droga była szeroka jak pas startowy, a po obu jej stronach nie parkowały żadne samochody. Zbliżali się do kwartału ograniczonego rzędem cienkich drzew po lewej i

granitową kolumnadą po prawej stronie. Żadnych szans. Zbyt silne zderzenie. Matt podjechał na prawo i wysunął się nieco do przodu. Następny kwartał okazał się bardziej obiecujący. Po lewej stronie drogi znajdował się garaż nadziemny, przypominający bunkier, więc tam też nic by nie wskórał. Za to chodnik po prawej przechodził w kilkanaście szerokich niskich stopni, prowadzących na otwarty plac przed imponującym, wykładanym kamieniem biurowcem.

Matt postanowił spróbować; wcisnął pedał gazu.

Ośmiocylindrowy silnik zawył dziko i chrysler, pomknąwszy do przodu, wyłonił się zza oddzielającego go od furgonetki samochodu, wyprzedzając go od strony kierowcy. Matt zatoczył szeroki łuk na lewo, po czym skręcił gwałtownie w prawo, celując w lewą część zderzaka furgonetki. Koła chryslera nie oderwały się od podłoża. SUV ruszył w kierunku ofiary niczym precyzyjnie nakierowana rakietą. Ułamek sekundy przed kraksą Matt szarpnęła kierownicą w lewo i wyrównał kierunek natarcia. Trafił dokładnie w boczne drzwi furgonetki, całkowicie zaskakując jej kierowcę. Siła zderzenia sprawiła, że samochód stracił przyczepność i skręcił gwałtownie w prawo. Matt obrócił szybko kierownicę w drugą stronę, celując w lewy bok furgonetki, po czym zacisnął palce, starając się utrzymać skośny kierunek poślizgu, a na sam koniec skręcił maksymalnie w prawo, przypieczętowując los swojej ofiary. Furgonetka nie mogła mu umknąć i jej kierowca zdawał sobie z tego sprawę. Wcisnął gwałtownie hamulec i samochodem szarpnęło ostro, a spod jego przednich kół zaczął się wydobywać dym ze spalonych opon - ale ciągle jechał za szybko. Podskoczył ciężko na stopniach, po czym uderzył w jeden z masywnych kwadratowych filarów budynku.

Matt zatrzymał się na krawężniku i wyskoczył z wozu dokładnie w momencie, gdy furgonetka trzasnęła w kolumnę. Wbiegł szybko po schodach, wyszarpując gotowy do strzału pistolet z nierdzewnej stali i wypatrując choćby najmniejszego ruchu.

Uderzenie było potężne. Z chłodnicy furgonetki wydobywał się dym, a jej tylna część niemal owinęła się wokół filara. Matt nie miał pojęcia, w jakim stanie znajdzie Rydella. Wiedział za to, że mężczyźni siedzący z przodu wozu na pewno potrzebują lekarza. Furgonetka miała bardzo stromy przód i w wypadku zderzenia czołowego chroniła ich właściwie tylko maska. W dodatku, z czego również zdawał sobie sprawę, porywacze niczego się nie spodziewali.

Do miejsca kraksy zaczęli podchodzić przechodnie oraz pracownicy budynku, którzy jednak natychmiast wycofywali się na widok Matta i jego pistoletu. Nie zwracał na nich uwagi. Rozstawiwszy szeroko nogi, na ugiętych kolanach obszedł z boku furgonetkę, przyglądając się w napięciu jej drzwiom i oknom w oczekiwaniu na jakiegokolwiek oznaki życia. Przód wozu był zmiażdżony i Matt był prawie pewien, że z tamtej strony nie musi się

obawiać kłopotów. Podeszedł do tylnych drzwi, wyprostował rękę i zastukał w nie pistoletem. Szybko odsunął dłoń, spodziewając się, że karoserię przedziurawi zaraz kilka strzałów. Niepotrzebnie. Sięgnął raz jeszcze i otworzył drzwi, podążając wzrokiem za linią strzału swojego P14.

W środku na podłodze wił się Rydell - poturbowany, ale żywy. Dłonie miał skrępowane nylonową linką. Matt rozpoznał też jednego z gości z hotelu, który krwawiąc obficie z głowy, próbował się wyprostować. Spojrzał w górę, zobaczył obcego mężczyznę, zamrugał dwa razy i drżącą ręką zaczął szukać broni. Matt pociągnął za spust i na klatce piersiowej porywacza wykwitła czerwona plama.

- Chodź! - zawołał na Rydella, a ten z nieprzytomnym wzrokiem skinął głową, jak ktoś, kto właśnie spędził miesiąc w więziennej izolatce. Gdy Matt sięgał ręką, żeby mu pomóc, zauważył coś jeszcze. Kolejne ciało, leżące twarzą do dołu za miliarderem. Kobieta. Ręce miała związane za plecami, również nylonową linką. Wgramolił się do środka i ostrożnie przewrócił ją na plecy. Usta zalepiał jej szeroki kawał taśmy. Oderwał ją i natychmiast rozpoznał dziewczynę. Była to Gracie Logan, reporterka, która relacjonowała pojawienie się znaku. Sięgnął trochę dalej i przyłożył palec do jej szyi, sprawdzając puls. Żyła.

Drgnęła, czując jego dotyk, po czym skrzywiła się, otwierając szeroko przerażone oczy.

- Gdzie... Kto... - wyjąknęła bezładnie.

- Podaj mi rękę - powiedział Matt, wsuwając pistolet za pasek. Objął ją ramieniem i pomógł jej wstać.

- Chodź! - ponaglił Rydella.

Na wpół zaniósł Gracie do czekającego nieopodal chryslera, mijając grupkę oniemiałych gapiów. Usadził ją na tylnej kanapie, usiadł za kierownicą, każąc miliarderowi zająć miejsce obok, i ruszył z kopyta przed siebie.

Zobaczył we wstecznym lusterku, że Gracie się wyprostowała. Powoli dochodziła do siebie. Rozejrzała się i po chwili jej wzrok spoczął na twarzy Matta.

- Nic ci nie jest? - zapytał.

Wpatrywała się w niego w osłupieniu. Wyglądała, jakby miała kaca stulecia. Nagle najwyraźniej zaczęła sobie wszystko przypominać, bo rysy jej twarzy stężały, a w oczach pojawił się niepokój.

- Dalton! - zawołała. - Musimy wydostać Daltona!

- Kogo?

Zaczęła gwałtownie przeszukiwać dłońmi ubranie i obmacywać kanapę.

- Mój telefon. Gdzie jest mój telefon? Muszę zadzwonić do Daltona. Tam nie jest bezpiecznie. - Odwróciła się do Matta. - Muszę go ostrzec.

Matt rozejrzał się po ulicy, dostrzegł kilka budek telefonicznych i zatrzymał samochód. Pomógł Gracie wysiąść.

- Gdzie jedziemy? Gdzie mam mu kazać nas szukać? - zapytała.

- A z kim chcesz rozmawiać?

- Z Daltonem. Moim kamerzystą. Po niego też przyjdą.

- A gdzie jest teraz? - spróbował wypełnić luki w swej wiedzy Matt.

- W rezydencji Darbyego - wyjaśniła niepewnym tonem, tak jakby nie wiedziała tego na sto procent.

- Pastora?

- Tak. - Skoncentrowała się. - Nie. Zaczekaj. Właściwie nie wiem. - Pokręciła głową. - Pojechał na lotnisko - dodała po chwili. - Tak, jestem prawie pewna. Tak czy inaczej, złapiemy go pod komórką. - Podniosła słuchawkę. - Co mam mu powiedzieć?

Matt zastanawiał się przez krótką chwilę.

- Każ mu jechać w jakieś bezpieczne miejsce, gdziekolwiek. Jeżeli jeszcze tam nie dotarł, powiedz, żeby trzymał się z dala od domu pastora. Zadzwonimy do niego później i powiemy, gdzie się spotkamy.

Zaczęła wybierać numer, nagle jednak przerwała i przyjrzała mu się zaciekawionym, ciągle jeszcze nieco zamglonym wzrokiem.

- Kim ty, do cholery, właściwie jesteś? - zapytała.

- Najpierw zadzwoń - powiedział. - Potem ci wszystko wyjaśnię.

ROZDZIAŁ 73

Siedzieli gdzie popadnie w pokoju w motelu - czwórka bardziej lub mniej wynędzniałych uciekinierów: Matt, Gracie, Dalton i Rydell. Jeszcze tydzień wcześniej, z wyjątkiem Gracie i Daltona, w ogóle się nie znali. Nawet się na to nie zapowiadało. Żyli w zupełnie innych światach, obracali się w różnych kręgach, mieli odmienne ambicje i zmartwienia. I nagle wszystko się zmieniło: życie każdego z nich zostało wywrócone do góry nogami i znaleźli się oto razem w maleńkim pokoju, zastanawiając się, co zrobić, by pożyć jeszcze choć parę dni.

Dalton dołączył do nich wkrótce po tym, jak zameldowali się w motelu. Następne kilka godzin spędzili, opowiadając sobie nawzajem, jaki splot wydarzeń doprowadził do tego, że każde z nich wylądowało w tym miejscu. W trakcie ożywionej, gorączkowej dyskusji poszczególne fragmenty układanki zaczęły się składać w wyraźną całość, a nastrój wywołany ciągiem hiobowych wieści rozjaśnił się tylko na moment, gdy Rydell zadzwonił do Bostonu do lekarza opiekującego się Jabba. Operacja się udała. Jabba stracił mnóstwo krwi, ale jego stan był już stabilny, a prognozy - ostrożnie optymistyczne.

- I co teraz zrobimy? - zapytał Dalton.

Dopiero przed chwilą dowiedział się, że Finch został zamordowany i że najbardziej prawdopodobnym podejrzanym jest mnich, z którym zdążyli się skumplować, nic więc dziwnego, że ciągle wyglądał na mocno przestraszonego.

- Nie mogę przestać myśleć o ojcu Jerome - zwierzyła się Gracie, kręcąc głową. - Wiedział, że coś jest nie tak. Miał to wypisane na twarzy.

- Spojrzała na Rydella. - Nie wiesz może, co mu zrobili?

- Nie znam szczegółów - odparł miliarder. - Wołałem nie słuchać, kiedy o tym opowiadali. Co nieco jednak do mnie dotarło. Używali narkotyków. Terapii elektrowstrząsowej. Programowali mu pamięć i zmieniali osobowość. Przypuszczam, że po to, aby łatwiej było piu zaakceptować swoją nową rolę.

- Milusio - burknął Dalton, krzywiąc się z obrzydzeniem.

- Mówił, że słyszał głosy. Wtedy, w górach. Myślał, że przemawia do niego Bóg - powiedziała Gracie.

Rydell skinął w zamyśleniu głową.

- Użyli pewnie techniki LRAD. Długodystansowego urządzenia dźwiękowego. - Spojrzał na Matta. - Tym samym zaatakowali mnie w hotelu. Można nim precyzyjnie wysyłać na duże odległości dźwięki. To jak karabin snajperski, tyle że amunicją jest hałas. Lub głosy. Pewnie w ten sposób do niego mówili.

W pokoju zaległa przygnębiająca cisza. Po chwili Gracie spojrzała na Rydella.

- Naprawdę sądzisz, że możesz się w ten sposób wykręcić? - zapytała go oskarżycielskim tonem. Ciągle była w szoku z powodu zdrady Ogilvyego. Oraz na myśl o tym, jak została wykorzystana. I że Finch zginął z tego powodu.

- Musiałem coś zrobić - odparł, wzruszając ze znużeniem ramionami.

- Ludzie nie słuchają. Są zbyt bierni. Zbyt leniwi. Nie słuchają rozsądnych argumentów, aż w końcu jest już za późno. Nie chcą słuchać polityków. A już z pewnością nie chcą, żeby jacyś hipisi przykuwający się do drzew mówili im, jak mają żyć. Nie chcą

poświęcić kilku godzin, żeby poczytać lub wysłuchać ekspertów. Weźmy na przykład kryzys finansowy. Eksperci ostrzegali przed nim od lat. Buffet nazwał instrumenty pochodne „finansową bronią masowego rażenia”. Nikt go nie słuchał. A potem nagle wszystko szlag trafił. - Rozejrzył się po pokoju, tak jakby szukał u obecnych choć odrobiny zrozumienia czy może współczucia. - Nie mogłem po prostu siedzieć na miejscu. Tu nie chodzi tylko o to, że czyjś fundusz emerytalny traci o połowę na wartości. Ani o stratę domu. Chodzi o to, że nasza planeta traci zdolność do podtrzymywania życia.

- Jak to wyraził Finch, wszystko sprowadza się do brandingu - zauważył Dalton, zerkając na Gracie. - „Globalne ocieplenie” brzmi o wiele zbyt miło, zbyt przytulnie. Powinni byli je nazwać globalnym smażeniem.

- To zabijanie planety - dodał Rydell, po czym z powrotem ukrył się w cieniu.

Pozostali skinęli kilka razy głowami i w pokoju zaległa cisza. W końcu Gracie ponownie ją przerwała.

- Gdybyś nie został wyznaczony na kozła ofiarnego - zapytała Rydella - czy zgodziłbyś się z tym, co mówił ci Drucker? Przystałbyś na ich plan?

Miliarder zastanawiał się przez chwilę, po czym z bolesnym wyrazem twarzy pokręcił głową.

- Zgadzam się z jego stwierdzeniem, że w naszym kraju nie dzieje się najlepiej. Historia dowodzi niezbicie, że mieszanie religii z polityką prowadzi zawsze do destrukcji. A nie mam wątpliwości, że zagrożenie jest poważne, być może poważniejsze nawet, niż sądzi Departament Bezpieczeństwa Wewnętrznego. Ale nie zgadzam się z proponowanym przez nich rozwiązaniem. I z pewnością nie zgadzam się na takie metody. - Rozejrzył się po pokoju.

- Nikomu nie mieliśmy wyrządzić krzywdy. Drucker wymknął się spod kontroli. I jeszcze nie powiedział ostatniego słowa. Kto wie, do czego zmusi naszego księdza, zanim dopnie swego. Może mu kazać powiedzieć cokolwiek. A cały świat będzie słuchał.

- Musimy go powstrzymać - wtrąciła Gracie. - Musimy przebić się do mediów z tym, co wiemy.

- Nie - powiedział kategorycznym tonem Matt, który siedział w rogu pokoju.

Gracie spojrzała na niego.

- O czym ty mówisz? Musimy to ujawnić.

Matt pokręcił głową.

- Nie możemy zdemaskować spieku. Jeszcze nie. Jeżeli zrobimy to teraz, zabiją Danny ego. Najpierw muszę go uwolnić, upewnić się, że jest bezpieczny. Potem możecie to

wydrukować na pierwszej stronie „New York Timesa”, wszystko mi jedno. Potem róbcie, co chcecie.

- Słyszałeś, co oni planują, Matt - zaprotestowała Gracie. - Widowisko zaczyna się jutro. I będzie spektakularne. Cała planeta je obejrzy. Sam widziałeś, co tam się dzieje. Ludzie kupują tę bajkę, walczą o nią. Z każ-

‘dą godziną głębiej zapada im w serca. Jeżeli zaczekamy do jutra z wydobyciem tego na światło dzienne, może być za późno, by naprawić szkody, jakie wyrządzi światu.

- Demaskując ich po wszystkim, właściwie wykonamy robotę za nich - zauważył Dalton. - W końcu na tym polega ich plan, prawda?

- Nie mamy wyboru - argumentowała Gracie. - Sama nie jestem tym zachwycona, ale musimy to zrobić, i’ to teraz.

- Nie mogą go zdemaskować - sprzeciwił się Matt. - Jeszcze nie. W każdym razie dopóki nie mają ciebie - powiedział, kiwając głową w stronę Rydella. - Brakuje im kozła ofiarnego, zgadza się? Na kogo mieliby zwalić winę? A muszą to zrobić, muszą znaleźć kogoś, kto nie jest zamieszany w politykę. Poza tym dopóki cię nie dorwą - spojrzał ponownie na miliardera - muszą się liczyć z ryzykiem, że rozgłosisz własną wersję całej historii. Byliby uwaleni. Muszą coś wymyślić, zanim powiedzą światu, że to jarmarczna sztuczka.

- Prędzej czy później coś wymyślą, to raczej pewne - wtrąciła Gracie. - Na pewno nie mogą ciągnąć tego bez końca. Wręcziliby chrześcijańskim fundamentalistom klucze do królestwa. Do tego też nie możemy dopuścić.

Matt zastanowił się nad jej słowami. Faktycznie, wydawało się, że nie mają wyjścia i chociaż nie mógł przestać myśleć o tym, że musi uwolnić brata, nagle zdał sobie sprawę, że sprawa jest o wiele poważniejsza i że nie może tego ignorować.

Wahał się jeszcze przez chwilę, po czym powiedział:

- Mamy pewne okienko, zanim się zorientują, że muszą wprowadzić w życie plan awaryjny, prawda? - Spojrzał na Rydella. - Może nawet zastanawiają się, czy nie będziesz trzymał gęby na kłódkę. Że w ten sposób uda ci się dotrzeć do ludzi ze swoim ekologicznym przesłaniem.

- Mylą się - zapewnił skwapliwie miliarder.

- Tak czy inaczej, przez jakiś czas nic nie robią. Do momentu kiedy nie zaczną się finałowa rozgrywka i nie będą mieli wyboru. A zatem mam trochę czasu, żeby spróbować uwolnić Danny ego. Nawet jeśli oznacza to, że zdążą wprowadzić ojca Jerome na scenę. Nie możecie wymagać ode mnie, żebym zrezygnował. Zwłaszcza że jestem tak blisko.

Rozejrzał się po obecnych w pokoju. Wszyscy spoglądali na siebie nawzajem, ważąc jego słowa.

‘dą godziną głębiej zapada im w serca. Jeżeli zaczekamy do jutra z wydobyciem tego na światło dzienne, może być za późno, by naprawić szkody, jakie wyrządzi światu.

- Demaskując ich po wszystkim, właściwie wykonamy robotę za nich - zauważył Dalton. - W końcu na tym polega ich plan, prawda?

- Nie mamy wyboru - argumentowała Gracie. - Sama nie jestem tym zachwycona, ale musimy to zrobić,? to teraz.

- Nie mogą go zdemaskować - sprzeciwił się Matt. - Jeszcze nie. W każdym razie dopóki nie mają ciebie - powiedział, kiwając głową w stronę Rydella. - Brakuje im kozła ofiarnego, zgadza się? Na kogo mieliby zwalić winę? A muszą to zrobić, muszą znaleźć kogoś, kto nie jest zamieszany w politykę. Poza tym dopóki cię nie dorwą - spojrzał ponownie na miliardera - muszą się liczyć z ryzykiem, że rozgłosisz własną wersję całej historii. Byliby uwaleni. Muszą coś wymyślić, zanim powiedzą światu, że to jarmarczna sztuczka.

- Prędzej czy później coś wymyślą, to raczej pewne - wtrąciła Gracie. - Na pewno nie mogą ciągnąć tego bez końca. Wręcziliby chrześcijańskim fundamentalistom klucze do królestwa. Do tego też nie możemy dopuścić.

Matt zastanowił się nad jej słowami. Faktycznie, wydawało się, że nie mają wyjścia i chociaż nie mógł przestać myśleć o tym, że musi uwolnić brata, nagle zdał sobie sprawę, że sprawa jest o wiele poważniejsza i że nie może tego ignorować.

Wahał się jeszcze przez chwilę, po czym powiedział:

- Mamy pewne okienko, zanim się zorientują, że muszą wprowadzić w życie plan awaryjny, prawda? - Spojrzał na Rydella. - Może nawet zastanawiają się, czy nie będziesz trzymał gęby na kłódkę. Że w ten sposób uda ci się dotrzeć do ludzi ze swoim ekologicznym przesłaniem.

- Mylą się - zapewnił skwapliwie miliarder.

- Tak czy inaczej, przez jakiś czas nic nie zrobią. Do momentu kiedy nie zacznie się finałowa rozgrywka i nie będą mieli wyboru. A zatem mam trochę czasu, żeby spróbować uwolnić Danny ego. Nawet jeśli oznacza to, że zdążą wprowadzić ojca Jerome na scenę. Nie możecie wymagać ode mnie, żebym zrezygnował. Zwłaszcza że jestem tak blisko.

Rozejrzał się po obecnych w pokoju. Wszyscy spoglądali na siebie nawzajem, ważąc jego słowa. Podchwycił wzrok Gracie. Wytrzymała go, po czym skinęła serdecznie głową.

- Ludzie i tak są już w pół drogi, żeby to kupić - powiedziała w końcu. - Po jutrzejszym wieczorze trudniej będzie to wszystko odkręcić, ale... Tyle możemy poczekać.

Poza tym wydaje mi się, że nikogo z nas by tutaj nie było, gdyby nie Matt. Jesteśmy mu to winni.

Rozejrzała się, sprawdzając reakcję pozostałych. Rydell i Dalton skinęli głowami na zgodę. Spojrzała znowu na Matta.

Uśmiechnął się i schylił z wdzięcznością głowę.

- No dobra, więc jak to zrobimy? - zapytała go.

- Ale co?

- Znajdziemy twojego brata. - Podchwyciła jego zdezorientowany wzrok i obdarzyła go lekkim uśmiechem. - A co, myślałeś, że zostawimy cię z tym samego?

Matt znowu rozejrzał się po pokoju. Z twarzy wszystkich obecnych wyczytał, że może na nich liczyć. Kiwnął do siebie głową, przyjmując ich propozycję.

- Zakładamy, że znak nad głową ojca Jerome chcą wyświetlić jutro, tak?

- Co do tego nie ma wątpliwości - potwierdziła Gracie.

- No to już wiecie, jak to zrobimy.

Nie spali całą noc - studiowali ściągnięte z Internetu mapy, plany i zdjęcia stadionu, analizowali jego rozkład oraz ukształtowanie terenu w najbliższej okolicy, próbowali przewidzieć, gdzie ulokowani zostaną Danny oraz ekipa obsługująca wyrzutnię.

O świcie udało im się wspólnie opracować prawdopodobny scenariusz akcji, jaką mieli przeprowadzić ludzie Druckera. Oczywiście w dużym stopniu opierali się na sugestiach Ryddella. To, że mieli po swojej stronie człowieka, który odpowiadał za technologiczne kwestie związane ze znakiem, dawało im sporą przewagę, ciągle jednak musieli liczyć się z wieloma niewiadomościami. Gdy pierwsze błyski promieni słonecznych przebiły się przez ciemności, a telewizja zaczęła pokazywać samochody i ludzi wyruszających na pielgrzymkę, wiedzieli już, co mają robić.

Załadowali na tył lincolna trochę niezbędnego sprzętu. Kiedy się z tym uporali, Matt zobaczył, że Gracie stoi sama przy ganku na dróżce prowadzącej do ich pokoju i wpatruje się w coraz jaśniejsze niebo. Podeszedł do niej.

- Wszystko w porządku?

Przyjrzała mu się i skinęła głową.

- Jasne. - Patrzyła na niego jeszcze przez chwilę, po czym odwróciła wzrok. - To takie dziwne. Kiedy myślę, jak podzielili się nasz kraj. Że ludzie muszą się uciekać do... - Pokręciła głową. - Kiedy staliśmy się tacy pełni nienawiści? I nietolerancyjni?

- Pewnie mniej więcej wtedy, gdy któryś z tych opętanych żądzą władzy sukinsynów doszedł do wniosku, że dzięki temu wygra wybory - zażartował Matt.

Uśmiechnęła się i zachichotała cicho.

- Dlaczego w telewizji nie tłumaczy się tego w ten sposób?

Nagle spochmurniała. Na jej twarzy pojawił się głęboki cień.

- O czym myślisz? - zapytał Matt.

- O ojcu Jerome. Jest... Trudno sobie wyobrazić bardziej uczciwego człowieka. I pomyśleć, że musiał przejść przez całe to piekło...

Matt w zamyśleniu skinął głową.

- To nie będzie dla niego łatwe, kiedy spisek wyjdzie na jaw.

Dziennikarka spojrzała na niego, a na jej twarzy malowała się troska.

- Może to zachwiać wszystkim, w co wierzył.

- Obawiam się, że to wcale nie jest najgorsze. Trzeba będzie zapewnić mu jakieś schronienie. Ludzie rozerwą go na strzępy.

Gracie aż się wzdrygnęła na tę myśl.

- Mamy przerąbane, jeżeli coś zrobimy, i przerąbane, jeżeli nie zrobimy nic.

Wzruszył ramionami.

- Właściwie nie mamy wyboru. Musimy coś zrobić.

- Racja - przyznała zrezygnowanym tonem Gracie, choć umęczenie widoczne w jej oczach wskazywało, że wcale nie jest to dla niej aż tak proste.

Matt milczał przez chwilę.

- Chciałbym ci podziękować - odezwał się w końcu. - Za to, że mnie poparłaś. Że nie zostawiłaś mnie samego.

Machnęła ręką.

- Po tym, przez co przeszedłeś? Uratowałeś mi życie.

- Mimo to rozumiem, że to nie było łatwe. Musiałaś odłożyć na jakiś czas swój temat życia. W końcu bez wątpienia byłabyś prawdziwą medialną gwiazdą, gdybyś weszła teraz do którejkolwiek redakcji i powiedziała kolegom, czego się dowiedziałaś.

- Myślisz, że jestem aż tak płytka? - Zaśmiała się.

- Nie płytka. Po prostu... pragmatyczna i ambitna.

Gracie uśmiechnęła się i ze smutkiem spojrzała w dal.

- Mam szansę zostać Woodwardem i Bernsteinem nowego stulecia - zażartowała. Zaśmiała się w duchu. - To zabawne. Wydaje się, że przez całe życie czekasz na coś takiego, żyjesz tą nadzieją i pracujesz ciężko, żeby się wydarzyło, wyobrażasz sobie ten moment, że pławisz się w chwale... A potem, kiedy ci się udaje...

- Kiedy do tego dochodzi, wszystko się zmienia - dokończył za nią Matt. - I to niekoniecznie na lepsze.

Spojrzała na niego.

- Właśnie.

Z jej oczu zniknęła rozbijająca iskierka. To, o czym marzy każdy reporter na świecie, w jej wypadku okazało się zwyczajnym koszmarem.

Matt skinął głową, wolał nie zagłębiać się w jej mroczne myśli. Zmusił się do lekkiego, choć pełnego wsparcia uśmiechu.

- Chodźmy. Zobaczmy, co przyniesie nam dzień. Potem coś się wymyśli.

ROZDZIAŁ 74

Drogi od wczesnego ranka były zakorkowane. Kilometry samochodów napływały ze wszystkich kierunków, zatykając pętlę i autostradę oraz wszystkie ulice prowadzące na stadion w parku Reliant. Czegoś takiego to miasto jeszcze nigdy nie widziało. Co więcej, czegoś takiego nie widziało jeszcze żadne miasto na świecie: przywodząca na myśl mrowisko procesja wyładowanych samochodów, zajmująca każdy centymetr kwadratowy asfaltu na wiele kilometrów wokół, ciągnąca w stronę największego ośrodka sportowego, rozrywkowego i konferencyjnego w kraju.

Poranek wstał czysty i piękny, a w południe temperatura dochodziła już do dwudziestu pięciu stopni i wszystkie parkingi były zapchane. Wokół stadionu, Reliant Astrodome, areny oraz centrum wystawienniczego znajdowało się ich ponad pięć. Zapewniały ponad dwadzieścia sześć tysięcy miejsc parkingowych, z których wszystkie były zajęte. Czterokołowa inwazja nie zakończyła się jednak w tym miejscu. Rozlała się na obszerny pusty plac, który niegdyś zajmował zburzony w 6 roku park tematyczny Six Flags Astroworld. Siedemdziesiąt pięć akrów płaskiego, wysypanego ziemią terenu, przylegającego do południowej krawędzi pętli autostrady, na którym dawniej dumnie pięły się kolejki górskie Greezed Lightnin i Ultra Twister, drżało teraz pod naporem niepowstrzymanej fali samochodów, ciężarówek i furgonetek.

Ludzie przybywali wszelkimi dostępnymi środkami lokomocji. MetroRail, żeby jakoś poradzić sobie z tłumem pasażerów, uruchomiło specjalnepociągi, których przedziały ledwo mieściły falującą masę przypartych do ścian ciał. Helikopterami przyleciały ekipy telewizyjne i reporterzy, którzy ustawiali anteny satelitarne i uwijali się, by zająć miejsca z najlepszym widokiem na płytę stadionu. Nad ich głowami krążyły policyjne śmigłowce pilnujące

kłębiącej się poniżej ludzkiej masy. Tuż po dwunastej bramy stadionu zostały zamknięte. Do środka zdołało się już wtedy dostać siedemdziesiąt trzy tysiące osób, które spędziły wiele godzin w kolejkach, czekając, by je przeszukano i przepuszczono dalej. Ostatni z chętnych siłą przepychali się przez tłum, rozpaczliwie usiłując dostać się na stadion. Kilku najbardziej krewkich rozhisteryzowanych wyznawców nie pogodziło się z odmową i wywołało w paru miejscach bójkę. Awantury wybuchały również gdzieś na parkingach, na których kierowcy walczyli ze sobą o miejsca postojowe. Zdumiewało jednak to, że większość tych, którzy zdecydowali się na podróż, zachowywała się spokojnie i słuchała poleceń służb. Policjanci wykonali kawał dobrej roboty, kierując pielgrzymów do odpowiednich miejsc i dbając o porządek. Ludzie Darbyego zatrudnili małą armię wolontariuszy, która zawiadowała tłumem na zewnątrz oraz pomagała znaleźć miejsce tym, którzy weszli do środka. Ochotnicy rozdawali darmowe butelki wody oraz broszury promujące ewangeliczne imperium pastora. Tłumy, które nie dostały się na stadion i zostały na parkingach, nie rozpamiętywały zbyt długo porażki. Ludzie przyjechali odpowiednio nastawieni i atmosfera natychmiast zrobiła się festiwalowa. Wierni otwierali bagażniki i urządzali na ich klapach pikniki. W powietrzu rozszedł się zapach pieczonego indyka i ajerkoniaku, rozbrzmiały kolędy. Do świętowania dołączały się całe rodziny - młodzi i starzy, duzi i mali, przedstawiciele wszystkich ras - i wkrótce bożonarodzeniowe przeboje dobiegały już z każdego zakątka gigantycznego pola różnokolorowych karoserii.

Wyruszyli wcześniej - zatrzymali się tylko na krótko na stacji benzynowej, gdzie kupili bejsbolówki i okulary sfoneczne, żeby osłonić sobie twarze - ale i tak trafili na korki. Minęli spłowiąły billboard z napisem: „Spotkajmy się u mnie w domu przed meczem. Bóg”, a zaraz potem na horyzoncie zamajaczył stadion.

Na jego widok, daleko nad autostradą, Mattowi minęło zmęczenie. Dodał mu otuchy. Nawet z tej odległości było jasne, że dach jest otwarty. Stadion, jako pierwszy z obiektów NHL, został wyposażony w ruchome zadaszenie - olbrzymi szyberdach, długi na sto pięćdziesiąt i szeroki na sto dwadzieścia metrów. Podtrzymujące go ogromne kratownice były rozsunięte i spoczywały na podporach po obu stronach boiska. Gdy Matt zobaczył, że są otwarte, poczuł, że krew krąży mu szybciej w żyłach. Mógł liczyć, że nad obiektem pojawi się znak. A zatem Danny znajdował się gdzieś blisko. Zaczynał naprawdę mieć nadzieję, że zobaczy brata żywego. Była to pocieszająca myśl, zwłaszcza po tym, co przeszedł przez ostatnie kilka dni.

Samochody utknęły w miejscu. Matt i Gracie zostawili Rydella i Daltona w wielkiej srebrnej półterenówce i ruszyli przed siebie pieszo. Zbliżając się do środkowej części obiektu,

Matt rozglądał się po całym kompleksie. Próbował nałożyć na niego plan sygnacyjny, jaki zarysował mu miliarder: wyrzutnie musiały być na zewnątrz, a przekaźnik w środku. Tok rozumowania Rydella był bardzo prosty. Wyrzutni sprężonego powietrza raczej nie dało się rozmieścić na terenie zatłoczonego stadionu, w obrębie jego murów. Z tak niewielkiej odległości ktoś mógł zauważyć wystrzelujące w niebo duże zbiorniki, nawet gdyby nie towarzyszył temu żaden odgłos. Z kolei przekaźnik laserowy, który ożywiał pyłki i nadawał znakowi kształt, musiał być umieszczony na samym stadionie. Kiedy dyskutowali nad tym, jak Drucker i jego ludzie zaaranżują całe widowisko, w pewnym momencie doszli do wniosku, że znak musi się pokazać w obrębie obiektu. Jeżeli mieli rację, wiązka wypuszczona z urządzenia umieszczonego poza jego terenem nie dosięgłaby celu. Nie była to dobra wiadomość. Oznaczała, że musieli prowadzić poszukiwania w środku - bez broni, zważywszy na kontrole bezpieczeństwa przy bramkach. Pewnym pocieszeniem było to, że najprawdopodobniej spiskowcy również chcieli, by znak pojawił się nad stadionem. Zawęzowało to możliwości. Na terenie obiektu nie było zbyt wielu miejsc, w których przekaźnik uzyskałby pole manewru umożliwiające mu śledzenie przez dach i na niebie czegoś tak dużego jak znak.

Musieli tylko odpowiedzieć sobie na pytanie, czy Danny ze swoją konsolą będzie przy przekaźniku czy przy wyrzutniach. A może, co również było możliwe, zupełnie gdzie indziej?

Tej trzeciej możliwości postanowili w ogóle nie brać pod uwagę. Poza tym zdawali sobie sprawę, że trudno im będzie prowadzić poszukiwania, jeśli wezmą pod uwagę dwie pierwsze. Nie mieli tylu ludzi, w dodatku tłum z pewnością znacznie spowolni ich działania. W wypadku wyrzutni dobra wiadomość to to, że ilość miejsc, w których mogły się znajdować, była dosyć ograniczona. Stadion po obu stronach otaczały wielkie parkingi, zbyt odsłonięte, by cokolwiek z nich wystrzeliwać. Zła - że kilka potencjalnych punktów znajdowało się w dużej odległości od siebie i przeszukanie ich w tak krótkim czasie było zupełnie niemożliwe.

Właśnie dlatego postanowili się rozdzielić. Matt i Gracie mieli przeczesać stadion w poszukiwaniu przekaźnika, a Rydell i Dalton teren wokół, na którym mogły znajdować się wyrzutnie.

Postanowili wziąć byka za rogi i ustawili się cierpliwie w kolejce. W końcu, tuż przed zamknięciem bramek, udało im się dostać do środka. Rydell i Dalton nieopodal przedzierali się mozolnie przez parking, zbliżając się do wschodniego krańca czerwonej strefy w pobliżu Reliant Center. Znaleźli wreszcie miejsce na samym końcu parkingu, tuż przy ogrodzeniu, gdzie mieli nadzieję, że nikt ich nie zauważy.

Matt i Gracie ostrożnie posuwali się naprzód. Gdy tylko minęli bramkę, ze wszystkich stron zaatakował ich hałas i harmider. Sam obiekt - monumentalne stalowoszklane koloseum dwudziestego pierwszego wieku - przytłaczał swym ogromem. Nad jego otwartym dachem rozpościerało się czyste niebo i widok wprost zapierał dech w piersiach. To, czym przywitały ich ogromne przestrzenie stadionu, nie przypominało niczego, co do tej pory doświadczyli w życiu. Zajęte były dosłownie wszystkie miejsca. Dziesiątki tysięcy ludzi rozmawiały, śmiały się, śpiewały i czekały. Pełen przekrój Amerykanów wszelkich ras jednoczyło wspólne pragnienie. Starsi mężczyźni z przylizanymi włosami stali ramię w ramię z nastolatkami, bywalcami galerii handlowych. Pary w średnim wieku trzymały się za ręce lub nosiły na rękach swoje młodsze klony. Japiszoni w spodenkach i koszulkach polo tłoczyli się obok hydraulików w kombinezonach. Starannie uczesane teksańskie matrony w eleganckich europejskich chustach obok striptizerek o bujnych fryzurach, wtłoczonych w nabijane ćwiekami kowbojskie kapelusze. Biali, czarni, Latynosi - wszyscy rozpaleni wyczekiwaniem, pijani myślą, że zobadzą nowego mesjasza, radośni i podnieceni, rzucający się sobie w ramiona, całujący się, machający do siebie, plotkujący i śpiewający w rytm rozlegających się przez głośniki piosenek Casting Crows i Bethany Dillon.

Spojrzawszy w dół na rozciągającą się tam płytę stadionu, Matt natychmiast się zorientował, że prawidłowo wszystko rozplanowali. Na środku umieszczono dużą scenę. Na teren wokół niej publiczność nie miała wstępu. Rozstawiały się tam ekipy telewizyjne, reporterzy i fotografowie. Stacje telewizyjne w całym kraju, a może i na całym świecie, prawdopodobnie miały zostać uprzedzone, kiedy ojciec Jerome pojawi się na scenie. Matt spojrzał na wiszący na górze zegar. Wskazywał pierwszą. Zgodnie z improwizowanym zaproszeniem Darbyego, uroczystość miała się zacząć o piątej. A zatem mieli z Gracie na poszukiwania cztery godziny. Mogłoby się wydawać, że to mnóstwo czasu, ale wcale tak nie było. Obiekt był ogromny. A chociaż z jednej strony wielkość tłumu działała na ich korzyść, zapewniając im osłonę, z drugiej - nie ułatwiała im zadania. Przez żywą barierę ludzi tak trudno było się przedostać, że wydawało się, iż droga do głównej hali ciągnie się w nieskończoność. Przypominało to pływanie w melasie. Gęsty tłum zasłaniał również to, co majaczyło za cizbą kiwających się głów oraz galaretowatych brzuchów, i nawet mężczyźnie tak wysokiemu jak Matt trudno było cokolwiek dojrzeć.

Rozglądał się wokół, błędząc wzrokiem po kolejnych poziomach foteli wznoszących się na górze, szukając przekaźnika tak małego, że można by go ukryć w luku bagażowym.

- Gdzie zaczynamy? - zapytała Gracie.

Matt wzruszył ramionami. Zadanie było niewykonalne. Musiał zawęzić obszar poszukiwań, jeżeli w ogóle chcieli liczyć na sukces. Wrócił myślami do założeń, jakie przyjęli. Stadion miał dosyć standardowy kształt szerokiego prostokąta o zaokrąglonych na zewnątrz dłuższych bokach. Siedzenia umieszczono w nim na kilku poziomach - dokładnie pięciu, wznoszących się skośnie, przedzielonych przez trzy rzędy łóż nad drugim, czwartym i najwyższym poziomem. Matt rozejrzał się, usiłując gdzieś umiejscowić niewidzialny stożek promienia laserowego, który miałby sterować inteligentnym proszkiem. Wyobraził sobie znak pojawiający się na górze i spróbował wytypować najlepszy punkt obserwacyjny dla przekaźnika. Jego wzrok przyciągnęły łoże. Zapewniały zarówno odpowiednią osłonę, jak i prywatność. Pomiędzy te na najwyższym poziomie. Znajdowały się tuż poniżej boków dachu. Stwierdził, że nie dałoby się uzyskać z nich właściwego kąta, by kontrolować znak, oczywiście jeżeli plan faktycznie polegał na tym, by wyświetlić go nad stadionem. Zostawały więc dwa niższe rzędy łóż, na poziomie czwartym i drugim, oraz łoże klubowe na trzecim. Po jednym rzędzie wzdłuż obu bocznych krawędzi. W sumie sześć rzędów łóż.

- Tam - powiedział, wskazując wyższy rząd. Postanowił zacząć od niego i schodzić coraz niżej.

Gracie skinęła głową i ruszyła za nim. Wyszli ze swojego sektora, kierując się w stronę głównej hali oraz schodów.

Na skraju parkingu Dalton zamocował do Draganflyera czarne śmigło z włókna węglowego i dociągnął paski uprząży przytrzymującej powietrzną kamerę. Przez noc naładował litową baterię i zabawka była teraz gotowa do użycia. Rozłożył ją w bagażniku lincolna, z dala od oczu ciekawskich. Gdy skończył, rozejrzał się podejrzliwie wokół siebie, szukając potencjalnego zagrożenia. Nie mógł się powstrzymać. Ciągle nie mógł pogodzić się z myślą, że Finch został zamordowany, i to tak bezwzględnie i bez trudu. Potrafił sobie radzić z milicją czy rozwścieczonym tłumem na Bliskim Wschodzie lub w krajach afrykańskich. Ale cichy, anonimowy zabójca w czarnej sutannie, który zakrada się do człowieka od tyłu i strąca go z dachu - przyprawiało go to o dreszcze.

Sprawdził raz jeszcze konsolę pilota. Stwierdziwszy z satysfakcją, że niczego nie pominął, odłożył ją na bok i zerknął na zegarek. Zostały niecałe trzy godziny. Mimo że jego zabawka mogłaby się naprawdę przydać przy przeczesywaniu terenu, doszli do wniosku, że lepiej jej nie używać przed pojawieniem się znaku. Byłoby to zbyt ryzykowne. Nie chcieli, by zestrzelił ją jakiś podekscytowany pielgrzym, gliniarz czy może, czego również nie należało wykluczać, któryś z ludzi Druckera. Postanowili z Rydellem raczej przeszukać teren wokół

stadionu pieszo, poruszając się w przeciwnych kierunkach od końca parkingu, zanim zrobi się ciemno.

Rozejrzał się. Zdał sobie sprawę, że to nie będzie proste. Plac roił się od samochodów i ludzi tłoczących się pod strzelistym murem stadionu. Wzruszył ramionami, spróbował wyrzucić z umysłu obraz Fincha strącanego z dachu, i rozpoczął poszukiwania.

Keenan Drucker zerknął na zegarek. Zostały dwie godziny. Zmarszczył brwi. Nic nie szło zgodnie z planem. ¡Zupełnie nic.

Strata Rydella była ogromnym ciosem. Drucker nie mógł się pogodzić z tym, że znalazł się w kropce. Nie miał nawet pojęcia, co miliarderowi chodzi po głowie. Wydarzenia toczyły się w zbyt gwałtownym tempie. Rydell z pewnością był strzępką nerwów, a to oznaczało, że będzie działał w nieprzewidywalny - albo, co gorsza, irracjonalny - sposób. Czy pod wpływem impulsu pociągnie ich wszystkich na dno, nawet jeżeli oznaczałoby to, iż sam podzieli ich los? A może wycofa się, przegrupuje siły i spróbuje znaleźć jakieś wyjście, dzięki któremu uwolni się od podejrzeń?

Drucker nie był pewien. Miał nadzieję, że miliarder zdecyduje się na to drugie. W ten sposób dałby jemu samemu czas na przegrupowanie sił. Najwyższa pora wymyślić alternatywny plan. Rozpaczliwie go teraz potrzebował.

Zmarszczył jeszcze bardziej brwi, wbijając wzrok w portret swego syna w ramce, stojący na krawędzi biurka. Czuł, że go zawiodł. Zawiodł jego pamięć - nie udało mu się nadać sens jego bezsensownej śmierci.

„Tym razem cię nie zawiodę” - poprzysiął w duchu, zaciskając mocno pięści, tak że odpłynęła z nich krew i przybrały odcień trupiej bieli.

- Musimy przyspieszyć realizację planu - dobiegł do niego ze słuchawki głos Maddoxa.

Żołnierz mówił ponurym głosem, wydawał się pokonany. Drucker nigdy jeszcze go takim nie słyszał.

- Nie możemy tego zrobić - jęknął zniecierpliwiony. - Przecież Rydell jest na wolności. Trafiłeś na jakiś ślad jego córki?

- Nie. Samolot wysadził ją w Los Angeles. Nie używa komórki ani kart kredytowych. Na jakiś czas wypadła z gry.

Drucker westchnął.

- Szukają brata. Sherwooda obchodzi tylko to. Jesteście na to gotowi?

- Jesteśmy - potwierdził krótko Maddox.

- W takim razie kończcie sprawę - rozkazał mu polityk i się rozłączył.

ROZDZIAŁ 75

Popołudnie zamieniło się w wieczór, kolor nieba z jasnoniebieskiego przeszedł w delikatny róż. Zegar wskazywał parę minut po piątej. Matt i Gracie ciągle niczego nie znaleźli. Zaczęli od górnych partii widowni i wkrótce przeszli do niższych, ale wszystko na darmo. Widowisko miało się właśnie zacząć, a im ciągle jeszcze zostało sporo miejsc do przeczesania.

Sprawdzanie łóż nie było łatwą czynnością. Imprezy nie planowano wcześniej i na wszystkie miejsca na stadionie był wstęp wolny - z wyjątkiem właśnie łóż. Matt i Gracie szybko się zorientowali, że większość z nich zarezerwowano dla osobistych gości Darbyego, niektóre dla mediów, a pozostałe dla gości innych duchownych, których pastor zaprosił do wspólnego celebrowania. Dostęp do sektorów VIPowskich był ograniczony, co starannie kontrolowali wyrośnięci ochroniarze w czarnych bluzach, którzy znali doskonale wszystkie przekręty. Mimo to Gracie udało się dostać do rzędów na czwartym i klubowym poziomie: oczdrowała po prostu kilku dysponujących zaproszeniami ważniaków, ci wprowadzili ją do środka, a ona z kolei pociągnęła za sobą Matta. Przeszukali wszystkie łóże - po czterdzieści pięć w rzędzie - wypatrując nowoczesnego sprzętu i ludzi, którzy nie wyglądaliby na amatorów duchowego przeżycia. Niczego i nikogo jednak nie znaleźli.

Właśnie skończyli sprawdzać pierwszy rząd łóż na poziomie klubowym, gdy muzyka ucichła, a światła przygasły. Wszyscy rzucili się do przodu, próbując zapewnić sobie lepszy widok. Matt i Gracie również podeszli bliżej. W umieszczonych wysoko nad głowami widzów głośnikach rozbrzmiała pieśń i na scenę wszedł stuosobowy chór wielebnego Darbyego, dostojnie zajmując miejsca i śpiewając *Let There Be Light*. Tłum zawył dziko, klaszcząc i wiwatując, po czym dołączył do pieśni. Efekt był niesamowity. Siedemdziesiąt tysięcy wiernych zaśpiewało jednym głosem, a kiedy hymn podchwyciły kolejne tysiące za murami stadionu, chór wyznawców rozbrzmiał po całym wieczornym niebie Houston.

Matt zmarszczył brwi. Wkrótce miał się pojawić ojciec Jerome, a oni nadal nie trafili na ślad Danny ego lub bandytów, którzy go więzili. Musiał podjąć decyzję. Wybrać kilka najbardziej prawdopodobnych miejsc i zapomnieć o reszcie. Nie było czasu. Przesunął wzrokiem po zaciemnionym stadionie, zatrzymał go na dwóch sektorach za rzędami łóż, które ciągle przeszukiwali: na dwóch rzędach na poziomie drugim. W każdym z nich znajdowało się trzydzieści dziewięć łóż, których sprawdzenie musiało zająć sporo czasu. Wiedział, że

będą musieli zrezygnować z przeszukania głównych rzędów. Pozostało im liczyć na łut szczęścia.

Pieśń umilkła i na scenę wszedł Darby, upajając się dzikim aplauzem. Na wielkim ekranie wideo zawieszonym nad jego głową pojawiło się zbliżenie jego twarzy.

- Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! - zawołał.

W odpowiedzi uzyskał gromkie: „Na wieki wieków, amen!”.

Matt i Gracie nie mieli zamiaru wysłuchiwać jego przemowy. Wymknęli się z łoży, by kontynuować poszukiwania.

Powoli sprawdzali resztę poziomu. Pół godziny później nadal nic nie znaleźli. Tymczasem na scenę weszło dwóch kolejnych megapastorów. Wygłosili gorące kazania, które spotkały się z równie entuzjastycznymi wiwatami. W przerwie między nimi największe gwiazdy chrześcijańskiego rocka odśpiewały razem z chórem swoje przeboje. Matt i Gracie zeszli do hali na poziomie trzecim i mieli już udać się na drugi, gdy nagle dziennikarka stłumiła okrzyk, odwróciła się na pięcie i schowała za szerokimi plecami Matta.

- Co jest? - zdziwił się.

Wyrzała, po czym znowu cofnęła się za niego.

- Ogilvy - powiedziała. - Jest tam.

Matt zacisnął pięści.

- Który to?

- Ten szczupły, przy sklepiku. Siwiejący, w okularach bez oprawek. Ma na sobie jasny garnitur.

Matt przyjrzał się tłumowi. Hala od ściany do ściany była wypełniona ludźmi. Kiedy kilka głów przesunęło się na bok, udało mu się dojrzeć mężczyznę odpowiadającego opisowi.

- Chodźmy - rzekł cicho, po czym wziął Gracie za rękę i zaczął się przedzierać przez tłum w stronę Ogilvyego. Zgubił go, ale po chwili znowu go zobaczył: jakieś piętnaście metrów z przodu przeciskał się w kierunku łóż. Szef Gracie miał niecałe metr siedemdziesiąt wzrostu i niełatwo było go wypatrzeć. Matt próbował przepychać się szybciej, ale tłum falował zbyt mocno, niczym ruchome piaski. Zauważył niewielką wyrwę i zanurkował ku niej - niestety, zderzył się tylko z dwoma farmerami, którzy również przedzierali się przez ciżbę od strony sklepiku. Jeden z nich wylał sobie na koszulę piwo i rozwścieczony odepchnął Matta.

- Gdzie leziesz, łachmyto! - warknął. - Pali się?

Matt zacisnął pięści, przymrużył oczy i miał już rzucić się na farmera, gdy nagle Gracie złapała go za rękę i poskromiła wymuszonym uśmiechem.

- Spokojnie, goliacie! - Odwróciła się do wściekłego wieśniaka i ubrała twarz w najmiłszy ze swoich uśmiechów. - Chłopaki, przecież nic się nie stało. Co wy na to, żeby wybaczyć sobie, zapomnieć o wszystkim i posłuchać kazania? Mamy święta, prawda?

Matt powstrzymał się i odczekał, aż farmer skinie głową. Ten zmarszczył brwi, zastanawiał się przez chwilę, po czym niechętnie kiwnął mu na zgodę. Matt odwzajemnił mu się tym samym, wziął Gracie za rękę i pociągnął ją w stronę tłumu. Niestety, nigdzie nie widzieli Ogilvyego. Wyciągnął szyję, stanął na palcach i rozejrzał się uważnie.

Ale Ogilvy zniknął.

W tylnej części parkingu Rydell i Dalton patrzyli z podziwem, jak tłum podejmuje pieśń, a potem milknie. Niektórzy wierni przynieśli ze sobą małe telewizory na baterie, wokół nich gromadzili się teraz wyznawcy, słuchając kazań i od czasu do czasu odpowiadając gromkim: „Amen”.

Rydell rozejrzał się po wypełnionym samochodami placu, po czym spojrzał w niebo. Za horyzontem niknęły ostatnie błyski słońca.

- Odpalmy go - powiedział. - Nie możemy dłużej czekać.

Dalton wyjął Draganflyera z samochodu i postawił na betonie. Skontrolował światła i pstryknął zamocowany pod kamerą przełącznik trybu nocnego. Następnie włączył silniki, rozejrzał się i poderwał helikopter w górę. Rozległ się przyciszony warkot domowego wentylatora dużej mocy, po czym zabawka wzbiła się w powietrze i po chwili zniknęła.

Rydell przyglądał się rozpościerającemu się w dole terenowi, próbując odgadnąć, gdzie mogą być umieszczone wyrzutnie. Na prawo, po drugiej stronie Kirby Drive, wznosiły się niskie budynki.

- Wyślijmy śmigłowiec w stronę tych domów - powiedział, wskazując w tamtym kierunku. Nagle jednak wpadł na inny pomysł. Przeniósł wzrok nad stadion. Nie dawało mu spokoju coś na jego osi północ-południe. Zmrużył oczy i zmienił zdanie. - Może jednak wyślij go tam - rzekł, wskazując północny sektor obiektu. Spojrzał na obraz emitowany z powietrznej kamery na ekran laptopa Daltona. Nocny tryb nadawał mu bladozieloną, nieco upiorną poświatę, ale szybki procesor działał jak trzeba i szczegóły były zadziwiająco wyraźne. - I obserwuj uważnie ekran.

- Cholera! - syknął Matt. - Zgubiliśmy go.

Przeczesał wzrokiem halę, ale Ogilvy zniknął w tłumie.

- Nasza stacja - podpowiedziała Gracie. - Może załatwili sobie lożę. Może tam zainstalowali ten przekaźnik.

- Niegłupi pomysł. Ale jak się dowiemy, która to loża? Nie widzę nigdzie listy gości. W tym chaosie niewiele zdziałamy.

Musieli się też liczyć z jeszcze jednym utrudnieniem. Na poziomie drugim znajdowały się dwa rzędy łóż, tyle że ulokowane po obu stronach stadionu. Pierwszy wychodził na wschód, na Reliant Astrodome. Drugi na zachód. Przedostanie się z jednego do drugiego wymagało przepchania się przez kolejny tłum ludzi.

- Nie zdążymy sprawdzić obu rzędów - powiedziała Gracie.

Nagle muzyka przeszła w fanfary grane na instrumentach dętych i światła na stadionie znowu przygasły. Tłum zamarł; wokół zapanowała całkowita, przejmująca cisza. W powietrzu czuć było niewiarygodne napięcie. W końcu na scenie znowu pojawił się Darby. Przywitał go ogłuszający ryk. Sycił się nim przez prawie minutę, po czym uniósł dłoń w uspokajającym geście i zadał tłumowi pytanie:-Jesteście gotowi?

Znów padła ogłuszająca odpowiedź:

- Tak!

- Bracia w Chrystusie, proszę was, przywitajcie gorąco w Houston i otwórzcie serca dla naszego specjalnego gościa, ojca Jerome!

Gdy na scenie pojawiła się drobna postać ojca Jerome, wszyscy obecni na stadionie zerwali się na nogi, klaszcząc i wiwatując entuzjastycznie. Wydawało się, że jest niewyobrażalnie mały; szurając stopami, podszedł do przodu i rozejrzał się w zdumieniu po tłumie. Wiszące mu nad głową ekrany, na których wyświetlano jego obraz, jeszcze bardziej pomniejszały go optycznie. Przy oślepiającym akompaniamencie tysięcy lamp błyskowych stanął na środku sceny i przywitał skromnym ukłonem Darbyego. Pastor zaprowadził go do mikrofonu, gestem zachęcił, by mówił, i wycofał się kilka kroków do cienia.

Matt i Gracie stanęli jak wryci, sparaliżowani reakcją tłumu. Wokół panowała atmosfera uwielbienia. Gracie patrzyła na zbliżenie twarzy ojca Jerome na ekranach. Spojrzał w górę, przyglądając się trybunom, wyraźnie przytłoczony skalą całego wydarzenia. Po jego czole spływały kropelki potu. Wydawało się, że nie wie, co powiedzieć. Tłum stał przez cały czas, czekając w napięciu na słowa Bożego wysłannika. Ojciec Jerome odchrząknął, rozejrzał się nieco lęklwym wzrokiem - i nagle wyraz jego twarzy się zmienił, tak jakby coś go zaskoczyło. Przechylił nieco głowę, zamrugał, przełknął i w końcu się odezwał:

- Dziękuję wam wszystkim za przybycie tutaj i za tak serdeczne powitanie.

Tłum odpowiedział gromkim: „Amen” oraz aplauzem.

Gdy ojciec Jerome zaczął kazanie, nagle w głowie Matta zaświtała pewna myśl.

- Muszę zadzwonić do Rydella! - powiedział do Gracie. - Szybko.

Dziennikarka miała ze sobą komórkę Daltona. Rydell zostawił sobie swoją. Wybrała jego numer i przekazała Mattowi aparat.

Rydell odebrał po pierwszym dzwonku.

- Wystartowaliście już kamerę powietrzną? - zapytał nagłym tonem Matt.

Miliarder wpatrywał się właśnie w ekran laptopa Daltona.

- Leci nad centrum medycznym, na północ stąd - powiedział. - I póki co nic.

- A co się stanie z jego połączeniem wideo, jeśli przetnie sygnał przekaźnika? - zapytał zadyszany głosem Matt.

- Najprawdopodobniej się zerwie - stwierdził Rydell.

- Ale nie zepsuje śmigłowca tak, żeby nie mógł już latać?

Miliarder zastanawiał się przez chwilę.

- Nie da się tego wykluczyć. Wiązka laserowa może siępkazać silniejsza od sygnału z panelu zdalnego sterowania. Kiedy znajdzie się w jej zasięgu, możemy stracić kontrolę nad helikopterkiem. Może się również spalić.

Dalton spojrzał na niego z niepokojem.

- Musimy zaryzykować - zabrzmiał w słuchawce głos Matta. - Wyślij go do nas, na stadion. To jedyny sposób, żeby się dowiedzieć, skąd jest wysyłany sygnał.

- Okej - zgodził się Rydell. Wskazał powietrze palcem i przeniósł go ponad stadion, nakreślając Daltonowi kierunek. - Miejmy nadzieję, że dotrze tam w jednym kawałku. - Odwrócił się do kamerzysty i powiedział: - Wchodzimy.

Dalton, używając ekranu za przewodnika, zawrócił joystickiem czarną powietrzną kamerkę. Rydell nachylił się nad nim, nie odrywając wzroku od monitora. Gdy kamerzysta prowadził Draganflyera po łuku, kierując go w stronę stadionu, nagle drgnął i zawołał:

- Widziałeś to?

Dotknął palcem ekranu, ale helikopterek oddalił się już i punkt, który wskazywał, zniknął z monitora.

- Co? - zapytał Dalton.

- Coś tam było. - Przesunął palec na lewy górny róg ekranu. - Na dachu. Możesz obrócić kamerę i wycelować ją do tyłu?

Dalton z napięciem wykonał joystickiem kilka mikropoprawek.

- Nie da się zrobić pełnego obrotu o sto osiemdziesiąt stopni, gdy jest ustawiona do przodu. Mogę ją trochę obrócić i zacząć się cofać, ale helikopterek lada chwila dotrze do stadionu, a nie chciałbym lecieć na ślepo.

Rydell zmarszczył brwi i skinął głową.

- W porządku, leć dalej. Wrócimy do tego.

- Jeśli będziemy mieli czym - zmartwionym głosem skomentował Dalton.

Matt i Gracie przyglądali się prostokątnemu wycinkowi czarnego nieba nad stadionem i czekali, aż ojciec Jerome skończy kazanie.

- Matt, on to robi - powiedziała dziennikarka, wskazując scenę.

Spojrzał w dół, ciągle przyciskając telefon do ucha.

- Pospieszcie się, chłopaki.

- Już prawie jesteśmy - odparł Rydell z wyraźnym napięciem w głosie.

Na scenie ojciec Jerome odchylił głowę i powoli unosił odwrócone dłońmi do góry ręce, zatrzymując je, gdy znajdowały się nieco powyżej linii wyznaczającej poziom, tak jakby miał złapać ogromną piłkę. Tłum zadrżał, a oczy wszystkich wbiły się w powietrze pod otwartym dachem.

- Módlcie się ze mną - zachęcił wyznawców ojciec Jerome. - Módlcie się ze mną, by Bóg dał nam znak, by poprowadził nasze myśli i pomógł wypełnić swą wolę.

Tłum zaczął poruszać ustami w modlitwie i przez trybuny przetoczył się pomruk. Nagle z tysięcy gardeł wydobył się stłumiony okrzyk: nad ojcem Jerome pojawiła się kula światła. Wirujący, zamglony nieco glob początkowo był niewielki - miał jakieś dwa, trzy metry średnicy. Na trybunach rozbłysły flesze. Kula unosiła się przez kilka sekund w powietrzu i zaczęła rosnąć. Kiedy jej zewnętrzna krawędź była już w pół drogi do głowy ojca Jerome z jednej strony i dotarła do wysokości stadionu z drugiej, zatrzymała się na chwilę, płonąc na tle migających lamp, po czym rozbłysnęła pełną mocą i zamieniła się w znaną już widzom, gigantyczną sferę światła.

Tłum zamarł i gdy znak obracał się na jego oczach, na stadionie zapanowała nerwowa cisza. Potem, niczym fala przełamująca tamę, na trybunach wybuchła euforia, zamieniając się wkrótce w potężny krzyk, głośniejszy od najbardziej gromkiego wiwatu, jaki kiedykolwiek wywołało w tym miejscu najlepsze nawet przyłożenie. Tłum krzyczał: „Amen” i „Alleluja”, machał rękami, ludzie w uwielbieniu i zachwycie tulili się do siebie nawzajem. Wierni się żegnali. Wiele osób zemdlało, inne zawodziły ogarnięte histerią. Jednak większość wiernych po prostu wpatrywała się z niedowierzaniem w cud, a po ich policzkach spływały łzy radości.

Matt poczuł na skórze mrowienie. Po raz pierwszy widział znak na żywo i jego siła powaliła nawet jego. Musiał sobie ciągle przypominać, że nie jest to żadne ponadnaturalne zjawisko. Że to robota Dannyego. Że jego brat odegrał kluczową rolę w wywołaniu tego „cudu”.

Czuł jego obecność. Bardziej niż kiedykolwiek zapragnął go odnaleźć.

Spojrzał w górę i mruknął do telefonu:

- Gdzie jest helikopter?

- Już w środku - poinformował go Rydell. - Właśnie wleciał na stadion od północnej strony.

ROZDZIAŁ 76

Matt wyteżał wzrok, próbując wypatrzeć niewielki czarny helikopter - i nagle go zauważył. Był ledwo widoczny, bo dzięki matowemu kamuflażowi zlewał się z ciemnym niebem, ale mimo to Matt wyraźnie dostrzegł, że się zbliża. Nie odrywając od niego oczu, ocenił jego pozycję, za punkt odniesienia przyjmując rząd łóż. Doszedł do wniosku, że najlepiej będzie zacząć od tych usytuowanych po wschodniej stronie.

- Okej, obniż go trochę, aż do dolnej krawędzi znaku, i leć wokół stadionu w kierunku przeciwnym do ruchu wskazówek zegara - powiedział Rydellowi. - I daj znać, jak wychwycisz jakieś zakłócenia.

- Dobra - potwierdził miliarder.

Na parkingu Rydell i Dalton z zapartym tchem obserwowali na ekranie laptopa, jak Draganflyer nurkuje w stronę płyty stadionu i zaczyna okrążyć znak. Ludzie wokół nich tłoczyli się przy wiernych, którzy przynieśli telewizory, i z zachwytem obserwowali cud.

- No to lecimy - mruknął Dalton, czując, jak strach ściska go za gardło.

Gdy niewielki helikopter zaczął szerokim łukiem przeczesywać stadion, Matt ledwo był w stanie utrzymać na nim wzrok. Ciągle przyciskał do policzka komórkę, czując, jak puls wali mu w uszach. Gracie również była czujna i przyglądała się uważnie wejściu za nimi, ciągle zaniepokojona obecnością Ogilvyego.

Na trybunach tłum nadal był zafrapowany rozgrywającym się na jego oczach cudem. Znak - gigantyczna kula mieniającej się energii - unosił się w powietrzu. Dzięki jakiejś niewidzialnej sile ciągle przyciągał wzrok Matta. Trudno było oprzeć się pokusie i nie patrzeć na niego, ale gdy tylko na niego spoglądał, natychmiast odwracał się z powrotem stronę ostatniej pozycji Draganflyera, próbując skoncentrować się na czarnym maleńkim punkciku.,

Powietrzna kamera prawie dotarła już do południowego krańca wschodniego rzędu łóż, gdy nagle w uszach Mattowi zadźwięczał krzyk Rydella:

- Mamy coś! Niech to szlag, tracimy go!

Matt wyciągnął szyję, tak jakby te kilka centymetrów miało poprawić mu widoczność. Zobaczył, że helikopterek wpada w drgania, po czym szybuje jak kamień w dół, tak jakby nagle stracił moc silników albo oberwał wielką niewidzialną packą na muchy.

Czuąc, że serce bije mu coraz szybciej, obserwował, jak maszyna gwałtownie spada. Szybko jednak oderwał od niej wzrok i wbił go w łożo wychodzące na miejsce, w którym Draganflyer wisiał po raz ostatni. Były to ostatnie boksy w południowowschodnim rogu stadionu.

- Idziemy! - zawołał do Gracie, łapiąc ją za rękę i ciągnąc w stronę hali.

Puścili się biegiem ku windom.

- Cholera! - zaklął Dalton, straciwszy kontrolę nad Draganflyerem. Serce waliło mu jak młotem, na twarzy malowała się panika, a palce desperacko szarpały joystickiem, próbując wywołać jakąkolwiek reakcję helikoptera.

Obraz na ekranie laptopa zgasł i zastąpiły go szare zakłócenia oraz szum, który jeszcze pogarszał sprawę.

- Kurwa, to kogoś zabije! - wrzasnął.

I nagle obraz na ekranie zamigotał i wrócił do życia. Nie był to jednak pocieszający widok - kamera szybowała w stronę rosnącego w oczach tłumu.

- Poderwij go! - zawołał Rydell.

- Próbuję! - odkrzyknął Dalton.

Ludzie w obiektywie kamery stawali się coraz więksi i wyraźnie było widać ich rozszerzone ze strachu oczy, jakby nagle dostrzegli pędzący w ich stronę statek kosmiczny. Byli przerażeni, ale w tym samym momencie helikopterek obudził się i poderwał łukiem nad głowami wiernych, omijając je i lecąc w górę, by po chwili zawisnąć bezpiecznie nad dachem stadionu.

Dalton głośno odetchnął z ulgą i z błyskiem dumy w oczach spojrzał na Rydella.

- Kto wpadł na ten genialny pomysł? - zapytał drżącym głosem.

Miliarder poklepał go po plecach.

- Dobra robota, stary. Dobra robota. A teraz zabieraj go stamtąd i sprawdźmy ten budynek.

Wokół nagle wybuchła wrzawa. Rydell i Dalton odsunęli się od bagażnika półciężarówki i spojrzeli w niebo nad stadionem. Przez parking przetoczyła się fala zdumionych okrzyków.

Znak powoli unosił się w powietrzu coraz wyżej i jego zakrzywiona, srebrna świetlista krawędź wynurzyła się znad dachu stadionu.

Matt wyskoczył z windy na poziomie drugim i pobiegł przez płytę prowadzącą do wejścia do łóż. Gracie starała się go dogonić. Tłum znikł, wokół nie było nikogo. Wszyscy oglądali cud. Wyparowali również bramkarze, którzy pewnie razem z gośćmi podziwiali zjawisko w jednej z łóż.

Zbliżali się od północy, a interesująca ich loża znajdowała się po drugiej stronie hali, w południowej części sektora. Gdy Matt biegł przez zakrzywiony pawilon, wydarzyły się dwie rzeczy. Na stadionie musiało się coś zmienić, gdyż przez drzwi łóż dobiegły do nich odgłosy ochów i achów. Jednocześnie zobaczył, że od strony boksów zbliża się do nich mężczyzna, na którego widok Gracie krzyknęła przeraźliwie:

- Matt!

Facet miał siwiejące włosy, okulary bez oprawek na nosie, jasny garnitur i wyglądał na szczupłego. Obaj rozpoznali się natychmiast i Ogilvy aż podskoczył ze zdziwienia, ale nie miał czasu, by wykonać jakikolwiek ruch, bo Matt rzucił się na niego, nawet nie zwalniając, złapał za ręce, obrócił go i uderzył nim o ścianę. Ogilvy jęknął boleśnie, a Matt całym ciałem naparł mu na plecy i przydusił go. Poczul w świeżej ranie ukłucie bólu, ale starał się nie zwracać na nie uwagi i dzielił przeciwnika pięścią w nerki.

Mężczyzna zgiął się wpół. Matt działał jak automat. Nie ustępował nawet na sekundę. Złapał Ogilvyego za prawą rękę, wykręcił mu ją za plecami i szarpnął, niemal wrywając ją ze stawów, po czym pchnął mężczyznę do przodu i poprowadził prawie biegiem przez halę.

- W której są loży? - warknął.

Ogilvy zwiesił głowę, kiwając nią to w lewo, to w prawo jak zamroczony bokser. Ledwo stał na nogach.

- Która? - zapytał ponownie Matt, popychając nieszczęśnika. Wiedział, że loża, której szuka, jest ostatnia w rzędzie, i tak naprawdę nie potrzebował odpowiedzi Ogilvyego. Domyślał się, że musi się ona odróżniać od pozostałych. Wszystkie inne miały drzwi szeroko otwarte, a w ich wnętrzu liczni wierni tłoczyli się przy barierkach przypominających ladę w barze. Przypuszczał, że chłopcy Maddoxa nie byli aż tak gościnni i starannie zamknęli drzwi. Może nawet ktoś ich pilnował z zewnątrz. Po kilku sekundach okrążyli halę. I rzeczywiście, ostatnia loża była zamknięta. Matt przycisnął Ogilvyego do drzwi i zastukał w nie, jednocześnie wykręcając mężczyźnie ramię tak wysoko, że niemal złamał mu łopatkę.

- Poproś, żeby otworzyli, grzecznie i uprzejmie - syknął mu do ucha.

- Tak? - dobiegł z wnętrza opryskliwy głos.

Ogilvy przełknął ślinę.

- To ja, Ogilvy - wydusił z siebie, bezskutecznie starając się mówić spokojnie.

Mężczyzna za drzwiami pewnie się zawahał, bo nie otworzył ich natychmiast, ale dopiero po chwili, i to uchylając je na zaledwie kilka centymetrów Matt, jak tylko usłyszał trzask otwieranego zamka, poderwał Ogilvyego, zrywając mu cięgną w ramieniu, i cisnął nim niczym pionowym taranem o drzwi. Te odskoczyły do tyłu, uderzając stojącego za nimi mężczyznę w twarz. Były solidne i dźwiękoszczelne. Łupnęło tak, jakby Matt dzielił zbirą kijem bejsbolowym. Zwaliło go z nóg, a z ręki wypadł mu pistolet, który potoczył się z głuchym łoskotem po podłodze. Matt wpadł do środka, trzymając przed sobą Ogilvyego jak tarczę. Oprócz leżącego przed nim mężczyzny zauważył jeszcze dwóch. Czekali na niego z wycelowanymi w drzwi, zaopatrzonymi w tłumiki pistoletami. Matt nie zwolnił. Parł dalej przed siebie pod osłoną ciała Ogilvyego i pięcioma długimi krokami dotarł do przeciwległego krańca pomieszczenia. Ogilvy rzucił się do przodu i zaczął miotać we wszystkie strony, gdy kilka kul utkwilo mu w piersi, ale strzelcy nie zdążyli wycelować w Matta, wcześniej znalazł się tuż przy nich. Cisnął Ogilvym w jednego z nich, a sam rzucił się na drugiego, chwytając obiema dłońmi jego uzbrojoną w pistolet rękę i odsuwając ją, a jednocześnie wymierzając mężczyźnie z całej siły cios łokciem w podbródek. Usłyszał trzask łamanych kości i odwrócił się, ciągle ściskając nadgarstek przeciwnika i obracając go o dziewięćdziesiąt stopni w stronę drugiego strzelca, który zajęty był spychaniem z siebie zakrwawionego ciała Ogilvyego. Dwa wytłumione pistolety zatoczyły łuk i wycelowały w siebie nawzajem, tyle że Matt był ułamek sekundy szybszy i zdążył pociągnąć za spoczywający na spuście palec trzymanego przez siebie mężczyzny. Lufa wypłula kulę, która trafiła strzelca po drugiej stronie prosto w szyję. Rzucił się do tyłu, a między jego łopatkami wykwitła fontanna krwi. Kula śmignęła obok Matta i utkwila w ścianie z tyłu.

Matt poczuł, że strzelec za jego plecami się rzuca. Wbił mu łokieć w gardło. Ciało mężczyzny zeszytniało, a z jego ust wydobył się bolesny gulgot. Nagle Gracie krzyknęła znowu: „Matt!”. Matt odwrócił się w stronę wejścia do łoży i spojrzał na mężczyznę, który dostał drzwiami w twarz. Jej połowa błyszczała od purpurowoczerwonej posoki. Musiało go naprawdę boleć. Ciągle klęczał, ale zaczął się już wyprostowywać, wbijając wściekły wzrok w Matta. Właśnie wyciągał broń, gdy Gracie z wrzaskiem rzuciła się na niego z boku. Strzelec zareagował błyskawicznie - wyciągnął rękę i odepchnął dziennikarkę, tak że trzasnęła o ścianę za nim, ale Matt zdobył w ten sposób kilka cennych sekund, potrzebnych, by znowu zabawić się w animatora lalki: uniósł rękę zwisającego za nim mężczyzny i posłał kilka kulek prosto w zakrwawioną twarz strzelca.

Przez sekundę łapał oddech, pozwalając, by serce wróciło mu do rytmu choć odrobinę przypominającego normalny, po czym wyszarpnął mężczyźnie pistolet z dłoni, kopniakiem

odepchnął go na bok i z trudem podniósł się na nogi. Gracie, na której twarzy ciągle malował się szok, też już wstała i podeszła do niego.

Rozejrzał się po łoży i nagle zdał sobie sprawę, co tak naprawdę się wydarzyło. W pókoju nie było przekaźnika. Ani żadnej konsoli sterowniczej. Ani Dannyego. Wrócił myślami do Ogilvyego, krążącego po stadionie, do pozycji strzelców, w jakiej ich zastał, wdzierając się do łoży. To była pułapka. Czekali na niego, a Ogilvy miał go tutaj zwabić. Przekażnik musiał się znajdować gdzieś w pobliżu - sygnał nadawano z trybun - ale nie miało to już właściwie znaczenia. Zdał sobie sprawę, że spiskowcy nie ryzykowaliby, sprowadzając Dannyego na stadion. Musiał być gdzieś na zewnątrz. Chyba że sterował przekaźnikiem z jakiegoś miejsca na drugim końcu stanu albo kraju.

Opadły mu ręce. Zmarszczył brwi, gdy Gracie podeszła kilka kroków i wyjrzała na płytę stadionu przez szybę biegnącą w łoży od podłogi do sufitu. Dołączył do niej. Znak wlatywał przez otwarty dach w niebo. Jego dolna krawędź znajdowała się tuż poniżej linii zadaszenia, zagłębiając się w pusty sześcian powietrza nad płytą. Ojciec Jerome ciągle stał na scenie z wyciągniętymi rękami, modląc się cicho. Wierni na trybunach również stali.

Nagle Matt usłyszał dziwne ćwierkanie. Stwierdził po chwili, że to telefon Daltona. Dzwonił Rydell.

Odebrał.

- Chyba ich mamy - poinformował zdyszczym głosem miliarder. - Bierzcie dupy w troki. Są tutaj.

ROZDZIAŁ 77

Gdzie? Co się dzieje? - zapytał ożywionym głosem Matt.

- Przy wjeździe na parking od północnej strony stoi wysoki budynek - wyjaśnił Rydell. - Pewnie hotel, nie jestem pewien. W każdym razie jest tam z boku basen i parking wokół. Na dachu siedzi czterech gości. Mają wyrzutnie.

Słowa te podziały na zmysły Matta niczym dopalacz. Wyjrzał przez szklaną ścianę. Znak ciągle unosił się nad stadionem. Przypomniawszy sobie, że według Rydella może być widoczny tylko około piętnastu minut, a potem się wypala. Wiedział, że w takim razie zostało kilka minut, zanim zniknie, a razem z nim załoga obsługująca wyrzutnie. I że zabiorą ze sobą Dannyego, jeżeli oczywiście jest z nimi.

- Gdzie jesteś? - zapytał.

- We wschodniej części parkingu, przy centrum.

Matt przypomniał sobie rozkład parkingu, który poprzedniego dnia przestudiowali na stronie internetowej.

- Jeżeli więc wyjdę północną brtarką...

- Idź prosto przez parking - przerwał mu Rydell - a na pewno na niego trafisz, to jakieś pięćset metrów od wyjścia.

- W takim razie wychodzę. Nie rozłączaj się, informuj mnie o wszystkim. - Odwrócił się do Gracie. Na jego twarzy malowała się nadzieja. - Namierzili wyrzutnie. Idę tam. - Przekroczył powalonych strzelców, zabrał im oba pistolety i wetknął je sobie za pas. Wyciągnął ze spodni koszulę i opuścił ją, maskując broń. - Chodźmy. Wrócisz do samochodu i poczekasz z pozostałymi.

- Nie możesz tam iść sam - zaprotestowała.

- Nie mam wyboru - odparł. - Musimy wychodzić.

Na parkingu Rydell i Dalton stali ciągle ze wzrokiem wlepionym w ekran laptopa. Draganflyer krążył w miejscu jakieś siedemdziesiąt metrów nad celem, a jego noktowizyjny obiektyw nastawiony był na pełne zbliżenie. Prawdopodobnie byli jedynymi ludźmi w promieniu kilku kilometrów niewpatrującymi się w gorejący znak, który właśnie wznosił się ponad dach stadionu i zawisł w powietrzu. Widok był hipnotyzujący, fascynujący. Można go było zobaczyć z odległości wielu kilometrów. Tysiące gapiów na parkingach i zakorkowanych autostradach stało jak wrytych, całkowicie pochłoniętych niezwykłym zjawiskiem.

Rydell zerknął na zegarek. Wiedział, co się za chwilę stanie, i faktycznie, zaczęło się niemal w tym samym momencie. Znak zapulsował lekko, jak bijące serce, po czym po prostu zgasł niczym zdmuchnięta świeczka. Tłum zareagował, głośno wciągając w płuca powietrze, a wokół rozległy się okrzyki: „Chwalmy Pana!” i „Amen”.

Spojrzał na ekran. Mężczyźni na dachu błyskawicznie pakowali sprzęt. Wiedział, że są niezwykle sprawni. Nie zdziwiło go to. Po minucie schowali już rury wyrzutni oraz resztę sprzętu i zniknęli we wnętrzu budynku.

- Szybciej! - mruknął właściwie do siebie i wyciągnął szyję, próbując zapewnić sobie lepszy widok na północne wyjście ze stadionu, tak jakby mógł tam dostrzec Matta. Niestety, widok przesłaniały zaparkowane samochody o różnej wysokości, poza tym i tak bramka była zbyt daleko. Obrzucił wzrokiem północną część parkingu oraz wyrastający nad nią za rzędem drzew wysoki budynek. Pokręcił żałośnie głową i podjął szybką decyzję.

- Pistolety są w schowku, tak? - zapytał Daltona.

Zanim ten zdążył odpowiedzieć, przerzucił już zawartość skrytki i wyciągnął broń.

- Co robisz?

Kamerzysta poczuł ukłucie lęku, widząc, że Rydell trzyma w ręku srebrny pistolet.

Miliarder spojrzał przelotnie na stadion, na budynek, a potem z powrotem na Daltona.

Wręczył mu telefon.

- Muszę pomóc Mattowi. Zostań przy samochodzie.

I zanim kamerzysta zdążył zaprotestować, już go nie było.

Matt wyskoczył z północnej bramki stadionu i pobiegł dalej, ciągnąc za sobą Gracie. Dotarł do parkingu i zatrzymał się, żeby rzucić okiem na samochody i zorientować się w terenie, po czym wskazał dziennikarce, gdzie według Rydella była zaparkowana ich półterenówka.

- Powinni być gdzieś tam, na tyłach.

Skinęła głową, a on ruszył dalej przed siebie.

Wbiegł między rzędy samochodów osobowych, półterenówek i pickupów. Przeciskał się między gromadami imprezowiczów, kluczył, uskakiwał i lawirował niczym skrzydłowy biegnący do pola karnego i oczekujący długiego podania. Półtorej minuty później zobaczył ostatni rząd pojazdów oraz niskie ogrodzenie parkingu. Przecisnął się między kilkoma kamperami, dotarł do siatki i nagle stanął jak wryty na widok Rydella, który czekał na niego, dysząc ciężko. Dołączył do miliardera, łapiąc oddech i kiwając mu pytająco głową.

- Może przyda ci się pomoc... - wyjaśnił Rydell, unosząc kurtkę, pod którą miał wetknięty za pasek pistolet.

Matt złapał za koniec koszuli, zaprezentował miliarderoi własny arsenał i uśmiechnął się nieznacznie. Przyłożył do ucha telefon.

- Coś nowego? - zapytał.

- Żadnego ruchu - dobiegł ze słuchawki głos Daltona - ale na parkingu po południowej stronie budynku jest mnóstwo ludzi. Przypuszczam więc, że zostawili samochód gdzie indziej... Zaczekaj! - zająknął się. - Okej, mamy jednego, dwóch, trzech, czterech gości. Wychodzą ze wschodniej fasady i kierują się w stronę... To chyba furgonetka, przy drzewach na północnowschodnim skraju parkingu.

Matt zamknął telefon i schował go do tylnej kieszeni spodni.

- Wiesz, jak tego używać? - zapytał, wskazując srebrny pistolet Rydella.

Ten skinął spokojnie głową.

- Poradzę sobie.

Matt również pokiwał głową i ruszył w stronę ogrodzenia.

Przeskoczyli przez nie i pobiegli przez trawnik oraz kępę drzew do budynku. Neonowy szyld wskazywał, że to Holiday Inn. Matt poprowadził Rydella na prawo, w stronę basenu i kawiarni na tarasie. Było tam mnóstwo ludzi - gości hotelowych, którzy z ożywieniem rozmawiali na temat znaku. Ruszyli dalej, okrążyli hotel i dotarli na parking przed wejściem.

Matt wyrzął zza ściany budynku. Plac był szeroki i słabo oświetlony, a jego najbardziej oddalona od drzwi część wręcz tonęła w ciemnościach. Zauważył rząd samochodów, potem pas jezdni, następnie dwa kolejne rzędy samochodów, jeszcze jeden pas oraz wreszcie ostatni ciąg pojazdów. Widział z daleka dach furgonetki, na prawym tylnym skraju parkingu. Stała przodem do hotelu, a jej bagażnik wychodził na kolejną kępę drzew, która oddzielała teren hotelu od sąsiedniej parceli. Spojrzał pytająco na Rydella. Ten potwierdził skinieniem głowy, że rozpoznaje samochód. Matt dostrzegł ruch wokół wozu: kilka sylwetek rysujących się w ciemnościach. Jeden z mężczyzn dźwigał wielką rurę i przekazywał ją komuś, kogo trudno było z tak daleka wypatrzeć. Matt ponownie spojrzał na miliardera. Ten znowu skinął głową. To byli ludzie Maddoxa. Ładowali sprzęt.

Matt poczuł ukłucie w żołądku. Gdzieś tam był Danny. Niecałe pięćdziesiąt metrów od niego.

Wyciągnął oba pistolety i wręczył jeden Rydellowi.

- Jest cichszy od twojej armaty. Idź tamtędy - szepnął, wskazując Rydellowi lewą stronę parkingu. - Ja pójdę od prawej. Nie daj się zauważyć.

Rydell lekko skinął głową i schyliwszy się nieco, ruszył przed siebie.

Matt podkraść się bliżej furgonetki. Chował się za samochodami, prześlizgując się między nimi ze wzrokiem wlepionym w cel - wielkiego chevroleta o szerokim rozstawie kół, białego i anonimowego. Usłyszał, że jego drzwi się zatraskują, i zobaczył jednego z mężczyzn idącego w stronę drzwi do rozładunku. Pozostali byli ukryci gdzieś za wozem. Matt podszedł jeszcze bliżej, wziął głęboki wdech, ścisnął w obu dłoniach pistolet i podniósł się na tyle tylko, by znad dachu stojącego przed nim samochodu móc oddać kilka wytłumionych strzałów w stronę ludzi Maddoxa. Okazało się jednak, że nikogo tam nie ma. Zniknęli. Czując, że zjeżyły mu się włosy na karku, zatoczył bronią łuk na lewo i prawo, wyęzając wzrok i słuch - i nagle usłyszał szelest dobiegający spomiędzy drzew za furgonetką, i zobaczył wyłaniającego się zza nich strzelca, ciągnącego ze sobą Rydella i przyciskającego mu do skroni zaopatrzonego w tłumik pistolet.

Drgnął, niepewny, co robić - i w tej samej chwili poczuł silnie dźgnięcie w plecy.

- Odłóż broń! - dobiegł z tyłu czyjś głos. - Powoli i spokojnie.

Zamarł. Czekali na nich. Przez ułamek sekundy zastanawiał się, czy nie pokusić losu, ale mężczyzna za jego plecami ukrócił tego rodzaju dywagacje, uderzając go nagle z całej siły w ucho i zmuszając do przyklęknięcia. Matt upuścił broń. Zrobiło mu się ciemno przed oczami. Nie ruszał się przez chwilę, czekając, aż odzyska panowanie nad zmysłami, i zamglonym wzrokiem dostrzegł niewyraźną sylwetkę kolejnego mężczyzny wysiadającego z furgonetki. Był to Maddox, w dodatku nie sam. Wyciągał kogoś z wozu, trzymając go za szyję i przyciskając mu do głowy pistolet.

Matt zamrugał, próbując pozbyć się mgły sprzed oczu, ale nawet w tym stanie natychmiast rozpoznał jeńca.

To był Danny.

Danny. Naprawdę on.

I to żywy.

Matt poczuł, że skręcają mu się wnętrzności. Wstał z trudem, a adrenalina, której zastrzyk poczuł nagle w żyłach, sprawiła, że twarz brata zamigotała mu przed oczami w pełnej ostrości. Danny uśmiechnął się do niego boleśnie. Matt kiwnął mu głową i nawet w tych mało obiecujących okolicznościach nie mógł powstrzymać szerokiego uśmiechu, który pojawił mu się na ustach.

Maddox zbył Matta wzruszeniem ramion, ale w jego oczach zamigotało autentyczne zdumienie, gdy zobaczył Rydella.

- Proszę, proszę - zadrwił, najwyraźniej mile zdziwiony nieoczekiwanym pojawieniem się miliardera. - A ludzie mówią, że Święty Mikołaj nie istnieje.

- Co oni robią!?! - r rozgorączkowanym głosem zawołała Gracie.

Na ekranie laptopa zobaczyli, jak dwie postacie, czyli Rydell i Matt, opuszczają pistolety i wycofują się spod furgonetki. Dwie sekundy później z samochodu wysiadły dwie kolejne, splątane ze sobą, jedna za drugą.

- Czy to pistolet? - zapytała, czując, jak strach łapie ją za gardło.

- Zaczekaj - powiedział Dalton.

Z wprawą poruszał joystickiem i Draganflyer podleciał trochę bliżej budynku.

Na wykonanym z góry ujęciu widać było większą teraz, wyciągniętą rękę Maddoxa. I wszystkie wątpliwości zniknęły: trzymał w niej pistolet wycelowany w Matta i Rydella.

Danny jęknął, wijąc się pod niedźwiedzim uściskiem Maddoxa.

- Przepraszam, braciszku - powiedział do Matta. - Nie mogłem cię ostrzec.

- Nie przejmuj się.

Matt zauważył, że jego brat dłonie ma związane plastikową linką.

Danny spojrzał wściekle na Rydella.

- Co on tu robi? - zapytał Matta.

- Odprawia pokutę.

Naukowiec pokręcił z przekąsem głową. Ciągle wbijał wzrok w miliardera.

- Zbyt małą i zbyt późno, nie sądzisz? A może masz moc przywracania innym życia?

Rydell nie odpowiedział.

Maddox trzymał broń w wyprostowanej ręce, przenosząc ją z Matta na Rydella i z powrotem.

- Przykro mi, że muszę przerwać to szczęśliwe spotkanie po latach, chłopaki - uciął - ale nie mamy czasu. Proponuję zatem, Danny, żebyś pożegnał się ostatecznie ze swoim wkurwiającym braciszkiem. - Wycelował pistolet w Matta i skinął mu głową niemalże z podziwem. - Miło było poznać, mały. Doskonale sobie radziłeś.

- Widać nie dcf końca - odparł szorstko Matt.

- Uwierz mi, naprawdę doskonale - zapewnił go Maddox.

Uniósł o kilka centymetrów pistolet, żeby strzelić mu w głowę. Na jego twarzy nie rysowały się żadne emocje. Matt zamarł, czekając, aż kula wbije mu się w czaszkę - ale nagle Maddox odskoczył gwałtownie, tak jakby uderzyła go jakaś potężna niewidzialna pięść. W powietrzu rozbrzmiał przyciszony świst, coś wielkiego i czarnego śmignęło w ciemnościach i z brutalną siłą odepchnęło mu rękę. Broń wyfrunęła mu z dłoni, a on sam zawył. Ostrze śmigła z włókna węglowego przecięło mu skórę oraz mięśnie; upadł na ziemię w kałuży krwi.

Matt nie czekał, aż Draganflyer uderzy ciężko w otwarte drzwi furgonetki - wbił łokieć w stojącego za nim strzelca, krzyknął do Rydella: „Teraz!”, odwrócił się gwałtownie i odepchnął pistolet mężczyzny, jednocześnie wymierzając mu cios w szczękę, który sprawił, że wyskoczyła z zawiasów i żołnierz zwałił się na ziemię. Matt rzucił się na niego, próbując mu wyrwać pistolet, ale tkwił w dłoni mężczyzny niczym w imadle - nie miał zamiaru go wypuścić. Walczyli przez chwilę jak zgłodniałe, wściekle psy o kość, aż wreszcie z lufy wydobył się strzał, który trafił żołnierza w brzuch. Mężczyzna zwinął się w kłębek i zawył z bólu.

Rydell nie był tak szybki czy skuteczny - mocował się ze swoim strzelcem, zaciskając dłonie wokół jego nadgarstka i walcząc o pistolet. Żołnierz przyciągnął go do siebie i wymierzył mu cios głową, trafiając miliardera prosto w nos. Pod Rydellem ugięły się nogi i opadł bezwładnie na ziemię. Matt zerwał się dokładnie w momencie, gdy żołnierz się odwracał, i wycelował w niego z pistoletu.

Nagle rozległo się kilka cichych kasznięć i strzelcem rzuciło do tyłu. Matt zamrugał. Dopiero po sekundzie zorientował się, co się stało. Zobaczył, że Danny ściska mocno pistolet Maddoxa, z którego tłumika wydobywa się smuga dymu. Przez moment wpatrywał się w nieruchome ciało żołnierza, a potem spojrzał na brata, na którego twarzy pojawił się wyraz niedowierzania, że zrobił coś takiego.

Rozchylił usta, żeby coś powiedzieć.

Matt otworzył szeroko z przerażenia oczy.

- Uważaj! - krzyknął, ale...

Było już za późno - za plecami Dannyego Maddox zdążył zerwać się na nogi. Rzucił się na niego w tym samym momencie, gdy Matt dał nura za pistoletem powalonego przez siebie strzelca. Udało mu się go złapać, zanim Maddox sięgnął do broni wypuszczonej z ręki przez Dannyego - niestety, naukowiec znalazł się na linii strzału. Przez ułamek sekundy herszt bandytów wbijał wzrok w Matta, po czym pchnął w jego stronę Dannyego i rzucił się do tyłu, znikając za furgonetką.

- Szybko! - krzyknął do Dannyego Matt, odsuwając go i biegnąc za Maddoxem. ‘

Okrażył furgonetkę i wpadł w kępę drzew rosnących na skraju parkingu, ale jego ofiara zdążyła już rozpląnąć się w ciemnościach. Sfrustrowany wystrzelił za nią kilka razy, choć wiedział, że to zupełnie bezcelowe. Maddox zdołał uciec.

Na parkingu zapanowała upiorna cisza. Matt odwrócił się, rozejrzał, po czym minął Rydella oraz leżącego obok na ziemi żołnierza i dołączył do Dannyego. Uścisnął go serdecznie, a potem odsunął od siebie i zmierzwił mu włosy.

- Wesołych świąt - powiedział.

- I wzajemnie - odparł Danny.

Na jego twarzy malowała się ulga, choć jeszcze nie zniknęła z niej nerwowy wyraz. Rydell wstał i podszedł do nich. Naukowiec wpatrywał się w niego przez chwilę twardym, wściekłym wzrokiem. Nagle zacisnął pięści, uniósł ciągle związane ręce i uderzył z całej siły Rydella w twarz, powalając go na ziemię. Miliarder splunął krwią, ale nie wstawał. Po kilku sekundach spojrzał na Dannyego, który pochylał się nad nim groźnie.

Matt przyglądał im się z zaciekawieniem.

- Gdyby nie jego pomoc, braciszku, nie udałoby mi się tutaj dotrzeć - powiedział.

Danny jeszcze przez kilka sekund wpatrywał się w miliardera, po czym odwrócił wzrok i z powątpiewaniem wzruszył ramionami.

- To dopiero początek - burknął.

- Możemy się stąd zwinąć? - zapytał Matt, podchodząc do Rydella, żeby pomóc mu wstać.

Miliarder spojrzał na Dannyego.

- Przepraszam - rzekł.

W jego głosie słychać było autentyczną skruchę.

- Jak już mówiłem - rzucił na odchodnym naukowiec - to dopiero początek.

Niecałą minutę później siedzieli już w furgonetce i odjeżdżali z hotelowego parkingu, mijając długie rzędy samochodów stojących zderzak przy zderzaku po obu stronach drogi.

ROZDZIAŁ 78

Na wszelki wypadek zmienili motel i przenieśli się do innej części miasta - choć w momencie gdy Maddox był poważnie ranny, a mnóstwo jego ludzi zginęło, powoli zaczęli mieć nadzieję, że zniknęli na jakiś czas z celownika.

Danny i Matt zanurzyli się we własnym świecie. Mieli sobie mnóstwo do opowiedzenia i na przemian zwierzali się jeden drugiemu z tego, przez co ostatnio przeszli.

- Muszę zadzwonić do mamy i taty, powiadomić ich, że nic mi nie jest! - zawołał z entuzjazmem w głosie Danny, ciągle podekscytowany tym, że udało mu się uciec.

Matt przez jakiś czas próbował omijać ten temat, ale doszedł do wniosku, że nie może go dłużej unikać. Spojrzał bratu w oczy, próbując dobrać słowa, za pomocą których chciał mu opowiedzieć, co się stało, ale zanim zdołał wydusić z siebie choć jedno, Danny wyczytał smutną prawdę z jego twarzy.

- Kto? Mama? - zapytał.

Matt skinął głową, ale w jego obolałym wzroku wyraźnie było widać, że hiobowe wieści nie ograniczają się do śmierci jednego z rodziców.

- Nie... Oboje?- wyszeptał Danny z niedowierzaniem.

Jego brat powtórnie skinął głową.

Danny zmarszczył brwi, tak jakby prawda do niego nie docierała. I nagle ogarnął go potworny żal. Matt powiedział mu już o śmierci Bellingera. Potrójny cios - to było dla niego zbyt wiele. Opadł na podłogę i przycisnął dłonie do czaszki, czując się, jak gdyby w żyłach płynęła mu gorąca lava.

Nastrój pogorszył się jeszcze bardziej, gdy Danny opowiedział Mattowi o tym, w jakiej rozpacz żył przez dwa lata. Jak próbował wysłać mu ukradkiem emaila i został

złapany. Jak zastanawiał się nad samobójstwem. Jak mu grozili i faszerowali środkami uspokajającymi.

- Teraz jesteś tutaj - rzekł w końcu Matt. - Wolny i bezpieczny. - Uśmiechnął się. - Jeszcze kilka dni temu obaj mogliśmy tylko o tym pomarzyć.

- Opowiadaj dalej. O mamie i tacie. O tym, jak to się stało - poprosił go Danny.

W pokoju obok Rydell w samotności gryzł się z myślami. Doszedł do wniosku, że przebywanie obok Danny ego jest dla niego tak samo krępujące jak dla samego naukowca. Musiał również przemyśleć wiele spraw.

To był koniec - nie miał co do tego żadnych wątpliwości. Gdy Gracie wróci, cała afera wyjdzie na jaw, i to z hukiem. A wtedy, jakkolwiek by na to spojrzeć, on także będzie skończony. Świat dowie się o jego roli w tym wszystkim. Kluczowej roli. Nikt go przed tym nie ochroni. Ani Gracie, ani Matt, ani Danny, ani Drucker. Nawet gdyby chcieli, było to zupełnie niemożliwe. Nie w epoce Internetu, blogów. Nie miał też zamiaru uciekać. To nie było w jego stylu. Poza tym nie bardzo miałby gdzie uciec. Nie, musiał się zmierzyć z tym, w czym osobiście wziął udział.

Najgorzej się czuł, gdy myślał, jak to wpłynie na Rebeccę. To będzie dla niej katastrofa. Będzie się za nią wlokło do końca życia. Zastanawiał się nad tym usilnie, próbując znaleźć jakiś sposób, by to ułagodzić, by trzymać ją od tego z daleka, ale nic nie przychodziło mu do głowy.

Kilka godzin później w końcu dołączyli do nich Gracie i Dalton. Trudno im jednak było cieszyć się ze spotkania czy świętować zwycięstwo. Owszem, wszyscy byli bezpieczni. Owszem, Danny był żywy - i wolny. A Gracie i Dalton mieli zostać gwiazdami. Ale zbliżająca się gorączka medialna miała również swoje minusy. O wiele poważniejsze niż upadek Rydella. I im dłużej o tym rozmawiali, tym dobitniej zdawali sobie z tego sprawę.

W tle trajkotał telewizor, w którym w nieskończoność pokazywano relację z wieczornych wydarzeń, przerywaną wejściami komentujących je gadających głów.

- Jak to się skończy dla tych wszystkich ludzi, którzy świętowali tam dziś wieczór? - zapytała zmartwionym głosem Gracie, wskazując na ekran. - Zresztą nie tylko dla nich, również dla milionów śledzących wydarzenia w telewizji. Dla wszystkich, którzy dali się nabrać na przekręt Druckera. Co z nimi będzie? Jak to przyjmą?

- A mamy jakieś wyjście? - odezwał się Dalton. - Nie możemy im pozwolić, by dalej kłamali. Wykopalibyśmy pod tymi ludźmi tylko jeszcze głębszy dołek, niż to robi Drucker. Im szybciej to się skończy, tym lepiej.

- Wiem - skinęła głową dziennikarka. - Ale mimo to czuję się z tym źle. Tak czy inaczej, przegrywamy. - Podrapała się po nosie, a potem rozcapierzyła palce i pomasowała sobie czoło. - Co za koszmar! - jęknęła.

- Finch został przez to zamordowany - przypomniał jej kamerzysta.

- I Vince - dodał Danny. - I Reece. I wielu innych.

Gracie powoli wypuściła powietrze z płuc.

- Zostali zamordowani, żeby utrzymać całą aferę w tajemnicy, zanim Drucker był gotowy ją zdemaskować. A teraz zrobimy to za niego.

- Nie mamy wyjścia - skomentował Danny. - Im dłużej to potrwa, tym boleśniesz się okaże, gdy prawda wyjdzie na jaw.

Dziennikarka niechętnie skinęła głową, a potem spojrzała na Rydella.

- Chcę, żebyś nagrał wypowiedź. Potrzebujemy dowodu.

- A jaki mam wybór? - zapytał ponuro miliarder.

Rozejrzała się po pokoju.

- Danny?

- Jasne, do cholery.

Gracie podziękowała mu wzrokiem i zapadła się w fotelu. Na jej pobladłej, wymęczonej twarzy pojawił się wyraz frustracji.

Rydell spojrzał na Dannyego. ‘

- Jak planowali to zrobić? Mówili ci? Jak chcieli go zdemaskować?

- Kazali mi napisać program demaskujący. W odpowiedniej chwili mieli zamiar wyświetlić nad nim zmodyfikowany znak.

- A dokładniej? - dopytywał miliarder.

- Program symuluje błąd techniczny. Tak jakbyś oglądał telewizję i nagle stracił sygnał. Znak miał zacząć skakać, miały się pojawić zakłócenia, a potem miał się rozpaść. Miało to wyglądać naturalnie. Dokładnie tak, jak każdy by sobie wyobrażał, gdyby znak okazał się sztuczką. Program wyświetli materiał, który następnie się popsuje. - Danny uśmiechnął się nieswojo. - Rozważałem też logo CocaColi.

- A co, jeżeli tego nie zrobimy i prawda nigdy nie Wyjdzie na jaw? - myślała na głos Gracie. - To znaczy, co będzie, jeżeli się okaże, że przez to wszystko Drucker i jego kumple będą trzymali gęby na kłódkę?

- Kaznodzieje będą dalej promowali nowego mesjasza, a Darby i jego kamraci ze skrajnej prawicy wybiorą nam następnego prezydenta - zauważył ponuro Rydell.

- Tyle że jeśli ujawnimy aferę, jeśli uświadomimy ludziom, kto za nią stoi i jaki ma plan, sprawy przybiorą jeszcze gorszy obrót - stwierdziła dziennikarka. - Tak czy inaczej, Darby i jemu podobni wyjdą z tego mocniejsi. Kiedy zdemaskujemy ciebie i Druckera, pravicowcy zaczną jeszcze bardziej demonizować wszystkich pogan i liberałów. Podamy im na tacy najatrakcyjniejszy pretekst do wezwania do boju od czasów upadku imperium zła. Znowu posypią się gromy na „antyAmerykanów”. Los następnych dziesięciu wyborów będzie przesądzony, a nasz kraj zamieni się w chrześcijańską teokrację.

- Sekundkę, rozmawiamy o kilku gościach, którzy odegrali tę farsę, a nie o całej partii politycznej - zaprotestował Danny.

- To bez znaczenia - odparła Gracie. - Ważne jest teraz tylko to, co oni z tym zrobią. Jak użyją tego, by jeszcze bardziej podzielić kraj. Wrzucą wszystkich do jednego worka i sprawią, że ludzie będą przekonani, iż ci, którzy stali po tej samej stronie barykady co Drucker, są w nim znowie. Tak właśnie działają. I są w tym cholernie dobrzy. Wyobraź sobie tylko, co mógłby z tym zrobić ktoś w rodzaju Karla Rove'a.

- Hej, a może wynajmiemy jego i innych bydlaków, którzy sprzedali nam wojnę w Iraku, i zwalimy winę za wszystko na Iran? - zażartował Dalton.

Pozostali spojrzeli na niego mało rozbawionym wzrokiem.

- No co? Ja tylko żartowałem! - zaprotestował, rozkładając dłonie.

W pokoju zaległa przygnębiająca cisza. W telewizorze mignął na chwilę prowadzący, po czym na ekranie pojawiła się relacja z brutalnych zamieszek w Islamabadzie i Jerozolimie. Demonstranci walczyli ze sobą zaciekle, a w tle płonęły samochody. Policjanci i żołnierze robili co mogli, by powstrzymać walki.

Gracie się wyprostowała.

- Daj głośniej - poprosiła Daltona, który siedział najbliżej odbiornika.

-...przywódcy religijni apelują do wiernych, by zachowali powścią - liwość w kwestii wątpliwości, jakie pojawiły się po wystąpieniu ojca Jerome, ale nic nie wskazuje na to, by w jakikolwiek sposób powstrzymało to walki - relacjonował z offu reporter.

Na ekranie znów zobaczyli prowadzącego, a u dołu ekranu napis: „Prezydent wygłosi oświadczenie w sprawie wydarzeń w Houston”.

- Komentując sensacyjne doniesienia z Houston - ogłosił dziennikarz - rzecznik Białego Domu zapowiedział, że jutro prezydent wygłosi specjalne oświadczenie.

Gracie i pozostali nie musieli już słuchać reszty.

Sytuacja wywołana przez Druckera zaczynała im się wymykać spod kontroli. v

- Nawet prezydent został w to wciągnięty - powiedział Rydell.

- Nie możemy do tego dopuścić - skomentowała Gracie.

Przygnębiona wypuściła powietrze z płuc i zapadła się w fotelu.

- To wciągnie nas wszystkich.

W pokoju znowu zaległa cisza.

- No to co robimy? - zapytał po chwili Dalton. - Bo wydaje mi się, że jeżeli nie weźmiemy się szybko do roboty, to niezależnie od tego, czy to zdemaskujemy czy nie, i tak będziemy uwaleni.

Rydell wstał.

- Możemy to zdemaskować - stwierdził. - Musimy. Ale tylko jeżeli wezmę winę na siebie. Sam.

Wszyscy spojrzeli na niego z nagłym ożywieniem.

- To jedyny sposób - kontynuował lekko drżącym głosem. Takie zdenerwowanie było dla Larryego Rydellą czymś zupełnie obcym. - W moim planie nie uwzględniłem czegoś takiego jak kozioł ofiarny. Nigdy nie chodziło w nim o to, by wzmocnić lub osłabić którąkolwiek z religii. Chciałem tylko, żeby ludzie zaczęli słuchać. Ale teraz... po tym, co oni zrobili, jak to rozegrali... zgadzamy się chyba wszyscy, że nie możemy pozwolić, by nadal kłamali. Ale Drucker ma rację. Jeżeli nie chcemy, by kraj się rozpadł, potrzebujemy kozła ofiarnego, kogoś niezwiązanego z polityką. I będę nim ja. - Westchnął, po czym przyjrzał się wszystkim obecnym z wyrazem determinacji w oczach. - Nie mamy wyjścia. Jeżeli ktoś wpadnie na lepszy pomysł, zamieniam się w słuch, ale... nie widzę innego sposobu.

- Świetnie - skomentowała ponuro Gracie. - Więc Drucker wygrywa.

- Druckerem się nie martw - uspokoił ją cicho miliarder. - Zadbam, żeby za wszystko zapłacił.

Dziennikarka skinęła z rezygnacją głową. Nikt nie wiedział, gdzie podziąć wzrok. Rydell miał rację, a oni o tym wiedzieli. Ale sama myśl, by zrobić to, do czego Drucker i tak dążył, choć wcześniej, niż planował, uwierała ich jak kamień w butach.

Gracie spojrzała na Matta. Nie powiedział dotąd ani słowa.

- Czyżbyś zostawił niewyłączajkę żelazko? - zapytała z lekko prowokacyjnym uśmiechem, który sprawił, że w jej oczach na powrót błysnęło trochę światła.

- Chyba o kimś zapomnieliśmy - powiedział Matt. - Pamiętacie? Gracie domyśliła się, o kim mowa, zanim wypowiedział to imię.

- Ojciec Jerome.

- Cholera! - jęknął Dalton.

- Wyobrażacie sobie, co z nim będzie, gdy wszystko wyjdzie na jaw?

- zapytał Matt.

- Rozerwą go na strzępy - burknął Rydell.

- Przecież nie uczestniczył w tym świadomie - zaprotestował kamerzysta. -
Wyłuszcysz to jasno i wyraźnie, prawda? - zapytał miliardera.

- To bez znaczenia - stwierdził Rydell.

- Zapewnię mu ochronę - powiedział Dalton. - Musimy o to zadbać. Żeby wywieźli go
w jakieś bezpieczne miejsce, zanim cokolwiek powiemy.

- A potem? - zapytała Gracie głosem pełnym emocji. - Gdzie ucieknie? To dla niego
gorsze niż śmierć, a wszystko przez nas. - Spojrzała ira Matta. - Nie możemy tego zrobić -
stwierdziła dobitnie. - Najpierw musimy go ostrzec. To powinna być nasza wspólna decyzja.
Nie możemy go zaskoczyć. - Znow podchwyciła wzrok Matta. - Muszę się z nim spotkać.
Porozmawiać z nim, zanim do czegośkolwiek dojdzie.

- Oglądałaś wiadomości. Poleciał z powrotem do rezydencji Darbyego

- przypomniał jej Rydell. - Jeśli tam wejdiesz, Drucker zadba, żebyś już nie wyszła.

- A może poprosisz go o wywiad, jeden na jednego? - zaproponował Danny. - Zbyt
niebezpieczne - ostudził jego zapał miliarder. - Poza tym jest pewnie teraz najlepiej
strzeżonym człowiekiem na świecie.

Gracie spojrzała na Matta. Odniosła wrażenie, że nad czymś się zastanawia.

- Co? - zapytała go.

Spojrzał na Danny ego.

- Jaka część sprzętu znajduje się w furgonetce? - zapytał, wskazując kciukiem na
parking motelu.

- Co masz na myśli?

- Czy mamy cały ich sprzęt?

- Pełne wyposażenie - potwierdził Danny.

- A przekaźnik laserowy? Był na stadionie, jeżeli się nie mylę.

- Owszem, ale tylko jeden. Drugi mieliśmy my. Kiedy znak wzniósł się nad stadion,
przejęliśmy nad nim kontrolę.

Matt skinął głową. Najwyraźniej układał w głowie jakiś plan.

- A ile zostało nam inteligentnego proszku?

Podchwycił wzrok Gracie i zauważył, że nagle się wyprostowała.

- Nie jestem pewien. Dlaczego pytasz?

- Ponieważ będziemy go potrzebowali. Nie możemy rzucić ojca Jerome lwom na
pożarcie. - Matt rozejrzał się po pokoju. - Został w to wciągnięty, dokładnie tak jak Danny. A

przecież jest dobrym człowiekiem, zgadza się? I z tego co mówiłaś, uczciwym? - zapytał, spoglądając na Gracie. - Nie możemy pozwolić, by Drucker zniszczył mu życie. Przecież nasz mesjasz jeszcze ma w tej sprawie coś do powiedzenia. - Przerwał, przyglądając się reakcji pozostałych, po czym zatrzymał wzrok na dziennikarce. - Jak wygląda dom Darbyego?

ROZDZIAŁ 79

River Oaks, Houston, Teksas

Przed wejściem na ogrodzony teren wspólnoty Darbyego panował ogromny rozgardiasz, ale przynajmniej zrobiło się cicho. Zbliżała się piąta nad ranem i tłum odpoczywał. Ludzie spali w samochodach, w śpiworach na poboczu - wszędzie gdzie się dało. Część wiernych czuwała, przykucnąwszy wokół prowizorycznych ognisk, rozmawiając i zabijając czas w oczekiwaniu na kolejne cuda. Niewielka grupa niezmordowanych wyznawców nadal tłoczyła się przy bramie, czekając, aż pojawi się ich mesjasz. Niektórzy zawodzili boleśnie i rozpaczliwie, inni śpiewali różnorodne pieśni religijne. Nieliczni awanturnicy próbowali sprowokować strażników i policjantów, którzy pilnowali barierek. Ekipy telewizyjne schroniły się w swoich wozach i za talerzami anten satelitarnych, zmieniając sięna warcie, by na pewno niczego nie przepuścić. Wokół rozbrzmiewały szepty modlitw, dobiegające zza wiecznie zielonych drzew porastających po bokach drogę, mieszające się z rzadką poranną mgiełką, tworząc w zalesionej okolicy uroczystą, pełną wyczekiwania aurę.

Pojawienie się znaku natychmiast zakłóciło ten spokój. Zaskoczył wszystkich, rozświetlając się nagle na nocnym wciąż niebie, rozbłyskując w ciemnościach, w tajemniczy, niewytłumaczalny sposób pulsując życiem nad wierzchołkami drzew.

Był na wyciągnięcie ręki - ogromny i niemal namacalny. Tuż nad domem Darbyego.

Tłum się poderwał. Wierni, reporterzy, gliniarze, strażnicy. Nawet psy się ożywiły. Po kilku sekundach wszyscy byli już na nogach, wskazując na znak i pokrzykując z podekscytowania. Wyznawcy zaczęli napierać na barierki, rozpaczliwie pragnąc zbliżyć się do cudu. Policjanci z trudem powstrzymywali gwałtowną ludzką falę. Ekipy telewizyjne ruszyły do natarcia - reporterzy przecierali oczy i łapali za mikrofony.

I nagle znak zaczął się przesuwac.

Płynął powoli, bezgłośnie. Dryfował w bok, oddalając się od domu Darbyego. Ślizgał się po czubkach drzew, zmierzając ponad sąsiednim budynkiem na północ, w stronę country klubu.

Zapanował prawdziwy chaos.

Tłum przełamał barierki i rzucił się w pościg. Nagły zryw zaskoczył policjantów, którzy w mgnieniu oka zostali otoczeni przez ludzką masę. Barierki się przewróciły, przełamane przez falę rozhisteryzowanych wiernych, którzy rzucili się przez drzewa ku migocącemu zjawisku. Po chwili zatrzeszczały policyjne krótkofalówki, rozbrzmiały ciężkie kroki. To policjanci i strażnicy zerwali się, by jakoś powstrzymać nacierającą horde.

Policjanci patrolujący alejki przy zachodnim skraju nieruchomości również to zauważyli. Kilka sekund później zatrzeszczały ich krótkofalówki. Eter wypełnił się seriami bezładnych meldunków. Sześciu mundurowych, podzielonych na trzy pary, zbiegło się przy korcie tenisowym Darbyego, próbując zorientować się w sytuacji. Słyszeli jakiś zgiełk, upiorny hałas wypełniający nocne powietrze. Zbliżał się od strony domu. Jednak na tyłach nieruchomości, gdzie pełnili dyżur - w części przylegającej do pola golfowego - panował ciągle spokój.

Nagle jeden z nich coś zauważył. Jakiś ruch, cień postaci przemykającej między drzewami przy alejce. Skupił na niej wzrok i gestem uciszył kolegów. Trudno było cokolwiek dostrzec w ciemności. Światło dobiegało do nich od tyłu, od strony latarni rozrzuconych wokół ogrodu i basenu Darbyego, oraz od znaku na niebie. Rozproszyli się nieco. Napiąwszy mięśnie, dłonie położyli na rękojeściach pistoletów i wzrokiem uważnie przeczesywali ciemności. Za chwilę drugi również coś zauważył. Wyglądało to jak dwie postaci skradające się wzdłuż kortu i zmierzające w stronę domu.

- Tam - szepnął, wyciągając broń i celując nią między napiętymi sylwetkami kolegów.

I nagle oberwał. Wszyscy oberwali. Do ich uszu wdarł się wybuch jakby nieznośnych zakłóceń, potworny pisk z piekła rodem. Obezwładnił zmysły policjantów, a potężny cios wymierzony w bębunki natychmiast pozbawił ich przytomności. Niektórzy z nich, zanim padli na ziemię, zmoczyli spodnie.

Matt wbił wzrok w ciemność za swoimi plecami. Nikogo nie zauważył, ale cieszył się, że Danny, Dalton i Rydell tam są, ukryci między drzewami przy polu golfowym, i osłaniają go za pomocą LRADa. Póki co ich akcja dywersyjna przebiegała znakomicie. Ale zdawał sobie sprawę, że to nie potrwa długo. Jego wizyta nie mogła być dłuższa niż piętnaście minut.

Zaczekał kilka sekund, upewniając się, że strażnicy leżą nieprzytomni, po czym skinął głową do Gracie i gestem kazał jej iść za sobą. Wiedział, że dziennikarka nie usłyszy go przez woskowe zatyczki, które wepchnęła sobie do uszu.

Ruszyli przez trawnik. Podkradli się do tylnej ściany budynku. Matt zauważył dwóch strażników, którzy przechodzili obok domu dla gości, i pokazał na migi dziennikarce, żeby się

zatrzymała. Oboje przykucnęli cicho i zaczekali, aż tamci odejdą, po czym podbiegli chyłkiem do ciągu francuskich drzwi. Matt wyciągnął z uszu zatyczki. Gracie zrobiła to samo.

- Tutaj? - zapytał szeptem.

Potwierdziła skinieniem głowy.

- Schody na prawo. Jego sypialnia jest na górze, pierwsze drzwi po lewej.

- A mnicha na parterze, za schodami?

Znowu skinęła głową.

Matt też pokiwał na znak, że rozumie, i wyciągnął pistolet. Zabrał ze sobą jeden z wyposażonych w tłumiki automatów, choć nie planował go używać, chyba że zmuszą go do tego okoliczności. Walka ze zbirami Ma3-doxa to jedno, nie miał z tym problemu, ale w domu pastora to zupełnie inna sprawa. Gracie powiedziała mu, że ojcem Jerome opiekują się gliniarze i ochroniarze pracujący w rezydencji. Po prostu wykonywali swoją pracę i Matt nie miał zamiaru robić im krzywdy, jeżeli nie będzie to konieczne.

Nacisnął klamkę. Drzwi nie były zamknięte na klucz. Wszedł do środka. Gracie podążyła za nim. Przykucnęli obok i zaczekali chwilę, wytężając słuch. Z wnętrza domu nie dochodziły żadne odgłosy. Matt się rozejrzał.

Znajdowali się w przestronnym salonie. Wzdłuż jego ścian stały regały z książkami, a przy wielkim kamiennym kominku znajdowała się równie ogromna sofa. Ciemności rozjaśniała tylko biała luna wdzierająca się do środka z korytarza.

Minęli szybko pokój i ostrożnie weszli po schodach na górę. Znaleźli pierwsze drzwi po lewej. Matt nacisnął klamkę. Było otwarte. Uchylił drzwi i wślizgnął się do środka. Wpuścił Gracie i zamknął cicho drzwi. Wyczuł dłonią przycisk blokady klamki i go wcisnął.

Podeszli do łóżka. Ojciec Jerome spał, świszcząc nieco przez nos. Gracie nachyliła się nad nim i spojrzała niepewnie na Matta, który delikatnie trącił duchownego w ramię. Ten się obudził, przewrócił na drugi bok i zamrugał. Zobaczywszy dziennikarkę, wciągnął gwałtownie powietrze w płuca i usiadł.

- Co...? Panna Logan...? - Rozejrzał się po pokoju i dostrzegł stojącego przy oknie Matta, wyglądającego przez zasłony na zewnątrz. - Co się dzieje?

Zapaliła lampkę przy łóżku.

- Musimy się pospieszyć. Musi ojciec iść z nami. Życie ojca jest w niebezpieczeństwie - powiedziała spokojnym, choć nagłym tonem.

- W niebezpieczeństwie? Jakim niebezpieczeństwie?

- Proszę, ojciec Jerome. Nie mamy czasu. Niech mi ojciec zaufa. Musimy iść. Zaraz.

Spojrzał na nią zdumiony, a na jego twarzy pojawił się wyraz niepewności. Wpatrywał się przez chwilę w Gracie, po czym skinął głową i wstał z łóżka. Miał na sobie ciemną piżamę.

- Muszę się ubrać.

- Nie ma czasu. Proszę tylko włożyć buty.

Skinął głową, po czym wsunął na stopy skarpetki i sznurowane buty. Matt podszedł do łóżka. Położył księdzu delikatnie dłoń na ramieniu.

- Nazywam się Matt Sherwood, ojcze. Wszystko będzie dobrze. Proszę się tylko trzymać Gracie i nie robić hałasu, dobrze?

Stary ksiądz skinął głową na znak gotowości, ale na jego czole pojawiły się głębokie bruzdy znamionujące niepokój. Matt spojrzał na dziennikarkę. Oboje kiwnęli nieznacznie głowami i Matt otworzył drzwi. Wyszli na korytarz.

Nie spodziewał się ciosu. Wymierzył mu go z prawej strony napastnik czający się przy ścianie. Trafił Matta z góry tuż za prawym uchem pięścią, która równie dobrze mogłaby być kawałkiem pnia. Załomotało mu w czaszce i upadł ciężko na podłogę. Gracie wrzasnęła, widząc, jak z cienia wyłania się brat Amin i potężnym kopniakiem trafia jej towarzysza prosto w brzuch.

Matt jęknął głośno. Kopniak sprawił, że jego ciało uniosło się nad zimną posadzką. Uderzył mocno plecami w ścianę, niepewny, skąd nadejdzie następny cios. Wirowało mu przed oczami. Wciągnął gwałtownie powietrze i podniósł się na dłonie oraz kolana, ale natychmiast poczuł kolejne uderzenie, tym razem w żebra, i znowu wylądował na ścianie. Mnich skoczył na niego, zacisnął mu wokół szyi szczupłe, ale sprężyste ramiona i zaczął go dusić. Matt walczył o łyk powietrza, ale zakonnik nie miał zamiaru poluzować ucisku. Matt czuł, jak siły go opuszczają. Spróbował zaatakować przeciwnika łokciami, ale trafiały tylko w powietrze, a każdy cios wysysał z niego kolejną porcję energii. Zaczął powoli tracić przytomność, ale zebrał się jeszcze w sobie, usiłując zaatakować mnicha tyłem głowy. Ten jednak zauważył, co się dzieje, i tylko mocniej zacisnął rękę. Matt czuł, że miażdży mu gardło, czuł przesuwające się chrząstki, zgniatane i wykręcane, czuł, że jego płuca walczą o ostatni haust powietrza. Chciał krzyknąć, zrobić wdech, czuł, że oczy zaraz mu wyskoczą z orbit...

Nagle usłyszał głośny pisk, a potem głuche, miażdżące uderzenie. Uchwyt zakonnika zelżał. Wciągnął łapczywie w płuca powietrze i rzucił się do tyłu, odpychając Amina. Odwrócił się i zobaczył, że mnich przewraca się na podłogę, po czym natychmiast wstaje, kręcąc głową, by rozjaśnić sobie obraz przed oczami. Obok stała Gracie. Na jej twarzy

malowało się zdziwienie oraz strach, a w dłoniach trzymała odwróconą lampę ze stolika z pokoju księdza, z powyginanym abazurem. Ścisnęła ją jak kij bejsbolowy, gotowa zamachnąć się jeszcze raz - przyczajona niczym drapieżnik gotujący się do skoku. Zakonnik nie wystraszył się jednak i nie dał jej jeszcze jednej szansy. Wyciągnął błyskawicznie rękę i wyrwał jej z dłoni lampę, po czym uderzył Gracie pięścią prosto w lewą skroń. Ciosowi towarzyszył ostry trzask. Dziennikarka wylądowała z powrotem w pokoju i uderzyła twardo o podłogę.

Matt potrząsnął głową, próbując trochę oprzytomnieć, i kiedy mnich się odwrócił, natychmiast rzucił się na niego. Był wyższy i lepiej zbudowany, ale poczuł już siłę przypominających supły twardych mięśni Amina, który w dodatku wiedział doskonale, gdzie należy zadawać ciosy. Walczyli przez chwilę w korytarzu i w pewnym momencie pięść mnicha dosięgła rany na brzuchu Matta. Poczuł gwałtowny skurcz z powodu bólu i na chwilę pociemniało mu przed oczami. Zakonnik wykorzystał jego bezbronność i zaatakował go całą serią potężnych ciosów. Matt cofnął się; każde kolejne uderzenie szarpało jego ciało niczym kula z pistoletu. Był już prawie na schodach, gdy usłyszał nagle, że Gracie wykrzykuje jego imię. W przeblasku przytomności zobaczył, jak pięść mnicha pędzi w jego stronę, by zadać ostatni, śmiertelny cios. Bez namysłu rzucił się w bok, zbierając wszystkie siły, złapał zakonnika za rękę i wykręcił ją brutalnie, niczym szprychę jakiegoś wielkiego koła. Zaskoczył mnicha, który musiał się pochylić i oderwać od podłogi, by jakoś ochronić wrywane ze stawu ramię. Matt nie zlągodził uchwytu i wykorzystał dodatkowy pęd, jeszcze bardziej wykręcając mu rękę. Głowa Amina poszybowała w dół, a stopy straciły ostatecznie przyczepność. Przetoczył się tyłem nad poręczą i nagle znalazł powietrze. Po chwili z głośnym, przerażającym łoskotem wylądował na podłodze u dołu schodów.

Matt podniósł się z trudem, podszedł do poręczy i spojrzał w dół. Ciało mnicha leżało na posadzce, bezwładne i nieruchome. Odwrócił się do Gracie. Podeszła do niego, a za nią stanął przerażony ojciec Jerome. Dziennikarka również popatrzyła w dół. Zmarszczyła brwi. A potem skinęła głową.

- Chodźmy - szepnął ochryple Matt. - Nie mamy czasu.

Zeszli szybko po schodach, mijając ciało Amina. Nie musieli nawet sprawdzać pulsu. Szyja mnicha była wygięta pod tak nienaturalnym kątem, że wszystko było jasne. Wrócili do salonu, minęli basen oraz kort tenisowy i po chwili znaleźli się w alejce. Znak na niebie właśnie gasnął i okolica pograżyła się na powrót w ciemności.

Gdy dotarli do lincolna, był już załadowany, a jego pasażerowie czekali na nich. Wsiadli do środka i odjechali. W samochodzie zaległa przygnębiająca cisza. Zastanawiali się, jakmiasto - oraz cały świat - przyjmie ich świąteczną niespodziankę.

ROZDZIAŁ 80

Houston, Teksas

Maddox starał się nie myśleć o bólu, patrząc, jak medycy w szpitalu krzątają się wokół jego „świętecznej niespodzianki”. Powiedział przyjmującej go siostrze, że miał wypadek, gdy naprawiał kosiarkę do trawy. Karta kredytowa z potężnym limitem dopełniła reszty. Lekarze pracowali nad nim od ponad trzech godzin, tnąc, wiercąc, skręcając i zszywając jego poszarpaną rękę. Podłączyli mu też kilka rurek i uzupełniali krew, którą stracił między drzewami przy stadionie.

Uparł się jedynie na miejscowe znieczulenie - doszedł do wniosku, że jak na jedną noc niespodzianek mu wystarczy, poza tym zdawał sobie dorzecznie sprawę, że mógłby wytrzymać nawet bez niego. Lekarzom udało się uratować mu rękę, ale powiedzieli Maddoxowi, że przez dłuższy czas nie będzie mógł jej używać, a nawet potem będzie się musiał liczyć ze znaczną utratą sprawności. Łopatkę z prawdziwą furją wgrzyły mu się w mięśnie i ścięgna. Po wszystkim jego ręką będzie pełniła właściwie głównie funkcję dekoracyjną. Prawa ręka. Ta, której używał. Gotując się ze złości, przez chwilę miał zamiar dokończyć dzieła i kazać lekarzom obciąć ją poniżej łokcia, ale w końcu odrzucił ten pomysł, bo przecież nie chciał wyglądać jeszcze bardziej groteskowo niż do tej pory. Przystawi się na sprawną rękę. Musi tylko potrenować.

Był osłabiony i otępsiały z powodu leków, ale mimo to zauważył ożywienie w szpitalu, gdy do jego pracowników dotarły wieści o pojawieniu się znaku nad domem wielbego Darbyego. Nie wróżyły nic dobrego. Wiedział, że nie było to częścią planu. Co oznaczało, że ktoś go zmienił. Zastanawiał się, czy to Drucker nie zaczął kombinować, a jeżeli tak, to do czego zmierza. Zdawał sobie sprawę, że cała ich misterna konstrukcja zaczęła się sypać jak domek z kart, ale przyjął to ze spokojem i nie miał zamiaru marnować sił na to, by zastanawiać się, co poszło nie tak. Musiał się skupić na przyszłości - na wypełnieniu zadania, które sobie postawił, oraz na tym, jak pomóc niezbyt łaskawemu ostatnio losowi i wywinąć się z całej afery, nie lądując za kratkami. Potrafił rozpoznać moment, w którym należy się w porę wycofać, w którym lepiej jest znaleźć nową łódź, niż trzymać się kurczowo tonącego

okrętu. A zważywszy, że Rydell, bracia Sherwood i ta cała reporterka hasali sobie na wolności, ich okręt nie tyle tonął, co rozpadał się pod istnym gradem pocisków.

Wiedział, co musi zrobić: kontynuować walkę, nie ustawać w niej, a w najgorszym wypadku przyczać się, by któregoś dnia podjąć ją na nowo.

- Do tego właśnie został wyszkolony. Wrócił myślami do Jacksona Druckera i reszty swoich ludzi, przypomniał sobie widok ich porozrywanych ciał rozrzuconych po ulicach tamtego upiornego irackiego miasteczka, pomyślał o tym, jak ich zawiódł. Ale przeżył, walczył dalej i w żadnym razie nie mógł się poddać. A zatem nie mógł spędzić na ostrym dyżurze ani minuty więcej, niż było to absolutnie konieczne. Dlatego właśnie niecałą godzinę po tym, jak lekarze skończyli go zszywać, wychodził już przez drzwi szpitala i kierował się w stronę centrum Houston.

ROZDZIAŁ 81

Gdy na niebie nad zachodnim przedmieściem Houston pojawiły się wreszcie promienie słońca, Matt, Gracie, Rydell, Danny i Dalton ciągle jeszcze opowiadali o wszystkim ojcu Jerome, pomagając sobie nawzajem w trudnym zadaniu uświadomienia słabowitemu staruszkowi, że ostatnie dwanaście miesięcy jego życia były jednym wielkim kłamstwem.

Wyjaśnili mu, na czym polegał pierwotny plan Rydella. Opowiedzieli o inteligentnym proszku, wyrzutniach i planecie osiągającej punkt krytyczny. O tym, jak Drucker przejął kontrolę nad spiskiem i podporządkował go własnym celom. Potem przeszli do najtrudniejszego tematu: tego, co Drucker zrobił samemu księdzu. Kuracja. Leki. LRAD gadające do niego w górach. Z każdym kolejnym zdaniem, z każdym szczegółem kościste ramiona nieboraka coraz bardziej się zapadały, a na jego zmęczonej twarzy pojawiały się coraz głębsze zmarszczki.

Pod koniec ksiądz wyglądał na zupełnie oszołomionego, ale trzymał się lepiej, niż spodziewała się tego Gracie. Martwiła się, jak to przyjmie, a okazało się, że wcale się nie załamał. Uświadomiła sobie, że przecież widział w życiu wiele. Wiele złych rzeczy. Gorszych, niż większość ludzi jest w stanie sobie wyobrazić. Przy całej swojej fizycznej kruchości wydawało się, że stary ksiądz ma w sobie niezwykłą wewnętrzną siłę. Ale mimo to... nie było co zaprzeczać: wszystko to musiało być dla niego ogromnym ciosem. Nagle jednak Gracie przypomniała sobie, co ojciec Jeromemówił jej w samolocie, i zaczęła się zastanawiać, co też przez cały ten czas wewnętrzny głos mówił jemu samemu.

- Ten głos w górach - odezwał się w końcu, spoglądając zamglonym wzrokiem w dal - był naprawdę cudowny. Mimo że właściwie było to zupełnie bez sensu, że przemawia akurat do mnie, ale... Wydawał się tak realny. Tak jakby dobiegał z wnętrza mojej głowy. Tak jakby wiedział, o czym myślę.

- Właśnie dlatego wybrali do tego ojca - powiedziała łagodnie Gracie.

Ojciec Jerome skinął głową i na jego twarzy pojawił się wyraz przepelnionej rezygnacją akceptacji. Westchnął ciężko, a po chwili podniósł wzrok na Rydella.

- I co, ma pan zamiar ogłosić, że to był pana pomysł?

Miliarder skinął głową.

Ojciec Jerome zmarszczył z niezadowoleniem brwi.

Gracie zauważyła to. Spojrzała na Matta, który chyba też podchwycił zmianę na twarzy księdza, a potem jej wzrok znowu spoczął na ojcu Jerome.

- O co chodzi?

Nie odpowiedział. Wydawało się, że przebywa we własnym świecie, próbuje przemyśleć wszystko, czego się właśnie dowiedział i co było dla niego ciężarem niemal ponad siły.

- Jestem zmęczony - skwitował w końcu głucho. - Muszę odpocząć.

Gracie i Dalton wrócili do swojego pokoju, a Rydell do swojego. W czwartym pokoju Danny i Matt wyciągnęli się na łóżkach, wpatrując się w sufit

I delektując chwilą spokoju. Obejrzeni poranne wiadomości w hotelowym telewizorze. Najważniejszym newserr) było oczywiście pojawienie się znaku nad rezydencją Darbyego i zamieszane, jakie potem wybuchło, ale dziennikarze nawet nie zająknęli się o zniknięciu ojca Jerome. Póki co udało się to utrzymać w tajemnicy.

- O czym myślisz? - zapytał po chwili Danny.

- O tym samym co ty - odparł Matt.

- O Druckerze?

Brat odpowiedział mu przyciszonym mruknięciem.

- Naprawdę mnie to wkurza, wiesz? - kontynuował Danny. - Że gość może się z tego wywinąć.

- Posłuchaj, facet jest gnojem, nie ma co do tego wątpliwości, ale niewiele możemy mu zrobić, chyba że chciałbyś mu wpakować kulkę w czaszkę.

Danny nie odpowiedział.

- Chciałbyś mu wpakować kulkę w czaszkę? - zapytał po chwili Matt niemal rzeczowym tonem.

Jego brat przechylił głowę, tak jakby chciał powiedzieć: „Może?” Zaraz jednak ponownie wbił wzrok w sufit.

- To niezupełnie w moim stylu.'

- Też tak sędzę.

- Ale jeśli Rydell się nim nie zajmie, może się zastanowię.

- Moglibyśmy go porwać i zamknąć na parę lat u mnie w piwnicy - zaproponował od niechcienia Matt. - Będziemy go karmić psim żarciem i pić wodą z kibla.

Danny zacisnął usta i skinął głową, udając, że poważnie się nad tym zastanawia.

- Dobrze wiedzieć, że mamy kilka opcji - skomentował z uśmiechem.

Matt spojrział na niego, przechyliwszy głowę.

- Dobrze, że wróciłeś, stary.

Danny pokiwał mu serdecznie głową, po czym znowu wpatrzył się w sufit.

- Tak, dobrze, że wróciłem.

Rydell w swoim pokoju nie gapił się w sufit. Chodził w kółko, łamiąc sobie głowę nad tym, jak wydobyć się z matni. Musiał zadzwonić do Rebekki. Musiał usłyszeć jej głos. Zerknął na zegarek w komórce. Na Zachodnim Wybrzeżu ciągle było za wcześnie. Zwłaszcza że chodziło o Rebecę. Myśl ta wywołała na jego twarzy cień uśmiechu. Wycisnęła mu również łzę z oka, która spłynęła po policzku.

Wytarł ją rękawem i usiadł na skraju łóżka. Co za upadek, pomyślał. Po tym wszystkim, co osiągnął. Pan świata, wszystko zawdzięczający sobie, od pucybuta do milionera. A teraz miało to wylądować w kubie na śmieci.

Musiał pogadać z Rebecą. Wpisał „R” na liście kontaktów, wywołując jej numer. Położył palec na klawiszu. Jednak nie potrafił się zmusić, żeby go wcisnąć. Nie z powodu różnicy czasu, ale dlatego że nie wiedział, co jej powiedzieć.

Odłożył telefon. Szklistymi oczami wpatrzył się w swoje drżące dłonie.

Było już prawie południe, gdy Matt wyszedł z pokoju i skierował się w stronę automatu z napojami. Stała przy nim Gracie, z puszką zimnej coli w ręku opierając się o kratownicę lincolna navigatora. Wrzucił kilka monet i również wyciągnął napój. Otworzył go, wypił długi łyk i dołączył do dziennikarki.

- Nie możesz spać? - zapytał.

- Nie. - Uśmiechnęła się. - Mój zegar biologiczny został do tego stopnia rozregulowany, że nie wiem już nawet, jaki mamy dzisiaj dzień.

- Pierwszy dzień świąt Bożego Narodzenia - ze znaczącym uśmiechem wyjaśnił Matt.

- Naprawdę? - Na ustach Gracie również zagościł uśmiech. Rozejrzała się. - Trochę mało śniegu, co?

Matt skinął głową. Wypił kolejny łyk.

- Powinnaś odpocząć - powiedział. - Przed tobą kilka najbardziej intensywnych miesięcy w życiu.

- Co, będzie jeszcze gorzej niż przez parę ostatnich dni? - zażartowała.

- Jasne. - Wzruszył ramionami. - To była łatwizna.

- Łatwizna - powtórzyła rozmarzonym tonem.

Podchwyciła jego wzrok, ale zaraz odwróciła się i wpatrzyła w otaczający ich krajobraz. Jej myśli podążyły gdzieś w dal.

- Co jest? - zapytał Matt.

Wzruszyła ramionami.

- Trochę szkoda, nie? - odezwała się po chwili.

- Czego?

- Ci wszyscy ludzie na stadionie. Na całym świecie. Spijali mu z ust każde słowo. Śpiewali. Modlili się. Słyszałeś kiedyś coś takiego?

Nie odpowiedział.

- Podobało im się to. Cieszyli się, że mogą w niego wierzyć. Dodało im to otuchy. Wiem, to prymitywne, to zwykle sekciarstwo, no i trochę przerażające, ale mimo to wydawało mi się piękne. Przez chwilę byli szczęśliwi. Zapomnieli o problemach, pracy, kredytach mieszkaniowych, o całym złu, z jakim borykają się w życiu. Byli szczęśliwi i pełni nadziei. On dał im nadzieję.

- Fałszywą nadzieję - sprostował Matt.

- A co w tym złego? - zapytała, zwracając się właściwie do siebie samej. - Nadzieja z definicji nie jest niczym realnym, prawda? To tylko stan umysłu. - Wzruszyła ramionami, wracając na ziemię. - Gdyby nie te samolubne pijawki, które go wykorzystywały... Przekręcały wszystko, myśląc tylko o sobie. Używać czegoś tak pięknego, tak inspirującego, żeby napchać sobie kieszenie i zdobyć wflęcej władzy... - Spojrzała na niego żałośnie. - Szkoda, po prostu szkoda.

- Tak to już jest - wzruszył ramionami Matt.

Skinęła ze smutkiem głową. Przez chwilę milczała, a potem znowu spojrzała na niego.

- I co teraz zrobisz? Ty też jesteś uczestnikiem tej afery. Ludzie będą chcieli wysłuchać twojej wersji.

Odwrócił się do niej z zadowolonym wyrazem twarzy.

- I bardzo dobrze - powiedział.

- Dlaczego?

- Pomyślałem, że może poszukam ghostwritera. Machnę o tym książkę. Sensacyjną. Coś w guście Gniewu oceanu. Może opchnę jakiejś wytwórni prawa do filmu. Niech będzie, że za milion.

Uśmiechnął się.

- Ej, co ty, jest kolejka! - zaprotestowała.

Matt zachichotał. Spojrzał na dziennikarkę. Nagle uświadomił sobie, że jest piękną dziewczyną. Zresztą nie tylko piękną - każdy facet marzył właśnie o takiej kobiecie. I chociaż pragnął z całego serca zapomnieć o wszystkim, co wiązało się z koszmarem, w jaki zamieniło się w ostatnim tygodniu jego życie, myślał, że może warto by nieco przedłużyć tę znajomość, mimo wszystko wydawała się ciekawszą opcją.

Póki co musieli jednak przebrnąć przez jeszcze jeden koszmar.

- Kiedy chcesz wkroczyć do akcji?

Gracie spochmurniała. Najwyraźniej nie cieszyła jej ta myśl.

- Nie wiem. Może dajmy jeszcze ludziom kilka godzin spokoju. W końcu mamy święta...

- Jutro? - zapytał. I ‘

- Jutro - potwierdziła.

Wyrzucili puste puszkę do kubła i powlekli się z powrotem do swoich pokoi. Przechodzili właśnie obok numeru ojca Jerome, gdy nagle otworzyły się drzwi i stanął w nich ksiądz. Przytrzymał je. Na jego twarzy malował się wyraz koncentracji.

- Przepraszam, obudziliśmy ojca? - zapytała Gracie.

- Nie - odpowiedział. Sądząc z wyglądu, w ogóle nie kładł się spać. Wydawało się, że pochłaniają go myśli. Przyglądał się im przez chwilę. - Możecie zwołać wszystkich? - poprosił w końcu. - Myślałem o tym, co się wydarzyło, i... Musimy pogadać.

ROZDZIAŁ 82

Houston, Teksas iębo nadal było czyste i jasne, tak jak w dniu cudu. W mieście panował względny spokój, mimo że coś wisiało w powietrzu. Od dwudziestu czterech godzin nie pojawiły się żadne nowe doniesienia na temat ojca Jerome i mieszkańcy, choć oczywiście czekali niecierpliwie na kolejne etapy objawienia, próbowali wrócić przynajmniej do pozorów normalnego życia.

Jako pierwsi kulę pulsującego światła, odbijającą się w tafli jeziora, zobaczyli bywalcy parku: rodziny, zakochane pary i amatorzy joggingu. Była niewielka, okrągła, miała co najwyżej sześć metrów średnicy i unosiła się niewinnie kilkaset metrów nad południowym brzegiem długiego, prostokątnego stawu przy pomniku Pioniera, w północnej części parku Hermann. Ciekawscy gapie ruszyli w jej stronę, nieufnie rozglądając się wokół siebie. Wkrótce dostrzegli kroczącego pod nią mężczyznę w czarnej sutannie i bogato wyszywanym kapturze. Oddalał się powoli od obelisku, a światło wisiało mu nad głową.

Szybko ze wszystkich stron zaczęli się schodzić ciekawscy. Ludzie wołali jedni do drugich, pokazując sobie palcami dziwaczne zjawisko. Park cieszył się ogromną popularnością. Wokół niego znajdowały się największe atrakcje Houston: zoo, Garden Center, Muzeum Historii Naturalnej z cylindryczną szklarnią dla motyli, charakterystyczny teatr Miller Outdoor. W świąteczny dzień i przy cudnej pogodzie było tam mnóstwo ludzi - wkrótce większość z nich skupiła się wokół niepozornego staruszka, który niewinnie szedł przed siebie wzdłuż spokojnej tafli wody. Mówili do niego, pozdrawiali go, niepewnie zadawali pytania, ale on nikomu nie odpowiadał ani na nikogo nie patrzył. Kiwał tylko zagadkowo głową i zagubiony w myślach, parł dalej do przodu. Gapie trzymali się na dystans, starając się nie zbliżać do niego na odległość większą niż kilka metrów. Ci, którzy łamali tę regułę, narażali się na upomnienie innych i natychmiast byli odciągani. Ojciec Jerome przez cały czas szedł przed siebie, powoli, aż wreszcie ceremonialnym krokiem wszedł na podium wychodzące na sadzawkę.

Zatrzymał się, odwrócił i obrzucił wzrokiem ścielący się przed nim park. Za jego plecami wznosił się pomnik Sama Houstona i jego monumentalny łuk. Do akcji szybko wkroczyli patrolujący teren policjanci; poprosili o wsparcie i wkrótce otoczyli podium kordonem. Również dziennikarze nie tracili czasu. Niebawem w pobliżu zgromadziło się setki ciekawskich wbijających wzrok w niewielką postać, nad której głową unosiła się połyskująca kula światła i która stała zwyczajnie w miejscu i wpatrywała się w nich w milczeniu.

Gdy wszyscy byli już na miejscu - tłum, dziennikarze, ochrona

- ksiądz zrobił krok do przodu i uniósł dłonie w szerokim powitalnym geście. Przez tłum przetoczyła się fala szeptów. Ludzie uciszali się nawzajem i wkrótce cały park pogrążył się w milczeniu. Wydawało się, że nawet ptaki i gałęzie drzew podporządkowały się wymogom chwili, bo wszystkie zwyczajne w tym miejscu odgłosy zastąpiła nagle złowieszczą nieco cisza.

Ojciec Jerome omiół wzrokiem tłum, po czym przechylił głowę do tyłu i spojrzał na unoszącą się nad nim kulę światła. W zamyśleniu pokiwał głową, z determinacją zacisnął pięści i przemówił:

- Przyjaciele! Przez ostatnie dni mieliśmy do czynienia z czymś naprawdę cudownym. Czymś zdumiewającym, zapierającym dech w piersiach, dziwnym, zaskakującym i... czymś, czego sam do końca nie rozumiem - wyznał. Przez tłum przetoczył się pomruk zdziwienia. - Ponieważ prawdę mówiąc... nie wiem, co się dzieje. Nie wiem, co to takiego - powiedział, wskazując wiszącą nad nim kulę światła. - Nie wiem, dlaczego tam jest. Nie wiem, dlaczego mnie wybrała. Wiem jednak, że jej pojawienie się było opacznie rozumiane. Przez wszystkich. Przez mnie. Aż do ubiegłej nocy. I sądzę teraz, że już rozumiem. Rozumiem, co chce nam wszystkim powiedzieć. I stoję tutaj przed wami, żeby podzielić się tą prawdą.

Keenan Drucker stał w swoim pokoju hotelowym z otwartymi ustami przed telewizorem i zachodził w głowę, co się, do diabła, dzieje.

Odkąd dotarła do niego z rezydencji wielbnego Darbyego wiadomość o zniknięciu ojca Jerome, żył w ciągłym stresie i z niepokojem oczekiwał momentu, gdy Rydell i jego nowi przyjaciele obwieszczą swoje rewelacje mediom. To, że nadal się tego nie doczekał, również zbijało go z tropu. Zastanawiał się, dlaczego nie poszli do prasy i co planuje Rydell. Widok ojca Jerome krocącego przez park na czele rosnącej hordy wyznawców niczego mu nie wyjaśnił.

Usłyszał dzwonek do drzwi. Podszedł zobaczyć kto to, nadal nie mogąc przestać myśleć o tym, co działo się niecałe dwa kilometry dalej. Zerknął przez wizjer i zeszywniał. Po chwili jednak opanował się i otworzył drzwi.

- O Jezu! - zawołał na widok zabandażowanej ręki Maddoxa i jego złanej potem twarzy. - Nie mówiłeś, że jest aż tak źle.

Żołnierz zignorował jego komentarz i wszedł do środka.

- W recepcji jest niezłe zamieszanie. Widziałeś, co się dzieje? - Nagle zobaczył telewizor nastawiony na relację na żywo z parku. Podszedł do odbiornika i odwrócił się do Druckera, marszcząc brwi. - Co ty właściwie robisz?

- To nie ja! - zaprotestował polityk. - Nie mam pojęcia, co się dzieje. Maddox przyjrzał mu się podejrzliwie.

- Nie ty?

- Zapewniam cię, że to nie ma ze mną nic wspólnego - podkreślił Drucker. - To pewnie Rydell. Teraz on nad tym panuje. Wczoraj w nocy porwali nam księdza.

- Znak - stwierdził Maddox, nagle zrozumiał wszystko. - Myślałem, że ty to zaplanowałeś. Zadzwoiłem więc do Daria, ale odebrał jakiś gliniarz. Bez sensu.

- Dario nie żyje - potwierdził Drucker.

Maddox skinął głową. Wszystko skomplikowało się bardziej, niż sądził. Spojrzał na ekran, próbując cokolwiek zrozumieć z tego, co na nim widział.

- No to co on robi? Co oni robią?

- Nie wiem. Może Rydell przekonał pozostałych, że kwestia globalnego ocieplenia jest zbyt ważna, żeby udaremnić nasz plan?

- Ale zdaje sobie przecież sprawę, że w każdej chwili możemy go uwalić - zauważył Maddox.

- Może mnie wtedy pociągnąć za sobą - przypomniał mu polityk. - Ciebie zresztą również - dodał - gdybyś nie pamiętał. Był kozłem ofiarnym, zgadza się? Bez niego nie bardzo mamy jak się z tego wywinąć. - Nagle napięcie na jego twarzy zelzało. Coś mu przyszło do głowy. - Nie będą go demaskować. Jeszcze nie. Najpierw muszą znaleźć kogoś, na kogo mogliby zwalić winę. - Rozpromienił się. - A my zyskujemy dzięki temu na czasie. Żeby znaleźć sposób na to, jak go zdemaskować, nie ujawniając jednocześnie, że to my pociągaliśmy za sznurki. Żeby znaleźć jakieś wyjście.

4 Maddox przyglądał mu się przez chwilę i nagle zdał sobie z czegoś sprawę. Jeżeli miał zniknąć - gdyby musiał się przyczołgać i podjąć walkę dopiero w przyszłości - musiał zadbać o to, by nie zostawić za sobą kogoś, kto mógłby wszystko zepsuć. Na przykład politykakarierowicza, który bez mrugnięcia okiem sprzedałby go, żeby ratować własną skórę.

Ale to, co zobaczył, podsunęło mu myśl, że może ciągle jeszcze pozostaje mu pewna opcja. Że może przedwcześnie zakwalifikował ją jako nieaktualną.

Zanim Drucker zdążył choćby mrugnąć, wyciągnął pistolet i przyłożył mu go do czoła.

- Właśnie je znalazłem. Siadaj.

Zmusił polityka, by się cofnął i opadł na fotel naprzeciw odbiornika, a potem jednym szybkim ruchem nachylił się, złapał za dłoń Druckera własną uzbrojoną w pistolet i przysunął mu lufę z tłumikiem do zaciśniętych ust.

Polityk spojrział na niego przerażony i skonsternowany.

- Właściwie od samego początku uważałem, że demaskowanie ojca Jerome to nie najlepszy pomysł - powiedział Maddox. - Teraz jest bardziej użyteczny. Sęk w tym, Keenan, że wcale nie jesteśmy w sytuacji bez wyjścia. Ty jesteś.

Pociągnął za spust.

Kula wyrwała Druckerowi kawał czaszki z tyłu głowy i szaropurpurowa tkanka mózgowa rozprysła się na ścianie za jego plecami. Maddox włożył pistolet do bezwładnej dłoni polityka, zacisnął jego palce wokół rękojeści oraz spustu i odsunął rękę. Broń upadła, tak jakby upuścił ją sam Drucker.

„Szybko, cicho, śmiertelnie skutecznie”. To naprawdę było bardzo dobre motto.

Wyciągnął komórkę i wcisnął wyblakły już klawisz szybkiego wybierania.

- Chyba wracamy do gry. Gdzie nasz chłoptaş? - zapytał.

- Ciągle na miejscu - poinformował go jego człowiek z NSA. - Ogląda w parku relację na żywo.

- Świetnie. Powiadom mnie, jeżeli się stamtąd ruszy. Najlepiej, żeby tam został.

Spojrzał na ekran, po czym wymknął się z pokoju, w myślach ustalając najbliższą trasę do parku Hermann.

ROZDZIAŁ 83

Ojciec Jerome spojrzał na tłum i zawahał się, czując, że drżą mu wargi i dygocą palce. Na jego czole pojawiły się kropelki potu, a z najdalszych zakątków umysłu zaczęły się przebijać na powierzchnię czarne myśli. Zerknął na lewo i prawo, ogarnięty nagłym lękiem. I wtedy w jego uszach rozbrzmiał znajomy głos.

- Świetnie sobie ojciec radzi - zapewniła go Gracie. - Tylko tak dalej. Niech ojciec pamięta o wszystkim, o czym mówiliśmy. Pomyśli o tym, co naprawdę chce ojciec powiedzieć tym ludziom. Niech ojciec wyprze z umysłu wszystko inne i otworzy przed nimi serce. Jesteśmy z ojcem.

Na jego twarzy pojawił się cień uśmiechu, jego wzrok spoczął znowu na tłumie, a w duszy zrodziła się determinacja. Pochylił lekko głowę, dziękując dziennikarce, i mówił dalej.

W ładowni furgonetki Gracie oderwała od oczu lornetkę i spojrzała na Matta, który siedział po drugiej stronie bębna LRAD.

- Niesamowita zabawka - stwierdziła z uśmiechem, poklepując ją lekko. - Ja też chcę taką.

- Czemu nie. W końcu mamy Gwiazdkę, nie? - zachichotał Matt. Nagle jednak spowaźniał i dodał: - Zawiadom ich, że wchodzę. I nie spuszczaј z oka ojca Jerome, na wypadek gdyby znowu się zawahał.

Otworzył drzwi.-Powodzenia - powiedziała Gracie z uśmiechem. Odwzajemnił jej uśmiech.

- Do zobaczenia za chwilę.

Wsunął do ucha słuchawkę i spojrzął na siedzącego za kierownicą Daltona. Skinęli sobie nieznacznie głowami, a potem Matt wyskoczył z furgonetki i ruszył w stronę placu.

Po drugiej stronie trawnika Danny, przyczajony za teatrem Miller Outdoor, przyglądał się pokazowi przez lornetkę, podczas gdy Rydell łączył się przez komórkę z Gracie. Tuż obok na parkingu na zapleczu budynku stał zaparkowany navigator. Za jego otwartymi drzwiami leżały wyrzutnie, naładowane przed chwilą ostatnimi zbiornikami inteligentnego proszku.

- Matt jest w drodze - poinformował Danny ego Rydell. Naukowiec skinął głową.

- Wyrzutnie gotowe?

- Gotowe - potwierdził miliarder. - Jesteś pewien, że zdążysz napisać nowe programy?

- Jasne, że tak - zapewnił go spokojnie Danny.

Spojrzeli na siebie. W oczach Dannyego zapłonął znowu niewypowiedziany gniew.

Rydell się skrzywił.

- Wynagrodzę ci to, obiecuję - powiedział. Naukowiec wzruszył ramionami.

- Najpierw dopilnujmy, żeby plan się udał - stwierdził, po czym po»nownie skupił się na ojcu Jerome. - Gotowy?

Rydell skinął głową.

- Gotowy.

- No to strzelamy.

- Żyjemy w świecie rozdieranym podziałami - mówił ojciec Jerome.

- Przede mną byli inni. Obdarzeni błogosławieństwem objawień, dający przykład. Dzielili się z bliźnimi swymi mądrymi, szlachetnymi refleksjami. Chcieli pomóc ludziom. Dać pożywkę ich umysłom. Ale kończyło się to zawsze tak, że człowiek występował przeciw człowiekowi. Ich mądre i szlachetne słowa, ich pełne poświęcenia uczynki były błędnie interpretowane, przekręcane, nadużywane... Przywłaszczane przez innych, którzy dążyli tylko do zdobycia chwały. Z ich imieniem na ustach powoływano do życia całe instytucje... Wielkie świątynie nietolerancji, z których każda rościła sobie prawo do prawdziwej wiary i nastawiała ludzi przeciw sobie. Słowa tych wielkich ludzi zamieniono w instrumenty władzy. Instrumenty nienawiści. Instrumenty wojny.

Przerwał i zaczął łąpać oddech płytkimi, urywanymi haustami. Czuł, że zasiał w tłumie ziarno niepewności. Zmarszczył brwi i jeszcze bardziej się skoncentrował, odpierając natłok sprzecznych myśli.

- Dziś nadszedł czas, by to naprawić! - zawołał.

W tym samym momencie nad jego głową pojawiła się kula światła. Rosła gwałtownie, aż w końcu osiągnęła rozmiar dwukrotnie większy niż plac poniżej. Widzowie wydali z siebie stłumiony okrzyk, wpatrując się z uwielbieniem w znak, który zapulsował, zafalował i zmienił kształt w sekwencję geometrycznych wzorów, w jakie zamieniał się już wcześniej - tyle że tym razem na samym końcu przepoczwarzył się w zupełnie inny obraz. W krzyż. Wielki oślepiający krzyż mieniący się na tle nieba nad parkiem Hermann.

Tłum zaczął głośno wiwatować. Jak tylko wierni zobaczyli krzyż, wszędzie rozległy się okrzyki: „Chwalcie Pana!” i „Amen!” - ale radość wyznawców nie trwała długo, bo znak wkrótce znowu zmienił formę. Krzyż rozplomienił się raz jeszcze, zafalował, rozciągnął się, aż wreszcie przybrał kształt innego znaku. Gwiazdy Dawida. Ludzie aż się cofnęli ze zdumienia, poruszeni zmianą, zdezorientowani, przerażeni i wytrąceni z równowagi. Pokaz nie skończył się na tym. Znak trwał przez chwilę w nowej postaci, po czym znowu się zmienił. A potem znowu. Zmieniał się ciągle, przyjmując kształty kolejnych symboli związanych z różnymi wyznaniem - islamem, hinduizmem, buddyzmem, bahaizmem. Wciąż w ruchu, zaczął przypominać zdumionym widzom emblematy najróżniejszych ruchów religijnych, jakie kiedykolwiek pojawiły się na Ziemi - od kultu pająka w Peru czy boga Słońca starożytnego Egiptu i Mezopotamii, aż do obrazów związanych z samym początkiem cywilizacji.

Coraz szybciej wirował, przechodząc od jednego kształtu do drugiego i przyjmując formę chaotycznego świetlnego pokazu. Przyspieszał aż do momentu, gdy symbole stały się prawie nieodróżnialne, stapiały się w jedną całość - i nagle po prostu zniknął. Zgasł. W mgnieniu oka, bez ostrzeżenia - widniał na niebie, a potem go nie było. dążyli tylko do zdobycia chwały. Z ich imieniem na ustach powoływano do życia całe instytucje... Wielkie świątynie nietolerancji, z których każda rościła sobie prawo do prawdziwej wiary i nastawiała ludzi przeciw sobie. Słowa tych wielkich ludzi zamieniono w instrumenty władzy. Instrumenty nienawiści. Instrumenty wojny.

Przerwał i zaczął łapać oddech płytkimi, urywanymi haustami. Czuł, że zasiał w tłumie ziarno niepewności. Zmarszczył brwi i jeszcze bardziej się skoncentrował, odpierając natłok sprzecznych myśli.

- Dziś nadszedł czas, by to naprawić! - zawołał.

W tym samym momencie nad jego głową pojawiła się kula światła. Rosła gwałtownie, aż w końcu osiągnęła rozmiar dwukrotnie większy niż plac poniżej. Widzowie wydali z siebie stłumiony okrzyk, wpatrując się z uwielbieniem w znak, który zapulsował, zafalował i zmienił kształt w sekwencję geometrycznych wzorów, w jakie zamieniał się już wcześniej -

tylko że tym razem na samym końcu przepoczwarzył się w zupełnie inny obraz. W krzyż. Wielki oślepiający krzyż mieniający się na tle nieba nad parkiem Hermann.

Tłum zaczął głośno wiwatować. Jak tylko wierni zobaczyli krzyż, wszędzie rozległy się okrzyki: „Chwalcie Pana!” i „Amen!” - ale radość wyznawców nie trwała długo, bo znak wkrótce znowu zmienił formę. Krzyż rozplomienił się raz jeszcze, zafalował, rozciągnął się, aż wreszcie przybrał kształt innego znaku. Gwiazdy Dawida. Ludzie aż się cofnęli ze zdumienia, poruszeni zmianą, zdezorientowani, przerażeni i wytrąceni z równowagi. Pokaz nie skończył się na tym. Znak trwał przez chwilę w nowej postaci, po czym znowu się zmienił. A potem znowu. Zmieniał się ciągle, przyjmując kształty kolejnych symboli związanych z różnymi wyznaniem - islamem, hinduizmem, buddyzmem, bahaizmem. Wciąż w ruchu, zaczął przypominać zdumionym widzom emblematy najróżniejszych ruchów religijnych, jakie kiedykolwiek pojawiły się na Ziemi - od kultu pająka w Peru czy boga Słońca starożytnego Egiptu i Mezopotamii, aż do obrazów związanych z samym początkiem cywilizacji.

Coraz szybciej wirował, przechodząc od jednego kształtu do drugiego i przyjmując formę chaotycznego świetlnego pokazu. Przyspieszał aż do momentu, gdy symbole stały się prawie nieodróżnialne, stapiały się w jedną całość - i nagle po prostu zniknęły. Zgasł. W mgnieniu oka, bez ostrzeżenia - widniał na niebie, a potem go nie było.

Tłum zamilkł. Wydawało się, że w parku stoją same roboty, którym ktoś wyłączył zniecka dźwięk. Oszołomieni wierni patrzyli tylko na siebie ze zdumieniem, nie wiedząc, co o tym myśleć. I nagle znak zabłysnął znowu w całej swojej poprzedniej chwale, przyjmując znaną wszystkim postać - kształt, który przybrał na samym początku nad lodowcem szelfowym. I tak już pozostał, mieniając się nad głową księdza.

- Urządziliście sobie ciekawe widowisko - zaszczekał za ich plecami czyjś głos.?

Danny i Rydell odwrócili się i zamarli na widok zbliżającego się Maddoxa. Przez ramię miał przerzucone długie czarne pudło, a w lewej, zdrowej ręce trzymał pistolet. Jego znużona twarz emanowała osobliwą mieszaniną wściekłości i zdziwienia.

Podszedł bliżej na odległość jakichś trzech metrów i się zatrzymał. Uniósł wzrok na gigantyczny znak rozświetlający niebo kilkaset metrów dalej, obok monumentalnego łuku.

Znalazł ich bez większego trudu. W końcu wiedział, czego szuka. Punktu obserwacyjnego w odpowiedniej odległości, skąd mogliby robić swoje, nie będąc przez nikogo widziani. W okolicy nie było zbyt wielu takich miejsc. Już po trzeciej próbie zaliczył trafienie.

- Aż mi się robi cieplej na duszy - zadrwił, gestem każąc im podnieść ręce do góry. - Miłość, pokój i życzliwość dla wszystkich ludzi. Próbujecie im wcisnąć taki kit?,

- I to skutecznie - rzekł Rydell, spoglądając z ukosa na Dannyego. Odłożył komórkę, ale jej nie wyłączył. Uniósł nieznacznie ręce. - Słuchają nas.

- I myślisz, że cokolwiek w ten sposób zmienisz? - W głosie żołnierza pojawił się gniew. - Myślisz, że nasi wrogowie również kupią ten worek psiego gówna? Obudź się, Larry, do kurwy nędzy. Może i słuchają, ale to i tak niczego nie zmieni.

- A może zmieni - powiedział Rydell nieco podniesionym głosem.

- Posłuchaj, nie wiem, o co chodzi tobie i Keenanowi, ale ja nie chcę, żeby ludzie przestali wierzyć w Boga. - Miliarder skupił całą swoją wściekłość na Maddoxie. - Chcę tylko, żeby trochę częściej używali mózgów. Posłuchaj ojca Jerome. Posłuchaj, co mówi.

- Szlachetna myśl - zadrwił Maddox. - We are the world, we are the children, tak? Świetnie. Wszystko, co mówi, jest naprawdę piękne, ale wiesz, do czego to doprowadzi? - Odłożył pudło na ziemię, sięgnął do niego i wyciągnął karabin snajperski. - Że z tego powodu zginie.

Gdy słowa te rozbrzmiały w słuchawce telefonu komórkowego, Gracie zeszytniała.

Maddox żył - i był z nimi. I z tego co słyszała, całkowicie ich zaskoczył.

Poczuła w szyi ukłucie paniki. Odwróciła się gwałtownie do Daltona i powiedziała:

- Muszę zadzwonić do Matta. Mamy problem.,

ROZDZIAŁ 84

Tłum był do głębi wstrząśnięty i na widok znanego już sobie znaku wydał z siebie okrzyk zachwytu. Ojciec Jerome uniósł dłonie, uspokajając ludzi, i po chwili ponad zgłębkiem dał się znowu słyszeć jego głos.

- Wielu z nas modli się o to samo, o to, co jako jedyne ma znaczenie! - zawołał.

Tłum ucichł, wsłuchując się w jego słowa.

- O pokorę. O miłosierdzie. O życzliwość i współczucie. Bo tylko to się liczy. A mimo to nic się nie zmienia. Przez setki, tysiące lat różne religie przyciągały do siebie miliony wiernych. Świat jednak jest coraz bardziej przesycony nienawiścią, bardziej podzielony niż kiedykolwiek. Nie możemy tego tak zostawić.

- Matt! - zabrzmiał w jego słuchawce głos Gracie. - Maddox. Dorwał Dannyego i Rydella.

Matt się zatrzymał - na krok, może dwa - po czym nagle ze zdwojoną energią zaczął się przedzierać przez tłum w stronę teatru. Przed oczami wirowały mu przerażające obrazy.

Maddox przesunął lufę karabinu na Rydella i Dannyego.

- Jak tylko skończy gadać, odstrzelę mu łeb. Będzie wyglądało na to, że zdjął go jakiś walnięty Arab. W końcu obserwujemy paru z nich. Bo przecież tak właśnie kończą prorocy, co? Umierają za sprawę.

Rydell chciał coś powiedzieć, ale Maddox gestem kazał mu milczeć.

- Daj spokój! - zadrwił głośno. - Nie można zatrzymywać się w pół drogi. Trzeba być konsekwentnym. Doprowadzić sprawę do końca. Jeżeli naprawdę chcesz, żeby ludzie uwierzyli w jego słowa, żeby wypaliły się one w mózgach milionów słuchaczy, musi zginąć. Po prostu musi. Zostać męczennikiem. Bo męczennicy... Znacznie trudniej ich zignorować, prawda?

Danny przyglądał mu się przez chwilę.

- A po jego śmierci... - Nie skończył.

Maddox skinął niefrasobliwie głową.

- Właśnie. A gdy wy dwaj znikniecie, będzie posprzątane. Nie znajdą was. Znajdą za to irańskiego świrusa, który zastrzelił biednego ojca Jerome. Autentycznego wariata z przekonującym CV, którego zresztą nasze służby przez pewien czas obserwowały. Oczywiście gość palnie sobie w łeb. Własnoręcznie. Jeden za wszystkich.

- Nie zdemaskujesz ojca Jerome? - zdziwił się Rydell.

Maddox pokręcił głową.

- Nie.

- Ale Keenan... - Miliarder nagle zrozumiał. - On nie wiedział.

Żołnierz obdarzył go lodowatym uśmiechem.

- Jasne, że nie.

- Więc okaże się, że to Irańczycy, świat muzułmański - powiedział Danny. - Na nich zwalisz winę?

- Jasne. - Maddox się uśmiechnął. - Piękne, prawda? Prorok, który chciał dać nam wolność, zastrzelony przez agenta nietolerancji.

- Rozpętasz wojnę! - wybuchnął Danny. - Ludzie, którzy uwierzyli w ojca Jerome, będą wściekli jak jasna cholera!

- Liczę na to - potwierdził spokojnie Maddox.

Rydell podszedł do niego o krok.

- Brad, zastanów się, co robisz...

- Myślałem o tym, Larry - przerwał mu Maddox, poczerwieniawszy z wściekłości na twarzy. - Nic innego nie robiłem, odkąd na własne oczy zobaczyłem, jak robi się z nas kretynów i pozwala tym barbarzyńcom urządzać nam rzeźnię. „Reguły zaangażowania” - rzucił z pogardą. - Konwencje genewskie. Przesłuchania w Senacie minutę po tym, jak przypierdolisz w twarz jakiegoś kamikadze, który i tak uważa, że jego życie jest nic niewarte. Jesteśmy za słabi. Nie mamy jaj, żeby porządnie to załatwić. Trzymamy się reguł w walce z wrogiem, który wie, że wojna nie kieruje się regułami. Śmieją się nam w twarz. Dostajemy od nich po dupie, a wiesz dlaczego? Ponieważ oni to rozumieją. Wiedzą, na czym to polega. Wiedzą, że jeżeli ktoś cię uderza, to nie nadstawiasz mu drugiego policzka. Wyrwasz mu rękę. I jedynym sposobem, żeby wygrać tę wojnę, jest doprowadzić ludzi naprawdę do wściekłości, wkurwić ich do tego stopnia, że zaczną łąknąć krwi.’

- Wciągasz miliony ludzi w wojnę, żeby ukarać kilku ekstremistów...

- Ich nie jest kilku, Larry. Ich są miliony. To cały region, do kurwy nędzy. Nie byłeś tam. Nie żyłeś między nimi. Nie widziałeś nienawiści w ich oczach. Twoje pieprzenie w rodzaju: „wszyscy należymy do jednego gatunku”, tam nie działa. Nie możemy żyć razem. To po prostu niemożliwe. Między nami a nimi są fundamentalne różnice, i to na każdym poziomie. I oni o tym wiedzą. My zresztą też o tym wiemy. Tyle że nie mamy jaj, żeby się z tym pogodzić. I oni przyjdą do nas. Nie poddadzą się. Bez cienia wątpliwości są naszymi wrogami, tak po prostu. Chcą nas zniszczyć. Chcą nas podbić, nie chodzi im tylko o kawałek ziemi. To święta wojna. A żeby wygrać świętą wojnę, potrzebna jest krucjata. Musimy ich zaatakować wszelkimi dostępnymi środkami, wszystkie chwytły dozwolone. Pokonać ich raz na zawsze. Zmieść z powierzchni Ziemi. A śmierć twojego fałszywego proroka nam to umożliwi. Będzie wezwaniem do walki słyszalnym na całym świecie. - Maddox poruszył karabinem. - Pobawcie się więc znakiem jeszcze przez chwilę, aż zniknie. Potem dokończymy dzieła.

Ojciec Jerome wbił rozgorączkowany wzrok w skłębioną masę i wycelował w wiernych palec wskazujący.

- Wszyscy modlimy się do tego samego Boga! - zawołał. - Tylko to się liczy. Wszystko inne - wszystkie instytucje, które powołaliśmy w Jego imieniu, wszystkie rytuały i publiczne wyznania wiary - to wszystko stworzyliśmy my sami. My. Ludzie, tacy jak ja i wy. I może popełniliśmy błąd, tworząc je i przekazując im władzę nad nami. Ponieważ Bóg nie dba o to, co jecie czy pijecie. Nie dba o to, jak często modlicie się do Niego, jakich słów używacie i gdzie to robicie. Nie dba o to, na kogo głosujecie. Ważne dla Niego jest tylko to, jak zachowujecie się w stosunku do siebie nawzajem. Tylko to się liczy. Obdarzył was

wspaniałymi umysłami, dzięki którym dokonaliście ogromnego postępu. Przecież właśnie z tego miasta wysłaliście człowieka na Księżyc. Tak mądrzy jesteście. Potraficie tworzyć życie w probówkach. Możecie zniszczyć całą planetę bronią, którą wynaleźliście. Dzierżycie we własnych rękach władzę nad życiem i śmiercią, sami jesteście bogami. I czy to się wam podoba czy nie, do was należy kontrola nad waszym życiem, nad waszymi uczynkami. Nad tym, co robicie. Co kupujecie. Na kogo głosujecie. Macie w sobie niczym nieograniczoną władzę. A dzięki swoim umysłom potraficie osiągać to, co niemożliwe. Macie rozum i potraficie myśleć. Rozmawiać ze sobą, dyskutować. I to właśnie rozum powinien wam podpowiedzieć, jak traktować siebie nawzajem. Każdy z was dobrze to wie. Każdy z was to widzi. Wiecie dobrze, że krzywdzenie innych, zabijanie jest złe. Wiecie, że siedzenie z założonymi rękami, podczas gdy inni umierają z głodu, jest złe. Wiecie, że wrzucanie do rzek śmiertelnie trujących substancji jest złe. Codziennie każdy z was musi się zmierzyć z wyborem, podejmować decyzje, i to od was zależy, jak potoczy się historia świata. To proste. To aż tak proste.

- Już prawie koniec - wydusił z siebie Maddox, łypiąc z ich punktu obserwacyjnego na księdza.

Rydell patrzył, jak podchodzi do navigatora i opiera karabin o jego boczne lusterko. Odwrócił się do Dannyego.

- Odpal program demaskujący.

- Co? - zdziwił się informatyk.

- Odpal ten cholerny program! - krzyknął miliarder. - Lepiej zrobić to teraz, niż pozwolić, by ksiądz zginął i by rozpętała się wojna.

- Ani się waż! - warknął Maddox, obracając w ich stronę lufę karabinu.

- Zaczekaj! - zawołał Danny, podnosząc ręce. - Uspokójcie się, dobra? Przecież nic nie robię.

- Danny, posłuchaj mnie - nie ustępował Rydell. - Nie zabije nas obu. Jemu też zależy, żeby znak pozostał w powietrzu. Odpal ten cholerny program.

- Nawet nie próbuj, chłoptasiu - ostrzegł Dannyego Maddox. - Jeśli chodzi o mnie, znak równie dobrze może teraz zgasnąć. Spełnij już swoją rolę.

Rydell spojrzał na niego z irytacją.

- Posłuchaj mnie! - zawołał. - Ten znak to coś dobrego. Dzięki niemu można wiele zmienić. Zmienić świat na lepsze. Możesz osiągnąć to, co chcesz, bez...

- Dostyc! - warknął Maddox.

Jego głos przeciął powietrze niczym pocisk z moździerza.

- Wiesz co, Larry? Już cię nie potrzebuję.

Uniósł broń o niecałe dziesięć centymetrów i pociągnął za spust.

W tym samym momencie rzucił się na niego Matt. Kula poszybowała gdzieś na bok, omijając Rydella i odbijając się rykoszetem od ściany teatru. Maddox i Matt upadli ciężko na ziemię. Żołnierz wykonał obrót i kopnął z całej siły napastnika w klatkę piersiową, pozbawiając go tchu.

Matt zwinął się z bólu, ale na Maddoxa rzucili się Danny i Rydell. Żołnierz spróbował zerwać się na nogi, ale zapomniał, że prawe ramię ma zmiążdżone, i gdy instynktownie podparł się nim, ze wszystkich stron zalała go fala gwałtownego bólu. Upadł z powrotem i wbił wzrok w Matta, a jednocześnie jego lewa ręka zanurkowała pod kurtkę. Matt zauważył wystającą mu zza paska rękojeść automatu. Na szczęście kątem oka dostrzegł leżący na ziemi karabin. Rzucił się w jego kierunku.

Dłoń Maddoxa miała do pokonania mniejszy dystans i wyprzedziła przeciwnika - żołnierz nie zauważył jednak Dannyego, który skoczył na niego całym ciężarem ciała i odepchnął go na bok. Maddox wylądował na prawej ręce i na pustym parkingu rozległ się jego przeraźliwy wrzask. Uciszył go dopiero Matt, i to definitywnie, pakując mu w pierś trzy kule.

- Nie potrzebujecie nikogo, kto by wam mówił, w co wierzyć albo komu oddawać cześć - przemawiał do tłumu ojciec Jerome. - Nie potrzebujecie żadnych obrządków czy rytuałów. Nie musicie się lękać, że zły Bóg nie wpuści was do nieba. Nie musicie uczęszczać do tych wielkich świątyń nietolerancji, gdzie głosi się wam, czym jest niepodważalne i nieomyślne Słowo Boże, ponieważ tak naprawdę nikt tego przecież nie wie. Ja nie wiem. Wiem tylko, że nie jesteście niewolnikami ani częścią jakiegoś wielkiego planu. Jeżeli jest Bóg, a wierzę, że jest, to jesteście po prostu Jego dziećmi. Każdy z was. Sami wykuwacie swój los. I musicie przyjąć za to odpowiedzialność, odłożyć na bok egocentryzm, przestać szukać wymówek w zwietrzałych starych mitach. Codziennie sami kształtujecie swe przeznaczenie. Musicie się troszczyć o siebie nawzajem. Musicie się troszczyć o Ziemię, która was żywi i daje wam powietrze, którym oddychacie. Musicie wziąć na swoje barki odpowiedzialność za Boskie stworzenie. I musicie przyjąć nagrodę za dobro, które czynicie, oraz karę za wyrządzone przez was zło.

Spojrzał na zdumiony tłum i uśmiechnął się.

- Cieszcie się życiem. Troszczcie się o tych, których kochacie. Pomagajcie tym, którym los mniej sprzyja niż wam. Niech świat będzie domem dla wszystkich. I zwracam się

do was z pokorną prośbą. Nie pozwólcie, proszę, by moje dzisiejsze słowa zostały przez kogokolwiek wykorzystane lub przeinaczone.

Rozejrzał się znowu po tłumie, po czym zamknął oczy i uniośł dłonie. Znak wisiał nad nim jeszcze chwilę - a potem powoli zaczął opadać, aż wreszcie ogarnął swym oślepiającym światłem cały podest wokół niego i zasłonił go, a przy okazji krąg otaczających go policjantów i strażników. Przerażeni wierni cofnęli się o krok, a wokół rozległ się stłumiony okrzyk. I nagle znak rozpadł się na setki mniejszych kul światła, które wystrzeliły na zewnątrz w stronę tłumu i zawisły spokojnie nad zgromadzonymi. Przez chwilę nad głowami wyznawców, niemal w zasięgu ich wyciągniętych rąk, unosiło się morze mniejszych znaków, o średnicy co najwyżej metra.

Minęło kilka sekund, zanim pierwsze krzyki przyciągnęły uwagę tłumu z powrotem do podium na szczycie schodów.

Zdumieni policjanci i strażnicy rozglądali się na lewo i prawo. Wierni spoglądali zalęknieni przed siebie.

Ojciec Jerome zniknął.

ROZDZIAŁ 85

Po drugiej stronie miasta, w swojej rezydencji w River Oaks, wielbny Nelson Darby wpatrywał się przerażonym wzrokiem w ekran ogromnego telewizora. Dzwonił jego telefon stacjonarny. Znowu.

Jego komórka też.

Duchowni, których zaprosił na scenę, najwyraźniej również oglądali relację. I także nie byli zachwyceni. Wziął głęboki wdech. Był wściekły. Złapał za telefon leżący na dębowym stoliku w gabinecie. Wyrwał ze ściany kabel.

I cisnął aparatem w telewizor.

Siedzieli w salonie dla VIPów na lotnisku Hobby i po raz tysięczny oglądali z ulgą materiał. Udało im się - póki co z żadnego regionu świata nie dochodziły wieści o jakichś krwawych reakcjach. Wiedzieli, że otworzyli ogromną puszkę Pandory, sprowokowali debatę, która z pewnością jeszcze przez całe miesiące czy lata będzie rozpalać umysły dyskutantów. Żadne z nich nie mogło jednak oprzeć się tej pokusie.

Rydell zarezerwował dla nich salon na wyłączny użytek. W każdej chwili na lotnisku miał wylądować samolot z Los Angeles z Rebeccą na pokładzie. Miał ich potem rozwieźć po kraju: Gracie i Dalton lecieli do

Waszyngtonu, Rydell, Matt i Danny do Bostonu. Ojciec Jerome przez jakiś czas miał być gościem Rydella - do momentu gdy wymyślą jakiś sposób, by mógł wrócić do życia publicznego. Jeżeli będzie chciał.

W doskonale wyposażonym salonie Gracie przyglądała się ojcu Jerome, który z kolei oglądał samego siebie w telewizji.

- Nie żałuje ojciec? - zapytała.

Spojrzał na nią ciepło i radośnie.

- Nic a nic. Potrzebowaliśmy tego. Potrzebna nam była nowa świadomość, by zmierzyć się z czekającymi nas wyzwaniem. I kto wie, może coś z tego wyniknie?

- Ma ojciec więcej wiary w ludzką naturę niż ja - skomentował Rydell.

- Tak pan sądzi? To pan to wszystko urządził. - Duchowny wycelował kościsty palec w miliardera. - Stworzył pan coś cudownego. I miał pan przy tym szlachetne zamiary. Szkoda by było, gdyby się to zmarnowało, skoro można dzięki temu uczynić tyle dobra. A przecież musiał pan być przekonany, że to zadziała, w przeciwnym razie w ogóle by pan nie próbował. Z czego wnioskuję, iż pan również wierzy w ludzkość, w jej rozsądek, w to, że potrafi podejmować właściwe decyzje. Nie mam racji?

Rydell uśmiechnął się i skinął głową.

- Być może, ojczec, być może. A może ludzie mnie zdziwią i wysłuchają choćby dziesiątej części tego, co im ojciec powiedział? - Przerwał na chwilę. - Zawdzięczam ojcu życie. Jeżeli ojciec czegoś sobie życzy, wystarczy słowo.

- Przychodzi mi do głowy kilka miejsc świetnie nadających się na szpitala czy sierocińce - powiedział swobodnym tonem ojciec Jerome.

- Niech ojciec zrobi mi listę - odparł Rydell. - Cała przyjemność po mojej stronie.

Gracie poklepała ojca Jerome po ramieniu. Spojrzała na Daltona, który słuchał w skupieniu Danny ego, wyjaśniającego mu rozwiązania technologiczne wykorzystane przy projektowaniu znaku. Zastanawiała się, czy Dalton jej nie porzuci i nie dołączy do świata maniaków komputerowych, którego przedstawicielami byli Rydell i Danny. Po chwili zauważyła przy automacie do kawy Matta. Podeszła do niego.

- Coś mi się zdaje, że przebój hollywoodzki przemknął ci koło nosa.

Matt zrobił smętną minę.

- Co racja, to racja. Zresztą może i dobrze. Nie wiem, jakbym sobie poradził z tymi wszystkimi fankami. - Przerwał i dodał po chwili: - Twoja sława Woodwarda i Bernsteina również rozplynęła się we mgle.

- Dzięki, że mi przypomniałeś - jęknęła.

Coś w jej oczach podpowiedziało mu, że nie była to tylko niefrasobliwa riposta.

- Wszystko okej? - zapytał.

- Nie wiem. Czuję się dziwnie. Zrobiliśmy niezły przekręt. To takie trochę z naszej strony, ja wiem... zarpzumiąłem. Tak jakbyśmy wiedzieli lepiej. - Zachichotała. - Czuję się jak Jack Nicholson w Ludziach honoru, pamiętasz? Kiedy w sądzie mówił: „Nie zniósłbyś prawdy!”.

- Tyle że tobie bardziej z tym do twarzy - zaryzykował komplement Matt.

Gracie potrzebowała w tej chwili właśnie tego - rozbijającego komentarza.

- Mam nadzieję - stwierdziła, po czym obdarzyła Matta zniewalającym uśmiechem. - Ale dzięki, że zauważyłeś. A teraz wyświadczyć mi przysługę i wymyśl jakieś przyjemniejsze miejsce, w którym moglibyśmy pogadać.

Wpatrzył się w jej twarz, pławiąc się przez chwilę w jej uśmiechu.

- Lubisz klasyczne samochody? - zapytał.

OD AUTORA

Oto, w jakim punkcie się znajdujemy:

„Wracam myślami do starotestamentalnych proroków oraz znaków przepowiadających Armagedon i zaczynam się zastanawiać, czy to nasze pokolenie będzie świadkiem jego nadejścia. Nie wiem, czy zauważyliście ostatnio, że spełniają się te prorocтва, ale - wiercie mi - opisują dokładnie czasy, w których żyjemy”.

Ronald Reagan, przemowa z 3 roku

„Jeśli ludzie nie zaangażują się w to, by pomagać wygrywać wybory pobożnym politykom, to może się okazać, że żyjemy w kraju rządzonym świeckim prawem. A przecież nie tego życzyli sobie nasi ojcowie założyciele i z całą pewnością nie tego życzy sobie Bóg. (...) Musimy odzyskać ten kraj. (...) I jeżeli nie zaangażujemy się w to jako chrześcijanie, to jak uda nam się tego dokonać? Jeżeli nie będziecie wybierać chrześcijan, wypróbowanych i autentycznych, pod naciskiem oraz nadzorem opinii publicznej, jeżeli nie będziecie wybierać chrześcijan, to w gruncie rzeczy będziecie uprawomocniać grzech”. I dalej: „Floryda ma kluczowe znaczenie, jeśli chodzi o dokonanie zmian w tym kraju, i bez wątpienia kluczowe znaczenie mają również tutejsze wybory. Dlatego właśnie okazują się wojną o przywództwo duchowe. (...) Ojcze, po raz kolejny i kolejny będziemy radować się z Twym Synem i sprawimy, że kraj ten będzie tożsamy z Twym rządem, z przykazaniami i władzą Twojego królestwa”.

Katherine Harris, sekretarz stanu Florydy, wyjaśniająca, dlaczego nie pozwoliła po raz drugi przeliczyć głosów w swoim stanie, pomimo licznych oskarżeń o oszustwa i

nieprawidłowości w ramach wyborów, w momencie gdy okazało się, że Al Gore pozostaje w tyle za Georgeem W. Bushem jedynie o kilkaset głosów w ramach walki o stanowe głosy elektorskie, co umożliwiło temu ostatniemu wygranie wyborów prezydenckich w 0 roku

„Przypominam sobie wybory z 4 roku. Hollywood był przeciw nam. Media były przeciw nam. Uniwersytety były przeciw nam. A mimo to Kościół Chrystusowy zapewnił Georgeowi W. Bushowi ponownie miejsce w Białym Domu. Wygraliśmy. I będziemy wygrywali, ponieważ po naszej stronie jest prawda. Po naszej Stronie jest nieomylnie Słowo Boże”.

Jerry Falwell

„Owszem, jestem przekonana, że jeszcze za mojego życia będziemy świadkami powrotu Jezusa na Ziemię”.

Sarah Palin, kandydatka republikanów na urząd wiceprezydenta w 8 roku, w odpowiedzi na pytanie, czy wierzy w rapturystyczną teologię końca czasów

A oto, w jakim punkcie znajdowaliśmy się dwieście lat temu:

„To zwykle brednie szaleńca, niewiele więcej warte, niewarte wyjaśniania bardziej niż bzdury, które oglądamy w naszych snach”.

Thomas Jefferson, trzeci prezydent Stanów Zjednoczonych, na temat Apokalipsy św. Jana.

„Kapłani najróżniejszych sekt religijnych (...) drżą z obawy przed postępem nauki, tak jak czarownice obawiające się nadejścia świtu, i z grymasem niezadowolenia patrzą na zgubne dla siebie zwiastuny zapowiadające rozpad świata szalbierczych sztuczek, na których żerują”.

Thomas Jefferson

Dobrze, że Jefferson żył dwieście lat temu. W Ameryce XXI wieku nie miałby szans na nominację, nie wspominając już o wygraniu wyborów. Co właściwie wszystko wyjaśnia...

PODZIĘKOWANIA

Pisanie to właściwie samotny wysiłek, ale nie chcąc skończyć na wypisywaniu w nieskończoność na maszynie frazy: „Nie samą pracą żyje Raymond”, i rozglądaniu się za najbliższą siekierą, staram się zawsze szukać okazji, by wykorzystać umysły moich przyjaciół oraz innych nieszczęsnych ofiar, gdy tylko potrafię znaleźć sensownie brzmiącą wymówkę, by zwrócić się do nich o pomoc. Na szczęście są to niezwykle inteligentni i rozsądni ludzie, którzy zawsze znajdują czas, by spełnić moją prośbę. Jestem im z tego powodu winien doządną wdzięczność. Spośród grona moich doradców chciałbym wymienić zwłaszcza - w przypadkowej kolejności i z pewnością pomijając niektórych - takie osoby, jak: Richard

Burston, Bashar Chalabi, Carlos Heneine, Joe i Amanda McManus, Nic Ransome (przepraszam, że nie udało mi się wtrącić kwestii: „On nie jest mesjaszem, ale tylko niegrzecznym chłopcem!”), Michael Natan, Alex Finkelstein, Wilf Dinnick, Bruce Crowther, Gavin Hewitt, Jill McGivering, Richard Khuri, Tony Mitchell, a także moich rodziców.

Serdeczne dzięki dla moich redaktorów, Bena Sebiera i Jona Wooda, za ich rady i cierpliwość. Wasze uwagi były jak zwykle dla mnie bezcenne. Dziękuję również innym współpracownikom, takim jak: Brian Tart, Claire Zion, Rick Willet i cała ekipa Dutton oraz NAL, Susan Lamb i cała ekipa Oriona, Renaud Bombard i Anne Michel oraz cała ekipa Presses de la Cité - za waszą ciężką pracę i entuzjazm oraz za to, że umożliwiliście mi nękanie wymienionych powyżej osób prośbami o tak zwany nieustający research.

Ogromne podziękowania i spóźnione pokłony kieruję w stronę Raya Lundgrena i Richarda Hasselbergera, którzy jako dyrektorzy Duttona są odpowiedzialni za moje wspaniałe okładki, począwszy od Templariusza, uznawane wszędzie za ogromny walor moich książek. Ray, ten krzyż na tle widoku Manhattanu był po prostu genialny! Wasze błyskotliwe okładki walczyły przyczyniły się do mojego sukcesu. Jeszcze raz ogromne dzięki dla was obu. t y

Dziękuję również Lesley Kelley oraz Monie Mourad za ich hojne datki na organizacje charytatywne w ramach licytacji, dzięki czemu mogły nadać imiona moim bohaterom.

I wreszcie wielkie ukłony i wyrazy wdzięczności dla moich cudownych doradców w William Morris Agency - Eugenie Furniss, Jaya Mandela, Trący Fisher i Raffaelli De Angelis.